4767/93

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

# BIBLIOTEKA
# WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

**1864.**

---

## Tom piérwszy.

POCZET NOWY, TOM I.

**WARSZAWA.**
**W drukarni Gazety Polskiéj,**
przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 619.

1864.

4620 · 1864 · 1
II

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 30 Grudnia (11 Stycznia) $186^{3}/_{4}$ r.

*Cenzor*, **Paweł Lachmanowicz.**

30,000,-

X-14192
4620/II 1.
1864

# POGLĄD
## NA STANY ZJEDNOCZONE PÓŁNOCNÉJ AMERYKI

oraz

## NA WOJNĘ TOCZĄCĄ SIĘ OBECNIE W TYM KRAJU, I PRZYCZYNY, KTÓRE SĄ GŁÓWNYM JÉJ POWODEM.

PRZEZ

*Adama Słońskiego.*

---

Dużo napisano dotąd w różnych pismach, tak krajowych jak i zagranicznych o Stanach Zjednoczonych Północnéj Ameryki i o morderczéj wojnie toczącéj się od lat dwóch w tym kraju. Jednakowoż z żalem wyznać muszę, iż z tego com czytał aż po dziś dzień, jeden tylko artykuł umieszczony w *Revue de deux Mondes* za miesiąc październik roku 1862, znalazłem prawdziwy.

Artykuł ten podpisany nazwiskiem A. Trignon (a który powszechnie przypisują Hrabiemu Paryża, co pozostawał pewien czas w sztabie byłego generała głównodowodzącego armią północną Mac Clelana), aczkolwiek stronnie i względnie napisany, dowodzi iż piszący dokładnie zgłębił charakter wojowniczy obu stron wojujących, przeniknął ich tak dobrą jakoteż i ujemną stronę, dobrze ocenił rzeczywiste przyczyny różnorodnych niepowodzeń, pochodzących po największéj części z niedokładnego, pojęcia sztuki wojennéj w Ameryce w ogólności. Jednakowoż nie zbadał, ani nie wykazał rzeczy-

wistych powodów, które doprowadziły obie strony do téj ostateczności, w któréj dzień z dniem z coraz większą zaciętością pogrążają kraj ten w nieszczęsnéj domowéj wojnie. Autor tego artykułu jako służący w armii północnéj, naturalnie nie mógł uczynić inaczéj, jak tylko opierając swe zdanie na tém co widział i co od otaczających go słyszał, uznać słuszność po stronie Północy, jako wojującéj w sprawie ludzkości.

Niech mi tu będzie wolno podnieść głos, w celu wyjaśnienia prawdy, opierając zdanie moje na kilkuletniém doświadczeniu, czerpaném w różnych klassach społeczeństwa amerykańskiego, zacząwszy od najuboższéj aż do najbogatszéj klassy tamtejszych mieszkańców.

Niepowodowany żadnym osobistym interesem, ani téż stronną zarozumiałością, śmiało wyrzec mogę, iż żaden lub mało który z ziomków naszych miał tę sposobność co ja, poznać charakter, jakotéż wewnętrzne zwyczaje i politykę Stanów Zjednoczonych.

Podczas mego 7-mio letniego pobytu w Ameryce, przebiegłszy kraj ten od oceanu Atlantyckiego, aż do Spokojnego i od ludnych miast Północy, aż do pół dzikich granic starego Mexyku, to jest do Elpaso del Norte nad rzeką Rio Grande, służąc wojskowo, obcując z Indyanami w dzikich i odludnych stepach, następnie będąc tak w północnych jak i południowych Stanach, tak w wolnych jak i niewolniczych, nieomieszkałem pochwycić wszystko, co może posłużyć do ocenienia zasad praw i zwyczajów, jakiemi ludy te powodowane i kierowane wpływają na siebie wzajemnie, jakotéż ocenić to, co jest im wspólném lub co stanowić może główną cechę odróżniającą charakter i dążności jednych od drugich.

W całéj Ameryce tak północnéj jak i południowéj, odciąwszy Murzynów i Indyan (1) znajdujemy dwie odrębne rasy, na jaką ludność amerykańską podzielić wypa-

(1) Tych ostatnich liczba dziś jest nader ograniczoną. W starym Mexyku i całéj południowéj Ameryce znajduje się ich do miliona obojga płci, zaś w Stanach Zjednoczonych nie więcéj jak 300,000, podzielonych na kilkadziesiąt pokoleń rozrzuconych po całym obszarze pustych łąk, zajmujących wnętrze tego kraju.

da, to jest hiszpańską i anglo-saxońską. Pierwsza mieści się na południowym półwyspie i zajmuje południowo krańcową część północnego półwyspu; druga zapełnia obie Kanady i Stany Zjednoczone. W pierwszéj język panujący jest hiszpański, lub portugalski, religia zaś katolicka; w drugiéj język angielski i religia protestancka. O ile w jednéj napotykamy gnuśność i niedołężność, tak w rządzie jak i w stosunkach społecznych, o tyle druga odznacza się niezwykłą czynnością, zabiegłością, energią i śmiałemi przedsiębierczemi charakterami.

Te to właśnie przymioty, któremi rasa anglo-saxońska jest nacechowaną, dały powód mieszkańcom Stanów Zjednoczonych, do przywłaszczenia sobie tytułu Amerykanów, odmawiając téj nazwy innym mieszkańcom czwartéj części świata. I dla tego w Stanach nazwa Amerykanina, nie odnosi się do Mexykanina, Brazylijczyka i t. d. a nawet i do Kanadyjczyka.

Mieszkańców Stanów Zjednoczonych, tak co do ich instytucyj jakotéż i charakteru, wypada podzielić na dwie odrębne kasty, to jest: północnych i południowych.

Język jest wspólnym, to jest angielski, a religia protestancka jest wyznawaną przez większość mieszkańców tak Południa jak Północy (1).

Główną cechą odróżniającą instytucye Północy od Południa jest niewolnictwo Murzynów; co zaś do charakteru, ten można określić w sposób następujący:

Północny Amerykanin, jako zapalony zwolennik purytanizmu, gardzi i nienawidzi służalstwa, niechętnie uchyla głowę przed kimkolwiek wyższym nad niego, radby zrównać z sobą wszystkich i wszystko co go otacza. Jednakowoż z przykrością wyznać muszę, iż zauważałem, iż ta chęć równania się odnosi tylko do osób wyż-

(1) W całych Stanach Zjednoczonych religia katolicka jest tolerowaną, lecz liczba jéj wyznawców, jakotéż i kościołów bardzo ograniczoną; w jednym tylko Stanie Illusiana, to jest części dawnéj Louisyany francuzkiéj, w któréj leży miasto Nowy Orlean, religia jest przeważnie katolicką, a cały Stan zamiast być podzielonym na hrabstwa (county), dzieli się podług dawnego systemu tam przyjętego na parafie.

szych od siebie czy to majątkiem czy też umysłowemi zdolnościami lub stanowiskiem światowém. Lecz rzecz ma się odwrotnie względem osób niższych, na których wywyższenie północny Amerykanin nieraz spogląda okiem zazdrośném. Rasa północnych pochodząca głównie od Anglików w połączeniu z Holendrami, Irlandczykami i Niemcami, nie zdołała zatrzymać w sobie żadnych odcieni cechujących te trzy ostatnie narodowości, zdaje się iż żywioł anglo-saxoński pochłonął i zagarnął między niemi największą część umysłów, z dodaniem coś prawdziwie amerykańskiego, a co określić można wyrazem w Ameryce rozpowszechnionym *„humbug"* co znaczy *„udawanie, durzenie drugich"*. Naród ten odznaczający się wielką czynnością, ruchliwością, zabiegłością i ogromnym przemysłem, w którym napotykamy co chwila zdumiewające swoją śmiałością i energią umysły, wynajdujący co chwila jakiś nowy sposób zastąpienia pracy ludzkiéj machinami, lub uproszczeniami mozolnych i skomplikowanych robót, wreszcie zużytkowania na korzyść ludzką tych cząstek materyalnego świata, które powszechnie zostały uznane za bezużyteczne, zdaje się biedz na wyścigi z naturą. Jednakowoż uważny badacz spostrzeże, iż większość tych olbrzymich dzieł jest czynioną nieomal na optykę, w celu oddziałania jakimś niepojętym urokiem na otaczający je świat, bez głębokiéj myśli utrwalenia tego na przyszłość, lub zabezpieczenia, używania tego następnym pokoleniom.

I tak widzimy tam olbrzymie sieci dróg żelaznych, przerzynające kraj w różnych kierunkach, które dziś postawione, za lat dwa bywają opuszczonemi, gdyż druga droga okazała się krótszą i dogodniejszą, a podczas swéj krótkiéj egzystencyi przedstawiły oczom ludzkim smutny obraz lekceważenia życia ludzkiego, gdyż liczne i okropne wypadki na amerykańskich drogach żelaznych wynikają głównie z niegruntownego stawiania takowych, jakotéż i niedbałego dozoru.

Kolosalne i śmiało budowane mosty na rzekach i przepaściach, często się psują dla tychże samych przyczyn. Na próżnych i nieurodzajnych gruntach z piekielną szybkością wznoszą się miasta, w których olbrzymie domy po

20stu latach muszą być rozbieranemi, grożąc mieszkańcom zawaleniem.

W końcu niezliczona liczba banków i różnorodnych kompanij o olbrzymich kapitałach, które prowadząc miliardowe interesa bankrutują, pogrążając w nędzy tysiące łatwowiernych umieszczających w nich z całą dobrodusznością swe kapitały.

Tego to właśnie losu doznało przedsiebierstwo wystawy między-narodowéj urządzonéj w Nowym-Yorku w roku 1853, które pochłonęło miliony dollarów, bez osiągnięcia żądanego skutku. Daléj bank pensylwański w mieście Filadelfii, posiadający kolosalny kapitał zakładowy 50 milionów dollarów, mieszczący w depozycie swoim majątek blisko $^1/_3$ części obywateli tego Stanu, nagłém i niespodziewaném bankructwem i zniknięciem dyrektorów w roku 1857, pogrążył w nędzy massę familij i sprawił niesłychaną stagnacyę w handlu i przemyśle.

Droga żelazna mająca prowadzić od miasta St. Louis nad rzeką Missisipi do Kalifornii, pomimo niepodobieństwa uskutecznienia tego olbrzymiego projektu, pochłonęła znaczne summy i następnie opuszczoną została (1). Wreszcie któż jest w stanie obrachować ogrom pieniędzy utopionych w przedsiębierstwie trans-atlantyckiego telegrafu, między brzegami Walencyi a New Foundlad, które po trzykrotnych próbach i pozornie udanym osiągniętym skutku, pogrążyło na dno morskie miliony dollarów wyłożone na druty telegraficzne i ich zakładanie, nie przyniosłszy społeczeństwu innéj nauki i przysługi, jak tylko tę, że gutaperka przy wielkiém ciśnieniu jest przepuszczalną a elektryczność nie zawsze i nie na każdéj długości przebiega i działa z jednakową siłą i szybkością. To szczególniéj przedsiębierstwo odmalowało w całém znaczeniu" *humbug* „amerykański, i dlatego czytelnik pozwoli, iż poświęcę kilka ustępów opisowi téj że tak powiem ko-

(1) Droga ta w części rozpoczęta, miała przebiegać przestrzeń blizko 3,000 mil ang. na bezludnych pustyniach między rzeką Missisipi, a wschodnią granicą Kalifornii przecinając w swym biegu łańcuch gór skalistych (Rocky Mountais): plany i pomiary na ten cel czynione kosztowały ogromne summy.

medyi. Po dwu-krotnych a nieskutecznych próbach, w końcu przedsięwzięto 3cią expedycyę, dla której przeznaczono dwa okręta: Agammenon (angielski) i Niagara (amerykański), obładowane drutami, które wypłynąwszy na środek morza i spoiwszy ze sobą dwa końce drutu, zatopiły takowy na dno morskie, postępując następnie w dwóch przeciwnych kierunkach ku brzegom Ameryki i Irlandyi. Akcye przedsiębierstwa wówczas stały na 30ci za 100. W miarę posuwania się okrętów ku brzegom, akcye a z niemi i natężenie umysłów wszystkich Amerykanów rosło w górę; w końcu gdy Niagara przybyciem swojém do New Foundlad oznajmiła uskutecznienie tego tak wielkiego dzieła, szał Amerykanów doszedł do najwyższego stopnia, a akcye z 30tu poskoczyły na 130ści. Na drugi dzień po dojściu téj wiadomości do Nowego Yorku, powywieszano na wszystkich ulicach chorągwie i płótna z napisami opiewającemi w jak najnamiętniejszych wyrazach energią i przedsiebierczość amerykańską w połączeniu z nazwiskiem Cyrusa Field głównego inżyniera amerykańskiego, dyrygującego zapuszczeniem drutów. W końcu urządzono obchód uroczysty. Na ten cel w oznaczonym dniu wszystkie sklepy, fabryki i warsztaty zostały zamkniętemi a milionowa ludność Nowego Yorku i przedmieści, wyległa na ulice, któremi miał się odbyć pochód tryumfalny. Całe miasto zdawało się być upojone jakimś niepojętym szałem, wszędzie mówiono tylko o telegrafie i ogromnych zyskach mających ztąd wyniknąć dla kraju, na uczczenie czego pito i wrzeszczano bez miłosierdzia we wszystkich tawernach wyższego i niższego rzędu.

Około godziny 4éj po południu odbył się marsz, przez główne ulice miasta, przy odgłosie muzyki trąb i bębnów: najprzód szły wszystkie korporacye miejskie ze swemi godłami, potém około 20 tysięcy milicyi miejskiéj w paradzie, loże wolnych mularzy, kompanie ogniowe ze swemi aparatami i inne tym podobne stowarzyszenia, w końcu załoga Niagary z dowódcą i Cyrusem Field inżynierem, których obsypywano kwiatami. Na wozie zaś tryumfalnym wieziono resztę drutu z aparatem telegraficzym (systemu Housa), drukującym depesze oznajmujące otwarcie telegrafu trans-atlantyckiego, które

to depesze rozrzucano pomiędzy publiczność. Po wspaniałéj wieczornéj uczcie, w któréj uczestniczyło z parę tysięcy osób, uilluminowano miasto i zapalono kosztowne ognie sztuczne, przyrządzone na ten cel umyślnie na dachu ratusza miejskiego, podczas czego dach razem z częścią zabudowań ratuszowych spłonął, zostawując miastu czystéj straty około 100 tysięcy dollarów. Następnie publikowano dwie depesze, jakoby przesłane za pomocą nowego telegrafu: jednę od królowéj angielskiéj, a drugą od prezydenta Stanów Zjednoczonych. W kilka dni potém nadeszła wiadomość, iż telegraf jest popsutym i od tego czasu żaden więcéj śmiertelnik nie słyszał i nie widział owego sławnego telegrafu, który zapewne do dziś dnia spoczywa w spokoju na dnie morskiém, zostawiwszy pustki w kieszeniach łatwowiernych nabywców akcyj.

Ale wróćmy do charakteru, usposobienia i zajęć północnych mieszkańców Stanów Zjednoczonych.

Mieszkaniec północny, opierając swe dochody głównie na przemyśle i na handlu, nie wiele poświęca się rolnictwu, i aczkolwiek takowe dość wysoko jest posuniętém, a narzędzia i machiny zastępują po największéj części ręce ludzkie, któreby trzeba drogo opłacać (1), jednakowoż nie przedstawia nic większego nad to, co napotkać można w Anglii. Za to fabryki machin i warsztaty okrętowe, mogą być uważane za najpierwsze i najdoskonalsze w świecie. Lecz główny zysk Północy, przynoszą ogromne fabryki różnorodnych sprzętów i ubiorów, wyrabianych hurtownie za pomocą machin, któremi zaopatrują wszystkie Stany południowe a nawet centralną i południową Amerykę. I tak napotykamy tam nietylko roboty stolarskie, ślusarskie, ciesielskie i t. p. wysyłane na Południe; ale nawet kapelusze, surduty. koszule i obuwie, a wszystko to wyrobione za pomocą machin.

(1) Zwykła płaca robotnika, bez professyi jest 1 dollar dziennie (9 złp.). Pospolita płaca parobka używanego na wsi jest od 9 do 15 dollarów miesięcznie (80 do 130 złp.) i życie z mieszkaniem, zaś podczas żniw i siianokosu, trzeba najemnikowi zapłacić najmniéj 2, często i 3 dollary dziennie: różnica cen zależy od stopnia zaludnienia okolicy. Na wschodzie robotnik jest w ogóle tańszy, niż na zachodzie.

Północny Amerykanin z całém swojém wyegzaltowaném pojęciem purytanizmu, jest często bardzo niesfornym obywatelem, nie chcącym poszanować prawa, z przyczyny, iż takowe jest mu niedogodném; nie lubi on, aby jego wola była krępowaną czemśkolwiek i dla tego to nienawidzi i pogardza wojskowością. Udowodnić to można najlepiéj tém, iż w armii federalnéj, wynoszącéj w roku 1858 zaledwie 16,000 ludzi, z trudnością można było naliczyć 500 krajowców; reszta składała się z cudzoziemców rekrutowanych w znaczniejszych miastach Północy, oficerowie zaś wychodzący z akademii wojskowéj z West-Point, po największéj części byli urodzonymi na Południu. Żołnierz przechodzący w ubiorze przez ulice Nowego-Yorku lub Bostonu, nieraz był wyśmianym, jako człowiek który za zapłatę zaprzedał swą wolność na lat pięć. Powszechnie uważano żołnierza za leniucha i dlatego robotnicy często zaczepiali wojskowych, wołając „żołnierzu, chcesz pracować"? i t. p. miotając nań obelgi.

Nienawidząc służalstwa, nie bierze się nigdy do tego rodzaju zatrudnienia; prawda, że służących nazywają tam pomocnikami (help) i pod tym tytułem zamieszczają w gazetach ogłoszenia o kucharki, lokajów, stangretów i t. p., a zgłaszający się są zawsze Niemcy, Irlandczycy, albo murzyni: rzadko gdzie znaléźć można Amerykanina lokajem lub służącą.

Amerykanin północny niechętnie naraża swe życie, nawet gdy jest potrzeba uczynienia tego w własnym interesie, i rad gdy wynajdzie zastępcę, który się zechce za niego poświęcić. Będąc obrażonym, zamiast szukać satysfakcyi na niepewnéj drodze pojedynku, woli ją uzyskać na drodze sądowéj w formie wynagrodzenia pieniężnego, którego następnie, jeżeli jest człowiekiem bogatym, zrzeka się przekazując takowe na korzyść jakiego zakładu dobroczynnego. Jednakowoż muszę tu wyznać otwarcie, iż to nie pochodzi z tchórzostwa, lecz poprostu z wyrachowania, iż narażenie się nie przyniesie mu żadnéj korzyści; lecz zmuszony do walki lub napadnięty, okazuje szalone męztwo i jest w stanie bić się z wściekłą zajadłością.

Północny Amerykanin jest człowiekiem bardzo przystępnym, zaznajamia się z łatwością z każdym i wszędzie

i bez wahania się podaje rękę; lecz w tém uściśnieniu mało znajduje się szczerości. W ogóle przyjaźń opiera się u niego na rachubie mogących wyniknąć ztąd zysków.

Opisawszy charakter mieszkańców północnych Stanów, przystąpię teraz do Południa. Południowiec charakteryzuje się umysłem gwałtownym, popędliwym i sposobem życia arystokratycznym. Wynika to nieomal z natury instytucyi niewolnictwa konstytucyjnie u nich uchwalonego. Jako posiadacz obszernych plantacyj i licznych niewolników, przyzwyczajony do uszanowania przez tychże mu oddawanego, jest w obejściu swojém nieprzystępny, nieomal, że powiem dumny; lecz raz poznawszy człowieka i podawszy mu rękę, robi to z całą serdeczną otwartością i staje się niezawodnym jego przyjacielem. W postępowaniu swojém jest zawsze szczery, otwarty i szlachetny; podstępu używa tylko wtedy, jeżeli widzi, że podstępem zdradziecko chce mu ktoś krzywdę wyrządzić; lecz brzydzi się nim w umowch handlowych i stosunkach towarzyskich. Obrażony lub zaczepiony wybucha całą gwałtownością i najczęściéj na miejscu żąda lub czyni sam sobie satysfakcyą; ztąd to pochodzą kilkokrotne nieszczęśliwe wypadki w izbie deputowanych i w senacie, które tak złą sprawiły opinią prawodawcom amerykańskim w całym świecie. W tych to sromotnych bójkach Południowcy dochodzili na Północnych obrazy osobistéj za obelgi miotane na nich w mowach publicznych. Pomiędzy nimi to tylko (tojest Południowcami) można napotkać owe szalone pojedynki na sztucery na 30 kroków, lub na noże w ciemnym pokoju. Tą gwałtownością charakteru zdaje się tłumaczyć wielki pociąg Południowców do stanu wojskowego, czego dali dowody nietylko liczebną większością kadetów wysyłanych od najdawniejszych czasów do akademii wojskowéj rządowéj w West Point, ale i założeniem u siebie na Południu dwóch prywatnych zakładów tego rodzaju, jednego w stanie Georgii, drugiego w Wirginii, zkąd wyszło nie mało ludzi wojskowo uzdolnionych.

Południowiec jest wielkim przestrzegaczem prawa i z natury nie lubi się wtrącać w atrybucye do siebie nie należące, a z całą energią i zapalczywością odpiera

wszelkie napady wymierzone na to, co uważa swojém prawem lub słusznością i to było zawsze głównym powodem nieporozumień ich z innemi Stanami.

Główną podstawą bytu Południa są plantacye tytuniu, ryżu, trzciny cukrowéj i bawełny i dlatego kraj ten a z nim i cała populacya jedynie jest temu oddaną. Nie mając okrętów własnych, ani warsztatów do budowania takowych, sprzedają i wywożą swoje produkta za pomocą Północy. Przemysł i handel stoi tu na bardzo nizkiéj stopie, fabryk zaś wcale nie ma; cukier zwykle przerabia się tylko na mączkę i w tym stanie jest na sprzedaż wystawiony.

Głównym powodem braku zakładów przemysłowych i rękodzielniczych jest klimat nadzwyczajnie gorący, a w niektórych miejscowościach całkiem nie zdrowy; ztąd pochodzi, iż człowiek biały nie może się tam wcale zaklimatyzować, lub też zaklimatyzowawszy się oddawać ciężkiéj pracy: dla tych to przyczyn Południe nie było nigdy miejscem wiele obiecującém dla emigracyi, i pomimo, że płace ofiarowywane tam robotnikom są daleko wyższe od tych, jakie na Północy zwykle się udzielają, mało jednakże ochotników znajdowano, którzy kierowali swe kroki ku Południowi.

Jeżeli bacznie więc porównamy to, co jest powyżéj powiedzianém o charakterze i usposobieniu tak północnych, jakotéż i południowych Stanów, zobaczymy, że przedstawiają one dwa zupełnie sprzeczne sobie żywioły, które do pewnego czasu były utrzymywane w zgodzie jedynie interesem wspólnym materyalizmu. Południe posiada żyzne łany, dostarczające główne przedmioty handlu i przemysłu, lecz jest pozbawione środków spieniężenia onychże. Północ zaś główną zasadę egzystencyi swojéj, opierała na handlu produktami Południa i dostarczaniu mu z fabryk swoich wszystkiego, co jest niezbędnie potrzebném w codziennem życiu domowém. Różnica zachodzi tu tylko ta, iż to co posiada Południe, Północ nigdyby nie mogła otrzymać, tojest produtków właściwych tylko południowemu klimatowi; gdy przeciwnie Południe działając energiczniéj niż działało dotąd, mogło z czasem rozwinąć handel i przemysł na swoją rękę.

Tak długo jak te dwa ludy utrzymywały z sobą stosunki, w których Południe zawsze zostawało w położeniu zależnym od Północy, zgoda między niemi nie ustawała, a wspólny interes był nieomal, że tak powiem, podstawą ich jedności.

Ażeby lepiéj uwydatnić jeszcze różnicę zachodzącą pomiędzy Północą a Południem, wróćmy się aż do czasów deklaracyi niepodległości Stanów. W owym czasie tak Północ jak i Południe były tylko koloniami angielskiemi, w których niewolnictwo murzynów, równie jak i we wszystkich koloniach francuzkich i hiszpańskich było rozpowszechnionem. W tym stanie rzeczy po wybuchłéj rewolucyi w Bostonie, wszystkie kolonie Nowéj Anglii zawiązały się w konfederacyą, ogłaszając swoją niepodległość i wzywając zarazem kolonie południowe, aby się do nich przyłączyły. Aktowi niepodległości towarzyszyło uwolnienie murzynów, których kolonie północne posiadały w bardzo małéj liczbie.

Rewolucya ta, mająca za główną podstawę i cel rozwój wolnego przemysłu i handlu, obiecywała znaczne korzyści Północy, zaludnionéj naówczas przeważnie samą rasą anglo-saxońską. Lecz rzecz przeciwnie się miała z Południem. Kraj ten istniejący głównie z uprawy plantacyj bawełny i cukru, dopełniający téjże za pomocą Murzynów umyślnie na ten cel sprowadzonych, nie mający żadnych zakładów przemysłowych, nie prowadzący handlu i zapełniony przeważnie ludnością czarną, utrzymywaną naówczas powszechnie w stanie daleko niższym oświaty niż się dziś znajduje, nie mógł mieć tegoż samego co Północ interesu w przystąpieniu do konfederacyi i uwolnienia Murzynów; przeciwnie, miał tylko pewność utracenia dochodów z plantacyj, skoroby takowe przestały być uprawianemi przez niewolników, a co gorsza, narażał się na nieochybną zgubę, bo nie byłby w stanie nawet utrzymać w posłuszeństwie i porządku Murzynów, nie rozumiejących wolności a nagle nią obdarowanych.

Południe, będąc naówczas krajem znacznie bogatszym od Północy, miało wszystko do stracenia, gdy przeciwnie, Północ wszystko do zarobienia. Obojętną naówczas było rzeczą dla Południowca, czy produkta

jego przewiezionemi będą na statku angielskim lub bostońskim, czy niemi handlować, lub przerabiać takowe będzie Anglik lub północny Amerykanin, i dla tego łącząc się z Północą wyraźnie kwestye te wyjaśniono, oświadczając, iż nie ma sposobu w ówczesném położeniu rzeczy uwolnić murzynów, gdyż to zagraża ich własnemu bezpieczeństwu. Wtedy Północ pobudzana widokami przyszłych zysków i naglona wojennemi krokami Anglików, którzy jeszcze mieli swobodny wstęp na Południu i nie byli tam zagrożonymi, oświadczyła, iż chętnie przystanie na wszelkie warunki Południa, byleby tylko przyłączyć się chciało do konfederacyi i rozpoczęło kroki wojenne przeciwko Anglii. I gdy Północ ogłaszała swoją niepodległość dla widoków czysto handlowych i materyalnych, Południe przyłączyło się do niego jedynie z uczucia, jakiém są zwykle powodowani ludzie zrodzeni na jednéj ziemi i powiązani węzłami rodzinnemi. Przy układaniu pierwotnéj konstytucyi, Południe było do niéj przypuszczone z wyraźném zagwarantowaniem niewolnictwa Murzynów, we wszystkich jego prowincyach, które się zamieniły na Stany. Co więcéj, ponieważ postanowiono, iż każdy stan ułoży swoją wewnętrzną konstytucyą, stósownie do swéj woli i potrzeb, i że jednemu Stanowi nie będzie wolno się na przyszłość mieszać w sprawy wewnętrzne drugiego, tém samém niewolnictwo Murzynów w Stanach, które z niém przystępowały do zjednoczenia, było uznaném za warunek wewnętrznego gospodarstwa, i zostało na przyszłość wyjęte z pod juryzdykcyi ogólnéj sejmu Stanów Zjednoczonych. Postanowiono także, że konstytucya naówczas podpisana staje się nietykalną, a do jéj poprawy lub zmiany, w razie, gdyby się takowa w przyszłości okazała nie praktyczną, potrzebném będzie zwołanie konwencyi narodowéj, która sama tylko będzie prawomocną takową uchylić lub nową utworzyć.

Ztąd widzimy, iż Południe weszło do pierwotnego związku Stanów bezinteresownie, oddając w ręce Północy nad sobą całą przewagę, jaką handel i przemysł mógł mu na przyszłość otworzyć, posiadając tylko za rękojmię swego przyszłego bezpieczeństwa poszanowanie

konstytucyi, do któréj pierwotnie nie z powodu materyalnych zysków przystąpiło.

Zauważmy teraz, czy te stosunki odmieniły się w czémkolwiek podczas ubiegłego stulecia.

Północ, zbogacona skutkiem rozwoju wolnego handlu i przemysłu, oraz licznym napływem emigracyi, doprowadziła liczbę swych Stanów do 21, a ludność do 22,000,000.

Południowi zaś przybył tylko jeden Stan Taxas, a ludność jego doszła tylko do 12,000,000, z których 4,000,000 czarnéj. Widoczną więc jest rzeczą, że Południe nigdy przewagi parlamentarnéj mieć nie mogło, będąc słabsze ilością Stanów i ludności, a tém samém słabsze reprezentacyą tak w senacie, jak i w izbie (1). Co zaś do przewagi materyalnéj, ta była tylko skoncentrowaną w naturalném bogactwie ziemi i jéj płodów, któremi Północ handlując, zbogacała się więcéj, niż właściciele plantacyj.

Każda paka bawełny tak dobrze jak i tytuniu, lub beczka cukru była sprzedawaną, *via*, Nowy-York, Boston, lub Philadelphia: ajenci Północy i jéj komissanci exploatowali Południe w całéj jego rozciągłości. Z tém wszystkiem nie było zawiści ani niezgody, a małe rozterki z łatwością były usuwanemi.

Dopiero gdy przed kilkunastą laty Południe jakby rozbudzone z letargu handlowego, w jaki go bezustanne zabiegi Północy pogrążyły, okazało dążność do zawiązania stosunków handlowych na swą własną rękę, zakupując i budując okręta. oraz tworząc ajencye i domy handlowe; wtenczas to Północ widząc, iż cała jego przewaga, jaką dotąd nad Południem, posiadała może mu wymknąć się, postanowiła upokorzyć, a w najgorszym razie zgnieść go.

To właśnie jest głównym powodem morderczéj wojny, któréj obecnie jesteśmy świadkami, a któréj przepowiednie już od lat 12stu, z ust nie jednego doświadczonego człowieka można było usłyszeć. Północ zaczęła

(1) Każdy Stan wysyła na sejm dwóch senatorów, a każde 97,000 mieszkańców jednego deputowanego; ostatnia liczba senatorów była 62, a izby reprezentantów 313, czyli, że liczba Stanów była 31.

knować spisek przeciwko Południowi, na drodze politycznéj chcąc użyć za narzędzie upozorowaną ludzkość i nielegalne prawodawstwo, w których to zapasach znalazła niespodziewanie odpór czynny, w formie kul i bagnetów.

Północ nie mogąc od razu wystąpić w zapasy sporne z Południem, ani też nagle zreformować partyj politycznych, bez odkrycia swéj złéj wiary, postanowiła działać powoli korzystając z czasu i wypadków.

Pierwsze oznaki nieprzyjazne Południowi w partyach politycznych Północy objawiły się w roku 1852 podczas intryg elektoralnych, przy wyborach tak prezydentury Piersa, jak i członków kongresu.

Od czasów Jacksona do wszelkich elekcyj tak kongressyonalnych jak i innych, występowały zawsze dwa stronnictwa ze swemi kandydatami: to jest demokraci i whigowie. Pierwszych, główną zasadą było, ażeby cudzoziemcy posiadali jak najobszerniejsze prawa i przywileje, nadając im możność naturalizowania się po 5cio letnim pobycie w kraju i przypuszczając ich do wszystkich urzędów; gdy tymczasem drudzy, zakreślali czas pobytu potrzebny do naturalizowania cudzoziemca na lat 21, do urzędów zaś przypuszczano li tylko ludzi zrodzonych w Ameryce.

W roku zaś 1852 obadwa te stronictwa mając za swych kandydatów generała Scotta i Piersa, okazały się podzielonemi na sekty *pro* i *anti* niewolnicze, szczególniéj zaś whigoska, była podzieloną na 2 sekty, które oprócz ogólnych swych zasad, propagowały zniesienie niewolnictwa. Jedna z nich żądała uczynienia tego w sposób bezwzględny, druga zaś chciała to uczynić w sposób zadawalniający posiadaczy murzynów; ztąd poszły dwie nazwy *free-soilers* i *abolitionist* (1). Ta ostatnia sekta była już poprzednio znaną w Stanach, lecz *free-soilers* była nowo uformowaną, okazując się bardzo zapaloną i namiętną; siedlisko jéj głównych agitatorów było w Bostonie i Nowym-Yorku, a gazeta Nowo-Yorska, Tribune (któréj zabudowania i przyrządy zostały kilka miesięcy temu pod-

(1) *Soil* w języku angielskim znaczy, *grunt kraj*. *Free* wolny. *Abolitionist* znaczy członek stowarzyszenia, mającego na celu zniesienie niewolnictwa murzynów.

czas rozruchów przez pospólstwo spalonemi) była ich głównym organem.

Skutkiem tych rozdwojeń, partya whigoska wybrała nadzwyczaj małą liczbę reprezentantów do Izby deputowanych, a w wyborach do legislatur wewnętrznych stanów pojedyńczych, i na pojedynczych urzędników, zupełną nieomal poniosła klęskę. Niektórzy zwolennicy pokoju i utrzymania praw dawnych, uważali porażkę partyi whigoskiéj (mianowicie skoro na prezydenta wybrano Piersa z partyi demokratycznéj) za zamach na dobrobyt kraju, a przypisując to wpływowi cudzoziemców świeżo naturalizowanych, poczęli tworzyć nowe stronnictwo pod nazwą, *know-nothings* czyli *nic nie wiedzących*, którego zamiarem było usunąć na przyszłość wszystkich cudzoziemców nie tylko od urzędów, ale nawet od prawa naturalizowania się, a tém samém i głosowania. Partya ta znalazła w pierwszych chwilach dużo zwolenników, a na wyborach kongressyonalnych w roku 1854 odniosła w wielu miejscach zwycięztwo. Co widząc stronnictwa free-soilerów i abolicyonistów, zlały się w jedno i utworzyły nowe pod nazwą *czarnych republikanów*. Stronnictwo to byłoby niezawodnie natychmiastowe odniosło zwycięztwo, gdyby nie to, że wielu z jéj członków pochodzenia europejskiego, zląkłszy się przewagi know-nothingów, opuściło jego szeregi i przeszło do stronnictwa demokratycznego. Tym sposobem to ostatnie wzmocnione odniosło tryumf w roku 1856 przy wyborach prezydencyonalnych, wybierając swego kandydata Buchanana, na prezydenta. Przy tych wyborach (pierwszy to raz od czasów istnienia rzeczypospolitéj Stanów Zjednoczonych), widziano trzy odrębne stronnictwa, wstępujące w szranki wyborcze ze swemi kandydatami, jakoto *know-nothings* czyli dawną whigoską, na czele któréj był Fillmore (ex vice-prezydent), czarnych republikanów z pułkownikiem Freemont na czele, i demokratów z Jakóbem Buchanan.

Jakem powyżéj powiedział, stronnictwo demokratyczne w roku 1856 przy wyborach prezydencyonalnych odniosło zwycięztwo, lecz bardzo małą większością; ale rzecz inaczéj się miała z wyborami do wewnętrznych legislatur Stanów, które na wzór sejmu składają się także z dwóch

Izb: poselskiéj i senatu. Tam zwycięztwo było sobie naprzemian wydzieraném przez lat kilka, przez knownothingów lub czarnych republikanów.

Ważność legislatur jest wielką, bo gdy naród wybiera deputowanych, one wybierają senatorów na sejm ogólny, i kierują wszystkiemi wyborami urzędników wewnętrznych. I dla tego to szczególniéj tam, jakotéż na wybory prezydencyonalne, czarni republikanie skierowali całą siłę swoich zabiegów, które w latach 1858 i 1859 doszły do wysokiego stopnia. Przez cały ten czas dla wzburzenia umysłów, Północ wysyłała na Południe, ajentów namawiających murzynów do ucieczki, do Stanów wolnych; z czego następnie wynikały zatargi pomiędzy władzami Północy i Południa, skoro te ostatnie upominały się o zwrot zbiega, czego po największéj części wzbraniano się uczynić. Ztąd wynikały procesa, podczas których adwokaci Północy w namiętnych mowach, a dzienniki w namiętniejszych jeszcze artykułach określały barbarzyństwo Południa, przez co jątrząc umysły coraz to więcéj ściągało zwolenników, swoich przyszłych zamiarów. Sławny proces murzyna Dreed Scott, zbiega ze Stanu Kentucky, powstał z téjże saméj przyczyny, w którym najwyższy sąd Stanu Ohio (do którego zbieg się schronił) wyrzekł wbrew prawom istniejącym, że właściciel nie ma zasady upominania się o niego. Było to nieomal jakby rzuceniem rękawicy Południowi, bo deptało prawo gwarantujące im, ich własności.

W końcu wybory prezydencyonalne w roku 1860 uwieńczyły zabiegi Północy. Rozwiązawszy stronnictwo knownothingów i osłabiwszy demokratów, wybrali swego prezydenta, w osobie Jakóba Lincoln obecnie urzędującego. Większość w Izbie deputowanych była z tegoż stronnictwa. Senat tylko przedstawiał zaporę, która przy następnych wyborach usuniętą być miała, gdyż jak wiadomo $^1/_3$ część senatorów zmienia się co lat dwa, to jest iż w każdym sejmie Izba senacka składa się z $^1/_3$ senatorów urzędujących lat 4, $^1/_3$ lat 2 i $^1/_3$ nowo wchodzących.

Widocznym się teraz okazał cel Północy, to jest iż ma zamiar przeprowadzić prawo, któreby było ze szkodą Południa. Nie było tam nic powiedzianém, jakiéj natury,

na co, lub do jakiéj części instytucyj południowych ma być skierowanym ten pocisk; lecz widocznem było, że Północ ma zamiar tryumfować nad Południem, na tak nazwanéj drodze legalnego prawodawstwa.

Dziwią się nie jedni, lub nie chcą zrozumieć, dlaczego Południe zrobiło krok do oderwania się od Północy, skoro tylko Lincoln został wybranym na prezydenta, pomimo, iż natychmiastowie nie groziło im żadne niebezpieczeństwo.

Chcąc to wyjaśnić, potrzebném jest opisanie niektórych okoliczności, jakoteż praw parlamentarnych amerykańskich.

Ażeby wniosek jakiéjkolwiekbądź natury lub charakteru stał się prawem obowiązującém naród, potrzebném jest, ażeby przeszedł większością absolutną głosów w obu izbach, a następnie został potwierdzonym przez prezydenta. Wprawdzie, prawo może być zmienioném lub ustanowioném bez podpisu prezydenta, któremu służy prawo położenia *veto;* lecz w takim razie, jest on obowiązanym zwrócić takowe izbie, w któréj ono wzięło swój początek z wyjaśnieniem przyczyn, które go do tego powodują. Wtenczas jest ono powtórnie rozbieranem, a jeżeli przechodzi większością dwóch trzecich głosów, nie członków stanowiących komplet, jak to ma miejsce w zwyczajnych interesach, lecz wszystkich członków należących do składu obu izb, w takim razie staje się prawem obowiązującém cały naród, a prezydent stosując się do woli sejmu, musi wprowadzić go w wykonanie.

Środek ten będący nieomal zabezpieczeniem woli narodu od kaprysu lub omylności jednego człowieka, nigdy, lub bardzo rzadko jest używanym; gdyż z natury rzeczy wynika, że tylko przedmioty wielkiej wagi i użyteczności dla ogółu, oraz zgadzające się z konstytucyą, mogłyby przejść tą drogą, a prezydent w takim razie kładąc swe *veto*, stawia się w położeniu śmiesznego upokorzenia. Wprawdzie ma on jeszcze rekurs do sądu najwyższego, lecz środek ten jest bardzo niepewnym: gdyż skoro interes wejdzie raz na tę drogę, zwraca na siebie uwagę szczególniejszą całego narodu i utrzymuje umysły w wy-

sokiém natężeniu, a ztąd ludzie, w ręku których spoczywa sprawiedliwość, muszą postępować z całą przezornością i oględnością tak co do praw, jakotéż i opinii publicznéj.

Słowem droga ta jest nader trudną i mozolną, mogącą się stósować tylko do rzeczy będących w zgodzie z konstytucyą i przekonaniem ogółu.

I dlategoto Północ mając już w Izbie deputowanych większość czarnych republikanów, z drugiéj zaś strony w senacie mając zapewnioną przewagę tegoż stronnictwa przy następnych wyborach, skoro tylko z niego obrała prezydenta, mogła być pewną swego tryumfu, choćby nawet nie legalnego nad Południem, bo sąd najwyższy mający stanowić o konstytucyalności prawa nowo stanowiącego się, byłby także wybranym z tegoż grona, gdyż wybór jego należy do prezydenta.

Cóż więc pozostawało Południowi uczynić? czyż miało oczekiwać aż Północ sama zacznie pierwsza kroki zaczepne? tojest przeprowadzając na sejmie pierwsze lepsze prawo ze szkodą Południa, które będąc znowu przekonane o nielegalności takowego, wzbraniałoby się go przyjąć. Zkądby wynikło, że prezydent jako wykonawca woli sejmu, byłby obowiązanym siłą go poprzeć i zmusić Południe do przyjęcia go.

Południe więc zamiast narazić się następnie na nazwę gwałcicieli prawa i nieposłusznych takowemu, wolało na drodze legalnéj zerwać stosunki z Północą, ogłaszając się za naród oddzielny, zawiązując się w nową konfederacyą w mieście Richmond w Stanie Wirginii pod prezydencyą Jeffersona Davis. Temu aktowi nie towarzyszył żaden postępek gwałtowny: niczyje bezpieczeństwo, ani własność nie były naruszonemi.

Południe taką samą drogą, jaką w roku 1771 przystąpiło do związku, w roku 1861 chciało się z niego wycofać, mając do tego ważne powody. Wszak żądanie to nie było głosem pojedynczych osób lub partyj: było ono wolą 8,000,000 Południowców, jawnie i spokojnie wypowiedzianą. (Nie rachuję w to 4,000,000 ludności murzyńskiéj, która tak przed zaczęciem wojny, jak i obecnie jest obojętną na to co się koło niéj dzieje). Wszak o Murzynach nie było mowy w samym początku tranzak-

cyi tak na Północy jak i na Południu. I zkądżeż wojna ta może być uważaną za wojnę toczącą się o uwolnienie Murzynów?

A więc jest jawném, że głównym jéj powodem jest chęć Południa odłączenia się od Północy, z przyczyny nielegalnego i nieprzyjaznego postępowania téj ostatniéj.

Zobaczymy teraz, jak się zachowała Północ po odebraniu téj tak niespodzianéj wiadomości.

Oto uznała akt Południa za zbrodnię stanu, oznajmując, iż nikt nie ma prawa do odłączenia się od zjednoczenia. I na czémżeż to twierdzenie jest opartém? Wszak w oryginalnym akcie deklaracyi niepodległości Stanów, nie ma o tém mowy. A ztąd samo przez się wynika, że obu stronom służy prawo zerwania kontraktu dobrowolnie zawartego.

Południe nie chce pozostawać w spółce z Północą, bo nie ma w tém żadnego interesu; przeciwnie, Północ chce go gwałtem przy sobie utrzymać: dlaczego? bo ma w tém zysk materyalny.

Jedyną prawną pretensyą, jaką Północ mieć mogła do Południa w chwili odłączenia się onegoż, były fortece, arsenały i budynki znajdujące się w różnych punktach Południa, będące własnością publiczną, zbudowaną i nabytą za pieniądz wspólny tak jednych jak i drugich. Lecz taką samą pretensyą mogło mieć i Południe do Północy. Cóż wypadało uczynić w takim razie? Należało naznaczyć komissyą, któraby uwzględniając wymagania jednych i drugich, oceniła takowe i naznaczyła wynagrodzenie.

Wszak gdyby Północ chciała zgody, miała i na to środek prawny zastrzeżony w konstytucyi, jakim jest konwencya narodowa, i dlaczegóż tego nie uczyniono? Wreszcie, twierdzenie Północy co do nieprawności oderwania się Południa, dałoby się jeszcze było uwzględnić, gdyby było wyrzeczoném przez osoby trzecie, bezstronne i bezinteresowne, wezwane na pośredników. Lecz twierdzenie to wyrzeczone w sposób absolutny i jednostronny, nie oparte na żadném prawie, lecz tylko na osobistym interesie, nie może być uwzględnioném, tém bardziéj, iż jest wyrzeczoném przez rząd republikański, którego podstawą jest wola narodu. Skoro ta wola jest odmienną,

rząd nie ma żadnego znaczenia. Dla tego to rząd Stanów Zjednoczonych nie może dzisiaj mieć żadnéj władzy nad Południem, gdyż nie posiada ani jego woli, ani zaufania; nie liczy bowiem w gronie swoich prawodawców przedstawicieli Południa. Takie same prawo, jakiém się dziś powodują ci ostatni, służy i Północy do oddzielenia się od Południa. Postępowanie zaś przeciwne jest arbitralném i nielegalném.

Zobaczmy teraz, czy nie dostrzeżemy jeszcze gdzieindziéj téj saméj nielegalności w postępowaniu Północy. Każda z osób mieszkających w Stanach, w ostatnich 8miu latach mogła dostrzedz, jakie gwałty i nieprawości popełnianemi były przy wyborach na Północy. Czyż nie przybywano na takowe z rewolwerami w rękach? czyż nie jednokrotnie nie używano siły zbrojnéj, policyjnéj lub milicyi dla przywrócenia porządku na ulicach Nowego Yorku? czyż nie jest wiadomém, że ogromne summy wydawano podczas elekcyi na kupienie głosujących? Czyż cudzoziemcom będącym zaledwie lat 3 w Stanach, nie wyrabiano fałszywych papierów naturalizacyjnych (do których otrzymania 5letni pobyt jest niezbędnym) w celu dania im sposobności głosowania, a tém samém powiększenia liczby swoich zwolenników? Czémże się mogą nazwać zaburzenia w Nowym Yorku podczas elekcyi w roku 1857, gdzie garstka rekrutów wojska regularnego sprowadzona z sąsiedniéj fortecy, przez trzy dni musiała pilnować bezpieczeństwa kassy publicznéj i komory? A spalenie i zniszczenie szpitalów i budynków należących do kwarantanny przez ludzi zamaskowanych i z twarzami uczernionemi, w roku 1858, gdzie następnie dwa pułki milicyi miejskiéj przez 6 tygodni musiały obozować na pogorzeliskach dla zabezpieczenia nieszczęśliwych chorych, których bezwzględnie wyrzucano na bruk, dla tego, że byli zarażeni żółtą febrą; czy te wszystkie postępki nazwać można legalnemi? Wreszcie, czyż przedajność urzędników publicznych, a co gorsza i samych reprezentantów ludu, napotykana w ostatnich czasach na każdym kroku, o którą ostatni prezydent Buchanan w mowach swoich do narodu tak często go upominał, nie jest dostatecznym obrazem demoralizacyi Północy? I ten naród

mający tyle grzechów na swém sumieniu, gwałcący lub oszukujący prawo, na każdym kroku, dla zadośćuczynienia swym namiętnościom, lub zarobienia złota, śmié dziś wyrzucać drugim nielegalność, dla tego, iż nie chcą pozostać z nim w spółce?

Dziś Północ zasłania się doktryną Monroego, byłego prezydenta, którego zasadą było, ażeby nigdy niedopuścić rozerwania unii, lecz przeciwnie dążyć do skupienia pod rząd Stanów-Zjednoczonych całéj Ameryki, tak północnéj jak i południowéj; a przedewszystkiem, ażeby nie dozwolić na kontynencie amerykańskim rozwoju rządu monarchicznego. Zaiste bardzo to piękna zasada, bo dąży do rozszerzenia i utrwalenia samorządu. Mówcy Północy głoszą dzisiaj, iż dążą jedynie do tego celu, ja zaś zapytałbym się tych panów, czy Monroe w swojéj doktrynie nie nakazywał głównie poszanowania prawa, i czy środki, jakich nakazywał używać dla dojścia do zamierzonego celu, nie opierały się głównie na poszanowaniu konstytucyi, na którą Północ uformowała widoczny zamach, przeprowadzając przy ostatnich wyborach za pomocą wszelkich środków idee, dążące do jéj pogwałcenia, i zapewniające jednéj stronie przeważną większość tak w prawodawstwie, jak i we władzach wykonawczych.

Tą to właśnie przewagą zastraszone Południe, widząc iż konstytucya może być pogwałconą, (co gdyby raz się stało, nie omieszkałoby się powtórzyć, ilekroć razy interes większości byłby tego wymagał) będąc w mniejszości, a przez to samo nie mając żadnych środków do zniweczenia złych zamiarów Północy, postanowiło się od niego odłączyć. Wprawdzie pierwszy strzał wyszedł od Południa; ale to inaczéj być nie mogło, bo na ich gruncie i w ich portach, stały siły zbrojne rządu, którego oni już nie uznawali, i dla tego to forteca Sumter i port Charlestown stały się pierwszą widownią rozlewu krwi bratniéj.

Jedynem jeszcze usprawiedliwieniem Północy w prowadzeniu obecnéj wójny byłoby to, gdyby Południe nalegane usilnie o zniesienie niewolnictwa Murzynów, stanowczo wzbraniało się od uczynienia tego. Muszę tu wyznać prawdę, że ilekroć razy zdarzyło mi się rozmawiać o tém z Południowcami, znalazłem ich zawsze gotowych, do tra-

ktowania w tym przedmiocie na drodze legalnéj, prawnéj. Uznawali oni, że niewolnictwo nie odpowiada ani duchowi czasu, ani postępowi cywilizacyi; gotowymi byli do uwolnienia Murzynów, byleby takowi zostali usuniętemi od ich towarzystwa. Nie tyle im chodziło o wynagrodzenie materyalne kapitałów, mieszczących się w niewolnikach, jak o zabezpieczenie na przyszłość swych stosunków towarzyskich. Najwięcéj znalazłem ich skłonnych do kolonizowania Murzynów na brzegach Afryki, co znów nie jest bardzo łatwém do uskutecznienia, z przyczyny, że Murzyni mało okazują skłonności do opuszczenia ziemi, na któréj się zrodzili. I dla tego to stowarzyszenie filantropijne kolonizowania Murzynów w Liberii, do dziś dnia tak małe osiągnęło rezultaty. Możnaby wprawdzie wykupić wszystkich Murzynów i wywieźć ich do Afryki; lecz pytam się, czy postępek takowy zgodziłby się z prawami ludzkości, wreszcie ze zdrowym rozsądkiem każdego ucywilizowanego człowieka? Byłoby to niczém inném jak powtórzonym gwałtem, boby nadawało wykupionemu Murzynowi wolność z przymusem używania takowéj w miejscu, do którego on nie chce być przeniesionym. Wreszcie Murzyni w dzisiejszym stopniu ciemnoty, w jakiéj się znajdują, nie byliby w stanie dać sobie rady i potrzebują opieki. Najlepszym dowodem tego jest to, iż zdarzyło mi się nie jednokrotnie na Południu widzieć Murzynów obdarzonych wolnością, proszących o pozwolenie wrócenia napowrót do stanu niewolniczego. Nie powiem, żeby to pochodziło ze zbytniego przywiązania do swoich panow, lecz po prostu, z niemożności i nieumiejętności zarobienia na swe utrzymanie, o które poprzednio nie był przymuszonym się troszczyć. Widoczną jest rzeczą, że przy braku oświaty a tém samém i energii, samoistność staje się dla tego człowieka ciężarem.

Główną jeszcze przeszkodą stojącą na zawadzie rychłemu zniesieniu niewolnictwa na Południu, jest przyszły los Murzyna. Nie dosyć bowiem jest obdarować go wolnością osobistą: trzeba jeszcze oprócz tego nadać mu pewne prawa jako obywatelowi ziemi, na któréj się zrodził, to jest prawo nabywania ziemi, współubiegania się we wszelkich zawodach, wolnego kształcenia się, a w końcu

prawo wybierania i bycia wybranym na urząd publiczny. I pytam się, czy Murzyn raptownie obdarowany wolnością będzie w stanie korzystać z praw mu nadanych? śmiało mogę odpowiedzieć że nie, i niezawodnie każdy bezstronny badacz natury zgodzi się ze mną na to.

Wprawdzie Murzyn z czasem, w miarę oświecenia go, będzie się w stanie wykształcić i zająć stosowne miejsce w społeczeństwie, stać mu się użytecznym i korzystać z praw obywatelstwa. Lecz zapytuję się, czyż będzie kiedykolwiek w stanie pozbyć się tego, co go czyni dla ludzi białych nieznośnym i co go oddzielać zawsze będzie od ich towarzystwa? to jest: niekształności fizycznéj tak ciała jak i twarzy, oraz nieprzyjemnego odoru przypominającego kozła? W rzeczy saméj wyznać muszę, iż przebywanie w jednéj stancyi razem z Murzynem, choćby najczyściéj utrzymanym i jak najwykwintniéj ubranym, szczególniéj letnią porą, jest nieznośném. Przez ewaporacyą skóry, zapełnia on całą atmosferę odorem podobnym do tego, jaki zwykle czuć się daje od kozła. Nie mówię tu o tém z szyderstwem, przeciwnie boleję nad tém; jednakże przyznaję, iż to nie jest przyjemném i wzbudza w człowieku białym, naturalny wstręt do rasy czarnéj.

A więc pytam się, jeżeli 4 miliony ludności murzyńskiéj, pozostającéj dzisiaj na Południu w stanie niewolniczym, pozbawione wszelkich praw, następnie przez cywilizacyą podniesione do godności człowieka i obywatela, zacznie używać praw swoich na równi z ośmiu milionami białych, którzy nie będą w stanie przezwyciężyć swego naturalnego wstrętu do Murzyna, czy to niewolnika, czy też ucywilizowanego: jakąż przyszłość zgotują sobie te dwa ludy? Czyż Murzyn ucywilizowany nie pojmie tego, że jest unikanym? czyż miłość jego własna nie będzie cierpieć na tém? a co gorsza, czyżto nie wyrodzi w nim nienawiści ku białym daleko gorszéj od téj, jaką dziś posiadać może? Czyż będąc ucywilizowanym a nie przypuszczanym do towarzystwa białych i nie połączony z niemi żadnemi węzłami familijnemi, (bo trudno przypuścić, ażeby ktoś z białych odważył się na związki małżeńskie z rasą czarną) nie będzie się skupiał w swych własnych kółkach tworząc coraz to silniejsze stowarzyszenie nieprzyjazne bia-

łym, z którego pomału wyrodzi się w narodzie naród, dążący do osobistéj supremacyi. W takim stanie rzeczy, czyż można przypuścić, aby narody te mogły z korzyścią i prawdziwą miłością chrześciańską użytkować prawa samo-rządu opierające się głównie na głosowaniu? Nie!

Niezawodną jest rzeczą, że domowa wojna musiałaby prędzéj czy późniéj zerwać między niemi wszelkie węzły społeczeńskie, wystawując słabszych na łup silniejszego. I dla tego śmiało wyrzec mogę, iż zbrodnią byłoby przygotować tym ludom tak smutny los na przyszłość. Jestem za zniesieniem niewolnictwa, powolném, stopniowém w połączeniu z oświeceniem Murzynów, lecz pod warunkiem oddzielenia takowych od białych, i osiedlenia ich na oddzielnym kawałku ziemi, gdzie zamknięci w sobie, nie byliby narażani na wzgardę lub poniżenie przez białych.

Czyż ci, co się tak żarliwie domagają bezwzględnego i natychmiastowego uwolnienia Murzynów, zastanowili się nad tém choć na chwilę? zapewne że nie. Francya i Anglia uwolniła dawno Murzynów w swych koloniach, lecz ani jedna, ani druga, nigdy nie była narażoną, na ustawiczne stykanie się z rasą czarną tak często, jak to ma miejsce w Południowych Stanach, gdzie na dwóch białych wypada jeden czarny.

Zobaczmy teraz, co Północ wojująca dzisiaj, niby to w imieniu ludzkości, uczyniła dla Murzynów, zrodzonych na jéj gruncie od czasów uwolnienia onychże, to jest w ciągu ostatnich lat 80ciu.

Oto słowem nic.

W Stanach Północnych znajduje się obecnie pół miliona Murzynów, w stanie zupełnego zbydlęcenia. Oprócz prawa, iż nie jest niczyją własnością i że mu wolno jest iść gdzie mu się spodoba, nie posiada on nic innego. Niewolno mu ani nabywać własności ziemskiéj, ani głosować, ani posiadać praw obywatelstwa. Północ (zapewne powodowana miłością bliźniego) wykluczyła Murzyna ze swych szkół, teatrów, miejsc publicznych, omnibusów i o zgrozo! nawet i z kościołów. I tak w Nowym-Yorku, Bostonie, Philadelphii i t. d. napotykamy w traktyerniach, szynkach i kawiarniach osobne drzwi i przegrody dla

Murzynów, na kolejach osobne wagony, to samo w omnibusach i teatrach. Wszędzie napis oznajmia, iż tam tylko wolno czarnemu człowiekowi wchodzić, za jego własne pieniądze. Kościoły zaś i szkoły są zupełnie odrębne. Czyż starano się na Północy choć trochę uszlachetnić Murzyna, przypuszczając go do swego towarzystwa? Nie! Najlepszym tego dowodem jest, że nie zdarzyło mi się na Północy napotkać go zajmującego wyższe stanowisko, nad lokaja, stangreta, kucharza, golarza, lub utrzymującego nikczemny szynk, lub dom rozpusty, któremu to ostatniemu zatrudnieniu po największéj części są oddani w Nowym-Yorku. Że Północ pogardza Murzynami, najlepiéj dowodzi następujące zdarzenie. W roku 1855 stanęła w mieście Bostonie, w jednym z pierwszych hoteli pewna dama Murzynka, (któréj nazwiska nie pamiętam), kobieta pełna nauki i wykształcenia a nawet przystojna. Była rodem z Hayti, wychowana zaś we Francyi i Aglii. Trudniła się dawaniem odczytów publicznych, treści naukowéj i historycznéj. Dziwnym zbiegiem okoliczności, w tymże samym hotelu znajdowało się wielu członków kongresu, stronnictwa *abolitionistów* ze swymi najzapalczywszemi przywódcami, senatorem Hall i Wilson. Zadzwoniono do stołu wspólnego (Table d'hote) a ci wielcy przyjaciele ludzkości, obaczywszy przy nim Murzynkę, wstali od stołu i oświadczyli gospodarzowi, że jeżeli ta osoba przychodzić będzie do stołu wspólnego, oni opuszczą hotel. I biedna kobieta dla tego, że była czarną i że ludzie tegoż koloru posługiwali na sali, była przymuszoną jadać u siebie w samotności. Niech to służy za jeden więcéj dowód, że nie żadne cele filantropijne, ani pobudki moralne popchnęły Północ ku wojnie. Duma i pycha osobista, a co najwięcéj chęć zawładnięcia bogatych plantacyj Południa, jest tego powodem. Niech dziś te żyzne łany przemienią się w nieurodzajne stepy, niech zaprzestaną wydawać tytoń, bawełnę, ryż i cukier; to jestem pewny, że i Północ zaprzestanie wojny i nie będzie się starać ani o utrzymanie unii, ani o oswobodzenie Murzynów, a czego i dziś nie ma także zamiaru uczynić, bo akt znoszący niewolnictwo został wydanym w rok po rozpoczęciu wojny, na ten cel tylko, aby podburzyć Mu-

rzynów, wywołać ich powstanie, a przez to osłabiwszy Południe, przyspieszyć upadek jego. Na nieszczęście ten plan tak zręcznie okryty barwą ludzkości, nie odniósł pożądanego skutku, bo Murzyni po większéj części są zupełnie obojętni tak co do saméj wojny jako téż i powodów onéj.

Jestem mocno przekonanym, że gdyby nie namiętne dążności Północy, które od czasu do czasu rozbudzały niechęć Południa, która to niechęć w końcu zamieniła się na nienawiść; to niezawodnie los Murzynów od dawna byłby już rozstrzygniętym na Południu, które zawsze okazywało się przychylném do traktowania tego przedmiotu w sposób spokojny i legalny.

Chcąc dobrze poznać prawdziwość stosunków między murzynem a jego panem, nie można uczynić tego, jeżeli się czytało Panią Łucyę Stowe, lub romans „Chata wuja Tomasza" i inne tym podobne fantastyczne utwory, gdzie wyjątki są brane za podstawę do ocenienia ogółu.

Jeżeli ktoś nie przypuszcza, że Południowcy powodowani uczuciami chrześciańskiemi, obchodzą się dobrze ze swemi niewolnikami; to niechże pamięta choć na to, że każdy murzyn reprezentuje kapitał od 1000 do 1500 dollarów, który powinien przynosić procent: co nie nastąpi inaczéj jak tylko przez pracę jego.

Wreszcie jeżeli się pospolicie dba o konia, wołu i całą chudobę gospodarską, starając się utrzymać takowe w dobrym stanie, to nie zapominajmyż, iż i murzyn, jeżeli tylko pozostanie policzonym do inwentarza gospodarskiego, ażeby odpowiedział wymaganiom swego pana, potrzebuje dobrobytu, jeśli nie moralnego to materyalnego; gdy tymczasem złe obchodzenie się sprowadza choroby i śmierć, a ztąd przerwę w pracy i stratę pieniędzy wyłożonych na niewolnika. Zdrowy więc rozsądek podaje, że jeżeli nie z pobudek moralnych, to dla zysków materyalnych, właściciele niewolników są przymuszeni dobrze obchodzić się z nimi.

Przytém trzeba nie zapominać, że tak niewolnicy jak i ich właściciele podlegają prawom, a zażalenia i skargi są rozstrzyganemi przez sądy miejscowe. Nie wolno jest właścicielowi za jakiekolwiekbądź przestępstwo karać samowolnie niewolnika, który podlega karze cielesnéj,

wymierzonéj przez sąd tylko za kradzież, niepoprawne pijaństwo lub porwanie się na swego pana; inne przewinienia mogą być karane tylko aresztem: kara cielesna nie może przechodzić liczbę 25 razów, która to kara musi się odbyć w obecności sędziego i świadków.

Nie przeczę bynajmniéj, iż nadużycia plantatorów posuwane aż do okrucieństw, nie jednokrotnie mogły mieć miejsce; lecz takowe nigdy nie uchodziły bezkarnie, a wreszcie stanowią one wyjątki, które nie można brać za podstawę zdania dotyczącego ogółu. W zamian za wyjątkowe wypadki prześladowania Murzynów, mógłbym przytoczyć setki dowodów ojcowskiéj nieomal troskliwości właścicieli o niewolników, pochodzące z pobudek czysto moralnych i nawzajem szczerego przywiązania a nawet dowodów poświęcenia się Murzynów dla swych panów.

W ogóle na Południu, traktowanie Murzynów jest łaskawém a los ich dość znośnym, gdyby nie nieszczęsny idyotyzm, w którym największa część ich jest pogrążoną tak, iż dotąd nauka i oświata w ogóle z wielką trudnością u nich się przyjmuje.

Jestem zdania, że Południe dawnoby się już było mogło pozbyć niewolnictwa, gdyby nie ciągłe agitacye ludzi złéj woli, szukających zysków osobistych wszędzie, gdzie się do tego wydarza sposobność, a których w społeczeństwie złożonym z żywiołów tak sprzecznych jak w Stanach Zjednoczonych, nigdy nie braknie. Źródło tego rodzaju agitatorów znajduje się na Północy, czego najlepszym jest dowodem to, że ilekroć razy złapano okręt handlujący niewolnikami, zawsze wykazało się, iż tak okręt jak i większość załogi pochodziły z Północy, choć jak to zazwyczaj w takich razach bywa, nie można znaleźć ani dowódzcy, ani właściciela onegoż, których prawo skazuje na śmierć przez powieszenie.

Praca murzyna, jak to ma miejsce wszędzie, gdzie takowa jest przymusową, przynosi nadzwyczaj mało korzyści. Jest rzeczą dowiedzioną, że Murzyni w stanie niewolniczym po większéj części więcéj kosztują niż zarabiają, i gdyby nie żyzność ziemi, plantatorowie bardzo źleby na nich wychodzili. Jedyną bowiem pracą,

w której niewolnik staje się najużyteczniejszym, są zbiory cukru i bawełny, do których potrzeba w chwilach nagłych wielkiéj liczby rąk. Bawełna skoro dojrzewa, to jest skoro wierzchnia łuska jéj owocu pęka, musi być natychmiast zebraną; inaczéj wiatr ją rozwieje, lub deszcz zamoczy. Trzcina cukrowa, którą się zasiewa raz tylko co 3 lata, wypuszcza co raz to nowe łodygi, które skoro dojrzewają, muszą być natychmiast ścinane; gdyż w tym jedynie czasie posiadają w sobie najwięcéj syropu i z korzyścią dają się użyć. Są to roboty nadzwyczaj łatwe i lekkie, wymagają tylko dużéj liczby ludzi na raz, i natychmiastowego uskutecznienia; zresztą Murzyni połowę czasu nic nie robią. Drugą niedogodnością, dla któréj nie łatwo pozbyć się można Murzynów, jest klimat, w którym do dziś dnia mało ludzi białych jest w stanie pracować pod gołém niebem, będąc wystawionymi na skwarne działanie słońca. Lecz niedogodność ta stopniowo w miarę potrzeby, dałaby się usunąć, a ludzie biali zaklimatyzowawszy się, z większą daleko korzyścią, tak dla plantacyi, jak i dla właścicieli, mogliby podjąć się pracy i do niéj przyzwyczaić.

Wykazawszy więc powody wojny, niech mi teraz będzie wolno powiedzieć kilka słów o niéj, opierając się na tém, com wyżéj powiedział o charakterze jednéj i drugiéj, ze stron wojujących.

Ameryka dzisiaj przedstawia oczom ludzkim zadziwiające studyum.

Nie znaną jest w historyi wojna, do którejby wystawiano tak kolosalne siły zbrojne, w którejby ginęła taka massa ludzi, nie przynosząc żadnych lub bardzo małe korzyści. Ale przyznać należy, iż nigdy nie widziano także wojny prowadzonéj przez naród tak nie praktyczny w sztuce wojowania jak Amerykanie, a szczególniéj północni.

Naród ten od roku 1812 nie prowadzący żadnéj wojny, w któréjby osobiście brali udział obywatele Stanów, posługiwał się zawsze w razie potrzeby najemnym żołnierzem, który stanowił tak armię regularną, jak i pułki ochotników, wystawione przez oddzielne Stany wrazie

potrzeby, jak to n. p. miało miejsce podczas wojny mexykańskiéj i obecnéj.

Różnica pomiędzy żołnierzem wojska regularnego i ochotnikiem jest ta tylko, iż pierwszy zaciąga się bezwarunkowo na lat 5, drugi zaś na czas wojny; pierwszy jest rekrutowanym przez oficerów wojska regularnego wychodzących z akademii wojskowéj z West-point, na co są otwierane bióra w ludniejszych miastach; drugi zaś jest werbowanym przez tak nazwanych zaimprowizowanych oficerów, którzy nie znając wcale wojskowości otrzymują stopnie wyższe przez stosunki lub za pieniądze, udzielając znów stopnie kapitanów i poruczników tym, którzy najwięcéj ludzi zwerbują. Werbowanie to odbywa się głównie po szynkach i tawernach. Ztąd to można najczęściéj w ochotnikach napotkać kapitanami i porucznikami właścicieli szynków lub kawiarni, a pułkownikami adwokatów lub finansistów, pomiędzy którymi czasami zabłąka się dawny uczeń akademii wojskowéj z Westpoint, lecz to jest nader rzadkiém. Ztąd także wnosić można o wojskowém uzdatnieniu podobnego rodzaju armii, gdzie tak oficer jak i żołnierz nie znając ani taktyki ani subordynacyi, przedstawia oczom ludzkim pijaną tłuszczę, nie umiejącą używać broni, a noszącéj ją jedynie dla płacy i żywności, którą od chwili wstąpienia swego w szeregi pobiera. Armia regularna pod tym względem przedstawia się w nieco lepszém świetle. Wprawdzie i tu żołnierz nie jest niczem inném powodowany jak tylko płacą (12 lub 13 dollarów na miesiąc) i żywnością; lecz służąc dłużéj i będąc od razu przyuczony do wypełniania rozkazów starszych, jest więcéj szanującym prawo, a ztąd więcéj przyzwyczajony do subordynacyi i porządku.

Wprawdzie musimy przyznać oficerom armii regularnéj wysokie uzdolnienia tak umysłowe, jak i wojenne, gdyż wychodząc w ogóle z akademii, są niemal wszyscy usposobieni do każdéj gałęzi sztuki wojennéj, tak do broni specyalnych, jak do piechoty i kawaleryi (1);

(1) Do roku 1855 nie wolno było awansować na oficerów ludzi z szeregów, wakanse były zapełniane kadetami kończącemi akademią w West-point; dopiéro d. 4 marca 1855 r. z przyczyny trudności dostania

mogę nawet powiedzieć, że w ogóle są daleko wyżéj wykształceni, niż oficerowie armij europejskich, szczególniéj inżynierowie ich odznaczają się niepospolitemi umysłami, a oficerowie piechoty i kawaleryi, jako wychodzący z akademii, samo przez się rozumié się, iż posiadają więcéj wiadomości naukowych, niż szeregowiec, który następnie za swą waleczność zostaje oficerem.

Jednakowoż pomimo całego wykształcenia umysłowego, brak oficerom amerykańskim tego, co rzeczywiście stanowi główną podstawę edukacyi i zdatności żołnierskiéj, tojest biegłości w wykonywaniu manewrów massami i bystrości umysłu niezbędnéj do rozporządzania znacznemi siłami skoncentrowanemi na jedném miejscu i pod jednym wodzem; a które to rzeczy nabywają się jedynie przez wprawę i ciągłą a nieustanną praktykę. Wady te nie są winą ich samych, lecz musiały wyniknąć w skutek błędnéj organizacyi armii, jakotéż jéj szczupłości i sposobu użycia.

Kilkanaście tysięcy ludzi składających armią regularną, były zawsze rozłożone po obszernych granicach Stanów Zjednoczonych. Oprócz kilkunastu kompanij utrzymujących fortecę na wschodnich wybrzeżach, reszta była rozrzucona w Texas, Florydzie, Nowym Mexyku, Kalifornii, Utah, Oregonie i terrytoryum Washington. Zadaniem ich było ochraniać Indyan od ucisku białych osadników i nawzajem tych ostatnich znajdujących się w pewnych miejscowościach w małéj liczbie, a ztąd nie mogących się własnemi siłami bronić od napaści Indyan

ochotników do zapełniania ubytków w armii regularnéj, sejm był zmuszonym postanowić prawo w celu polepszenia bytu żołnierza, a tém samém i zachęcania do wstępowania w szeregi. Skutkiem czego podwyższono płacę żołnierską z 7miu na 11cie w piechocie, a z 8miu na 12cie dolarów w kawaleryi i artyleryi konnéj. Oraz postanowiono, że $\frac{1}{4}$ część wakansów pomiędzy oficerami zapełniana będzie podoficerami odpowiednio uzdolnionymi. Jednakowoż prawo to w rozwinięciu swojém zostało tak obostrzoném przez ministeryum wojny, że stało się nieomal niewykonalném. Wszystko to dla zadosyćuczynienia dumie oficerów wychodzących z akademii, którzy oświadczyli, iż nigdy nie zniosą towarzystwa ludzi, którzy zaciągając się na ochotników, zaprzedawali swą wolność i podlegali ich bezpośrednim rozkazom. Niech ten przypisek służy za jeden więcéj dowód fałszywości i obłudy amerykańskiego purytanizmu.

dość często powtarzanych. Życie i służba żołnierza w tych miejscach były nadzwyczaj przykremi i uciążliwemi. W ciągłych marszach i utarczkach z Indyanami, goniąc bezustannie za nimi po rozległych pustyniach zajmujących sam środek Stanów Zjednoczonych i północnéj części Texas, lub też gubiąc się w nieprzebytych pasmach gór skalistych, zajmujących Nowy Mexyk i Kalifornią, wojsko było narażoném na zwalczanie wszelkich przeciwności, jakie dzikość tych bezludnych okolic, znanych i przystępnych jedynie samym Indyanom, przedstawić może. Żołnierz amerykański przymuszony bardzo często zostawać o głodzie i będąc wystawionym na ostrość klimatu już to zimnego, już gorącego, staczał nie raz krwawe bitwy z Indyanami. Wytrwałość i odwaga osobista największą odgrywały rolę, gdyż bitwy te najczęściéj zakończały się ręcznym bojem, w których uzbrojenie i odwaga żołnierzy brały przewagę nad liczbą i chytrością Indyan, dobrze znających miejscowość i formujących liczne zasadzki, lecz w ogóle źle uzbrojonych. Najgłówniejszą bronią tych ostatnich są strzały, łuki, noże i dzidy, oraz nie wielka ilość broni palnéj, do użycia któréj zwykłę braknie im amunicyi. Na takie wyprawy wysyłano zwyczajnie kilkadziesiąt a najwięcéj półtorasta ludzi, gdyż liczne osady wojskowe pospolicie tam nazywane fortami, nie miały nigdy więcéj nad 3 lub 4 kompanie, a często i jednę tylko. Jazda spełnia tu nie raz służbę piechoty i nawzajem piechota kawaleryi; artylerya zaś szczyci się tylko swą nazwą, gdyż pospolicie pełni służbę piechoty, a żołnierz w niéj służący lat 5, najczęściéj nie widzi nawet na oczy swoje armaty. Ztąd widzimy, iż tak żołnierz, jak i oficer nie mieli nigdy sposobności znajdowania się w massie; a musztry odbywane w czasach wolnych od wyprawy i eskorty, ograniczały się na ćwiczeniach kompanii. Ewolucye pułkowe i linii, służba artyleryi i obozowa jest całkiem żołnierzowi nieznaną, oficerowie znają je tylko teorycznie, gdyż do praktyki nikt nie miał sposobności.

Oficerowie wyżsi pełnili tu najczęściéj tę samą służbę co porucznicy i kapitanowie, dowodząc małemi oddziałami, a komendy pułkowe były tylko formą nieużytecz-

ną acz nader kosztowną. Pułkownik nie znał nigdy swych żołnierzy a bardzo często i oficerów, jeżeli ci byli w innéj stronie kraju; a cała administracya spoczywała w ręku komendanta kompanii, który za nią odpowiadał, a nim był najczęściéj porucznik lub podporucznik; kapitanowie bowiem, jak również oficerowie wyżsi przebywali na urlopach.

Ztąd wynika naturalny wniosek, że wojna obecna i rodzaj służby polowéj przez nią wymaganéj, jest zupełną dla Amerykanów nowością. Jeżeli do tego dodamy jeszcze brak kompletny ludzi praktycznych na posadę generałów i oficerów sztabowych i brak sposobności do kształcenia tych ostatnich; łatwo nam będzie wytłumaczyć ogromne straty, jakie obiedwie strony bezustanku ponoszą.

Północ była zaskoczoną niespodzianie krokami wojennemi Południa, rozpoczętemi pod koniec prezydentury Buchanana, który będąc na schyłku swego urzędowania nie brał się energicznie do wojny, nie chcąc na siebie ściągać odpowiedzialności, przez co dozwolił Południowi uorganizować się do wojny wpierw, niż Północ o niéj nawet pomyślała.

Dodajmy do tego, iż Południe oddawna było przygotowane do kroków nieprzyjacielskich, a dwaj ostatni ministrowie wojny Jefferson Davis i Floyd, będąc Południowcami, nie omieszkali pochwycić każdéj okoliczności, którąby mogła im w przyszłości posłużyć do wzmocnienia sił Południa i osłabienia Północy. A tak cała broń, jaką tylko można było poruszyć z miejsca bez zwrócenia uwagi publicznéj, została przeniesioną z arsenałów północnych do fortec Południa, a część armii regularnéj zostająca pod dowództwem oficerów rodem z Południa, została zgromadzoną w Texas, Florydzie i Nowym Meksyku, zkąd z łatwością została przeniesioną do Karoliny i Wirginii.

Aczkolwiek powyżéj wykazałem nieudolność armii regularnéj, jednakowoż przyznać należy, iż jakąkolwiek ona była, zawsze lepszą być musiała od żołnierza świeżego, dowodzonego przez również nieumiejętnych oficerów, z jakich się pułki ochotników północnych składają;

gdyż z rozpoczęciem wojny, nietylko że wszyscy oficerowie armii regularnéj, rodem z Południa przeszli na stronę Stanów odłączających się wraz ze swemi komendami, lecz znaczna liczba oficerów północnych, powodowana zapewne widokami wyższych stopni ofiarowanych im na Południu, to samo uczyniła, zostawiając rząd federalny z pustemi arsenałami na łasce ochotników i małéj garstki wojska regularnego, znajdującego się w oddalonych prowincyach Utah i Oregonu (1).

Tém to właśnie tłumacza [illegible] powodzenia Stanów skonfederowanych w początkach wojny, a które do-

(1) Podług wykazów urzędowych ministeryum wojny, armia regularna Stanów Zjednoczonych liczyła z końcem roku 1858 5,300 ludzi. Składało ją 10 pułków piechoty, 4 artyleryi i 5 kawaleryi, oddział inżynierów i mechaników arsenałowych. Pułk piechoty i kawaleryi składał się z 10, a artyleryi z 12 kompanij, oznaczonych porządkowemi literami (a, b i t. d.); kompania miała około 70 ludzi. Oficerów w téj armii było w ogóle 1,080, z których rodem z Południa 482, z Północy 570, 10 Irlandczyków, 5 Anglików, 3 Francuzów, 4 Niemców, rodem zaś z wyspy Kuby, Szkocyi, Włoch, Polski i Turcyi po jednym. Skład tak znacznéj liczby oficerów do proporcyonalnie małéj ilości żołnierzy był następujący: 1 generał dywizyi a zarazem i główno komenderujący (generał Scott starzec 80letni), 3 generałów brygady (również w podeszłym wieku), 1 szef sztabu generalnego w randze pułkownika, 13 oficerów sztabu generalnego, tojest 1 podpułkownik, 4 majorów i 8 kapitanów, 1 audytor generalny w stopniu majora, 2 inspektorów generalnych w stopniu pułkowników. Kwatermistrzów różnych stopni nie niższych od kapitana (zajmujących się odzieżą, transportami, furażem i kwaterami) 42. Komissarzy zajmujących się żywnością ludzi różnych stopni (nie niższych od kapitana) 13, płatników w stopniu majorów 28, inżynierów różnych stopni 84, oficerów dozorujących robót arsenałowych i utrzymujących arsenały różnych stopni 49, doktorów różnych stopni 107, oficerów kawaleryi różnych stopni 184, piechoty 342, artyleryi 210. Podług powyższego wykazu wypada przeciętnie na 15 żołnierzy 1 oficer.

Ta armia kosztowała rocznie bajeczną summę 24,000,000 dolarów, czyli 200,000,000 złotych polskich, których największa część spożytą bywała przez koszta transportów tak ludzi, jakoteż żywności i różnych zapasów wojennych do odległych terrytoryj, jak np. do Nowego Mexyku, Utah, lub Oregonu, gdzie koszta transportu wypadały od 12 do 18 centów na funt (od 1 do 1½ złp.). Raport urzędowy ministeryum wojny z tegoż roku wykazuje, iż milicya Stanów Zjednoczonych (złożona z obywateli), któréj mobilizować nie można, ani powoływać do broni, jak tylko w razie napadu nieprzyjaciela na ich własny Stan, dochodziła bajecznéj cyfry 2,704,454 ludzi.

piéro ostatniemi czasami, zapewne skutkiem wycieńczenia się Południa i w miarę doświadczenia nabieranego przez północnych oficerów, zaczęły się przechylać na stronę rządu federalnego. Lecz największą przyczyną niepowodzeń Północy, jest brak ducha wojennego i subordynacyi, która nie zgadza się wcale z wyobrażeniami purytanizmu głęboko tam zakorzenionemi. Dla tychto przyczyn, wyprawa generała Mac Clelan na miasto Richmond spełzła na niczém, a armia 100tysięczna zmarnowaną i do odwrotu zmuszoną została.

Skoro główno dowodzący ma pewne plany, których uskutecznienie opiera się głównie na utrzymaniu tajemnicy, rzeczą jest bardzo naturalną, iż takowych nie powierza nikomu lub tylko małej liczbie osób poufnych swego sztabu. To się nie mogło wcale pomieścić w głowach oficerów składających armią Potomaku i dla tego, iż nikt nie wiedział co Mac Clelan zamyśla robić i po co zimuje nad rzeką Potomac, zaczęto szemrać przeciwko niemu, a przez intrygi i wieści rozpuszczane w gazetach obwiniono go jawnie o gnuśność i nieczynność. Biedny generał pod takim naciskiem opinii publicznéj musiał wyjawić swoje zamiary, których celem było: udając zamiar atakowania Richmondu od północy, potajemnie wysłać wojska wodą do ujścia rzeki James i opanowawszy Yorktown, otworzyć sobie drogę z południa. I rzeczywiście plan ten, jeżeliby przyszedł był do skutku, możeby oddawna rozstrzygnął los Południa, bo Yorktown będąc niemal kluczem Richmondu, napadnięty niespodzianie oddawał to miasto bezpośrednio w ręce północnego generała wraz z całym rządem Południowców; chodziło tylko o utrzymanie w tajemnicy zamiaru wysłania wojska wodą, które oczekiwało na przybycie okrętów. Skoro tylko plan ten został wiadomy w obozie Mac Clelana, nie omieszkał dojść także i do wiadomości Południowców, którzy rozpoczęli natychmiast stósowne przygotowania, skutkiem których generał Mac Clelan z rozpoczęciem kampanii drogo musiał okupować zdobycie każdéj piędzi ziemi, a znalazłszy drogi popsute i dziesiątkowany przez choroby, które panują w Wirginii podczas upałów, był przymuszony cofnąć się bez najmniejszego

rezultatu. Cała ta kampania była jedném pasmem bezustannych niepowodzeń, do czego głównie przyczynił się brak ducha wojennego w najemnym żołnierzu i niedbałe zaopatrywanie onegoż w żywność, środki transportu, jakotéż i inne niezbędne rekwizyta. Tu się dopiéro dał czuć brak zupełny oficerów sztabu i generałów, jakotéż i nieudolność tych, którzy brali udział w téj kampanii. Pominąwszy już nieoględność tych panów co do dróg, które były w jak najgorszym stanie, nie można nigdy zamilczéć o rozporządzeniu kolumn i wyktnięcia takowym kierunku marszów i miejsc obozowych.

Dywizya jedna wysłana na dzień drogi przed drugą, przy lada przeszkodzie tamowała pochód obydwóch. W jednem miejscu brak pociągów opóźniał marsze kolumn i nie dozwalał im zająć naznaczonego stanowiska, sprawiając podwójną szkodę, bo nietylko zawód strategiczny, ale opóźnionym marszem tamował drogę kolumnom za niemi postępującym. W drugim zaś za wielka ilość bagaży spowodowana wymaganiami oficerów, utrudniała ruchy mass przez zbytnią ilość pociągów i przeładowanie onychże. Oprócz tego, na każdym kroku dawało się widzieć obok nieumiejętności szalbierstwo, a massa różnorodnych dostawców wraz z oficerami stojącemi na czele rozlicznych wydziałów w sztabie głównym, ciągnęła liczne nieprawe zyski.

Podczas mojéj bytności w roku zeszłym w Hamburgu byłem świadkiem ładowania na okręty broni zakupionéj dla Stanów Północnych, za którą płacono 10 dolarów za sztukę, a która w $^3/_4$ najniezawodniéj nie była zdolną do użycia: były to wyrzutki z arsenałów i fabryk całéj Europy, a szczególniéj z Niemiec.

Trudną jest nader rzeczą w obecnéj chwili przepowiedzieć koniec téj nieszczęśliwéj wojny, oraz na którą stronę szala szczęścia przechylić się może. Prawda, że Północ posiada ogromną massę zasobów siły żywotnéj, bo posiada większość ludności od Południa i cała potęga kapitałów jest tamże zgromadzoną; lecz nie zapominajmyż, że Południe posiada większość siły moralnéj, tojest odwagi żołnierza, z których każdy jest obywatelem zrodzonym tamże i tego przekonania, że sprawa, o którą

się bije, jest dobrą, bo broni swéj osobistéj swobody praw i własności. Prawda, że Północ postanowiła poruszyć massy, powołując do broni obywateli zdolnych do noszenia takowéj, za pomocą rekrutowania przez losowanie; ale i Południe zamierza także utworzyć pułki z niewolników, nagradzając ich męztwo wolnością i darowizną ziemi zdobytéj na Północy. Wreszcie nie taję, iż obie te strony roznamiętnione do najwyższego stopnia i powodowane wściekłą nienawiścią, coraz bardziéj podsycaną, są w stanie posunąć się aż do szalonych pomysłów zniszczenia, w których Monitory, Merrimaki i Armstrongi zostaną przyćmionemi: lecz te narody nie mając nigdy sposobności zbadania własnych sił, ani też nie będąc nigdy przymuszonemi doświadczać takowych, nie mogły ich przedstawić światu, i dla tego tak dobrze Amerykanie, jak i inne narody nie są w stanie przewidzieć, kto będzie zwycięzcą, lub kto obecnie jest silniejszym. Nie taję, iż Południe poniosło znakomite klęski, szczególniéj ostatniemi czasami, że jest pozbawione kapitałów i że trudno przypuścić, aby 12milionowy naród podołał 21milionowemu; lecz jestem mocno przekonanym, że i Północ w niemniéj krytycznem położeniu się znajduje. Nie braknie jéj ludzi, lecz brak ochoty i odwagi u tychże, a ogrom zniechęcenia tamże można ocenić łatwo, jeżeli zauważymy, że nawet złoto, ten bożek Północy nie zdołał znaleźć ochotników do wojska, a do osiągnięcia żołnierza z pomiędzy obywateli, musiano użyć siły, bo losowanie i rekrutowanie w Nowym Yorku zostało uskutecznionem przy pomocy 20,000 siły zbrojnéj i pod komendą jednego z generałów armii regularnéj. Dodajmy do tego, iż Północ ma obecnie z górą 200,000,000 doll. długu publicznego, a znacznie powiększone podatki nie pokrywają budżetu, noty zaś skarbowe czyli obligi. przynoszące 4% stały ostatniemi czasami na 59½ za 100, czyli, że za 100 dolarów złotem, trzeba zapłacić 168 dolarów w obligacyach.

Wreszcie jakikolwiekbądź obrót ta sprawa weźmie i ktokolwiekbądź zwycięży, to jedno jest rzeczą niezawodną, że jedność jest tam na zawsze zerwaną, a to co stanowiło główną cechę i podstawę téj rzeczypospolitéj, to jest samorząd, na zawsze zdeptanym.

Wyznaję szczerze, że mi żal tego kraju, który pod pewnym względem długi przeciąg czasu ubóstwiałem, nie za jego przedsiębierczość, energią lub zabiegłość w materyalnych przedsiębierstwach; lecz za te poszanowanie prawa, niewymuszoność, naturalność w obejściu się i patryarchalność, które stanowiły u nich główną cechę charakteru i zarazem rękojmią samorządu. O jakżeż przodkowie nasi, przelewający lat temu 90, krew swoją w Ameryce, zdumionymiby zostali, gdyby dziś wstawszy z grobu ujrzeli rzeczywisty stan kraju tego, a szczególniéj Nowéj Anglii, owego siedliska kwakrów!!!? Niezawodnie z żalem zawołaliby: O Ameryko! gdzież jest twoja surowość obyczajów, ta godność, uczciwość i prostota znamionująca każdego obywatela, choćby najwyższego dostojnika rządu; wreszcie ta patryarchalność łącząca nieomal jakby jednym węzłem familijnym właściciela ziemi z wyrobnikiem, majstra z czeladnikiem, kupca z rolnikiem, mieszczanina z urzędnikiem, wreszcie umiejętnego z nieoświeconym, bogatego z ubogim.

Wszystko to znikło! a znikło bezpowrotnie! a te cnoty narodowe, o których nawet J. U. Niemcewicz w pamiętnikach swoich z takiém uczuciem wspomina, a których cząstkę ja jeszcze na zachodzie w stanach Illinois, Jowa, Missouri i terytorryum Nebraska napotkałem, na wschodzie pomału znikały, a ostatniemi czasami, szczególniéj w dużych miastach zamieniły się w siedlisko demoralizacyi, dumy i rozwiązłości.

Naród ten skoncentrowawszy w złocie i w dążności nabycia onegoż wszystkie uczucia szlachetne człowieczeństwa, zgotował sobie własną ręką obecny los. Tak długo jak środki zbogacenia się godziwym sposobem były obfitemi z przyczyny małéj ludności i braku współzawodnictwa do pracy, tak długo i naród ten pozostawał uczciwym; lecz w miarę powiększania się nagłego przybyszów emigracyjnych, którzy uporczywie lgnęli do miejsc najludniejszych, obniżając tém samém wartość pracy i rozdrabniając zyski, utrudniali sposoby przyjścia do bogactwa. Gdy żądza takowego zamiast zmniejszać się, powiększała, chwycono się naówczas wszelkich środków spekulacyjnych

choćby nawet mniéj godziwych, byleby tylko zadosyć uczynić dumie osobistéj i zaspokoić pragnienie złota.

Tak długo jak Amerykanie będąc z natury zamiłowani w pracy, uważali ją za główny środek utrzymania życia i polepszenia bytu, tak długo jak rolnictwo i rzemieślnictwo były głównemi podstawami onegoż; dopóki pracy choćby najcięższéj nie wstydził się tak bogaty jak i ubogi, dopóki właściciel obszarów rolnych nie zaniechał przewodniczenia osobiście robotnikom najętym w pracy, orząc, siejąc i żąc pospołu z nimi; dopóki fabrykant nie usuwał się od roboty ciężkiéj, lecz przeciwnie pierwszy stawał do niéj, a tém samém przykładem swoim zachęcał czeladź; dopóki ludzie ci, zwykle zamieszkiwali wspólne domy, a w godzinach wolnych od pracy gromadzili się około swych panów, majstrów i t. d., którzy będąc oświeceńszymi mieli za swój święty obowiązek przelać to co umieli sami w drugich swoich współbraci: tak długo purytanizm nie był udanym ale rzeczywistym, a godność ludzka, cnota i uczciwość, a tém samém miłość bliźniego, były uważanemi za podstawę wszelkich tranzakcyj społeczeństwa.

Jakżeż zdumiony byłem przyjechawszy w roku 1854 z Nowego Mexyku do miasta Lexington (w Stanie Missouri) mającego naówczas zaledwie 6,000 mieszkańców, widząc prawdziwie patryalchalne życie, pry wielkiéj pobożności, moralności. uczciwości, umiarkowaniu i powszechnéj zamożności.

Ponieważ droga, którą przejeżdżałem, ciągnęła się przez bezludne stepy i łąki na przestrzeni 1200 mil angielskich, odbyłem ją przeto razem z karawaną kilkudziesięciu wozów ciągniętych wołami, które wracały z Nowego Mexyku po zawiezieniu dla wojska tam konsystującego żywności, odzieży, amunicyi i t. d. Podróż ta odbywała się nadzwyczaj wolno i dla tego przymuszony byłem pozostawać w niéj przeszło miesiąc w towarzystwie ludzi, którzy poganiali i dozorowali bydło. Jednakowoż pomimo ich prostego zajęcia, znalazłem między niemi mnóstwo książek, a w chwilach odpoczynku: jedni czytali, drudzy słuchali. Z pomiędzy 70 ludzi którzy składali tę karawanę, nie znalazłem ani jednego nie umiejącego czy-

tać i pisać, a co największa przez cały czas mego z nimi pobytu, nie słyszałem ani razu przekleństwa, kłótni lub nieprzyzwoitego wyrazu. Na wieczór i rankiem jeden z nich odmawiał modlitwę na głos, którą drudzy powtarzali w cichości, z głowami odkrytemi, na klęczkach. Wszyscy ci ludzie byli wieśniacy rodem z okolic Lexingtonu lub z osad po drugiéj stronie rzeki Missouri. Każdy z nich brał 25 dollarów (220 złp.) na miesiąc i życie.

Wozy te i bydło było własnością bogatego obywatela miasta Lexingtonu nazwiskiem Russel; posiadał on obszerne grunta, kilka domów, 2 sklepy i założył ostatniemi czasami na małą skalę bank w swoim mieście. Majątek jego rachowano blisko na 2 i ½ miliona dollarów. Tyle się w drodze o nim nasłuchałem, iż sobie utworzyłem o nim wyobrażenie jakiegoś Nababa opływającego w złoto.

Gdyśmy byli niedaleko od miasta, wyjechał naprzeciwko nas; nie mało byłem zdziwiony jego naturalném i prostém obejściem się. Był to człowiek małego wzrostu, około lat 40 wieku. Zsiadłszy z konia podawał rękę po kolei każdemu ze swoich ludzi, którzy się tłumnie koło niego cisnęli; wypytywał o zdrowie, podróż, nowiny z Nowego Mexyku i t. d. W pośród wspólnéj rozmowy wjechaliśmy na folwark, na którym znalazłem obszerne gospodarstwo i około 20 ludzi zatrudnionych. Wprowadzono mię do pokoju nader schludnego, z wygodą, lecz bez zbytku umeblowanego, w ten sam sposób były i inne w domach mieszkalnych przybrane. Pokoje samego właściciela w niczem się nie różniły umeblowaniem swojém od izb służby i oficyalistów. Nadeszła godzina wieczerzy, na którą zadzwoniono, wszedłem do obszernéj sali, w któréj zastawiono wielki stół mogący pomieścić z górą 100 osób. W przedpokoju stały miski i cebry z wodą do umycia rąk, oraz ręczniki, tamże zostawiały się czapki i kapelusze, oraz zwierzchnie okrycie. W izbie znalazłem żonę gospodarza, kobietę bardzo młodą i piękną, około 25 lat mieć mogącą, oraz dwoje czy troje dzieci; po przywitaniu się z kolei z każdym z przybyszów, uciszono się, a gospodarz odmówił modlitwę, którą drudzy w cichości szeptali ze schylonemi głowami.

O! nie uwierzy czytelnik, jak chwila ta była uroczystą; serce moje doznawało niepojętego uczucia szczęścia; rozczulałem się patrząc na blizko setkę młodych ludzi, z których żaden nie był starszym nad 25 lat wieku, na których twarzach malowała się uczciwość i ta swoboda, jaką tylko czyste sumienie dać może.

Twarze ich kornie schylone, nie przedstawiały żadnéj obłudy, żadnego wyrazu udanego; każdy umysł był jedynie zajęty modlitwą, i wierzę, że ta pobożność była szczerą, płynącą z serca, w któréj każdy dziękował Najwyższemu za udzielone siły i zdrowie do spełnienia pracy dnia ubiegłego i następnego. Po ukończonéj modlitwie siedliśmy do stołu, jadło było proste, ale obfite. Składało się ono z herbaty (którą gospodyni domu nalewała) szynki, pieczonéj wołowiny, kartofli, masła, sera i chleba białego, oraz placków z mąki kukurydzanéj. Podczas kolacyi gospodarz zachęcając drugich do jadła własnym apetytem, rozmawiał o drodze, gospodarstwie, polowaniu, i t. p. przedmiotach. Żartowano z niektórych przygód, rozpowiadano facecye, w których gospodarz celował. Słowem nie mogłem uwierzyć, ażebym się znajdował w towarzystwie milionera i ludzi, z których każdy opuszczając izbę oddawał się pracy ciężkiéj, jaką u nas zwykle parobcy wykonywają. Rozmowa była tak zajmującą i przyjemną, iż zdawało mi się, że jestem w jedném z najdobrańszych towarzystw nowo-yorskich. Wprawdzie nie mówiono tam o literaturze, romansach, lub sztukach pięknych, ale mówiono o wielu rzeczach nauczających w gospodarstwie wiejskiém, o interesach gminy, o szkółkach, szpitalu, kościołach, podatkach, w końcu o przyszłych wyborach i tym podobnych przedmiotach wewnętrznéj domowéj wartości. Każdy jadł co chciał, ile chciał, wódka i piwo stały na stole, pito w ogóle dużo, ale nie widziałem, aby ktokolwiek przebrał miarę. Gdy gospodarz zauważył, iż nikt już nie je, wstał a za nim całe grono; po odmówieniu modlitwy, poszliśmy do pokoi zajmowanych przez służbę miejscową, gdzieśmy zapalili fajki, (cygara jako uważane za zbytek, nie są tam używanemi). Ludzie przybyli z drogi nocowali na wozach, ja zaś dostałem pomieszczenie osobne jako gość.

Podczas mego kilkunastodniowego pobytu (gdyż byłem zmuszony oczekiwać na statek parowy, który dwa razy na miesiąc przybywał tutaj z miasta St. Louis) porobiłem dużo znajomości i mogłem się przypatrzyć dobrze mieszkańcom i ich sposobowi życia, który ani na jotę nie różnił się jeden od drugich; wszędzie napotykałem tę samą patryarchalność i prostotę: panowie i ich najemnicy mieszkali i jadali razem, przed jadłem i po, odmawiano modlitwę, czas wolny spędzano razem na rozmowie lub czytaniu; szynków lub miejsc publicznych było nie wiele, za to szkółek bez liku, szpital bardzo obszerny mogący pomieścić 200 osób i 11 kościołów, z których 10 protestanckich a jeden sekty metodystów. Merem był człowiek ubogi, mający mały domek w mieście i folwarczek za miastem, w którym mieszkał. Był to człowiek bardzo rozsądny, dobry i łagodnego charakteru: nazywano go pospolicie ojcem Jerzym (George). W więzieniu było tylko 7 przestępców obwinionych o oszustwo i parę złodziei za kradzież koni. Cała policya składała się z 10 czy 12 ludzi.

Straży ogniowych było 6, w których kilku obywateli po kolei dzień i noc odbywało służbę; nikt od niéj nie był wyłączonym, młody czy stary, ubogi lub bogaty. Ale co mię najwięcéj zdziwiło, to to, iż w całém mieście nie było ani jednéj kobiety publicznéj. Skorom się o to spytał jednego z obywateli, odpowiedział mi, iż tegoby nigdy nie ścierpieli, a parę kobiet nierządnych, wraz z mężczyznami u nich znalezionemi, wygnano niedawno z miasta, osmarowawszy ich smołą i obsypawszy pierzami (1).

Wszędzie napotykałem umiarkowanie, naturalność i zamożność, ale nigdzie zbytku. Nieraz widziałem ludzi zamożnych pomagających w robotach ciężkich swoim najemnikom, którzy w ogóle byli tam traktowani nie jak słudzy, ale jak współobywatele.

Namawiano mię bardzo, abym został pomiędzy niemi, mówiąc „abym nie jechał do tego zgangrenowanego Wschodu, do tych zdemoralizowanych dużych miast" (jak

(1) Kara tego rodzaju pospolicie na Zachodzie wymierzana bez sądu, jest oznaką najwyższéj pogardy; nazywa się: *tarring and feathering*.

nazywali Nowy-York, Boston i t. d.) i mieli racyą tak je nazywać. Żałowałem potém mocno nieraz, żem nie słuchał rady tamtejszych mieszkańców. Odjeżdżałem przyznam się z żalem w sercu, a gdym wspomniał sobie rodzinną siedzibę, ze łzami w oczach i gorącą modlitwą prosiłem Boga, aby i na méj rodzinnéj ziemi dozwolił kiedyś powrócić i zakwitnąć temu spokojowi, téj patryarchalności, temu cichemu, cnotliwemu domowemu pożyciu, jakiemi i w tém małém miasteczku na innéj części świata, przez kilkanaście dni mego pobytu byłem otoczony.

Wierzę mocno, że i na Wschodzie amerykańskim te same cnoty były niegdyś w całym swoim rozwoju, lecz w miarę powiększania się ludności, nikły; a nawet w téj chwili, gdy to piszę, z żalem zapytuję się siebie, czy i w tém małém miasteczku do dziś dnia jeszcze znajdują się? czy z powiększeniem swojéj ludności zdołało ono utrzymać tę swoję błogość, tę czystość sumienia i tę wzorową uczciwość. Niestety! zapewnie że nie! Co za nieszczęście dla ludzkości, iż wszystkie duże miasta mają tę własność, iż w miarę wzrastania w nich ludności, przemysłu, nauk i w ogóle cywilizacyi, rosną także zepsucie, prostytucya i demoralizacya, wlekąc za sobą nędzę, zgrozę, upadek i ubóstwo, obok nauki, bogactwa i przepychu. Mieszkańcy zachodnich Stanów Północnéj Ameryki, szczególniéj oddalonych prowincyj słusznie nazywają Wschodnio Północne Stany, siedliskiem zepsucia i demoralizacyi.

Czyż go nie dość oczom moim przedstawiały znaczniejsze miasta Wschodu? w których przedajność dosięgła nietylko urzędników publicznych, ale nawet, o zgrozo, reprezentantów narodu, a co dowieść mogę faktami.

W mieście Nowym-Yorku w roku 1857, kontroler wraz z poborcą podatków miejskich, obaj urzędnicy wybrani przez gminy, znikli zostawiając w kasie deficyt kilkudziesięciu tysięcy dollarów, a który nie prędko został wykrytym, gdyż w książkach wszystko zdawało się być w porządku i dopiero przy sprawdzeniu okazało się, iż w wielu miejscach ogonki od szóstek i dziewiątek były po odskrobywanemi, zamieniając takowe na zera. W dalszym ciągu tejże samej sprawy okazały się liczne nadużycia ze strony inżynierów miasta, którzy wydawali świadectwa

dostawcom na dokonane roboty publiczne miejskie przy przebijaniu, równaniu i brukowaniu ulic, oraz kanałach i wodociągach, które nie były jeszcze rozpoczętemi i których widocznie nie miano zamiaru rozpoczynać, pomimo że anszlagi na nie były zatwierdzonemi przez radę miejską i pieniądze z kassy wypłacone. W robotach zaś rzeczywiście uskutecznionych, materyały i wykonanie były gorszemi aniżeli zastrzeżonem to było w anszlagach. A co najbardziéj jest w tém zadziwiającego, to to, iż żadna z osób obwinionych nie została pociągniętą do odpowiedzialności, a interes cały po narobieniu wielkiego hałasu i wzburzeniu opinii publicznéj, znikł w labiryncie procedury sądowéj i ucichł, pomimo że członkowie rady miejskiéj tworzący komitet nadzorczy robót publicznych, byli mocno w téj sprawie skompromitowanymi.

W tymże samym czasie w kongresie Stanów w Waszyngtonie przeszedł akt zmniejszający cło od wełny wprowadzanéj (z 30 na 10 czy 8%). W rok późniéj dom handlowy Talcott i spółka w Bostonie zbankrutował. Syndycy massy przystąpili do porządkowania papierów i sprawdzania ksiąg, w których znaleziono pod rozchodem zapisaną summę 87,000 dollarów, jako wydatek *„na zmniejszenie cła wchodowego od wełny."* Wiadomość ta lotem błyskawicy rozbiegła się po wszystkich znaczniejszych miastach i doszła do Waszyngtonu. Sejm natychmiastowie zarządził śledztwo, wyznaczając na ten cel z grona swego osobny komitet. Pan Talcott oznajmił, iż nie może dać żadnych objaśnień dotyczących téj sprawy, gdyż niczem się nie zajmował, a 87,000 dollarów zapłacił podług oznajmienia pana Wallcott, jako część przypadającą na niego z grona kupców i fabrykantów materyałów wełnianych. Taka odpowiedź narobiła jeszcze więcéj hałasu. Stawiono pana Wallcott bankiera z Nowego Yorku przed kongres, zabrawszy mu poprzednio korrespondencye i książki handlowe, z których wykazało się, iż znaczne summy zostały zapłaconemi panu Mathias deputowanemu ze Stanu Nowy York i drugiéj jeszcze osobie należącéj do komitetu przemysłu i handlu (któréj nazwiska sobie nie przypominam). Nie było tam powiedzianém za co lub na jaki cel pieniądze te były im doręczonemi,

po prostu summy te zamieszczonemi były jako prosty rozchód, zbilansowany następnie wpływami od różnych domów handlowych, bez wyrażenia za co lub do jakiéj pozycyi w księgach summy te odnoszą się.

Pan Wallcott z początku odmówił wszelkiego tłumaczenia, dopiero osadzony w więzieniu w Waszyngtonie, po naradzaniu się 15 dniowem z najbieglejszemi prawnikami, oznajmił swoją gotowość do wyjaśnienia sejmowi całéj téj sprawy, skutkiem czego naplątał massę osób i tak zawikłał cały interes, iż w końcu cały śledczy komitet musiał oddać tę sprawę na drogę sądową, na któréj wszyscy obwinieni uwolnionymi zostali, dla braku dowodów prawnych. Jednakowoż opinia moralna co do przekupstwa członków kongresu, utwierdziła się tembardziéj. Podczas całéj téj sprawy, pan Mathias udając chorego, nie był obecnym w Izbie, po ukończeniu zaś téj tak gorszącéj sprawy, skoro się w Izbie okazał, zawotowano wykluczenie go z ciała reprezentantów, co gdy nastąpiło, jakby na przekorę ogółowi, dystrykt do którego należał, powtórnie go wybrał, dowodząc tém samém światu, że zepsucie i nikczemność nietylko wybranego ale i wyborców dosięgła.

Daléj w roku 1856 mer Nowego-Yorku Fernando Wood, chcąc ukrócić cugle rozpuście dochodzącéj do wysokiego stopnia, kazał policyi aresztować na ulicy, jakoteż z domów wszystkie kobiety znane z nieporządnego życia; liczba takowych w jednym dniu dochodziła 340. Co nie prędzéj zostało uskutecznioném, gdy naraz znalazła się massa reklamacyj w osobach najpierwszych adwokatów i zamożnych osób, którzy reprodukując 340 mandatów „*habeas corpus*" dla uwięzionych, domagali się uwolnienia takowych, zapozywając jednocześnie mera miasta przed sąd najwyższy, jako oskarżonego o nadużycie i nieprawne aresztowanie osób niewinnych, gdyż podług litery prawa, żadnéj z kobiet uwięzionych nie można było dowieść przekroczenia 6go przykazania, które to przestępstwo podług konstytucyi Stanów jest karaném kilkoletniém więzieniem.

Te same wypadki bezustannie powtarzały się z domami gry, w których szulerowano na wysoką skalę, oraz z domami publicznemi, w których potajemnie odbywano

gorszące sceny nazywane pospolicie w Nowym Yorku *„obrazami żywych osób”* w których wszystkie osoby należące do składu a po największéj części niemi były kobiety, ukazywały się w całkowitéj nagości. A wieleż jeszcze innych dowodów nadużyć i bezpraw tolerowanych i nieomal że tak powiem osłanianych opinią publiczną, mógłbym tutaj przytoczyć.

Jednakowoż wyznać muszę na korzyść tego kraju, iż jestem zdania, że największa część zepsucia została tam sprowadzoną z Europy, przez emigracyę, któréj napływ szczególniéj w latach 1853 i 1854 dochodził kolosalnéj liczby (1). Z drugiéj zaś strony ułatwienie kommunikacyi z Europą zachęciło dużo Amerykanów do zwiedzenia kontynentu po drugiéj stronie Atlantyku, co znaczny wpływ wywarło na młodszą generacyę. Przyznaję, iż starsi wracali zawsze z Europy zgorszeni i zniechęceni; lecz się rzecz przeciwnie miała z młodszymi, którzy zdawali się być zachwyceni wszystkiem co widzieli w Paryżu, Londynie, Wiedniu i t. d. Ale dziwnym zbiegiem okoliczności zauważyłem, iż co najwięcéj zwróciło ich uwagę i w czém najbardziéj zasmakowali, to w tytułach, herbach, mitrach, liberyi, i w ogóle arystokratycznéj wystawności. Niektórzy z nich poprzywozili sobie lokai z Paryża i Wiednia, a nie brakowało także i na transporcie liberyi i dam baletowych. Ztąd to bogaci mieszkańcy ludniejszych miast Wschodu, ostatniemi czasami zostali przez krytyków podzielonemi na starą i młodą Amerykę. Pierwsi trzymając się dawnych zasad, brzydzili się wszystkiem co tchnęło arystokracyą i nie zważając na posiadane miliony, nieomieszkali jak zwykle uczęszczać do swoich kantorów jak można najwcześniéj, a wychodzić z nich jak najpóźniéj. Drudzy zaś nabrawszy arystokratycznego tonu, posiadając pieniądze, brzydzili się pracą, myśląc tylko o jak najprzy-

(1) Podług rejestrów portu Nowo Yorskiego, w jednym dniu w miesiącu sierpniu 1853 r. przybyło do tego miasta z Europy emigracyi osób 54,000, a tegoż samego dnia liczba przybyszów do Baltimoru i Philadelphii wynosiła 22,000, co stanowiło razem 76,000 o którą to liczbę populacya Stanów o jeden dzień zwiększoną została. Ma się rozumieć iż dzień ten stanowi wyjątek nie znany w rejestrach portowych od czasów odkrycia Ameryki.

jemniejszych sposobach zużycia milionów, nagromadzonych potem czoła i tysiącznemi zabiegami ich ojców i dziadów. Stawali się nieprzystępnemi, dzielili się na kółka odpowiednio do wielkości posiadanego majątku, otaczali się liczną służbą, w końcu wprowadzili w modę operę a za nią balet, który się stał zgorszeniem całéj Staréj Ameryki.

Pani Stove pisząc o Ameryce, w wielu miejscach była bardzo niesprawiedliwą względem jéj mieszkańców, jedn tylko zdanie było rzeczywiście sumienne, w którém powiedziała: „A więc w Stanach Zjednoczonych jest arystokracya? tak jest, ale arystokracyą łoju i ryby suszo dorsz" (L'aristocratie de suif et de la morue).

Arystokracya ta wzrosła i wywarła swój wpływ przeważnie na ogół, w ostatnich latach: sam miałem sposobność dostrzedz tę zmianę, w siedmiu latach mego pobytu. Przybywszy w roku 1852, pamiętam, iż 2 tylko były teatra w Nowym Yorku, a stosownie do wielkości miasta mało powozów prywatnych. Najbogatsi kupcy przejeżdżali omnibusami. Policya chodziła po cywilnemu i była nader szczupłą na 600,000 miasto. Niedziela obchodzoną była uroczyście, wszelkie sklepy były zamkniętemi, to samo miejsca publiczne, a wóz lub koń nie ukazał się na ulicy, poważna cisza w dniu tym zalegała miasto. Jakżeż się to zmieniło do czasu, w którym opuszczałem Stany Zjednoczone, to jest do roku 1859.

Miasto powiększyło się znacznie, massa olbrzymich domów o marmurowych portykach wzniosła się w miejscach pustych i zieleniejących się jeszcze w chwili mego przybycia. Ludność wzrosła z przedmieściami do 920,000. Teatrów było 8, oprócz akademii muzycznéj świeżo wystawionéj, w któréj grywano opery i dawano balety. Okazało się mnóstwo świetnych ekwipaży, liczne liberye z herbowemi guzikami, a bardzo dużo powozów miało téż oznaki szlacheckie na drzwiczkach. Szczególniéj część miasta zamieszkała przez najbogatszą klassę, to jest 5te, Avenue, popisywała się przepychem w ekwipażach i zaprzęgach zwłaszcza w niedzielę, które stały się tak hałaśliwemi i gwarnemi jak w Europie. Szynki, kawiarnie, restauracye i w ogóle miejsca publiczne były otwartemi,

a Niemcy posunęli swą zuchwałość tak dalece, iż dawali przedstawienia w niedziele w teatrze Bowery. Policya dostała mundury i została więcéj jak w cztery kroć powiększoną, pomimo tego liczba morderstw (nie mówiąc już nic o codziennych złodziejstwach) bezustannie wzrastała; co w roku 1858 w miesiącu styczniu i lutym, doszło do tego stopnia, iż zabijano na najludniejszych ulicach, skoro tylko zmrok zapadł. Ja sam długi przeciąg czasu nie wychodziłem na ulicę wieczorem, inaczéj jak z nabitym rewolwerem w kieszeni. W tym czasie lekceważenie życia ludzkiego doszło do wysokiego stopnia, dzienniki wrzeszczały, a pomimo to kilka gorszących processów o morderstwo, skutkiem przekupstwa zostało zwichniętych, a winowajcy ponieważ byli ludźmi bogatemi zostali uznanymi za niewinnych, jak n. p. pani Cumingham obwiniona o zamordowanie sztyletem, majętnego doktora nazwiskiem Burdell, w celu przywłaszczenia sobie jego majątku, na zasadzie, iż była z nim związaną tajemném małżeństwem, oraz deputowany z Kalifornii nazwiskiem Herbert, obwiniony o zastrzelenie lokaja w hotelu za grubiańską odpowiedź tegoż.

Lecz co mię najbardziéj zadziwiło i rozśmieszyło to to, iż w każdym nieomal bogatszym domu, w salonach pomiędzy książkami i albumami pierwsze miejsce trzymał Almanak de Gotta. Co za próżność! wszak żaden z tych panów, u których znajdowałem to dzieło, nie mógł pochwalić się nazwiskiem przodków swoich w niém umieszczoném; zapytani o to, tłumaczyli się, iż nie chcą w niczém ustępować w doborze książek Europejczykom, u których będąc w Londynie lub Paryżu spotkali się z tą książką w salonach.

Na dowód, że europejscy przybysze dużo wpłynęli na zepsucie obyczajów w Ameryce, przytoczę jedno zdarzenie, które śmiesznością swoją zasługuje na uwagę. Mer nowo-yorski (o którym już powyżéj wspominałem) Fernando Wood, jeden z najenergiczniejszych ludzi, jakich miasto to kiedykolwiek miało za swego naczelnika, chcąc położyć tamę nadużyciom, starał się wszelkiemi siłami zmusić ludność do uszanowania prawa; nadewszystko przestrzegał uświęcenia sabatu konstytucyonalnie zagwa-

rantowanego. Skutkiem czego pozamykano w niedzielę wszelkie miejsca publiczne, głównie zaś szynki i bawarye, w ktorych Niemcy pourządzali rodzaj małych teatrzyków z muzyką i śpiewami. To nadzwyczajnie oburzyło tych ostatnich. Jeden z nich śmielszéj natury, wbrew zakazowi otworzył swój zakład w niedzielę, skutkiem czego skazany został przez mera na karę 500 dolarów i odebranie konsensu. To jeszcze bardziéj oburzyło zwolenników Lagier Bieru. Utworzyli pomiędzy sobą spisek, postanowiwszy ująć się za pokrzywdzonym bratem, pozwali mera przed sąd najwyższy, oskarżając go o nielegalne postępowanie, gdyż ustawa miejska zabrania w ogóle handlu w dzień świąteczny i sprzedaży trunków upajających, robiąc wyjątek dla restauracyj, w których wolno sprzedawać jabłecznik, wodę sodową i inne chłodzące napoje, dowodząc zarazem, iż zakład zamknięty z rozkazu mera był restauracyą, a piwo w nim sprzedawane nie jest trunkiem upajającym. Na potwierdzenie czego, sprowadzili jednego ze swych rodaków olbrzymiéj postaci i brzucha, który pod przysięgą zeznał, iż razu jednego o zakład wypił od godziny 2giéj po południu do 12stéj w nocy 113 kufli piwa, nie czując najmniejszego odurzenia i że zwykle wypija około 30 kufli dziennie tego napoju, co dowodzi, iż tenże nie jest upajającym. Świadectwo to odrzucone przez sąd przysięgłych, posłużyło następnie dziennikom do niemiłosiernego wyszykanowania Niemców, a liczba 113 i *lagier bier* weszły w przysłowie, ilekroć razy mówiono o nich.

Dwoma jeszcze głównemi przyczynami, które przeważnie wpłynęły na zdemoralizowanie narodu amerykańskiego są: brak wyższego wykształcenia i religia protestancka. Co do pierwszego mogę powiedzieć, iż o tyle o ile wychowanie elementarne jest powszechne i przystępne, o tyle edukacya wyższa jest zaniedbaną, stanowiąc rodzaj spekulacyi prywatnéj dążącéj do zarobienia złota. Każdemu wolno tam zakładać (podając o pozwolenie do legislatury stanu) gimnazya, kolegia, akademie lub uniwersytety. Prawda, iż one podlegają kontroli władzy prawodawczéj (która prawdę mówiąc, mało się do tego miesza), lecz wybór professorów i całe wewnętrzne urzą-

dzenie zależy od człowieka, który otworzył ten zakład. Wprawdzie i w Anglii edukacya wyższa jest w tenże sam sposób urządzoną, lecz dozór tutaj jest w nierównie baczniejszy sposób wykonywanym, a zakłady naukowe wyższe, nierównie dawniéj pootwierane od amerykańskich, posiadają ustaloną sławę i oddawna wydają dostateczną ilość osób znakomitych i światłych do wykształcenia następnych pokoleń. W Ameryce zaś rzecz ma się przeciwnie. Zakłady takie (z wyjątkiem kilku) nie posiadają żadnéj rękojmi, niedawno trwają, a osoby w nich nauczające nie posiadają sławy naukowéj; dodajmy do tego dziwne usposobienie Amerykanów (które zawsze im stać będzie na przeszkodzie do zupełego wykształcenia się), iż niechętnie biorą się do rzeczy, które nie obiecują w przyszłości obfitego zysku, kształcą się z chęcią na doktorów lub inżynierów, rzadko kiedy na filozofów. Historyi, starożytnościom i sztukom pięknym nader mało się oddają. W mieście Washington przed laty kilkudziesiąt, Anglik nader bogaty i bezdzietny nazwiskiem Schmit, pozostawił cały swój majątek na założenie tamże obserwatoryum astronomicznego, biblioteki, gabinetu zoologicznego i ogrodu botanicznego, z wyraźném zastrzeżeniem, ażeby w pewnych porach roku dawanemi były tamże odczyty treści naukowéj, z wolnym na nie wstępem publiczności, jakotéż, że cały zakład i osiągnięte w nim spostrzeżenia mają służyć do bezpłatnego użytku publicznego. Zakład ten noszący nazwę (od swego założyciela) Szmitsońskiéj instytucyi jest w bardzo nędznym stanie. Pomimo długoletniego istnienia i ogromnéj summy zakładowéj, zbiory przy nim czy to fizyczne, chemiczne, matematyczne, lub zoologiczne są zaniedbane, to samo i biblioteka, ogród botaniczny był zaledwie podczas mojéj bytności w Washingtonie zakładanym. W ogóle mogę powiedzieć, iż dopiéro ostatniemi czasami pod dyrekcyą professora Henry (rodem Anglika) człowieka bardzo światłego (który w zeszłym roku był komissarzem amerykańskim na wystawie londyńskiéj), zakład ten zaczął nabierać charakteru naukowego. Zdziwiony byłem nie mało obojętnością Amerykanów

na historyą i filozofią; dowieść to mogę tém, że podczas wolnych odczytów tak długo, jak chemia doświadczalna w połączeniu z doświadczeniami bawiącemi oko, stanowiła treść wykładu, audytoryum było napełnione; lecz następnie skoro przyszła historya starożytności, astronomia i t. d., sala była próżną, a na prelekcye przychodziliśmy zaledwie w 50 lub 60 osób po największéj części cudzoziemców, pomimo, iż w owym czasie Washington był napełniony tém, coby można nazwać intelligencyą amerykańską, gdyż to było podczas sessyi sejmowéj, a godziny wybrane do prelekcyi były najprzystępniejsze, bo od 7 do 10 lub 11 wieczór. Co zaś do religii, wyznaję, iż protestancka nie jest w stanie zaspokoić potrzeb umysłowych massy ludzi niewykształconych. Nie przeczę, iż dla człowieka oświeconego i silnéj woli, posiadającego dość energii do odparcia pokus, może ona być wystarczającą; lecz rzecz ma się inaczéj z umysłami słabemi i na wpół oświeconemi, które raz zboczywszy z drogi prawéj, nie znajdą w religii protestanckiéj, w jéj obrzędach, ani też nauce nic takiego, coby ich napowrót zwrócić na tę drogę mogło. Brak Sakramentu pokuty, wreszcie wykład całéj nauki religii oparty głównie na biblii i zdaniach z niéj wyjętych, są w stanie nie raz więcéj obałamucić niż objaśnić umysł, zwłaszcza człowieka nie oświeconego; dodajmy do tego, iż zdania biblijne nie raz mogą być i są w rzeczy saméj różnorodnie tłumaczonemi. Liczba księży jest także niedostateczną, co się najlepiéj pokazuje, że na blizko milion ludności miasta Nowy York i jego przedmieść, było w roku 1858 tylko 391 kościołów, z których 13 synagog, a 24 katolickich, a wszystkie w ogóle (z wyjątkiem kilku) nader szczupłe. Przy każdym z kościołów protestanckich znajduje się nie więcéj jak dwóch lub trzech księży, z czego się pokazuje, iż na 2,500 ludzi wypada 1 kościół, a na 1,200 lub 800 ludzi jeden ksiądz. Jedyną rzeczą, z któréj człowiek może dla siebie czerpać pokarm duchowny, w wykładzie religii protestanckiéj i jéj obrządkach, jest kazanie i nauka kościelna, na których ilekroć razy wydarzyło mi się znajdować, wychodziłem z przekonaniem, iż byłem na prelekcyi prawa, w któréj mówca tłumaczył w jeden lub

drugi sposób treść i donośność zdań zawartych w biblii, albo też kazanie było tak wyegzaltowane, a cała nauka wyrażoną pod postaciami, któréj znaczenie dopiéro następnie trzebaby było wytłumaczyć, aby można było zrozumieć jéj cel i trafić do serca słuchaczy.

Zdaje się, iż główna przyczyna tego leży w spaczoném, suchém i nierozwiniętém wykształceniu osób obierających sobie stan duchowny; gdy przeciwnie ksiądz katolicki, nim dojdzie do godności kapłańskiéj, zmuszonym jest przechodzić ćwiczenia teologiczne, w których zagłębiając się w świętość nauki religii i jéj zastósowania do życia powszechnego, znając żywota ludzi świętych, jest w stanie więcéj się przejąć obowiązkami i ważnością powołania swego, a ztąd lepiéj i zrozumialéj może natchnąć słuchaczy pobożnością, pokorą i miłością bliźniego. Czyż nie napotykamy téj saméj sztywności i chłodu w samych kościołach protestanckich, gdzie cztéry gołe ściany z ławkami i pulpitem dla duchownego, mają więcéj postać izby szkolnéj aniżeli miejsca, w którém człowiek odrywając się od wszystkiego co jest ziemskiém, powinien zagłębić się w sobie samym i ukorzyć przed majestatem nieskończonego bóstwa, które nim rządzi. Sądzę, iż pod tym względem wspaniałość kościołów katolickich, napełnionych obrazami świętych, oraz męki Zbawiciela, daleko lepiéj i stósowniéj oddziaływa na umysły i lepiéj usposabia człowieka do nabożeństwa, niż kościoły protestanckie. Z natury obrządków kościoła protestanckiego wynika także, iż ich duchowni nie są w takiém poszanowaniu u narodu, jak księża katoliccy.

Nic mię więcéj nie oburzało przeciwko ich duchowieństwu, jak te ciągłe nieporozumienia pomiędzy różnemi sektami, których do 12 naliczyćby można. Każda z tych sekt drukuje biblie na swoją rękę, umieszczając lub wyrzucając to co jéj jest więcéj dogodném, starając się o ile możności jak najwięcéj egzemplarzy rozrzucić pomiędzy publiczność, a tém samém zyskać nowych zwolenników. Do tego dodają się plakaty mieszczące szykany na tę lub ową sektę, a nawet czasami i kazania nie są od nich wolne. Główną różnicę między sektami stanowią tłumaczenia dotyczące pewnych punktów biblii: ztąd wy-

nikają spory, które się odbywają w sposób czysto adwokacki, roznamiętniając massy i burząc umysły jednych przeciwko drugim. Czasem wydarza się proces pomiędzy jedném stowarzyszeniem biblijném, a drugiém o wzajemne obelgi lub nadwerężenia własności praw druku. Na czele tych sporów zwykle stają duchowni, dostarczając coraz to nowych materyałów do zgorszenia i kłótni. Pytam się więc, czy naród zostający pod sterem takiego duchowieństwa, może być moralnym i bogobojnym? o, niezawodnie że nie! Ten smutny stan duchowieństwa protestanckiego, oddziaływać musi koniecznie na massy, a spaczając wyobrażenia obowiązków osobistych wpływa i na domowe pożycie familijne całych rodzin. W rzeczy saméj rodzina amerykańska przedstawia widok odmienny od tego, co się zwykle napotyka w świecie ucywilizowanym. I tak, amerykanki słynne ze swéj piękności i delikatności cery, wiedząc o tém, cenią nadzwyczaj wysoko swe wdzięki i nie chcą wychodzić za mąż, za ludzi, którzy nie są w stanie zadosyć uczynić ich kaprysom i wymaganiom w strojach, zabawach i w ogóle błyszczeniu w świecie. Są złemi gospodyniami, obojętnemi żonami i matkami, ale za to posiadają znakomity talent uwodzenia i ciągłego kokietowania, co się oznacza w języku angielskim wyrazem „*flirting*". Wiedząc że są pięknemi, starają się otaczać bezustannie jak największém kółkiem wielbicieli, czego nie odmawiają nawet będąc mężatkami i matkami kilkorga dzieci. W towarzystwie są bardzo żywemi i nader śmiałemi, w rozmowach szczególniéj z mężczyznami. Europejska dama, w wieku, słysząc 18to letnią Amerykankę rozmawiającą z mężczyznami, niezawodnie zarumieniłaby się jéj efronteryą i dwójznacznemi wyrażeniami. W ogóle kobiety amerykańskie, z małym wyjątkiem są do niczego: póki są pannami zajmują się mniéj więcéj jakąkolwiek robotą, a nawet z klass niższych pracują w fabrykach, w cukierniach, w traktyerniach, w sklepach galanteryi i t. p. zakładach; lecz raz poszedłszy za mąż oddają się zupełnemu lenistwu, utrzymując, że nie są obowiązanemi pracować, gdyż na to poszły za mąż, aby je mąż utrzymywał i najmował ludzi do ich obsłużenia. To lenistwo jest tak wielkiém, że Amerykanka niższego stanu, jak

naprzykład żona rzemieślnika, nie chce sama gotować, ani też piastować dzieci: przytém są bardzo wymagającemi w wydatkach na stroje, które stanowią główne ich zajęcie. Ztąd to pochodzi, że klassy rzemieślnicze rzadko wchodzą w związki małżeńskie, nie mogąc zadość uczynić wymaganiom przyszłych żon swoich. Z czego wynika, że w Nowym-Yorku ostatniemi czasami w różnych fabrykach, było 40,000 dziewcząt młodych od 16tu do 25ciu lat wieku, pracujących na własne utrzymanie, za nędzną zapłatę w stosunku do drogości życia, a około 20,000 zostających w służbie w domach prywatnych. Wszystko to były panny, mające nadzieję wyjścia za mąż, za człowieka któryby był w stanie zadość uczynić ich wymaganiom. Dla tego też rzemieślnicy amerykańscy wolą się żenić z Irlandkami lub Niemkami, które więcéj dbają o przyniesienie ulgi mężowi i chętniéj zajmują się gospodarstwem. W ogóle Amerykanki są lekkie, płoche i bez serca, bez którego się wyśmienicie obchodzą, bo majętni Amerykanie nie dbają o przywiązanie żon swoich, byleby takowe były pięknemi, wystrojonemi i robiły furore w salonach. W rzeczy saméj, nie zdarzyło mi się widzieć tutaj téj gorącéj miłości, która powinna być podstawą związków małżeńskich. Zawsze zimne wyrachowanie bierzę górę nad wszystkiemi innemi uczuciami. Podług praw amerykańskich wolno dzieci wydziedziczyć co do grosza, zapisując majątek obcym osobom, ponieważ takowy jest uważany za wyłączną własność rodziców, którą im wolno rozporządzać jak im się tylko spodoba.

Dla tego to córki najmajętniejszych ludzi wychodząc za mąż, nigdy nie dostają posagów, a zięciowie nigdy na nic nie oglądają się; idą naprzód o własnych siłach a nie żenią się aż dopiero mają odpowiedni dochód do tego co się nazywa po amerykańsku utrzymaniem domu, czyli do sposobu życia wystawnego. Dla tego też w Ameryce rzadko wydarza się „*mésalliance*" (pieniężny). Córka bogatych rodziców, nigdy nie odważy się pójść za człowieka bez fortuny, choćby nawet czuła rzeczywiście jakąś skłonność ku niemu, nie powiem już miłość, gdyż nie wierzę ażeby takowa znalazła kiedyskolwiek siedlisko w sercach Amerykanek. Przytoczę tu zdarzenie, dowodzące

pieniężne wyrachowania tych kobiet. Francuz, potomek znakomitéj podupadłéj rodziny, pełen talentu, dowcipu i nąuki, przyjechał do Ameryki dla polepszenia swego losu i jeżeliby można było zrobienia fortuny. Jakoż niezadługo znalazł zatrudnienie korrespondenta w domu handlowym z bardzo dobrém wynagrodzeniem. Będąc młodym i przyjemnym, nie trudno mu było znaleźć wstęp do najbogatszych domów nowo-yorskich, w których bywając, zakochał się szalenie w córce majętnego bankiera. Panna była piękną, młodą, a nawet i wykształconą, okazywała mu nadzwyczajną wzajemność przyjmując nie tylko jego czułe oświadczenia ale nawet i prezenta, słowem *„flirtowała"* czyli kokietowała na sposób amerykański, co biedny Francuz nieświadom miejscowych zwyczajów, kładł na karb miłości. Już zamyślał na seryo oświadczyć się, gdy na raz dochodzi go wiadomość, że przedmiot jego ubóstwienia, idzie za mąż za negocyanta bogatego, ale (mówiąc nawiasem) bardzo brzydkiego, rubasznego i już dość w podeszłym wieku człowieka. Z początku nie chciał dać temu wiary, ale skoro się przekonał o rzeczywistości i że zapowiedzie już wyszły, wpadł w rozpacz, chciał się pojedynkować z rywalem, potém sobie życie odebrać, słowem zrobił awanturę. Gdy ochłonął z pierwszego wrażenia, chciał przynajmniéj od panny otrzymać jakieś wytłumaczenie lub usprawiedliwienie, a nie mogąc się z nią widzieć, napisał list pełen rozpaczliwych uczuć i wyrzutów. Z wielkiém zadziwieniem odebrał nazajutrz perfumowany bilecik następującéj treści. „Kochany N. N., wyrzucasz mi moją obłudę, złą wiarę i t. d., przebaczam ci to, jako cudzoziemcowi, nieświadomemu naszych zwyczajów. Wiedz, że u nas dla ożenienia się potrzeba mieć za co żonę utrzymać. Nie przeczę, że jesteś człowiekiem nader miłym, uczonym i że życie z tobą byłoby mi przyjemniejszém, aniżeli z tym za którego idę; lecz zapominasz, że masz tylko 1,200 dollarów rocznéj pensyi i twoją filozofią w dodatku, gdy tymczasem mój przyszły mąż, (aczkolwiek nie bardzo się pochlebnie o nim wyrażasz, a słuszności czego ja nie zaprzeczam) ma 25,000 dollarów rocznéj intraty, z których, ośm rocznie (kontraktem ślubnym za-

gwarantowane) oddaje na moję wyłączną dyspozycyę aż do śmierci. My Amerykanki uważamy mężów naszych za ludzi, którzy są obowiązani płacić nasze wydatki i zaspakajać nasze potrzeby, a których my w zamian w dopełnieniu obowiązków ślubem na siebie przyjętych, dość regularnie co lat dwa, (jeżeli to jest w naszéj mocy) obdarzamy jedném lub kilkoma dziećmi. A więc bądź zdrów i nie żyw do mnie żadnéj nienawiści, lecz przeciwnie bądź wdzięcznym, żem położyła tamę twoim próżnym marzeniom, a wprowadziła cię na drogę rzeczywistości."

Zdaje mi się, iż każdy z czytelników zgodzi się zemną na zdanie, iż nie można się spodziewać więcéj bezczelności od kobiety wchodzącéj dopiéro na widownią świata.

Życie domowe stadła amerykańskiego bogatego jest nie bardzo budującém: każde idzie nieomal w swoją stronę, a dzieci ich naśladują. Mąż wychodzi z rana o 6téj, udając się do kantoru, handlu lub fabryki (które leżą na drugim końcu miasta), zostawiając żonę śpiącą, a wraca dopiéro wieczorem, zmęczony całodziennemi zabiegami, gdy jego godna połowica bawi się w teatrze, lub u przyjaciół, zkąd wraca dość późno, znajdując męża pogrążonego w głębokim śnie. To samo powtarza się nazajutrz i tak daléj aż do niedzieli; w którym to dniu jedynie grono familijne znajduje się razem zebrane. Syn bogatego Amerykanina doszedłszy 18 roku swego życia, już zarabia sam na siebie i jeżeli mieszka z rodzicami pod jednym dachem, to im płaci za stół i stancyą, co uważa za początek swéj niezależności, a w 25 roku zaczyna budować fortunę na swoją rękę. Ojciec szczyci się wówczas tak zabiegłym synem, który (zapewne skutkiem wysokiego szacunku, jaki dlań posiada) nie nazywa go ojcem, ale *starym człowiekiem* „Old man", aplikując tytuł *staréj kobiety* do matki.

I pytam się, czy człowiek wychowany w ten sposób, jest w stanie w przyszłości uszanować prawo? gdy w młodym wieku nauczył się deptać to, co w całym świecie jest uważaném za najświętsze?

Oto jest rzeczywisty obraz owéj okrzyczanéj rzeczypospolitéj, która niegdyś była ucieczką wszystkich ludzi

prześladowanych i umysłów znękanych, która stawszy się matką swobody i wolności, tak długo się niemi cieszyła, póki jéj mieszkańcy żyli w cnocie, miłości bliźniego, a nadewszystko w umiarkowaniu. W miarę jak zbytek przybierał coraz większe rozmiary, złoto stawało się coraz więcéj poszukiwaném, aż w końcu stało się bożyszczem większéj części narodu, a z napływem jego niknęły cnota, moralność, miłość bliźniego i swoboda.

Niech to, com napisał będzie jednym więcéj dowodem, iż żadne prawa choćby jak najświętsze i najzbawienniejsze, do niczego nie doprowadzą, jeżeli w wykonaniu swojém nie będą popartemi cnotą i uczciwością tak tych, co je tworzą, jak i tych, co je wykonywać i poszanowania takowych przestrzegać mają.

# KRONIKA PARYZKA

## LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Trojanie w Kartaginie", pięcio-aktowa opera Berlioza.— „Kapitan Fracasse", powieść Teofila Gautier. — Krytyczne studyum Nowego Testamentu (Etudes critiques sur la Bible par Michel Nicolas) — Listy Karola Sismondi (Lettres inédites de Ch. Sismondi publiées avec introduction par Saint-René Taillandier) — Wiadomości literackie.

„*Trojanie w Kartaginie*", pięcio aktowa opera Berlioza należy do niezwykłych w tych czasach dzieł sztuki. Autor zarazem i poematu i muzyki Hektor Berlioz, jako śmiały nowator wystąpił na scenie paryzkiéj, najskrupulatniéj strzegącéj dawnych tradycyj. Natychmiast też wybuchła żywa polemika: jedni ganią, drudzy chwalą nową operę, z gwałtownością dowodzącą najlepiéj jéj niepospolitości. Krytyk sprawiedliwy powinien w tym razie więcéj niż kiedy, obustronnéj przesady unikać; miejsce jego na wzgórzu dzielącém przeciwników od wielbicieli; obowiązek, po szczególe chwalić rzeczy pochwały godne, w ogóle zaś, uszanować talent wyższego rzędu, który jeżeli pobłądzi, to tylko uciekając od powszedniości, a jeźli upadnie, to wdzierając się na szczyty.

„*Trojanie w Kartaginie*" są drugą częścią lirycznego poematu Berlioza. Pierwsza tworzy operę we trzech aktach, pod tytułem: „Zdobycie Troi". Autor musiał przepołowić rozległą kompozycyą, inaczéj bowiem zajęłaby noc całą. Zręcznie ułożony prolog wiąże dramat odczepiony, z dramatem pozostawionym w tyle. Podnosząca się w głębi kórtyna odsłania zwaliska Troi: lirnik

wychodzi na scenę i śpiewa podstęp zdradziecki Greków, który Ilionu mury w gruzy obrócił. Za sceną jednocześnie zrywa się radość starożytnego tryumfu; głosy rozmaitych instrumentów w marsz zwycięzki zlane, wybuchają i przebrzmiewają, niby echo dalekiéj przeszłości.

Po tym wstępie epicznym, który do tonu pieśni nastraja słuchaczy, podnosi się druga zasłona i odkrywa przedsionek pałacu Dydony w Kartaginie: królowa otoczona ludem i przepychem dworu, rozdaje nagrody marynarzom, oraczom i budowniczym rodzącéj się Kartaginy; architekt dostaje srebrną gruntwagę, marynarz misterne wiosło ze słoniowéj kości, sędziwy rolnik wieniec z kłosów zbożowych.

Słusznie zganiono tę scenę, uważając ją za nazbyt tegoczesną, nazbyt przypominającą obrządek rozdania nagród po wystawie przemysłowéj.

Wirgiliusz pokazuje Dydonę w wyższéj sferze: „siedzi na wysokim tronie w świątyni, gdzie dyktowała prawa, wymierzała sprawiedliwość i wyznaczała robotę".

Cóżkolwiekbądź, pod względem muzycznym dyalog pomiędzy królową a jéj ludem, Berlioz oddał znakomicie: Dydona z bohatérskim zapałem zachęca do pracy; Tyryjczycy odpowiadają jéj twardym chórem, brzmiącym, jak ich młoty na kowadle.... Rzekłbyś, cyklopy witające przybywającą do kuźni Wenus.

Domową ucztę przerywa przybycie niespodzianych gości. Donoszą Dydonie, że nieznani ludzie wylądowali i pragną przed tronem jéj stanąć. Niebawem wodzowie trojańscy z Askaniaszem na czele, wchodzą i proszą o gościnność. Dydona daje im za gospodę swój pałac i miasto. Jednocześnie przychodzi wieść, że Sarbas dziki król Numidów z wojskiem ciągnie na Kartaginę: wtedy, ukryty Eneasz daje się poznać.

W *Eneidzie* wódz Trojanów wychodzi z chmury, którą go Wenus otoczyła. Wirgiliusz mówi: „Wówczas Eneasz ukazał się naprzeciw w jasności, z oblicza i postawy bogu podobny, bo mu matka natchnęła różowy promień młodości, wdzięk włosa i kwitnącą świeżość powiek. Podobnie ręka kunstmistrza dodaje blasku słoniowéj kości, lub kamieniowi Parosa, nasadzając je złotem".

Na scenie, ponieważ łatwiéj płaszcz zrzucić, niż wyjść z chmury, Eneasz wychodzi z marynarskiéj odzieży i ofiaruje zachwyconéj Dydonie miecz swój ku obronie jéj państwa.

Akt drugi rozpoczyna *symfonia* pod tytułem „Królewskie łowy". Dekoracye i muzyka bez słów oddają opis Wirgiliusza. Widać las: w głębi grotę zamkniętą wodospadem. Krajobraz pokazany na scenie, maluje orkiestra: flety naśladują świst wichru, a skrzypce drżenie liści: wszystkie łoskoty wzburzonego lasu odzywają się w akompaniamencie. Niebo ciemnieje i wnet wybucha burza. Spłoszone Najady w błyskawicowém świetle pokazują się i nikną; strzelcy przebiegają bór, zwołując się wzajemnie; orkiestra wzrostowi nawałnicy wtóruje; Boreasz takt uderza i wodzi smyczki. Eneasz z Dydoną przybywają, szukając schronienia i wchodzą do groty; Nimfy uciekają z niéj wystraszone, a girlanda Sylwanów zawodzi taniec wokoło... piorun uderza i zapala drzewo. Jestto pochodnia himenu dwojga ukrytych w grocie kochanków.

Ten mimiczny przekład sławnéj burzy z *Eneidy*, wydał się na scenie tak dziwny, tak niestosowny, że go autor po pierwszém przedstawieniu skasował. Domagano się, ażeby scenę wyśpiewać; ale położenie do słów jeszcze mniéj się nadaje; lepiéj nań było zarzucić kaskadę i cieniem nawałnicy osłonić. Więc nie milczenie wyrzucać należało Berliozowi, ale to raczéj, że nadał scenie charakter więcéj szatański, niż mitologiczny. Łowom zdaje się przewodniczyć djabeł urwany z niemieckiéj legendy; właściwiéj niż Dydona w łowieckim stroju Dyany, wydałaby się tu czarownica na łopacie. Jestto Wirgiliusz tłumaczony wolno przez doktora Fausta.

Akt drugi jest koroną partycyi. Przeminęły ciemności: obraz tonie w starożytnéj pogodzie bez chmurki. Widać ogrody Dydony, egipskie branki tańcują, królowa leży na łożu ze słoniowéj kości, u nóg jéj siedzi Eneasz.

Scena ugrupowana jest wedle obrazu Guérin'a „Eneasz opowiadający Dydonie nieszczęścia Troi". Dydona leży na łożu przykrytém skórą pantery; nad czołem jéj błyszczy wschodnia tyara; suknia liniana, prawie przezroczysta, uwydatnia jéj majestatyczną kibić; oczy skre

pełne utkwiła w Eneasza... jedna jéj ręka bezwładnie opada, drugą trzyma za szyję kupidyna. Cudny krajobraz okala scenę: w głębi przedsionek egipskiéj świątyni, kadzidło się pali przed posągiem Neptuna; w oddali widać Kartaginę roztoczoną nad zatoką w półksiężyc: daléj jeszcze błyszczy spokojne morze. Zmrok iskrzący jak zarzewie, rumieni niebiosy; obecność kupidyna zdaje się zapalać atmosferę.

Teatr liryczny oddał prawie dokładnie powyższy obraz Guérin'a; oczy oczarowane od razu, uszy niebawem są zachwycone. Sextet z chórem opiewa rozkosze nocy wschodniéj. Udatny wiersz Berlioza odpowiada sonetowi krymskiemu Adama:

„Nocy wschodnia! Ty nakształt wschodniéj odaliski
Pieszczotami usypiasz — a kiedym snu blizki,
Ty iskrą oka znowu budzisz do pieszczoty".

Nuta przecudna! Muzyk zlał w nią wszystkie harmonie duszy i natury, pogodę niebios i zachwyt serca, słodycz powietrza i upojenie zmysłów. Szczęście życia i szczęście kochania malują się tu pospołu. Głosy cichną jak przyćmione barwy pięknego wieczora; spiew coraz słabszy zdaje się wtórować wszystkim fazom omdlewania dnia jasnego; powracające brzmienie jednéj klarynetowéj nuty jest biciem jednego serca téj sześciogłosowéj pieśni.

Czar się przedłuża. Po sextecie następuje duet Dydony i Eneasza. Zda ci się, że słyszysz Oberona i Tytanią wywołujących mitologiczne widma przy dźwięku harfy eolskiéj. Poeta mówi o „pocałunku posrebrzonym światłem księżyca", to wizerunek tego duetu zagłębiającego się powoli w światłocienie nocturna.

W operze, jak w *Eneidzie* „posłaniec bogów Merkury przybywa zniweczyć bożostan dwojga kochanków: „Italia"! woła, uderzając za sceną w puklerz bezczynnego wojownika.

Dekoracya piątego aktu przedstawia zatokę morską, na któréj się kołyszą trojańskie okręty. Majtek zawieszony na maszcie, śpiewa tęskną barkarolę. Eneasz rozpacza, iż musi porzucić Dydonę... waha się, czy płynąć, czy pozostać... Wtém głosy pomordowanych Trojan od-

zywają się groźnie, nakazując, żeby dopełnił dzieła przeznaczenia. Więc rzuca ukochaną i odpływa.

Po odjeździe Eneasza, Dydona wpada w rozpacz straszliwą: nakazuje Tyryjczykom, żeby ścigali Trojan, a sama każe znosić na stos wszystkie podarunki, które dostała od niewiernego kochanka. Kiedy stos już wzniesiony, kapłani Plutusa krwawo ubrani, intonują śpiew pogrzebny, jakieś *de profundis* Tartaru. Dydona z rozwianym włosem wchodzi na stos obłąkana, przeklina Eneasza i przebija się jego mieczem, przepowiadając Annibala.

Takie są ogólne zarysy téj opery. W pięknych ustępach Berlioz podnosi się do stylu wielkich muzyków, przypomina prostotę Glucka i jego wigor tragiczny; czasami używa porywającéj wymowy Spontiniego. W nieudatnych miejscach hałas śpiew głuszy, jakaś mgła niemiecka zaciemnia wszelkie światło i melodyą. Instrumentacya zbyt wrzaskliwa jest główną wadą Berlioza; harmonia dla niego wszystkiém, melodya niczém. Ztąd błędy. Głos ludzki jest ulubionym instrumentem melodyi; nakazuje ona orkiestrze poszanowanie, sama dominuje wszystkie tony tonem miłości. Harmonia przeciwnie: niezdolna wyrazić uczucia jedynego, lubuje się w zgiełku. Osoby dramatu, w którym harmonia wyłącznie panuje, śpiewające wśród wrzawy, podobne są do Demostenesa przemawiającego do wzburzonego morza.

Ostatecznie, talent nad systematem górę bierze: ogólne wrażenie takie, jakiegobyś doznał słuchając wielkiego artystę grającego na wrzaskliwym i twardym instrumencie, z którego jednak potężne zdołał wydobyć akordy. Gmach cały może runąć, ale akt drugi pozostanie, jako drogocenna płaskorzeźba rozkruszonego portyku.

Wystawa jest co się zowie artystyczna. Dekoratorowie przedstawili Kartaginę afrykańską, wydobytą z pod ziemi przez Flaubert'a.

Teatr liryczny przedstawi niebawem „*Mireilla*" nową operę pana Gounod, której libretto wyjęte z pieśni francuzkich trubadurów. Przedstawienie tego nowego utworu piewcy *Fausta*, opóźnione zostało słabością pana Gounod, który, jak słychać, jest niebezpiecznie chory.

Dwutomowy romans Teofila Gautier „*Le Capitaine Fracasse*" napisany mistrzowskiém piórem, uidealizowany kilku szczytnemi postaciami, rozweselony mnóstwem figur komicznych, roztaczający około trupy komedyantów, których przygody opowiada, najciekawsze obrazy z pierwszéj połowy XVIIgo wieku, należy do przedziwności języka francuzkiego. Od dawna nie wpadła nam w rękę książka tak wykończona, dociągnięta, dostrojona niby harfa dźwięcząca pod trafném uderzeniem biegłych palców. Jestto dzieło sztuki pisarskiéj, w całém znaczeniu tego słowa. Pod względem formy daléj się nie idzie: jeżeli kiedy, to tą razą Gautier usprawiedliwił dany sobie przez Dumasa przydomek: „Benvenuto Cellini de la phrase".

Prócz że jest mistrzem słowa, wykwintny fejletonista dowiódł jeszcze tym, co go o nieczułość posądzali, że umie być rzewnym i że potrafi sympatycznie zrozumieć najsubtelniejsze tajemnice serca.

Dla czytelników wybranych, powab téj powieści mniéj leży w akcyi, jak w doskonałości roboty. Autor założył sobie trudne zadanie napisania książki otwartym i kolorowym stylem czasów Ludwika XIIIgo, w ten sposób, ażeby dyalogi osób, harmonizowały z ich ubiorami. Téj językowéj przemiany Gautier dokonał bez żadnego archaicznego przepisu, jedynie za pomocą stylu swojego, wykarmionego śmietanką wszech piśmiennictwa krajowego, a zatem zdolnego oddać wszelkie narodowe kształty. W całym tym romansie nie znajdzie jednéj fałszywéj nuty: koloryt miejscowy zawsze najczystszy, tak na ziemi jak w powietrzu; tylko otwierając i zamykając tę książkę czytelnik spostrzega, że zmienił wiek i atmosferę. Stary język francuzki roztapia się w nowym, jak dwa rodzaje przedniego wina, które razem zmięszane tworzą kordyał pachnący!

Nie będziemy tu szczegółowo opowiadali wątku powieści, któréj trzy wydania rozkupione w ciągu dni dziesięciu, rozbiegły się już po całéj Europie. Osnowa jéj prosta jak komedyi Moliera. Młody, ubogi szlachcic, baron Sigonac, schnie z nudów i smutku w swym zrujnowanym gaskońskim zameczku. Pewnéj jesiennéj nocy,

przybywa do bramy wędrowna trupa komedyantów i o gościnność prosi. Znużony bladém życiem i oczarowany pięknemi oczyma donny Izabelli, baron postanawia jechać aż do Paryża za komicznym wozem. Kocha, i jest kochanym. Ale Izabella jako Laura, wielbić się pozwala tylko z daleka: nie chce być kochanką pana, a nie chce także być jego żoną, żeby mu nie zagradzać drogi mezaliansem.

Mimo przeszkód, nadobna para zostaje sobie wierną. Po śmierci *pierwszego kochanka* trupy, Sigonac dla miłości Izabelli, przywdziewa jego maskę i łachmany. Po pełnéj przygód podróży, trupa zbogacona baronem, przybywa do Poitiers, gdzie książe Vallombreuse z magnacką natarczywością zakochuje się w Izabelli. Szpada Sigonaca napaść odbija. Młody książe w gniewie, stawia liczne zasadzki rywalowi, spuszcza nawet na niego gromadę siepaczy. Waleczny Sigonac kruszy najemne noże; na czele trupy przypuszcza szturm do zamku, w którym Vallombreuse zamknął porwaną Izabellę, i wyrywa ją z rąk jego.

Do téj rycerskiéj sceny, autor przypiął rozwiązanie staroświeckie, które jednym zamachem wszystko godzi i uspokaja. Stary książe, ojciec młodego duka, jawi się jako *deus ex machina*, i po pierścionku który Izabella na palcu nosi, poznaje w niéj swoją córkę naturalną, któréj od dawna szuka. Vallombreuse rozbrojony ściska nieprzyjaciela, Sigonac żeni się z Izabellą, znalezienie zaś w jego gaskońskim domu drogocennego skarbu, zakończa tę bajkę przypomnieniem Tysiąca Nocy.

Taką jest osnowa książki w swém najsuchszém streszczeniu: stare dzieje powiększone poetyczną wyobraźnią, ot cała rzecz. Ale ileż typów przedziwnych, jakby z natury malowanych w tym bohatérsko-komicznym poemacie.

Donquichot powieści, baron Sigonac, namaszczony szlachetnym smutkiem jak dyament w swych gruzach jaśnieje. Nigdy szlachetna nędza nie była lepiéj odmalowaną: rzekłbyś że to portret Van Dycka, zakopcony, zczerniały ale pod kurzawą zachowujący dostojność patrycyusza. Ramy godne portretu. Rylcem Rembrandta zdają się rysowane te mury zbutwiałe, te grobowe sale,

zwiędłe makaty i ten ogród, w którym zupełny tryumf natury nad sztuką uderza. W tym opisie wydatniejszym od malowidła, nie tyle kolor podziwiać należy ile cierpiące życie tych ruin: wilgotne mury płaczą, drżą skrzypiące meble, mrą opadające freski, zrujnowany pałac kona jak człowiek.

Skoro przed pałacową bramą złamał się wóz aktorski, posępny dom zaśmiał się jak filozof nagle ludzką przywarą z dumań obudzony. Nowe twarze, nowe charaktery, tłumnie wchodzą w opustoszałe ściany: *Pedant*, mówiący językiem Rabelaigo; *Tyran*, poczciwe człeczysko pod maską Heroda; *Kochanek*, tak chudy że choć widziany z przodu, zda się że stoi bokiem... nieborak, ciągle pości żeby zachować tę drogocenną, do roli zakochanych niezbędną chudobę i melancholią, która tylko głodem utrzymać się daje. Wszyscy aktorowie są przedziwnie narysowani; mimowolnie grają swe role w życiu rzeczywistém: maski ich stały się twarzami, w dzień biały zachowują sztuczne odblaski łojowéj świecy.

Piękna połowa trupy nie mniéj dobrze się udała. Donna Serafina *pierwsza kokietka* zgromadzenia, na wstępie uderza wzięciem wędrującéj królewny. Zerbin'a, pokojowa, postrzelona, rozchichotana, chuda jak charcica, błyskawicowym miga dowcipem kręcąc się jak salamandra w ogniu. Izabella jest lilią wyrosłą na śmiecisku. Postać prześliczna! równie jasnego ducha jak oblicza. Słowa które autor w jéj usta wkłada, podnoszą ją do ideału czystości. Nic sztucznego w jéj skromności, nic udanego w jéj cnocie: urodziła się czysta i dumna, jak lilia rodzi się wspaniała i biała. Skoro przy końcu książe poznaje w niéj swą córkę Izabellę, zdaje się tylko porzucać przybrane *incognito*. Miłość łącząca Izabellę z baronem ma coś rycerskiego: przenosi w czasy, kiedy zdobycie kobiety było krucyatą, kiedy wielbione *damy*, na wieży kręcąc wrzeciono, po całych latach wyglądały powrotu platonicznego kochanka. W malowaniu takich typów niewieścich Gautier celuje. Jego Alicia, Prascovia, Militona, są najczystszemi bohaterkami romansów francuzkich.

Pokazawszy śmiejącą maskę komedyi, autor odsłania drugą jéj stronę: opłakaną. Jakiż rozpaczliwy obraz

téj pustyni śnieżnéj, zamiatanéj grudniowym wichrem, po któréj toczy się wóz komiczny ciągniony przez zdychającą szkapę. Naraz spostrzegają podróżni, że jednego z nich brak: chudy kochanek zniknął! Szukają go koledzy i znajdują pod drzewem, zmarzłego. Biedny komedyant, rzekłbyś że schował się umyślnie, ażeby dopełnić poważnéj czynności umierania! Wszystko się składa na efekt téj tragicznéj sceny: szumi zawieja; psów dalekie dolatuje wycie; błazeńskie przybory straszliwie odbijają od tła żałoby: litość i strach zbiera....

Nie wiem przez jakie poetyczne pokrewieństwo to zawiane śniegiem pole poitweńskie, po którém rozproszone błazny szukają zmarzłego towarzysza, przypomina lodowate łany, po których błądzi król Lir z rozwianym siwym włosem, a za nim błazen potrząsający oszronioną grzechotką.

Duk Vallombreuse jest także dobrze namalowanym typem francuzkiego don Juana z czasów Ludwika XIIIgo. Paryż ówczesny odbudowany z rzadką dokładnością. Żyją w nim, chodzą i mówią wszystkie te excentryczne postacie, których kształt przechowały ryciny Callot'a i Boss'a: pokręcające wąsa paniczyki, łzalotnice w lektykach, lekarze na mułach, pedanty w óczący po błocie obszarpane płaszcze; rębacze, zębo-rwacze, żebraki, draby, oszusty, wszystko to jest uszykowane w malownicze grupy.

W ostatniéj części, powieść hiszpańskiéj nabiera postawy: gonitwy, pojedynki, szturmy, przypominają rycerskie czasy Cyda; wszystko oddane z amfazą i komicznością hiszpańskich pisarzy. Gautier posiada w równéj mierze pojęcie piękna i wyobrażenie potworności śmiesznéj. Krew Rabelaigo płynie w tym talencie do marmuru greckiego podobnym. Żaden z piszących teraz Francuzów nie ma bogatszéj wyobraźni, ani wesołości szczerszéj. Gautier posiada jeszcze wesołość wewnętrzną, płodną w pocieszne pomysły i niespodziane żarty wyższéj komiki, cechującéj talent Arystofanesa: nie wyszydza półgębkiem, ani drwi pocichu, ale śmieje się głośno, jak upojeni nektarem bogowie śmiać się musieli patrząc na robaczą małość śmiertelników.

Wszystkie opisy cechuje wykończenie, będące ostatniém słowem wykonania. Czy Gautier maluje zwaliska zamku, czy karczmę, czy profil miasta, czy sielską zagrodę; czy opowiada biesiadę, czy pojedynek, twarz, czy odzienie, zawsze tak właściwemi słowy, wyrażeniem tak trafném, że zadziwi filologa, a zachwyci artystę. Mnóstwo kolorów, a żadnéj pstrocizny na téj palecie, w któréj wszystko się odzwierciadla. Każda rzecz tu zarówno dociągnięta; każda figura wykończona, jakby była bohaterem; nie ma postaci podrzędnych: każda osoba na swojém miejscu jest główną. Nawet zwierzęta zaklęte czarodziejstwem stylu, nabierają indywidualności, która ich od reszty ich rodzaju wyróżnia.

*Kapitan Fracasse* znaczy epokę w piśmienniczym zawodzie Teofila Gautier: świetny ten pisarz wszedł w pełnią talentu, w któréj artysta opanowawszy styl jak muzyk swój instrument, może wyrazić wszystkie swoje marzenia i nadać myśli kształt skończony.

---

Michał Nicolas, uczony oryentalista i professor, wydał nowe studyum religijne, pod tytułem: „*Etudes critiques sur la Bible*". Głośne dzieło Renana obudziło tu wielkie zamiłowanie w tego rodzaju badaniach, książka więc znalazła mnogich czytelników. Jest ona dopełnieniem wydanych przed dwoma laty badań Starego Testamentu: badanie *Nowego* napisane w tymże duchu i wedle podobnego planu.

Autor nie troszcząc się o dogmata, sprowadza pierwotny chrześcianizm na grunt historycznéj rzeczywistości. Dla tego, nie zważając na późniejsze legendy trzymał się tylko faktów podanych przez pierwsze dokumenta kościelne, które mówią i objaśniają się same. Nie jestto atoli obraz zupełny pojęć i literatury kościoła pierwotnego, lecz tylko badanie trzech najważniejszych kwestyj dotyczących Nowego Testamentu.

Pierwsze studyum bada ewangelie. Autor oznacza charakter tych czterech dokumentów, ich stosunek względem siebie i sposób, w jaki ułożone były.

Drugie studyum odnosi się do apostołów: autor bada, w jaki sposób pierwsi propagatorowie nowéj wiary pojmowali zasady Mistrza.

Trzecie studyum roztrząsa układ kanonów. Autor tłumaczy, z powodu jakich okoliczności, 27 pism rozmaitych, tworzących Nowy Testament, a w zasadzie od siebie różnych, zostały razem połączone.

Zbyteczna zwracać uwagę na węzeł wiążący trzy powyższe studya: sam on wpada w oczy czytelnikowi; lepiéj przytoczyć tu wynik poszukiwań autora.

W XI wieku badania podjęte przez Nicolasa zajmowały już pisarzy duchownych i od tego czasu nie przestały zwracać uwagi teologów. Nie dopiero dzisiaj spostrzeżono, że nasze cztery ewangelie nie w zupełnéj z sobą pozostają zgodzie. Różnica ta od niepamiętnych czasów zakłócała wiarę wiernych, a przeciwnikom chrześcianizmu dostarczała powodów do powątpiewania o ich historycznéj prawdzie. Wykłady Ojców kościoła nie rozproszyły ciemności. Jeszcze w końcu Vgo wieku znalezli się ludzie, którzy, jak powiada ś. Augustyn, nie uważali ewangelii za opowiadanie prawdziwe. Ażeby ich zmusić do milczenia, biskup Hippony, napisał wymowną rozprawę usiłującą dowieść zupełnéj zgodności ewangelij.

Tenże sam temat późniejsi pisarze duchowni podejmowali wielokrotnie. Na poparcie swoich wniosków nagromadzili przypuszczeń co niemiara; mimo to kwestya na krok nie postąpiła; fakt pozostał: ewangelie nie zgadzają się z sobą.

W obec tego pewnika, mniéj stronni krytycy, zamiast przeczyć oczywistości, przyznają, że ewangelie w głównych punktach nie zgodne, i starają się to wytłumaczyć konieczną różnicą podań, niedostatecznością zebranych objaśnień, nakoniec, odrębnym celem piszących i rozmaitemi wnioskami, jakie z historyi pierwszego wieku ery chrześciańskiéj wyciągnęli.

Do rzędu tych ostatnich krytyków należy Nicolas. Pogląd też jego sprawiedliwy i mniéj od prawdy dziejowéj odległy: nie naciągając tekstu, usiłuje uchwycić jego rzeczywiste znaczenie.

W drugiém studyum zawartém w książce, o któréj mowa, autor na pewniejszym opiera się gruncie.

Jest prawdą stwierdzoną pismami apostołów, że nauka Chrystusa była dwojako zrozumianą przez pierwszych Jego uczni; że się dzielili na dwa stronnictwa: jedni uważali nowe przepisy za prostą reformę judaizmu i pozostali na pół Żydami; drudzy wyżéj je pojmując, oddzielili od praw Mojżeszowych i uważali za religią powszechną powołującą do braterstwa ludzi wszelkiéj narodowości. Na czele pierwszego stronnictwa stał Piotr; głową drugiego był Paweł.

Uczniowie obu tych apostołów przechowywali ich niezgodę: szerzyło się rozdwojenie w religii — należało zapobiedz złemu. Teologowie duchowni w tym razie nie więcéj zakłopotani, jak kiedy chodziło o niezgodność ewangeliów, postąpili podobnież: zaprzeczyli po prostu różnicy pojęć apostolskich.

Mimo to, niezgoda Piotra i Pawła, nie zagojona, długo różniła chrześcian. Nicolas nie mało na to przytacza dowodów; w końcu powiada: „Jeżeli Paweł nieinaczéj jak Piotr i Jakób pojmował chrześcianizm, cóż znaczą liczne opozycye, jakie napotykało pismo tego ostatniego w pierwszych wiekach, tak dalece, że długo niechciano go zamieścić w zbiorze pism świętych Nowego Testamentu? Opozycye te odnowili w wiekach średnich, chociaż nie śmiało, Hugo z Saint-Victor, Hugo z Saint Cher i Mikołaj Lyra, a w XVI stuleciu z gwałtownością zażartą, Luter, który list Jakóba zupełnie potępił? Co znaczą nad to, stałe a nieszczęśliwe usiłowania ortodoksów chcących koniecznie pogodzić teoryą Pawła *zbawienia przez łaskę*, z teoryą Jakóka, *zbawienia przez czyny*".

Fakt, który teologowie duchowni napróżno usiłowali zatrzeć nierozsądnym wykładem tekstu Pawła i Jakóba, Nicolas tłumaczy w sposób bardzo prosty: twierdzi on, że w zwykłym porządku rzeczy leży, iż nie wszyscy uczniowie jednako pojmują naukę swojego mistrza. Nie tylko wydaje mu się rzeczą naturalną, iż uczniowie podzielili się na dwa obozy w wykładzie zasad Zbawiciela, ale nawet objaśnia przyczyny tego rozdziału. Zdaniem jego, jak owo ziarno w przypowieści o *siewbie*, słowo Chrystusa

padło na dwie role rozmaicie do jego przyjęcia przygotowane. Wszyscy pierwsi chrześcianie, którzy uważali nową naukę za reformę judaizmu i nie chcieli zupełnie zerwać ze starą wiarą, pochodzili z Palestyny. Ci zaś, którzy widzieli w religii Chrystusa nową wiarę powszechną, pochodzili z helleńskiego odłamu rodziny Izraela. Ci ostatni, przez wychowanie tak różne od tego, jakie odebrali ich bracia z Palestyny, przez swe duchowe dążenia, przez niepodległość duchowi formuł panującemu w Jerozolimie, byli w stanie lepiéj zrozumieć wysokie znaczenie słów mistrza niż apostołowie judejscy. Jedni i drudzy żadną miarą jednako nauki Chrystusa pojąć nie mogli.

Daléj Nicolas zbija zdanie tych krytyków, którzy utrzymują, że Paweł przerobił dzieło Chrystusa, powiększył je, i potęgą swojego geniuszu, prostą reformę przeistoczył w religią powszechną. To przypuszczenie usuwa zupełnie ten fakt znany, że zanim Paweł przyjął nową wiarę, już powszechność jej popierali Stefan i Helleniści, którzy około niego się skupili, a którzy po jego smierci wypędzeni z Jerozolimy, pierwsi nauczali pogan ewangelii. Gdyby nie ta okoliczność, to i tak jeszcze, przypuszczenie takie byłoby w sprzeczności z ogólnym duchem nauki Chrystusa i mnóstwem własnych słów jego.

Tak tedy, dwa stronnictwa teologiczne, które stanęły naprzeciw siebie zaraz po zniknieniu mistrza, biorą początek w dwóch odłamach ludu izraelskiego: w łonie nowéj religii prowadzą daléj opozycyą, która istniała w judaizmie pomiędzy Żydami Palestyny a Żydami tułactwa. Chrześcianizm powszechny z towarzyszącą mu metafizyką religijną, tak w liście Pawła jako i w czwartéj ewangelii nie jest czém inném, jeno nauką Chrystusa widzianą przez oświatę alexandryjską i judejską religią, nie oderwaną, formułkową, a nader praktycznego ducha. Ostatni ten pogląd można nazwać palestyńskim wykładem chrześcianizmu.

Przytoczone przykłady, odnoszące się do pierwszego i drugiego studyum, wystarczą do oznaczenia stanowiska, z którego zapatruje się Nicolas na te ważne kwestye, które od początku naszéj ery nie przestawały zaprzątać teologów. „Teologia duchowna tłumaczy je zgodnie ze swoją

teoryą, powiada autor, my krytycy świeccy, patrzymy ze stanowiska historycznego, nie wdając się w żadne tendencyjne naciągania. Taka metoda wydaje nam się najlepsza, gdyż nie zmusza faktów do naginania się ku teoryi zbudowanéj *a priori*."

Studyum Nicolas'a napisane zupełnie w tym samym duchu co studyum Renana, nie mniéj uczenie, chociaż mniéj pięknym stylem, liczy się do znakomitszych dzieł religijnéj krytyki, która we Francyi coraz więcéj znajduje zwolenników, i niezadługo Niemców w téj galęzi badań doścignie.

---

Wyszedł tom listów uczonego Genewczyka Karola Sismondi. Dla pamięci nieboszczyka, szczęście to niepospolite. Zmarły przed dwudziestą laty, Sismondi był już prawie zapomniany. Dzieł jego ledwo wspomnienie zostało: wiedziano tylko, że napisał wielkie dzieło o republikach włoskich, drugie niemniéj obszerne o historyi francuzkiéj i parę rozpraw ekonomicznych; że był wolnomyślny, uczony bardzo i trochę nudny. Słuszne czy nie, takie było pojęcie, które sobie młode pokolenie o tym pracowitym i zacnym pisarzu wyrobiło.

Aż niespodzianie, w jakiéjś prowincyonalnéj bibliotece wynaleziono jego listy, które nagle rozjaśniły posępną fizyonomią starca. Zwykle dzieje się odwrotnie. Pod szanowną maską pisarza, znajdujesz charakter blady—czasami podły. Sismondi przeciwnie, okazuje się daleko znakomitszym człowiekiem niż pisarzem. W jego książkach bardzo zasmakować nie można; listy zaś jego budzą sympatyczne uszanowanie, często miłość dla tego, co je pisał. W poufnych zwierzeniach piękna dusza wybija co chwila—styl staje się naturalny, często rzewny i poetyczny.

Pan René Taillandier, wydawca tych listów Sismondego, poprzedził je przedmową, w któréj podaje biografią jego, oraz wizerunek jego matki, znakomitéj pod każdym względem niewiasty.

Karol Sismondi urodził się w Genewie 1773 roku, z rodziny toskańskiéj, która osiadła w Szwajcaryi po odwołaniu edyktu nantejskiego. Ojciec jego był pastorem

u stóp góry Salere. Karol skończywszy szkoły, został posłany do domu handlowego w Lyonie, ale rewolucya wnet go uwolniła od karyery, do której miał wstręt wrodzony. Powrócił do Genewy; ale i tu przyszła rewolucya sroga.

Z tych czasów datuje wypadek świadczący o silnym charakterze Sismondego. Nowa władza skazała na śmierć czterech zacnych urzędników miejskich. Jeden z nich ścigany, przybył się schronić do domu Sismondich na granicy terrytoryum genewskiego; pani Sismondi ukryła go w ogrodowym pawilonie, którego jedno okno wychodziło na terrytorum francuzkie, i powierzyła pieczę altany synowi. Ten w razie niebezpieczeństwa miał ostrzedz gościa i wyprawić go na ziemię francuzką. Pewnéj nocy czuwający Karol usłyszał mierzony krok żołnierzy... Biegnie do pawilonu, stuka, woła... naprożno: zbieg śpi jak zabity, a hałas się przybliża—nareszcie spostrzega żołnierzy zmierzających ku altanie. Zasłaby żeby drzwi wysadził. Sismondi postanawia ich bronić: zabiją mnie, jeżeli zechcą, myśli sobie, ale hałas walki obudzi ściganego i dozwoli mu uciec.

Karol szlachetne postanowienie spełnił—ale bezowocnie. Krzyk matki w chwili kiedy syn uderzony w głowę kolbą, padł bez zmysłów, zbudził nareszcie spiącego. Porwawszy się nagle, zamiast uciec oknem wychodzącém na stronę francuzką, zbieg otworzył to, które przyjaciel swojemi piersiami zasłonił i wpadł w ręce żołnierzy.

Rano, po téj okropnéj nocy, rodzina Sismondich modląca się ze łzami, usłyszała strzały, które przeszyły piersi czterech nieszczęsnych zbiegów.

Po tym wypadku, rodzina Sismondich powróciła do Toskanii. Tam Karol rozpoczął badania historyczne; ale wnet podejrzany Austryakom, dwa razy był więziony. Listy jego pisane do matki z więzienia, cechuje moc duszy i niezłomność przekonań. Jakim był w ośmnastu latach, takim całe życie pozostał: pełen wiary w wolność, gdyż ją uważał jako podstawę cnót społecznych; nie zdolny przeklinać wolności nawet wtedy, kiedy błądzi—nie zdolny był również, jednoczyć jéj z nieładem i rozpustą.

Pani Sismondi wywierała przeważny wpływ na syna: łączyła ich przyjaźń najczulsza. Sismondi w liście do hrabiny Albano, powiada: „Żaden stosunek nie jest tak ścisły jak matki z synem, jeżeli są dla siebie stworzeni, jeżeli jeden duch, jedno uczucie ich jednoczy; jeżeli przyuczą się wszystko sobie powierzać jako najlepsi przyjaciele; jeżeli gust, który im kazał wybrać siebie, połączy się z matczyną opieką i synowskim szacunkiem. Bardzo żałuję, że pani nie znasz mojéj matki; jestto osoba, którą najwięcéj kocham na świecie: co większa, osoba najmilsza jaką znam. Pani Staël jest genialniejsza, więcéj błyszczy; ale moja matka w niczém jéj nie ustępuje, ani w delikatności, ani w czułości, ani w wyobraźni; nawet wyższą jest od niéj słusznością i stałością zasad, czystością duszy, która ma dziwny powab w tak późnym wieku".

Tak kochał syn. Obaczmy teraz, jak matka jego kochała.

Pierwsze jéj listy odnoszą się do epoki, w któréj Sismondemu ofiarowano katedrę ekonomii politycznéj na uniwersytecie wileńskim. Przyjęcie było wynarodowieniem. Matka nie chciała narzucać swéj woli synowi, ale na samą myśl tego rozstania i téj expatryacyi, drżała... Łzy matki więcéj niż rozkaz jéj znaczą. Przyznać więc trzeba, że ona pozbawiła wileńską wszechnicę uczonego professora. Oto co pisze do syna z tego powodu: „Nie pytaj, jak ja *czuję* ten straszny interes wileński; zbyt wiele mnie kosztowało usunięcie tego uczucia. Ale czyżeś go nie odgadł? Czyżeś zapomniał, z czego moje szczęście złożone? Ty co się lękasz spędzić lat dziesięć zdala od ojczyzny, czyż nie wiesz, że te lat dziesięć, to więcéj niż wszystko co mi do życia pozostaje? Od chwili jak się zaczną, wszystko będzie dla mnie skończone! Nie mówię, że z tego umrę. Tylko w sile wieku zdaje nam się, że umrzemy z cierpień, które wyobrażamy sobie nieznośne; wtedy tylko wierzymy, że miara sił moralnych jest miarą życia. Skoro postarzejemy w burzach, dowiadujemy się, że one pomną, pogną i umęczą, ale nie zabiorą. *Zmartwienie szarpie życie, trzeba ciosu natury, żeby śmierć nastąpiła*".

Głęboką prawdę tych słów zrozumié każdy, kto cierpiał wiele. Wszystkie listy pani Sismondi odznaczają się mądrością i wysokością poglądu.

Po takim liście Karol odmówił katedry wileńskiéj i wziął się do pisania *Historyi rzeczypospolitych włoskich*. Z tego powodu matka daje mu następujące rady:

„Strzeż się wszystkiego, co zdaleka lub zblizka przypomina retorski sposób pisania filozofów 89 roku, którzy grzmią zaledwie otworzywszy usta. Ciepło powinno przychodzić z rozwinięcia. Miło jest dostrzedz pod popiołem ogień przed wybuchem; czytelnik chętniéj podziela uczucia autora, skoro do mety przybędą razem, stopniowo".

Zacząwszy pisać, Sismondi się zniechęcił, zwątpił o swém powołaniu dziejopisarskiém i o swoim talencie. Matka usiłuje go podnieść temi słowy:

„Martwi mnie nastrój, a raczéj *rozstrój* twojéj wyobraźni. Czemu wątpisz o sobie? Synu drogi nie upadaj! wyprostuj się! elektryzuj wszelkiemi sposobami, rozumié się, szlachetnemi i pewnemi. Dziecię moje zaklinam cię, nie dręcz serca zwątpieniami, których doznajesz; są one naturalném następstwem i potrzebą rzemiosła autorskiego: wszystko się od tego zaczyna. Mój Karolku, nie zniosę, żebyś źle mówił o literackim zawodzie. Przybądź, niech cię nauczę widzieć rzeczy z pięknéj strony; a jeżeli się tego odemnie nauczysz, niech się tém przed wszystkimi poszczycę. Kiedy mówię *z pięknéj strony*, jestto krasomówny kwiat, gdyż chcę tylko, żebyś był sprawiedliwy i konsekwentny. Bez wątpienia, literat dźwiga swoje właściwe brzemię, kiedy każde powołanie ma swoje, ale ciężar jego nie większy od wspólnego. Wielkie wstrząśnienia dotykają go pośrednio, trud, to jest praca, jest jedną z jego przyjemności; nagroda za nią często podwójna. Zaprawdę, gdybym mogła drugi raz się urodzić i wybierać, wybrałabym zawód literacki, jako najszlachetniejszy".

W innym liście, a propos Beniamina Constant, w którym Karol bardzo się rozkochał, matka stara się ustrzedz syna od lekkomyślnych przyjaźni. „Mów, co chcesz, ja ci powiadam, że Beniamin nie ma serca! Nie należy

zawiązywać łatwo, dlatego, żeby nie mieć potrzeby rozwiązywania, co jest zawsze rzeczą nader bolesną".

Kiedy Sismondi miał jechać z panią Staël do Włoch, które jéj natchnęły *Korynnę*, przenikliwa matka woła: „Śliczna podróż! ale bądź ostrożny. Podróż jest jak krótkie małżeństwo: zawsze i zawsze razem, zbyt się ludzie zblizka widzą, wady nie mają się gdzie skryć a od natury i od świata zepsute dziecko, jak ona, musi mieć wady, chociażby tylko rano, w chwilach zniecierpliwienia lub nudy; a ja znam kogoś, który zaraz się zżyma, skoro dopatrzy plamkę na tych, których kocha. Potrzeba tedy, żeby ten ktoś z podwójną uwagą śledził własne niedostatki, usiłował je zapełnić, na wady zaś towarzyszki, żeby nie patrzył wcale. Jużeś sobie sam musiał to powiedzieć, nie zawadzi powtórzyć. Gdybym mogła znaleźć ten pierścień czarowny, co to kłuje, ilekroć człowiek ma zbłądzić, posłałabym ci go dla większéj pewności".

Kończymy wyjątki z prześlicznych listów pani Sismondi, ustępem, gdzie mówi o tolerancyi religijnéj.

„Nic dziwnego, że ludzie nienawidzą tego, kto bezużytecznie zaczepia pojęcia, na których ich szczęście spoczywa. Mogą one być błędne, ale błędy oddawna przyjęte jeszcze szanowniejsze od tych, którebyśmy na ich miejsce postawić chcieli, gdyż nie znajduje koniecznie prawdy, kto systemat religii przyjętej obali. Jeżeli ta prawda nie jest objawioną, kryje się w nieprzejrzanych umysłem ludzkim ciemnościach. Zostaw więc w spokoju świętą Trójcę, Madonnę i Wszystkich Świętych. Dla tych, co do téj doktryny są przywiązani, to są kolumny trzymające gmach cały; jeżeli je usuniesz, runie. A wtedy cóż się stanie z duszami pozbawionemi wszelkiéj pociechy i nadziei? Pobożność jest jedną z najsłodszych miłości duszy, a najpotrzebniejszą do jéj spokoju. Wszyscy potrzebujemy wierzyć. Skoro myśliciel przestanie burzyć i obejrzy się po za siebie... O! jakże wtedy droga jego stromą i dziką mu się wyda! jakby chętnie chwałę podboju oddał za jednę słodką chwilę wiary i poezyi, która jeszcze prostaczkom ścieżki kwiatami uścieła"!

Sismondi stracił matkę w 1821 roku. Długo był niepocieszony. „Odczytuję jéj listy, mówi, i znajduję

w nich cudowne rzeczy! prawie nie smutne. Wskrzeszać tym sposobem matkę, słyszéć jeszcze jéj głos, jéj rady... to wiele! Ale, mocny Boże! cóż zostaje z tak ogromnéj miłości? Czy byćby mogło, że ona jeszcze gdzie jest? że o mnie myśli, czuwa nademną, składając jak dawniéj, całe szczęście swoje we mnie i pojąc się miłością, jaką dla niéj w sercu chowam... Ach! jakżebym chciał w to wierzyć, a raczéj zrozumieć to"!

W 1800 roku, kiedy Sismondi powrócił do Genewy, miał lat dwadzieścia ośm. Pisma uczyniły go już sławnym. W téj epoce był najczęstszym gościem w Coppet, nadlemańskiéj rezydencyi, gdzie Necker spokojnie dogorywał, a pani Staël ściągała mnóstwo wielbicieli; Sismondi należał do najpoddańszych. Zwiedziwszy z nią Włochy, towarzyszył następnie w podróży po Niemczech. Powiernik i przyjaciel nie może oczywiście zdradzać jéj tajemnic, ale z tego co pisze, widać, że autorka *Korynny* miała wówczas dla Beniamina Constant gwałtowną a nieszczęśliwą namiętność w sercu, może w głowie, która czasami wybuchała nakształt wulkanu i wrzącą lawą zalewała cierpliwego powiernika.

Sismondi żył także wówczas sercem. Zakochał się w Genewie, w dziewczynie bez majątku, należącéj do nizkiéj warstwy społecznéj. Chciał się koniecznie z nią żenić, ale pani Staël wybiła mu z głowy to małżeństwo. Ostateczny koniec walce położyła śmierć biednéj Lucylli: suchoty rozwinięte zmartwieniami, zabiły biédne dziewczę. Umarła, zostawiając w sercu Karola niezagojoną ranę. Praca odtąd stała się jego jedyną pociechą.

Wydawszy parę tomów swoich *Włoskich rzeczypospolitych*, zobowiązał się dostarczyć *Biografii Michaud'a* sto życiorysów sławnych Włochów. Poprzestając na literackich dochodach, odmówił professorskiéj katedry, którą mu ofiarowano w Genewie. Wszystkie wolne chwile przepędzał u pani Staël wraz z Beniaminem Constant i filozofem Schleglem, który był guwernerem jéj dwóch synów.

Z téj epoki są listy Sismondego od hrabiny Albano, które wydał pan Saint-René Taillandier. Można z nich mieć wyobrażenie dokładne o salonie pani Staël i o niéj saméj. Ktoby chciał opisywać tę grupę znakomitych ludzi,

których burze polityczne nad modry Leman zagnały, malować portrety, z których się składała, oraz przeniknąć tajniki ukrytych położeń, w listach Sismondego znajdzie farby do dzieła i klucz do niejednéj zagadki.

Na wstępie widzimy wizerunek saméj pani, skreślony z pięknéj i nie pięknéj strony. Oto pierwszy:

„Pani Staël jest przedewszystkiém namiętnością, zapałem. Gwałtownie potrzebuje być kochaną, a więcéj jeszcze kochać sama, przywiązać się i współczuć. Szlachetnéj litości jest pełna. Zapala się do wszystkich wielkich rzeczy, do wolności, wielkości i chwały; nigdy umysł naturalniéj nie podnosił się do ideału. Ztąd jéj geniusz. Ze wspaniałości płynie jéj wymowa; chce poruszyć, przekonać, działać. Dla tego jéj talent jest może nazbyt oratorski. Styl to nerwowy, zapalny, ale nie plastyczny, obrazy więcéj światłe, niż kolorowe. Pani Staël jest więcéj myślicielem, niż artystą".

Wady przyjaciołki równie jasno widzi Sismondi, jak zalety. „Jestem, powiada, w zupełnéj z nią zgodzie co do zasad politycznych; nie zupełnie zgadzamy się w uczuciach, któremi je otacza. Pani Staël w sądach swoich zwykle jest porywcza, pogardliwa i nienawidząca. Potęga zdaje się nadawać każdemu umysłowi też samą przywarę; pani Staël ma wady wspólne z Bonapartem. Jak on nie znosi wszelkiéj opozycyi: w dyskussyi, jak on, jest obelżywą. Nigdy nie postawi się na miejscu drugich, cały jéj rozum nie daje jéj pojęcia o tém, co nie jest nią... Nadto, skarżyć się lubi. Gdyby kto chciał słuchać bogatych, myślałby, że oni tylko są nieszczęśliwi. Dziwna rzecz, żeby zagrabiać wszystko, nawet nieszczęścia".

Skoro w 1814 roku pani Staël ogłosiła swoje zdanie o samobójstwie, Sismondi taki napisał komentarz do jéj wyobrażeń. „Pojęcia jéj o samobójstwie pochodzą z jéj charakteru, nie z rozumowania. Pani Staël jest niezmiernie trwożliwa; kobiety nie mają potrzeby być inne. Dawniéj obawiała się śmierci; teraz więcéj się boi djabła, a jeżeli wolicie, sądu ostatecznego. Bojaźń nie jest logiczną. Kiedy w młodości lękała się śmierci, uwielbiała też wszystko co jéj się nie lękało; samobójstwo, pojedynek wydawał jéj się szczytem bohatérstwa. Wiele złego

zrobiła swoim zapałem dla takich czynów, które rzeczywiście wymagają tylko nieco bardzo powszechnéj odwagi, a nie są bynajmniéj udziałem dusz wielkich. Odkąd *nawrócenie* napoiło ją większym strachem tego co będzie po śmierci, już nie mogła badać spokojnie, czy w systemacie choćby najreligijniejszym, samobójstwo nie mogłoby być dozwolone równie jak pojedynek w naturalnéj obronie, często potrzebnéj obronie honoru, obronie koniecznéj naszego spokoju, jako lekarstwo dostarczone przez naturę na bóle nieznośne, na które same jéj prawa mogą nas wystawić. Najczęściéj samobójstwo ani na pochwałę, ani naganę nie zasługuje, podobnie jak amputacya, któréj się poddajemy dla własnego interesu. Jestto jedno z tysiąca lekarstw, które mamy pod ręką, najenergiczniejsze. Zdaniem mojém pani Staël rozumuje niesłusznie i nie z dobrą wiarą; ale jest tam czułość i wymowa: ludzie téż od niéj wrażeń chcą, nie przekonania".

Powyższe tłumaczenie pojęć *Korynny*, nie bardzo pochlebne, wydaje nam się nader trafne.

W salonie pani Staël, po niéj saméj największe miejsce zajmuje Beniamin Constant. „Nie znałby pani Staël, powiada Sismondi, ktoby jéj nie widział z Beniaminem. On jeden ma moc dorównywającym jéj dowcipem rozbudzać całego jéj ducha, potęgować go sporem, podniecać wymowę i odsłaniać dno myśli, która tylko wobec niego otwiera się do głębi. On także sobą jest tylko przy niéj. Kiedy po śmierci pani Staël zobaczyłem go złamanego, nie mógłem uwierzyć, że to ten sam człowiek".

Sismondi, jak to powiedzieliśmy wyżéj, widział zblizka tę miłość, do któréj sceptyczna natura Constant'a nie zdawała się zdolna. A jednak kochał niewątpliwie, bo cierpiał. Cierpiał tak mocno, iż na uleczenie się użył dziwnego lekarstwa: kochanek geniuszu ożenił się z kobietą nadzwyczajnie ograniczoną. Posłuchajmy, co o tém małżeństwie mówi Sismondi. „Constant zrobił szczególniejszy wybór! Ludzie wyobrażają sobie często, że burzę grzmiącą w ich sercu wzniecił przedmiot ich miłości, i że ją uciszą, przywiązując siebie do wstrętnéj istoty. Uciekając od tego, co do nich podobne, chcą uciec od siebie

samych; ale to zły sposób. W takiém stowarzyszeniu dusza burzliwych ludzi traci swój polot, nie tracąc poczucia siebie saméj. Nie śmieją czuć, ani myśléć, żeby się nie urazić sprzecznością, podobnie jakby kto wyrzekł się grać na instrumencie z powodu fałszywéj struny, którą doń przyłączono. Po cierpieniach żywych, ale też żywą przeplecionych rozkoszą, musi nastąpić zniechęcenie do życia; ten co popełnił pierwsze samobójstwo, zabijając swój umysł połączeniem z istotą nizką, wydaje mi się na drodze do popełnienia drugiego. Chciałbym się omylić co do Beniamina, ale obawiam się, iż zrobił wszystko co należało, żeby się straszliwie unieszczęśliwić".

Wielce uczony krytyk niemiecki Wilhelm Schlegel dziwną grał rolę w Coppet. Pani Staël przywiozła go sobie z Niemiec w 1804 roku i poruczyła mu wychowanie swoich dwóch synów. Wyznaczając mu 12,000 franków pensyi rocznéj, miała i to na widoku, że się sama nie mało od tak światłego człowieka nauczy. Drożéj atoli tę wiedzę okupywać musiała; stosunek był trudny, często nieznośny. Schlegel nadęty pychą niezmierną, którą czyniła jeszcze drażliwszą zależność w jakiéj pozostawał, rzadko kiedy raczył się zadawać z otaczającemi go śmiertelnikami. Czasami tylko mieszał się do rozmowy. Sismondi powiada, że ilekroć pani Staël miała gości, guwerner stawał się gadatliwym, przybierał ton poufały i nazywał panią domu „moja kochana". Sismondi szczerze go nie lubił. „Jestto, pisze, pedant zarozumiały okropnie, który sądy swoje zawsze w sposób zelżywy wypowiada".

Daléj Sismondi opisuje hrabinie d'Albany rozmaitych sławnych ludzi, którzy odwiedzali panią Staël w Coppet. Wszyscy dostojni rodacy w przejeździe z Francyi do Włoch, składali czołobitność sławnéj wygnance. Odwiedzili ją, między innemi Montmorency, Sabran, Barante, pani Récamier, Chateaubriand i t. d. Ten ostatni podróżując po Szwajcaryi w 1805 roku, zajechał do Coppet z żoną. Wspomina te odwiedziny w swoich *Pamiętnikach* temi słowy:

„Zastałem panią Staël w jéj pałacu mieszczącym dwór zasmucony. Mówiłem jéj o jéj majątku i samotności, jako dwóch drogocennych środkach niepodległości i szczę-

ścia: tém ją zraniłem. Pani Staël lubi świat, uważa się za najnieszczęśliwszą z kobiet na wygnaniu, którém jabym był zachwycony. O cierpieniach się nie rozumuje; rzecz się ma z niemi jak z ojczyzną: każdy ma swoją".

Drugi, bezimienny mąż pani Staël, niejaki Rocca, przesuwa się tylko jako nie miłe widmo przez wspomnienia Sismondego. Ukazuje się właśnie w chwili wyjazdu pani Staël z Coppet. Część zimy 1811 i 1812 spędziła w Genewie. Tam poznała młodego oficera pana Rocca, który wtedy miał lat dwadzieścia pięć. Był bardzo piękny, choć kaleka. W wojnie hiszpańskiéj straciwszy nogę, przybył do Genewy na kuracyą ze zdrowiem zupełnie zrujnowaném. Obaczył panią Staël *przeszło* dwa razy starszą od siebie, zakochał się w niéj i wyjechali razem.

Wiadomo, iż w 1812 roku pani Staël postanowiła uciec ze Szwajcaryi. Wyjechawszy niby na spacer, połączyła się ze swą służbą i bagażami za granicą departamentu. Objechawszy Austryą, Rossyą i Szwecyą, wróciła do Anglii. Rocca towarzyszył jéj w téj podróży. Nie wiadomo czy już wówczas byli po ślubie czy jeszcze nie.

Cała ta wycieczka do rozpaczy przywodzi Sismondego. Z początku usiłuje wszelkiemi siłami usprawiedliwić przyjaciółkę: ostro zbija krzywdzące ją zarzuty. Skoro się dowiedział o tajemném małżeństwie, ubolewa nad tym związkiem „nie tylko śmiesznym z powodu różnicy wieku, ale bardzo nie dobranym pod każdym względem". Mąż ten umarł w kilka miesięcy po śmierci pani Staël. Sismondi nie pochlebny kreśli mu nagrobek: „Nieszczęście jego byłoby zapewne wielkie, gdyby miał serce, ale mam pewne wątpliwości w tym względzie. Nie mógł nic lepszego zrobić jak umrzeć. Dla jego i jéj honoru, szkoda że tego wcześniéj nie uczynił".

W 1817 roku przywieziono do Coppet na wieczny odpoczynek, ciało téj, która przez lat wiele ożywiała to piękne miejsce blaskiem swojego geniuszu. Pogrzeb pani Staël odbył się w obec najbliższych przyjaciół, do których i Sismondi należał. Żal jego jest głęboki..

„Stało się! woła, zamknięty dla mnie błogi kątek, gdzie było mi tak dobrze! Zgasła latarnia czarnoksięska, w któréj przed memi oczyma przesunął się świat. Życie moje

boleśnie zmienione. Ach! jakże cierpiałem w dniu pogrzebu! Piękna mowa pastora, uprzytomniła mi w myśli całą stratę moją... płakałem rzewnemi łzami!"

Któżby nie zapłakał w chwili, kiedy klęcząc przy otwartym grobie widzi wstępującą weń, wraz z ukochaną osobą, całą szczęśliwą przeszłość swoją; kiedy czuje że najlepsze się przeżyło, że zostają tylko troski i niesmaki. Ta pierwsza garść ziemi, co padłszy na trumnę tak okropne wywołuje echo, przysypuje zarazem w ściśniętém sercu cały świat wspomnień; wszystko co wydawało się nieśmiertelne, co tu nam było niebem, staje się zimną mogiłą: szczęśliwy komu na niéj kwiat nadziemskiéj nadziei zakwitnie!

---

— Pod tytułem: „*Réformateurs et Publicistes de l'Europe*" członek Instytutu Franck wydał znakomitą pracę historyczną. Jestto zarazem wykład sławnych doktryn i żywa opowieść walk stoczonych za sprawiedliwość, przez wielkich myślicieli wieków średnich i odrodzenia, jak św. Tomasz z Akwinu, Dante, Wilhelm Ockam, Savonarola, Tomasz Morus, Jan Bodin i t. d. Przedmiot rozległy i wzniosły: pan Franck na jego wysokości stanął.

— Proudhon przygotowuje do druku nowe dzieło pod napisem „*Les Traités de 1815*".

— Pan About robi korrektę nowego utworu swojego, który wyjdzie niebawem pod tytułem: „*Le Progrès*".

— Członek Instytutu Laboulaye, wydał pod napisem: „*Contes bleus*" tom ładnych powieści dla dzieci, ozdobiony kształtnemi drzeworytami. Wyobraźnia żywa i myśl zacna autora, nadaje tym powiastkom wartość nie poślednią.

— Dział książek pedagogicznych zbogacił pan Sayons znakomitą pracą pod tytułem: „*Conseils à une Mère sur l'éducation littéraire de ses enfants*".

Do lepszych dzieł tegoż rodzaju, należą jeszcze: „*Lettres sur les Revolutions du globe*" pana Bertrand; „*Les avantures du petit Parisien*" przez Alfreda Bréhat; i „*Les Tempêtes*" przez pana Margollé.

— Wyszedł XIIty tom „*Biblioteki Narodowéj*" (Bibliothèque Nationale). Zawiera sławne mowy Stefana de La Boétie „o służebności dobrowolnéj". Piękne te rozprawy dotąd zakopane w dziełach zupełnych Montaign'a, czytają się jak rzecz zupełnie nowa, tém więcéj, że pisane były na wyrost.

— Wkrótce opuszczą prassę: „*Entretiens sur la pluralité des Mondes*" Fontenella, i zajmująca *Historya Cromwella* przez pana Jeudy Dugour, któréj tom sprzedawany będzie po 25 centimów.

— Pan Karol Monselet lekkiém swém piórem zakreślił zajmującą galeryą portretów pod tytułem: „*Les originaux du Siécle dernier*".

— Wyszedł drugi tom „*Nowych Poniedziałków*" (Nouveaux Lundis) pana Sainte-Beuve. W tym zbiorze artykułów akademickiego krytyka, znajduje się uczony rozbiór dzieł Biot'a; polityczno-niewieście Studyum Katarzyny IIgiéj i filozoficzny pogląd na badania Ernesta Renan.

— „*L'Amérique telle qu'elle est*". Pod tym napisem, pan Oskar Commettant wydał szkic obyczajowy, który tu uważają za najdokładniejszą fotografią Nowego świata.

— Minister oświecenia wysłał do Jerozolimy w missyi naukowéj, członka Instytutu pana Saulcy. Uczony archeolog ma badać na nowo, judejskie pomniki w ogóle, a w szczególności te, które się znajdują za Jordanem, w okolicach dotąd mało znanych. Pan Saulcy mniema znaleźć tam, potwierdzenie pojęć swoich o sztuce judejskiéj.

Pojechali z nim na Wschód pp. Salzmann, szczęśliwy exploatator Camiros'u; ksiądz Michon, od dawna wtajemniczony w starożytności Ziemi świętéj i kapitan sztabu Gélis, autor karty geograficznéj znaczniejszéj części Syryi.

— Umarł nagle w tym miesiącu, w siedmdziesiątym roku życia, znakomity rzeźbiarz francuzki Foyatier, twórca posągu Spartakusa i Joanny d'Arc.

# RYS HISTORYCZNY PRZEMIAN RADY STANU,

W JEJ ATTRYBUCYACH, W SKŁADZIE ORGANICZNYM I KOMPLETACH, W TOKU EPOKI OD ROKU 1807 AŻ DOTĄD.

---

Do walnych zadań prawa publicznego, *jus publicum*, utwierdzającego system i porządek organiczny rządu krajowego; podział i atrybucye władz rządowych i obowiązki urzędników wykonawczych, począwszy od najwyższych stopni i schodząc do najniższych szczebli: należy zaiste organizacya korporacyi i władzy powoływanéj do przestrzegania i postępowego rozwijania ogólnego porządku publicznego organicznego.

W nowożytnéj Francyi, w prądzie wywrotu stanu społecznego feudalnego i średniowiecznego, powstał i ustalił się nowy system prawa publicznego, początkującego od dwóch najwyższych władz rządowych, a mianowicie od władzy wykonawczéj i władzy prawodawczéj, a wyróżniający ku sterowi i działaniu obu tych władz *Radę Stanu* i Radę ministrów; jako też pod względem bezpośredniego zarządu, dwa główne a niezawisłe od siebie organa rządowe: administracyi publicznéj i sądownictwa.

System ten organiczny rządowy doszedł do kraju tutejszego, mocą ustawy konstytucyjnéj byłego Księztwa Warszawskiego z dnia 22 lipca 1807 roku, a dochował się w walnych swoich założeniach i rysach, zwłaszcza co do administracyi publicznéj i sądownictwa do dni naszych, pomimo zmian politycznych utworzeniu Królestwa Polskiego z konstytucyą z d. $^{15}/_{27}$ listopada 1815 roku i pó-

źniejszemu jéj zastąpieniu statutem organicznym Królestwa z dnia 24 lutego 1832 roku, jako też nawet ustawie z dnia 24 marca 1842 roku o Warszawskich departamentach IX i X Rządzącego Senatu towarzyszących.

Rada Stanu, w ogólności, powołaną była do skoncentrowania w swojém łonie, wiedzy i działania odnoszącego się do toku i steru wszelkich kierunków rządu krajowego.

W epoce téj od r. 1807, aż dotąd, prócz wymienionych *trzech* głównych statutów krajowych, zapadło koleją zmian prawa publicznego, *pięć* organizacyj Rady Stanu, oraz szósta, przeobrażająca Radę Stanu na Ogólne Zebranie Warszawskich departamentów Rządzącego Senatu, a mianowicie: dwie za byłego Księztwa Warszawskiego, pierwsza o atrybucyach Rady Stanu z dnia 24 grudnia 1807 r., druga z dnia 14 września 1810 roku jéj procedurę rozwijająca; następnie w okresie Królestwa Polskiego *trzy*, właściwie cztery, a mianowicie pierwsza z d. 19 listopada (1 grudnia) 1815 roku, pod powagą konstytucyi Królestwa; druga z dnia $^{12}/_{24}$ grudnia 1832 roku i trzecia dotycząca przemiany Rady Stanu na Ogólne zebranie warszawskich departamentów R. S. z dnia 26 marca 1842 roku: obie te pod powagą statutu organicznego Królestwa z dnia 24 lutego 1832 r.; nakoniec czwarta z dnia 24 maja (5 czerwca) 1861 r.

Nim się powie o organicznych przemianach kształtu, składu i kompletów Rady Stanu, wprzód jéj powołanie, znaczenie i atrybucye, przy początkowaniu od konstytucyi lub statutów krajowych, wyłuszczyć potrzeba, gdy dla osiągnięcia poglądu ogólniejszego i uchwycenia wątku, poznanie istoty rzeczy, wystawę i oblicze formy poprzedzić powinno.

Atrybucye Rady Stanu znachodzą się: w konstytucyi b. Księztwa Warszawskiego, w artykułach 14 i 17; w konstytucyi Królestwa Polskiego w artykule 73; w statucie organicznym Królestwa, w artykule 29; nie mniéj w organizacyach Rady Stanu b. Księstwa Warszawskiego, według pierwszéj z r. 1807, w tytule II artykułach 5 i 18; według drugiéj z r. 1832, w napisach tytułów II, III, IV i V; w organizacyach Rady Stanu Królestwa, według

pierwszéj z r. 1815 w tytule III o Zgromadzeniu Ogólnem Rady Stanu, w rozdziałach I, II, III, IV, V; według drugiéj z r. 1832 w całym rozwoju działań Rady Stanu; następnie w ustawie co do Ogólnego Zebrania Warszawskich departamentów R. S. w artykułach 84 i 85; nakoniec po zniesieniu tego Ogólnego Zebrania, w najnowszéj organizacyi Rady Stanu z r. 1861 w tytule II co do tak zwanego Składu Sądzącego; w tytule III co do Ogólnego Zebrania.

W krótkim okresie byłego Księztwa Warszawskiego, powołanie Rady Stanu, stosowanie do artykułów 15 i 17 ustawy konstytucyjnéj tegoż Księztwa, oraz organizacyi pierwotnéj Rady Stanu, w tytule II §§fach 5, 18, 19, 20 i 21 jéj atrybucye szczegółowo wytykających; niemniéj drugiéj, głównie jéj procedurę rozwijającéj, polegało.

I. w zakresie władzy prawodawczéj na roztrząsaniu, układaniu i stanowieniu, raczéj wykończeniu *projektów* do praw i urządzeń administracyi publicznéj.

II. w zakresie władzy wykonawczéj, *pouvoir executif*,

*a.* na roztrząsaniu każdego roku, generalnych etatów czyli budżetu dochodów i wydatków; na roztrząsaniu generalnéj repartycyi na departamenta (ziemskie) podatków, oraz na rozważaniu ogólnego systematu zarządu dóbr narodowych.

*b.* na rozpoznawaniu sporów czyli kollizyi juryzdykcyjnych między administracyą publiczną, a sądownictwem zajść mogących; na sprawowaniu *sądu kassacyjnego* według oddzielnéj organizacyi tegoż sądu z dnia 3 kwietnia, 1810 r.; na sprawowaniu oddzielnego sądownictwa administracyjném zwanego, *in merito*, w drugiéj i ostatniéj instancyi.

*c.* na rozpoznawaniu (dyscyplinarném) skarg, z urzędu lub prywatnie zaniesionych przeciwko urzędnikom administracyjnym, przez króla mianowanym, ku oddawaniu ich pod sąd kryminalny, za przewinienia w obowiązkach urzędowania.

W następnym okresie Królestwa Polskiego, polegającym na kolejnych modyfikacyach rządu krajowego, według ustawy konstytucyjnéj z r. 1815 i statutu organi-

cznego z r. 1832, powołanie Rady Stanu, w miarę artykułu 73 tejże ustawy i artykułu 29 tegoż statutu, jako też według odpowiednich kardynalnym Statutom krajowym organizacyi Rady Stanu, jednéj z r. 1815, drugiéj z r. 1832 zachowało barwę jednostajności:

I. w zakresie władzy prawodawczéj co do roztrząsania i układania wszelkich projektów do nowych praw i urządzeń administracyjnych, do ogólnego zarządu Królestwa zmierzających.

II. w zakresie władzy wykonawczéj.

*a.* co do roztrząsania każdego roku sprawozdań głównych wydziałów rządowych o postępie administracyi i stanie funduszów publicznych, a w téj kategoryi, według brzmienia Statutu organicznego Królestwa z r. 1832 co do przejrzenia budżetu rocznego o dochodach i wydatkach Królestwa;

oraz raportów kontrolera generalnego, czyli prezesa izby obrachunkowéj, co do rewizyi rachunków różnych gałęzi zarządu;

*b.* co do rozwiązywania sporów juryzdykcyjnych między władzami administracyjnemi a sądowemi;

*c.* co do oddawania pod sąd urzędników administracyjnych przez Króla lub w Jego imieniu mianowanych, za przestępstwa w urzędowaniu.

Atrybucye te Rady Stanu, z wyłączeniem z nich wszakże „rozpatrzenia budżetu przychodów i wydatków, tudzież sprawozdań wydziałów naczelnych zarządu krajowego".

w skutek Najwyższego ukazu z dnia $^{6}/_{18}$ września 1841 r. (tom 27 Dz. Pr.) ustawą z dnia 26 marca v. s. 1842 r. o Warszawskich departamentach IX i X Rządzącego Senatu i ogólném ich zebraniu) według jéj artykułów 84 i 85 przeniesionemi zostały na Ogólne Zebranie Rządzącego Senatu, w miejsce usuniętéj Rady Stanu ustanowione z tém nadmienieniem, że do kategoryi sporów juryzdykcyjnych i spory o zakres władzy między władzami duchownemi a sądowemi, oraz między samemi władzami duchownemi (odnośnie do prawa o małżeństwie z r. 1836) należą; że nadto do kategoryi dotyczącéj oddawania pod sąd urzędników przez króla mianowanych,

wchodzi i rozpoznawanie zarzutów senatorom i członkom senatu poczynionych o przestępstwa w urzędowaniu.

Przypomnieć tu przychodzi, że konstytucya byłego Księztwa Warszawskiego w artykule 17, jakotéż odpowiednia jéj organizacya Rady Stanu zamieściły między atrybucyami Rady Stanu rozpoznawanie *sporów w rzeczach administracyjnych, du contentieux de l'administration*, obejmujące w sobie z jednéj strony sprawowanie tak zwanego sądownictwa administracyjnego, z drugiéj rozstrzyganie kwestyj kompetencyjnych w zakresie administracyi publicznéj wyniknąć mogących: czy spór rozwiązania wymagający, ulega bezpośredniéj samodzielnéj decyzyi administracyjnej, czy rozpoznaniu i zawyrokowaniu sądu administracyjnego.

O téj materyi i atrybucyi Rady Stanu nie ma żadnéj wzmianki ani w konstytucyi Królestwa z r. 1815 i odpowiedniéj jéj organizacyi Rady Stanu z tegoż roku, ani w Statucie organicznym Królestwa z r. 1832 i odpowiedniéj mu organizacyi Rady Stanu z tegoż roku, ani w ustawie o warszawskich departamentach IX i X Rządzącego Senatu z r. 1842.

Pomimo to wydane jeszcze pod dniem 20 lutego 1816 r. przez Namiestnika królewskiego w Radzie Stanu postanowienie, którém z powodu zaległych, jakotéż wówczas bieżących sporów administracyjnych, ostateczne tychże sporów rozstrzyganie osobno utworzonéj *Delegacyi administracyjnéj*, tymczasowo poruczoném zostało, przypuszcza, że atrybucya ta w zwykłym porządku do Rady Stanu należy.

Dopiéro po zaprowadzeniu, postanowieniem Namiestnika królewskiego w Radzie Stanu z dnia 3 lutego 1816 r., organizacyi władz administracyjnych wojewódzkich, według konstytucyi z r. 1815, jakotéż po powoływaném postanowieniu z dnia 20 lutego 1816 r., zapadło *postanowienie królewskie* z dnia 30 marca (11 kwietnia) 1817 r., które obok poruczenia sądownictwa *tymczasowego* w sporach administracyjnych komissyom wojewódzkim, w miejsce dawnych rad prefekturalnych, w artykule 2 wyrzekło: *„że atrybucya Rady Stanu byłego Księztwa Warszawskiego, co do sądownictwa sporu administracyjnego, pozostaje przy*

*Radzie Stanu Królestwa*", a tylko do dalszego czasu tymczasowe sprawowanie tegoż sądownictwa w zastępstwie Rady Stanu, przy powyższéj Delegacyi administracyjnéj zachowało.

Ta zaś tymczasowa władza Delegacyi administracyjnéj ustała na mocy postanowienia Księcia Namiestnika w Radzie Stanu z dnia 26 listopada 1822 r., zwracającego odtąd *ostateczne sądownictwo sporów administracyjnych do Rady Stanu*, a wskazującego jéj oraz porządek i prawidła postępowania podług organizacyi Rady Stanu, oraz organizacyi wewnętrznéj ogólnego zgromadzenia téjże Rady, obydwóch z d. 19 listopada (1 grudnia) 1815 r., tudzież postanowienia królewskiego z dnia 30 marca (11 kwietnia) 1817 r., poruczającego komissyom wojewódzkim tymczasowe sprawowanie sądownictwa administracyjnego; nakoniec postanowienia Namiestnika król. w Radzie Stanu z dnia 20 lutego 1816 r. o Delegacyi administracyjnéj, w postanowieniu z dnia 26 listopada 1822 r. w artykule 22 mylnie uchwałą najwyższą zwanego.

W przewidzianych tu *prawidłach postępowania* co do spraw sporu administracyjnego, organizacya Rady Stanu z r. 1832, na Statucie organicznym Królestwa oparta, ani późniejsza ustawa o Warszawskich departamentach IX i X Rządzącego Senatu i jego ogólném zebraniu, ani najpóźniejsza organizacya Rady Stanu z r. 1861, żadnéj zmiany nie przedsiębrały i dlatego dotąd za normę postępowania w sądownictwie administracyjném służyć powinny.

W duchu dawniejszych organicznych attrybucyj Rady Stanu, zaprowadzona Najwyższym ukazem z dnia 24 maja (5 czerwca) 1861 r. organizacya téjże Rady podzieloném na dwa oddziały, a mianowicie na *Ogólne zebranie* i tak zwany *Skład sądzący*, wydzieliła:

I. Dla Ogólnego zebrania Rady Stanu *rozpoznawanie*:

*a.* projektów do nowych praw, ustaw lub organizacyj, odnoszących się do ogólnego zarządu Królestwa, a przygotowanych przez właściwe organa rządowe, z polecenia Najwyższego lub Namiestnika;

*b.* rocznego budżetu dochodów i wydatków Królestwa;

*c.* sprawozdań Zwierzchnich wydziałów rządowych administracyjnych, do których i komissya rządowa

sprawiedliwości się liczy, oraz izby obrachunkowéj i raportów oddzielnych kontrolera generalnego czyli prezesa izby obrachunkowéj, co do obrotu funduszów Królestwa; niemniéj komissyi umorzenia długu krajowego;

*d.* przedstawień rad gubernialnych, dawniéj wojewódzkiemi lub obywatelskiemi, a jeszcze dawniéj departamentowemi zwanych; nakoniec

*e.* podawanych do Rady Stanu przez prywatne osoby próśb i skarg na nadużycia urzędników lub naruszenie przez nich ustaw.

II. dla składu sądzącego Rady Stanu rozpoznawanie:

*f.* decyzyj wydziału spornego Rady Stanu w przedmiotach heraldycznych;

*g.* sporów jurysdykcyjnych między administracyjnemi a sądowemi władzami, tudzież sporów o zakres władzy między sądami duchownemi a cywilnemi lub między samemi sądami duchownemi (różnych wyznań);

*h.* sporów sądownictwu administracyjnemu ulegających;

*i.* sporów z ustawy celnéj; nakoniec

*k. czynienie wniosków* względem oddawania pod sąd, za wykroczenia w urzędowaniu, urzędników następujących, a mianowicie: członków Rady Administracyjnéj i Rady Stanu, sekretarza Stanu; senatorów lub członków Senatu; naczelnych prokuratorów; członków Komissyj Rządowych; gubernatorów cywilnych; w ogólności urzędników Najwyżéj mianowanych lub zatwierdzonych.

Po szczegółowém wyliczaniu materyalnych atrybucyj Rady Stanu, według toku ubiegłéj od r. 1807 epoki, nasuwa się sama z siebie uwaga: że to proste ich wyszczególnienie nie wyświeca istotnego w porządku organicznym rządowym i społecznym znaczenia Rady Stanu, zwłaszcza że używane w całéj téj epoce techniczne wysłowienia „że Rada Stanu rozpoznaje, roztrząsa, układa, stanowi, decyduje, rozwiązuje lub czyni wnioski" pozostawiają wszelką niepewność pod względem *mocy stanowczéj lub ostatecznéj*, jakaby do rozmaitych atrybucyj lub działań Rady Stanu przywiązaną być mogła.

Z téj strony zapatrując się na atrybucye Rady Stanu, uderza to spostrzeżenie, że Rada Stanu byłego Księztwa Warszawskiego żadnéj w niczém nie używała władzy stanowczéj lub ostatecznéj, gdy wszystkie jéj obradowania, decyzye lub *wyroki*, bądź to do przedmiotów prawodawczych, bądź to do działań władzy wykonawczéj, bądź to do orzeczeń administracyjnych lub sądowniczych odnoszące się, podług ustawy konstytucyjnéj byłego Księztwa Warszawskiego, w artykule 18, oraz organizacyi Rady Stanu pierwszéj z r. 1807 w art. 9, drugiéj z r. 1810 w artykułach 33, 70, 99 i 113, *zatwierdzeniu* króla ulegały, a tém samém zmienionemi lub usuniętemi być mogły.

Sprawowała wprawdzie Rada Stanu tegoż Księztwa, z mocy artykułu 16 ustawy konstytucyjnéj, jakoteż artykułu 5 organizacyi pierwotnéj, powołanie *sądu kassacyjnego;* lecz wyroki interpretacyjne tegoż sądu w materyi prawa lub postępowania cywilnego lub kryminalnego, z wątku swojego ulegały bądź uznaniu sądów ostatecznie *in merito* wyrokujących, bądź deklaracyi interpretacyjnéj króla, stosownie do oddzielnéj organizacyi sądu kassacyjnego z dnia 3 kwietnia 1810 r. artykułu 19, albo téż co do oddawania wyższych urzędników sądowych oraz sędziów pokoju pod sąd kryminalny lub uznania ich za zasługujących na dymissyą, decyzyi króla, według artykułu 101 tejże organizacyi. Same tylko spory kompetencyjne lub sprawy o wyznaczenie sądu lub odesłanie sprawy do innego sądu, Rada Stanu jako sąd kassacyjny załatwiał ostatecznie, z mocy artykułów 22, 77 i 91, téjże organizacyi kassacyjnéj.

Dopiero Rada Stanu Królestwa Polskiego, z mocy konstytucyi tegoż Królestwa z r. 1815, artykułu 75, tudzież organizacyi Rady Stanu z tegoż roku, artykułów 37 i 52, niemniéj artykułów 2 i 3 postanowienia królewskiego z dnia 30 marca (11 kwiet.) 1817 r., tymczasowe sprawowanie sądownictwa administracyjnego komissyom wojewódzkim w pierwszéj instancyi poruczającego, uposażoną została *władzą ostatecznego wyrokowania* w trzech materyach rozpoznawaniu Rady Stanu ulegających a mianowicie:

*a.* co do sporów jurysdykcyjnych między władzami administracyjnemi a sądowemi,
*b.* co do spraw sądownictwu administracyjnemu podpadających;
*c.* co do oddawania pod sąd kryminalny urzędników administracyjnych przez króla mianowanych.

We wszystkich innych materyach atrybucye Rady Stanu Królestwa pozostały na równi z atrybucyami Rady Stanu byłego Księztwa Warszawskiego.

Późniejszy jednakże Statut organiczny Królestwa z dnia 14 lutego 1832 r., konstytucyą z r. 1815 zastępujący, w artykule 38, jako też oparta na nim organizacya Rady Stanu z tegoż roku, w artykułach 47, 58 i 50, powróciły do dawniejszéj teoryi stanowionéj, wymagając na nowo zatwierdzenia przez namiestnika orzeczeń Rady Stanu co do sporów jurysdykcyjnych; zaś decyzyi Najwyższéj co do oddawania pod sąd urzędników najwyższych a mianowicie: dyrektorów głównych; kontrollera generalnego; członków Rady Administracyjnéj i Rady Stanu, oraz Komissyj Rządowych, przy zachowaniu wszakże ostateczności wyrokowania Rady Stanu w tym względzie co do innych urzędników administracyjnych przez Cesarza i Króla lub w Jego imieniu przez Namiestnika nominowanych.

Gdy tenże statut organiczny Królestwa i odpowiednia mu organizacya Rady Stanu, w materyi powyżéj pod lit. b namienionéj nic nie wyrzekły: przeto przyjąć należy, że ostateczność wyrokowania w sprawach sądownictwu administracyjnemu ulegających, na poprzedzających postanowieniach i zasadach, przy Radzie Stanu pozostała.

W systemacie tym organicznym ustawa o Warszawskich Departamentach IX i X Rządzącego Senatu, z roku 1842 według artykułu 87, żadnéj zmiany w stosunku do Ogólnego Zebrania Rządzącego Senatu nie przedsiębrała, prócz policzenia w art. 85 do kategoryi sporów jurysdykcyjnych, sporów o zakres władzy sądów duchownych, odnośnie do prawa o małżeństwie z r. 1836.

Stan atrybucyi Rady Stanu, w miarę jéj ostatniéj organizacyi z dnia 24 maja (5 czerwca) 1861 r., w ogólności odpowiada panującemu w toku ubiegłéj epoki syste-

matowi organicznemu rządowemu, a w szczególności Rada Stanu w Ogólném swém Zebraniu mając poczytane sobie obrady do władzy prawodawczéj i do władzy najwyższéj wykonawczéj odnoszące się, tém samém do sprawowania władzy ostatecznych orzeczeń nie jest upoważnioną; zaś w Składzie Sądzącym, o ile jéj atrybucye do rozpoznawania sporów lub spraw w stosunku i w miarę interesu rządowego i społecznego cząstkowych, szczegółowych, jednostkowych się odnoszą, o tyle wykonywa władzę stanowczego i ostatecznego wyrokowania; o ile się zaś do ogólnego systematu i porządku organicznego rządowego i społecznego ściągają, o tyle jéj decyzye wymagają zatwierdzenia Najwyższego lub Namiestnika. Stosownie do kardynalnéj téj zasady Rada Stanu w Składzie Sądzącym, z mocy artykułów 18, 19, 20 i 21, organizacyi z r. 1861 stanowi ostatecznie:

*a.* w sprawach sądownictwu administracyjnemu ulegających, według postanowień i przepisów już wyżéj wyszczególnionych, a pod powagą konstytucyi z r. 1815 wydawanych.

*b.* w sprawach defraudacyjnych, stosownie do zaprowadzonéj Ukazem Cesarskim do Rządzącego Senatu *Państwa*, wydanym a przez Komissyą Rządową Sprawiedliwości w dniu 10 listopada 1850 r. w Dzienniku Praw, tomie 43 str. 347 ogłoszonym, wspólnéj dla Cesarstwa i Królestwa, *taryfy* celnéj, artykułu 998 i innych związkowych, z odwołania się od wyroków komory celnéj i wydziału celnego, przy kancelaryi Namiestnika, przedtém do Ogólnego Zebrania Warszawskich departamentów R. S., a teraz do Rady Stanu przychodzących, w których summa skonfiskowanych towarów najmniéj rubli 600 wynosi.

*c.* co do żądań szlachectwa dziedzicznego lub osobistego, w zakresie attrybucyi byłéj heroldyi królestwa, według prawa o Szlachectwie Polskiém z dnia 25 czerwca (7 lipca) 1836 r.

Na tych trzech kategorycznych przedmiotach ogranicza się ostateczna władza Rady Stanu, jako składu sądzącego, gdy:

*d.* co do sporów juryzdykcyjnych czyli kwestyj atrybucyjnych między administracyą publiczną a sądownictwem, do których i spory atrybucyjne władz czyli sądów duchownych odnośnie do prawa o małżeństwie z r. 1836 należą, uznania i orzeczenia Rady Stanu w składzie sądzącym, jako do utrwalenia systematu normalnego zmierzające, jeżeli Namiestnik w Radzie Stanu składu sądzącego nie prezydował, jego zatwierdzenia wymagają; nakoniec

*e.* co do wniosków w rzeczy oddawania pod sąd, najwyższych i wyższych urzędników, już powyżéj wymienionych: te zatwierdzeniu Najwyższemu ulegają.

W ciągu pół wieku, schodząc od r. 1807, przemiany w składzie organicznym Rady Stanu, oraz w jego nazwach, zachodziły nietylko przy zmianach politycznych, ale i z przyczyn potrzeby pomnożenia liczby członków Rady Stanu, dla natłoku prac mnożących się około uporządkowania praw, procedur i organizacyi we wszelkich kierunkach i odnogach ogólnego zarządu i prawodawstwa.

Nader szczupłym był skład Rady Stanu w pierwszéj chwili byłego Księztwa Warszawskiego, gdy zwłaszcza Rada Stanu i Rada Ministrów, z jednych i tychże samych członków się składała, a mianowicie, jak się to z artykułów 14, 13 i 8 konstytucyi, oraz § 2, w tytule I, i z § 2 w tytule II pierwszéj organizacyi tak Rady Ministrów jak Rady Stanu okazuje, *z sześciu ministrów* następujących: sprawiedliwości, spraw wewnętrznych i wyznań, wojny, przychodów i skarbu, policyi, i ministra sekretarza stanu, zawsze przy boku króla: a to pod prezydencyą króla lub vice-króla, którego wszakże nigdy nie było, lub prezesa mianowanego przez króla, czyli *z siedmiu członków.*

Komplet zaś do wszelkich działań ustanowionym był tak w Radzie Ministrów jak w Radzie Stanu, według § 2 tytułu I i § 4 tytułu II organizacyi, *z czterech* członków, a mianowicie z prezesa i trzech ministrów.

W oczy bije, że w tym nader szczupłym komplecie i składzie, Rada Stanu i Rada Ministrów, pomimo przydania im do pomocy czterech Referendarzy Stanu, nie były w stanie dopełniać rozmaitych powołań swoich, ani pod względem natłoku i ogromu prac, ani pod względem doj-

rzałości sądu w tylu szczegółach początkującego zarządu krajowego. Zawsze jednak podziwiać przychodzi trafność i ścisłość dekretów królewskich w Dzienniku Praw byłego Księztwa Warszawskiego nagromadzonych.

Atoli w pierwszych dwóch lub trzech latach, Rada Stanu nie mogła się zajmować ani sądownictwem kassacyjném, ani administracyjném; aż dopiéro po zanominowaniu przez króla pewnéj liczby do dwunastu radców stanu i wydaniu uzupełniającéj organizacyi Rady Stanu z d. 19 września 1810 r., jako téż nieco wcześniéj osobnéj organizacyi sądu kassacyjnego z dnia 3 kwietnia 1810 r.

Podług organizacyi sądu kassacyjnego, do którego włączonych było czterech referendarzy do przedstawienia spraw, komplet Rady Stanu jako sądu kassacyjnego, w miarę artykułów 6, 18, 21, 97, i 7 był dwojaki, a mianowicie, *zwyczajny*, najmniéj z *pięciu*, z prezydującego i czterech członków składający się, i *powiększony* najmniéj z *dziewięciu* członków, wyłącznie prezydującego złożony, zawsze przy wpływie generalnego prokuratora przy sądzie kassacyjnym. Ostatni komplet ten przepisanym był:

*a.* do rozpoznawania i osądzenia powtórnéj skargi kassacyjnéj w jednéj i tejże saméj sprawie;

*b.* do rozpoznawania i ocenienia zaskarżeń prezesa lub sędziego sądu appelacyjnego lub prokuratora przy sądzie appellacyjnym, lub równego im w godności sędziego pokoju; niemniéj

*c.* według organizcyi Rady Stanu z dnia 19 września 1810 r. artykułu 31, do roztrząsania, układania i stanowienia, raczéj wykończenia projektów do praw i urządzeń administracyi publicznéj.

Do sprawowania innych atrybucyj, a wszczególności do rozpoznawania:

*a.* sporów w rzeczach administracyjnych, czyli spraw tak zwanemu *sądowi spornemu* Rady Stanu ulegających;

*b.* sporów juryzdykcyjnych między administracyą publiczną a sądownictwem;

*c.* spraw dotyczących oddawania pod sąd kryminalny urzędników administracyi publicznéj, przez króla nominowanych,

ustanowionym był komplet z *siedmiu* członków najmniéj, według artykułów 44, 97 i 113, organizacyi Rady Stanu z dnia 10 września 1810 r.

*In novas fert animus mutata dicere formas corpora*, według rzymskiego poety *Ovidiusza*: bo w epoce Królestwa Polskiego, Rada Stanu zachowawszy mniéj lub więcéj jednostajne atrybucye, w niektórych wszakże materyach wyższą władzą uposażone, występuje w nowych zrębach, formach i nazwach, stosownie do konstytucyi z roku 1815, Statutu organicznego Królestwa, z r. 1832 i organizacyi z r. 1861, nie pomnąc ustawy dotyczącéj się Ogólnego Zebrania Warszawskich departamentów R. S.

Konstytucya z r. 1815, w artykułach 63, 65, 66, 73 i 76 podzieliła Radę Stanu, pod prezydencyą Króla lub jego Namiestnika na *Radę Administracyjną*, Radą Ministrów, za byłego Księztwa Waszawskiego zwaną i na *Ogólne Zgromadzenie* Rady Stanu. Rada Administracyjna składała się z Namiestnika i pięciu ministrów głównemi wydziałami czyli kommisyami rządowemi kierujących, tą koleją porządkową wymienionych, jako to: Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Sprawiedliwości, Spraw Wewnętrznych i Policyi, Wojny, Przychodów i Skarbu, jako téż z innych osób szczególnie przez Króla powołanych: szósty bowiem minister Sekretarz Stanu, zawsze przy boku królewskim zostawał.

*Ogólne zgromadzenie* Rady Stanu, w porze Księztwa warszawskiego prosto Radą Stanu zwane, pod prezydencyą Króla lub jego Namiestnika lub w ich nieobecności, *pierwszego członka Rady*, stosownie do porządku w artykule 76, nie zaś w artykułach 63 i 66, jak to artykuł 73 mylnie przywodzi, oznaczonego, składało się z pięciu ministrów, z radców stanu i referendarzy, jako téż z osób szczególnie przez Króla powoływanych.

Do wszelkich bez różnicy orzeczeń Ogólnego Zgromadzenia Rady Stanu, organizacya Rady Stanu z dnia 19 listopada (1 grudnia) 1815 r. w artykułach 29, 37 i 52, ustanowiła komplet z siedmiu członków najmniéj, nie wyłączając od stanowczego głosowania referendarzy stanu, ani osób szczególnie przez Króla do Rady Stanu powoływanych, z tém atoli obostrzeniem w artykule 38

tejże organizacyi objawioném, że do kompletu *spory jurysdykcyjne ostatecznie* rozstrzygającego, członkowie trybunału najwyższego, czyli sędziowie sądu najwyższéj instancyi, stopień radców stanu mający wchodzić powinni.

Lubo późniejszym Statutem organicznym Królestwa z r. 1832, w miejscu usuniętéj konstytucyi z r. 1815 organizm rządu i zarządu wielorako zmieniającym, Rada Administracyjna i Rada Stanu zachowaną została, jednakże skutkiem namienionych zmian, Rada Stanu nowych doznała przemian, gdy stosownie do artykułu 28 tegoż statutu, jako też artykułów 1 i 2 organizacyi Rady Stanu z r. 1832, do jéj składu organicznego, pod prezydencyą Namiestnika lub w jego nieobecności, członka Najwyżéj upoważnionego, prócz radców stanu i innych do stałego lub *czasowego* zasiadania Najwyżéj wzywanych, wchodzili, zamiast poprzedniczych pięciu ministrów, pod nową nazwą *trzej dyrektorowie główni*, jako z mocy artykułu 35 Statutu, trzema zawiadujący kommisyami rządowemi, a mianowicie: spraw wewnętrznych, duchownych i oświecenia narodowego; sprawiedliwości, i przychodów i skarbu; nadto według artykułu 36 Statutu, pod nową nazwą *kontroller generalny* jako prezydujący w izbie obrachunkowéj.

Do odrabiania zaś referatów organizacya Rady Stanu z r. 1832, w artykule 11 przydała siedmiu referendarzy, po dwóch do każdéj z trzech kommisyj rządowych, a jednego do izby obrachunkowéj.

Z powodu ustanowienia powoływaną organizacyą Rady Stanu, w artykule 7 do przygotowawczego rozwiązania sporów, spraw lub innych interesów do Rady Stanu wnoszonych, dwóch oddzielnych kommisyj, jednéj zawsze szczególnie z grona Rady Stanu przez prezydującego wyznaczonéj; drugiéj stałéj Kommissyą Instrukcyjną zwanéj, w każdéj z nich, stosownie do artykułów 9 i 20 organizacyi, w komplecie *trzech* członków większością głosów działającéj, Rada Stanu, w stosunku do tych dwóch kommisyj, w artykułach 7, 24 i 26 Ogólném Zgromadzeniem zwana, stanowiła wszystkie swe orzeczenia bądź ostateczne, bądź zatwierdzeniu uległe, według artykułów 26, 27, 47 i 58 w *komplecie z siedmiu* członków

najmniéj, oraz Namiestnika lub jego zastępcy Najwyżéj powołanego, złożonym.

Stan organiczny tak wewnętrzny jak zewnętrzny Rady Stanu Królestwa uległ przeważnéj przemianie, gdy po ustanowieniu w Radzie Państwa, osobnego Departamentu do spraw Królestwa Polskiego, Najwyższym Ukazem z dnia $^{6}/_{18}$ września 1841 r., w miejsce Rady Stanu oraz Sądu Najwyższéj Instancyi, Warszawskie Departamenta IX i X i Ogólne ich Zebranie zaprowadzonemi zostały, a skutkiem tego i techniczne nazwy tak Rady Stanu jak Sądu Najwyższéj Instancyi w organizmie rządu krajowego znikły.

Stosownie do artykułów 5, 6, 2 i 10 powyższego Ukazu, jako też artykułów 3, 16, 18, 21 i 28 opartéj na nim ustawy o Warszawskich Departamentach IX i X Rządzącego Senatu i Ogólném ich zebraniu, *Ogólne Zebranie* pod prezydencyą Namiestnika lub w razie przeszkody pod sterem wyznaczonego przez Namiestnika prezesa w osobie jednego z pierwszych członków któregokolwiek departamentu lub wydziału lub prezesa heroldyi, składało się tylko z senatorów, z członków Rady Administracyjnéj, oraz warszawskiego wojennego gubernatora; obok tych zaś z Naczelnego prokuratora przy Ogólnem zebraniu, nie licząc referenta do zdawania sprawy, jako też innych urzędników szczególnie do udzielenia objaśnień lub do narady wzywanych.

W celu utwierdzenia kompletu Ogólnego zebrania Senatu, ustawa powoływana w artykułach 87 i 90 wyrzekła: że sposób załatwiania czynności w Ogólném zebraniu Senatu będzie takiż sam, jaki dla przeszłéj Rady Stanu, jéj organizacyą z r. 1832 był przepisany; że nadto wszelkie inne przepisy téjże organizacyi namienioną ustawą nie zmienione, nadal w swéj mocy się zachowują: ztąd wypływa, że komplet Ogólnego zebrania Senatu do wszelkich narad lub orzeczeń składać się był powinien z 7miu członków najmniéj, jako też z Namiestnika lub prezesa, większością głosów stanowiących.

Przywrócenie Rady Stanu Królestwa, przy usunięciu Ogólnego zebrania Senatu Ukazem Najwyższym z dnia 14 (26) marca 1861 r. nawiodło na okazalsze przeobra-

żenia w nadanéj Najwyżéj organizacyi téjże Rady z dnia 24 maja (5 czerwca) 1861 r. rozwinięte.

Rada Stanu Królestwa wystąpiła tu w nowéj postaci organicznéj, jakiéj przedtém w całym toku ubiegłéj od r. 1807 epoki nie okazywała.

Podzieloną jest na dwa większe oddziały a mianowicie: na *Ogólne Zebranie* i na tak zwany *Skład Sądzący*, którym do przygotowawczych prac cztery *wydziały* towarzyszą, a w szczególności Ogólnemu zebraniu trzy, jako to: *a*) prawodawczy; *b*) skarbowo-administracyjny; *c*) próśb i zażaleń; zaś składowi sądzącemu, *d*) wydział sporny.

Ogólne to zebranie Rady Stanu wcale nie jest podobném do tak zwanego dawniéj Ogólnego zgromadzenia lub zebrania Rady Stanu, według konstytucyi z r. 1815 lub statutu organicznego Królestwa z r. 1832, a nosi na sobie barwę ciała politycznego, powołanego do roztrząsań, obrad i orzeczeń *w zakresie władz prawodawczéj i wykonawczéj*, ku postępowi oświaty duchowéj i dobra materyalnego w społeczeństwie.

Natomiast, tak zwany Skład sądzący Rady Stanu, właściwie stanowi istotę dawniejszego zgromadzenia lub zebrania Ogólnego Rady Stanu, odpowiadając początkowym pierwiastkom Rady Stanu tak co do składu organicznego jak co do jéj atrybucyi, prócz dodatkowych atrybucyj odnoszących się do heroldyi i rozpoznawania szlachectwa, jako téż do taryfy celnéj.

*Ogólne* bowiem *zebranie* Rady Stanu, raz w roku lub nadzwyczajnie zwoływane składa się: pod prezydencyą Namiestnika lub sprawującego jego obowiązki, lub viceprezesa Rady Stanu:

*a.* z członków Rady administracyjnéj, a mianowicie z czterech dyrektorów głównych czterema zawiadujących komissyami rządowemi następującemi: jednéj ukazem z d. $^{14}/_{26}$ marca 1861 roku pod nazwą „wyznań religijnych i oświecenia publicznego przywróconéj; innych zaś sprawiedliwości; spraw wewnętrznych, tudzież przychodów i skarbu; nadto z kontrolera generalnego w izbie obrachunkowéj prezydującego, jakotéż z innych naczelników

administracyi publicznéj Najwyżéj a oddzielnie powoływanych;

*b.* z senatorów po zniesioném Ogólném zebraniu warszawskich departamentów rządzącego senatu, według artykułu 2 ukazu z dnia 24 maja (5 czerwca) 1861 r., Ogólne zebranie to znoszącego;

*c.* z dwunastu stałych radców stanu, z których co rok czterech Najwyżéj jest przeznaczonych do przewodniczenia w wydziałach rady stanu;

*d.* z członków rady stanu do stałego lub czasowego (rocznego) zasiadania Najwyżéj powoływanych:

*aa.* z grona biskupów i wyższego duchowieństwa;

*bb.* z pomiędzy prezesów i członków rad gubernialnych, ukazem z d. 24 maja (5 czerwca) 1861 r. ustanowionych, oraz z władz towarzystwa kredytowego ziemskiego;

*cc.* z grona i ogółu obywateli krajowych;

*e.* z sekretarza rady stanu, zawiadującego tokiem porządkowym służby tak w kancelaryi, jak na posiedzeniach rady stanu, przy pomocy podsekretarza rady stanu;

*f.* z Referendarzy Stanu i vice-referendarzy, obecnych na Ogólném zebraniu ku pomocy w sporządzaniu protokułów-obrad z posiedzeń rady stanu; nakoniec

*g.* z Delegatów, wyznaczonych szczególnie przez Namiestnika ku udzieleniu objaśnień co do przedmiotów pod rozwagę rady stanu wnoszonych.

Lubo całkowity komplet Ogólnego zebrania rady stanu, w duchu powoływania członków do jéj składu ściśle oznaczyć się nie daje, jednakże wszyscy bez różnicy *członkowie* rady stanu, bądź z urzędu zasiadający, bądź stałemi radcami stanu mianowani, bądź powoływani na członków stałych lub czasowych rady stanu, mają głos stanowczy; komplet zaś do orzeczeń według brzmienia artykułu 12 organizacyi ustanowionym jest na połowę członków w Warszawie obecnych.

Ciągle zaś odbywa właściwe swe powołanie *Rada stanu w składzie sądzącym*, jakotéż po wydziałach, gdy stósownie do artykułu 11 organizacyi *skład sądzący*, tworzy się z połączenia trzech wydziałów następujących:

prawodawczego, spornego i skarbowo-administracyjnego, czyli z dziewięciu stałych radców stanu.

Komplet rady stanu w składzie sądzącym, według artykułów 11, 20 i 21 organizacyi jest *dwojaki:* jeden *zwyczajny* z siedmiu członków najmniéj; drugi *powiększony* przez dodanie trzech radców stanu nie należących do wydziałów, a zatém z dziesięciu członków najmniéj złożony.

W zwyczajnym komplecie składu sądzącego rada stanu wykonywa największe swe attrybucye, sprawując juryzdykcyą ostateczną, prawomocną w sprawach sądownictwu administracyjnemu ulegających, a w szczególności:

*a.* stósownie do zasad i prawideł jeszcze w postanowieniu Namiestnika królewskiego z dnia 20 lutego 1816 r. dla ówczasowéj tymczasowéj Delegacyi administracyjnej w art. 6 i w tytule II przepisanych: o allewiacyą jednoroczną lub półroczną w podatkach skarbowych, i o pretensye wynikające z kontraktów dzierżawnych lub wszelkich innych między osobami prywatnemi a władzami skarbowemi lub administracyjnemi zawieranych.

*b.* według nadanéj w dniu 3 listopada 1850 r. Królestwu ustawy celnéj w sprawach defraudacyjnych, począwszy od 600 rubli wartości skonfiskowanego towaru; nadto:

*c.* stanowi ostatecznie według ustawy o szlachectwie polskiém z dnia 25 czerwca (7 lipca) 1836 r. względem legitymacyi do szlachectwa dziedzicznego lub osobistego w zakresie attrybucyi byłéj heroldyi Królestwa.

W komplecie powiększonym skład sądzący rady stanu rozpoznaje i decyduje, czyli raczéj podług wyraźnego wysłowienia się artykułu 20 organizacyi *czyni wnioski*, które podług następnego artykułu 21 téjże organizacyi zatwierdzenia Najwyższego wymagają.

*d.* w sprawach dotyczących się oddawania pod sąd (kryminalny) za wykroczenia w urzędowaniu, urzędników naczelnych administracyjnych Najwyżéj nominowanych lub zatwierdzonych.

Z treści artykułu 21 w związku z artykułem poprzedzającym 20, jakotéż art. 11 organizacyi nastręcza się wątpliwość: w jakim komplecie, czy zwyczajnym, czy powiększonym składu sądzącego rozpoznawanemi być powinny

*e.* spory juryzdykcyjne między władzami administracyjnemi a sądowemi zachodzić mogące, do których i spory o właściwość juryzdykcyi między władzami sądowemi cywilnemi a sądami duchownemi, lub między samemi sądami duchownemi należą. Wyroki rady stanu w składzie sądzącym w tego rodzaju sporach wydawane, ulegają zatwierdzeniu Namiestnika, jeżeli sam nie prezydował w tym składzie rady stanu.

*August Heylman.*

# WYSPA MADAGASKAR,

## JÉJ STOSUNKI Z FRANCYĄ.

Rzecz wzięta z Przeglądu dwóch Światów (*Revue des deux Mondes*) i z innych źródeł).

---

Wyspa Madagaskar leży między 23 a 35 stopniem szerokości południowéj, a między 40 a 49 stopniem długości. Długość jéj wynosi 340 mil francuzkich, szerokość, tam gdzie jest największa, 120 mil fr. Jéj powierzchnią obliczają na 30,000 mil kw. fr. Podwójne pasmo gór, których wierzchołek dochodzi do 2,400 metrów wysokości, przecina ją wzdłuż od północy do południa i tworzy wyżynę środkową. Z téj wyżyny spadają rzeki szerokie, głębokie i rybne. Są tam obszerne płaszczyzny, ogromne lasy wzniosłemi drzewami zapełnione i wielkie jeziora. Kraj obfituje w zwierzęta, jakoto: hipopotany, dziki, osły i małpy, oraz w woły do gatunku *zeby* należące, i w owce odznaczające się grubym i dużym ogonem. W górach mają się znajdować kopalnie drogich kruszców, a rudy żelaznéj jest wielka obfitość.

Ziemia obdarzona tak hojnie darami przyrodzenia, powinna była przynęcić Europejczyków i oddawna dostać się pod ich panowanie; lecz niezdrowe klima stawia niezwalczoną przeszkodę kolonizacyi. Mnóstwo wód stojących jest przyczyną śmiertelnych chorób, a te w ciągu lat kilku zabijają Europejczyków, którzyby stale osiąść tam zamyślali. Jedni geografowie obliczają ludność téj

wyspy na dwa, drudzy na cztery miliony mieszkańców. Składa się ona z trzech głównych pokoleń: Malgachów, Seklawów i Howasów. Malgachowie są jak się zdaje krajowcami i należą do etyopskiego plemienia, Seklawowie pochodzą od Murzynów afrykańskich, którzy się pomieszali z Malgachami i mieszkają w zachodniéj stronie wyspy; skórę mają czarną jak heban, włosy kędzierzawe i rysy twarzy bardzo podobne do Negrów; żyją gromadnie, są odważni, chętni do wojny i przestrzegają swojéj niepodległości. Howasowie pochodzą jak się zdaje od Arabów, mieszkają w środku wyspy; kolor ich skóry jest miedziany, włosy gładkie, rysy podobne do europejskich. Są czynni i odważni, przebiegli i podstępni w stosunkach z Europejczykami, dumni i surowi względem podbitych ludów, lecz posiadają znakomitą pojętność i sprzyjają cywilizacyi. Malgachowie pochodzący z plemienia Etyopów, nie mają cech rodu murzyńskiego, są czerstwi i silni. Nie zobaczysz pomiędzy niemi kaleków od urodzenia, bo mają ten barbarzyński zwyczaj, że topią wszystkie dzieci przychodzące na świat z jaką wadą w organizacyi ciała; są jednakże łagodni, gościnni, pojętni, lecz gnuśni. Sprzyjają Europejczykom i łatwo z nimi wchodzą w czasowe związki familijne. Mężczyzni lubią wojnę, bo na niéj dostają niewolników. Uprawa ryżu i hodowanie bydła stanowi ich główne zatrudnienie. Kobiety są dobremi i pracowitemi gospodyniami: one to robią z sitowia te delikatne tkaniny, znane pod nazwiskiem okryć madagaskarskich. Kobiety i mężczyzni Malgachów, namiętnie lubią tańce i muzykę. Ich język jest łagodny i harmonijny. Mają uczucie poezyi, w pieśniach przechowują historyczne podania. Parny, poeta francuzki z końca XVIII wieku, zrodzony na wyspie Ile de France, dał poznać kilkanaście pieśni madagaskarskich. Tłumaczenie jego jest naśladowaniem, nie zaś wiernym przekładem. Nasz poeta Kazimierz Brodziński, przetłumaczył je z francuzkiego na język polski. Zamieszczamy dwie pieśni z téj pracy naszego zasłużonego pisarza, znajdujące się w pierwszém wydaniu dzieł Brodzińskiego z 1822 roku, a niewiadomo dlaczego opuszczone w drugiém. Jedna z tych pieśni przypomina pierwsze przybycie

Europejczyków do Madagaskaru, oraz ich krzywdy i złą wiarę; druga maluje smutną dolę kobiet téj wyspy.

Nie wierzcie białym, mieszkańcy téj ziemi!
Do ojców naszych przed laty dawnemi,
Gdy na tę wyspę przypłynęli biali,
Ojcowie nasi tak do nich mawiali:
Oto jest ziemia, oto żyzne błonie,
Niech je hodują waszych kobiet dłonie:
Niech was ta ziemia jak braci wyżywi,
Lecz bądźcie dobrzy, bądźcie sprawiedliwi!
Z tą obietnicą wszedł do nas lud biały,
Jednak usypał i twierdze i wały,
Z miedzianych paszczy na nas miotał gromy
I z niemi przybył Bóg nam nieznajomy.
Ale się niebo ujęło za nami,
Zesłało deszcze, trucizny z wiatrami;
Nie masz ich więcéj, jesteśmy wolnemi:
Nie wierzcie białym, mieszkańcy téj ziemi.

* * *

Srога matka, złota chciwa,
Jednę córkę w domu całym
Prowadzi nielitościwa,
By ją sprzedać ludziom białym.
„Nie przedaj mię, matko miła,
Nosiło mię twoje łono,
Tyś mię pierwszą urodziła
A chcesz, by mię uwięziono?
Cóż ci nada moja strata,
Za cóż dajesz mię w niewolę?
Jam wspierała twoje lata,
Jam za ciebie szła na pole,
Jam owoce tobie rwała,
Ryb szukałam w głębiach wody,
Jam cię w zimie otulała,
W lecie wiodłam do ochłody,
Wszystko uprzedzałam wcześnie,
Słałam łoże w cieniach sadu,
I czuwałam, aby we śnie
Oganiać cię od owadu.
Matko moja, umrzesz w nędzy,
Gdy ci córki niedostanie.
Weźmiesz za mnie dość pieniędzy,
Lecz nie kupisz córki za nie,
Wołać będziesz ku pomocy,
Upatrywać corki wszędzie,

Ona płacząc w dzień i w nocy
Obcym wtedy służyć będzie,
Potyrana w wieku kwiecie,
Utęskniona marnie zginę;
Matko moja, wzrusz się przecie,
Bom ja dziecię twe jedyne.
Próżne żale! Już na wieki,
Obcym panom zaprzedana,
Kajdanami skrępowana
Płynie z kraju w świat daleki.

Rząd małych państw Madagaskaru, które jeszcze nie zostały podbite przez Howasów, jest dosyć umiarkowany. Król nic nie może stanowić bez rady starszych: niewolnictwo istnieje we wszystkich trzech plemionach.

Najznaczniejszém jest państwo Howasów, które obejmuje większą część wyspy. Howasowie przejęli z cywilizacyi europejskiéj to tylko, co do ich potęgi i obrony posłużyć może. Mają strzelby, armaty, warownie; używają Europejczyków do zakładania fabryk broni, lubią zbytki i przepych: ale w religii, obyczajach i prawach, zachowali dawną dzikość, a wynalazki i przemysł europejski, posłużyły ich naczelnikom do tém większego ucisku poddanych i prześladowania cudzoziemców. Anglicy posłali do Madagaskaru missyonarzy swoich, ale religia chrześciańska nie rozszerza się między krajowcami.

## I.

Przed niedawnym czasem, studya nad wyspą Madagaskar, miały na celu jéj bogactwo rolnicze, handel, obyczaje, nareszcie wszystkie żywioły, na których budować można kolonizacyą téj wielkiéj krainy afrykańskiéj. Główną rzeczą było, roztrząśnienie, jaki systemat może zapewnić pomyślny skutek przemysłowego i finansowego przedsięwzięcia, jak można odwrócić zgubne działania klimatu i zwalczyć inne przeszkody, wynikające z politycznéj organizacyi jeszcze na pół dzikiego kraju. Francya chciała zająć się tém dziełem, lecz niespodziany wypadek zniszczył te plany. Żeby ocenić, jak można postępować po przewrocie, który w Tamanariva (stolicy Madagaskaru) nastąpił, trzeba zwrócić się w przeszłość,

zebrać wspomnienia o stosunkach Francyi z Howasami, teraźniejszemi panami Madagaskaru i z ludami zostającemi pod ich panowaniem. Tę część pracy ułatwią dawne i mało znane sprawozdania i liczne dokumenta z akt rządowych wyjęte.

Takie badanie dawnych faktów, daleko ściśléj wiąże się z obecnemi kwestyami, niżeliby na pierwszy rzut oka mniemać można. Obraz licznych usiłowań, które nie udały się przez zbyteczną bojaźliwość, albo przez zbyteczną śmiałość, tylu zamiarów powziętych bez należytéj rozwagi i bez ocenienia trudności, będzie pod wielą względami nauczającym. A najbardziéj uderzy czytelników, brak systematnego wykonania, brak proporcyi między użytemi środkami a otrzymanym rezultatem. Ten obraz pomyłek i niepowodzeń, wskaże, że tworzą się pewne związki i to co raz ściślejsze, między przeznaczeniem téj wyspy a interesami Francyi. Ważna zatém kwestya zachodzi. Jestże tam jedno z tysiącznych miejsc dla jéj działalności i dla jéj spokojnego wpływu otwartych? czyli téż jéj duch wojowniczy nie opóźnia zawiązania korzystnych stosunków? Zarys wypraw Francyi na wyspę Madagaskar, od epoki Ludwika XIV aż do dni naszych, wyjaśni nam rzecz całą.

Wyspę Madagaskar odkrył Fernand Juares w r. 1506. Burza wyrzuciła jego okręty na brzegi téj krainy. Pomimo najkorzystniejszego sprawozdania o żyzności téj ziemi, i obyczajach mieszkańców, król portugalski Emmanuel, wysłał do niéj ledwie kilku badaczów, dla poznania kraju i urządzenia handlu niewolnikami. Działania Portugalczyków ograniczyły się na zakupie i wyprowadzeniu małéj liczby Murzynów i na próbie religijnéj propagandy. Kilku księży osiadło przy kantorze, lecz nie nawrócili nikogo i zostali zamordowani przez krajowców. Mimo tego, że w XVI wieku zwrócono uwagę na świeże zdobycze Portugalczyków i Hiszpanów w Ameryce i w Indyach, wiele lat upłynęło, nim którykolwiek rząd europejski pomyślał o wyspie Madagaskar. A jednak jéj rozległość, żyzność gruntu, obszerne i bezpieczne porty, a mianowicie jéj położenie przy wschodnich brzegach

Afryki, od których oddzielona jest wązkim kanałem Mozambiku, przy wnijściu na ocean Indyjski, blizkość morza Czerwonego, musiała nareszcie obudzić dumę jednego z wielkich państw morskich i zachęcić do wypraw. Tém państwem była Francya.

Na kilka lat wprzódy, negocyanci francuzcy, odważni żeglarze, którzy położyli podstawy jéj pierwszych osad, wysłali okręty do Madagaskaru, lecz nie powiodła się ich wyprawa. W r. 1642 założono *Towarzystwo wschodnie* pod opieką kardynała Richelieu, *naczelnika i generalnego intendenta marynarki, żeglugi i handlu francuzkiego.* Kierował niém kapłan okrętowy Rigault.

Rząd ustąpił Towarzystwu wyspy Madagaskaru i innych przyległych, w tém celu, żeby tam założyło osady handlowe i objęło je w posiadłość w imieniu Najjaśniejszego pana. W skutku tego ustępstwa pan de Pronis ajent Towarzystwa wschodniego, popłynął na czele wyprawy, zajął w imieniu króla Francyi, wyspę Stéj Maryi i zatokę Antongil, założył osadę w Mangharsia, w r. 1644 urządził stanowiska w Galembul, Teneriff i w Manahar, a główne siedlisko swoje przeniósł na półwysep Thonlangar i tam zbudował warownię Delfina. Przez takie posterunki, panował nad całą wschodnią stroną Madagaskaru.

Dokumenta o téj pierwszéj wyprawie, wskazują niezręczne postępowanie dowódzców. Pronis był człowiekiem dumnym, gwałtownym i rozwiozłym, dopuszczał się wszelkich nadużyć, a jego zdzierstwa i okrucieństwa wzniecíły niezbłaganą nienawiść mieszkańców. Tak był niezdolnym jak niemoralnym Usadowił się wnajniezdrowszych miejscach, najniebezpieczniejsze działania wojenne zaczął w porze dżdżystéj, zmarnował pieniądze i krew Francyi na niepotrzebne wojny, dla powodów jak najniesprawiedliwszych, oddał się bezczelnéj rozpuście i wzniecił niezgodę, która wszelkim jego ruchom tamę stawiała.

Wysłano pana de Flacourt dla podźwignięcia narażonych interesów Towarzystwa, a ten przybywszy na miejsce, napisał do rządu, że nieszczęśliwi osadnicy i żołnierze, częstokroć nie mają żywności zdrowéj i niezbędnie potrzebnéj. Pan de Flacourt otrzymał tytuł naczelnego dowódzcy Madagaskaru, umyślił całą wyspę podbić

pod panowanie Francyi i zmusić mieszkańców do opłacania daniny. To żądanie stało się powodem długiéj i ciężkiéj wojny, po któréj na pozór uspokoili się krajowcy. Był to człowiek energiczny, z bystrym rozumem; byłby dopiął swojego celu, gdyby mu rząd francuzki dopomagał. Lecz zostawiony samemu sobie, przez lat kilkanaście nie otrzymał żadnéj pomocy i musiał zarazem poskramiać krajowców gotowych do buntu i własnych ziomków zniechęconych chorobami i nędzą. Nareszcie odpłynął do Francyi dla wyjednania pomocy od rządu. Wówczas to podał marszałkowi de la Meilleraye projekt, żeby on to przedsięwzięcie wziął sam na siebie. Marszałek posiadał wielką wziętość u dworu i łatwo uzyskał od Towarzystwa wschodniego, że mu praw swoich ustąpiło. Wielu dowódzców, jednego po drugim, wyprawiano z Francyi do warowni Delfina, lecz ich niesprawiedliwość i łakomstwo, jeszcze bardziéj rozjątrzyły krajowców, a zakłady pozbawione ludności, tylko co upaść miały.

W takim to smutnym stanie rzeczy, książe Mazarini syn marszałka de la Meilleraye ustąpił praw swoich nowemu towarzystwu, za lichą kwotę 20,000 fr. Towarzystwo to zawiązało się za radą i zachętą Kolberta. W 1664 r. Francya zawarła pokój z ościennemi państwami. Wielki minister chciał zwrócić Francuzów do przemysłowych i handlowych przedsięwzięć. Nowe towarzystwo, pod jego potężną opieką, przybrało tytuł *Kompanii Wschodniéj*, a minister zebrał dla niego, przy pomocy króla, książąt krwi królewskiéj i najznamienitszych panów, kapitał 15tu milionów, co w owéj epoce było bardzo znaczną summą. Warownię Delfina wyznaczono za stolicę owéj *Francyi Wschodniéj:* tak to w pierwszym zapale nazywano wyspę Madagaskar.

Pan de Bausse odpłynął z Francyi w r. 1665, jako wielkorządzca w imieniu króla, kompanii i prezydenta rady, lecz umarł w tymże samym roku. Niczego nie zaniechano ze strony rządu, aby władzę Francyi ustalić w téj krainie. Markiz de Mondevergue przybył tam z tytułem admirała i naczelnego dowódzcy wszystkich wojsk francuzkich lądowych i morskich, za kołem zwrotnikowém. Okręty zawiozły do Madagaskaru, księży, chirurgów, rze-

mieślników wszelkiego rodzaiu i cztery kompanie piechoty. Tak wielka wyprawa zrządzić miała wielkie skutki, a skończyła się na niczém. Nie będziemy szczegółowo opowiadali popełnionych błędów, szalonych i występnych czynów, które w krótkim przeciągu czasu pochłonęły mnóstwo zapasów. Kompania królewska, pisze pan Macé Descartes w historyi i geografii Madagaskaru, źle poprowadziła działania swoje, złych wybrała agentów i złe stanowiska. Zachwiała się wkrótce, a jéj znaczne fundusze stały się przyczyną jéj upadku: bo w owym czasie powierzano takie przedsięwzięcia bezwstydnym awanturnikom, zrujnowanéj, nieumiejętnéj, chciwéj i marnotrawnéj szlachcie. Miliony pieniędzy stały się łupem haniebnéj kradzieży. Musiano wyrzec się najsprawiedliwszych nadziei. Tak więc, najpierwsza osada na wielki rozmiar założona, rozchwiała się i upadła. Oprócz łupiestwa, były jeszcze inne przyczyny, a mianowicie niezgoda między naczelnikami, niechęć krajowców, niegodziwa administracya i nareszcie poróżnienie między dyrektorami kompanii. Nie pomógł jéj zasiłek dwóch milionów, dany w 1668 r. przez króla i musiała w r. 1670 odstąpić swoich praw na rzecz monarchy.

Pomimo tak niepomyślnych skutków, prawo panowania nad tą wyspą, utrzymane zostało z jak największą wytrwałością. Ludwik XIV zawsze uważał wyspę Madagaskar za własność korony i postanowienie rady państwa wydane w czerwcu roku 1686 tak się wyraża: „Zważywszy, że Kompania Indyj wschodnich zrzekła się własności wyspy Madagaskar, N. Pan zezwalając na to, przyłącza do swojego państwa tę wyspę z fortecami i osadami do niéj należącemi i rozporządzi niemi, jako swoją własnością."

Zamiary Francyi okazują się nie tylko z tego aktu. Niezwłocznie potém, dziesięć okrętów pod rozkazami pana de la Haye zawinęło do wielkiéj wyspy. Dowódzca tych sił morskich opatrzony pełnomocnictwem króla, zajął warownię Delfina, lecz wkrótce zniechęcił się i poruczył zastępstwo komendantowi Charmagu i panu Lacaze urzędnikowi cywilnemu. Na nieszczęście, wkrótce oba umarli. Po panu Charmagu objął dowództwo pan La-

brestche zięć jego, ale czując własną niezdolność, zatrwożył się ogromem trudności i w nocy ukradkiem odpłynął z rodziną swoją, z 24 na 25 grudnia 1671 roku, uchodząc przed spiskiem krajowców. Francuzi opuszczeni od dowódzcy, zostali wymordowani i ledwie kilkunastu mogło schronić się na szalupę i dopłynąć do statku na którym schronił się Lebrestche.

Długi przeciąg lat upłynął od 1670 do 1750, i nie ma w nim śladu działania Francuzów na wyspie Madagaskar. Okręty francuzkie zawijały do wschodnich brzegów téj wyspy, lecz na własne ryzyko: gdyż nie było żadnego zakładu na lądzie, w którymby znaleźli opiekę i pomoc. Jednakże rząd francuzki nie dopuszczając przedawnienia praw swoich, częstokroć ponawiał oświadczenie o zwierzchnictwie nad Madagaskarem i polecił gubernatorowi wyspy Ile de France, żeby zachowując przyjacielskie stosunki z krajowcami, trzymał tam kilku ajentów cywilnych i wojskowych. I tak, w roku 1733 pan de Cossigny inżynier z wyspy *Ile de France*, udał się do zatoki Antongil dla zaprowadzenia tam osady, lecz przekonawszy się o nie zdrowym klimacie tego miejsca, zaniechał swego zamiaru. Pan de la Bourdonnais płynąc do francuzkich osad w Indyach Wschodnich, zawinął do téj saméj zatoki i mógł tam naprawić uszkodzone okręty.

W następnych latach, naczelnicy krajowców ustąpili Francuzom kilku miejsc nadbrzeżnych, jakoto: wyspy św. Maryi. Założono tam posterunek, który w rok potém był wymordowany, a panu Madare ustąpiono Fanzahere, lecz nie mógł się tam utrzymać. Pośród tych bezowocnych usiłowań, zdarzył się odrębny wypadek, który jeszcze uderza wyobraźnią, ilekroć jest wzmianka o Madagaskarze. Mówimy tu o wpływie Beniowskiego na interesa téj wyspy. Pomijając romansową stronę jego życia, przytoczymy tę część, do któréj rząd francuzki należał

Wydostawszy się z Kamczatki, Beniowski po długiéj żegludze zawinął do Ile de France. Tam słysząc opowiadania o Madagaskarze, umyślił założyć na niéj osadę, lecz nie zdołał pozyskać zaufania i życzliwości gubernatora Ile de France. Popłynął do Francyi, dokazał tego

że był przedstawiony królowi i mógł plany swoje przełożyć ministrom. Usłuchano go, przejęto się zwolna tym zapałem, który jego samego ożywiał. Poruczono mu dowództwo znacznéj wyprawy i zabrał z sobą ochotników ze wszystkich narodów białych i murzynów, mężczyzn i kobiety, umiejących rozmaite rzemiosła. Wylądował roku 1773 w zatoce Antongil, uroczyście objął w posiadanie wyspę Madagaskar i ogłosił się gubernatorem generalnym z ramienia króla Francyi. Wtedy rozwinął bezprzykładną czynność. Założył główną osadę w głębi téj zatoki, na prawym brzegu przy ujściu rzeki Thianbalan i nazwał ją Luisburgiem. Miejsce to miało port bezpieczny, lecz na nieszczęście było bardzo niezdrowe, tak samo jak wszystkie brzegi Madagaskaru. Przylądek wybrany przez Beniowskiego, jest pokryty bagnami i zalany wodą przez sześć miesięcy w roku, w porze dżdżystéj (1).

Przeszkoda ta nie wstrzymała Beniowskiego. Zamierzył on zjednać sobie kilka pokoleń przyjaznych cudzoziemcom, wyćwiczyć je w robieniu bronią, wykonywać nad niemi władzę silną lecz dobrotliwą i użyć ich do opanowania całéj wyspy. Porobił drogi dla przeprawy wojska, główną osadę zabezpieczył fortyfikacyami od wszelkiego napadu, połączył ze sobą obwarowanie stanowiska i daleko posunął się niemi w głąb wyspy. Opanował Angutzy, wyspę Maross, Feneriff, Foulpointe, Tamatawę i Manahar. Gromadząc wkoło siebie i powściągając krajowców, nie dopuszczał kupowania niewolników, zniewalał kupców do płacenia towarami, nie zaś pieniędzmi i chciał przez to zaprowadzić handel zamienny. Przy pomocy krajowców, Beniowski budował drogi i kopał kanały. Wysłał w głąb wyspy zręcznych ajentów, którzyby zawarli traktaty przymierza i dowiedli naczelnikom pokoleń, że dobre porozumienie z nim, będzie dla nich z ko-

(1) Pora dżdżysta w krajach podzwrotnikowych, trwa od listopada do kwietnia. Nie ma tam mrozów, ani śniegów, lecz padają ciągle deszcze, a wezbrane rzeki zalewają wszystkie niższe lądy. Wody te parują bardzo mocno i napełniają powietrze szkodliwemi wyziewami, wydobywającemi się z bagnisk. Podług obliczeń statystycznych, na stu Europejczyków wymiera sześćdziesiąt z powodu niezdrowego klimatu. Krajowcy także ulegają śmiertelności, lecz nie tyle.

rzyścią. Wkrótce nabył tak wielkiego wpływu, że walczące ludy brały go za pośrednika. Lecz kilka potężnych pokoleń jeszcze nie poddało się pod jego władzę. Przestraszone jego potęgą, sprzymierzyły się, żeby wypędzić Beniowskiego z wielkiéj ziemi; lecz on przez zręczną politykę tyle sił zgromadził, że mógł się im oprzeć. Naczelnicy południowych pokoleń byli do niego mocno przywiązani. Stanął na ich czele, stoczył kilka bitew i ścigał nieprzyjaciół, aż nareszcie zwyciężeni, prosić musieli o pokój.

Beniowski umiał sobie poradzić w najtrudniejszych wypadkach. Posiadał zimną krew pośród niebezpieczeństwa, umiał korzystać z wszystkich okoliczności, nawet z ciemnoty i łatwowierności tych barbarzyńskich ludów. I tak, gdy jeden ze zbuntowanych krajowców przyłożył mu strzelbę do piersi, on zawołał w języku madagaskarskim: „Łotrze! twoja broń nie wystrzeli!" Los sprawdził tę przepowiednię, a buntownicy uciekli z tém przekonaniem, że Beniowski jest nadprzyrodzoną istotą. Rozkazał starej Madagaskarce, sprowadzonéj z wyspy Ile de France, rozpościerać wieść, że przedana będąc razem z córką ostatniego naczelnika prowincyi Manahar nazwiskiem Rimini, poznała w Beniowskim syna téj księżniczki, a tém samém dziedzica najwyższéj władzy. Bajka ta uczyniła niezmierne wrażenie na tym zabobonnym narodzie i naczelnicy chcieli ogłosić królem, mniemanego potomka Rimini.

Jakże potężnym działaczem byłby taki człowiek jak Beniowski, gdyby go Francya użyć umiała! Lecz wielkorządzca wyspy Ile de France ciągle mu przeszkadzał. Nie chciał mu dozwolić swobodnego działania i utrzymywał, że ma nad nim zwierzchniczą władzę. Daremnie Beniowski okazywał mu instrukcye, podług których samemu tylko ministrowi powinien zdawać sprawę z czynności swoich. Spory te przedstawiono panu de Sartigues ministrowi marynarki, a ten je roztrzygnął na stronę Beniowskiego. Postanowieniem tém rozjątrzony wielkorządzca, coraz więcéj szkodził Beniowskiemu, który pozbawiony pomocy Francyi, ogłosił się królem Madagaskaru. Naczelnicy wyspy przysposobieni powieścią starej

Madagaskarki i zręcznie rozsiewanemi przepowiedniami zgromadzili się 17 września 1776 r. i wynieśli go na godność Ampan-zaka-be (najwyższego naczelnika). Wszyscy książęta i królowie nadbrzeża wschodniego, od przylądku Ambre aż do przylądku St. Maryi, znajdowali się na tém zgromadzeniu, a przeszło pięćdziesiąt tysięcy Malgachów ukorzyło się przed nowym monarchą. Jednakże Beniowski nie zajął nowéj swojéj dostojności, dopóki nie złożył urzędu naczelnego gubernatora w ręce komissarzy wysłanych przez wielkorządzcę Ile de France i nie otrzymał od nich świadectwa, że należycie wypełniał obowiązki swoje. Pozyskawszy tak wielką dostojność, która go wywyższyła nad wszystkich krajowych naczelników, chciał uwolnić się od wszelkich stosunków z wyspą Ile de France i cały Madagaskar poddać pod zwierzchnictwo Francyi. Pierwszym jego czynem była propozycya politycznego i handlowego przymierza z Francyą. Sam odpłynął dla zawarcia tego traktatu, nie zważając na przestrogi stronników swoich, że naraża się na własną zgubę. Beniowski powrócił do Francyi, miał narady z rządem, ale nie zdołał rozproszyć podejrzeń, które przeciw niemu powzięto na mocy raportów wielkorządzcy z Ile de France. Odstręczony i zniechęcony udał się do innych dworów Europy i po daremnych kilkoletnich usiłowaniach, odpłynął do Madagaskaru, a naczelnicy Malgachów przyjęli go z zapałem i poświęceniem, którego nie osłabiła ośmioletnia nieobecność. Nie będziemy opowiadać jego usiłowań w Angutzy, gdzie chciał założyć osadę własnemi i kilku prywatnych osób siłami. Już nie był reprezentantem rządu francuzkiego, a wielkorządzca i władze wyspy Ile de France, mogli zadosyć uczynić nienawiści swojéj. Uczynili wyprawę przeciw Beniowskiemu, a śmiały ten żeglarz, zamiast otrzymania zasłużonych zaszczytów i nagrody, zginął w bitwie z ręki Francuza.

Beniowski posiadał geniusz kolonizatorski. Był podobny do Kliwów i Hastingsów, tych mężnych wodzów, którzy umieli panować nad barbarzyńskiemi ludami. Francya udzielając pomocy Beniowskiemu, byłaby mogła utwierdzić panowanie swoje nad wyspą Madagaskar, lecz wdawszy się w wojnę amerykańską, dozwoliła żeby ten dziel-

ny mąż stracił na bezowocnych usiłowaniach, wielkie zdolności swoje i niezmierne zasoby, które nagromadzić zdołał.

## II.

Opuściwszy zakłady Beniowskiego w zatoce Antongil, Francya nie miała innych stosunków z Madagaskarem, prócz handlu i ograniczyła się na zatrzymaniu kilku stanowisk, które służyły do zaopatrywania wyspy Ile de France i Bourbon, w ryż, woły i solone mięso.

Za czasów Napoleona Igo już tylko trzymała samą Tamatawę. W r. 1810 wyspa Ile de France i Bourbon wpadły w moc Anglików, a w r. 1811 Tamatawa poddała się dywizyi angielskiéj. Zburzono warownią, a zwycięzcy opuścili kraj, gdy większa połowa ich żołnierzy wymarła.

Taki był stan rzeczy aż do traktatu paryzkiego, do dnia 30 maja 1814 r., Francya odzyskała prawo do Madagaskaru, gdyż ósmym artykułem tego traktatu zastrzeżony był zwrot wszystkich osad i stanowisk, jakie zajmowała przed rokiem 1792, prócz posiadłości szczegółowo wymienionych, między któremi nie ma wyspy Madagaskaru. Lecz w tymże artykule była mowa o ustąpieniu wyspy Ile de France z jéj przyległościami: wielu zatém Anglików utrzymywało, że przez to rozumie się wyspa Madagaskar, jako należąca do Ile de France przed rokiem 1792.

Takie błędne tłumaczenie traktatu paryzkiego, stało się powodem korrespondencyi dyplomatycznéj, między dworem francuzkim i angielskim. Rząd Wielkiéj Brytanii uznał, że prawa Francyi są słuszne i rozkazał wielkorządzcy Ile de France, niezwłocznie oddać nowemu zarządowi wyspy Bourbon, wszystkie zakłady jakie rząd francuzki posiadał na wyspie Madagaskar przed rokiem 1792.

Praktyczny rozum statystów angielskich, obliczył, że posiadanie wyspy Madagaskar będzie dla Francyi pokusą, która łechcąc jéj próżność i ruchliwość, może od czasu do czasu skłaniać ją do wypraw i ofiar kosztownych a niepożytecznych. Wyspy bowiem Madagaskar

małemi siłami zdobyć nie można; zabójcze klima wyniszczy Europejczyków; im zaś większa będzie wyprawa, tém więcéj klęsk pociągnie za sobą. Takie to były pobudki, które rządziły gabinetem angielskim. Gdyby był obliczył, że możliwą i pożyteczną jest rzeczą zdobycie Madagaskaru, nigdyby tam nie dopuścił Francuzów. Bądź co bądź, w skutek tego ustępstwa, minister marynarki wyznaczył komissyą, do roztrząśnienia, jakie korzyści może odnieść Francya ze swoich dawnych posiadłości na Madagaskarze. Komissya wniosła, żeby założyć osadę na brzegu wschodnim, a to dla rozszerzenia stosunków handlowych, rozwinięcia żeglugi, pomnożenia odbytu na płody rolnictwa i przemysłu i dostarczenia sposobu do życia nadmiarowi ludności krajowéj, *któréj szybki wzrost zaczął wzniecać obawę.*

Wnioski te pisane były w r. 1817: jakże błędne były obawy ówczesnych polityków francuzkich, o przeludnienie kraju!

Radzono, żeby najprzód osiedlić się na wyspie Śt. Maryi, oddzielonéj od lądu bardzo wązką cieśniną morską, gdzie jest dobra i w każdéj porze przystępna zatoka, a potém zająć port Tintingi naprzeciw wyspy Śt. Maryi, na brzegu madagaskarskim: gdyż tam można założyć wielki arsenał morski i posuwać się daléj w miarę sposobności; żeby do uprawy roli używać krajowców i uważać ich jako niewolników, albo jako robotników, którzy po czternastu latach służby, oswobodzeni będą i otrzymają część gruntów.

Przed wykonaniem tego planu, hrabia de Mole ówczasowy minister marynarki, wysłał wyprawę na zwiedzenie wschodnich brzegów Madagaskaru. Komissya badawcza objęła w posiadanie, w obec naczelników kraju, Tintingę i Stą Maryą. Nieco późniéj Śt. Łucya i warownie Delfina zostały zajęte i otrzymały załogę. Lecz nie umiano korzystać z ciężkich poprzednich doświadczeń. Wyprawa w roku 1821, wysłana po komissyi badawczéj, nie była roztropniéj poprowadzona jak wszystkie dawniejsze. Przybyła w porze słotnéj; choroby rozpostarły się między Francuzami, wprzódy jeszcze, nim zdołali postawić budynki do którychby schronić się mogli. Takie mnó-

stwo ludzi wymarło, iż trzeba było zaniechać zajęcia Tintingi, téj podstawy wszelkich dalszych działań. Ograniczono się na wysepce Stéj. Maryi i na przyjęciu oświadczeń uległości od kilkunastu naczelników z nadbrzeża wschodniego.

Sir Robert Farquhar gubernator wyspy Ile de France, zawzięty nieprzyjaciel Francuzów, sposobił się do stawienia im ciężkich przeszkód. Należał on do tych ludzi, jakich Anglia zawsze ma w pogotowiu; oni to idąc za popędem patryotyzmu, śmiało odważają się na kroki, jakie w ich mniemaniu są użyteczne krajowi i nie zważają na to, że z powodu wyższych względów, rząd wyprze się ich postępowania. Po otrzymaniu rozkazu, żeby zakładów na Madagaskarze nie uważał za należące do wyspy Ile de France, Robert Farquhar umyślił zaprzeczyć Francuzom prawa panowania nad tym krajem. Król znacznéj części Madagaskaru, nazwiskiem Radama posłużył mu za narzędzie do tego celu.

W 1813 r. Radama nastąpił po swoim ojcu królu Howasów, który był podbił okoliczne plemiona i powiększył swoje państwo. Radama chciał zdobyć resztę wyspy, Sir Robert Farquhar posłał do niego ajenta, nazwiskiem Hastie, któremu powierzył swoje najskrytsze myśli. On miał podniecać w królu żądzę panowania nad całą wyspą, radził mu żeby założył porty, urządził wojsko, zbudował marynarkę. Te rady podobały się królowi. Hastie przywiózł mu bogate podarunki i przyrzekł pomoc pieniężną, jeżeli zostanie sprzymierzeńcem Anglii. Oficerowie angielscy wkrótce przybyli na dwór króla Radamy i zajęli się urządzeniem wojsk jego; za nimi przyciągnęli missyonarze, którzy rozdając Biblią zachęcali zarazem do związków z Anglią. Trzeba było umocnić te zręczne zabiegi jakim świetnym czynem. Sir Robert Farquhar skłonił króla Radamę do podpisania traktatu znoszącego handel niewolnikami: w nim Radama mianowany jest królem Madagaskaru. Pod pozorem wynagrodzenia za utratę zysku ze sprzedaży niewolników, tymże samym traktatem przeznaczono Radamie rocznéj pensyi 60,000 piastrów.

Po takim akcie, Sir Robert Farquhar odkrył swoje zamiary. W listopadzie 1821 r. posłał do wyspy Śtéj Maryi okręt wojenny, z zapytaniem, na mocy jakiego prawa znajdują się tam Francuzi i jakie są ich zamiary.

Dowódzca Francuzów odpowiedział, że tam przybył z rozkazu króla, że cały brzeg wschodni Madagaskaru należy do Francyi i że z góry protestuje przeciw wszelkim naruszeniom praw swojego monarchy. Téj sposobności oczekiwał Robert Farquhar. Oświadczył więc: że uważa Madagaskar jako niepodległe państwo, połączone z Anglią traktatem przymierza, więc nikt nie ma prawa do posiadania jéj brzegów, chyba ten, ktoby otrzymał je od króla Madagaskaru; że król Radama oznajmił gubernatorowi wyspy Śgo Maurycego (tak Anglicy przezwali wyspę Ile de France) i dowódzcy sił morskich angielskich, że żadnemu narodowi europejskiemu nie przyznaje tego prawa własności.

Radama poparty takiém oświadczeniem chciał rozciągnąć swoje panowanie nad całą wyspą. Przy pomocy oficerów angielskich i nie zważając na protestacyą francuzkiego dowódzcy na wyspie Śtéj Maryi, ruszył na czele wojska, które wzrastając co chwila liczyło nareszcie 50,000 żołnierzy; zdobył Tintingę, spalił ją, podbił pod władzę swoją wszystkich nieprzyjaznych mu naczelników, zrabował zapasy Francuzów, a na tém większe ich upokorzenie, zdobywszy warownię Delfina, wziął do niewoli dowodzcę francuzkiego, zrzucił chorągiew Francyi i zmusił załogę do schronienia się na pobliskie wysepki.

Krótko wspomnimy o tém, co się stało od roku 1820 do 1826, pod wpływem Anglii i za rozkazem Radamy. Zaniechamy opowiadań szczegółów, jakich środków użyli Anglicy, żeby podkopać władzę Francyi i jak mało usiłowano odpierać ich zabiegi. Francuzi byli w takiém położeniu, że aby wyżywić swoją małą osadę na wyspie św. Maryi, musieli płacić daninę pod imieniem cła, tym samym, którzy ich wypędzili z wyspy. Nareszcie w roku 1826, ministeryum uwiadomione o takim stanie rzeczy, postanowiło przykładnie zemścić się za obrazę honoru narodowego. W tymże samym czasie, ważne wypadki zaszły na wyspie Madagaskar. Radama umarł, mając lat

37, zamordowano jego potomstwo, a stronnictwo które dopuściło się tych mordów, powołało na tron Ranawalo, jednę z żon Radamy. Rozdwojenie okazało się między Howasami. Jedni chcieli zmienić kształt rządu, wyrzec się podbojów Radamy i utrzymywać stosunki z cudzoziemcami; drugie stronnictwo, składające się z wojska które ogłosiło królową Ranawalo, chciało panować nad całą wyspą i trzymać się dawnego trybu postępowania: ono to wzięło górę i zmusiło królowę do zaprzysiężenia, że żadnéj cząstki ziemi nie ustąpi cudzoziemcom.

Wyprawa francuzka pod rozkazami dowódzcy Gourbeyre składała się z dwóch fregat, z dwóch korwet i dwóch brygów. Z nią miało połączyć się kilka statków znajdujących się przy brzegach Brazylii i przy wyspie Bourbon. Ich osada była na stopie wojennéj, a przy tém dwie kompanie Jalafów, tojest żołnierzy Murzynów w Senegalu zaciągniętych, oraz garnizony z wyspy Bourbon i św. Maryi, miały być użyte do wylądowania. Wyprawa stanęła najprzód przed Tamatawą; tam bezskutecznie chciała wejść w układy z namiestnikiem królowéj, potém wylądowała w Tintindze i obwarowała się w tém miejscu. Na wezwanie ajentów królowéj, co znaczy ten krok, dowódzca odwołał się do praw Francyi i oznajmił, że wkrótce przybędzie do Tamatawy, żądając wynagrodzenia za dawne krzywdy. Jakoż dywizya udała się niezwłocznie do tego miasta, zniszczyła jego warownię i wypędziła Howasów. Ztamtąd p. Gourbeyre popłynął do Foulpointe, lecz po wyparciu nieprzyjaciela z bateryi nadbrzeżnych, wojska francuzkie wylądowawszy na brzeg, przyjęte były wystrzałami kartaczowemi z kilkunastu armat. Odwaga dowódzców nie zapobiegła temu, że w wielkim nieładzie musiały cofnąć się aż do brzegu. Należało powetować tę porażkę. W tym celu dowódzca zwrócił się do Pointe Larré, zkąd Howasowie zagrażali jednocześnie francuzkim zakładom w Tintindze i na wyspie św. Maryi. Po zaciętéj bitwie, w któréj artylerzyści nieprzyjacielscy nie odstąpili od armat, lecz dali zabić się przy nich, flagę francuzką zatknięto na zniszczonéj warowni Howasów.

Należało działać daléj i nowém zwycięztwem ustalić początkowe korzyści. Na nieszczęście, środki wojenne

były bardzo szczupłe, zabrakło żywności, choroby niszczyły wojsko morskie i lądowe, a dżdżysta pora groziła jeszcze większą śmiertelnością. Pan Gourbeyre umocnił o ile było można, Tintingę i wyspę św. Maryi, a potém wrócił na wyspę Bourbon, żeby obmyślić środki do przedsięwzięcia drugiéj kampanii. Ale minister marynarki, pan Chabrol, nie chciał daléj posuwać kroków nieprzyjacielskich. Wydał polecenie do rządcy wyspy Bourbon, żeby polityka Francuzów zupełnie inną przybrała postać względem Howasów. Nie wstydząc się roli zwyciężonego, rząd francuzki wysłał kilku ajentów, lecz ich nie przyjęto. Książę Polignac w liście do królowéj Ranawalo nie wahał się proponować zawarcia przymierza, przyrzekał, że jéj dostarczy broni, amunicyi, pieniędzy i oficerów do wyćwiczenia jéj wojska, pod tym jednym warunkiem, że ona pozwoli założyć wielkie osady handlowe w zatoce św. Augustyna, w Diego Suarez i w dwóch lub trzech innych portach wyspy. Francya przyszła zatém do tego, że po tylokrotném ogłaszaniu praw zwierzchnictwa, po kilku zbrojnych wyprawach, musiała prosić żeby jéj wolno było zająć kilka stanowisk nadbrzeżnych, a za to ofiarowała pewien rodzaj daniny. Te propozycye, chociaż tak niezgodne z honorem Francyi, nie były przyjęte, a królowa Ranawalo przestrzegając przysięgi swojéj, ani słyszéć chciała o jakiémkolwiek ustąpieniu kawałka ziemi.

Takie były stosunki z Madagaskarem aż do rewolucyi 1830 r. Nowy rząd mniemał, że z powodu niezdrowego klimatu, nie można zatrzymywać Tintingi, gdzie już wyginęła połowa załogi i rozkazał ją opuścić. W tymże czasie, wojska i okręty użyte do ostatniéj wyprawy, powróciły do Francyi, a gubernatorowi wyspy Bourbon polecono, żeby odtąd nie wszczynał żadnych sporów o zwierzchnictwo, a starał się zaprowadzić przyjazne stosunki handlowe z wyspą Madagaskar.

Dotąd sama władza wykonawcza kierowała polityką Francyi: wstępujemy w okres czasu, kiedy izby zaczęły wpływać na nią. Rząd króla Filipa musiał walczyć z licznemi trudnościami. Wiedział o nieżyczliwości kilku państw europejskich, które nie mogły przebaczyć mu, że wylągł się z łona rewolucyi; musiał ponosić ciężar

chwalebnego, lecz niepożytecznego dziedzictwa podboju Algeryi; musiał, żeby nie osłabić się wobec Europy, mieć zawsze na pogotowiu znaczne siły lądowe i morskie. Izby oceniały to położenie. Postanowiono zatém przybrać względem Madagaskaru *oczekującą postawę:* lecz żeby jéj nie poczytano za zrzeczenie się praw dawnych, połączono ją z niektóremi politycznemi czynami. Uzyskano od królowéj Sakalawów ustąpienie wysp Nossi-Be i Nossi-Kumba w kanale Mozambickim, o kilka mil od brzegów Madagaskaru i prawo zwierzchnictwa nad zachodnim jéj brzegiem. Otrzymano także, przez traktat zawarty z sułtanem Andian Suli, posiadanie wyspy *Mayotte*, co było najważniejszym nabytkiem (1).

Nowy plan opierał się na otoczeniu wielkiéj wyspy Madagaskar. pasem stacyi, na którychby powiewała nowa flaga i gdzie ludność chcąca zrzucić jarzmo Howasów, znalazłaby opiekę i schronienie. Te małe stanowiska, oprócz zaopatrywania osady francuzkiej na wyspie Bourbon, w ryż i bydło, miały utrzymywać otuchę sprzymierzeńców Francyi, Betsimsaraków, Batanimenów i Sakalawów, którzy udzielać będą pomocy Francuzom, jeżeli ci upomną się o prawa swoje do wyspy Madagaskar. Na wyspie Mayotte znajduje się dogodna i bezpieczna zatoka, którą łatwo zamienić można w port obronny. Można więc tam mieć ochronę dla okrętów handlowych i floty wojennéj.

Taki stan rzeczy dotrwał aż do roku 1844, lecz w tym czasie, pewien wypadek zniewolił do czynniejszego działania. Mała osada kupców francuzkich i angielskich, osiedliła się na wschodnim brzegu wyspy Madagaskar. Tamatawa była ogniskiem jéj działań handlowych. Kupcy szanowali prawa krajowe i nie mieszali się do niezgód wewnętrznych, żeby nie drażnić podejrzliwego rządu królowéj Ranawalo. Nabyli mniéj lub więcéj ważne posiadłości i pozakładali kantory. Nie spodziewano się zmiany tych stosunków, gdy nagle, bez powodu, a na-

(1) Wyspa Mayotte jest ostatnią w południowo wschodniéj stronie wysp Comores, leży o 54 mile morskie od Nossi-Be, o 300 mil od wyspy Bourbon. Powierzchnia jéj wynosi 30,000 hektarów.

wet bez jakiegobądź pozoru, rządca Tamatawy rozkazał kupcom, żeby wynieśli się z kraju w ciągu dni piętnastu, albo też poddali się prawu ogłoszonemu przez królową, które zobowiązywało ich do oddania wszelkiéj swojéj własności, do przyjęcia stopnia i ubioru najniższéj klassy ludności, do ulegania prawu tingui za przestępstwa (1) i do poddawania się wszelkim barbarzyńskim zwyczajom tego ludu. Tak zagrożeni kupcy, zawezwali opieki gubernatorów wysp św. Maurycego i Bourbon. Gubernatorowie zadosyć uczynili ich wezwaniu: Kapitan okrętu Romain Desfosses, z dwoma okrętami francuzkiemi i kommandor Kelly z fregatą angielską, stanęli przed Tamatawą i żądali, żeby wykonanie tych środków odłożono do roku. Howasowie uporczywie obstawali przy swojém. Trzeba było użyć oręża.

Statki zaczęły strzelać do warowni Tamatawa, która silnym ogniem odpowiadała. Po dwóch godzinach, zaczęło ustawać strzelanie nieprzyjaciela. Wtedy żołnierze i majtkowie obu narodów wsiedli na czółna i dopłynęli do brzegu, pod ogniem kartaczowym. Nakazano szturm. Rzucili się na baterye i wkrótce zdobyli zewnętrzne fortyfikacye; lecz trzeba było opanować główną warownię, a do tego brakowało artyleryi oblężniczéj, gdyż okrętowe działa nie mogły rozbić tak grubych murów. Anglicy i Francuzi wkrótce przekonali się o bezskuteczności swoich usiłowań. Dowódzcy nakazali odwrót, pod zasłoną dział okrętowych. Howasowie zostali panami stanowisk i chociaż stracili dużo ludzi, ogłosili zwycięztwo nad połączonemi siłami Francyi i Anglii. Na znak tryumfu, zatknęli na brzegu morza, wobec okrętów odpływających, głowy Anglików i Francuzów poległych na placu bitwy.

Skoro tylko o tém dowiedziano się we Francyi, uznano że trzeba surowo skarcić Howasów i przywrócić postrach i uszanowanie francuzkiéj broni przynależne. Minister marynarki urządził wyprawę na obszerny rozmiar; przeznaczono trzy tysiące dwóchset żołnierzy, nale-

(1) Tingui jest rodzaj próby sądowéj nakształt téj jakiéj używano w średnich wiekach. Oskarżony musi zjeść migdał będący gwałtowną trucizną: jeżeli nie umrze, jest to dowód jego niewinności.

żących do piechoty, artyleryi i inżynieryi. Siła morska składała się z dwóch okrętow, dwóch fregat i statków przewozowych. Dowództwo siły lądowéj powierzono generałowi Duvivier, który wsławił się w Algierze energią i biegłością w sztuce wojennéj, wojsk zaś morskich, kapitanowi okrętu Romain Desfosses, który miał pomścić się zgonu towarzyszów broni zabitych pod Tamatawą. Rząd francuzki wskazał im dokładnie, jaki jest cel wyprawy. Mają uderzyć na Howasów od wschodniéj strony Madagaskaru, gdzie ich panowanie jest najsilniéj ugruntowane i gdzie należy ukarać ich zuchwalstwo, zniszczyć baterye nadbrzeżne i uderzyć na nieprzyjaciół w tych zakątkach, które z powodu długiéj bezkarności uważają za bezpieczną uchronę. Taki jest cel wyprawy. „Pamiętaj generale, powiedziano w instrukcyi, żeby Francya miała zadosyć uczynienie i to jest jedyném twojém zadaniem. Żeby zaś było zupełne, każdy twój cios powinien być stanowczym, każda walka zwycięztwem dla nas, a dla Howasów stanowczą klęską". W instrukcyi jeszcze poufalszéj, minister marynarki wyraźnie powiada, że Francya nie chce żadnéj zdobyczy, ani nawet podźwignienia dawnych stacyj (?).

Ministeryum marynarki uczyniło bardzo skrycie wszystkie te przygotowania do wyprawy. Publiczność miała podejrzenie o większych zamiarach. Lękano się, żeby rząd nie wdał się w zuchwałe przedsięwzięcie, któreby naraziło siły i skarb kraju. Przy takiém to usposobieniu umysłu, zaczęły się rozprawy o kwestyi Madagaskaru, podczas narad nad adresem, po otwarciu posiedzeń izb w r. 1846. Kto chce wiedzieć, jakim sposobem narady ciała prawodawczego mogą odwieść od dalekich wypraw, nie wynikających z rzeczywistego dobra kraju, niech uważnie odczyta rozprawy z téj przyczyny prowadzone.

Do opozycyi należeli członkowie wszystkich odcieni i stronnictw. Różnorodne zarzuty czyniono przeciw téj wyprawie. Jedni dla tego ją potępiali, że ministrowie nie dostarczyli izbie dostatecznych powodów, mogących ją usprawiedliwić. Z takiéj niedokładności można było wnosić, że są jakieś tajemne zamiary, że zapewne nie idzie

o samą tylko opiekę nad kupcami i nad drobnemi zakładami na wysepkach w około Madagaskaru, lecz o zdobycie téj wielkiéj afrykańskiéj wyspy; że tym sposobem chciano usunąć z pod kontroli izby, niebezpieczną i kosztowną politykę. Inni posuwając się daléj, mówili o planie podboju i przytaczali jako dowód, adres generalnej rady wyspy Bourbon, w którym wyraźnie taż rada domaga się, żeby Francya zajęła wyspę Madagaskar, jako osadę swoją. Uderzenie na Tamatawę było tylko wstępem do téj kwestyi, a teraz odwołując się do honoru narodowego, chcą pociągnąć Francyą aż do ostatecznych kroków. Z treści tych rozpraw wynikły następujące pytania. „Przypuśćmy, że wyprawa opanuje brzeg Madagaskaru, cóż wtedy uczynić? Jeżeli dopiąwszy swego celu, opuścicie wyspę, będzie to powtórzeniem tylu bezużytecznych wypraw. Jeżeli na niéj pozostaniecie, to narazicie waszych majtków i żołnierzy na marną śmierć, któréj ulegną w zabójczym klimacie téj nieszczęśliwéj krainy. Otóż jest piękny skutek honorowego pojedynku, jaki chcecie stoczyć z królową Ranawalo. A czyliż honor Francyi może w jakimkolwiekbądź względzie doznać uszczerbku, w sporze z władczynią dzikiego ludu?"

Rozmaite przytaczano powody, lecz do tych samych wniosków dochodzono. Wszyscy mówcy, którzy powstawali przeciw wyprawie, zgadzali się na ścisłe zastrzeżenie praw Francyi do Madagaskaru. Znakomity członek ówczesnéj opozycyi, pan Billault, wyraził tę myśl w poprawie do adresu: „Francya nie wyrzeka się praw swoich. Nie odmawia żadnéj ofiary potrzebnéj dla tak ważnych interesów; lecz spodziewa się po roztropności rządu, iż tenże bez niezbędnéj konieczności nie wda się w dalekie i uciążliwe przedsięwzięcia. Poprawkę tę przyjęto niezmierną większością głosów, gdy pan Billault oświadczył, że ona nie ma na celu bezpośredniéj nagany gabinetu. Ministeryum usłuchało zdania izby i zaniechało wyprawy. Trzeba było dać izbie jeszcze jedno zadosyć uczynienie: nie dozwolić, żeby osobiste działanie Anglii przyniosło uszczerbek prawom Francyi do Madagaskaru. Gabinet paryzki zniósł się z londyńskim. Lord Aberdeen kierujący zagraniczną polityką W. Brytanii, bez trudności

zapewnił pana Guizot, że niezwłocznie prześle instrukcye gubernatorowi wyspy św. Maurycego i dowódzcy siły morskiéj, aby wstrzymali się od wszelkich kroków nieprzyjacielskich przeciw Madagaskarowi.

Ten ustęp z historyi parlamentarnéj wykazuje, że rząd reprezentacyjny nie łatwo poświęca obecność dla przyszłości, że nie może dowolnie rozrządzać siłami i skarbem państwa, że jest powolniejszy i ostrożniejszy, bo musi usprawiedliwiać się ze swoich postępków. Z tém wszystkiem, te warunki stanowią siłę jego, przez nie bowiem zespoli cały naród z postanowieniami swojemi, nie działa za kierunkiem osobistéj myśli, lecz za popędem powszechnego uczucia.

Od téj chwili, Francya wróciła na Madagaskarze do *obserwacyjnej i oczekującéj polityki.*

## III.

Od owéj epoki, aż do śmierci królowéj Ranawalo, to jest do sierpnia r. 1861, stosunki Francyi z wielką wyspą afrykańską były spokojne; Howasowie raz tylko, w roku 1849 uderzyli na osadę w Nossi-Be, lecz doznali dzielnego odporu. Pewien rodzaj tolerancyi dla cudzoziemców, wcisnął się w politykę rządu madagaskarskiego. Królowa pewna będąc że Francya zaniechała zamiarów zdobywczych i ulegając wpływowi kilku Europejczyków, którzy pozyskali jéj zaufanie, nie wykonywała straszliwego prawa przeciw cudzoziemcom. Kilku śmiałych podróżników i kilku kupców francuzkich, przygotowało tę pomyślną zmianę; takiemi byli panowie Delastelle, de Rontaunay, Laborde i inni. P. Laborde wezwany przez królową do założenia fabryki broni, nie ograniczył się na laniu armat, lecz założył piece do wytapiania rudy żelaznéj i huty szklane. Cierpliwością i przemysłem, potrafił przerobić żołnierzy Howasów, na mularzy, kamieniarzy i cieśli, nauczył ich wypalania wapna i cegieł, ciesielstwa i stolarstwa.

Spokojność którą cieszyli się cudzoziemcy, była skutkiem energii królowéj, lecz ta energia częstokroć dochodziła aż do okrucieństwa. Krwawém było panowanie królowéj

Ranavalo; bez miłosierdzia karała pokolenia, które usiłowały odzyskać swoją niepodległość. Najmniejsza oznaka nieposłuszeństwa, pociągała za sobą najokropniejsze kary, a wszystkich strach odrętwiał.

Po śmierci królowéj, zostały dwa stronnictwa w obec osłupiałego ludu. Na czele jednego był jéj syn Rakoto, od niéj bardzo ukochany. Książe ten, dobrowolny i łaskawy, powodowany do czynów szlachetnych i ludzkich bardziéj instynktem niżeli rozumem, miał za sobą wszystkich, którzy pragnęli końca tyrańskiego rządu. Cudzoziemcy mieszkający i cierpieni w Tananariwa, kilku missyonarzy protestanckich i katolickich, doznawali jego opieki i w nim pokładali nadzieję. Pewien Francuz, pan Lambert, silnie przywiązany do swojego kraju, żył poufale z księciem i wpływem swoim chciał go skłonić, żeby natychmiast po wstąpieniu na tron wszedł na drogę cywilizacyi i postępu, korzystną dla Madagaskaru i dla Francyi.

Siostrzeniec królowéj, Ramboasalam, był naczelnikiem drugiego stronnictwa, rościł prawo do tronu i zarzucał królowi Rakoto, nieprawość jego urodzenia. (1) Wspierali go ci wszyscy, którzy powodowani przesądami albo interesem własnym, obstawali za utrzymaniem terroryzmu. Zjednał on sobie pierwszego ministra zmarłéj królowéj i przy jego pomocy chciał opanować rządy. Zawiodła go nadzieja; energiczne rozporządzenia wojskowe zabezpieczyły koronę Rakotowi, który wstąpił na tron pod nazwiskiem Radamy II.

Nowy monarcha nie nadużył swego tryumfu; wygnał tylko Ramboaalama i dawnego ministra. Jego panowanie zaczęło się bardzo chwalebnie; zniósł próbę *tinguivu*, przyzwał Europejczyków i przyjął ich bardzo życzliwie. Oświadczył, że chce powiększyć liczbę szkół zostających pod kierunkiem missyonarzy, a szczupła liczba krajowców nawróconych na wiarę chrześciańską, mniemała, że odtąd będzie cieszyć się pokojem i bezpieczeństwem. Pan Lambert wygnany za panowania królowéj, za to że należał do

(1) Rakoto urodził się w dwa lata po śmierci Radamy Igo, a królowa utrzymywała że jest jego synem, opierając się na zabobonném mniemaniu poddanych swoich.

spiskowych, którzy chcieli ją zmusić do abdykacyi na rzecz syna, zajął ważne stanowisko przy nowym królu i chciał zawiązać ścisłe i dla obu stron korzystne stosunki między Francyą a Madagaskarem. Oczywistą było rzeczą, że Radama II chce otworzyć przystęp dla cywilizacyi. Te oznaki musiały zwrócić uwagę dwóch wielkich mocarstw morskich. Gubernator wyspy Maurycego niezwłocznie wysłał poselstwo do Tananariwy winszując Radamie wstąpienia na tron. W kilka miesięcy potém, pan baron Brossard de Corbigny toż samo uczynił w imieniu rządu francuzkiego. Nareszcie w ciągu roku 1862, koronacya Radamy odbyła się uroczyście i komendant stacyi morskiéj Dupré był na niéj, jako reprezentant Francyi.

W tym czasie, p. Lambert, który posiadał zaufanie króla, przybył do Francyi. Miał posłuchanie u Napoleona IIIgo i u ministrów, objawił życzliwe usposobienie nowego króla Madagaskaru, okazał że Radama pragnie zaprowadzić w swoich krajach, wszystkie korzyści cywilizacyi, a na dowód przedstawił przywileje handlowe, rolnicze i przemysłowe, które od młodego monarchy otrzymał. Mniemano, że łatwo będzie można skłonić króla do oddania się pod opiekę Francyi. Cesarz francuzki zajął się tym przedmiotem, jednakże tylko w pewnéj mierze chciał z tego korzystać. Zamiast protektoratu, polecił komendantowi Dupré zawarcie umowy przyjaźni i handlu, a zamiast bezpośredniego korzystania z przywilejów nadanych Lambertowi, nakłonił Francuzów do utworzenia kompanii, która pod opieką rządu miała z nich użytkować. Traktat przyjaźni i handlu podpisano 2go września roku 1862. Nie zastrzegła Francya szczególnych dla siebie korzyści i owszem zamieściła w nim następujący warunek: „Korzyści wynikające z niniejszego traktatu przyjaźni i handlu, rozciągają się, bez żadnych nowych zastrzeżeń, do wszystkich narodów, które chciałyby z nich korzystać. Tak więc Francya przywołuje wszystkie mocarstwa morskie do udziału w zyskach, które za wpływem kilku naszych współziomków mogła była dla siebie saméj zachować.” Nie można wspaniałomyślniéj postąpić. I w tém polega radykalna zmiana stanowiska Francyi, względem wyspy Madagaskaru.

Szczegóły historyczne powyżej przytoczone, wykazują, iż od panowania Ludwika XIV aż do naszych czasów, Francya ciągle utrzymywała, że ma prawo do zwierzchnictwa nad tą wyspą. W przerwach czasu dłuższych lub krótszych, wykonywała to prawo; nareszcie w ostatnim okresie od r. 1838 do r. 1848 uroczyście i wielokrotnie zastrzegła je sobie. Trzeba więc roztrząsnąć, jaka jest wartość tego prawa i tych zastrzeżeń.

W prawie narodów, jak w prawie cywilném, nikt nie może nabyć tytułu własności, prostemi tylko oświadczeniami. Odkrycia, podboje, traktaty, są podstawą prawa do posiadania jakiego terrytoryum. Kiedy narody europejskie w XV i XVI wieku, wysyłały dalekie wyprawy morskie, żeby powiększyć swoje państwa i zdobyć nowe posiadłości, wtenczas przyjęły zasadę, że mają prawo do tych ziem, które ich żeglarze odkryją: lecz prawo to nie było bezwarunkowe, i tylko wtedy miało wagę, kiedy zajęły i posiadały przynajmniéj część kraju. (1) Tak, Portugalczykowie, którzy odkryli Madagaskar, mogli byli opierając się na pierwszeństwie odkrycia, zatknąć swoją flagę na téj wyspie, założyć osadę i ogłosić się jéj władzcami. Podobnież i Francya, dla pozyskania niezaprzeczonego prawa własności, musiała poprzeć swoje oświadczenie jakim materyalnym aktem. Uczyniła to za Ludwika XIV przez zajęcie kilkunastu miejsc nadbrzeżnych. Posiadanie jest utwierdzeniem prawa: bez tego, narody mogłyby przez wzniesienie kilku widocznych znaków, zostać posiadaczami jakichbądź miejsc na świecie, bez żadnego pożytku dla siebie i jedynie tylko po to, żeby z nich inni nie korzystali. Prawo narodów uznaje własność i zwierzchnictwo państwa, nad temi jedynie krajami, które istotnie są przez nie zajęte i gdzie założyły osady. Jakoż, pisze Vattel, kiedy żeglarze znaleźli w pustych krainach pomniki, świadczące że inne narody objęły je w posiadanie swoje, ale nie było tam ani warowni, ani osady, tak nie zważali na te czcze formalności, jak na rozporządzenie papieżów, którzy czwartą część świata podzielili między Hiszpanią i Portugalią.

(1) Najznamienitsi politycy jakoto; Vattel, Pinheiro, Ferriere, Puffendorf zgadzają się na tę zasadę.

Do takich praw, jak do wszystkich innych, przywiązane są pewne obowiązki. Państwa nazywające się posiadaczami i zwierzchnikami jakiego kraju, nie tylko same powinny tam wywierać władzę swoją, lecz opiekować się narodami innemi, które z niemi zostają w stosunkach. Przypuśćmy, że w tych odległych krainach dopuszczono się napaści i rozbojów; do kogóż strony pokrzywdzone udadzą się po wymiar sprawiedliwości; od kogo domagać się będą wynagrodzenia szkód, których doznali; przeciw komu użyją prawa odwetu i na kogo wymierzą karę, gdy ta okaże się potrzebną? Jeżeli nie otrzymają zadosyć uczynienia, jeżeli w kraju nie mieszka urzędowy i odpowiedzialny reprezentant zwierzchniczego państwa, jeżeli ten mniemany zwierzchnik nie posiada takiego materyalnego stanowiska, iżby można żądać od niego, żeby wynagrodził zrządzone krzywdy i zapobiegł im na przyszłość: samo z siebie wynika, że taki kraj uważać trzeba jako nie zajęty, a pokrzywdzeni sami sobie wymierzą sprawiedliwość, bez względu na to nominalne zwierzchnictwo.

W dawniejszym czasie, popierała Francya prawa swoje do wyspy Madagaskar, lecz od lat trzydziestu i trzech już tam nie posiada ani kawałka ziemi. Jednakże podczas rozpraw w izbie deputowanych w r. 1846, wielu mówców utrzymywało, że jéj położenie względem téj wyspy afrykańskiéj jest zupełnie takie same, jak Anglii względem Nowéj Hollandyi i Nowéj Zelandyi, albo Hollandyi względem Sumatry. Było to mylne twierdzenie. Anglia wprawdzie zajmuje tylko kilka miejsc w Australii; Hollandya nie podbiła pod władzę swoją wszystkich naczelników Sumatry, a jednakże żadne państwo europejskie nie myśli im zaprzeczać prawa do panowania nad temi krajami. Dla czegóż? Bo w tych posiadłościach Anglia i Hollandya rozwijają najwyraźniejsze oznaki panowania. Nie tylko zatknęły tam swoją narodową chorągiew, lecz zaprowadziły rząd bezpośrednio od metropolii zależący, utrzymują tam wojsko i wszyscy wiedzą o ich panowaniu. Jeżeli zdarzają się rozboje przy brzegach tych wysp, pokrzywdzeni zanoszą zażalenia do tych rządów, one zaś biorą na siebie wynagrodzenie krzywd i poskromienie nadużyć. Gdy rzecz tocxy się o przepisy morskie albo celne

na tych wyspach, państwa Europy nie umawiają się z naczelnikami dzikich pokoleń, albo z rajasami, którzy pod zwierzchnictwem Anglii lub Hollandyi jeszcze posiadają tam jakąkolwiek władzę, lecz wprost zgłaszają się do metropoliów.

Nie takie było stanowisko Francyi na wyspie Madagaskar. Nie zajmowała tam ani kawałka ziemi, nie tylko nie wykonywała prawa zwierzchniczéj władzy, lecz jeszcze dozwoliła królowi Radamie Imu żeby ogłosił się panem całéj wyspy i w tym charakterze działał na zewnątrz i wewnątrz. Nie zaprotestowała wtenczas, kiedy Anglia zamiast udać się do niéj, zwróciła się do króla Radamy Igo i zawarła z nim traktat, jako z królem Madagaskaru, o zniesienie handlu niewolnikami. Nawet nie przyszło na myśl rządowi francuzkiemu, że taka umowa mająca na celu handel i osady, w kraju, którego zwierzchnictwo Francya sobie przyznaje, nie z kim innym, tylko z nią samą zawarta być powinna. A późniéj, kiedy Anglicy chcieli pomścić się za swoje krzywdy, to nie uważała Francyą jako odpowiedzialną za nie, lecz jako wspólnie pokrzywdzoną i razem z nią domagała się zadosyć uczynienia od rządu Howasów. Gdyby Anglia sama działała, a wymierzając odwet tak energicznie jak to u niéj jest we zwyczaju, gdyby zamiast wynagrodzenia pieniężnego, wymogła na królowéj Ranawalo ustąpienia części kraju, czyliż Francya miałaby prawo sprzeciwiać się temu? Bynajmniéj, bo Anglia nie zastała na Madagaskarze niczyjéj władzy, oprócz Howasów.

Cóż więc są warte owe zastrzeżenia tak często powtarzane? To co jest warta warunkowa pogróżka wielkiego narodu, wyrzeczona w obec świata całego? Dla Madagaskaru i dla państw morskich jest ostrzeżeniem, że Francya zamyśla w dogodnéj chwili przywieść do skutku opanowanie téj wyspy. Pomimo uroczystéj formy wysłowienia, nic to więcéj nie znaczy. A i tę kwestyą rozstrzygnął i zniósł traktat przyjaźni i handlu, zawarty 2go września 1862 r. W tym akcie, Radama Ilgi występuje jak król Madagaskaru i Francya uznała bez żadnego zastrzeżenia, jego panowanie nad całą wyspą. Po takiém uznaniu, wysłała do niego dwóch konsulów: jeden z nich mieszkać ma

w Tananariwie, drugi w Tamatawie i wykonywać czynności swoje na mocy przyzwolenia rzeczywistego władzcy.

## IV.

Po zawarciu tego traktatu, rewolucya wybuchła w Madagaskarze, a stronnictwo przeciwne postępowi, zamordowało Radamę. Wiadomość o tym wypadku doszła do Francyi w téj właśnie chwili, kiedy komendant Dupré zawiózł do Tananariwy zatwierdzenie traktatu. Trudno wyobrazić sobie okropniejszy dramat nad śmierć Radamy. Jestto ponura scena z wieków średnich, powtórzona za naszych czasów.

Dziwne oznaki zapowiadały tę katastrofę na kilka tygodni przed jéj wybuchem. Biegali po ulicach Tananariwy ludzie ogarnięci obłędem rzeczywistym, albo zmyślonym, a ich ruchy i konwulsye szerzyły przestrach między ludem. Mówili, że im się objawia królowa Ranawalo i zakazuje wstępu chrześcianom. Wszystkich sprężyn użyto; rozgłaszano, że religia przodków, pamięć królów najbardziéj szanowanych, najświętsze zwyczaje i podania, groby i pomniki wiary, zaginą, jeżeli nie będzie tamy występnym dążeniom nowego rządu. Ruch ten wywołali kapłani bałwanów i kilku naczelników, którzy chcieli ogarnąć władzę.

Czyny Radamy mogły rozwinąć te zarody rewolucyi. Bardziéj obojętnością, niżeli sprawiedliwém uczuciem tolerancyi powodowany, naznaczył jednakową karę pieniężną za wzajemne kłótnie i wyzywania chrześcian i bałwochwalców; otoczył się strażą z młodych ludzi złożoną, swoimi ulubieńcami i rozdawał im najwyższe stopnie i urzędy. Okazywali oni jak największą pogardę dla dawnych zwyczajów, a zamiast roztropnych reform, nadużywając władzy swojéj, dopuszczali się uciemiężeń i oddawali się rozpuście, nawet w samym pałacu królewskim. Radama obsypując ich łaskami, ściągał na siebie nienawiść całego ludu. Uważano go za przywódzcę tych młodych ludzi; mówiono, że ich ośmiela do nadużyć, że im daje część władzy swojéj za rozpusty i zbytki, do

których go przypuszczali. Nareszcie dopełnił miary szaleństw swoich, pozwoleniem na pojedynki, a nawet na walki pokolenia z pokoleniem, wioski z wioską, bez żadnéj formalności prócz zezwolenia stron obu. Było to uprawnieniem wojny domowéj. Lud oburzył się, a nieprzyjaciele Radamy podniecali jego niechęć, żeby sobie zabezpieczyć zwycięztwo.

Dnia 8 maja 1862 r. nazajutrz po wydaniu tak anarchicznego prawa, wielkie wzburzenie powstało w Tananariwie. Naczelnicy Howasów i najznaczniejsi oficerowie udali się do króla, wzywając go w imieniu ludu, żeby odwołał to prawo. Król waha się, przyrzeka że to uczyni, a potém cofając swoje przyrzeczenie pod pozorem że targnięto się na jego władzę, oświadcza stanowczo, że prawo utrzymane będzie wbrew czyjemubądź żądaniu. Deputacya odchodzi i oznajmia ludowi, że nie ma innego środka prócz oręża. Wieczorem miasto powstało, mieszkańcy uzbroili się, a dom pierwszego ministra był ogniskiem ruchu. Tam ułożono plan rewolucyi. Spisano listę skazanych na śmierć, obejmującą wszystkich ulubieńców króla, wysłano oddziały wojsk dla ścigania winowajców chociażby nawet w pomieszkaniu monarszém i chciano zmusić króla, żeby władzę złożył w szanowniejsze ręce.

Wszystkie rewolucye, przybierają, nawet u ludów wykształconych, znamię przemocy i gwałtu; można więc sobie wyobrazić, czém się stają u ludów barbarzyńskich, których namiętności zachowały pierwotną dzielność. Nie będziemy kreślili krwawego obrazu rewolucyi madagaskarskiéj. Król był kilkakrotnie wezwany, żeby odwołał prawo będące przyczyną powstania. Nie chciał tego uczynić. Lud rozjątrzony tym oporem, zapalony przez mówców, ruszył z bronią ku pałacowi i otoczył go, wydając okrzyki śmierci. Żądał nietylko odwołania prawa, lecz także śmierci ulubieńców królewskich. Jedénastu już padło pod jego ciosami; nie przestając na tém, żądał, żeby mu wydano tych, którzy są przy królu.

Radama oburza się na to żądanie. Wówczas przywódzcy chcą z nim wchodzić w układy, przyrzekają że ulubieńcy zostaną przy życiu, lecz skazani będą na wieczne więzienie. Król i na to nie pozwala. Królowa wdaje

się w te umowy i przyrzeka w imieniu króla, że wyda winowajców, pod warunkiem, że im życia nie odbiorą. Jakoż oddano ich przywódzcom powstania, pośród szalonych krzyków pospólstwa. Przez całą noc pałac był otoczony tłumem zbrojnym. Czyliż nie otrzymali skutku żądań swoich? Nazajutrz dano okropną odpowiedź na to pytanie. Wśród nocy, przywódzcy buntu wdarli się do pałacu i Radama zginął zaduszony przez nich. Zbyt krótko panował, nie można przeto powziąć o nim dokładnego wyobrażenia. Zdaje się, że miał szlachetne popędy, że nienawidził tyraństwa którém się jego matka rządziła, że lubił europejskie zwyczaje i do państw swoich otworzył przystęp cywilizacyi i oświacie. Nie posiadał wytrwałości i mocy ducha potrzebnéj temu władzcy, który chce zaprowadzać reformy. Jego zniewieściałość, zmienność humoru, uleganie dziwactwom i nierozsądkowi tych, którzy go otaczali, zrządziły, że był niezdolnym do czynów, jakich Europejczycy spodziewali się po nim.

Królowa Rabodo nastąpiła po Radamie IIgim; czyliż ona zechce utrzymać traktat zawarty z Francyą, albo też odrzuci go na żądanie stronnictwa, które ją powołało do rządu? W takim razie, czyliż Francya będzie mogła wrócić na dawne stanowisko i zaprzeczyć jéj prawa do tronu? Z powyższego zarysu widzimy, że Francya nie wieleby na tém skorzystała, a nawet, że to być nie może. Przyznała, że król Madagaskaru ma prawo zawierać z nią traktaty, a jeżeli jego następcy nie dotrzymują warunków umówionych, nie wyniknie ztąd, że stracą prawo do korony.

Francya może dopominać się drogą przyjacielską o wykonanie tego traktatu, może szukać odwetu za wyrządzone krzywdy, może nawet podbić Madagaskar; lecz dopóki to nie nastąpi, istnieć będzie na mocy jéj własnego przyznania, niepodległe królestwo Madagaskaru. Nauczony smutnemi wypadkami przeszłości, zapewne rząd francuzki nie ucieknie się do kroków wojennych. Widzieliśmy, że wszystkie działania na lądzie téj wyspy przedsiębrane, nie odniosły żadnego skutku. Palenie wiosek, burzenie warowni, byłoby bezużytecznym dowodem potęgi francuzkiéj. Howasowie mieszkający w środku

wyspy, nie lękają się napaści i czekaliby spokojnie, dopóki brak żywności i śmiertelne choroby, nie zmuszą Europejczyków do opuszczenia ich kraju. Zdobycie Tananariwy, ogniska ich władzy, byłoby jedyném ważném dziełem, ale trzeba zastanowić się ile przeszkód stoi na zawadzie. Do tego miasta nie można dojść inaczéj, tylko wdzierając się na góry, wznoszące się jedne nad drugiemi jak stopnie amfiteatru i przecięte rzekami i jeziorami. Od najbliższego brzegu morskiego, tojest od Tamatawy jest 400 kilometrów do Tananariwy (mil pol. 45), a na przebycie téj przestrzeni potrzeba dni piętnastu. Droga idzie przez niezmierne lasy, w których krzaki rosnące pod wielkiemi drzewami i dzikie rośliny, tworzą co chwila nieprzebyte zapory. Trzeba piąć się w górę i zstępować po ślizkich ścieżkach zawalonych korzeniami, klocami drzew i odłamami skał. Są tam plantacye ryżu zalane wodą, z których wydobywają się zaraźliwe wyziewy, a rano z głębi dolin powstają mgły ciężkie i niezdrowe. Przed dostaniem się do krainy Angawy, któréj stolicą jest Tananariwa, trzeba wedrzeć się na wzgórza opatrzone małemi warowniami. Obrona chociaż słaba, uczyni je niezdobytemi. Wkoło wszystkich wiosek téj prowincyi są spadziste rowy, szerokie i głębokie na trzy metry (około pięciu łokci), a przytém otoczone murem; w pewnéj odległości są inne rowy przeznaczone do wycieczek. Nareszcie na wyżynie Tananariwy na przestrzeni 56 mil francuzkich długiéj a 35 szerokiéj, mieszkają Howasowie w warownych obozach. Ztamtąd wysyłają wyprawy przeciw nieposłusznym pokoleniom.

Powietrze jest zdrowsze w Tananariwie, niżeli nad brzegami morza. Jednakże pan Brossard de Corbigny, Ida Pfeiffer, a nawet komendant Dupré, zapadli tam na miejscową gorączkę, która zrządza obłąkanie i na mózg uderza. Są to bardzo ciężkie przeszkody. Zapewne żołnierze francuzcy zdołają przezwyciężyć wiele trudności, lecz jakiemiż to ofiarami byłoby trzeba opłacić zdobycie Madagaskaru? Ileżby to ludzi i milionów pochłonęło? Nie dosyć byłoby wysłać kilka tysięcy żołnierzy. Howasowie są ludem wojowniczym; potrzeba przeciw nim wysłać wojsko, opatrywać go w żywność i wszelkie zapasy

i ciągle zapełniać ubytek zrządzony przez śmiertelność klimatu. Roztropniéj uczyni rząd francuzki, jeźli się wyrzecze wszelkiéj myśli o podboju téj krainy. Oby świetny skutek kilku zuchwałych przedsięwzięć, nie był przyczyną ciężkich błędów. Francya musi utrzymywać nowy rząd w Mexyku, bronić swoich posiadłości w niższéj Kochinchinie i uczynić je pożytecznemi; niechże więc, nie ulegnie nowym popędom do wojny. Mocarstwa zazdroszczące wpływu i wielkości Francyi, cieszyłyby się z takiego przedsięwzięcia. Trzeba zgodzić się z obecném położeniem. Francya zawarła traktat z Madagaskarem, utworzono stowarzyszenie dla korzystania z produktów téj wyspy. Te dwie rzeczy powinny zaspokoić jéj ambicyą.

Trwałość traktatu przyjaźni i handlu, nie jest ograniczona pewnym przeciągiem czasu. Powiedziano w artykule pierwszym: „Będzie stały pokój i przyjaźń między cesarzem Francuzów i jego następcami, a J. K. M. Madagaskaru i jego następcami, oraz między poddanemi obudwu krajów.

Po krwawéj rewolucyi, można było mniemać, że z niéj wynikły rząd, działać będzie wbrew polityce zabitego króla i to mniemanie opiera się na charakterze i pierwszych czynach przywódzców buntu. Skłonili królową Rabodo, że uznała panowanie Radamy II jako niebyłe i nic nie znaczące. To unieważnienie zastósowane do interesów wewnętrznych, czyliż zechcą zastósować i do zewnętrznych? Przez stosunki z missyonarzami chrześciańskiemi, Madagaskarczykowie nabyć mogli tyle wyobrażenia o polityce, iż wiedzą, że gdy Radama II umawiał się z mocarstwem zagranicznem, nie zaciągał osobistego zobowiązania, lecz że państwo całe związane zostało słowem monarchy: jakoż nowy rząd Madagaskaru miał oświadczyć, iż chce dotrzymać traktatu i nie zerwie stosunków z Francyą i Anglią. Jeżeli więc traktat z Radamą II zawarty wnijdzie w wykonanie i dotrzymany będzie w głównych punktach, czego możemy dopominać się od rządu na pół ucywilizowanego ludu, wtedy Francya osiągnie przezeń pewniejsze i nie tak kosztowne korzyści, niż te, któreby przez wojnę pozyskać mogła. Traktat ten dozwala poddanym obudwu narodów, przy-

jeżdżać, przebywać i mieszkać w sprzymierzonym kraju, pod obowiązkiem szanowania praw jego. Poddani francuzcy będą mogli otwarcie wypełniać obrzędy swojéj religii. Missyonarzom dozwolono miewać kazania, nauczać, budować kościoły, seminarya, szpitale, tam, gdzie za stósowne uznają, a to *zgodnie z prawami*. Francuzom wolno będzie kupować, przedawać, dzierżawić domy, magazyny i grunta w państwie króla Madagaskaru. Władze miejscowe nie będą wdawać się w spory Francuzów jednych z drugiemi, albo innych poddanych chrześciańskich, lecz sam konsul będzie je rozstrzygał. Nareszcie zapewniono w tym traktacie opiekę i pomoc tym Francuzom, którzy podróżować będą w celu naukowym, jakoto: geografom, naturalistom i innym. Nawzajem rząd francuzki zobowiązał się dostarczyć królowi Madagaskaru instruktorów wojskowych, inżynierów cywilnych i dyrektorów rozmaitych robót, jakich mu będzie potrzeba. Takie zastrzeżenia otwierają drogę do podbojów spokojnych, korzystniejszych niżeli te, które orężem osiągnąć można.

W skutku zawarcia tego traktatu, zawiązała się kompania, dla korzystania z ustępstw nadanych panu Lambertowi przez króla Radamę II i nazwała się *rolniczą, przemysłową i handlową kompanią Madagaskaru* (1). Założona za upoważnieniem króla Madagaskaru, ma na celu użytkowanie z kruszców, lasów i gruntów leżących nad brzegami i wewnątrz kraju. Posiada wyłączny przywiléj tego użytkowania i własność gruntów nie będących w posiadaniu prywatnych, które sobie wybierze wewnątrz kraju i zajmie się ich uprawą. Produkta z tych przedsięwzięć otrzymane, będzie mogła wyprowadzać bez żadnéj opłaty, a własność spółki jest wolna od podatku. Kapitał spółki oznaczono na 50,000,000, lecz ostrożnie postępując, utworzono na początku tylko 6,000 akcyi po 500 fr., rozdzielonych pomiędzy założycieli i nie dozwolono wypuszczać ich w obieg, dopóki nie nastąpi na to upoważnienie rządu. Przed wezwaniem publiczności do

(1) Do téj kompanii przystąpili najznamienitsi bankierowie. Baron de Richemond senator, mianowany został przez cesarza gubernatorem Towarzystwa Madagaskaru.

udziału w tém przedsięwzięciu, spółka chciała sama ocenić własnym kosztem, jakie mogą być widoki zysku, nie zaś korzystać z zarobku ze sprzedaży akcyi, które przy opiece rządu i finansowéj wziętości założycieli, byłyby znakomicie poszły w górę. Na okręcie, na którym odpływał komendant Dupré, wysłała komissyą złożoną z inżynierów, górników, rolników i naturalistów, którąby rozpoznała miejscowość i oceniła wartość projektów Lamberta. Czyliż ta komissya będzie musiała powrócić, nie dokonawszy dzieła swojego? Z tego co wiemy o nowym rządzie i o charakterze Howasów, można mniemać że tak nie będzie. Nawet królowa Ranawalo, mimo całéj grozy panowania swojego, nie mogła w ostatnich latach wzbronić wstępu cudzoziemcom. Wpływ cywilizacyi przecisnął się do jéj rządu. Missyonarze dostali się na jéj dwór; Francuzi utworzyli za jéj zezwoleniem przedsięwzięcia rolnicze i handlowe. Ten ruch zrodzony za jéj panowania i pomimo przeszkód przez nią samą stawianych, już się nie zatrzyma. Zaufanie nasze opieramy na charakterze Howasów. Od panującego aż do najuboższego z poddanych, wszyscy mają wielkie zamiłowanie w handlu, które teraz objawia się przez dziką chciwość. Żaden ich urzędnik, ani wojskowy, nie pobiera zapłaty i musi starać się o utrzymanie swoje i rodziny. Dla tego też jedni uprawiają rolę, inni, a tych jest najwięcéj, trudnią się handlem i przewożeniem produktów. Dowódzcy wojsk postawionych nad brzegami, pobierają największą część zysków z tego handlu i do niego używają żołnierzy. Rząd ogłaszając zakaz handlu z cudzoziemcami, co chwila odstępował od tego zakazu, dla pobierania opłat celnych. Królowa łagodziła się, ilekroć potrzebowała pieniędzy.

Lambert chciał korzystać z takiego stanu rzeczy. Zainteresował króla do swego przedsięwzięcia, a to przez udział w korzyściach stowarzyszenia. W statutach zastrzeżono, że dziesięć od sta czystego zysku, należéć będzie do króla Madagaskaru. Tym łańcuchem złotym związany jest nowy rząd z powodzeniem tego przedsięwzięcia, a jego chciwość skłoni go do utrzymania umowy. Może nie zatwierdzi wszystkich ustępstw Radamy, może cofną te, które sprzeciwiają się prawom monarszym,

może je ograniczą i poddadzą pod nowe prawa; lecz umowa istnieć będzie w zasadzie i dostarczy żywiołów do handlowego przedsięwzięcia.

Czyliż można mniemać, że polityka angielska, która jak mówią wpływała do okropnéj śmierci Radamy Ilgo i do wstąpienia na tron królowéj Rabodo, dążyć będzie do zniszczenia zamiarów francuzkiego stowarzyszenia? Mniemanie to jest zupełnie bezzasadne. Oddawna opierając się na historyi, Francya ma to przekonanie, że Anglia zawsze i wszędzie jéj zazdrości; że na wszystkie jéj zamiary z podejrzliwą obawą spogląda, że ilekroć Francya zamyśla powiększyć wpływ i posiadłości swoje, natychmiast Anglia sprzeciwia się temu, podsadza miny pod jéj stopami i wznieca tysiące przeszkód. *Jest to błąd i próżne odwoływanie się do przeszłości.* Tak było przed laty trzydziestu, kiedy Wielka Brytania wierząc w swój systemat osadniczy, chciała wyłącznie posiadać sama wielkie osady morskie, chciała zabezpieczyć sobie wyłączne targi, i niecierpiała współubiegania się innego państwa; lecz gdy przekonała się jak wielkie korzyści osiągnął jéj przemysł i handel z odłączenia się i niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnéj, gdy przyjęła zasady wolności handlu i skorzystała z ich nadzwyczajnych dobrodziejstw, jéj mniemanie pod tym względem wielkiéj zmianie uległo. Byleby tylko nowe zakłady w krajach dzikich, opierały się na swobodzie handlu, byleby wprowadzały do ludów jeszcze barbarzyńskich, dobrodziejstwa oświaty i rozwijały ukryte w nich zarody bogactw, przemysłu i handlu, Anglia poklaskiwać będzie takim przedsięwzięciom. Każdy kraj w którym otwiera się przystęp dla cywilizacyi, jest nowém polem dla jéj działalności i pewna jest, że ze wszystkich narodów ona odniesie największą korzyść. To prawda, że wszędzie napotkać można missyonarzy angielskich, którzy Francuzom stawiają przeszkody i są zawziętemi przeciwnikami ich wpływu; lecz ich religijna i kupiecka gorliwość już nie zgadza się z zamiarami rządu (?).

Madagaskar obszerne pole przedstawia dla wszystkich narodów i mogą tam działać bez wzajemnego starcia. Ta wielka wyspa leży na drodze od przylądka Dobréj

Nadziei do morza Czerwonego, zatoki Perskiéj i Indyów, panuje nad wschodnim brzegiem Afryki, jest więc bardzo użytecznem stanowiskiem dla wszystkich okrętów. To położenie geograficzne, jeszcze więcéj wagi nabierze, po przekopaniu między-morza Suez.

Dotąd Francya wprowadzała do Madagaskaru bardzo mało towarów: były to po większéj części błękitne i białe muśliny indyjskie, drukowane materye z rękodzielni angielskich i francuzkich, arak z dystylarni wysp Maurycego i Bourbon, pospolite klejnociki, wyroby bronzowe, broń i amunicya. Wyprowadzała za to, bydło potrzebne dla wysp Maurycego i Bourbon, solone mięso dla osad okrętowych, koral i szyldkret. Ruch handlowy prędko powiększyłby się, przez rozwinięcie nowych potrzeb, któreby powstały w skutku zetknięcia się z cudzoziemcami, oraz przez uprawę roślin handlowych, jakoto indygo, bawełny, trzciny cukrowéj, które same przez się rosną na téj afrykańskiéj ziemi; przez hodowlę tytoniu, kakao, drzew cynamonowych i pieprzowych, przez spuszczanie drzew przydatnych do budowy okrętów i do robót stolarskich, a tych jest wielka obfitość. Płody kopalne przedewszystkiem zwróciły uwagę nowego stowarzyszenia. Grunt Madagaskaru posiany jest granitami połączonemi z żelazem, które także znajduje się żyłami. Staranny rozbiór wykazał, że ta ruda madagaskarska jest podobna do szwedzkiéj tak sławnéj z szczególnéj doskonałości. Znajduje się także na téj wyspie cyna, merkuryusz, miedź i ołów bardzo obfity w srebro. Z tych wszystkich bogactw najkorzystniejszemi byłyby pokłady węgla kamiennego, znalezione przy zatoce Passandawa. Po uczynieniu próby, pokazało się, że wydają 55 na sto koksu, a 45 na sto palnego gazu. Byłoby to dla stowarzyszenia źródłem niezmiernéj pomyślności, gdyż mogłoby opatrywać węglem kamiennym cukrownie na wyspach Maurycego i Bourbon i okręty parowe żeglujące po oceanie Indyjskim.

Hydrografia Madagaskaru okazuje także bardzo korzystne położenie téj wyspy. Rzeki przerzynają wnętrze kraju, przy brzegach są obszerne zatoki, gdzie mogłyby zawijać okręty, dla nabrania żywności i dla handlu. Jeżeli w portach na wschodniéj stronie, które Francya zajmowała

jakoto Foul-pointe Tamatawa, Tintinga, nie można zakładać kantorów z powodu że klimat jest niezdrowy, za to porty w północnéj stronie wyspy, mają być wolne od zabójczych gorączek. Bembetok stolica Sakalawów, plemienia od wieków przyjaznego Francuzom, Vohemaru posiadające zatokę na 700 metrów długą a 300 do 400 szeroką, mogą posłużyć za miejsca handlowych zakładów. Ze wszystkich portów nadbrzeżnych, najważniejszym jest Diego Juarez w północno zachodniéj stronie Madagaskaru. Rzeki wpadające do zatoki, łączą go z wnętrzem kraju, liczne eskadry mogą w nim znaleźć bezpieczną uchronę i tylko trzeba usypać mało znaczącą warownię. A przytém źródło wody słodkiéj znajduje się w pobliskości. Port ten obejrzano w r. 1832 na rozkaz admirała de Rigny i pokazało się, że przed wszystkiemi innemi może zostać stolicą wielkiéj osady.

Przyznajemy, że jeszcze nie prędko ziszczą się te widoki, jeszcze nie można twierdzić, że już rozwinęły się wszystkie skutki rewolucyi madagaskarskiéj.

Jeżeli komendat Dupré nie będzie mógł wypełniać swego poselstwa, jeżeli go przyjmą jako nieprzyjaciela, jeżeli wiozącemu traktat potwierdzony przez cesarza Francuzów, wzbronią wstępu na wyspę, jeżeli nowy rząd odrzuci zobowiązania Radamy IIgo, jakież będzie położenie Francuzów i jak w takim razie postąpią? To przypuszczenie trzeba rozważyć.

Jużeśmy powiedzieli, że królowę obowiązuje traktat podpisany przez jéj poprzednika. Nie dotrzymując go, po ratyfikacyi danéj przez cesarza Francuzów, złamałaby najświętsze obowiązki monarsze i wyrządziłaby ciężką zniewagę władzcy, który z jéj rządem raczył wchodzić w umowy. Gdyby taki czyn popełniło jakie oświecone i szanowane mocarstwo, byłaby to zniewaga, która mogłaby podniecić gniew wielkiego narodu. Lecz od kogóż pochodzi? Od naczelnika hord napół barbarzyńskich, zbyt pospiesznie wyniesionych na dostojność narodu, który ulegać musi dzikim namiętnościom i zabobonom pospólstwa. Czy będą z niemi tak samo postępować jak z nieprzyjacielem, który do zniewagi może przydać groźne kroki wojenne? Czyliż mu wyświadczą ten zaszczyt, że mu wy-

dadzą wojnę i nauczą go jak ma szanować prawo narodów, kiedy on tego prawa nie zna, i uznawać go nie zdoła? Z wypadków politycznych i wojennych przytoczonych powyżéj, ten tylko wniosek wyprowadzić można, iż Francya powinna zastosować swoje postępowanie z Howasami, do wagi na jaką ich rząd zasługuje, a w stosunkach czy to wojennych czy pokojowych, radzić się tylko własnego interesu.

Trzeba więc wprost i głośno oświadczyć, że roztropna polityka i obowiązki ludzkości radzą, wstrzymać się od wszelkiéj wyprawy przeciw Howasom. Wracając do owéj oczekującéj postawy, jaką przyjęła Francya w roku 1846, i utrzymała aż do śmierci królowéj Ranawalo, musi lepiéj określić jéj znaczenie, pogodzić ją z działaniami będącemi prawym odwetem. Zerwać może swoje stosunki, nie z wyspą Madagaskaru, lecz tylko z Howasami. Łatwo za to może zawiązać przyjazne stosunki z plemionami na zachodnim brzegu mieszkającemi, które chętnie dostarczać będą żywności dla wyspy Bourbon, i którym tém więcéj okaże życzliwości, im skłonniejsi będą do wyłamania się z pod władzy Howasów. Nie tylko otrzymałyby od Francyi pomoc moralną lecz i materyalną, to jest broń i amunicyę. Co więcéj, może im zapewnić schronienie na swoich posiadłościach w Nossi-Be, w Nossi-Kumba, St. Maryi i Magdalenie, a tak postępując, zjedna sobie Sakalawów, Betsimsaraków, Batanimenów; ich powstanie pociągnęłoby inne plemiona wewnątrz kraju zamieszkałe, a tak stopniowo za ich pomocą, możnaby zagrozić stolicy Howasów.

Plan ten nieraz zamierzano, lecz go nigdy nie przywiedziono do skutku. Pierwszy jego pomysł był powziął Beniowski; ponawiali go gubernatorowie wyspy Burbon, którzy najbardziéj myśleli o zdobyciu i kolonizacyi Madagaskaru. Opiera się na doświadczeniach jak najpomyślniejszym skutkiem uwieńczonych. Ludy wykształcone nigdy nie zaprowadziły władzy swojéj na ziemi jeszcze pogrążonéj w barbarzyństwie, przez jéj bezpośrednie podbicie; nigdy wprost same nie toczyły walki z ciemnotą, dzikością, zabobonami ludów: używały do swojéj posługi narzędzi zastosowanych do przeszkód, z jakiemi walczyć

mieli. Dupleix i lord Clive, kiedy chcieli utwierdzić panowanie rządów swoich, na niezmiernych obszarach Indyi, nie zamierzyli sobie dokonać tego dzieła garstką Europejczyków, lecz będąc zarazem wodzami i mężami stanu, przyjmowali pod opiekę swoją liczne plemiona krajowców, stawiali je przeciw miejscowym nieprzyjaciołom i używali ich do owładnięcia kraju całego. Takiéj polityki powinnaby Francya trzymać się w Madagaskarze. Trochę cierpliwości i zręczności zapewni zupełne powodzenie, a do tego stale dopomoże niechęć uciśnionych plemion i niezgody między Howasami istniejące: bo jeżeli w téj chwili zwyciężyło tam stronnictwo, żądające wygnania wszystkich Europejczyków, to inne, zwyciężone w téj chwili a przyjazne Francuzom, nie straciło nadziei. Postępując zatem wytrwale tą drogą, którą doświadczenie i ludzkość wskazują jako najlepszą, można będzie doczekać się tego czasu, kiedy Madagaskar nazwany zostanie, jak przed dwustu laty, *Francyą Zachodnią*.

# KRONIKA LITERACKA.

*Święty Jur. Powieść w trzech częściach, przez Jana Zacharyasiewicza. Lwów, 1862.*

Jest to powieść dążnościowa.

Nie naszą jest rzeczą tykać dążności téj książki. Zdolniejsi od nas i świadomsi przedmiotu, niejednokrotnie się już o to rozprawiali; zresztą, równie i nie pora potemu. A nawet, niepotrzebnieby się i kłopotać w tym względzie, bowiem wcale nie o suchą polemikę, ani o wywody historyczne tu idzie. Rzeczą zaś jest więcéj niż pewną, że nie dążność stworzoną została dla owéj książki, ale raczéj ona dorobiona do dążności; ztąd słusznie będzie osądzić ją według formy w jakiéj się wcieliła w życie, nie wiele się nawet wdając w przypuszczenie w niéj wzorków z bieżącego pokolenia, chyba o tyle, o ile się znajdą w związku z ogólnemi prawami studyów z natury.

Przedmiot téj powieści rozwija się na następnych danych:

Od czasów wielce odległych, istniał na Rusi ród szlachecki niejakich Szetyckich. Byli wielce przemożni i nieraz nawet władcy miejscowi z korzyścią posługiwali się ich radami. Z postępem czasu, kiedy się Ruś spłynęła z Polską, stali silnie przy walce o równouprawnienie, a gdy i do niego przyszło, jeden z nich (a było ich naonczas wszystkiego dwóch braci) znajdując, że nie było innéj różnicy między obu ludami, jak tylko w rzeczy powierzchownego obrządku służby Bożéj, powodowany zdrową polityką, porzucił cerkiew dla kościoła. Od tych dwóch braci poszły dwie linie, różniące się obrządkiem, ale silnie zrosłe ze strony cnót obywatelskich i miłości rodzinnéj ziemi. Kiedy ziemia ruska przeszła pod panowanie Austryi, Szetyccy rozpierzchli się po

świecie i poprzepadali gdzieś bez śladu, na skutek czego, z powodów mało w powieści wyjaśnionych, majątki ich, i tak już znacznie różnemi czasy na potrzeby ojczyzny umniejszone, przeszły w ręce jakiegoś dalekiego krewniaka. Krewniak ten, kawał niepomiernego warchoła, nadokazywawszy się po świecie, zapieczętował nieużyteczne życie zapisem, znacznych jeszcze resztek pozostałego po Szetyckich mienia, na rzecz prawych potomków tego rodu, dodając do zapisu warunek znaczenia tak głębokiego, jak się po nim ani spodziewać należało.

W tém miejscu napotykamy już ramy saméj powieści.

W chwili kiedy się ona rozpoczyna, dwóch jest jedynych przedstawicieli rodu Szetyckich: z tych jeden Porfiry, idący wprost od Atanazego, który był pozostał przy cerkwi; a drugi niejaki Karol Grocki, syn ostatniéj Szetyckiéj z odrośli obrządku łacińskiego. Skutkiem tedy brzmienia legatu, albo oni oba wezmą dziedzictwo przodków, albo jeden z nich, albo żaden. Wymaganie bowiem spadkodawcy jest dziwne; cóż robić — daj Boże żeby wszyscy spadkobiercy bywali w podobnym z téj przyczyny kłopocie; byłoby mniéj wypadków bezmyślnego a tak często i bezsumiennego czyhania na dziedzictwo, mniéj gorzkich zawodów ze strony ludzi zmuszonych bezdzietnie żegnać się z życiem, słowem mniéj obustronnego nieporozumienia; dziwi nas tylko, że do tak wzniosłego pojęcia rzeczy wzbić się mógł człowiek, któremu autor szczerze oddaje sprawiedliwość, że był raczéj chwastem jak latorośla z Bożéj winnicy. Może wyrzut sumienia, może nagły zwrot w siebie, żal za lepszą przeszłością; koniecznie coś takiego być musiało: bądź jak bądź, rzecz ta zostawiona jest domysłowi.

Tymczasem zapoznajmy się nieco bliżéj z głównymi bohatérami powieści.

Porfirego, sierotę od lat nader wczesnych, przygarnął był szkolny towarzysz jego ojca ksiądz Onufry, pleban właśnie w jednym z majątków należących do dziedzictwa po Szetyckich. Był to człowiek bardzo zacny, i dla tego wielce prześladowany od losu. Wychował on Porfirego jak własne dziecko, na równi z jedyną córką, którą kochał nad życie. Dziewczyna ta od dzieciństwa przywiązała się do Porfirego, ale chciwy wrażeń młodzieniec, roztęsknił się, rozniepokoił, ciasno mu się zrobiło w skromnéj zagrodzie przybranego ojca; wyleciał na świat, zaczerpnął pełniejszych powiewów, dopatrzył szerszych widnokręgów, i odepchnął Eudoksyę, właściwie tłumacząc sobie że mu zawadza na drodze, ale w rzeczy, z braku pociągu serca do téj duszy prosta-

czéj i mało wymagającéj. Podobne były i losy Karola; zobaczymy poniżéj, że i drogi ich poszły ściśle równolegle. Ten, równie jak i poprzedni, od dzieciństwa zostawiony sobie, wyrabiał się pracowicie i z ciężkiém utrapieniem ducha. Rozbijał się, marzył, wierzył, wpadał w rozczarowanie, wracał znowu, tęsknił, cierpiał, przebywał próby, już, już czołem sięgał nieba; kiedy wtém ostatecznie rozbił się u brzegu, przylgnąwszy sercem do kobiety, która zaledwie tyle zasługiwała na to miano, że była rodzaju żeńskiego. Z tą panią tak mało zacną, która mówiąc nawiasem jest jeszcze i cudzą żoną, rozmaitemi czasy, to zrywa stosunki, to wraca do niéj; zawsze według jéj wyłącznego zachcenia. W takim to stanie rzeczy zastaje obu tych panów nadzieja dziedzictwa. Żaden z nich na pierwszy rzut oka nie wygląda na możliwego spadkobiercę. Może się opamiętają? zobaczymy to wprędce.

Tymczasem, wykonawcą testamentu jest niejaki Korybut człowiek zacny, poświęcający się dla drugich, a jak w obecnéj okoliczności, nader zdrowo pojmujący rzeczy. Zaczyna on od tego, że usiłuje ściągnąć do siebie obu młodzieńców, celem zabrania z niemi znajomości, a następnie rozporządzenia zapisem, koniecznie na korzyść obudwu, choćby mu przyszło włożyć w to całą pracę swego ducha, któréj nie zwykł nigdy oszczędzać. Na pierwsze jego wezwanie, Porfiry wybiera się do Lwowa, ale przyjechawszy tam, wiedziony fałszywą zasadą, udaje się naprzód do swego wuja, bogatego prałata, który nigdy nie dbał o niego dopóki był biednym, a za to wielce go czule przyjmuje teraz, kiedy wié, że mu się wielce przydać może. Knuje on bowiem projekt zagarnięcia dla niego całego dziedzictwa, a następnie użycia jego wpływu w pewnéj sprawie nieco się obawiającéj światła dziennego. W tym celu, wyszukuje mu przedewszystkiem bogatéj i ładnéj żony, a wiele jeszcze innych względów położywszy na szali, wybór jego pada na niejaką pannę Wyrwicz, córkę bogatego, wielce szanowanego, i przeto wpływowego obywatela. Dla zapobieżenia zaś, żeby mu w tém Eudoxya przypadkiem nie pokrzyżowała planów, a także w celu pozbycia się dobrego nad Porfirym wpływu, uzyskuje przeniesienie ojca dziewczyny daleko gdzieś w góry, gdzie tenże, i tak już bardzo biedny i do tego przyciśniony do ostatka chorobą córki, ma jeszcze przed sobą przykrą przyszłość, być proboszczem bez probostwa. Jednocześnie, Korybut, korzystając z tego, że właśnie Grocki odebrał był od swojéj ukochanéj list stanowczo zrywający, podobnież układa zamiar swatania go z piękną Wyrwiczówną. Z téj mimowolnéj chęci

sprowadzenia ich obu do jednakowego mianownika, wypada jednak ta niespodzianka, że Grocki, przyszedłszy w towarzystwie Korybuta z pierwszą wizytą do Wyrwiczów, zastaje tam swoją Helenę; Porfiry zaś, przybywszy w chwilę potém z wujem, znajduje tam podobnież Dosię. W kilku słowach wytłumaczymy tę zagadkę. Co do Heleny, ta postaremu dowiedziawszy się o planach Korybuta, umyśliła popsuć je przez przyjaźń dla Wyrwiczówny, pociągając znowu Grockiego do siebie. Z Dosią zaś dłuższa nieco historya. Jak wspomnieliśmy wyżéj, rozniemogła się ona mocno; było to coś nawet zagrażającego suchotami: ani sposób tedy udać się z ojcem w góry, tam powietrze tak przykre! Lekarz kazał jéj mieszkać we Lwowie, ale o czém tu, i jak sobie radzić saméj? Poczciwa dzieweczka umyśliła poszukać sobie obowiązków jakich we Lwowie, żeby i mieć tam żyć o czém, i ojcu nie być ciężarem, i jeszcze jemu coś módz udzielić. Wiezie ją tedy strapiony ojciec do Lwowa. Ale Bóg nigdy nie opuszcza niesłusznie prześladowanych, a ludzie uczciwi umieją się wyszukać choćby w korcu maku. Stary pleban trafia na Korybuta, a ten niezwłocznie pomieszcza córkę jego w domu Wyrwiczów, dla towarzystwa Waleryi.

Zatrzymaliśmy się na wieczorze u Wyrwiczów. Łatwo przewidzieć, że Walerya Wyrwiczanka nie będzie żoną żadnego z naszych bohatérów. Grocki, na pierwsze miłe spojrzenie, wraca znowu do swojéj zalotnicy, poczem znów jest wyprawiony za drzwi, i znów ma ochotę wrócić, i takby trwało aż do znudzenia, gdyby go nareszcie autor nie uratował niejaką Marynią, spotkaną przypadkiem na koncercie, a osobliwie pracą około dobra publicznego. Podobnéj pracy, choć w całkiem innym kierunku, oddaje się téż gorliwie i Porfiry, wyrobiwszy sobie w Dosi siostrę na miejsce kochanki, co istotnie dzieje się tylko ku jego własnéj korzyści. Następnie wybiera się w podróż, przed którą radby jeszcze odwiedzić rodzinne Zahorce, będące już jego własnością, na skutek wpływu, jakim wuj jego poparł wytłumaczenie testamentu. Także w podróż, tylko nieco dalszą, wybiera się stary Wyrwicz i Grocki. A jednak, choć się tak porozjeżdżali, spotykają się wszyscy u wspólnego celu. Mianowicie Porfiry, wyleczony całkowicie i z wuja swego i z wszelkiéj rzeczy która jego jest. Puścił się w drogę z Szewczenką w kieszeni, napotkał Szelę, przestraszył się sam siebie, i wrócił. Ostatecznie żeni się z Dosią, a Grocki z Marynią.

Taka jest treść téj powieści.

Układ jéj nie pozostawia nic do życzenia, jest dobrze obmyślany, foremny, prowadzenie rzeczy szczęśliwe, obrazowanie pełne wprawy. O charakterach rozmaicie jest do powiedzenia. W ogóle, ujemne wyszły najszczęśliwiéj; czego jednak, mając na względzie dążność powieści, bynajmniéj nie należy uważać za wadę. Wuj Porfirego najpracowiciéj jest wystudyowany. Podobnież ksiądz Petryk, Szpincer, Ejchenblatt, Maszek, Szrejer, zdają się być brani wprost z natury. Istna to wieża Babel, od któréj każdy rozchodzi się w swoją stronę. Ejchenblatt, przedstawia tu niby urzędową ideę budowania na ruchomym gruncie. Z całą swoją biurokratyczną dobrą wiarą, z całą pompą swoich przekonań, z całym swoim pracowicie przetrawianym systematem, człowiek ten jest tylko manekinem poruszanym ręką lichego pisarczyka, który nie umie wprawdzie (a raczéj nie chce) perorować, ale za to pokątnie, z wielką abnegacyą, robi swoje, mając trafne przeczucie istotnego ducha prawa. Szrejer, powierzchownie wyniosłość, z któréj przyjemnie jest rzucić okiem, w rzeczy, jest tylko zaczajonym dołkiem, w który wpada mnóstwo zacietrzewionych głupców, nie umiejąc nawet zdać sobie sprawy, jak się to stało. Ksiądz Petryk wyobraża grube i zbyt wyraziste instynkta, nie zdolne wznieść się do téj estetycznéj wysokości, na jakiéj tak dobrze się dzieje szczwanemu prałatowi, wychodzącemu zwycięzko równie z zawstydzenia jak z pozornych zawodów. Szpincer-Szejko, rodzaj moralnego oberwańca, wiecznie stojącego w gotowości na rozstajnych drogach, wiecznie nurtującego, myszkującego, wąchającego, zaprzątniętego, godnie wyobraża praktykę ciemnych teoryj ducha prawa, wyznawanych pokątnie przez podobnych Maszkowi. Trochę tylko może zanadto jest Mefistofilem, zanadto go jakoś zawsze i wszędzie, w porę i z powodzeniem; ale to wzgląd podrzędny: tego rodzaju ludzie wschodzą gdzie ich nie posiejesz.

W ogóle powiedzieć można, że w tym szeregu studyów (a przytoczyliśmy tylko ważniejsze) wyczerpano z wielką prawdą wszelkie możebne kombinacye tego, cobyśmy nazwali ujemną stroną miejscowego spokoju i domowego szczęścia w wspólném pożyciu.

Za to obóz przeciwny nierównie mniéj urozmaicony. Z dwóch głównych bohatérów powieści, Porfiry więcéj nieco obudza zajęcia, ale i to nie tyle, ileby życzyć należało. Przypisujemy to nie dość wyraźnym obrysom jego postaci. Jakoś on nie dość samodzielny,

nie dość wyraźnie odstaje od tła ogólnego. W tym względzie Grocki, acz znowu dziwnie baraniego serca, nierównie wyżéj pociąga ku sobie, właśnie tém, że jeszcze znać go dobitnie nawet pomiędzy Korybutem i Wyrwiczem. Ci dwaj ostatni wraz z księdzem Onufrym, wyobrażają trzy rozmaite fazy przekonań, którym hołdują. Ksiądz Onufry prostaczy duchem, przeczuwa położenie, Korybut broni go sercem, a Wyrwicz głową. Jestto logiczny podział pracy, któremu trudno odmówić uznania. Gdyby tylko charaktery nie tyle się spływały z sobą; ale zapewne nie zależało od autora być zrozumialszym.

Przystępujemy wreszcie do kobiet: jestto najsłabsza strona powieści. W ogóle charaktery mało tu są szczęśliwie pomyślane, mniéj jeszcze może poprzeprowadzane pomyślnie. Mamy tu jednocześnie aż trzy kochanki. W powieści, w któréj każda z osób ma sobie wyraźnie wytknięte dążnościowe cele, należałoby się i po nich spodziewać posłannictwa. Przypatrzmy im się po kolei.

Dosia przy całéj swojéj poczciwości, słodyczy, cierpieniach, suchotach i biedzie, jest sobie marném, pospolitém dziewczątkiem, żadną miarą niestworzoném do wywierania wpływu na człowieka tak rzucanego z procy, jak jest Porfiry. Pojmowalibyśmy jeszcze przywiązanie do téj biernéj istotki. bo serce nie rozumuje; ale Porfiry wcale jéj nie kocha, a żeni się z nią. Mogło to być przez wdzięczność dla dobroczyńcy, przez zrobienie sobie zadania życia z uszczęśliwienia kogoś drugiego, jeśli się już samemu szczęśliwym być nie może, słowem przez poświęcenie; ależ w takim razie należało raczéj rozwinąć ten dramat w duszy Porfirego, aniżeli zbyć trudność, nazywając miłością mimowolny chłód serca w połączeniu z roztargnieniem umysłu. Snadź tyle ich udręczywszy oboje, pożałował wreszcie autor podstawić im nowe próby i dla tego wolał z Waleryi zrobić marmurowy posąg bez czucia i woli; każda bowiem kobieta mniéj zimna, w podobnych jak ona warunkach, musiałaby koniecznie przyciągnąć Porfirego do siebie.

Druga z rzędu kochanka, Marynia, usilnie przez autora nazywana aniołkiem, podobna jest do podpisanego obrazka, który gdyby nie słowa pod spodem, niktby się ani domyślił: co znaczy. W ogóle czytelnik woli zawsze sam sąd wydać, niż mieć go sobie narzuconym. Dlaczego Marynia jest aniołkiem? nie wiemy. Wiemy tylko, że to dokładniejsza jeszcze laleczka od swojéj poprzedniczki. We względzie zakresu jéj działania, powtórzyć jedynie możemy to, cośmy tylko co powiedzieli z powodu Waleryi. Taż sama przyczyna, tenże sam sprowadza tu skutek. Istotnie bowiem,

oba nasi bohatérowie jednocześnie, jakby piłki rzucani do tego samego celu, obijają się o posągową postać Wyrwiczówny i padają każdy gdzie się zdarzyło najbliżéj, że nie powiemy, gdzie bądźkolwiek. Do tego, ten biedny Grocki, doprawdy tak mało miał wyboru!

Bo trzeba wiedzieć, co to było to jego poprzednie bożyszcze. Pani ta należy niby do wyższego towarzystwa lwowskiego. Ale czyżby istotnie takie być miały wielkie damy Lwiego grodu? Nam się to jakoś nie zdaje. W sferach tych istotnie wiele ma być zgnilizny; ale wyobrażamy sobie szaty zwierzchnie jakoś powabniejsze. Darujemy jéj wreszcie pisarza z rogatki, nazywającego się poprostu Łukaszem; ale nie możemy pojąć, dlaczego ten Łukasz, będąc w tak poufałéj styczności z kobietą młodą, piękną, poszukiwaną i królującą, sam jest brudny i obszarpany. Do tego jest jeszcze brzydki, niezgrabny i głupi; ale to już rzecz nie nasza, choć istotnie może tego wszystkiego i nadto na raz, zważywszy, że cośkolwiek powinnoby usprawiedliwiać urok pierwszego spotkania. Ale najciekawszém jest wychowanie téj wielkiéj damy. Wyraża się ona tak, jak się u nas wyrażają tylko niezbyt wiotkie Heby, wydzielające spirytualistom kminkówkę po szynkowniach, że nie powiemy już energiczne kumoszki z rynku Starego Miasta, o czerwonych policzkach a ciężkiéj garści. Na dowód przytoczyć możemy próbek parę:

— Niech cię djabli porwą z tą przeklętą dyskrecyą... czy inaczéj nie umiesz pan gadać?

I wyżéj nieco:

— Idź pan sobie na złamanie karku... i t. p.

To złamanie karku szczególnie jéj jest ulubione; powtarza je nader często z pewném upodobaniem, o które trudno posądzać autora. Mogła tych wyrażeń nazdobywać na rogatkach, pomyślicie;— gdzie tam! Łukasz, jak na Łukasza, jest jeszcze człowiek wcale przyzwoity w porównaniu z tą arystokratyczną damą. Mamy tedy wszelkie powody mniemać: że Helena jest jaskrawą karykaturą. Pomysł ten wcale chybia celu. Taki bowiem wrzód społeczny jak ta pani, sam już z siebie dość sprawia obrzydzenia; wszelka zaś exageracya w tym względzie jest tylko przesadą przesady.

Tedy, jak widzimy, płeć żeńska dość niepomyślnie przedstawiona jest w naszéj powieści. Wszakże poprawia nieco jéj sprawę charakter Wyrwiczowéj, o którym warto powiedzieć słów kilka. Nie jestto wcale typ nowy, ale takich choćby najwięcéj,

nigdy się nie sprzykrzą. Kobieta to, która poszła za mąż nie z miłości, ale z przekonania. Godna dzielić trudy swego zacnego męża, godna go ocenić, być mu powiernicą i iść obok niego ręka w rękę, nie pokochawszy zrazu zapamiętale, kocha go jednak całym spokojem swéj duszy, nawet więcéj czci, niż kocha. Miłość ta, cicha, słodka, cierpliwa, stała się powołaniem téj kobiety, jéj potęgą, jéj cnotą. Takiemi były prababki nasze, dziś już prawie bezdzietne...

Zbliżając się ku końcowi naszego sprawozdania, przekonywamy się z żalem, że pomimo najlepszych naszych chęci, pod skalpelem analizy, zostały nam w rękach zwiędłe tylko członki, porzucone bezładnie. Cóż robić; rozbieraliśmy ciało, nie tykając duszy. Ale też dusza, jak wiemy, nie jest dotykalną.

Pan Zacharyasiewicz jest pisarzem zacnych dążności. Obywatelskie jego chęci wybierają z upodobaniem przedmioty żywotne. Chętnie on stawa na wyłomie, walczy na kresach, mało spoczywa, wiedząc, że szlachetny niepokój snem pogardza, a bieda o wszelkiéj godzinie rada się podkraść na wzór złodzieja. Po walce przychodzi zwycięztwo. Nic zawsze mu się ono udaje, ale jak powiada stara mądrość: in magnis *nawet* voluisse sat est. *(f).*

---

*Z przeszłości szkice i obrazy. Artykuły fejletonowe Józefa Łepkowskiego. Kraków. W drukarni Czasu. 1862. W 12cc. Str. 291.*

Jeżeli zrobiliśmy znakomity postęp w badaniach dziejów ojczystych, i zapatrujemy się na nie z innego stanowiska jak przed laty czterdziestu, to w nauce starożytności (*Antiquitates*) bardzo mały krok naprzód uczyniliśmy.

Życie domowe ojców naszych, zwyczaj ich i obyczaj, w ogólniejszych ledwie zarysach poznany, w szczegółach jeszcze ciemny i niezbadany. Przecież bez téj zaprawdę znajomości, wiedza dziejów ojczystych, na długo musi być ograniczoną, bo wiele a wiele przedmiotów nieznanych zostaje, które przecież znakomite światło na same dzieje narodu rzucają.

Jeżeli wprowadzenie chrześciaństwa, burząc pogaństwo, w miejsce *kontyn* i bożyszcz stawiało kościoły i krzyże Zbawiciela, łamało zarazem język bałwochwalczy, naginając go do pojęć no-

wych i odpowiednich zakonowi Chrystusa, nic nie oszczędzało z dawnych pomników, coby przypomnieć mogło czasy pogańskie: to chwila upadku staréj Rzplitéj pod parciem idei cudzoziemszczyzny, która w pogardzie i obrzydzeniu narodowość polską stawiała, podobny daje nam obraz. Ale apostołowie pierwsi, burząc bałwochwalską przeszłość, przynosili światło nowéj wiary, z nasieniem zbawienia, miłość i braterstwo, i położyli fundamenta dla Piastowego katolickiego państwa; zwolennicy cudzoziemszczyzny w szale zaślepienia, depcąc zuchwale, co dziesięciowiekowa praca narodu zbudowała, nic nowego z pożytkiem wznieść nie umieli, jakkolwiek potrafili wszystko zburzyć.

Na czele téj zgrai nowatorów bezmyślnych, stał pierwszy Stanisław August, który znaczący i poważny wyraz *Sarmatyzmu* ohydził w opinii publicznéj.

Dawniéj łączył on w sobie wyobrażenie dzielności rycerskiéj, poświęcenia bez granic ojczystéj sprawie, czystość uczuć obywatelskich i prawość w domu i za domem, w gronie rodzinném jak w życiu publicznem. Dobry *Sarmata*, był to przydomek zaszczytny dla każdego uczciwego szlachcica.

Stanisław August okrył go śmiesznością, nadał mu znaczenie barbarzyństwa niby staropolskiego, dumy i pychy, ogłupiałéj szlachetczyzny, ciemnoty wychowania jezuickiego, i tę myśl swoją polecił Franciszkowi Zabłockiemu na scenie wyszydzić.

Znakomity nasz komedyo-pisarz, niebadając głębiéj, co ukrywa nagląca prośba króla, wywiązał się ze swego zadania z właściwym sobie talentem, ale zarazem zostawił wymowny pomnik owego szału, który wiódł w ohydę przeszłość narodową.

Satyry i listy Krasickiego, w wybornych obrazach dają nam widzieć, jak arystokracya polska a za nią majętna szlachta, szła w ruinę zbytkiem rozkiełznanym, marnotrawstwem za granicą olbrzymich fortun przodków swoich, niszczeniem wszelkich pamiątek i zabytków przeszłości.

Gdy przyszła téj przeszłości zniewaga, w poniewierkę poszedł zwyczaj i obyczaj narodowy, strój poważny, ojczysta mowa. Jeszcze Kazimierz Brodziński w rzewnym wierszu skreślił nam *żal za językiem polskim*.

Smutno patrzeć na te czasy: przy strasznych klęskach zewnętrznych, przy potokach krwi i łez wylanych, Polak zaczął się wstydzić wszystkiego co stanowiło wyłączną jego cechę i opromieniało dzieje lat tysiąca.

Świadkowie klęski pod Maciejowicami 1794 roku, kładą tę datę jako ostateczny okres ubioru polskiego. Najpoważniejsza szlachta, bez powodu, bez nacisku, w niewytłumaczoném oślepieniu, na wyścigi zrzucała kontusze i żupany, a przywdziewała strój cudzoziemski. Zanim rzeczpospolita stara położyła się na sen długi w grobie, już osobliwością był dawny ubiór polski.

Wypadki polityczne i zmiany następne, przeważnie wpłynęły później, na zapomnienie przeszłości.

Rzućmy tylko okiem na dawne prawodawstwo polskie, które wziąwszy życie z obyczaju i zwyczaju narodowego, głębokie w nie zapuściło korzenie. Z rokiem 1807 ogłoszeniem Księztwa Warszawskiego i wprowadzeniem *Kodexu Napoleona*, dawne prawo, z palestrantami i trybunałami, zastygło w niedawnéj przeszłości, i zerwało z młodą społecznością. Ale pozostały jeszcze ogniwka łączące, które trzymały się silnie; były sprawy które sądzić trzeba było podług *Voluminów Legum* a nie według Kodexu.

Ministerstwo sprawiedliwości zleciło dawnemu palestrantowi Ziemięckiemu, ażeby zajął się spisaniem zwyczajow dawnych prawnych, czyli *postępowania sądowego*: bo wszyscy prawnicy, jak nowi sędziowie, w ciągu niespełna lat 12 stracili nawet tradycye dawnego prawa, palestry i trybunałów.

Nie spełnił tego zadania mecenas Ziemięcki, i dla tego *Volumina Legum* są dzisiaj księgą, którą w mnóstwie ustępów potrzeba studyować, badać, objaśniać; na co wielu lat, wielu pracowników potrzeba, zanim księga ta zrozumiałą należycie zostanie.

Rzuciliśmy tu kilka wstępnych myśli, które uznaliśmy za potrzebne: teraz przystąpimy do poglądu na prace mające na celu badania starożytności polskich.

Kiedy szlachta, z niepojętym szałem, wynaradawiała się ochotnie: lud pozostał wiernym zwyczajom i obyczajom ojców swoich. Oddalony i zepchnięty ze stanowiska dziejowego, uciśniony samowolą szlachty i pańszczyzną, skupił się w życiu domowém, i z uporem godnym uwielbienia, bronił się zewnętrznym a nienarodowym wpływom. Zachował ubiór, niewątpliwie z przed-piastowskich czasów przechowany, równie jak pieśń, przysłowie i podanie, *tę przędzę myśli i swych uczuć kwiaty*: zwyczaj i obyczaj.

Głęboki myśliciel, wielki mąż stanu *Hugo Kołłontaj*, pierwszy zwrócił uwagę na potrzebę zbadania ludu naszego: pierwszy nakreślił plan, w czém go śledzić należy, i co skrzętnie spisywać; pojmował, że on tylko jedynie zachował w sobie narodowy pierwiastek, niezmącony obczyzną.

Ale te uwagi znakomitego męża przeszły głucho, aż powstał ów słynny badacz Zoryan Dołęga Chodakowski (Czarnocki), który, niewiedząc nawet o nich, wiedziony natchnieniem zaczął lud badać i zachęcił do téj pracy młode pokolenie genialną rozprawą swoją: „*O Słowiańszczyźnie przedchrześciańskiéj*," (r. 1818).

Na dwa lata przed nim, Tomasz Święcki, wydaniem *Opisu Starożytnéj Polski* (1816 r.) zwrócił powszechną uwagę na potrzebę poznajomienia się z ojczystą ziemią. Przypomniał jéj dawną świetność, wskazał miejsca i gruzy opromienione chwałą wielkich wspomnień dziejowych, powiał przed oczyma zdziwionemi banderami starożytnéj floty polskiéj, obudził w młodych duszach, poważną i szlachetną zadumę przeszłości.

Największe zasługi w zebraniu szczegółów starożytności ojczystych, położył nestor naszych archeologów, dziś sędziwy starzec Ambroży Grabowski. Od roku 1819, blizko zatém pół wieku rok rocznie składa nowe na tém polu plony. Pierwszy dał nam opis staréj stolicy Jagiellońskiéj, a następnie w licznych dziełach złożył bogaty skarbiec dla badacza przeszłości.

Łukasz Gołębiowski, jakkolwiek z małą krytyką zebrał jednak zajmujące wiadomości co do ludu, ubiorów, gier i zabaw domów i dworów polskich. Są to drogocenne materyały. Posunął daléj te badania W. A. Maciejowski, głównie w dziele: *Ruś i Polska*, jak: *W dziejach prawodawstw słowiańskich*, *pamiętnikach*, i rozprawach pojedyńczych.

Właściwa archeologia znalazła gorliwych pracowników w Eustachym Tyszkiewiczu, F. M. Sobieszczańskim, Karolu Beyerze, K. Rogawskim i Józefie Lepkowskim, o którego ostatniém dziele mamy mówić.

Składa się z rozpraw pojedyńczych i najwięcéj poświęconych starożytnéj stolicy rzeczypospolitéj. Do rzędu takich liczymy: *1) Wielki Czwartek w Krakowie. 2) Ubodzy i zakłady dobroczynne w Krakowie. 3) Koronacyje; skarbiec koronny. 4) Kościół Najświętszéj Maryi Panny w Krakowie. 5) Sukiennice w Krakowie.* Inne są ogólniejszego zajęcia, i należą do właściwych starożytności, lubo do nich opis koronacyi wliczyć trzeba. Rozprawy téj treści są: *1) Święta kościelne w związku z porami roku. 2) Symbolika religijna, kobiece roboty do kościołów. 3) O naszych święconych orężach, mieczu korony pruskiéj, oraz Piotrowym poznańskim. 4) O urzędowych i rodowych tytułach w Polsce. 5) Ubiory w Polsce. 6) Sztuka u Słowian szczególniéj w przedchrześciańskiéj Polsce i Litwie.*

Mała tu jest cząstka tych szacownych prac i badań, które Łepkowski na polu archeologii ojczystéj i starożytności narodowych złożył. Spis tych prac bibliograficzny, podany w końcu dziełka przez samego autora, okazuje ich mnogość, i żałować potrzeba, że nie zebrał i nie wydał w oddzielnych książkach. Rozrzucone bowiem w rozmaitych pismach czasowych i zbiorowych, nie łatwo są dostępne dla samych nawet badaczy, tém bardziéj, że znajdują się w pismach zupełnie dla nas obcych.

Nie możemy bowiem, za ubogacenie téj gałęzi literatury liczyć dzieła, które wydano w Poznaniu w r. 1842 p. n. *Starożytności Polskie*, gdyż oprócz prawdziwéj wartości w nich rozpraw Jędrzeja Moraczewskiego, inne nie zasługują na uwagę. Sam plan już był nie trafny, ażeby z właściwemi starożytnościami łączyć opisy miast, wsi i zamków. Mimo to, nie dano dokładnego ich opisu, a właściwe starożytności zaniedbano. O najważniejszych nawet przedmiotach wpływających przeważnie na charakterystykę przeszłości, zapomniano. Dorywcza ta praca, nie odpowiada wcale swemu napisowi.

Gdy braki takie wytykamy powyższemu dziełu, z drugiéj strony na obronę wydawców powiedzieć musimy, że niedostatek materyałów, wpłynął przeważnie na niedostatki *Starożytności polskich*, w Poznaniu ogłoszonych. Nie tak rychło możemy się spodziewać wykładu dokładnego *starożytności* narodowych, bo nie zbadaliśmy jeszcze wszystkich źródeł potemu.

Jeżeli Marcin Gallus dał nam obraz zamożności Bolesławowskiéj Polski, następni kronikarze więcéj zwracali uwagi na dzieje polityczne i żywoty panujących, aniżeli na życie wewnętrzne narodu.

Dopiero po wprowadzeniu druków polskich i powstaniu literatury broszurowéj, wiedza się nasza co do starożytności bogaci. W każdym niemal świstku znajdzie się cząstka, jakby z rozbitéj cudnéj mozajki przeszłości, które troskliwie gromadzić, przymierzać i układać w całość należy. Tysiące jest tych broszur, tysiące tych cząstek, które zbadać należy: praca to wielka, mozolna.

Niedosyć, po rękopismach, *Sylvach-rerum*, *dyaryuszach* znajdą się drogocenne zabytki, a nadto trzeba szukać ich po grobach, mogiłach, w szczętach zbroi, w łochach ruin zamkowych, w zbiorach prywatnych, w tradycyi jeszcze dochowanéj, zbadać troskliwie zwyczaj, obyczaj i język ludowy. Piękna myśl *wystawy starożytności*, którą początkowała Warszawa, a Kraków i Lwów rozwi-

nął z całém bogactwem pamiątek, nie małe oddała posługi do badań archeologicznych i właściwych starożytności.

Julian Beyer w albumach fotograficznych zachował nam pamiątki wystaw warszawskiéj i krakowskiéj: lwowska nie ma takiego albumu.

Wiele zabytków, których już kraj nasz nie posiada, stały się łupem naszych nieprzyjaciół. Eustachy Tyszkiewicz oglądał chomonta krakowskie i uprzęż koni z XVI wieku. Najpyszniejsze zbroje naszych bohaterów i znakomitych mężów, jak buławy, szable i t. p. zdobią cudzoziemskie zbiory i zbrojownie. My żadnego nie mamy muzeum, gdziebyśmy zgromadzili razem pamiątki naszéj przeszłości. Muzeum wileńskie gorliwością prawdziwie obywatelską Eustachego Tyszkiewicza założone, w części małéj téj potrzebie odpowiada: są szczupłe zbiory starożytności w Krakowie przy Towarzystwie Naukowém, pomiędzy ktoremi zwraca głównie uwagę jedyny na cały obszar Słowiańszczyzny, osobliwy zabytek pogaństwa, posąg *Świątowida*: są zbiory przy bibliotece Osolińskich we Lwowie, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem w Korniku; ale więcéj daleko w ręku prywatnych zostaje, a z tych większéj części zupełnie nie znamy.

Muzeum ogólne, któreby wszelkie zabytki starożytności mieściło, podałoby dopiero możność uzupełnienia naszéj wiedzy, w téj ważnéj gałęzi nauki historycznéj: teraz musimy pocieszać się częściowemi badaniami tylko pojedyńczych pracowników.

Aby nadać im właściwy kierunek i przyspieszyć działanie, towarzystwo tylko naukowe, wyłącznie badaniu starożytności poświęcone i oddane, mogłoby podołać; dotychczasowe bowiem towarzystwa, nieumiejąc skupić sił swoich ku jednemu celowi, a zbyt obszerne chcąc wykonywać programata, oprócz zacnych usiłowań niczego nie dopięły. Towarzystwo takie powinno mieć za jedyny cel tylko dzieje ojczyste i starożytności narodowe: wszystko, co za ten program przechodzi, usunąć. Wynaleźć pracowników do zbadania zabytków w kraju i za granicą dochowanych, a wtedy dopiero dokładniéj zbadamy przeszłość narodową i życie domowe w każdéj gałęzi.

Wiele dał nam w *Szkicach* swoich Karol Szajnocha, wiele Łepkowski i w. i.; artyści nasi zaczęli skrzętnie zbierać zabytki które mieli sposobność oglądać: piękny ich zbiór przerysował M. Gerson. Juliusz Kossak z głęboką znajomością, w Tygodniku Illustrowanym podaje kostiumy polskie wiekami, podług zabytków dochowanych.

Piękne to są wszystko początki w oznajomieniu ze starożytnościami ojczystemi, ale one świadczą zarazem o naszéj ubogiéj wiedzy w téj wielkiéj i obszernéj nauce. Dopóki jéj przecież dokładnie nie zbadamy, we wszelkich szczegółach, dopóty przeszłość dziejowa nie będzie dla nas jawną; zawsze część swego oblicza okryje nieprzejrzaną zasłoną. Pierwszy Szajnocha, który wiele ustępów ojczystych, przedstawiając w nowém świetle, wywołuje podziw czytelników, którzy znane wypadki historyczne inaczéj uczą się z niego pojmować. Ale Szajnocha z gorącą miłością przeszłości, a podniosłym talentem nie pogardził żadną broszurą, żadnym rękopismem i zabytkiem, umiał go odczytać, zestawić i w całości podać, a z tego maluje nam obraz zupełnie nowy, barwny, jak np. w dziele swém ostatniém: „*Polska w r. 1646, a 1648*" które w części ogłosiło nasze pismo.

Tę miłość przeszłości ma Lepkowski, i ztąd płynie owo życie w jego rozprawach, to zajęcie jakie obudza w każdym artykule. Przy badaniu najdrobniejszego szczegółu, zwraca uwagę na dzieje narodu, na jego missyjny pochód historyczny, i przedmiot suchy na pozór, uwdzięcza, nadając mu wyższe znaczenie niedośledzone niczyjém dotąd okiem. Te zalety widzimy, gdy mówi w swoich szkicach przeszłości o święconych orężach, o koronacyach, o ubiorach, i t. p. Dla tego powtarzamy życzenie, ażeby prace swe dawniejsze uporządkowane systematycznie, ogłosił w oddzielnych książkach, bo każda z nich będzie prawdziwym skarbcem dla badaczy starożytności ojczystych, jak jest nim rzeczywiście dzieło o którém mówimy.

d. 17 listopada 1863 r.

*K. Wł. W.*

# KORRESPONDENCYA.

---

*Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.*

OŚWIADCZENIE.

W grudniowym zeszycie roku zeszłego *Biblioteki Warszawskiéj* zamieszczono recenzyą mojéj *Grammatyki Języka Polskiego*, napisaną przez pana Ig. B. Za gruntowność, sumienność i dobrą wolę, z jaką uczony recenzent z książki téj zdaje sprawę przed publicznością, czuję się dla niego zobowiązanym do prawdziwéj wdzięczności. Zakończenie jednakże sprawozdania pana Ig. B. daje mi powód do przedłożenia Szanownéj redakcyi Biblioteki tych kilku wierszy, z prośbą o ich umieszczenie w jednym z najbliższych zeszytów. Pan Ig. B. kończy artykuł swój uwagą, że grammatyka, moja w pewnych rozdziałach przesięga wykładem i obfitością materyału swojego, zakres pojęć młodzieży klass początkowych; że przeto życzyćby należało, ażebym albo ja sam, *albo kto inny*, książkę tę zelementaryzował dla użytku klass rzeczonych i t. d. Wprawdzie ani na chwilę nie przypuszczam, żeby tak sprawiedliwy i tak życzliwie dla dzieła przez siebie rozbieranego usposobiony pisarz, jak pan B., miał świadomie i rozmyślnie wzywać każdego, kto tylko zechce, do popełnienia plagiatu. Przekonany owszem jestem, że szanowny autor, pisząc to, ani pomyślał, że taki sens możnaby bez naciągania, z tych wyrazów jego wydobyć. Ostatecznie wszelako nikt mi zapewne nie zaprzeczy, że kto słowa pana B. w ten sposób wykładać zechce, ten ma do tego wszelakie prawo, na pozór. Okoliczność zaś, że zachęta ta do „*elementaryzowania*" tanim kosztem obcéj własności, udzielona została na kartach tak poważnego pisma, jak Biblioteka Warszawska, tém bardziéj wzbudza obawę, aż by rącza gotowość do literackiego korsarstwa pewnych osób, dobrze z téj strony znanych już krajowi naszemu, nie chciała aż zbyt skwapliwie z wezwania tego korzystać. Oświadczam zatem, że zastrzegam sobie samemu prawo do zmian w dziele mojém, mających na celu jego zelementaryzowanie, jeżeliby miała

okazać się tego rzeczywista potrzeba. Nikomu wprawdzie bronić nie myślę, żeby układając jaką własną pracę, nie miał korzystać z moich postrzeżeń w godziwy sposób. Owszem cieszyć się będę, jeżeli nowe postępy w téj nauce w taki sposób osiągnięte zobaczę; lecz przeciwko okrawaniu albo przerabianiu *mojéj* grammatyki, i to przez osoby przezemnie do tego nieupoważnione, protestuję (*).

Lwów, d. 2 stycznia 1864 r.

*Antoni Małecki.*

(*) Redakcya w zupełności usprawiedliwia protestacyą, nadmienia jednak, iż recenzent nie miał na myśli okrawania albo przerabiania grammatyki p. Małeckiego bez jego upoważnienia; wyrażenie zaś *kto inny*, użyte w rozumieniu nie *plagiatu*, lecz korzystania z rezultatów badań autora w godziwy sposób. *(Przyp. Red.).*

# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

*Miesiąc Listopad 1863 roku.*

## DZIEŁA.

Encyklopedya Powszechna. T. XV, Zeszyty 131—132. Warszawa, nakład i druk S. Orgelbranda 1863, 8ka, str. od 337—448, 449—560. (Konneritz-Korzeniowski) Zeszyt kop. 35.

O rozmyślaniu. Nauka praktyczna przez ks. *Roothan*, oraz *Manrez*, czyli Ćwiczenia duchowne św. Ignacego. Warszawa, druk J. Ungra, 1864, 8ka większa, str. 611, VI.

*Royalski Leon.* Dzieje Polski opowiedziane w krótkości podług dzieł najnowszych. Zeszyt 1. Warszawa, nakł. Z. Szleifsteina. 1864, druk I. Krokoszyńskiego, 8ka, str. IV, 176.

Historya polska treściwie zebrana dla użytku młodzieży, ozdobiona 40 wizerunkami panujących w Polsce, od Mieczysława I do Stanisława Augusta. Warszawa, nakł. A. Dzwonkowskiego, 1862, druk A. Ginsa, 8ka, str. 148, spisu 2.

*Kołodziński B.* Geografia powszechna dla użytku uczącéj się młodzieży według najlepszych źródeł ułożona. Wyd. 3 poprawione i powiększone. Warszawa, nakł A. Lewińskiego, 1864, druk A. Liefeld, 8ka, str. 297, okł. druk.

*Macé Jan.* Historya kęsa chleba. Listy do młodéj osoby o życiu człowieka i zwierząt. Przełożył z francuzkiego *Alojzy Kuczyński*. Dzieło przeznaczone przez komissyą uniwersytecką w Paryżu na nagrody szkolne. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolfia, 1864, druk Gazety Polskiéj, 8ka, str. II, 352, spisu 2, okł. druk.

*O. T.* Literatura nadobna, wierszem i prozą. Warszawa, druk J. Jaworskiego. 1864, 8ka, str. 350.

*Landié E.* Grammaire française a l'usage des commençans. 7me edit. Varsovie. Nakł. i druk S. Orgelbranda, 1864, 8ka, str. 147.

*Parvez P* Nowa grammatyka francuzka *Noël'a* i *Chapsal'a*, przejrzana, powiększona wielu ważnemi spostrzeżeniami z przydaniem osobnego tomu

ćwiczeń stopniowych i zastosowanych do prawideł. Wyd. 6. Zadania i słownik. Warszawa, druk J. Ungra, 1863, 8ka, str. 212.

*Elsenberg J.* Przewodnik religijny dla młodzieży wyznania Mojżeszowego. Wyd. 5 poprawione. Warszawa, druk S. Orgelbranda, 1863, 8ka, str. 70 II.

Hetmani koronni i litewscy. Zeszyt VIII, Warszawa, druk J. Ungra, fol., str, 4, 4, 5, litografia A. Dzwonkowskiego, rys. *W. Gerson*, litograf. *H. Aschenbrenner.* (Zeszyt ten zawiera: Chodkiewicz Jan Karol wojew. wileński, het. w. litewski, Stanisław Chomętowski wojew. mazowiecki, het. pol. koronny, Krzysztof Radziwiłł wojew. wileński, het. w. litewski) tekst polski i francuzki.

*Miecznikowski Alexander.* Przewodnik dla giserów. (Biblioteka rzemieślnika polskiego). Warszawa, 1864, nakł. ks. T. Lubomirskiego, druk Gazety Polskiéj, 8ka, str III, 153, spisu nieliczb. 2, okł. druk.

*Christoph Schmid's kleine Erzählungen mit einem vollständigen deutsch-polnischen Wörterbuche versehen. Herausgegeben von B. L. Neue verbesserte Ausgabe. Warschau, Verlag v. B. Lessman, 1864, druck v. J. Jaworski, 8ka, str. 110, 33.*

Dziesięciogroszowa Biblioteczka dla dobrych i pilnych dziatek, zaczynających sposobić się do nauk. 5. Zwaliska starego zamku, powiastka z drzeworytem. Warszawa, nakł. C. Lewickiego, 1863, druk Gazety Polskiéj, 16ka, str. 38.

Zasady harmonii przez *Ernesta Fryderyka Richtera*, z trzeciego wydania przełożył, dodaniem teoryi harmonicznej *Weitzmanna* i Chorałów polskich uzupełnił *Jan Karłowicz*. Część I. Warszawa, nakł. i sztych A. Dzwonkowskiego i spółki, 8ka większ., str. IV, 92. Złp. 10.

## DZIEŁA ZBIOROWE.

Rozrywki dla młodocianego wieku. Dzieło zbiorowe w 5 tomach, obejmujące powieści, podróże, literaturę i rozmaitości, przez *Seweryną z Żochowskich Pruszakową.* Serya III. T. V. Warszawa, 1863, druk Gazety Polskiéj, 8ka, str. 436, XIII, zawiera:

Władysław Syrokomla, p. *Seweryną z Żochowskich Pruszakową.* Piotr Gassendi. Wspomnienie z mojéj młodości, opowiedziane p. *Janka z Bielca 'Jana Kantego Gregorowicza'.* Hilda, czyli chrześciaństwo w V wieku. Poezye: Śpiewaki Boże, Jan Sobieski, Do kukułki, Do fujarki wierzbowej, Pieśń, Do spoczywających, z Wiktora Laprada. Wspomnienia z wycieczki w ziemię michałowską, p. *Władysławę z Rogozińskich Izdebską.*

Gwiazdka czyli Kolenda na rok 1864. Książka zbiorowa illustrowana. Rok 2gi. Warszawa, nakł. A. Dzwonkowskiego i spół., druk A. Ginsa, 1864 8ka, str. III, 202, spisu 2, okł. druk., zawiera:

Przedmowa wydawcy. Dzieciom w dzień Gwiazdki, p. *J. K.* Mały królewicz Władysławek, p. *Juliana Bartoszewicza.* Jezus między rówieśnikami, p. *St. Jachowicza.* Nasze ptaszki. Chrystus w łodzi, p. *Julią Janiszewską.* Sebastyan Gomez. Król tułacz, p. *Seweryną Pruszakową.* Wjazd Ossolińskiego do Rzymu, p. *Bogusławskiego.* Pieśń o powołaniu człowieka, p. *St. Jachowicza.* Mały pastuszek, p. *Saint-Foi.*

Wieś, p. *St. Jachowicza.* O balonach. Legenda o Matce Boskiéj Łaskawéj, p. *J. Grajnerta.* Kopalnia miedzi, naśladow. Mis Edgeworth. Pierścień Kunegundy, p. *Józefa z Mazowsza.* Lekcya o bajkach i szarych wróblach, p. *Zofii Porębską.* Gwiazdka, p. *L. K.* Pogadanka o powietrzu, barometrach, pompach, siławkach, wiatrach, burzach i t. p., p. *J. Łozińskiego.* Piast, p. *M. Ilnicką.* O bitwie pod Lignicą, p. *B. Kamińską.* Grosz wdowi, p. *Józefa Grajnerta.* Św. Cyryl i Metodyusz. Zaprowadzenie wiary chrześciańskiéj w Polsce, Dwie powiastki ludowe, p. *Kazimierza i Władysława Wójcickiego.* Opisanie Krakowa.

## KALENDARZE.

Józefa Ungra Kalendarz warszawski popularno-naukowy illustrowany, na rok przestępny 1864, który ma dni 366. Rok dziewiętnasty. Warszawa, nakład i druk wydawcy. 4ka, str. nieliczb. 16, liczb. 123, VII, nieliczb. 53, liczb. 24; zawiera prócz wiadomości zwykłych kościelnych, astronomicznych i informacyjnych, następne artykuły:

Objaśnienia nazw i znaczenia świąt żydowskich, p. *Daniela Neufelda.* Objaśnienie nazwy gromad zwierzyńcowych. Wiadomość historyczno-bibliograficzna o kalendarzach od najdawniejszych czasów wychodzących, p. *Franciszka Maksymiliana Sobieszczańskiego.* Dramatycy polscy, p. *Kar. Estreichera.* Kaplica Zygmuntowska w katedrze krakowskiéj, p. *Władysława Anczyca.* Kościół w Wilanowie. Zamek w Sanoku. Płock. Zamek w Ostrogu. Kościół katedralny w Wilnie. Kaplica w Podhorcach. Czerwony klasztor w Pieninach, p. *Wład. Anczyca.* Malborg, p. *Ludwika Jenike.* Kościół w Kruświcy. Dahomej, p. *Włodzimierza Górskiego.* Mexyk. Obchód św Mikołaju, p. *Wład. Anczyca.* Boruta, p. *Kazimierza Władysława Wojcickiego.* O uczonym Mandarynie Wangu i handlarzu imbiera, powieść chińska, p. *Wacława Szymanowskiego.* Rynaldo Rynaldini, humoreska Wspomnienia literackie z lat 1813—1830, p. *K. W. Wojcickiego.* Słówko o dzisiejszem piśmiennictwie peryodycznem, p. *Fryd. Henryka Lewestama.* O wychowaniu dzieci, p. *J. N. Kurowskiego.* Wiązka z przypowieści, maxym i zdań, p. *Adama Bartoszewicza.* Guano, p. *Stelmaszewicza.* Sposoby przechowywania materyałów pokarmowych. O działalności Towarzystw rolniczych w Stanach Zjednoczonych, p. *Stelmaszewicza.* Poezye.

Kalendarz Astronomiczno-gospodarski, wydany staraniem Redakcyi Gazety Rolniczéj na rok przestępny 1864, mający dni 366, 100 drzeworytów w tekście. Warszawa, druk A. Ginsa. 4ka, str. XVI, 208, XII, prócz oddziałów astronomicznego i informacyjnego, zawiera następne artykuły:

Wspomnienie o Ludwiku Kondratowiczu (Władysławie Syrokomli), p. *Aloizego Kuczyńskiego.* Obrazki na tle historycznem skreślone z XVIII i XIX wieku, p. *Franciszka Salezego Dmochowskiego.* Chrzciny na zaścianku, p. *Józefa Dzierzkowskiego.* Pałac ordynacki w Warszawie mieszczący w sobie Instytut muzyczny. Pomnik Żółkiewskiego pod Cecorą. Teodor Narbut. Obraz Matki Boskiéj Częstochowskiéj. Rzeczpospolita mexykańska. Papież Pius IX. Metody kuracyi i jéj skutki. Przenajświętsza Panna. Co głowa to rozum, wiersz p. *Alexandra Niewiarowskiego.* Pracownia Chodowieckiego. Hetman Chodkiewicz. Cyganie, p. *Zygmunta Gawareckiego.* Andrzej Załuski. Józef Lompa. Miłość synowska, powieść. Czarnogórcy i Czarnogóra. Jan Sobieski.

Michał Obrenowicz. Stanisław Jabłonowski. Wacław Hanka. Legenda z okolic podtatrzańskich, p. *Walerego Wielogłowskiego*. Niedziela w Londynie. Wspomnienie o Stanisławie Staszicu. Żywiorys Armińskiego. Organy parowe. Ks. arcybiskup Marceli Gutkowski. Skowronek, p. *Maryą Ilnicką*. Książe Albert jako agronom, p. *Andrzeja Mazura*. Opisy roślin gospodarskich, p. *Zygmunta Gawareckiego*. O wapnie i piecach wapiennych, p. *B. A.* Parowa orka, p. *Józefa Osieckiego* Chlebarka Stevensa. O myszach robiących szkody w polach i zabudowaniach, p. *Zygmunta Gawareckiego*. Szkoła rolnicza w Czernihowie pod Krakowem. Franciszek Miłosz, p. *A K. Stelmaszewicza*. O łączeniu pszczół, p. *Józefa Znamirowskiego*. Środki zapobiegające szerzeniu się księgosuszu, p. *Andrzeja Mazura*. O potrzebie upowszechnienia uprawy lnu, p. *Bartłomieja Brzechwę*. Oznaczenie wagi żywéj i wagi mięsa u zwierząt domowych, p. *Leona Kąkolewskiego*. Użytkowanie drzewa w gospodarstwie i budownictwie wiejskiem, p. *Sylwana*. O tytuniu, p. *J. B.* Świnie węgierskie. Juliusz Adolf Sztöckhard. Józef Gołuckowski. Zamojścia Carpathica, roślina nowo znaleziona, p. *Wojciecha Jastrzębowskiego*. Kilka myśli o ogrodnictwie, p *d'Abancourta*. Józef Gluziński. Narzędzia i machiny rolnicze. O wężach krajowych. Poznanie psa wściekłego, p. Dra *Zborowicza*. O potrzebie opieki nad zwierzętami domowemi, p. *Alexandra Niewiarowskiego*. Most pod Tczewem.

Kalendarz astronomiczno-gospodarski na rok 1864, który jest rokiem przestępnym mającym dni 366, z opisem dni galowych w Rossyi, poczt, świąt żydowskich i innych wiadomości ciekawych i gospodarskich. Warszawa, nakł. L. Saltstzeina, druk N. Schriftgissera. 4ka str. 29, 10, nieliczb. 6, zawiera; prócz części kościelnéj, astronomicznéj i informacyjnéj:

Przepowiednie praktycznego rolnika co do urodzajów i pogody. Ochrona drzew owocowych od gąsienic. Różne sposoby gospodarskie. Kalendarz kuchenny. Kalendarz leśny. O opiece nad zwierzętami domowemi. Kazimierz W. w kumach.

Lewentala Kalendarz ludowy obrazkowy na rok przestępny 1864. Rok trzeci. Warszawa, nakł. i druk S. Lewentala, 1864, 8ka, str. 134, zawiera:

Część kościelną i astronomiczną, oraz wierszyki na każdy miesiąc, napisane p. *E. Leję* O święceniu i szanowaniu dnia niedzielnego, p. *Janka z Bielca* (*Jana-Kantego Gregorowicza*). Wincenty a Paulo. Jan Gdańszczanin, biskup Warmiński, p. *Zofię Ścisłowską*. Józef Lompa. Kilka śladów historycznych poszanowania i pomocy dla rzemiosł przodków naszych, p. *Adama Wiślickiego*. Kaptur nie czyni mnichem, ani suknia lichem. Zuch. Wielka bitwa pomiędzy Władysławem Jagiełłą a Krzyżakami. Obrazki wiejskie, p. *Janka z Bielca* (*J K. Gregorowicza*). Jakóbowa chata. Wszędzie dobrze, w domu najlepiéj. Módl się i ufaj. Dobry trunek na frasunek, p. *Ludwika Godlewskiego*. Rady gospodarskie.

*Deutscher Warschauer Kalender für das Jahr 1864, welches ein Schaltjahr von 366 Tagen ist, Warschau, Verlag v. M Rodzyn, gedrukt bei A. Liefeld.* 8ka, str. 76. 19, zawiera prócz zwykłych kalendarzowych wiadomości, następne artykuły:

*Der Wucherer, eine Erzählung. Das Rübenfeld. Die Aufforderung. Die menschliche Haare. Eine Nebenbuhlerinn. Die Wunder des Gewerbfleisses. Der Werth der Arbeit. Belehrungen eines närrischen Vaters, für seinen närrischen Sohn. Anekdoten. Der Londoner Adresskalender. Ein gutes Mittel.*

Kalendarzyk kieszonkowy na rok przestępny 1864. Warszawa, druk S. Lewentala, 18ka, str. XXX.

Na rok 1864 kalendarzyk pugilaresowy, podróżny i ścienny. Warszawa, litogr. J. Czaczkowskiego (z mappą Królestwa Polskiego.

Kalendarz biurowy na rok 1864 (ścienny). Warszawa, druk Banku Polskiego, fol.

Kalendarzyk toaletowy na rok 1864. Warszawa, druk Banku Polskiego. 16ka.

## PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Przegląd Katolicki. M. listopad 1863 NN. 44—47, zawierają:

Ojciec Faber. Stosunek teologii do filozofii. Lipcowy i wrześniowy zeszyt „Roczników rozszerzania wiary. Jezuici na galerach. Przemówienie JKs. Kossowskiego Rektora Akademii duchownéj w dniu objęcia urzędu rektorskiego. Budżet państwa kościelnego. Środek przeciwko zażywaniu tabaki. Korrespondencye. Kronika kościelna krajowa i zagraniczna. Bibliografia krajowa.

Zwiastun Ewangeliczny. M. listopad 1863. NN. 21—22, zawierają:

Usprawiedliwienie. Zasady chrześciaństwa, jako zbawienia świata w Chrystusie (c. d.). Marcin Luter (c. d.). Renana, żywot Jezusa. Powstanie Taipingów w Chinach (c. d.). Adwent. Korrespondencya. Wiadomości z kościoła i o kościele.

Przegląd Europejski, naukowy, literacki i artystyczny. M. Październik 1863. Zeszyt 16, str. 206 zawiera:

Studya nad epoką Stanisława Augusta Poniatowskiego, a w szczególności nad teatrem. Alger pod panowaniem Francuzów. Osadnicy Australscy, powieść p. *Elie Berthet* (c. d.). Jan Prati i jego poetyczne dzieła. Książki szkolne. Przegląd rzeczy potocznych, p. *I H*

Roczniki gospodarstwa krajowego. Okres III, T. VIII. Poszyt II. M. listopad 1863. str. od 161—318, Tab. 1, zawiera:

O projekcie uspławnienia rzeki Buga. Grunta i ich udział w wegetacyi (dok.). O możności i korzyściach zaprowadzenia stowarzyszeń rolniczych i ich organizacyi (dok). Stan sanitarny włościan we Francyi. Rozmaitości. Dostrzeżenia meteorologiczne za m październik 1863.

Tygodnik Lekarski. M. wrzesień 1863 NN. 36—37, zawierają:

*Groër*: Rana od ukąszenia żmii. *E. Miłosz*: O wściekliznie *Miłosz*: Przymiot w stosunku do chorób nerwowych, albo cierpienia nerwowe syfilityczne. Bezład postępowy mięśni języka, podniebienia i ust. *Ściborowski*: Wiadomości z czasopism zagranicznych. Posiedzenia Towarzystwa lekarskiego warszawskiego. Spostrzeżenia meteorologiczne. Nowe dzieła.

Kółko Domowe. M. listopad 1863. Posz. VIII, str. od 225—256, zawiera:

Mak (z czeskiego). Podróże badacza przyrody (c. d.). Zaprzedana, p. *Julię Janiszewską*. Kilka wspomnień, p. *Eleonorę Ziemięcką*. Bitwa pod Byczyną i wyjazd arcyksięcia Maxymiliana, p. *Władysława Chomętowskiego*. O ubiorach.

Przyjaciel Dzieci. M. listopad 1863. NN. 136—139, zawierają:

Jakób Watt. Historya kęsa chleba. Przyjaciele, powieść dla młodzieży, p *Jana Kantego Turskiego* (dok.). Glina. Res sacra miser, p *Jana Chęcińskiego*. Św. Wincenty a Paulo, przekł. *Tekli Borkowskiéj*. Dzieje narodu polskiego, p. *Leona Rogalskiego*, (c. d.). Cuda oceanu (c. d.). Szymon Szymonowicz Bendoński. Historya święta, p. *Michała Szymanowskiego*, (c. d.). Rozmowy ojca z dziećmi, p. *Jerzego Kin*. Poezye. Rozmaitości. Myśli i zdania. Rebus.

Tygodnik Mód. M. listopad 1863. NN. 45—48, zawierają:

Ustęp z życia Elżbiety Drużbackiéj (c. d.). Obyczaje, religia, polityczna i towarzyska organizacya starożytnego Mexyku (c. d.). Jan Halifax, powieść M. Mulloch, spolszczona z angielskiego, p. *Sewerynę Pruszakową*. Elekcya Jana Sobieskiego. Korrespondencya z Paryża. Poezye. Gwiazdka. Nowości zagraniczne. Mody. Szarady. Opisy rycin mód, wzorów, form i deseni.

Tygodnik Illustrowany. M. listopad 1863. NN. 215—218, zawierają:

Kościół farny czyli pojezuicki, wraz z kolegium w Poznaniu. Ksiądz Andrzéj Rudomina missyonarz polski w Chinach. O Towarzystwie przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie i wystawie tegorocznéj, p. *W. Leopolskiego* (dok.). Tomir, poemat prozą, p. *Adelę H.* Dawne ubiory i uzbrojenia. Zbigniew Gorajski, p. *W. Grochowskiego*. Kościół Sto Krzyzki w Warszawie. Szczątki domu Jana Kochanowskiego w Czarnymlesie, p *Kazimierza Władysława Wojcickiego*. Elżbieta z Krasińskich Jaraczewska, p *Tegoż*. Grota Łokietka w Ojcowie. Kościół katedralny w Włocławku. Kocioł garnkowi przygania a obadwa smolą. Pierwsze złudzenie, p. *J Dzierzkowskiego*. Z Mysłowic do Krakowa, p. *Teodora Żychlińskiego*. Kościół Św. Krzyża Bonifratrów w Wilnie, p. *Mścisława K.* Adam Śmigielski, starosta gnieźnieński, p. *K. W. Wojcickiego*. Kilka słów o Wieliczce. Walhalla wieszczow, p. *Adelę H.* Poezye. Korrespondencye. Przegląd polityki zagranicznéj. Kronika tygodniowa. Szachy. Rebusy.

Wędrowiec. M. listopad 1863. NN. 44—47, zawierają:

Podróż kapitana Burtona do wielkich jezior wschodniéj Afryki (c. d.). Walka na szczycie kopuły kościoła św. Piotra w Rzymie, według *Dickensa*. Pracownia malarska, szkic. Źródło. Szpilki. Niektóre szczegoły o ostatniéj powietrznéj podróży balonu „Olbrzym". Orzeł. Skała Tarpejska. Morze i jego mieszkańcy. Księżyc. Rodzina Romano. Olbrzymi moździerz. Mexyk. Wygaśnięcie rodziny Hohenstaufen. Londyńskie ogłoszenia. Miasto Melbourne. Beranger, p. *F. Henryka Lewestama*. Tysiączna i druga noc. Gorill. Piotr Paweł Rubens. Rozmaitości

Kmiotek. M. listopad 1863. NN. 45—48, zawierają:

Opowiadanie o Litwie, napisał *Janko Korabicz* (c. d.). Uprawa kukurzy. Gospodarstwo na zagrodzie, p. *A. K. Stelmaszewiczu* (c. d.). Zło-

śnica poprawiona. Młodość Najświętszéj Panny. Historya prawdziwa o Marcinie polowym Wadowicie. Palma. Zły opiekun. Święty Andrzéj. Halusia.

Czytelnia Niedzielna. M. listopad 1863. NN. 45—48, zawierają:

Narody i kraje starożytne. Wilk w owczarni, pogadanka. Zdania starożytne. Różności. Królowa Anna Jagiellonka i kazanie na jéj pogrzebie sławnego księdza Piotra Skargi. O życiu mojéj niewiasty, wspomnienie. Marcin Mrąga, powiastka historyczna z ziemi kaszubskiéj. O garkuchniach dla rzemieślników i robotników, Zadymka, pogadanka.

Gazeta Warszawska. M. listopad 1863. NN. 250—274 zawierają:

Cóż teraz zrobić? powieść *Sir Edwarda Bulwer Lytton* (c. d.). Przegląd literatury zagranicznéj. Huty szkła, p. *A. W.* Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące, literackie, artystyczne.

Gazeta Polska. M. listopad 1863. NN. 250—274, zawierają:

Dola i niedola, powieść z ostatnich lat XVIIIgo wieku, p. *Józefa Ignacego Kraszewskiego* (c. d.) Sprawozdanie z posiedzeń Akademii nauk w Paryżu (c. d.) Przegląd literatury zagranicznéj (c. d.). Uniwersytety we Włoszech. Przegląd Roczników gospodarstwa krajowego z m. października r. b. (c. d.). Sztuczne zapładnianie zbóż. Paryż od początku bieżącego stulecia. Korrespondencye zagraniczne. Wiadomości bieżące, literackie, artystyczne.

Kuryer Warszawski. M. listopad 1863. NN. 250—274.

Kuryer Niedzielny. M. listopad 1863. NN. 44—49, zawierają:

Przeglądy: polityczny, bukowy, literacki. Korrespondencye. Zjawisko. Książki szkolne. Kwestya filantropijna. Poezye.

Dziennik Powszechny. Pismo urzędowe, polityczne i naukowe. M. listopad 1863. NN. 250—274, zawierają:

Niektóre wiadomości o Wiśle. Wyjaśnienie kwestyi co do przymusu trunkowego (c. d.). Piątek, dnia trzynastego (c. d.). Królestwo Polskie i jego stosunki z Cesarstwem Rossyjskiem. Zakłady górnicze Ufalejskie. Powstanie Polaków w Południowo-zachodniéj Rossyi w r. 1863. Korrespondencya z Krakowa. Polska i jéj pomyślność rolnicza. O ruchu pocztowym w Pocztamcie warszawskim w m. lipcu r. b. Wiadomości bieżące z nauk ścisłych. William Pitt Atterbury, p. *Lorda Macaulaya*, przekł. z angielskiego. Wiadomości rozmaite. Kronika. Przegląd dzienników.

Warszawska Gazeta Policyjna. M. listopad 1863. NN. 250—274, zawierają:

Panna romansowa (c. d.).

Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. M. listopad 1863. NN. 77—85, zawierają:

Kilka słów o przechowywaniu zboża w ziarnie, p. *Kajetana Wolskiego* (dok.). Próby porownawcze wartości pożywnéj gotowanéj i zaparzanéj karmy. Bulwa jako karm dla koni i jéj uprawa. Wychowywanie cieląt. O użyciu wapna i marglu w stajniach. Próby z karmą krow i owiec, z szczególniejszym względem na wartość pokarmową makuch rzepako-

wych. O kosztach fabrykacyi okowity i o handlu okowitą, p. *Jana Swieńczyca*. Orzech ziemny. Rzepnik. Czy ziemniaki obsypywać lub nie? O środkach wytępienia perzu, p. *L. S.* Gospodarski podział roślin, p. *T. Kr.* Sposób przechowania kalarepy przez zimę a nawet dłużéj. O użytku wyciewów oborniku. O maściach i odmianach w koniach. Machina Ganglofa do robienia gontów, p. *Andrzeja Krigiera*. Choroba koniczyny. Bronowanie posiewów pszenicy i owsa. Wartość nawozowa stawiarki, p. *I. B R.* Kury polskie za granicą. Zakłady naukowe rolnicze w Hohenheimie, p *S. M.* Pożytek z drobiu. Rzepak na koniczysku. Makuchy. Próby z uprawą lucerny piaskowéj. Uprawa Rajgrasu w Anglii. O użytku produktów powstałych przez destylacyą torfu. Korrespondencya. Słonecznik. Wiadomości krajowe i obce. Wiadomości handlowe. Drobiazgi.

**Gazeta Rolnicza. M. listopad 1863. NN. 45—48, zawierają:**

O wpływie mrozów na roślinność. Rozbiór publikacyi: „Rocznik leśniczy tom IIIci w dwóch częściach, p. *H. Trąpczyńskiego*. Ptastwo domowe (c. d.). Cesarska ferma. p. *A. K. Stelmaszewicza*. Wspomnienia z podróży po obczyznie, p. *Ladysława Mrówińskiego*. Listy z wycieczki agronomicznéj po Czechach, p *A. K. Stelmaszewicza*. Przyrząd ułatwiający napełnianie worków. Ogólne zasady systematów rolniczych, p. *Toporczyka* (c. d.). Pożytki Historyi naturalnéj w rolnictwie. Drobiazgi z mechaniki rolniczéj. Książe Albert, jako agronom, p. *Andrzeja Mazura*. Rozbiór krytyczny dzieła: „Leśnictwo polskie" A. Polujańskiego", p. *Hipolita Trąpczyńskiego*. Wystawa w Królewcu, p *Józefa Szafarkiewicza*. Korrespondencye gospodarskie. Nowiny i ogłoszenia gospodarskie.

## MUZYKALIA.

Wianki. Zbior melodyj polskich na fortepian przez *Janusza*. Nr. 6. Mazur Tarnowski. Warszawa, nakł. J. Kaufmann i F. Hösick, lit. W. Otto, sztych Gebethnera i Wolffa, str. 6, złp. $1^1/_2$.

*Osmański Woj* Marsz kawaleryjski skomponowany na fortepian. Warszawa, nakł. J. Kaufmann, lit. M. Gotz, sztych Gebethnera i Wolffa. str. 6.

## RYCINY, LITOGRAFIE i t. d.

*Piwarski Jan-Felix*. Wzory i nauka rysunku. Dział 1szy przygotowawczy Część 1sza, XV Tablic. Linie proste z zastosowaniem. Wyd. 3cie. Warszawa, 1863. Litog. L. Herknera. 4ka podłużna.

# WIADOMOSCI LITERACKIE.

## WARSZAWA.

*Warszawa. Grudzień 1863.*— W szkole głównéj następujące przedmioty w półroczu zimowém wykładane będą i wydziały otwarte:

A) *Wydział fizyczno-matematyczny.*

*Kurs I.* Algebra wyższa, pr. F. Babczyński. Geometrya analityczna, pr N. Pęczarski. Geometrya wykreślna, tenże. Kosmografia, pr. Baranowski dyrektor obserwatoryum warsz. Fizyka ogólna, prof. Prażmowski. Chemia ogólna, pr. J. Natanson. Botanika ogólna, pr. Aleksandrowicz. Zoologia ogólna, pr. Górski.

*Kurs II.* Rachunek różniczkowy, pr. dziekan A. Frączkiewicz. Astronomia sferyczna wraz z trygonometryą kulistą, jako wstęp, pr. Baranowski. Chemia analityczna, pr. Natanson. Mineralogia ogólna, pr. Jurkiewicz. Botanika systematyczna, pr. Cieszkowski. Zoologia systematyczna, pr. Dybowski. Anatomia porównawcza, pr. Górski.

Wydział fizyczno-matematyczny dzieli się obecnie na trzy oddziały: 1) czysto matematyczny; 2) chemiczno-mineralogiczny i 3) nauk przyrodzonych. Studenci poświęcający się czystéj matematyce, obowiązani są słuchać na kursie pierwszym: algebrę wyższą, geometryą analityczną, geometryą wykreślną, kosmografią, fizykę ogólną i chemią ogólną; na kursie drugim: rachunek różniczkowy, astronomią sferyczną, mineralogią ogólną i chemią analityczną. Poświęcający się chemii i mineralogii obowiązani są słuchać na kursie pierwszym: fizykę ogólną, chemią ogólną, botanikę ogólną, algebrę wyższą i kosmografią: na kursie drugim: chemią analityczną, mineralogią, rachunek różniczkowy, anatomią człowieka.

Nakoniec studenci poświęcający się naukom przyrodzonym, obowiązani są słuchać na kursie pierwszym, zoologią i botanikę ogólną; anatomią człowieka, kosmografią, fizykę ogólną i chemią ogólną, na kursie zaś drugim: zoologią systematyczną, mineralogią ogólną, anatomią, fizyologią człowieka i anatomią i fizyologią roślin.

B) *Wydział prawa i administracyi.*

*Kurs I.* Encyklopedya prawa, pr. Kasznica. Instytucye i historya prawa rzymskiego, p. Dr. Maciejowski. Wstęp do kodeksu cywilnego, pr. Licencyat Józefowicz.

*Kurs II.* Prawo polskie i jego historya, pr. Mag. Dutkiewicz. Kodeks cywilny, pr. Mag. Holewiński. Encyklopedya umiejętności politycznych, pr. Dr. Białecki. Historya teoryj politycznych i społecznych od Arystotelesa do naszych czasów, jako wstęp do prawa publicznego, pr. Mag. Wyziński. Pandekta, pr. Dr. Popiel.

C) *Wydział lekarski.*

*Kurs I.* Anatomia opisowa, Dr. Hirszfeld. Propedeutyka lekarska, Dr. Łuczkiewicz. Prócz tego wspólnie z wydziałem fizyczno-matematycznym: fizyka, chemia, botanika i zoologia ogólna.

*Kurs II.* Anatomia praktyczna, Dr. Pilczycki. Fizyologia, pr. Hoyer. Farmakognozya, pr. Werner. Prócz tego wspólnie z wydziałem fizyczno-matematycznym: chemia analityczna, mineralogia ogólna, zoologia systematyczna, anatomia porównawcza.

*Kurs III.* Terapia szczegółowa, Dr. Rose. Chirurgia teoretyczna, Dr. Girsztoft. Anatomia patologiczna, Dr. Brodowski. Akuszerya, Dr. Tyrchowski. Farmakologia i receptura, Dr. Kryszka. Patologia ogólna, Dr. Dybek.

*Kurs IV.* Klinika terapeutyczna, Dr. Chałubiński. Kazeustyka, Dr. Brodowski. Medycyna sądowa, pr. Wisłocki. Oftalmologia, Dr. Szokalski. Semiotyka, Dr. Baranowski.

— Redaktor Gazety Rolniczéj Mieczyński, zamierza wydać Noworocznik dla stanów średnich i w tym celu przygotowywa zasoby, ażeby publikacya ta, starannym doborem i układem miała właściwą sobie wartość.

— Wydawcy nasi na święta Bożego Narodzenia pospieszyli z ogłoszeniem dawno przygotowanych publikacyj. Księgarz Józef Kaufmann wydał powabną książeczkę p. n.: Zabawka dla dzieci, z ośmioma kolorowanemi rycinami w 4ce, do których wierszyki pełne myśli i dążności moralnéj, a wybornie zastósowane do pojęcia dziatek, skreśliło pióro znane w literaturze naszéj, a władające umiejętnie ojczystym językiem. Michał Glücksberg wydał książkę p. n.: „Głos do Boga, nabożeństwo domowe i kościelne dla ludu polskiego, ułożone z najużywańszych modłów w Polsce". Układ staranny równie, jak

dobór pieśni i modlitw, a przytém czystość i piękność języka, najważniejsze warunki w podobnéj publikacyi zalecają tę książkę tém więcéj, że cena jest jéj tania i dostępna. Praca to zacna i szlachetna zasłużonego w literaturze naszéj kapłana ks. Gackiego.

— Z kalendarzy znanych wyszedł Józefa Ungra popularno-naukowy illustrowany, na rok przestępny 1864. Zarzuty mu czynione, że powtórzył drzeworyty umieszczane poprzednio w Tygodniku Illustrowanym i Wędrowcu, uważamy za niestósowne; albowiem kalendarz jest książką najpoczytniejszą właśnie dla tych, którzy żadnego z tych pism nie znają i są dla nich nowością. W takich publikacyach, które w kilkunastu tysiącach egzemplarzy i więcéj rozchodzą się, wydawcy zdaniem naszém, nie tyle o nowe utwory literackie starać się powinni, jak raczéj o dobór najpiękniejszych, któreby myśl i serce podnosząc uszlachetniały, działając na wielkie koło czytelników swoich. Staraniem redakcyi Gazety Rolniczéj wyszły dwa kalendarze: 1) Kalendarz astronomiczno-gospodarski na r. 1864. 2) Kalendarz dla ludu polskiego. Obadwa zalecają się doborem i troskliwą redakcyą. Księgarnia polska A. Dzwonkowskiego wydała Kolendę czyli Gwiazdkę i Rocznik dla Polek. O tych publikacyach powiemy obszerniéj we właściwych działach. Umieszczając prospekta poniżéj na pisma te, które zapowiedziały wychodzenie swoje w r. 1864; tu dodamy, że *Tygodnik Mód* pod redakcyą J K. Gregorowicza, *Kółko domowe*, jak *Czytelnia Niedzielna* i *Kmiotek*, w oznaczonych terminach wydawane będą. Zresztą w handlu księgarskim niepamiętna stagnacya. Księgarze nabyte dawniéj rękopisma chowają na przyszłość: o najważniejszych pracach już gotowych, żaden się nie zapyta, chociaż niedawno był gotowym do ich wydania. Encyklopedya powszechna pomimo takiego stanu regularnie wychodzi. W ostatnich zeszytach, z większych rozpraw wspomnimy Opis Krakowa, rzeczypospolitéj krakowskiéj i krakowskiego okręgu przez J Łepkowskiego. W dalszych ukażą się obszerne życiorysy Krasińskiego biskupa J. Bartoszewicza, Zygmunta H. Lewestama, Kromera F. M. Sobieszczańskiego i w. i. Litera *K* zajmie część tomu XVI, w którym pomieszczą się litery *L* i *Ł* w części. Redakcya tak plan daléj ułożyła, że w 10 tomach zamknie całość, która będzie obejmować nie więcéj, jak tomów XXV.

— Wydawca Tygodnika Illustrowanego zapowiedział w oddzielnym prospekcie dalsze wychodzenie tego pisma, które stało się tak popularném w kraju. W ogłoszeniu tém czytamy:

„Rozpoczynając z rokiem 1864 tom IX naszego pisma, czujemy się w obowiązku powiedzieć słów kilka o rozwoju, jaki w przyszłości nadać mu zamierzamy.

Jakkolwiek celem Tygodnika nie jest odbicie teraźniejszości, co właśnie zagraniczne pisma tego rodzaju za główne obrały sobie zadanie, pragnęlibyśmy jednak uczynić go niejako spójnią pomiędzy przeszłością a chwilą obecną, łącząc w nim to co nam dzieje godnego pamięci przekazały, z zaprzątnieniami i faktami bieżącemi.

W tym celu postanowiliśmy w roku następnym, oprócz postaci historycznych dawać w większéj liczbie jak dotąd wizerunki i krótkie życiorysy znakomitości spółczesnych, na polu nauk ścisłych, piśmiennictwa i sztuki. Podobnież zamierzamy ponawiać wprowadzone już poprzednio rocznice historyczne, zamieszczać opisy elekcyj, koronacyj i pogrzebów dawnych królów polskich z odpowiedniemi rysunkami, oraz odtwarzać w drzeworytach godniejsze uwagi dzieła sztuki z wystawy krajowéj.

W tym roku jeszcze ukończymy rozpoczętą powieść p. n.: *Eureka*, a zaraz po nowym roku drukować zaczniemy *Obrazy Rusi Czerwonéj* Wł. Zawadzkiego, z illustracyami Kossaka Po nich nastąpią obszerne prace: K. Wł. Wójcickiego *Wspomnienie o Kazimierzu Brodzińskim*, A. Osipowicza *Wycieczki w okolice Suwałk*, i nowa powieść Wł. Maleszewskiego p. n.: *Bracia*. Przyrzekli nam nadto dalszą swą pomoc na niwie powieściowéj: J. I. Kraszewski, J. Dzierzkowski, J. Zacharyaszewicz i M. Bałucki.

Mamy również przygotowane rysunki Kossaka, do fantastycznych podań ludowych o *Morowéj zarazie*, a w czasie późniejszym dla ożywienia pisma naszego, kolejno illustrować będziemy całkowicie lub w ustępach: Satyry Krasickiego, Pieśni Jana Kochanowskiego, Wojnę chocimską Wacława Potockiego, Lisowczyków Dembołęckiego, Flisa Klonowicza i Zwierciadło Reja".

— O wychodzeniu *Wędrowca* na rok 1864 mamy następny prospekt: „Pismo illustrowane *Wędrowiec* wychodzić będzie w przyszłym 1864 roku według tegoż co dotąd programu. Celem urozmaicenia treści i nadania jéj większego interesu, redakcya w głównych działach zamierza poczynić niejakie zmiany, idąc w tém tak za własném, dotychczasowém doświadczeniem, jak i czyniąc zadość uzasadnionym żądaniom większości czytelników.

I tak, dział *krajoznawstwa* zamierzamy urozmaicić tém, iż oprócz podróży do oddalonych lub mniéj znanych okolic, umieszczać w nim będziemy opisy i sprawozdania z wielkich przedsiębierstw przemysłowych. W obecnéj chwili kilka prac tego rodzaju zamierzonych na rozmaitych punktach kuli ziemskiéj, sprawiedliwie zwraca uwagę wszystkich ludzi myślących. Pomijając inne, wymienimy tu:

*Przekopanie międzymorza Suez*, *Przebicie tunelu przez górę Cenis*, *Połączenie telegrafem elektrycznym Europy z Ameryką i Indyami Wschodniemi*, *Przeprowadzenie drogi żelaznéj przez Panamę* i t. d. Redakcya przysposobiła już po części artykuły dotyczące tych ważnych przedmiotów, pisane sposobem najdostępniejszym, poprzedzone historycznym przeglądem i objaśnione drzeworytami. Opisy krajów europejskich o tyle tylko znajdą miejsce w Wędrowcu, o ile zalecać się będą świeżością i trafnością poglądu, tudzież artystyczném obrobieniem. Zamieszczać przytém zamierzamy sceny ze spółczesnego życia w Północnéj Ameryce, Meksyku, Kalifornii i t. d.

Dział literatury zagranicznéj zawierać będzie jak dotąd, streszczenia lub całkowite przekłady najlepszych nowych literackich utworów angielskich, niemieckich, francuzkich i t. d.

W dziale bibliograficznym główną uwagę zwrócimy na życiorysy znakomitych spółczesnych działaczy na polu piśmiennictwa, nauk, sztuk, przemysłu i t. d.

Do zredagowania artykułów dotyczących *nauk przyrodzonych i przedmiotów technologicznych* w całéj ich objętości, zapewniła sobie redakcya współpracownictwo piór specyalnych.

Pod rubryką Rozmaitości redakcya nie omieszka podawać stale wiadomości o wszystkich nowych odkryciach, wynalazkach, ulepszeniach i t. p., o ile te rozszerzają zakres wiedzy ludzkiéj i znamionują postęp w rzeczach sztuk, nauk lub przemysłu dotyczących.

Te i inne tym podobne zmiany i ulepszenia, które zamierzamy wprowadzić w Wędrowcu, a które nie przechodzą zakresu sił, ani redakcyi, ani wydawcy, mamy nadzieję, że pomyślnie wpłyną na podniesienie wartości pisma i na zjednanie mu uznania ze strony światłych czytelników.

Oprócz drzeworytów objaśniających i uzupełniających artykuły, redakcya umieszczać będzie karykatury Chama, Bertalla i innych".

W *Wędrowcu* znajdujemy prawdziwéj wartości artykuły, nie tłumaczone, ale pisane umyślnie i jako studya opracowane; do takich liczymy życiorysy Beranżera, Rubensa i Walter-Skotta. Obok tego znajdujemy wcale udatne przekłady poezyi, jak ten n. p. z Drydena, który w całości przytaczamy:

## Wspomnienie lata.

Z ziem bezsłonecznych wicher szalony
Zadął i zbielił Grampjanu głowy,
Łąki w śnieżyste objął opony;
Spętał strumieni nurt kryształowy.

Zdrętwiała dusza i lice zbladło,
Z przyrodą w jeden nastrój się brata,
Im głębiéj serce w zadumę wpadło,
Tém cudniéj błyska wspomnienie lata:
Wspomnienie lata, rozkoszny zdrój,
Z przecudnych marzeń utkany strój.

Po wonnéj, dziewiczéj wiośnie,
Lata rozwija się czar;
W krzewistych gąszczach rozgłośnie,
Ptaszęta zawodzą gwar.
W rozwoju sile,
Lasów konary
Wabią przechodnia w miluchny cień;
Brzęczą komary,
Iskrzą motyle:
Płyną z łąk wonnych, powiewy tchnień.

A wśród cienistéj dąbrowy,
Dziewczę w równianki kwiat wije,
Cudnie połyska włos płowy,
I zwój uroczy.
Bujnych warkoczy
Snieżystą otacza szyję.
Drobniejsze rączki niż u dzieciny,
Splatają róże, białe kaliny,
Maki płonące,
Fijołek czysty,
Firletki drżące,
Jaskier złocisty,
Srebrniczek z łąki,
Skromny bławetek,
I leśne dzwonki,
I cudny kwiatek,
Którego błękit, niebios zawiść budzi,
A zwie się kwiatkiem wspomnienia u ludzi.

Zwieszają główki polne klejnoty,
Mrą w białych rączkach nadobne kwiatki,
By skonem stroić dziewczęcia sploty.
Giną tęczowe barwne motyle,
W śmiertelnych zwojach zdradliwéj siatki,
By tylko bawić dziecię przez chwilę.

O! dziewczę lata! gdzieżeś, o gdzie!
Raz mi błysnęłaś w czarownym śnie!
I zniknąłaś wróżko w tumanów pyle!
Raz cię widziałem, widziałem wieki,

Raz cię widziałem, widziałem chwilę:
Po tobie wspomnień tyle, oh! tyle!
W czekaniu, włosy pobielił szron,
W czekaniu nuże nadbieży skon!
Wytrwałem w pośród zawiei, burz,
Czyliż cię nigdy nie ujrzę już!
Mgły co cię kryją na chwilę rzuć,
Ostatnie życia oświeć mi tchnienie,
Na jedną chwilkę o wróć mi, wróć,
Czarowne lata wspomnienie!

— Po ostatecznem zdjęciu odcisków gipsowych z tarczy herbowéj, znajdującéj się na północnym boku dolnéj podstawy kolumny Zygmunta, rozebrano już całkowicie rusztowania wystawione w celu uchronienia tejże kolumny. Odciski o jakich mowa, sporządzone z polecenia komitetu kierującego restauracyą pomnika, posłużyć mają o ile słyszeliśmy do wygotowania dokładnych i szczegółowych rysunków ozdób i pojedyńczych ornamentacyj w naturalnéj wielkości, a to na użytek i dla zachowania w archiwum miejskiém.

— *Kraków.* Załączamy szczegółowy wykaz odczytów na Uniwersytecie Jagiellońskim, w półroczu zimowém 1863/4 r.

A) *Wydział teologiczny.* Introductio in studium theologicum et Theologia fundamentalis seu generalis. Theologia dogmatica. Archeologia biblica. Exegesis Psalmorum e Vulgata latina, Lingua hebraica. Lingua chaldaica et syriaca, dr. Drożdziewicz. Hermeneutica biblica. Exegesis pericoparum, quae ex evangeliis selectae diebus dominicis et festis publice in Ecclesia leguntur, secundum Vulgatam latinam. Exegesis in evangelium St. Lucae e textu oryginali graeco. Exegesis sublimior in Epistolam St. Pauli ad Galatas. Institutiones Juris Canonici, dr. Schindler. Historia ecclesiastica et Patristica, prof. Dąbrowski. Theologia moralis cum principali respectu ad indigentias confessarii, prof. Gołaszewski. Teologia pastoralna i homiletyka, dr. Wilczek. Sinodologia prof. Mioduszewski. Katechetyka i metodyka, Ks. Golda.

B) *Wydział prawa i administracyi* Historya i instytucye prawa rzymskiego. Pandekta, (dokończenie nauki o zobowiązaniach, prawo familijne i spadkowe), dr. Zoll. Ueber deutsche Reichs und Rechtsgeschichte I. Theil, (Historya państwa i prawa niemieckiego część I). Ueber gemeines deutsches Privatrecht (powszechne niemieckie prawo prywatne). Dr. Buhl. Prawo kanoniczne z uwzględnieniem stosunków kościelnych w państwie austryackiém. Ustawodawstwo o przeszkodach i zakazach małżeństwa, dr. Heyzmann. Ueber das allgemeine österreichische bürgerliche Recht nach dem

Systeme und der Ordnung des allgemeinen bürgerlichen Gesetzbuches, (Prawo powszechne cywilne austryackie), dr. Hammer. Ekonomia polityczna Policya czyli nauka administracyi. Statystyka państw europejskich pierwszego rzędu, dr. Dunajewski. Ueber das oesterreichische Kriminalrecht mit Rücksichtnahme auf Controversen und Kasuistik, (prawo karne austryackie). Ogólne zasady nauki prawa karnego, dr. Koczyński Ueber österreichisches Handels und Wechselrecht, (prawo handlowe i wexlowe austryackie): Ueber österreichisches zivilgerichtliches Verfahren, (postępowanie cywilno-sądowe austryackie), dr. Fierich. Ueber österreichische Finanzge-etzkunde, (ustawodawstwo skarbowe austryackie). Grundzüge des österreichischen Finanzwesens, (rys skarbowości austryackiéj), dr. Hammer. Ueber Bergrecht auf Grundlage des allgemeinen österreichishen Berggesetzes, (prawo górnicze), dr. Koczyński. Prawo prywatne polskie. Kodeks cywilny francuzki (księga I i II), prawo osobowe i prawo na rzeczy, tudzież wiadomości wstępne, Dr. Burzyński Ueber die Zivil-Jurisdictions-Normen, (o właściwości sądów cywilnych), dr. Szlachtowski.

C) *Wydział lekarski.* Anatomia opisowa ludzka Anatomia topograficzna tułowia i głowy. Ćwiczenia anatomiczno-sekcyjne, dr. Kozubowski Fizyologia zmysłów i ruchów. Wykłady antropologiczne w sposobie dostępnym dla kandydatów wszystkich wydziałów uniwersyteckich, dr. Majer. Fizyologia krążenia, trawienia i wydzielania. Wykłady z fizyki lekarskiéj. Ćwiczenia w pracowni fizyologicznéj, dr. Piotrowski. Patologia ogólna. Farmakologia ogólna. Katagrafologia, dr. Skobel. Anatomia patologiczna ogólna. Ćwiczenia praktyczne w sekcyach patologicznych, dr. Teichmann. Klinika lekarska, tudzież wykład szczegółowéj Patologii i Terapii. Ueber die physikalische Untersuchung am Krankenbette, (badanie fizykalne), dr. Dietl. Szczegółowa patologia i terapia chorób chirurgicznych wraz z kliniką chirurgiczną. Nauka o operacyach i ćwiczenia praktyczne w tychże, dr. Bryk. O osutkach i chorobach wenerycznych, Docent dr. Rosner Wykład praktyczny okulistyki przy chorych znajdujących się w klinice stałéj i ruchomej. Ueber Ophtalmoblenorrhöen, (o śluzo-ropiotoku), dr. Sławikowski. Wykłady teoretyczne o położnictwie. Klinika położnicza wraz z wykładem praktycznym. O chorobach kobiet, dr. Madurowicz. Medycyna sądowa, dr. Gilewski. Nauka o zarazach zwierząt domowych wraz z policyą weterynarską, dr. Mohr. Semiotyka osadu moczowego i kamieni moczowych. Chemii lekarsko-sądowéj część II, to jest: śledzenie tru-

cizn organicznych. Ćwiczenia praktyczne w chemicznym i mikroskopijnym rozbiorze wydzielin patologicznych, dr. Kryda.

E) *Wydział filologiczny.* Geschichte der österreichischen Monarchie von den ältesten bis in die neuern Zeiten. (Historya monarchii austryackiéj). Praktische Uebungen in der Geschichte des Alterthums besonders in der römischen Geschichte (Ćwiczenia historyczne), dr. Wacholz. Historya królów polskich z domu Waza (ciąg dalszy i koniec). Praktische Uebungen in der Geschichte des Alterthums, (Praktyczne ćwiczenia w historyi starożytnéj), prof. Walewski. Etyka. Historya filozofii nowożytnéj. O niektórych najważniejszych pojęciach estetyki. dr. Kremer. Grundriss der griechisch-römischen Metrik, (grecka i łacińska metryka). Erklärung von Terentius' Eunuchus, (objaśnienie Eunucha Terencyuszowego). Platons Apologia Sokratesa). Cicero's Rede für Milo, (Cycerona mowa za Milonem), dr. Jülg. Neuere deutsche Literaturgeschichte: Schiller und die romantische Schule, (literatura niemiecka nowsza: (Schiller i Romantycy). Deutsche Mythologie, (mitologia niemiecka), dr. Bratranek. Historya literatury polskiéj XVIgo wieku. Pogląd ogólny na celniejsze epoki w piśmiennictwie polskiém, dr. Mecherzyński.

---

Jeometrya analityczna w dwóch i trzech wymiarach wraz z zastosowaniem do teoryi linij krzywych drugiego stopnia. Teorya ułamków ciągłych wraz z ich zastosowaniem do rozwiązania zagadnień nieoznaczonych pierwszego i drugiego stopnia, dr. Steczkowski. Rachunek waryacyjny; Sposób najmniejszych kwadratów; Theorie der astronomischen Strahlenbrechung, (teorya refrakcyi astronomicznéj) O wyznaczeniu pierwiastków biegu komet i planet. Karliński. O elektryczności; Cwiczenia praktyczne w doświadczeniach fizycznych dla kandydatów stanu nauczycielskiego; Fizyka doświadczalna; dr. Kuczyński. Organografia roślinna, dr. Czerwiakowski. Chemia nieorganiczna, według teoryi o ruchach wirowych atomów, chemia farmaceutyczna; chemia analityczna, dr. Czyrniański. Cwiczenia w pracowni chemicznéj, mineralogia, dr. Alth. Historya naturalna zwierząt kręgowych. dr. Nowicki. O sposobach uproszczenia całek wielokrotnych wraz z zastosowaniem do rozwiązania kilku zadań z jeometryi wyższéj i mechaniki analitycznéj; O galwanometryi. Docent dr. Zajączkowski. Dalszy ciąg dynamiki ciał stałych, a mianowicie nauka o ruchu wirowym i dośrodkowym; Nauka o atrakcyi, dr. Kowalczyk. Archeologia sztuki średniowiecznéj. Wiadomości wstępne O zabytkach słowiańskich i polskich przedchrześciańskich. Chara-

kterystyka średniowiecznych stylów: budownictwa, rzeźby i malarstwa, Docent Józef Łepkowski,

— Krakowskie Towarzystwo naukowe wydało w drukarni uniwersyteckiéj szósty i ostatni tom „Botaniki szczególnéj" professora i b. rektora wszechnicy Jagiellońskiéj I. R. Czerwiakowskiego; tom ten zawiera opis roślin *wielopłatkowych* i *kołojajnikowych*.

— Dnia 11 b. m. listopada r. b. odbyło się zwyczajne posiedzenie Komissyi archeologicznéj wileńskiéj, pod przewodnictwem rzeczywistego członka Mikołaja Malinowskiego, z powodu choroby prezesa hr. Eustachego Tyszkiewicza.

Po zagajeniu posiedzenia, przewodniczący rzecz. czł. Mikołaj Malinowski polecił sekretarzowi naukowemu odczytać napisany przez siebie artykuł, obejmujący sprawozdanie z niewydanéj dotąd korrespondencyi księcia Janusza Radziwiłła z ojcem swoim księciem Krzysztofem hetmanem w w. ks. lit. Ten zbiór listów pisanych w przeciągu czasu od r. 1596 do 1602 włącznie, staraniem hr. Eustachego Tyszkiewicza przepisany w liczbie wielu innych z rękopismów znajdujących się w cesarskiéj publicznéj bibliotece w Petersburgu, poruczony był do przejrzenia i krytycznego ocenienia rz. czł. Mikołajowi Malinowskiemu jako najgłębiéj znającemu dzieje możnego niegdyś w kraju domu Radziwiłłów obu dzielnic Nieświeżskiéj i Birżańskiéj. Jakoż wywiązując się z danego sobie polecenia autor w zajmującym obrazie skreślił okoliczności i odsłonił ukryte sprężyny, które wpływały na ukształcenie charakteru i umysłu księcia Janusza Radziwiłła, który dwa razy w życiu swojém był sprawcą domowych zamieszek i smutnym przez to imię swoje dla potomności otoczył rozgłosem. W dalszym ciągu autor opisał, zawsze opierając się na własnoręcznych jego listach, pobyt jego w Bazylei, w Szwajcaryi, gdzie pod przewodnictwem wielkich teologów Jakóba Grineusa, i Amanda Polanusa umocnił się w zasadach kalwinizmu, którego gorliwym wyznawcą był jego ojciec książę Krzysztof. Ze Szwajcaryi młody podróżnik udał się do Strazburga, gdzie się połączył ścisłemi węzłami przyjaźni z Danielem Naborowskim, znakomitym podówczas poetą. Długi ustęp w zajmującém opowiadaniu swojém poświęcił sprawozdawca pobytowi młodego księcia na dworze króla francuzkiego Henryka IV, gdzie czas jakiś poświęcał się naukom w założonéj przezeń akademii wojskowéj w Paryżu; wdrożył się tam do konnéj jazdy pod przewodnictwem słynnego wówczas Pluvinela i nareszcie brał czynny udział w wyprawie Henryka IV pod miastem Amiens

w Pikardyi, zajętém przez Hiszpanów. Tam, podczas oblężenia przytomnością umysłu i z osobistém narażeniem się ocalił życie ulubieńca królewskiego barona de Thermée, co mu zjednało wielkie względy u króla francuzkiego tak, że gdy opuszczał dwór jego dla udania się do obozu arcyksięcia austryackiego Macieja pod Presburgiem, wręczył mu list do ojca jego, w którym wielkie pochwały jego dzielności i całemu postępowaniu oddawał. W dalszym ciągu sprawozdania swojego autor opisuje udział księcia Janusza Radziwiłła w wyprawie przeciwko Turkom, przedsięwziętéj z rozkazu cesarza austryackiego Rudolfa II, pod sprawą brata jego arcyksięcia Macieja w celu zdobycia stolicy Węgier Budy, która się wówczas w ręku wyznawców Islamu znajdowała. Podczas pobytu w Tyrnau w Węgrzech, książę Janusz miał zręczność spotkać się z panią Uzelini, matką żony sławnego Bekiesza, którego syn otrzymał od króla Stefana wieczyste nadanie majętności Owanty i podczas swéj małoletności znajdował się pod opieką księcia Krzysztofa Radziwiłła. Udzieliwszy kilka szczegółów o przewagach kontyngensu polskiego w wojsku austryackiém przeciw Turkom, autor opisuje powrót księcia Janusza Radziwiłła do kraju, zimą 1598 roku, gdzie się wkrótce miał odegrać dramat zatargi domowéj dwóch rodzin, Chodkiewiczów i Radziwiłłów, ubiegających się o rękę księżniczki Słuckiéj Zofii Olelkowiczówny, który się zakończył zaślubieniem jéj przez księcia Janusza Radziwiłła. Szczegóły tego ciekawego ustępu dziejów rz. czł. M. Malinowski obiecał skreślić w drugiéj części swego sprawozdania na przyszłém posiedzeniu.

Następnie po załatwieniu spraw bieżących i odczytaniu korrespondencyi, sekretarz naukowy odczytał spis ofiar, które wzbogaciły muzeum w miesiącu ubiegłym.

— Mauzoleum, czyli kaplica dla zwłok ś. p. generała Dąbrowskiego, wzniesiona obok kościoła parafialnego w Winnéj-Górze, wsi leżącéj pod samym Miłosławiem, darowanéj niegdyś generałowi za zasługi i należącéj dziś jeszcze do Bronisława Dąbrowskiego, syna tego wojownika, jest już prawie na ukończeniu. Kaplica ta jest w stylu gotyckim, formy sześciennéj. Ściana przytykająca do kościoła parafialnego mieści wchód z téjże świątyni prowadzący. Naprzeciw mieści się sarkofag marmurowy z zwłokami nieboszczyka. Nad nim w oknie gotyckiém herb Dąbrowskich. W niszach dwu ostatnich ścian są: w jednéj ołtarz M. Boskiéj, a w drugiéj przeciwległéj, na podstawie marmurowa urna z sercem generała, które krótko przed swym skonem polecił w Winnéj-Górze pozostawić na przypadek, gdyby zwłoki jego gdzieindziéj przeniesione być miały.

— Towarzystwo naukowe w Krakowie. Oddział nauk moralnych Towarzystwa odbył 1 b. m. zwyczajne posiedzenie miesięczne, na którém p. Józef Szujski odczytał przekład greckiéj tragedyi Eschylesa *Agamemnon*. Znany professor Józef Kremer wybrany został na rok przyszły przewodniczącym w zarządzie oddziału, zastępcą jego prof. uniw. Julian Dunajewski, a sekretarzem Jan hr. Załuski. Na rok więc przyszły zachodzi w zarządzie ta tylko zmiana, że zastępcą przewodniczącego zostaje w miejsce p. Wiktora Kopfa p. Dunajewski.

— W d. 2 b. m. i r. odbyło się posiedzenie komissyi balneologicznéj w Towarzystwie naukowém krakowskiém. Na posiedzeniu tém Dr. Zieleniewski odczytał rozprawę: „Kilka słów o zakładzie ziołoparowych kąpieli w Krakowie", dołączając historyczne dowody wielkiego rozpowszechnienia łaźni w dawnych wiekach, a następnie jéj zaniechania u nas i u postronnych.

Następnie komissya zajęła się załatwieniem spraw bieżących, a mianowicie:

Odezwy dyrekcyi kraj. skarb. wzywającéj komissyą o udzielenie swych uwag co do nadesłanéj borowiny krynickiéj na kąpiele tego rodzaju tamże udzielane; co do sposobu składania raportów przez lekarzy praktykujących w Krynicy w czasie pory zdrojowéj, oraz co do projektowanego wprowadzenia w Krynicy kąpieli szpilkowych.

Odpowiedzi urzędu ekonomicznego w Drohobyczy w przedmiocie żądanego przez komissyą balneol. rozbioru borowiny w Truskawcu używanéj.

Prośby Rady ogólnéj krakowskiego Towarzystwa dobroczynności o wyjednanie u zarządów zdrojowych mineralnych krajowych, aby z takowych dozwolono korzystać ubogim chorym pod opieką Towarzystwa dobroczynności zostającym.

Zawiadomienia zarządu krajowego w Iwoniczu o zadosyć uczynieniu wskazanych przez kom. balneol. naglących tam potrzeb, t. j. sprawienia maszynki pomysłu Dra Żebrawskiego do ogrzewania wody mineralnéj przeznaczonéj do picia, zaopatrzenia tamtejszych łazienek w wygrzewacze do bielizny kąpielnéj i postarania się o przyrząd do nasycania wody iwonickiéj gazem węglowym.

Ogłoszenia o otworzeniu zakładu żętycznego w Ernsdorf (przy Bilsko).

Nakoniec ocenieniem nadesłanych przez p. Szalaja *pastylek ze solą szczawnicką* (ze zdroju Magdaleny) wyrabianych w tamtejszém zdrojowisku.

— Kuryer Wileński ogłosił zajmujące studyum o Salomonie Rysińskim, pierwszym zbieraczu przysłów polskich. Podajemy takowe w całości: „Przeznaczając człowieka do życia towarzyskiego i społecznego Opatrzność, wlała weń szlachetne uczucie miłości, aby go wiązało nietylko ze współczesnemi, lecz z przeszłemi i następnemi pokoleniami ludzkiéj rodziny. Bez spójni tego łańcucha, „który się rozciąga, ale nie pęka", jak pięknie powiada poeta, doskonalenie się ludzkości byłoby niemożliwém. Gdyby każdy poczynając i kończąc na sobie drogę rozwoju moralnego, nic nie odbierał od innych i nic innym nie pozostawiał w spuściznie z pracy swojego ducha, niktby się nie zdołał wywyższyć nad zwierzęta. Owóż dlaczego, już to przeświadczeniem rozumowém, już nieokreślonym popędem serca, wiedziona myśl ludzka na skrzydłach poezyi, w niezmierne przyszłości obszary z upragnieniem się zapuszcza, z pracą usilną każdą chociażby drobną okruszynę przeszłości wynaléźć i upamiętnić pragnie. Nie wezmą nam tedy za złe czytelnicy, że mając pod ręką kilka przez p. M. Malinowskiego piszącemu udzielonych dokumentów, ściągających się do jednego z niepoślednich pisarzy wieku XVII, nad nim z tego powodu ich uwagę zatrzymamy przez chwilę.

Salomon Rysiński, podług owoczesnego zwyczaju przezwany z łacińska Pantherus, dzisiejszemu pokoleniu znany jest niemal jedynie, jako mityczny pierwszy zbieracz przysłów polskich w początku XVII stulecia. Przysłowia te, wespół z dodanemi do niektórych odpowiedniemi łacińskiemi, wyszły po raz pierwszy w r. 1618 w Radziwiłłowskiém miasteczku Lubczu nad Niemnem, drukiem Piotra Blastusa Kmity, p. t.: „Przypowieści polskie, przez Salomona Rysińskiego zebrane, centuryj ośmnaście" (Proverbiorum a Salomone Risinio collectorum centuriae decem et octo. Lubecae ad Chronum, in officina Petri Blasti Kmitae. Anno Domini MDCXIIX. Decembribus horis. 4to). Nie jestto, ściśle mówiąc, surowy wybór jednego rodzaju zręcznych odlewów myśli ludu, bo i postronnych rzeczy domieszano tu sporo tak samo, jak czynił najpierwszy tego rodzaju pisarz, zbieracz przypowieści greckich Erazm z Rotterdamu. Dzieło Rysińskiego rozpada się właściwie na trzy odrębne części: na przysłowia żyjące dotąd niemal całkowicie w ustach ludu, od którego je wzięto; na zdania moralne po książkowemu kształtem przysłów robione, lub tłumaczone z języków obcych; wreszcie na wyrażenia poetyczne. Pierwsze naturalnie przeważają w książce i naturalnie jest ich najwięcéj z ust ludu, a kilka zaledwie czysto szlacheckich, jak np.: In diebus Eliae, kiedy zakstą kije —Kto dał, a Gasztołd wziął.—Comes de Wątory, gdzie

jeden kmieć a trzy dwory: i parę innych. Z drugiego szeregu dość będzie przytoczyć kilka dla okazania źródła: Głos ludzki, głos boży, z łacińskiego. — Kto mieczem wojuje, od miecza ginie, z Pisma św. — Nie każdy weźmie po Bekwarku lutniej, Kochanowskiego. Czosnek ma głowę białą, a ogon zielony, także Kochanowskiego.—Za króla Olbrachta wyniszczona szlachta, z Bielskiego. Tu także należą podobno przez samego Rysińskiego wierszem układane sentencye, jak np. z Wirgiliusza:

Miło tam patrzeć, gdzie w nadobném ciele,
Cnota z rozumem gniazdo sobie ściele.

albo też następna:

Dobry dyament złotem osadzony,
W roztroppém sercu umysł uniżony,

i inne podobne. Do trzeciego szeregu należą takie wyrażenia, jak np. Norymberskiéj roboty pachołek. — Bąki strzela. —Ej, siano, siano! mogliby je księża jeść.—Ej, toć łże, aż ściany schną, i t. p. Układając dzisiaj zbiór przysłów, należałoby poprzestać na pierwszym szeregu; położone tu w drugim, a tém bardziéj w trzecim, jako innego rodzaju wyroby umysłowe, gdzieindziéj odnieśćby wypadło.

Cóżkolwiekbądź, nie zamierzamy przez to uszczuplać Rysińskiemu istotnéj zasługi. Myśl pierwszego przełamania trudności w zbieraniu przysłów rozproszonych szeroko, „jak strzały w polu rozstrzelane", zgromadzenie ich do jednego „kołczana", i wydanie takiéj książki w pierwiastkach wieku XVII, była to podówczas rzecz całkiem nowa w piśmiennictwie polskiém. Co większa, praca to była nader szczęśliwa; bo książka podobna nawracała umysły od szkolarskich łamigłówek, przez dysputy kościelne namnożonych, do rodzimego, zdrowego źródła wiedzy. Powzięcie i wykonanie takiéj myśli w owéj epoce, wyrównywało niemal śmiałości pierwszego, co się odważył wystąpić w parę wieków przeciwko poetyce Boala! Jeden z nich i drugi to samo mieli na widoku: wyprowadzić umysły z manowców szkolarstwa i pokazać, że też bez „poważnego Tostata" można się utwierdzić w przekonaniu, „po ciemnéj nocy, że jasny dzień wschodzi". Ale zuchwały zamach, który tak szczęśliwie dla szkoły romantycznéj uwieńczył się zupełném powodzeniem w dziedzinie poezyi, nie powiódł się Rysińskiemu w krainie myślenia. Reforma poezyi znalazła przygotowane umysły i potężny zastęp zwolenników; Rysiński wystąpił zawcześnie i sam jeden niemal pozostał. Wprawdzie pierwsze wrażenie sprawione jego książką musiało być niepospolite. W ciągu lat kilkunastu od wydania jéj w Lubczu, do r. 1634 ukazały się po rozmaitych miastach dawnéj Polski aż trzy nowe edycye „Przypo-

wieści". Jedna bez wyrażenia roku i miejsca druku, wynaleziona i opisana przez K. Wł. Wójcickiego w „Bibliotece Warszawskiej" (1842, lipiec), musiała snadź za życia autora się ukazać przed r. 1625, gdyż tylko przerabianiem jéj przez niego dla zgotowania nowéj edycyi, dają się zaspokajająco tłumaczyć liczne różnice pomiędzy tém, a tuż idącém wydaniem z r. 1629. Ta trzecia z kolei edycya wyszła w Lublinie nakładem Jakóba Wirowskiego i należy do mniéj rzadkich; nie rozwodząc się więc nad nią, wspomnimy tylko, że z niéj zrobiony został przedruk w „Bibliotece Starożytnéj" Wójcickiego. Wreszcie czwarte i z dawniejszych ostatnie wydanie ukazało się w r. 1634; egzemplarze jego znajdujące się w Toruniu i w warszawskiéj bibliotece głównéj, zanotował W. A. Maciejowski w swojém „Piśmiennictwie Polskiém". Prócz tego w tymże czasie Grzegórz Knapski wydając „Adagia Polonica" w r. 1632, niemal całkowicie zbiór Rysińskiego do pracy swojéj wcielił. Powodzenie to jednak było tylko chwilowe. Knapski i Andrzej Maksymilian Fredro, a zwłaszcza ten ostatni usiłowali rozwijać po raz pierwszy przez Rysińskiego podjętą myśl filozofii narodowéj; ale napróżno już wołał Fredro, że „polszczyzna ma nie ubogi skarb dobrego rozumu". Bałamutny systemat owoczesnego kształcenia umysłów, kazał nad proste prawdy przenosić potworną tkanicę syllogizmów rogatych i nierogatych; uczył nie rozmyślać, ale szermierzyć słowami. Przeciwko całemu obozowi szerzycielów umysłowego nieładu, co mogły poradzić dwie lub trzy skromne książczyny? Dzieło Rysińskiego rzucone w poniewierkę, przez lat dwieście leżało zapomniane; dopiéro w ostatnich czasach, kiedy rozbudzenie się umysłów otwarło oczy na drogę właściwą, przyszła kolej do podniesienia i ocenienia słusznego téj pracy. Gorliwy o rozpowszechnienie pamiątek krajowych p. K. Wł. Wójcicki przedrukował na nowo „Przypowieści" Rysińskiego w r. 1843, w drugim tomie swojéj „Biblioteki starożytnéj pisarzy polskich". Dzięki jego staraniu nagrodzoną została ujma przez płochość zrządzona i każdy dziś może posiadać owe dzieło, które imieniowi Rysińskiego zasłużoną w piśmiennictwie zyskało pamięć.

Oprócz téj książki Salomon Rysiński był jeszcze autorem dwóch innych, dziś niemal całkiem nieznanych. Jedna z nich co do kolei wyjścia starsza od „Przypowieści", nosi tytuł: „Niektóre psalmy Dawidowe, częścią poprawione, częścią znowu przełożone na stare noty od Salomona Rysińskiego. Za zleceniem starszych. W Lubczu nad Niemnem, w drukarni Piotra Blasta (Kmity). R. P. MDCXIV". Jestto broszura ćwiartkowa, złożona z dwóch arkuszy druku, a przypisana w wierszowanéj dedykacyi orędownikowi autora Krzysztofowi Radzi-

wiłłowi. Ponieważ dawny przekład psalmów używanych do śpiewania w kościele ewangelickim, nie odpowiadał w niektórych miejscach wymaganiom, Rysiński podjął się ich „skorygowania", a owocem téj pracy była obecna książeczka. Zamieszczono w niéj tym sposobem na nowo przełożone wyjątki z psalmu 1, 10, 27, 32, 42, 100, 119, 137, 143, a nadto dodano w końcu alfabetyczny spis wszystkich psalmów. Egzemplarz téj niesłychanie rzadkiéj książki znajduje się w bogatym księgozbiorze Kórnickim. Po raz pierwszy opisał go i treść podał Maciejowski w swojém „Piśmiennictwie"; lecz o wartości poetycznéj dzieła nic nie powiada, a to właśnie byłoby najciekawszém dla czytelnika, bo dotąd jedynie z cudzych wiedzieliśmy powtarzanek, że Rysiński „potrzebnie i szczęśliwie, tłumaczył owe psalmy, a co większa „do najcelniejszych poetów i dowcipów swego wieku", miał należeć. Myśmy nie mieli sposobności oglądania tego białego kruka bibliograficznego i dla tego nie możemy dać zupełniejszego o nim sprawozdania.

Ostatniém, znaném dotąd jedynie z tytułu drukowaném dziełem Rysińskiego, są „Pomniki wystawione rozmaitym osobom" (Monumenta diversis personis posita), wydane w Lubczu nad Niemnem w małéj ćwiartce, a obejmujące około pięciu arkuszy druku. Daty ich wyjścia około r. 1615 bliżéj oznaczyć nie możemy, gdyż jedyny wiadomy nam tego dziełka egzemplarz, który posiada biblioteka M. Malinowskiego w Wilnie, bardzo mocno przez wpływ czasu został nadwerężony. Jest to zbiór napisów grobowych, ułożonych głównie dla członków rodziny Radziwiłłowskiéj dzielnicy Birzańskiéj, lub dla spokrewnionych z nią osób, oraz dla kilku znakomitszych mężów i niewiast wyznania helweckiego. Rysiński pisał je tak, jak na kamieniu wyryte być miały, wielkiemi głoskami; szykował wyrazy dosyć zręcznie, aby w oko nadobnie wpadały. Wszystkie są po łacinie; język poprawny, ale w wielu miejscach zbyt szumny. Zbywało Rysińskiemu na owéj zwięzłości, która nagrobki starożytne zaleca: wiele z nich grzeszy niewymierną obszernością, a w zbytku pochwał, brakło miejsca na szczegóły biograficzne, a nawet na dane pod względem czasu i miejsca, mogące je uczynić pożytecznemi. Oprócz tego zbioru w Lubczu wydrukowanego, zostawił w rękopiśmie Rysiński nagrobek dla królowéj Barbary, niezmiernie długi; dla Andrzeja Wolana i dla Piotra Kochlewskiego. W tych dwóch ostatnich więcéj niż w którychkolwiek innych jest wzmianek o ważniejszych zdarzeniach życia tych jego przyjaciół i współdomowników w usługach Radziwiłłom.

Obie te ostatnie książki do tego stopnia są rzadkie, że aż do ostatnich czasów powtarzano tylko ich tytuły z powierzchownéj

wzmianki Andrzeja Węgierskiego, zamieszczonéj w jego: Systema historicis chronologicum Ecclesiarum Slavicarum. (Utrecht, 1652. str. 454).

Innych dzieł Salomona Rysińskiego w druku nie znamy. Przypisywano mu wprawdzie wydaną bezimiennie broszurę: „Satyr na twarz Rzeczypospolitéj“ oraz „Kancjonał“ wydany w Krakowie; ale to było omyłką. Co do „Satyra,“ Majorkiewicz i inni poszli snadź za katalogiem biblioteki Kajetana Kwiatkowskiego, w którym pod N. 1426 temu pisarzowi naszemu autorstwo niesłusznie przyznano. Załuski już wiedział, iż prawdziwym autorem tego pamfletu był wprawdzie Rysiński, ale inny, noszący imię Jędrzeja. Data wydania broszury (1640), w lat piętnaście po śmierci Salomona, którego imienia ukrywać już wówczas nie było potrzeby, stwierdza to Załuskiego świadectwo. Późniejsze poszukiwania okazały, iż „Satyr na twarz Rzeczypospolitéj,“ oraz inna podobnéj treści broszura nosząca napis: „Satyr na twarz dworską,“ jednego są pióra. Zawarte w tém ostatniém pisemku alluzye, a zwłaszcza wyrazy dedykacyi niejakiemu Dobiesławowi z Cieklina Cieklińskiemu, gdzie się wyraźnie podpisał „we wszystkim życzliwy y powolny sługa And. Rysiński,“ wskazują, że nie Salomon był tych pism autorem, i że wydano je na gorąco, zaraz po napisaniu. Tym tedy sposobem tytuł pierwszego zbieracza przysłów polskich do autorstwa powyższego pamfletu, ostatecznie upada.—Tak samo rzecz się ma z „Kancyonałem,“ który przypisany został Rysińskiemu przez Bentkowskiego i Siarczyńskiego. Ewangelicy, drukując wierszowany przekład Psałterza Dawidowego w Gdańsku 1618 roku, zamieścili tam 25 psalmów starego przekładu z Kancyonału krakowskiego; a ponieważ niektóre z tych właśnie psalmów były w części lepiéj na nowo przełożone przez Rysińskiego, więc z książeczki jego wydanéj przed kilką laty w Lubczu, przenieśli owe poprawki do swego dzieła. Ztąd w przedmowie do Psałterza powstała następująca wzmianka: „Psalmy, które były z dawna w Kancyonale krakowskim, a jest ich tu w liczbie 25, położyliśmy tak, jako są potrzebnie i szczęśliwie skorygowane od szlachetnego pana Salomona Rysińskiego, któremu z téj miary wieleśmy winni.“ Owoż, dopóki broszura Rysińskiego była nieznaną, łatwo było z tych nieco zagmatwanych wyrazów wziąść pochop do przypisania mu wydawnictwa jakiegoś kancyonału, którego nikt widzieć nie mógł, bo go na świecie nie było. Lecz dzisiaj, kiedy ta książeczka jest znaną, dosyć jest porównać przytoczoną wzmiankę z opisem „Niektórych psalmów,“ wydanych w Lubczu, ażeby genealogię przedruków wyświecić.

Co jednak jest nierozwikłaném dla nas w zawodzie pisarskim Salomona Rysińskiego, to zdanie o nim, iż do najcelniejszych poe-

tów i dowcipów swego czasu miał należeć. Trudno przypuścić, ażeby owe tłumaczone przezeń urywki psalmów, mogły posłużyć za osnowę tak rozgłośnego sądu; ale niemniej trudno uwierzyć, ażeby choć ułamki, choć tytuły utworów, które wsławiły pisarza, nie doleciały z pomników współczesnych do nas. Z dwojga wybierając jedno, przypuścić musimy, że nie wszystko, co pisał Rysiński, jest nam znajomem chociażby tylko z imienia. Znalezione w archiwum Radziwiłłowskiem, obok części autografu przysłów, dwa własnoręczne przez Rysińskiego pisane nagrobki, o których wspomnieliśmy powyżej, dozwalają wnioskować, że i coś więcej pozostać mogło. Klęski publiczne lat późniejszych, a co smutniejsza, nadmiar żarliwości wychowanców jezuickich, za cnotę poczytujących niszczenie wszystkiego, co pochodziło od różnowierców, do których należał Rysiński, jak uczyniły niedostępnemi jedne, tak mogły aż do tytułu zatracić inne dzieła tego pisarza. Cóżkolwiekbądź, to pewna, iż należał Rysiński do mężów jasnéj głowy, których coraz już skąpiéj było w wieku XVII-ym. Współczesne, a w druku dotąd nieznane świadectwo, nasuwa nam się właśnie, ażeby potwierdzić to mniemanie, jakieśmy o twórcy pomysłu zbierania przysłów, słusznie powziąć byli powinni. Jest to list ks. Balcera Krośniewicza, zboru ewangelickiego w Wilnie ministra, którego imię w dziejach reformacyi stało się głośném z powodu przygody, jakiéj doznał podczas najścia uczniów akademickich i motłochu ulicznego na ów zbór w r. 1611. Owoż Krośniewicz, w liście swoim pod datą 22 stycznia 1621, do księcia Krzysztofa Radziwiłła hetmana polnego lit., wystosował następujące wyrazy: „Z Pragi list pisany 1 sierpnia 1620 r., od księdza Sculeta kaznodziei króla czeskiego, oddany mi dopiero świeżo i to otworzony. Summa tego listu: prosi, aby mógł mieć co pewnego strony reformacyi kościoła na Litwie i w Polscę, a to dlatego, że już miał pod prasą drugą dekadę roczników kościelnych, gdzie też miał pisać o reformie kościoła polskiego i litewskiego. Ja zaiste w téj rzeczy wyznaję moję niewiadomość. Zda mi się, iż imćpan Rysiński do téj rzeczy najsposobniejszy: obdarzył go Pan Bóg nad innych, jako inszemi dary, tak znajomością dziejów kościelnych, a zwłaszcza w Polsce i na Litwie. Proszę, oświecone mości książę, racz wasza książęca mość onego użyć, aby to jak należy wypracował." List ten, który z makaronizmów łacińskich wyłuszczony, bez żadnéj zresztą innéj zmiany podajemy, wymownie świadczy, iż Salomon Rysiński nauką swoją stał w mniemaniu współczesnych wyżej nad wielu innych zapaśników w szeregach różnowierczych. Co do wzmiankowanego w tym liście projektu pisania dziejów kościoła reformowanego, ten prawdopodobnie nigdy nie przyszedł do skutku, a pracę polecaną Rysińskie-

mu, wykonał w lat kilkadziesiąt potém wspomniany już przez nas Andrzej Węgierski. Być jednak może, iż Rysiński z polecenia książęcego pracował nad tém, ale go śmierć przed ukończeniem dzieła zaskoczyła. Gdyby choć okruszyny jakieś z tego, ocalawszy wynaleźć się dały, byłoby to zaiste prawdziwą dla miłośników pamiątek dziejowych pociechą.

Lecz jeżeli większa część pism Rysińskiego jest krainą niezwiedzaną przez dzisiejsze pokolenie, żywot jego całkiem był dotąd nieznany. Uchylmy zeń choć rąbka zasłony.

Pochodził Salomon z rodziny szlacheckiej, pieczętującej się herbem Ostoja; ale Niesiecki domu tego nie zapisał w swojéj „Koronie," chociaż przytacza tam innych Rysińskich herbu Leszczyc, pomiędzy którymi nie przepomniał wymienić jednego z nich Piotra, jako autora dzieła: „Censura in axiomata Joannis Hussi haeretici" (Kraków 1524). Zdaje się, iż niedaleko odbiegniemy od prawdy, jeżeli powiemy, że nie brak wiadomości, ale niechęć do protestantów wykluczyła Salomona Rysińskiego i dom jego z aktów szlacheckich, ręką pobożnego zakonnika układanych. Gdyby potrzeba było dowodów takiego postępowania, moglibyśmy dla przykładu przytoczyć z tego, co mamy przed oczyma, że znakomity tłumacz ksiąg Cycerona „O starości" i układacz „Apophtegmatów." Bienjasz Budny, był także szlachcicem; ale dla wstrętu do nazwiska brata jego, głośnego aryanina Szymona, dom ten również nie dostał się do dzieła Niesieckiego. Należy oddać tę sprawiedliwość Jezuitom, iż w późniejszym czasie wyleczyli się byli z tego dziwnego uprzedzenia, i własna ich drukarnia wileńska wydawała dzieło Bienjasza Budnego, a członek ich Towarzystwa ks. Kazimierz Naruszewicz sadził się na pochwały téj książki; ale to nastąpiło dopiero później: w epoce Niesieckiego jeszcze się namiętności były nie ukołysały. Zresztą nie tyle o herbowną kolebkę zasłużonego zbieracza przysłów, ale o fakt historyczny nam idzie.

Ani daty, ani miejsca urodzenia Rysińskiego wynaleźć nam się nieudało. W „Przypowieściach" jego godna uwagi, że wszystkie niemal wzmianki o miejscowościach odnoszą się do imion geograficznych Małopolski. Tak np. są tu przysłowia: Gorsza sprawa niż w Osieku; — Chudzino z Kleparza, niech ci Bóg przysparza; — Jeden Wieden, Praga maga, Kraków miasto; — Bywały: był trzykroć na Beskicie, a czwarty raz na Krępaku zbijał; — Już mu i sędomierski doktor nie pomoże; — Lepsze jajca od Dunajca niżeli od Wisły. Toby pozwalało może wnioskować, iż jak współdomownik jego na dworze Radziwiłłowskim, Andrzej Wolan, pochodził z Wielko-

polski, tak Rysiński był rodem gdzieś z pod Krakowa lub z Czerwonéj Rusi i tam się może wychował.

Z późniejszych kolei jego życia, Fr. Siarczyński w „Obrazie wieku panowania Zygmunta III" powiada, iż był Rysiński kaznodzieją ewangelickiego zboru i nauczycielem szkoły w Gdańsku; ale zkąd tych szczegółów zaczerpnął, nie podaje wiadomości. Rzecz jednak niezawodna, iż zaszła tu omyłka co do osób, i jak innego Rysińskiego dzieła, tak znowu innéj osoby żywot przypisano Salomonowi. Przemawia za tém ta okoliczność, że i w przedmowie do Psałterza gdańskiego w r. 1618, i w przytoczonym wyżéj liście Krośniewicza w r. 1621, i nakoniec w pismach z r. 1625, które poniżéj kładziemy, Rysiński wszędzie jest nazywany p a n e m, nie zaś k s i ę d z e m, jakby musiał się nazywać z rzeczy swojego predykatorstwa. Przeciwko pracy w Gdańsku nad „Przypowieściami" ,które miał jakoby począć zbierać około roku 1580. mówi to, iż żadnych szczególnych przysłów wielkopolskich w jego zbiorze niema; a niepodobna przypuścić, iżby bogaty w dobitne wyrażenia i zdania język flisów wiślanych, mógł wymknąć się przed jego uwagą, gdyby o te sfery ocierał się w Gdańsku. Przeciwko dalekiemu mieszkaniu w tém mieście pruskiém, zwłaszcza w późniejszych latach, powstaje nadto ta okoliczność, że wszystkie pisma swoje Rysiński wydawał w Lubczu nadniemeńskim, który bezpośrednich stosunków z Gdańskiem niemiał, a którego drukarnia, jak to widać ze spisów bibliograficznych, głównie do wytłaczania dzieł miejscowych autorów protestanckich była przeznaczoną, zawiadowcy zaś jéj nietylko z tytułu, który nosili, lecz i w rzeczy saméj byli „typografami Radziwiłłowskiemi." Podanie więc Siarczyńskiego upaść musi. Lecz zachodzi pytanie: zkądże coś podobnego urość mogło? Oto ztąd niezawodnie, że w luterskiéj szkole gdańskiéj była owemi czasy katedra języka polskiego, z któréj właśnie od r. 1590 przemawiał znakomity poeta Jan *Rybiński*. Omyłka więc z pośpiechu lub winy przepisywacza powstała, osadziła tam *Rysińskiego!*

Tymczasem z innéj strony, rozmaite dane pozwalają nam z zupełném prawdopodobieństwem wnioskować, iż Salomon Rysiński żywot swój od młodu spędził na Litwie. Uciekamy się tu znowu do jego „Przypowieści." Jeżeli usuniemy z nich rzeczy książkowe i noszące na sobie charakter dworski, to postrzeżemy, iż większa część przysłów właściwych, zamieszczonych w jego dziele, żyje dotąd w ustach nadniemeńskiego ludu, w mowie białoruskiéj. Co większa, znaczna jest w książce liczba przysłów, które w dalszych okolicach są nieznane, jak np.: I koń nad siły nie skoczy.—Jeden za ośmnaście, a drugi za dwadzieścia bez dwu.—Dziecię nie płacze, matka nie wie

czego potrzebuje.—Dawszy rękoma, biegaj nogoma.—Baba z wozu, kołom lżéj.—Bogaty się dziwi, czém się chudźma żywi.—Wczorajszego dnia szuka i t. p. Że te przysłowia weszły do książki Rysińskiego drogą przerabiania z mowy tutejszego ludu, na to mamy w samém dziele dowody. Jedne z nich stają się zupełnie jasnemi dopiero przez porównanie z oryginałem; tak np. „Ni siadło, ni padło," brzmi u ludu dosłownie: „Ni siadło, ni padło, podaj babo sadło," a wyszydza nieuzasadnione domaganie się czegokolwiek. Inne odnoszą się do okoliczności miejscowych jak np.: „Święty to grosz, co *kopy* (60-ciu groszy) strzeże.—Jednemu *pop* się podoba, a drugiemu *popadja*.—Kto dał to dał, a *Gasztołd* wziął.—Kwapi się by *popówna* za mąż." Niektóre wreszcie dla rymu lub z powodu trudności przetłumaczenia, zachowały nawet wyrazy białoruskie; np. „Nie w czas dają chleba *husto* (sowicie), kiedy zębów w gębie pusto.— *Harkawemu* rzeczy dostaje," to jest: źle wymawiającemu głoskę R nakształt Ł, starczy mowy. Inne nieznajome ludowi tutejszemu przysłowia, a zwłaszcza historyczne i do pewnych miejscowości przywiązane, łatwo się dały zebrać po dworach, gdy stosunki szlachty mieszkającéj po najodleglejszych okolicach były bardzo blizkie i częste.

Okazuje się tym sposobem, jak sądzimy, dowodnie, że Rysiński przez czas długi mieszkał na Litwie; ale zachodzi kwestya, gdzie mianowicie przebywał? Z epoki jego życia przed r. 1614, śladów widocznych tego nie mamy. Lecz skoro zważymy, iż Rysiński nie był duchownym; skoro ujrzymy, jak na to są poniżéj dowody, iż nie miał swojéj lipy jak Jan Czarnolaski; skoro nareszcie będziemy mieli na oku, iż podówczas nie znano honorarjów, lecz przeciwnie autorowie dopłacali księgarzom za drukowanie dzieł swoich: to za niezawodne uznać przychodzi iż pozostawało mu do wyboru tylko orędownictwo możnych, jeżeli chciał rzemiosłu literackiemu żywot poświęcić. Zgodziwszy się zaś na to, już naturalną koleją staje otworem dla zdolnego kalwina Rysińskiego dwór Radziwiłłowski, gdzie wszystko odznaczające się zdolnościami, a sprzyjające reformie religijnéj, uprzejme podówczas znajdowało przyjęcie. Późniejsze oczywiste fakta z jego życia, jak najmocniéj popierają ten wniosek. W r. 1614 Rysiński dedykuje swoje „Niektóre psalmy" Krzysztofowi Radziwiłłowi hetmanowi polnemu lit., a w poświęceniu tém wynurza mu wdzięczność za opiekę. Około tegoż czasu pisze i wydaje swoje „Pomniki", których osnową jest wspomnienie świetnych przewag domu Radziwiłłowskiego i jego klientów. W r. 1618, snadź z dworem hetmańskim, był Rysiński w Wilnie, bo z tego miasta pod dniem 30 października

pisał dedykacyę swoich „Przypowieści" (Vilnae, propridie Cal. Nov.) W r. 1620 widzimy go w okolicach nadniemeńskich, bo Krośniewicz piszący z Wilna do Nieświeża, mówi o nim, jako o zostającym w bliskich relacyach z księciem hetmanem, i daje znać o naturze tych relacyj, gdy powiada: „Racz Wasza Książęca Mość onego użyć, aby to jak należy wypracował". Z listu Naborowskiego pod datą 1625 widzimy, iż w tych dobrach Radziwiłłowskich, gdzie umarł Rysiński, nie wszystkie jego rzeczy znajdowały się przy nim. Wreszcie tenże list powiada, że testament zmarłego był złożony „u pana Wolana"; a ten Wolan był nie kto inny, jak jeden z synów sławnego Andrzeja, zamieszkały zapewne w dobrach dziedzicznych Bijuciszki w Oszmiańskiem i także do klientów Radziwiłłowskich należący (1). Z tego wszystkiego widoczna, iż przynajmniej od r. 1614 aż do śmierci, Rysiński wciąż zostawał niedaleko Krzysztofa Radziwiłła; że zaglądając niekiedy do Wilna, jako tutejszego ogniska reformy, zresztą pędził na starość żywot koczowniczy, przejeżdżając z jednych dóbr książęcych do drugich w charakterze „panem bene merentibus" posiadającego rezydenta. Ten ostatni sposób życia Rysińskiego, troskliwe donoszenie książęciu Krzysztofowi o najdrobniejszych szczegółach jego choroby, a wreszcie cześć, jaką mu po śmierci hetman polny zalecił wyrządzić, wskazuje, iż stosunki ich były o wiele starsze, aniżeli wykryte fakta podają. Nie taimy przed sobą, iż tego wszystkiego za mało, ażeby w umyśle czytelnika utworzyć dokładny obraz żywota męża, co ma prawo do jego pamięci. Zrobiliśmy jednak co mogli.

Pisma współczesne, które obok rzeczy drukowanych posłużyły nam do zarysowania powyższego ustępu, ściągają się właściwie do ostatnich chwil ziemskiej pielgrzymki Rysińskiego. Przenoszą nas one nad bolesne łoże jego śmierci, do niewielkiego nadniemeńskiego miasteczka Dolatycz, leżącego w owoczesnem województwie nowogrodzkiem, o lekką milę od Lubcza. Treść ich prosta a wzruszająca zniewala nas do podania tych dokumentów w całości.

Pierwszy co do kolei czasu jest list Daniela Naborowskiego, pisany na dwa dni przed Rysińskiego zgonem. Ten Naborowski był jednym z gorliwych stronników reformy, zamożnym właścicielem obszernej kamienicy w Wilnie i folwarku Kiejdzie pod Wilnem, członkiem poselstwa do Anglii, gdzie pisał sliczne wiersze na piękne oczy królowej Elżbiety, a zarazem był dworzaninem Radziwiłłowskim, co

(1) „Pokornie proszę, abyś W. M potomstwu mojemu miłościwym panem być raczył", pisze Andrzej Wolan do Janusza Radziwiłła niedługo przed swoim zgonem, w r 1609. (Pisma hist. Balińskiego, III, 130).

samo z siebie jest ciekawém i rzuca światło na charakter owych zapomnianych dziś stosunków szlachty z możnowładcami. Owoż taki „bene natus et possesionatus", poeta i dworak, w liście do księcia Krzysztofa, z dóbr jego Dolatycz datowanym 16 listopada 1625, odzywa się następującemi słowy:—„O panu Rysińskim w. ks. m. oznajmuję, iż dnia onegdajszego czwartkowego, 13 nowembra w wieczór, u stołu w swéj izbie siedząc, poczęła mu głowa mylić, że wziąwszy kieliszek, począł go palić przy świecy. Potém położywszy się, mowę zamknął, i ręce począł wyciągać, jakoby się umywał. W godzinę zaś, jakoby o ósméj na półzegarzu, przypadła apopleksya ciężka, oraz że ryknął, jakoby mu co z głowy spadło, a wtém zaraz i konwulsya epileptyczna ciężka. Zawołałem zaraz pana Dawida i księdza Romanowskiego, rozumiejąc go być w agonii i czyniło się wszystko według powinności. Lecz konwulsye epileptyczne tak moc wzięły, że nim pół nocy minęło, miał blizko 40 paroksyzmów ciężkich i strasznych, już prawie agoniował. Zaczem złożyliśmy go na słomę, czekając, żeby Panu Bogu ducha oddał w oném swojém męczeniu; jednak przetrwał aż nazajutrz. Zaczem księżna jejmość wiedząc o tém, kazała go znowu na łóżko włożyć i nakrywszy dobrze, polewkami napawać, co się czyniło; lecz za każdą razą, kiedy mu się co w gębę wlało, paroksyzm ciężki przypadał, który tak go wyciągał, że aż słyszeć było kiedy kości trzeszczały; tych dotąd już było 60. Zgoła wszystkie cechy agonii aż do tego czasu. Oczy tylko trochę jeszcze wesołe, ze których jednak często łzy idą: i kiedy się przy nim psalmy śpiewają i napominania czynią, żrzać iż zrozumiewa i chciałby co przerzec, ale niemoże. Czasem westchnie, a w gorącu srogiém leży, piersiami ustawicznie od tamtego czasu robiąc, a skończyć dotąd nie może. Pan Bóg sam niech nad nim się zmiłuje; jakoż czekamy co godzina wyroku Pańskiego nad nim. Apopleksya z epilepsyą złączona: już był wszystek zdrętwiał, a po tém rozegrzaniu rozkisł się jak masło, funkcye wszystkie z przerwaniem naprężenia ustały.."

Smutny to zaprawdę i serce rozdzierający obraz; lecz nie mogliśmy oszczędzić czytelnikowi bolesnego wrażenia ze względu na ważność tego listu. Dokument ten dowodzi, że Rysiński musiał być w wielkiem zachowaniu u Krzysztofa Radziwiłła, kiedy za potrzebne uważano tak szczegółowo pisać do przemożnego magnata i wysokiego dostojnika rzeczypospolitéj, o człowieku, co ani mieniem, ani świetnemi godnościami nie słynął. Pod względem obyczajowym znajdujemy tu rys ciekawy: chorego kładziono na ziemi w przekonaniu, iż to mu ulży i przyspieszy skonanie. Pomiędzy ludem prostym w okolicach nadniemeńskich, ten przesąd uchował się dotychczas w całości; a po-

dówczas, jak widzimy, był niecoby najświetlejszym nawet głowom. Wreszcie, i to najważniejsza, piękny tu jest obraz głębokiéj wiary Rysińskiego której nieuczcić z głębi serca nie można, chociaż jego przekonań religijnych nie podzielamy. Z pism i czynów publicznych owego czasu, reforma dla nieuprzedzonego nawet umysłu nienazbyt zaletnie się przedstawia. Widzimy tłumne a hałaśliwe zjazdy, przedsięwzięte z zamiarem porozumienia, a kończące się na poswarkach: widzimy zapalczywe chodzenie w zapasy z katolicyzmem po książkach, a obok tego haniebne ucieczki z placu, gdy na żywe słowo dysputy wyzywano; widzimy wreszcie, jak dla służebnych korzyści obóz różnowierczy coraz więcéj liczy zabiegów, aż wreszcie mało kto na Litwie pozostaje wiernym swéj religijnéj chorągwi. Tu przeciwnie, mamy przed oczyma jednego z wyznawców ewangelickiego kościoła, w chwili najuroczystszéj, a widzimy go jak staje przed Bogiem „zalany łzami a z okiem wesołém"! Pod zimnym a twardym pancerzem do zewnętrznych stosunków przywdzianym, miały więc i tutaj siedlisko górne uczucia, które gdzieindziéj szepcących modlitwę na stos prowadziły.

Wspomniony w powyższym liście Naborowskiego pan Dawid był to lekarz wileński, Francuz rodem, ale całkiem stutejszały, Detéleues. Pismo tego ostatniego do Krzysztofa Radziwiłła pod datą 22 listopada 1625 r. donosi o śmierci Rysińskiego w następujących wyrazach: „O panu Rysińskim oznajmuję, że się dekretowi boskiemu nad nim dosyć stało. Albowiem we czwartek pierwszy po świętym Marcinie (t. j. 12 listopada) po południu, przy stole siedzącego paraliż zaraził i mowę mu odjął; potém w nocy miał kaduk ciężki ze 40 razy. Pamięci jednak nie stracił i baczenia, bo się to pokazywało z gestów jego, które on ukazował na napominanie księdza Romanowskiego, zezwalając na jego utwierdzenie w wierze i nadziei, o artykułach różnych. Polewki i wody rozmaite pił, aż już w niedzielny wieczór więcéj połykać nie mógł, a przecie kaduk miewał, choć nie tak ciężko i nie tak gęsto, aż do saméj śmierci. A z poniedziałku na wtorek na świtaniu o 6téj godzinie, przy panu Naborowskim i przy księdzu Romanowskim modlitwy odprawującym i przy inszéj młodzi, cichusieńko w Panu zasnął po rozstękaniu ciężkiém."

Otoczony tedy przyjaznemi osobami wśród pociech religijnych i pragnień sprawienia mu ulgi, „zasnął cichusieńko w Panu" Salomon Rysiński w Dolatyczach dnia 18 listopada 1625 roku. Podawana dotąd w dziejach literatury na wiarę zwichniętego podania Węgierskiego (obiit 14 maj. Decemb. 1626), data jego śmierci jest mylną.

Ciekawą i charakteryzującą swój czas jest wiadomość o rzeczach, które miał przy sobie w Dolatyczach Rysiński. Wspomniony wyżéj Naborowski w liście do Radziwiłła, takie o tém podaje szczegóły: „Rzeczy jego przy inszych swoich kolegach popieczętowałem, których tu z sobą nie wiele miał, tylko dwie skrzynki i sam wszystkiego tego inwentarz uczyniwszy, tamże w skrzyni snadź chował. Ja niczego nie tykałem się, ale wszystko pochował. Pieniędzy było w chustę zawitych czerwonych złotych 80: monety, któréj snadź 200 złotych, kilką dni posłał mu był przez Żyda pan Barszczykowski, nie ruszono, ale tak zachowaną z workami w skrzyni, zapieczętowałem. To, co jéj wydał sam nieboszczyk, płacąc panu Winholdowi za korzenie, o tém czeladnik wie. Koni jest cztery, szabla oprawna, czarka, kubek, łyżka srebrna i inne drobiażdżki, z których i szpilka nie poszła na stronę. Teraz potrzeba łaski w. ks. mości i informacyi strony pogrzebu jego; bom umyślił, ciało w trumnę włożywszy, w kościele w Dolatyczach postawić, aż do nauki w. ks. mości. Testament u pana Wolana".

Krzysztof Radziwiłł, jak widać z późniejszego rozporządzenia, polecił złożyć zwłoki Rysińskiego w Lubczu, gdzie za życia dzieła jego były drukowane, a może i sam przemieszkiwał. Wkrótce po pogrzebie, książę w rozkazie danym Stryszce urzędnikowi swojemu w Lubczu zalecił: „Nad grobem pana Rysińskiego kazać słup murowany wywieźć, wysoki i chędogi i tablicę marmurową weń wprawić, a z dołu koło tego słupa kurhan chędogi usypać". Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, iż ów „słup wysoki i chędogi" był wyprowadzony nad sierocą mogiłą poety i „kurhan chędogi" usypany. Dziś jednak próżnobyś szukał tego w Lubczu: wątła karta przeżyła budowę z kamieni i teraz daje o niéj świadectwo. Wszelkie pamiątki protestantyzmu tak dalece gorliwie tu wypleniano, że ślad najmniejszy drukarni, szkoły, zboru, a nawet cmentarza ewangelickiego nie pozostał w Lubczu. Nad miasteczkiem zapanowała ciemnota i pamięć do grobów przytulona oniemiała.

— Główny redaktor Roczników Gospodarstwa Krajowego Edmund Stawiski, ogłosił na rok 1864 następny prospekt: „Roczniki Gospodarstwa Krajowego w roku przyszłym 1864, wychodzić będą jak dotąd, w połowie każdego miesiąca, w poszytach od 8 do 10 arkuszy, w formacie dotychczasowym.

Pismo to mieścić w sobie będzie: rozprawy o ekonomii politycznéj, statystyce, wychowaniu elementarném, zakładach i stowarzyszeniach dobroczynnych, kommunikacyach krajowych; wiadomości

o odkryciach, wynalazkach, spostrzeżeniach w naukach przyrodzonych; artykuły traktujące wszelkie pojedyncze gałęzie gospodarstwa i przemysłu wiejskiego: opisy gospodarstw krajowych i obcych; poglądy na stosunki i życie ludności rolniczéj, rozbiory dzieł, korrespondencye, wiadomości handlowe, obserwacye meteorologiczne.

Lubo redakcya zapewniła sobie spółpracownictwo niektórych osób, pracy naukowéj, lub rolnictwu poświęcających się, pragnąc jednak nadać pismu temu jak największą wszechstronność, zaprasza do spólnéj pracy, tak ludzi naukowych specyalnych, jak ziemian, przyjmować będzie udzielane jéj, we wskazanych wyżéj kierunkach, prace przydatne dla jéj pisma i płacić za nie, na żądanie autorów, stosownie do zasad przez nią przyjętych, lub podług szczegółowéj z autorami umowy.

Aby jednak Roczniki odpowiedzieć mogły podwójnemu swemu zadaniu, tojest: aby mogły być nietylko zbiorem wiadomości naukowych, ale zarazem organem myśli, potrzeb i dążeń ekonomicznych kraju, potrzebują oprzeć się nie tylko na pracach naukowych, ale na stałéj peryodycznéj korrespondencyi z wszystkich okolic kraju.

Do tego współudziału i pomocy zaprasza redakcya ziemian troskliwych o powodzenie interesów rolniczych, bo bez niéj, pismo to grzeszyćby musiało jednostronnością i nie wyczerpywać swojego założenia".

— W rzadkiéj broszurze u Fr. Cezarego w Krakowie 1662 r. drukowanéj, p. n.: „Łódka kościoła Chrystusowego po burzliwém świata pływająca morzu i t. d." przez ks. Sebastyana Stawickiego zakonu św. Pawła na Jasnéj Górze kaznodzieję: z powodu zaprowadzenia w Warszawie zakonu Paulinów, na odwrotnéj karcie tytułowéj znajdujemy, sztychowany obraz miasta Warszawy, obwiedzionéj murami warownemi i basztami. Obraz ten obejmuje właściwie Stare-Miasto, z zamkiem i przyboczuemi ulicami. W środku stoi ratusz który zapamiętamy jeszcze na *Starym-Mieście* Rysunek nie jest dokładny, bo zaledwie można rozpoznać biegłemu oku ulice i niektóre kościoły.

— *Towarzystwo Przyjaciół nauk w Poznaniu* — W ciągu dwóch ostatnich miesięcy t. j. listopada i grudnia, wydział nauk historycznych i moralnych poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół nauk odbył cztery posiedzenia, a mianowicie: 2, 16, 30 listopada i 14 grudnia.

Na pierwszém posiedzeniu oddano komissyi złożonéj z pp. Szulca, Lekszyckiego i Kierskiego nadesłane dwie książki dla ludu polskiego, do rozpoznania i ocenienia czy takowe mogą być policzone

do dzieł mających tworzyć bibliotekę popularną i czy zasługują na nagrodę. P. Kazimierz Szulc zawiadomił wydział, iż prof. Roepell w Wrocławiu przygotował do druku pisma Kallimacha, których nie wydaje dla braku nakładcy, i zapytał czy obszerna ta praca prof. Roepla nie może być drukowaną nakładem Towarzystwa. Sekretarz zarządu odpowiedział, że kassa tak jest obecnie wyczerpaną, iż niepodobna przedsięwziąść żadnego większego wydawnictwa. P. Kierski Emil przeczytał rozprawę historyczną: „Żywot Prymasa Wojciecha Baranowskiego dr. 1548 r."

Znaczną część drugiego posiedzenia zajęła dyskusya o cennych zbiorach starożytniczych i bibliograficznych znajdujących się w W. Ks. Poznańskiem, a następnie projekt tablicy pamiątkowéj dla braci Jana i Jędrzeja Śniadeckich, która ma być umieszczona na frontonie kościoła parafialnego w Żninie, miejscu urodzenia zasłużonych mężów. Wydział polecił p. Lekszyckiemu ułożyć napis na tablicy według danych wskazówek, i wręczyć takowy przed następném posiedzeniem p. Krzyżanowskiemu, który na ten cel ofiarował tablicę. W końcu p. K. Jarochowski odczytał rozprawę naukową: „Opis bitwy Kliszowskiéj (1702), oparty na badaniach archiwialnych, a mianowicie na badaniach czerpanych z archiwum kopenhagskiego.

Na trzeciém posiedzeniu p. Lekszycki zawiadomił wydział, że stosownie do jego zlecenia, napis tablicy pomnikowéj Śniadeckich ułożył w następujący sposób:

Braciom
Janowi i Jędrzejowi
Śniadeckim
Professorom uniwersytetu Wileńskiego
Mężom krajowi zasłużonym
Urodzonym w Żninie
d. 29 sierpnia 1756
d. 30 listopada 1768
zmarłym:
w Jaszunach d. 9 listopada 1830
w Wilnie d. 29 kwietnia 1838
Ziomkowie.
Staraniem Towarzystwa Przyjaciół nauk
Poznańskiego
1863.

Napis ten oddany już został p. Krzyżanowskiemu do wykonania.

Sprawozdanie o dwóch książkach ludowych odłożono do następnego posiedzenia, ponieważ przeczytał je dopiero jeden członek komissyi do ocenienia wybranéj. P. K. Szulc zdał sprawę z pierwszéj części: „Historyi polskiéj dra. Jakóba Caro, będącéj dalszym ciągiem dzieła prof. Roepella i doprowadzonéj do roku 1386, do czasu ślubu Jadwigi z Jagiełłą.

Na czwartém posiedzeniu p. Kierski w imieniu komissyi wyznaczonéj do ocenienia wspomnionych książek ludowych wniósł, że

Towarzystwu nie wypada przychylić się do życzenia autora, gdyż jedna z nich jakkolwiek jest zbiorkiem dobrych, pożytecznych dla ludu a nawet pięknych drobnego rozmiaru utworów, zawiera jednak prawie same tylko obce rzeczy, dawniéj już drukiem ogłoszone; druga zaś któréj przedmiotem jest żywot ŚŚ. Cyrylla i Metodego, ani treścią ani formą nie zaleca się do czytania naszemu ludowi. Wydział zgodził się z powyższą opinią komissyi. Posiedzenie to było ostatnie w tym roku i dlatego miano dokonać na niém wyboru zarządu wydziałowego na rok następny, to jest przewodniczącego i sekretarza, z powodu wszakże małéj liczby obecnych członków, wybór odłożono do pierwszego posiedzenia w roku przyszłym, wyznaczonego na pierwszy poniedziałek po Trzech Królach, to jest 11 stycznia, na którém rozdany będzie członkom drugi Rocznik Towarzystwa. Druk tego Rocznika został już ukończony.

---

† Dnia 21 listopada r. b. umarł w Białymstoku Michał Kulesza nauczyciel rysunków przy tamecznem gimnazyum i instytucie panien. Urodzony w okolicach Wilna, w uniwersytecie wileńskim skończył kurs nauk. Poświęciwszy się wyłącznie malarstwu, przebywał jako prywatny nauczyciel najczęściéj w Pińszczyznie, głównie w Łunnie, dobrach księcia Hieronima Lubeckiego, gdzie wykonał krajobrazy ze znakomitym talentem. Powołany przez księcia Worońcowa, malował widoki Peterhofu i Carskiego sioła. Dla towarzystw naukowych, geograficznego i archeologicznego tamże, wykonywał rozmaite prace, mianowicie odmalował szacowny swoją starożytnością Iskorość na Wołyniu, gdzie były kąpiele Olgi. Objął obowiązki nauczyciela rysunków naprzód w Krożach, następnie w Grodnie, w ostatku w Białymstoku, gdzie umarł w 68 roku życia. Wydał znaną i cenioną przez artystów Tekę Michała Kuleszy, przedstawiającą w pierwszym poszycie krajobrazy miejscowe.

† Dnia 10 grudnia r. b. zakończył życie doktor medycyny Ludwik Gąsiorowski autor ważnego dzieła: „Zbiór wiadomości do historyi Sztuki Lekarskiéj w Polsce od najdawniejszych czasów aż do najnowszych" 4 tomy.

† Dnia 24 grudnia, w sam dzień wigilii Bożego Narodzenia, odbyła się w kaplicy Najświętszéj Maryi Panny kościoła parafialnego św. Krzyża przy ulicy Krakowskie Przedmieście msza żałobna za spokój duszy ś. p. Stanisława Jachowicza, męża równie dobrze zasłużonego piśmiennictwu ojczystemu, jak i społeczności naszéj. Bógdajby pamięć jego długie lata przeżyła, jako nagroda za zacne prace i poświęcenie, którym się odznaczał w ciągu całego żywota swego.

Biblioteka Główna Warszawska

*Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.*

# DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

## w Obserwatoryum Astronomicznem

## WARSZAWSKIEM.

## *Listopad*, 1863.

# Listopad, 1863.

## Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie $1^{h}14^{m}45^{s},7$ czyli w łuku 18°41′25″,5 na wschód względem południka paryzkiego.

| Dnia | Odmiany księżyca | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0° | | | | | TERMOMETR stustopniowy | | | | | Wilgotność średnia dzienna | STAN NIEBA | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | Ilość wody co do wysokości w milim. | | Wysok. wody na Wiśle | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | średni dzienny | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | średni dzienny | | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 godz. wiecz. | 10 godz. wiecz. | 6 god. rano | 10 god. rano | 4 godz. w. | 10 godz. w. | z dészczu | z śniegu | stóp | cali |
| 1 | | 746.60 | 747.28 | 747.32 | 748.00 | 747.300 | + 6°.1 | + 9°.6 | + 8°.3 | + 6°.4 | + 7°.60 | 81.2 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PdZ2. | PdZ2. | PdZ1. | PdZ1. | | | 1 | 5 |
| 2 | | 747.99 | 747.91 | 747.81 | 746.88 | 747.647 | + 5.4 | + 7.2 | + 7.3 | + 4.2 | + 6.03 | 92.7 | poch. dés. | pochm. | pochm. | pochm. | PdZ2. | PdZ1. | PdW1. | PdW1. | 0.5 | | 2 | 0 |
| 3 | ☾. | 744.30 | 745.44 | 746.71 | 750.14 | 746.649 | + 6.4 | + 8.0 | + 9.3 | + 7.5 | + 7.80 | 86.0 | poch. mgł. | poch. mgła | pochm. | pochm. | Pd1. | PdZ1. | Pd1. | Z2 | | | 2 | 4 |
| 4 | Apog. | 752.78 | 752.10 | 750.54 | 749.52 | 751.235 | + 2.3 | + 7.2 | + 8.0 | + 9.1 | + 6.65 | 71.8 | pogodny | pogodny | pr. pochm. | pochm. | PdZ1. | PdZ3. | PdZ3 | PdZ3. | | | 2 | 3 |
| 5 | | 748.18 | 747.98 | 749.56 | 750.77 | 749.122 | + 11.6 | + 2.3 | + 9.8 | + 7.5 | + 10.30 | 87.5 | poch. dés. | pochm. | pochm. | poch. dés. | PdZ3. | Z4. | Z3. | Z3. | 3 0 | | 2 | 1 |
| 6 | Rów. | 748 03 | 747.80 | 746.53 | 749.70 | 747.890 | + 5.1 | + 5.4 | + 3.6 | + 0.2 | + 3.57 | 96.5 | poch. dés. | pochm. | pochm. | pogodny | Z2. | Z2. | Z2. | Z3. | 1 0 | | 2 | 1 |
| 7 | | 745.33 | 744.80 | 745.47 | 744.08 | 744.420 | + 1.1 | + 3.0 | + 1.7 | + 1.7 | + 1.88 | 87.2 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Z4. | Z4. | Z4. | Z3. | 1.0 | 2.0 | 1 | 11 |
| 8 | | 743.92 | 745.28 | 746.60 | 748.45 | 746.062 | + 1.7 | + 2.9 | + 3.1 | + 0.0 | + 1.93 | 81.5 | pochm. | pochm. | pochm. | pogodny | Z3. | Z2. | Z2. | Z2. | | 0.5 | 2 | 0 |
| 9 | | 750 28 | 752.58 | 753.99 | 755.90 | 753.187 | — 3.1 | + 1.6 | + 1.4 | + 0.4 | + 0.08 | 97.2 | pog. mgła | pog. mgła | pogodny | pochm. | Z1. | Z1. | Z1. | Pn1. | | | 2 | 8 |
| 10 | | 756.38 | 756.87 | 754.99 | 751.91 | 755.040 | — 1.6 | — 0.2 | — 0.5 | — 3.3 | — 0.65 | 97.0 | pog. mg. l. | pogodny | pochm. | pogodny | Z1. | Pd1. | PdW1. | PdW2. | | | 3 | 9 |
| 11 | ☽. | 744.94 | 743.80 | 742.54 | 742.08 | 743 305 | — 0.7 | + 1.3 | + 3.0 | + 2.7 | + 1.58 | 95.8 | pochm. | poch. dés | poch. mg. | pochm. | PdW2. | PdW2. | PdW1. | PdW1. | 2.0 | | 3 | 10 |
| 12 | | 739.93 | 741.80 | 745.07 | 749.77 | 744.112 | + 2.9 | + 4.2 | + 4.3 | + 0.8 | + 3.05 | 96.2 | poch. dés. | mgła gr. | poch. mg. | pogodny | W1. | PnZ1. | PnZ1. | PnZ1. | 5.5 | | 3 | 5 |
| 13 | | 755.19 | 757.58 | 759.09 | 759.69 | 757.890 | — 0.7 | — 0.1 | — 0.1 | + 0.8 | — 0.02 | 100.0 | poc.mg. g. | mgła gr. | mgła gr. | pochm. | Z1. | Z1. | Z1. | Pd1. | | | 3 | 5 |
| 14 | | 759.01 | 759 80 | 758.58 | 758.34 | 758.932 | — 0.9 | + 1.8 | + 3.3 | + 1.2 | + 1.35 | 96.0 | poc.mg. g. | poch. mg. | pogodny | pogodny | Pd1. | PdZ1. | Z1. | Z1. | | | 3 | 6 |
| 15 | Perig. | 757.54 | 757.71 | 757.60 | 758.02 | 758.442 | — 0 5 | + 2.0 | + 5.0 | + 3.0 | + 2.45 | 96.0 | pog. mgła | pogodny | napół pog. | pochm. | Z1. | PdZ1. | Pn1. | PnW1. | | | 3 | 3 |
| 16 | | 757.47 | 757.98 | 757.37 | 756.79 | 757.400 | + 4.6 | + 6.1 | + 7.4 | + 6.5 | + 6 15 | 97 8 | poch. mgł. | pochm. | pochm. | pochm. | PnW1. | PnW1. | PdZ1. | PdZ1. | | | 3 | 0 |
| 17 | | 754.55 | 756.16 | 755.50 | 756.18 | 755.598 | + 6.4 | + 6.0 | + 7.1 | + 4.4 | + 5.98 | 98.0 | poch. mgł. | mgła gr. | pochm. | pochm. | Pd1. | Pd1. | Z1. | Z1. | | | 2 | 10 |
| 18 | ☽. | 755.79 | 756.73 | 757.08 | 758.72 | 757.080 | + 3.5 | + 5.6 | + 6.7 | + 7.1 | + 5.72 | 99.0 | pochm. | pochm. | poch. mg. | dészcz dr. | PdZ2. | PdZ1. | Z2. | Z2. | | | 2 | 9 |
| 19 | Rów. | 759.86 | 760.98 | 761.07 | 761.70 | 760.902 | + 7.5 | + 8.1 | + 7.7 | + 6.7 | + 7.50 | 92.0 | mg.dés.dr. | poch. mg. | poch. mg. | pochm. | Z1. | Z1. | Z1. | Z1. | 0.7 | | 2 | 10 |
| 20 | | 760.36 | 760.32 | 759.64 | 758.58 | 759.725 | + 5.2 | + 7.6 | + 5.0 | + 2.9 | + 5 18 | 92.5 | pochm. | pogodny | pogodny | pogodny | Z1. | PdZ1. | PdZ1. | PdZ1. | 0 5 | | 3 | 0 |
| 21 | | 756.66 | 756.69 | 755.16 | 754.13 | 755.660 | + 0.8 | + 2.5 | + 5.8 | + 1.0 | + 2.52 | 94.7 | pog. mg. l. | pog. mg. l. | pog.mg.sł. | pogodny | PdZ1. | PdZ1. | PdZ1. | PdZ1. | | | 3 | 0 |
| 22 | | 752.09 | 752.33 | 750 93 | 751.22 | 751.642 | + 0.0 | + 1.9 | + 4.4 | + 2.1 | + 2.10 | 93.5 | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PdZ1. | PdZ1. | PdZ1. | PdZ2. | | | 2 | 11 |
| 23 | | 750.38 | 750.33 | 749.43 | 749 31 | 749.862 | + 3.3 | + 4.3 | + 5.0 | + 4.2 | + 4.20 | 92.8 | pochm. | dészcz dr. | pochm. | dészcz dr. | Pd1. | Pd2. | Pd1. | Pd1. | 2.0 | | 2 | 9 |
| 24 | | 749.93 | 751.75 | 753.35 | 755.03 | 752.515 | + 4.6 | + 6.0 | + 6.4 | + 5.2 | + 5.55 | 97.0 | dészcz dr. | pochm. | poch. mg. | pochm | Z2. | Z1. | Z1. | Z1. | 10.0 | | 2 | 8 |
| 25 | ☾. | 755.71 | 757.03 | 757.99 | 759.20 | 757.482 | + 5.8 | + 6.3 | + 6.3 | + 4.4 | + 5.70 | 93.0 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Z1. | Z1. | Z1. | PdZ1. | | | 2 | 7 |
| 26 | | 760.78 | 762 39 | 764.23 | 765.89 | 763.322 | + 4.8 | + 5.9 | + 5.9 | + 4.8 | + 5.35 | 93.2 | pochm. | poch. mg. | mgła gr. | dészcz | PnZ1. | Pn1. | Pn1. | Pn1. | 1.0 | | 2 | 6 |
| 27 | | 768.49 | 770.04 | 769.73 | 769.93 | 769.548 | + 2.2 | + 3.2 | + 2.5 | 0.0 | + 1.97 | 88.0 | pochm. | poch. mg. | pochm. | pochm. | PdW1. | PdW1. | PdW1. | PdW1. | | | 2 | 6 |
| 28 | | 768.57 | 765.44 | 766.67 | 766.85 | 767.632 | — 0.9 | — 0.9 | 0.0 | — 0.7 | — 0.62 | 89 7 | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PdW1. | PdW1. | PdW1. | PdW1. | | | 2 | 4 |
| 29 | | 768.14 | 766.63 | 766.53 | 766.29 | 766.898 | — 1.9 | — 0.7 | — 0.9 | — 1.1 | — 1.15 | 93.5 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PnW1. | PnW1. | PnW1. | PnW1. | | | 2 | 4 |
| 30 | Apog. | 765.54 | 766.58 | 766.57 | 766.28 | 766.242 | — 0.5 | — 0.1 | + 2.2 | + 0.8 | + 0.60 | 95 5 | poc. śnieg | pochm. | pochm. | pochm. | PnW1. | W1. | W1. | PdW1. | | 0.1 | 2 | 4 |
| Śr. | | 754.16 | 754.75 | 754.72 | 754.31 | 754.795 | + 2°.68 | + 4°.30 | + 4°.63 | + 3°.02 | + 3°.66 | 92.7 | | | | | | | | | 27.2 | 2.6 | 2 | 8 |

| | m. | d. | l. |
|---|---|---|---|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 754.735 | 27 | 10.570 |
| Najwyżej barometr dochodził d. 27 o g. 10 r. | 770.01 | 28 | 5.356 |
| Najniżej — — d. 12 o g. 6 r. | 739.93 | 27 | 4.017 |
| Średnia dzienna zmiana barometru | 3.50 | | 1.55 |
| Największa dzienna zmiana barometru d. 12—13 o godz. 10 rano | 15.78 | | 6.99 |
| Średnia wysokość barometru jest większa o | 4.15 | | 1.84 |
| od stanu normalnego z 37 lat poprzedzających | 750.59 | 27 | 8.734 |
| Średnia temperatura listopada wynosi | + 3°.66 C. | | + 2°.92 R. |
| Największe ciepło dochodziło d. 5 o g. 10 r. | + 12.3 „ | | + 9.82 „ |
| Najmniejsze — — d. 29 o g. 6 r. | — 1.9 „ | | — 1.52 „ |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | 2.14 „ | | 1.71 „ |
| Największa zmiana dzienna temperatury d. 4—5 o godz. 6 rano | 9.3 „ | | 7.44 „ |
| Średnia temperatura listopada jest większa o | 2.45 „ | | 1.96 „ |
| od stanu normalnego z 37 lat poprzedzających | + 1.21 „ | | + 0.97 „ |

Termometrograf wskazał: Maximum: + 13°.37 C. = + 10.7 R. d. 5 po połud.
Minimum: — 3°.75 „ = — 3.0 „ d. 9 z rana.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 92.7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 4.0 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 1.8 setnych większa od normalnéj (90.9).

Ilość wody spadłéj z deszczu co do wysokości wynosi: 27.2 mil. czyli 12.05 lin. par.; ze śniegu 2.6 mil. czyli 1.15 lin. par.; razem wody z deszczu i śniegu 29.8 mil. czyli 13.20 lin. par. ilość ta jest o 13.0 mil. czyli o 5.75 lin. par. mniejsza od ilości wody jaka zwykle u nas w listopadzie spada (40.2 mil. czyli 17.80 lin. par.).

Dni pogodnych było 5, napółpogodnych 4, pochmurnych 21.
Dni deszczu 11 (d. 2, 5, 6, 7, 11, 12, 18, 19, 23, 24, 26).
— śniegu 4 (d. 7, 8, 16, 29).
— mgły 14 (d. 3, 9, 10, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 19, 21, 24, 25, 27).
Wichrów 2 Z.
Wiatrów mocnych 3 (1 PdZ., 2 Z.).
Wiatr panujący: Zachodni i Południowo-Zachodni.

Listopad r. b. był wilgotny, pogodniejszy i cieplejszy jak zwykle. Średnia temperatura całego miesiąca jest 2.92 stop. R. o dwa stopnie blizko wyższa od normalnéj (+0,97 R.). Najcieplejsze były pięć dni początkowe oraz ośm dni: 16, 17, 18, 19, 20, 24, 25, 26. Najzimniejsze dziesięć dni od d. 6 — 16 i cztery dni ostatnie: 27, 28, 29, 30. Największe ciepło dochodziło 10.7 stop R. d. 5 po południu. Największe zimno — 3 stop. R. d. 9 z rana; największa zmiana dzienna temperatury 7.4 stopni przypadła d. 5 — 6. Barometr utrzymywał się wyżéj jak zwykle; największa jego zmiana dzienna 7 linii nastąpiła z d. 12 — 13 przy niskiéj temperaturze i zmianie kierunku wiatru z Północno-Zachodniego na Zachodni. Cztery dni: 5, 6, 7, 8, odznaczały się silnemi wiatrami i wichrami Zachodniemi. W stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak: 2.9:6,3:20.8; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 5:4:21. Mgły panowały często i czyniły powietrze wilgotne, ztąd wilgotność średnia miesięczna 92.7 na 100 jest blizko o dwie setne większa od normalnéj (90.9). Deszcze lubo padały dość często, te jednak były nie obfite. Ilość wody z deszczu i śniegu wynosi tylko 13.2 lin. par. o czwartą część mniéj od ilości wody jaka u nas zwykle w listopadzie spada (17.8 lin. par.).

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stóp 1 cali 8.23 n.m. polsk.
Wysokość wody największa dochodziła d. 11..... stóp 3 „ 10 „ „
„ „ najmniejsza „ d. 1..... stóp 1 „ 5 „ „

Uwaga. W kolumnie wiatrów, liczby położone przy głoskach Z., Pd., Pn., W. i t. d. oznaczają moc albo siłę wiatru; i tak np. Z1 znaczy wiatr zachodni słaby, Z2 wiatr mierny, Z3 wiatr mocny, Z4 wicher gwałtowny.

# PRZYSZŁOŚĆ FILOZOFII.

PRZEZ

*F. Krupińskiego.*

---

## I.

Nasłuchaliśmy się dosyć, mianowicie po rozdziale szkoły Heglowskiéj narzekań o bankructwie rozumu, zaczém i filozofii tak, iż najgorliwsi jéj zwolennicy zaczęli wątpić o możności postawienia na przyszłość jakiegoś niezachwianego systemu, któryby się oparł zarówno mystycyzmowi tryumfującemu z tego upadku królowéj umiejętności, jako i grubemu sensualizmowi duszącemu swoimi wyziewami wszelki swobodny polot umysłu ludzkiego w krainy idei. Zwątpienie podobne objawiające się zawsze, ile razy nieomylność jakiego głośnego naczelnika szkoły zachwianą zostanie, a stworzony przez niego system okaże się niewystarczającym do zaspokojenia wszystkich zagadnień rozumu; zwątpienie, powtarzamy, takie zapanowało prawie powszechnie w szeregach ludzi myślących w ostatnich latach trzydziestu, i do dziś dnia jeszcze ubezwładnia wszelkie usiłowania dążące do podźwignienia filozofii. Kiedy dawniéj pod wyższém ukształceniem rozumiano ukształcenie filozoficzne, nastał inny kierunek modny, według którego należało na filozofią patrzyć z pewną dumą i pogardą, jako na umiejętność nieużytecznych do niczego, oderwanych zaciekań. Zapał

do nauk przyrodzonych, jako bezpośredni mających interes dla człowieka, cofnął od filozofii wszystkie prawie umysły dążące do materyalnego Eldorado, w którém obiecywano sobie i bez pomocy filozofii wycisnąć ambrozyą z roślinnego i zwierzęcego ciała komórek. A lubo praca materyalna i za nią idący byt dobry jest bezwątpienia najpierwszą dźwignią rozwoju duchowego, to znów takie ślimakowate przylgnięcie do danéj i dotykalnéj rzeczywistości, nie powinno wyłączać zajęcia się umiejętnością szukającą fundamentalnych praw téj właśnie rzeczywistości.

Zjawisko to zrodziło z jednéj strony niechęć do filozofii tak zwanéj spekulacyjnéj, jako goniącéj za oderwaniami i lubującéj się w nieujętym, Ogóle, Absolucie; z drugiéj sprowadziło dyletantyzm filozoficzny szermujący wyrazami z ostatniéj szkoły przejętemi, a w gruncie nie rozumiejący ani filozofii, ani jéj znaczenia dla nauk i społeczeństwa. Nastały czasy podobne do tych, jakie nam Hegel kreśli, gdy po Kancie i Fichtem znudzona oderwaniami spekulacyjnemi publiczność rzuciła się do *popularnéj*, tojest dla każdego innéj a łatwéj filozofii, lub raczéj modnego rezonowania. Fałszywi adepci filozofii podawszy ręce gawędziarzom i dramaturgom przedrwiwali w Niemczech i u nas z tyle głośnéj spekulacyi niemieckiéj i jéj naczelnika Hegla; ujrzawszy słabe jéj strony, zapomnieli o wielkich zasługach, jakie umiejętnościom w ogóle a filozofii w szczególe oddała. Tak najczęściéj płytka uczoność szydzi z tego czego nie rozumié, a gmin skłonny zawsze do śmiechu przyklaskuje swoim przemądrzałym przywódcom. Wygodna to była metoda uczenia drugich, nie kosztująca wiele pracy a dająca popularność w massach, które same nie rozumując wierzyły w powagę mistrzów swoich śpiewających *requiem* wszelkiéj ścisłéj, pozytywnéj i metodycznéj umiejętności.

Daléj szkoła religijna łudząca się czas długi mniemaną zgodą i tożsamością religii i filozofii, gdy ujrzała radykalizm teologiczny bezpośrednio z ostatniéj spekulacyi płynący, przestraszona jawną negacyą wszelkiego pozytywizmu religijnego, podniosła okrzyk zgrozy, śpiewając ze swojéj strony *pereat* filozofii. Daléjże więc

teologowie i filozofowie cofać się na stanowisko wiarowe przed otworzoną otchłanią przeczenia; miejsce trzeźwego i umiejętnego na świat poglądu zajęła mistyka, przyzywając pod swoje chorągwie wszystkich lgnących do jéj sercowéj dyalektyki.

Kiedy jednakże ten strach paniczny przeminął, ludzie kochający filozofią i znaczenie jéj dla społeczeństwa pojmujący zaczęli rozpatrywać się na zimno w ostatnim systemie spekulacyi, a znalazłszy niezaprzeczone jego wady, przestali bezwarunkowo hołdować Heglowi. Z tém wszystkiém system przez takiego olbrzyma myśli jak Hegel, postawiony, mając obok niedostatków wielkie zalety, musiał służyć jako punkt wyjścia dla tych, co się nie wyrzekli samodzielnego i niezależnego rozumowania. Tym sposobem utworzyła się szkoła idealno-realna, mająca zapełnić braki spekulacyi i skojarzyć rozerwany świat myślenia na dwa abstrakcyjne bieguny: idealizmu i realizmu. Wyznać jednak należy, iż szkoła ta jak każda eklektyczna mieszanina nie przywróciła należnego filozofii znaczenia, a sama naraziła się na niekonsekwencye płynące jak zwykle ze wszystkich teoryj mieszanych, półśrodkowych, godzących nieraz rzeczy najsprzeczniejsze. Powtarzanie zatém na rozmaite tempa téj saméj zwrotki, przerabianie i niby chemiczne łączenie różnych zasad, nieoryginalność i macanie, cechują filozofią tego kierunku.

Gdy zaś pewna umiejętność straci zaufanie nietylko u oświeconych dyletantów, ale i u prawdziwie uczonych swoich przyjaciół, wtedy pojawiają się projekta reformy, będące dopiéro macaniem i szukaniem drogi do wyjścia i snucia daléj nici z kłębka nieskończoności. Lubo takie projekta nie zawsze zaradzają złemu, nie uderzając w wadliwą stronę dotychczasowego rozwoju pewnéj umiejętności; zawsze jednak świadczą z jednéj strony o jéj potrzebie w ogóle umysłowéj pracy człowieka, z drugiéj o interesie, jaki tkwi w jednostkach mimo niepowodzeń i prze je do wdzierania się na szczyty ludzkiéj wiedzy.

Z poczucia więc niedostatku, o jakim była mowa, rodzi się ta rozprawa, która jak każda rozprawa nie wyczerpnie do dna przedmiotu, lecz tylko w ogólnych

rysach nadmieni, coby filozofia czynić powinna, czego się pozbyć, co przyjąć tak pod względem formalnym, jak i materyalnym, tak z uwagi na treść, jak i na metodę. W tym celu nakreślimy krótki przegląd historyczny ostatniéj spekulacyi filozoficznéj, t. j. szkoły Hegla i jéj po nim rozwinięcia; a następnie w części organicznéj co przedsięwziąć wypada, by filozofia odzyskała należne sobie miejsce w muz orszaku i więcéj zespoliła się z życiem ludzkości. Tak więc część pierwsza wskaże przebieg spekulacyi niemieckiéj, rzuci kilka uwag o rozwoju Heglowskiego systemu w Niemczech i u nas; druga będzie wyrażeniem naszego pojmowania reformy filozoficznéj.

Niejeden z czytelników wtajemniczonych w rozwój umiejętności, nie znajdzie tu oczekiwanych niespodzianek, ani genialnych rzutów myśli; ale ponieważ geniusze rzadko się rodzą, a zwyczajni pracownicy grunt im uprawiają: więc spełnimy powinność naszą, dorzucając do skarbca wiedzy tyle, na ile nas teraz stać było.

## II.

Filozofia starożytna skończyła na dualizmie nie mogąc pogodzić podmiotu z przedmiotem i sprowadzić téj pięknéj jedności i zgody, jakie spostrzegamy w świetnym okresie kultury greckiéj. Ani nowo-Platonizm ani scholastyka nie umiały pokonać sprzeczności tkwiących w duchu i jego stosunku do natury. Wprawdzie ta ostatnia inne miała zadanie aniżeli filozofia Greków; jednak i w niéj ta walka antynomiczna, nierozstrzygnięta, wystąpiła w sporach nominalistów i realistów. Jakkolwiek zatém spaczony, był wszakże i w scholastyce pewien interes dla filozofii; a zjawiska spostrzegane w całym ciągu dziejów filozofii, dałyby się wykazać i w tym ze wszech miar niefortunnym dla umiejętności okresie. Żywszy dopiero interes dla filozofii sprowadza wiek XVIty powołując w szeregi naukowych zapasów Bakona, Dekarta i Spinozę. Popęd dany myśleniu przez tych oryginalnych myślicielów nie ustaje ani na chwilę aż do dni naszych. Stosownie do zewnętrznych okoliczności i pierwiastku położonego za

fundament, stosownie do punktu wyjścia Dekarta i Bakona, następnie Lejbnica i Locka, filozofia łamie się na dwie wielkie odnogi idealizmu i realizmu, będących tylko dalszym ciągiem, Platońskiéj ideologii i empiryzmu Arystotelesowego, nominalizmu i realizmu scholastyków. Pogodzenia tedy wewnętrznego między myśleniem a bytem nie doczekała się filozofia nawet w największym nowszych czasów mędrcu, Spinozie.

W Niemczech podjęto owo zadanie z nowym zapałem. Występuje Kant, ale jeszcze nie może sobie dać rady ze zjawiskiem i rzeczą w sobie czyli istotą (das Ding an sich). Przychodzi Fichte i w swojéj jaźni (das Ich), rozpuszcza niejaźń (das Nicht-Ich) czyli innemi słowy podnosi subjekt do absolutu i mimo arcysubtelnéj dyalektyki gubi się w coraz duszniejszych krainach idealizmu podmiotowego. Fichte nie mógł zadawalniająco oznaczyć stosunku jaźni do niejaźni, czyli podmiotu do przedmiotu. Schelling dopiero uznał jedność świata materyalnego i duchowego w absolucie, w którym owe przeciwieństwa zostały wprawdzie pochłonięte, lecz nie immanentnie i genetycznie z nim zrosłe: za co spotkał go od Hegla zarzut, iż ten absolut „to noc czarna, w któréj wszystkie koty szare". I znów występuje zadanie, podnosi je Hegel i rozwiązuje po swojemu. Ponieważ system jego jest ostatnim i najgłośniejszym spekulacyi płodem, ponieważ według założenia do obecnéj rzeczy należy, dłużéj się nad nim zastanowić wypada.

System Hegla nazwano absolutnym idealizmem, dla tego, że idea absolutna czyli bezwzględna, będąca duszą i pierwiastkiem wszystkich zrodzeń materyi i ducha, stanowi koronę, punkt ostateczny, do którego myślenie podmiotowe doszedłszy, staje się podmiot-przedmiotowym i osięga całą prawdę t. j. czuje się w jedności z tąż ideą. System ten jest bezwątpienia najdoskonalszym z tych jakie dotychczas postawiono, ponieważ z nadzwyczajną konsekwencyą przebiega wszystkie kierunki myśli, nie zostawia nic na boku i niewytłumaczonego; wciska się we wszystkie sfery wiedzy i z wielką ścisłością podciąga je pod swoje kategorye. Czy zaś wszystkie wnioski i następstwa jego są ostatniemi, czy tłumaczenie wielu zja-

wisk zadawalające, czy po tym systemie miała się już na zawsze zamknąć księga filozofii, jak mniemali bezwzględni jego wielbiciele, to rzecz inna i dziś negatywnie rozstrzygnięta.

Hegel chcąc usunąć od swojéj filozofii zarzut, jaki sam Schellingowi czynił, pojmuje ideę absolutną czyli absolut, niejako coś trzeciego i od dwóch części składowych swoich t. j. materyi i ducha, różnego, ale jako immanentnie i koniecznie w saméj absolutnéj idei tkwiące przeciwieństwo, będące niby łódką, na któréj idea bezwzględna żegluje przez wszystkie światy. Hegel uważa absolut nie za cichą trupiarnią, lecz za ustawiczny w nieskończoność rozwijający się proces. Absolut ten jest ideą bezwzględną, wszelkiéj rzeczywistości za fundament służącą; jest niby duszą całéj wszystkości (universum). Podług tego i świat materyalny, nie jest martwą skostniałą massą, lecz ciągłym rozwojem, na końcu którego spotykamy ducha świadomego siebie, w którym idea przychodzi do samopoznania. Świat cały jest tylko procesem myślenia w najwyższém znaczeniu tego wyrazu. Ale jakim sposobem myślenie posuwa się w swojéj wędrówce ku idei bezwzględnéj? Oto odkrywa ono w prostych pojęciach przeciwieństwa, które łączy w wyższém, pełniejszém pojęciu i tak daléj. Tu już dana jest skazówka metody, która u Hegla stanowi najważniejszą stronę filozofii, a mówiąc prawdę samę filozofią. Kiedy dawniejsi filozofowie dobierali sobie według upodobania metody do wykładu swoich pojęć filozoficznych, Hegel zwrócił uwagę na niewłaściwość takiego postępowania w filozofii, by już gotową i z innych sfer wiedzy pożyczoną metodę stosować do przedmiotu zupełnie różnego. Owszem filozofia będąc umiejętnością par excellence i to umiejętnością ścisłą, powinna mieć swoję właściwą i ze siebie niejako wyrosłą metodę rozumowania. Nie należy więc w filozofii tak jak w innych naukach przynosić gotowego szematu, niby przegrodek na norymbergskie drobiazgi, ale samo filozofowanie jest już i metodą razem, ani odeń na kształt rusztowania odjęte być nie może. Na czém polega ta metoda? Oto umysł nasz rozbierając jakiekolwiek pojęcie spotyka w niém sprzeczności, które należy

znieść (aufheben) w wyższém pojęciu. Ale to wyższe znów zawiera sprzeczności, które godzić należy w nowém i tak daléj, aż pokąd mocą téj dyalektyki nie dojdziemy do pojęcia ostatecznego, przyjaźnie owe przeciwieństwa kojarzącego t. j. do idei bezwzględnéj. Bliżéj tak to sobie wystawmy. Mamy pewne pojęcie n. p. bytu, co nazwijmy pozycyą. Umysł nasz w téj chwili spostrzega, że taki byt ogólny, nie oznaczony, nie przywiązany do niczego, znaczy tyle co nic, co niebyt. Widzimy jak z pierwszego pojęcia rodzi się drugie wprost mu przeciwne; nazwijmy je więc negacyą. Na tém stanowisku umysł pozostać nie może, ale szuka pogodzenia tych przeciwieństw w czemś trzeciém, z tamtych złożoném, gdzieby owe różnice nie zostały zniszczone, ale zachowane i w wyższą jedność połączone. Takiém pojęciem jest żywostan (das Werden). Jest ono wyższém bo w niém byt i niebyt są zachowane i pogodzone, t. j. że w żywostanie widzimy coś co trwa, i coś, co znika ustawicznie, czyli razem jest i niejest. Uważmy nadto, że to ostatnie pojęcie zaprzeczyło drugiego, nazwać je zatém możemy negacyą negacyi. Otóż ta negacya negacyi, jest że się tak wyrazimy wiosłem myślenia, którém ono się podpierając dąży przez coraz nowe kręgi istnienia ku nieskończoności, ku idei bezwzględnéj. Kto tę metodę rozumie, łatwo się zoryentuje na tém morzu oderwań spekulacyjnych, chociaż wiele jeszcze musi sobie zadać pracy, by zgruntować całą głębią filozofii Hegla. Sam on z zupełną świadomością stosował tę metodę we wszystkich gałęziach filozofii i ją za jedynie prawdziwą uważał (1). Owszem mówi nawet, iż „żadne rozumowania za umiejętne uchodzić nie mogą, które nie będą odpowiadały biegowi i rytmowi téj metody" (2). Zgodzić się na to musimy, dodając, że bezwzględne wszędzie stosowanie téj metody rodzi formalizm, którego w wielu punktach swojéj filozofii sam twórca onéj nie uniknął. Zaciętym jéj nieprzyjacielem był u Niem-

(1) Es kann nur eine Methode in aller Wissenschaft, in allem Wissen sein: Methode ist der sich explicirinde Begriff, nichts Anderes, und dieser ist nur Einer, (Hegel Religionsphilosophie S. 32. Wyd. z 1832 r.).

(2) Logik, Einleitung. S. 39. Wydanie z 1841 r.

ców Herbart utrzymując, iż to przeciwieństwo tak wysoko przez Heglą podnoszone, jest urojeniem, bo dwu pojęć przeciwnych razem myśleć nie można, nie chcąc zgrzeszyć przeciwko najpierwszéj zasadzie myślenia. Herbart też inną poszedł drogą, na końcu któréj nie *jeden* absolut, a *mnóstwo* atomów znalazł, i tym nazwę „realnostek-Realen" nadał.

Podmiotowym punktem wyjścia dla filozofii jest świadomość filozofującego; ale świadomość ta jako niajpierwszy stopień rozbudzonego oddziaływania między podmiotem a przedmiotem, jest jeszcze bardzo uboga i niedoświadczona. Bierze ona rzeczy tak jak się jéj *zdają* i nie odróżnia istoty od zjawiska; wkrótce atoli spostrzega się na tym błędzie i zaczyna sądzić o rzeczach nie z pozoru, lecz sięga do rdzenia. Tak doświadczająca się sama świadomość jest przedmiotem wstępnéj części filozofii, nazwanéj przez Hegla fenomenologią ducha.— Wspinając się na coraz wyższe szczeble poznania, świadomość zdobywa przekonanie, że istotą zarówno jéj jako i całego świata przedmiotowego, jest rozum bezwzględny czyli idea absolutna. Osiągnąwszy tę prawdę, fenomenologia przechodzi w logikę. Punktem wyjścia natym stopniu jest byt czysty, oderwany, ogólny, jako wspólne tło wszystkiego co jest i co się staje. Logika tedy poczyna od tego bytu i przechodząc naczelne kategorye ontologiczne bytu, niebytu i żywostanu wylewa się w naukę o istocie i pojęciu. Podług pojęcia cały świat się rozwija, pojęciem jest rzecz każda, fakt każdy, pojęcia więc rozumowości zarówno w przedmiotowości jak i w myśleniu ugląda logika, i przekonywa się, że myśl a byt to jedno i że te same prawa obojgu są wspólne, że i tu na dwóch krańcach istnienia t. j. myśli i bytu, taż sama idea bezwzględna jest podścieliskiem, modłą, najwyższą potęgą.

Ale tu idea jest dopiero w oderwaniu, w sobie (An sich). Odpadnięcie téj idei od siebie stanowi jéj innobyt (Anderssein) czyli całe królestwo natury. I znów w naturze powtarza się przebieg co raz wyższych stopniów idei w mechanice, fizyce i organice. Organizm zwierzęcy, a bliżéj ludzki wieńczy szereg zrodzeń natury i w duchu ludzkim świadomym siebie, idea bezwzględna

wraca do siebie, jest u siebie (Bei sich). Duch zaś jako podmiotowy, indywidualny znajduje swoje wyrażenie w antropologii, pneumatologii i psychologii; jako przedmiotowy t. j. zamieniający poznane przez siebie prawdy na rzeczywistość, rodzi prawo, moralność i obyczajowość. Wszakże dopiero duch absolutny będący skojarzeniem podmiotowego i przedmiotowego, w którym idea bezwzględna znajduje swoje zrealizowanie, tworzy sztukę, religią i filozofią, z których każda po swojemu przedstawia tę ideę bezwzględną.

Już ten szkic daje poznać jak ścisłym, konsekwentnym i imponującym był system Hegla. Czegoś podobnego nie miała dotąd filozofia. Przez pewien czas, jak to zwykle bywa w chwili uniesienia, wszyscy śpieszyli słuchać Hegla, studyować nową apokalipsę. Ludzie najrozmaitszych kierunków i przekonań naukowych zaczęli się nawracać do Hegla a to nietylko w Niemczech ale w całéj oświeconéj Europie. Prawo, religią, politykę i sztukę zaczęto przerabiać podług zasad Hegla, tak iż system absolutnego idealizmu można rozpoznać we wszystkich niemal ówczesnych teoryach religii, estetyki, filozofii i polityki. Jedność bytu i myślenia wykazana na wszystkich stopniach zjawisk duchowych i materyalnych, pogodzenie podmiotu i przedmiotu, zniesienie dualizmu, uznano jako znalezione a więc i proces filozoficzny za skończony.

Wkrótce jednak ostygły umysły, zaczęto zwłaszcza po śmierci twórcy system jego krytykować, rozbierać i oto jakie głównie robiono mu zarzuty.

Co do treści zauważano, iż ta idea bezwzględna nie wiadomo dlaczego, parta jakby jakimś fatalizmem ciągle zradza nowe twory na to tylko, by je pochłonąć, ciągle jest w ruchu, chociaż jéj tego ruchu nikt nie nadał, że wygląda na jakąś osobę bezwzględną, wszechwładną, dążącą odpowiednimi środkami do obranego celu. Tymczasem idea ta nie jest osobą, lecz tylko myślą naprzód powziętą i jakby z góry przez filozofa stworzoną. Jest to mówiono abstrakt, *caput mortuum intelligentiae*, do którego na pajęczych włóknach abstrakcyi dopłynąwszy nie jesteśmy i nie możemy być zadowoleni, bo nie wiemy cze-

mu ten sfinx z własnych odradza się popiołów. To, że idea bezwzględna jest tylko uzewnętrznionym światem materyalnym, zostało jak mówiono przypuszczone naprzód a niedowiedzione; tym sposobem idea stanęła jako siła gospodarząca w świecie, niby podług obrachowanych planów. Tu zróbmy uwagę, iż takie pojmowanie i postawienie idei bezwzględnéj naprzeciw świata zjawiskowego wynikło z jéj niezrozumienia; uosobiono ją bowiem zamiast pojmować jako proces immanentny według ducha Hegla, który jakby przewidując takie wypaczenia swojéj nauki, często znaczenie absolutu tłumaczył. Dla tego to szkoła materyalistów zaczęła się śmiać z tych niedawno ubóstwianych teoryj nazywając „absolutnego ducha nieboszczykiem teologii, który w Heglowskiéj filozofii łamane sztuki wyprawia." Mówiono tedy: ten mniemany duch absolutny jest tylko duchem jednostkowym, skończonym, od rzeczywistości oderwanym i w zaświat przeniesionym: jest po prostu płodem myśli, *ein Gedankending*.

Daléj, co do formy, wyznać trzeba, iż Hegel pojmując swiat cały jako pojęcie, w którém mieszczą się sprzeczności, odkrył ważne prawo a mianowicie to, że antinomia, przeciwieństwo, walka i ścieranie się jest duszą wszelkiego tak umysłowego jak materyalnego rozwoju. Konieczność pogodzenia przeciwieństw zradza trzecie pełniejsze pojęcie i t. d. Tym sposobem metoda wyrażona formułą: *negacya negacyi*, daje całemu obszarowi myślenia trzy pojęcia, a trichotomia okazuje się jako właściwy podział rzeczy.

Zobaczmy teraz jak się rozwinęła szkoła Hegla. Pokąd żył sam prawie ubóstwiany mistrz jéj, panowała między uczniami zgoda; bądź przez szacunek dla niego, bądź że przekonani byli o jego nieomylności dość że nikt harmonii nie nadwerężył. Aliści po śmierci dzielą się Heglisci na stronę prawą, lewą i środek, na starych i młodych. Szczególniéj niektóre kwestye teologiczne, niedość ściśle przez Hegla orzeczone, mieściły zaród do przyszłéj walki. Ucichłe na jakiś czas pytania o Bogu i nieśmiertelności duszy, zaczęto znowu rozbierać i wyciągać wnioski przeciwne chrześciaństwu. Jakoż Hegel wyraził się, że Bóg jest absolutem, duchem wprawdzie bezwzględnym,

ale który dopiero w rozwijającéj się świadomości człowieka przychodzi do wiedzy o sobie. Tak np. w swojéj „filozofii religii" mówi Hegel między innemi: „religia jest wiedzą ducha boskiego o sobie za pośrednictwem ducha skończonego" (1). A więc mówiono, ten Bóg Heglowski, aby przyjść do poznania siebie, potrzebuje człowieka; więc przed stworzeniem człowieka nie wiedział o sobie? Więc przy pierwszém kształceniu się ziemi objawiał się jako ślepa potęga natury, a z nastaniem człowieka zabłysła mu pierwsza jutrzenka świadomości, a dopiero w filozofii naszych czasów doszedł do zupełnego poznania siebie?... Taki Bóg to nie chrześciański, ale ta sama absolutna idea, która w filozofii ducha przychodzi do siebie z innobytu. Pokazało się więc, iż w tym punkcie z Heglem zerwać należy. I zerwano, ale tak, że jedni rzucili się w mistykę, drudzy rozwijając ową myśl Heglowską o Bogu, przyszli do zupełnego zaprzeczenia jego egzystencyi. Mamy tu na myśli Straussa i L. Feuerbacha.

Pierwszy ogłosił w r. 1835 „Życie Jezusa krytycznie obrobione" gdzie dowodził, iż opowiadania ewangelijne o Chrystusie lubo nie wszystkie, są mytami powstałymi podobnie jak powieści o bogach i bohaterach starożytnego świata. Idee poruszające całą pewną epokę odniesiono do danéj historycznéj osoby (Chrystusa) i przypisano jéj to, czego twórcą jest duch czasu, tak iż właściwym przedstawicielem owych idei jest ludzkość cała (2).

Gminy zaś chrześciańskie stosując rozmaite wyrażenia i alluzye Starego Testamentu do Chrystusa, utworzyły sobie idealny Jego obraz, w którym krytyka odróżniła myt od faktów czysto historycznych.

Późniéj w swojéj „Nauce wiary, Glaubenslehre" (1840) wykazywał historycznie jak powstawały dogmaty i jakie zawierają w sobie sprzeczności, które rozmaite sekty i filozofowie naprożno starali się pokryć, usunąć lub na filozoficzne zamienić idee.

(1) Die Religion ist Wissen des göttlichen Geistes von sich durch Vermittelung des endlichen Geistes Religionsphilosophie. Str. 129. Wydanie z 1832 r.

(2) Das Leben Jesu. Cały wstęp a osobliwie § 15 pod nap. „Pojęcie i rodzaje mytu ewangelijnego" Wydanie czwarte z 1840 r.

Feuerbach rozbierając religijne wyobrażenia człowieka dochodzi do wniosku, iż one są tylko uprzedmiotowieniem uczuć, życzeń i potrzeb jego. „Nauka, mówi, moja jest następująca: teologia jest antropologią t. j. w przedmiocie religii który z grecka Theos, Bóg, nazywamy, wyjawia się istota człowieka, czyli że Bóg jest tylko ubóstwioną istotą człowieka; a zatém historya religii, lub co na jedno wynosi, historya Boga, jest historyą człowieka" (1). Cała tedy filozofia podług Feurbacha, winna się zredukować do psychologii a teologia do antropologii.

Były to niby proste wnioski z Heglowskiego pojęcia Boga, które w swoim czasie trzymały cały świat w umysłowéj gorączce, tak nieubłaganie targały ostatnie już i tak słabe nitki supranaturalizmu. Obok téj zimnéj, erudycyjnéj krytyki nic się z dawnego porządku rzeczy nie utrzymało. W co wierzono lub udawano że wierzono, zostało teraz wywrócone i to nie szyderstwem, dowcipem jak kiedyś czynił Voltaire, ale pozornie głęboką uczonością, z namysłem, bez uniesienia. Ateizm teoretyczny na polu religijném okazał się jedynie konsekwentnym wynikiem dotychczasowéj exegezy teologicznéj.

Co u Niemców Strauss, Br. Bauer i Feuerbach, to u Francuzów Piotr Józef Proudhon znany socyalista przeprowadzał. I u niego Bóg „jest tylko cieniem sumienia rzuconym na pole wyobraźni (2) a wszelka teodycea gangreną sumienia, wszelka idea łaski, myślą rozpaczy. (3) Religia zaś jest czcią uidealizowanéj i samę siebie pod imieniem Boga ubóstwiającéj ludzkości" (4).

Takie konsekwencye odstraszyły ludzi od filozofii, z któréj krańcowi uczniowie wyciągnęli wnioski przeciwne

(1) Das Wesen der Religion, Sämmtliche Werke, Achter Band. str. 21. Tudzież Theogonie. str. 273, gdzie napisano: Die Götter sind die Wünsche, die ihrer Erfüllung, ihrer Thatkraft, ihrer Wesenhaftigkeit und Wirklichkeit gewissen Wünsche der Menschen. Feuerbach nie czyni w gruncie różnicy między Bogiem chrześciańskim, a bogami pogańskimi.

(2) De la Justice 9. Etude.

(3) Tenże 8 Etude.

(4) Tenże 11 Etude. Tudzież Système des Contradictions Economiques str. 384. T. 1. Wydanie z r. 1850.

nietylko chrześciaństwu ale religii w ogóle. Znów tedy poczyna się Syzyfowa praca od usuwania gruzów i oglądania się za materyałem do zbudowania przybytku dla umiejętności filozoficznych.

Nowo-Heglowska Szkoła (Fichte, Weisse, Ulrici) parodyuje, przerabia, objaśnia pomysły mistrza nie mogąc się zdobyć na nic oryginalnego (1). Nieprzyjaciele filozofii zacierają ręce z radości obiecując sobie, że niedobitki filozoficznéj krucyaty przejdą do ich obozu i że się powrócą złote wieki średnie.

U nas p. Kremer przyjął system ostatniéj spekulacyi niemieckiéj z tą ważną różnicą, że zamiast idei bezwzględnéj, postawił osobę bezwzględną, Boga chrześciańskiego jako ostateczny cel wszelkiego rozumowania, zaczém i filozofii. Usunął nadto cały ballast zbytecznych oderwań i czystym, jędrnym językiem zapoznał nas z tém, o czém wszyscy mówili a co mało kto rozumiał (2).

Trentowski oddając należny szacunek Heglowi, zauważył niedostatki systemu i wypowiedział potrzebę nowego na świat poglądu. Oto co z tego powodu pisał:

„Hegel jest ostatnim wielkim filozofem naszego czasu. A jak się rzecz ma z dzisiejszą filozofią? Jeszcze bardzo źle, ale lepiéj niż przedtém. Lejbnicowa monada poznała się w Schellingu jako żywy absolut, w filozofach natury jako żywa natura, w Heglu jako żywy rozum, żywa idea, żywy duch. Filozofia uczyniła drugi obrót i wróciła znów do swojéj kolebki, do idealizmu. Co przytém zyskała? Poznanie i przedmiot, idealność i realność, subjektywność i objektywność, wiedza i byt stały się identycznemi w Schellingu. Ta identyczność jest wprawdzie tylko formalną, jednakże już zapowiedzią i przygotowaniem do identyczności istotnéj; jest ona wielkiego filozoficznego znaczenia, albowiem wkracza w dziedzinę rzeczywistości.

(1) Świadkiem tego wychodzące w Halli czasopismo: „Zeitschrift für Philosophie und philosophische Kritik."

(2) Podobne lubo nie to samo jest stanowisko Rosenkranza, który w szkole Hegla tworzy prawą stronę. J. Rosenkranz zgadzając się z Heglem w wielu punktach, odstąpił od pojmowania Boga jako absolutu i osadził Go po dawnemu za światami.

Filozofowie natury poznali istotnosć z jednéj t. j. materyalnéj strony, Hegel z drugiéj t. j. duchowéj, a tak absolutna identyczność Schellinga rozpadła się na dwie: realną i idealną, czyli przedmiotową i podmiotową... Jak w tym stanie rozdarcia zaradzić umiejętności? Należy podmiotprzedmiotowość filozofów natury, połączyć z podmiotprzedmiotowością Hegla i tym sposobem stopić realizm i idealizm dzisiejszy w jedno" (1). Tego pogodzenia probował Trentowski dokonać w swoim systemie filozofii „uniwersalnéj" lubo zadania ostatecznie nie rozwiązał i sam oświadczył, że nie ma o swoim systemie takiego przekonania, jakoby całą filozofią wyczerpnął, gdyż ta nigdy wyczerpnąć ani się zamknąć nie może, ale jest ustawiczną ducha ludzkiego pracą.

Nie mniéj p. Cieszkowski nie był zadowolony filozofią Hegla, mianowicie pod względem pojęcia Boga i nieśmiertelności duszy, o co nawet wiódł uczony spór z Micheletem wiernym uczniem Hegla (2).

Nie jest tu właściwe miejsce rozbierać szczegółowo pomysły naszych uczonych, ale nie możemy się wstrzymać od wskazania główniejszych przez nich podniesionych punktów. Dotychczasowa filozofia wychodziła zawsze z podmiotu, z *ja*, stawiała ducha jako pierwszość, jako pozycyą (prius) a przedmiotowość jako coś drugiego jako negacyą, (posterius, secundum). Trentowski odwrócił porządek: u niego materya jest pierwszością, pozycyą. duch zaś negacyą, czémś drugiém. Za tém poszło, że zmysłom przyznano także głos w sądzeniu o zjawiskach tego świata, gdy dawniéj duch sam wyrokował o prawdzie, a zmysły obwiniano o kłamstwo, jakoby nam tylko pozory a nie istotę rzeczy przedstawiały. Jeżeli owiem rzecz każda tém jest w swojéj istocie, czém w zjawisku; to oczywista, że do istoty dobrać się można tylko obserwując zjawisko. Takie sprostowanie filozoficznego myślenia ze strony podmiotowéj przez przypuszczenie do rady z duchem zmysłów, a ze strony przedmiotowéj przez wskazanie za cel poznania nie samego tylko ogółu, lecz także żywéj i ró-

(1) Grundlage der universellen Philosophie. Str. 35.
(2) Gott und Palingenesie.

żnobarwnéj rzeczywistości, jest ważnym krokiem do zwalczenia dualizmu, gdyż odtąd duch i materya są uważane za równoważne czynniki powszechnéj całości. Słusznie tedy mówi Trentowski, iż nietylko Kartezyuszowe „cogito, ergo sum" jest prawdą, ale równie prawdą jest: „sentio ergo res est." Trentowski jednak w wielu miejscach dla podniesienia własnego systemu, bezzasadanie powstaje na Hegla osobliwie w swojéj „Myślini." Czytając to, zdaje się jakobyśmy słyszeli: *ôte toi, que je m'y mette.*

Drugim punktem przez naszych podniesionym jest wyswobodzenie jednostki z otchłani nienasyconego absolutu czyli ogółu bezwzględnego. Substancyą Spinozy porównywano ze lwią jamą, do któréj znać ślady wchodzących zwierząt, ale nie widać wychodzących. Absolutna idea Hegla jest podobną substancyą, tylko opatrzoną przez filozofa samodzielném rozwijaniem się, świadomością, bezwzględnością i t. d. Jest to mitologiczny Saturn ustawicznie własne pożerający dzieci. Spekulacya stawia za warunek filozoficznego myślenia, pozbycie się wszystkiego, co stanowi zewnętrzność człowieka i wzniesienie się do czystego myślenia, by za pomocą jego dojść do czystéj idei. Otóż gdy umysł nasz odrywa ciągle od danéj, konkretnéj rzeczywistości te cechy, które ją czynią tém czém jest, i od innych odróżniają, pozostaje sama abstrakcya, sam ogół, sama myśl. Takie że tak powiem wydystylowanie rzeczywistości zastosowane do jednostki, czyni z niéj nie pewną, oznaczoną indywidualność; lecz oderwany ogół, który jako taki zapomina o ziemi, zmysłach, materyalności, a bujając na skrzydłach fantazyi snuje pajęcze królestwa, w których dopiero czuje się jak we własnym domu. Takie w czystéj idei myślenie nazywa się myśleniem filozoficznèm, które z góry pogląda na empiryą i jéj uprawiaczów, jako przykutych do znikomości, do przemijających zjawisk a niezdolnych wznieść się do czystego pojęcia. Otóż te *czyste* pojęcia, ten *czysty* rozum, ta *czysta* myśl, chociaż rzeczywiście są fundamentem wszystkiego co jest, jednak aby były całą prawdą, nie mogą pomijać i przypadkowości, indywidualności, zewnętrzności. Temu bowiem ogółowi oddając na łup szczegółowość, zaprzeczono warto-

ści jednostce, poświęcono ją absolutowi (1). Nie zaprzeczono wprawdzie realności materyi i człowiekowi, ale kazano pierwszéj rodzić zwierzęta i rośliny dla tego tylko, by żyły rodzaje (ogół), a drugiemu pracować i filozofować, by się rozpłynął w idei bezwzględnéj. Jak w starożytnych teoryach politycznych, państwo (ogół) wzięło na łup obywatela (jednostkę), tak spekulacya niemiecka kazała wyzuć się człowiekowi z uczuć, popędów, namiętności, t. j. tego wszystkiego co go czyni tym *pewnym* oznaczonym człowiekiem, a dążyć do życia w czystéj idei, przejąć się tym ogółem i oddać mu się na ofiarę.

Takie są najważniejsze zarzuty, któreby Heglowskiéj spekulacyi uczynić można. Wprawdzie wierni uczniowie berlińskiego mędrca ze swojéj strony zarzucali oppozycyonistom, że Hegla nie rozumią; aleć z drugiéj strony sam on miał się odezwać, iż ze wszystkich uczniów jeden tylko (Rosenkranz) rozumiał go ale nie pojął. (*Nur Einer hat mich verstanden und dieser hat mich missverstanden*). — Nam się tak nie zdaje; bo nietylko zrozumiano go, ale i słuszną oddano ocenę, na jaką w rozwoju myśli filozoficznéj zasłużył. Jeszcze nie było człowieka, któregoby spółcześni albo potomni niezrozumieli. Tylko młode geniuszki mają się za niepojętych, niewynagrodzonych; ale historya powołując przed swój areopag prace wszystkich wieków, oddaje każdéj co się jéj należy. Taż sama historya nie zaprzeczając wielkich zasług Hegla, jakie położył dla filozofii i postępu innych umiejętności, poznała oraz niedostatki jego i te z całym szacunkiem dla rzetelnego geniuszu, wskazuje.

Nakreśliwszy pokrótce ostatnią fazę myślenia w rozwoju szkoły Heglowskiéj i niektóre usiłowania dążące do zaradzenia jéj stronom ujemnym, przechodzimy do właściwéj materyi obecnéj rozprawy, t. j. do zarysowania własnego na filozofią poglądu. Aby to uskutecznić, wypadnie nam dać orzeczenie filozofii, powiedzieć cośkolwiek

(1) Poeci niemieccy zgadzają się tu z filozofami. Tak np. Goethe pisze:

Das Ewige regt sich fort in allen
Denn Alles muss in Nichts zerfallen
Wenn es im Sein beharren will.

o jéj zakresie, metodzie, podziale, celu, o kryteryach czyli sprawdzianach poznania, słowem chcielibyśmy wskazać drogę przyszłego działania filozoficznego i o ile z błędów poprzednich systemów korzystać powinni uprawiający filozofią, by praca w tym kierunku umysłowym przedsiębrana, nie zasługiwała na nazwę „nieprożnującego próżnowania".

III.

**Orzeczenie filozofii.** Filozofia jest umiejętném i systematyczném poznaniem rzeczywistości. Rozbierzmy to orzeczenie. Powiadamy, iż jest *umiejętném* poznaniem. To się znaczy, że nie bierze przedmiotu ryczałtem, bez przyjrzenia mu się ze wszech stron; lecz stara się wniknąć w istotę każdego zjawiska. Poznanie zwyczajne nie troszczy się wcale o przyczynę; dla niego wystarcza zjawisko, o istotę i związek jego z innemi nie pyta. Jest poznaniem *systematyczném*, t. j. w logicznym i konsekwentnym porządku postępującém, gdzie niższe szczeble służą wyższym, gdzie od wiadomych postępuje się do niewiadomych. Systematyczność polega według nas nie na z góry osnutym systemie, ale na naturalnym między pojęciami związku. Filozofia nie jest architekturą, ale żywą i wiecznie płynącą myślą ludzką; nie może więc na żaden nieomylny system przysięgać, ale dość jéj gdy widzi konsekwentność i dostateczny wszystkiego powód. I daléj mówimy, że jest poznaniem rzeczywistości. Cóż tedy jest rzeczywistém? Wszystko co ma byt istotny, rozumny, trwały i nieskończony.

Wszakże i Hegel to samo powiada: iż „filozofia skończonemu istnieniu jako takiemu (Dasein) przypisująca byt ostatni i absolutny, nie zasługuje na nazwę filozofii (1)".

Orzeczenie niniejsze ma zapobiedz idealizmowi i dualizmowi, które rozdzierając zawsze żywą, całą rzeczywistość na materyą i ducha, stawiały w niepogodzoném przeciwieństwie jedno przeciw drugiemu. Gdy zaś, jak wiadomo, byt i myślenie, materyalność i duchowość są bezwzględnie tosame, a tylko względnie, tojest względnie do po-

(1) Logik. I. Band. str. 163.

znającego podmiotu różne; więc takie rozerwanie powszechnéj całości na dwie połowy, sprowadziło mechaniczny pogląd na całą naturę. Materya uważana długi czas za trupią massę, na któréj Ormuzd i Ahriman swoje *hokus pokus* wyprawiali, dzięki Schellingowi i innym filozofom natury, otrzymała cel w saméj sobie, nie jak dotąd było po za sobą. Rozum przyszedł do ważnego wniosku, że gdzie materya tam i duch, gdzie byt tam i myśl, gdzie zmysłowość tam i umysłowość, bo strony te koniecznie do siebie należą i nie mogą być oddzielnie pojmowane. Pokazuje się zatém, że filozofia rozumowania swoje oprzeć winna na naturze i duchu, uważając oboje w zjawiskach i ich wzajemnym związku. Proste zastanowienie się nad życiem człowieka, każe nam go uważać w związku z resztą świata; czyż więc on może być wyjęty od tych praw stanowiących duszę organizmu powszechnéj całości?? Tu tylko ta różnica, że co w naturze dzieje się ślepo, to w duchu ludzkim świadomie; co tam jest koniecznością, to w człowieku rozumną wolnością.

Prawa te nie są żadnemi umidłami metafizyki, ale immanentnemi siłami wszystkości. Wnioskujemy z tego, iż metafizyka winna się oprzeć na fizyce, dedukcya na indukcyi, ogólniki i oderwania na szczegółach i bycie konkretnym. Wszelkie śledzenie za bytem w sobie czyli w oderwaniu od zjawisk uważanym, prowadzi do najdziwaczniejszych przypuszczeń. Nie dość było filozofom na materyi widomej, chcieli jeszcze zbadać najpierwszą materyą (*πρωτη ὑλη*), najpierwszą formę (*πρωτον εἰδος*) i najpierwszego motora (*πρωτον κινων*), który wszystkiemu ruch nadaje, a sam jest nieruchomy (1).

Gdzie umysł w takie ciekawostki się zapuszcza, tam nic pewnego powiedzieć nie może, a filozoficzna fantazya tworzy czarującą metafizykę. Słusznie więc ktoś takich mędrców spekulacyjnych „magami i poetami nazywał".

Jeżeli chcemy oprzeć metafizykę na fizyce, zalecając jéj, by nie formułowała praw swoich *à priori*, lecz z długiéj i pilnéj obserwacyi; to nikt nas nie posądzi zapewne o empiryzm, bo i dla nas rzeczywistością jest nie prze-

(1) Aristoteles. Physica l. VIII. c. 5.

mijająca szata bytu, ale tętniący w nim rozum. Ale ponieważ siłę poznajemy tylko ze zjawiska, więc naprzód należy pilnie śledzić zjawiska, nim się coś wyrzecze o sile. Dziś już filozofia nie szuka „rzeczy w sobie", bo wie, że tém jest w istocie rzęcz każda, czém w zjawisku. Odłączanie istoty od zjawiska jest tylko gwałtownem rozdarciem rzeczy przez abstrakcyą, koniecznem wprawdzie do myślenia, lecz nie mającém w sobie prawdy. Fizyk nie troszczy się o istotę elektryczności, ponieważ wie, że jéj zjawiska stanowią jéj istotę. Psycholog nie pragnie poznać duszy w sobie, czyli w oderwaniu, ale z objawów i czynności zewnętrznych o jéj istocie wnioskuje. Tak też i filozof nie może z góry tworzyć pierwszych przyczyn i dopiéro do nich przyczepiać zjawiska; lecz z tych ostatnich winien się dobrać pierwszych: słowem wszędzie droga analityczna, indukcyjna, jest pewną miarą prawdy w nas i za nami.

**Zakres.** Z orzeczenia płynie już i zakres filozofii, bo skoro ona jest umiejętnością rzeczywistości, tego co jest rozumne, to nie sięga ani w przeszłość, ani w przyszłość. Przeszłość wypełnioną faktami na łonie wieczności uprawia historya; ideały przyszłego czasu prorokuje poezya; obie mają za przedmiot nie byt rzeczywisty, lecz pierwsza przemieniony, zaświatowy, druga możliwy. Ale rzeczywistość uprawiają liczne umiejętności, nie sama filozofia; trzeba nam więc bliżéj oznaczyć to pojęcie. Dla zbadania i zrozumienia świata, tudzież człowieka podzieliły się nauki na liczne gałęzie. Mineralogia, botanika, zoologia mówią o trzech królestwach przyrody; fizyka zastanawia się nad ciał własnościami, chemia nad ich jakościową zmianą, geologia rozważa organizm ziemi, matematyka i astronomia obliczają wielkość i ruch systemu planetarnego. Nauka o człowieku rozpada się na fizyologią i psychologią, nie mówiąc nic o anatomii i innych pomocniczych gałęziach. Daléj, prawo, moralność, obyczajowość należą równie do rzeczywistości i dają materyał tyluż specyalnym umiejętnościom. Tak więc rzeczywistość przez tyle wieków dostarczyła dosyć zajęcia umysłowi ludzkiemu i podobno nigdy mu pracy nie zabraknie. Cóż zatém czyni filozofia? Oto tamte nauki

odkrywają szczególne prawa, ona je ogólizuje; one rozważają rzeczywistość w rozjednostkowaniu, ona w związku; one w drobiazgach, ona w powszechnéj całości i jedności. Ztąd już widać, że wnioski filozofii tém będą pewniejsze, im mocniéj oprze się na wypadkach wszystkich nauk rzeczywistość uprawiających. Od ich postępu jéj postęp zależy, one ją warunkują, a ona następnie służy im za przewodnika, by się nie zabłąkały w téj massie szczegółów, by nie straciły wśród materyi ducha, śród wielości, jedności. Dlatego też na takiém stanowisku filozofia musi być oparta na rezultatach innych umiejętności, oraz wyrazem swojego czasu, świadczącym do jakiéj wysokości rozum ludzki doszedł w pewnym dziejów okresie. Piszemy się tedy najzupełniéj na zdanie Hegla w podobnéj materyi wyrzeczone. „Każda filozofia, mówi on, dla tego właśnie, że jest obrazem pewnego, szczególnego stopnia rozwoju, do swojego należy czasu i jest ograniczoną. Jednostka jest dzieckiem swojego ludu, swojego świata, których istotę we właściwéj sobie przedstawia formie. Niech się człowiek sili jak chce, nie przekroczy swojego czasu tak jak własnéj skóry opuścić niezdolny; należy on do jednego, ogólnego ducha, który jego substancyą, jego własną istotę stanowi" (1).

Z tego co się wyżéj powiedziało, znać, iż filozofia sięga do istoty wszelkiéj rzeczywistości, którą nie w rozjednostkowaniu, lecz w całości pojmuje; i kiedy inne umiejętności uprawiają, że tak powiem, ciało, zewnętrzność: ona rozważa duszę, wewnętrzność wszystkiego co jest. Dlategoto przedmiot jéj dla empiryków i materyalistów poprzestających na gminnéj obserwacyi faktów bez śledzenia za przyczynami, wydaje się za mało oznaczonym, a więc raczéj dla spekulacyi, jak dla ścisłéj, pozytywnéj nauki przydatnym. Powtarzają więc Newtonowskie: *physica cave metaphysicam*, dając tém samém znać, że sobie mało cenią filozofią. Jakoż w tém zdaniu Newtona wiele jest prawdy, chociaż je ci panowie inaczéj, niżby należało rozumią. Wszystkie bowiem nauki o przyrodzie mówiące, tylko przez analizę zjawisk przy-

(1) Geschichte der Philosophie. I. Band. S. 59. Wydanie z r. 1840.

chodzą do ścisłych wypadków; gdy tymczasem metafizycy lubią *à priori* kreślić drogi naturze i społeczeństwu, co ich słusznie na zarzut marzycielstwa naraża. I my też żądamy, by metafizyka oparła się na fizyce i przez nią odkryte prawa wiązała w system ogólny praw, według których materya i duch rozwijają się szeregiem zjawisk różnolicowych. Nie chcemy zatém wyłączać metafizyki z dziedziny filozoficznéj, ale oprzeć ją na rezultatach wszystkich nauk, nie na dowolném powiązaniu kategoryj, które pewnych filozofów zacofało w scholastyczne subtelności, w długie i bezowocne rozprawianie o Niebycie (vom Nichts). Pokąd filozofia nie ograniczy się w tych spekulacyjnych mrzonkach i nie zmniejszy słów ilości, każdy zdrowo myślący odepchnie tę nudną, pustą a niby mądrą gadaninę, jaką w metafizyce często spostrzegamy. Długi czas zawracając głowę swojemi abstrakcyami, spekulanci stracili zaufanie.

Otóż, powtarzamy, po tém zboczeniu, zakres filozofii stanowi świat cały, wszystkie zjawiska materyalne i duchowe, społeczne, polityczne, obyczajowe i religijne. Jéj sądowi poddane są wszelkie objawy natury i ducha; lecz jak się już powiedziało, z ich strony wewnętrznéj, zmysłami nieujętéj a ich istotę stanowiącéj. Krótko: filozofia śledzi wszędzie przyczynę, istotę, wewnętrzność, siłę, ducha a tém samem zakres jéj jest nieograniczony. Wszystko co jest rzeczywistém, przez nią zbadane i poznane być musi. Wszelkie *gadanie* o skończoności i ograniczoności rozumu a przeto niekompetencyi jego do sądzenia o wszystkiém pochodzi albo ze złéj wiary, albo z nieuctwa. Wygodnie bowiem jest próżniactwu otaczać się nimbem nietykalności, by w swoich kryjówkach mogło płodzić dziwolągi i wodzić na pasku przysięgających na jego wyroki.

Mogąc jednak o wszystkiém sądzić, filozofia nie stawia ostatecznego słowa; owszem od niéj apellować można do przyszłości. Gdy bowiem jak wiemy, filozofia opiera się na rezultatach i pracach wszystkich umiejętności a te są w ciągłym postępie, zdarzyć się może, iż pewne prawo przez nią w danym czasie postawione, okaże się następnie niezupełne. Nie czyni to ujmy filozofii, że się ciągle po-

prawia, krytykuje, przeczy, bo mądrość ludzka ostatecznego słowa odrazu nie wypowiada, ani nieomylności sobie nie przypisuje; lecz będąc ogólnego ducha ludzkości owocem i koroną, żyje we wszystkich wiekach i pokoleniach. Z tego się pokazuje, że filozoficzne, myślące rozpatrywanie rzeczywistości, w ciągu stuleci doskonalić się musi na równi z resztą empirycznych umiejętności.

Zakres filozofii przez nas oznaczony jest ten sam co i ostatniéj spekulacyi, z tą różnicą, iż chcemy, by teorye swoje stawiała nie naprzód, lecz po dokonanéj zjawisk analizie, by intuicyjne myślenie zamieniła na dyskursywne, rozbiorowe, słowem by szła więcéj za Arystotelesem i Bakonem, niż za Platonem i Dekartem.

**Metoda.** Po wskazaniu zakresu filozofii zobaczmy jakiéj metody w filozoficznem myśleniu trzymać się należy. Metoda jest duszą wszelkiéj umiejętności i odnosi się do formalnéj strony poznania. Ponieważ zaś wszędzie treść i forma muszą być sobie odpowiednie i wzajem się przenikać; więc metoda filozoficzna nie może być od innych nauk pożyczaną, ale winna wypływać ze saméj filozofii. Dawniejsi filozofowie jak n. p.: Dekart, Spinoza, Wolff, uderzeni ścisłością wniosków i dowodzeń matematycznych, stosowali i metodę matematyczną do filozofii, chcąc jéj przez to dać trwałą podstawę. I tak Spinoza już na czele swojéj etyki kładzie: „Ethica ordine geometrico demonstrata". Postępuje się tutaj podobnie jak w jeometryi. Stawia autor naprzód propozycyą niby twierdzenie, n. p.: „Cogitatio attributum Dei est, sive Deus est res cogitans" albo: „Extensio attributum Dei est, sive Deus est res extensa"; potém idzie dowodzenie a na wniosek wypada to co było założone (1).

Niewłaściwość tedy takiego postępowania, téj metody jako z najuboższego pojęcia ilości wziętéj i do wyższéj sfery myślenia zastosowanéj, zauważył Hegel i stworzył metodę stanowiącą nieśmiertelną jego zasługę w filozofii. O téj metodzie już nieco nadmieniono wyżéj. Polega ona na odkryciu w pojęciu sprzeczności, które poko-

(1) Dekart tą metodą napisał swoje: „Rationes Dei existentiam et animae a corpore distinctionem probantes more geometrico dispositae".

nać należy w pojęciu pełniejszém, będącém przeczeniem poprzedniego przeczenia. Mocą téj dyalektyki świadomość nasza dobiera się do coraz wyższych pojęć. Przeciwieństwo zatém tkwiące w pojęciach jest duszą téj metody. Jakoż nie można zaprzeczyć Heglowi wielkiéj bystrości w odkryciu tego prawa logicznego. Cały świat bytu i myślenia oparty jest na walce antinomii, na ścieraniu się przeciwieństw. Ta antinomia jest entelechią wszelkich zjawisk, źródłem życia i śmierci. Atoli przeciwieństwa takie nie są samoistne, nie istnieją dla siebie, lecz są tylko momentami pojęcia; nie mogą więc zostać niepogodzone, rozdarte, ale znajdują swoje przejednanie w wyższém pojęciu i tak daléj. Cały tedy łańcuch myślenia składa się z pojęciowych ogniw za siebie zaczepionych, gdzie koniec wpada w początek, gdy myśl cały okrąg przebiegnie. Zapowiedź téj metody spotykamy już u Fichtego który także kładąc: tezę, antitezę i syntezę, wprowadził więcéj filozoficzny sposób traktowania naszéj umiejętności. Przypatrzywszy się tak metodzie Fichtego jak i Hegla, spostrzegamy tu połączenie dawnéj analizy i syntezy. Gdy bowiem świadomość nasza rozbiera dane pojęcie upatrując w niém przeciwieństwa, postępuje analitycznie; gdy je zaś w wyższem kojarzy, syntetycznie. Nazwano więc tę metodę genetyczną, że niby samo rodzenie się rzeczy przedstawia (1). Nie narzuca się ona bytowi, ale chcąc go poznać ugląda jego ruchu i życia, jego dyalektyki wewnętrznéj i powiada, że sam sposób postępowania podobny, nie jest dopiero środkiem poznania, ale samém poznaniem filozoficznem. Teraz rozumieć można, czemu Hegel metodę swoję nazywa identyczną ze swoją filozofią. Jest to niby bussola na morzu spekulacyi, bez któréj łatwo utknąć na mieliznach pospolitego rezonowania. Powtarzamy, że metodzie téj należy się pierwszeństwo przed innemi, lubo z drugiéj strony stosowana bezwzględnie do wszystkich sfer wiedzy, prowadzi do formalizmu, jaki u niektórych naśladowców Hegla spotykamy.

(1) Trentowski utrzymuje, że on dopiero połączył analizę ze syntezą i stworzył metodę genetyczną, która ma być przyszłéj filozofii polskiéj wyłączną własnością. Myślini. T. II. Str. 466.

Podług niéj obrobił on wszystkie części filozofii, co nieraz spowodowało go do przejść gwałtownych, między któremi brak pośredniego ogniwa. Tak n. p. przejście z logiki do filozofii natury, przerzucenie się idei bezwzględnéj z czystego myślenia w sferę bytu konkretnego, w naturę czyli innobyt, jest nieusprawiedliwione i wygląda jak *Deus ex machina*. Prowadzi nas filozof przez trzy królestwa ducha subjektywnego, objektywnego i absolutnego, chociaż nie wiemy czemuby tego porządku nie można odwrócić i zacząć od ducha absolutnego, który *anticipando* tkwił już w głowie Hegla, nim się przez liczne kategorye do niego dostał. Niemcy sami to zauważyli, i oto co pisze dr. Bauer. Wyliczywszy zalety systemu powiada: „Jednakże i ujemne strony (systemu) nie długo były ukryte: dowolne i gwałtowne naciąganie do troistego szematu, nawet świetną dyalektyką pokryć się nie dało; niepojęte wcale przejście z logiki do filozofii natury, a przedewszystkiem brak pewnego punktu wyjścia, do którego sam Hegel się przyznaje nazywając filozofią swoję systemem zadzierzgających się wzajem kręgów" oto niedostatki téj spekulacyi (1).

Zresztą sam Hegel o swojéj metodzie tak mówi: „mógłżebym mniemać, że ta metoda licznego jeszcze udoskonalenia i rozwinięcia w szczegółach nie jest zdolna? ale wiem przytém, że ona jest jedynie prawdziwą" (2).

Otóż prawdą jest téj metody uważanie sprzeczności tkwiącéj w każdém pojęciu za jedynego motora całego rozwoju rzeczywistości. Lecz gdy w świecie przedmiotowym, który na tém stanowisku jest jedném, wielkiém pojęciem, zechcemy wykazać jego momenty (pojedynczość, szczególność, ogólność); wtedy wypadnie wiele naciągać i sztuką zastąpić logiczność naturalną. Z tego wynika, iż filozofii i w przyszłości tą metodą posługiwać się należy, z tém zastrzeżeniem, iż schematyzowanie wszystkich sfer myślenia nie okaże się tak nieomylném jak w logice; albowiem natura i ludzkość są żywą i ciągle rozwijającą się rzeczywistością, która obok prawidłowości, mieści

(1) W. Bauer. Geschichte der Philosophie. S. 366.
(2) Logik. I. Band. Str. 38.

wiele nieodpowiedniego pojęciu. Osobliwie w czynach ludzkich i dziejach całego rodu naszego, gdzie wolność i konieczność ze sobą się krzyżują, trudno bez naciągania wszędzie upatrywać pojęcie.

**Podział.** Podział jaki w nowszych czasach do filozofii wprowadzono, nie znany był starożytnym. Dzielili oni pospolicie filozofią na: moralną, naturalną i racyonalną. Pierwsza kształci umysł, druga śledzi naturę rzeczy, trzecia zastanawia się nad własnościami mowy, jej budową i argumentacyą, a to by fałszu nie brać za prawdę. Inni dodawali do tego ekonomią jako naukę domowego zarządu. Epikurejczycy przyjmowali dwie części filozofii: naturalną i moralną; szkoła cyrenajska samę tylko moralność za przedmiot filozofii wzięła (1). W średnich wiekach, gdy Arystoteles był wyrocznią, zachowano i podział jego; ale on sam pod tym względem nie jest zgodny ze sobą. Raz odróżnia praktyczną i teoretyczną umiejętność, to znów umieszcza obok nich trzecią o utworach pięknych, potém mówi o trzech częściach: etyce, fizyce i logice. Filozofią teoretyczną dzieli na logikę i fizykę, to znów na teologią, matematykę i fizykę (2). Określając filozofią powiada: „Słusznie filozofią umiejętnością prawdy nazywamy: spekulacyjnéj bowiem celem jest prawda, praktycznéj, czyny" (3).

Z późniejszych filozofów niektórzy podziału wcale nie wskazywali (Spinoza); Wolff biorąc za punkt wyjścia władze duszy (poznanie i wola) dzieli filozofią na dwie główne części: teoretyczną i praktyczną; pierwsza znów rozpada się na: ontologią, kosmologią, psychologią i teologią naturalną: druga na etykę, ekonomikę i politykę. We wszystkich tych podziałach panuje pewna dowolność, gdyż za zasadę bywa brany podmiot, albo korzyści jakie filozofia przynosi. Otóż Hegel powiada, że jak metoda tak i podział nie mogą być od zachcenia, lecz powinny

(1) Seneca. Epistola 89. O szkole cyrenajskiéj inne mamy wyobrażenie dzisiaj, aniżeli Seneka: zmysłowość gruba, eudemonizm nie cnota były jéj przedmiotem.

(2) Metaphysica l. VI. c. I.

(3) Metaphysica l. II. c. l.



Biblioteka Główna Szkoła Główna

wyrastać z samego przedmiotu, który rozwijając się sam sadowi swoje momenty będące oraz jego działami (1). Podług tego filozofia dzieli się u Hegla na: *a*) logikę jako umiejętność idei uważanéj w sobie i dla siebie (an-und-für-sich), *b*) filozofią natury jako umiejętność idei w jéj innobycie (Anders-sein); *c*) filozofią ducha jako idei powracającéj z innobytu do siebie (Bei sich). Trentowski oparty na swoich pomysłach daje inny podział: „Prawda, mówi on, odbijając się w człowieku jako w swojém zwierciedle, ugląda się naprzód jako istota, powtóre jako forma, po trzecie jako oboje w jedni". Ztąd wypływa troisty podział filozofii na: *a*) istotną, *b*) formalną i *c*) istotno-formalną, inaczéj filozofią Boga, świata (natury) i człowieka (2). Dla nas podział płynie z orzeczenia. Skoro bowiem filozofia jest umiejętném poznaniem rzeczywistości, a do rzeczywistości zarówno należy duch jako i materya; więc téż i filozofia dzieli się na: filozofią materyi, w ogóle i filozofią ducha. Duch zaś jako skończony i nieskończony jest przedmiotem dla dwóch oddzielnych umiejętności. Wreszcie każdy podział o tyle jest lepszym, o ile więcéj do natury przedmiotu zbliżonym a więc nie z góry przyjętym; lecz stosownie do wymagania rzeczy, tak iżbyśmy nie wnosili gotowego do wiedzy schematu, lecz starali się usprawiedliwić go biegiem samego przedmiotu.

**Cel.** Załatwiszy się z podziałem, obaczmy jaki jest cel filozofii. Arystoteles powiada, iż filozofią słusznie nazywają „umiejętnością prawdy" (3). Idzie więc o to, co jest prawda? Pytanie niesłychanie ważne dla każdego człowieka, choćby ten ani słyszał o filozofii. Już dziecko pytając się matki lub ochmistrza „po co to? na co to? czemu to?" daje mimowoli znać o tym najszlachetniejszym popędzie w człowieku do wiedzy, do poznania przyczyny każdéj rzeczy. Tém silniej występuje to pragnienie w każdym dojrzalszym, myślącym człowieku. Ale przystępującemu do sumiennéj odpowiedzi na stawione pytanie, trzeba się pozbyć zwykłych od dzieciństwa wpojonych wyobrażeń, które nie-

(1) Geschichte der Philosoph. I. Band. S. 38.
(2) Grundlage der universellen Philosophie.
(3) Metaphysica l. II c. 1.

raz i w późniejszym wieku uchodzą za złoto, choć są tylko próchnem. Oblicze prawdy jest płomieniste, a komu łuska z duchowego oka przez zwątpienie, namysł i pracę wewnętrzną nie spadła, ten znieść go nie zdoła. Kto wypiwszy puhar tradycyjnéj wiedzy chińskiéj przez czas swojego pacholęctwa umysłowego, nie zapomni tych lubych marzeń, jakiemi go przezornie niańki i pedagodzy na drogę życia omotali, ten wiecznie żakiem zostanie. Dla tego to Kartezyusz na samém czele swoich „zasad filozofii" powiada: „Ponieważ dziećmiśmy się porodzili i rozmaite o rzeczach dotykalnych mamy wyobrażenia, wprzód niemeśmy całkowicie rozumu używać zaczęli, przeto liczne przesądy od prawdy nas odgradzają: z których uwolnić się można tylko wtedy, gdy raz w życiu o tém wszystkiém zwątpimy, w czém się najmniejszy ślad niepewności pokaże." Ale zaraz dobrą robi uwagę, iż to wątpienie ograniczyć należy do samego badania prawdy „ponieważ w życiu minęłaby często sposobność do działania, nimbyśmy sobie wątpliwość rozwiązali; dlatego musimy nieraz poprzestać na tém co jest prawdopodobne" (1). Smutna to rzecz pozbyć się tych rajskich wyobrażeń, które rosły z nami, wsiąkły w organizm duchowy i stały się drugą naturą; a jednak krok to nieodzowny udającemu się w drogę na szukanie prawdy. Prawd jest tyle, że nie wiadomo którą wybierać. Mówią o prawdach metafizycznych, matematycznych, moralnych, religijnych, historycznych i t. d. Każda sekta religijna tylko swoje dogmaty za prawdę uważa, każda szkoła tylko swoje teorye za nieomylne uznaje. Byłożby tyle prawd, ile jest głów ludzkich? Zaiste że nie. Ale co na tém lub innem polu jest prawdą? Co tu wybierać, gdy wszystkie odcienie polityczne i naukowe jak przekupnie do siebie zapraszają i swój towar chwalą? Sceptycyzm tu bardzo blizki; a jednak jak płuca w próżni, tak duch ludzki w sceptycyzmie umiera. Powaga znów nie wszystkim wystarcza; prawdę też nie w powadze znajdziesz, bo ona tysiączne na siebie przybiera barwy i nie może być martwą raz na zawsze napisaną literą. Szukać jéj trzeba w sobie i po za sobą, a byleśmy mieli odwagę, znajdziemy.

(1) Principia philosophiae. Pars. 1.

Cóż jest prawda? Nim na to odpowiemy, uważmy, iż filozofia szuka prawdy w ogóle, że więc orzeczenie jéj winno się stosować do prawd wszystkich, ile ich tylko jest w świecie i ludzkości. Prawda tedy względnie do nas czyli podmiotowo uważana, jest zgodnością naszego pojęcia pewnéj rzeczy z jéj istotą. Gdy np. spotykam pewien przedmiot, nabieram o nim pewnego wyobrażenia (idea inadaequata). Jest ono jeszcze niezupełne, bom tylko z wierzchu przedmiot ów obejrzał; należy go rozważyć z blizka, zebrać cechy istotne, odłączyć przypadkowe, a powstanie we mnie dostateczne jego pojęcie (idea adaequata), więcéj nie pragnąłem. Choćby mię wszyscy zapewniali, że ten przedmiot nie istnieje, że nie takim jest za jaki go po dobrym namyśle uznałem i poznałem, nie uwierzę im, bo wiem, że mając zdrowe zmysły i przytomny rozum omylić się nie mogłem. Tak szukając prawdy, przekonywam się, że wszystko co jest rzeczywiście t. j. co ma byt istotny t. j. nie tylko w méj lub innéj głowie, że mówię cała rzeczywistość jest prawdą. Objektywnie tedy uważając, cały wszechświat, wszystkość nieogarnięta, jako całość bytu, jest prawdą najpierwszą i najniezawodniejszą. Niech mi jaki mistyk prawi, że wszystko się zmienia, że ustawiczna metamorfoza nie daje nam wyobrażenia o prawdzie a cóż dopiero pojęcia; odpowiem mu, że w téj zmienności, to przynajmniéj jest pewne, że ona sama istnieje, że w téj przemianie jest pewien grunt nieruchomy; gdyby go zaś nie było, to i sama metamorfoza o jakiéj mowa, ustaćby musiała. Filozofii zaś właśnie o ten grunt idzie. Teraz rozumieć można, czemu prawda, jak rzeczywistość jest płynną i w każdéj sekundzie czasu inną postać przybiera. I tak jest w istocie; cała rozmaitość świata umysłowego i zmysłowego, wszystkie zrodzenia ducha i natury stanowią prawdę przedmiotową, którą poznać filozofii jest dziełem. Duch nasz, poznając prawdę przedmiotową, jest we właściwéj sobie czynności, bo skoro byt i myśl są jedno, to śledząc prawdę za sobą, znajduje ją taką samę jak w sobie. Jeden rozum jest w naturze i duchu, z tą różnicą, że w nas przychodzi do własnéj świadomości, gdy w naturze leży bezwiednie jako konieczność. Szukając prawdy, szukamy właściwie rozumowości, dosta-

tecznéj przyczyny, któraby nam dała poznać grunt, istotę pewnego zjawiska.

Tu nasuwa się pytanie, jakich przyczyn w rzeczach szukać mamy. Oddawna już powiedziano, że filozofia szuka pierwszych przyczyn i na to zgoda. Wszakże te pierwsze przyczyny są w istocie tém czém i *drugie*, czyli (finales), celowe. Czyliż np. rosnące drzewo nie tę samę ma przyczynę, która prze nasienie do rozwoju i do wydania owocu? Podobnie to lub owo zjawisko, rzecz każdą pojmować należy jako mające swój cel i swoję przyczynę w sobie. Nie powinniśmy tedy przyczepiać *pierwszych* przyczyn ani się domyślać *drugich*, ale zastanowić się nad daném zjawiskiem, nad pewnym faktem, a przekonamy się, że chociaż w całości świata wszystko służy sobie i jedno względem drugiego jest środkiem i celem, to mimo téj ogólnéj teleologii, każda rzecz ma swój własny cel, który osiągnąć jest jéj przeznaczeniem. Gdy zaś według naszego uważania tak pierwsze jak i drugie przyczyny są tém samém, więc poznanie ostatnich prowadzi do pierwszych. Ale człowiek zastanawiając się nad porządkiem świata i dziejów ludzkich, ujrzał w nich rozumność i zamiast téj rozumności uważać za jedno z samą rzeczą, immanentnie, odłączył ją od niéj, rozerwał całość i odkrytéj przez siebie rozumności naznaczał rozmaite źródła. Ztąd wypadało albo materyą na korzyść owéj rozumności poświęcić i tylko prostém narzędziem pierwszą dla drugiéj uczynić, albo zaprzeczyć zupełnie przyczynowości i tę jako złudzenie podmiotu uważać (Hume) a tém samém przypisać wszystko co się dzieje ślepéj przypadkowości.

Pokazuje się zatém, że filozofii celem jest śledzenie i poznanie prawdy: to poznanie nie może być intuicyjne ale powolne, mozolne, długie i na całe wieki rozłożone. Świat tak jest urządzony, umysł ludzki tak usposobiony, że pierwszy tylko w ciągłym rozwoju, a drugi w ciągłym postępie do poznania tego rozwoju, cel swój osięgają. Nie jest to postęp w nieskończoność (progressus in infinitum) gdyż w każdéj sekundzie czasu zaczém i we wszystkich zjawiskach wyjawia się cały rozum bezwzględny odpowiednią summą i intensywnością tychże zjawisk. Możnaby to stwierdzić historyą, że umysł nasz w ciągłéj do prawdy

wędrówce, prawem postępu jest zawarowany, i że ludzkość na każdém stadyum rozwoju ma prawdę całą i dla niéj wystarczającą, to jest względnie do danéj chwili, absolutną. Zbierając to co się powiedziało, wypada, iż celem ostatecznym filozofii jest prawda; prawdą podmiotową jest zgodność naszego pojęcia rzeczy z jéj istotą: przedmiotową, wszystko co ma byt realny, rzeczywisty czyli cała rzeczywistość. Poznanie téj rzeczywistości oparte jest na rozwoju całego rodu naszego.

Wiemy, iż orzeczenie to prawdy może znaleźć wielu niezgadzających się na nie; kto jednak na żaden system nie przysięgał, tego przeciwne zdanie obrażać nie może, byle to na dostatecznym powodzie było oparte.

Z naszego zapatrywania się na filozofią i cel jéj, płynie również i ten wniosek, że jéj jako skończonego systemu nie pojmujemy. Skoro bowiem do prawdy zbliżamy się w postępie, to tylko rozumność i porządek świata obserwować nam wolno; ale porządku tego w jakąś siatkę pajęczych abstrakcyj ujmować niepodobna, nie chcąc się narazić na zarzut konstruowania natury i dziejów ludzkich *a' priori*. Dość jest dla filozofa poznać ten rozum we wszech rzeczach gospodarzący; schematyczną zaś tkaninę niech snują metafizycy i spekulanci.

Ale szukanie prawdy z wielu względów jest niełatwe. Najprzód wymaga oprócz osobistych zdolności, znacznéj pomocy materyalnéj. Mógłżeby Arystoteles napisać swoję historyą naturalną, gdyby nie hojność Filipa a potém Alexandra W., który kazał ze wszech stron dostarczać mu zwierząt? Témbardziéj dziś nie można prząść systemów z pustéj głowy, ale trzeba ją zapłodnić myślą całéj przeszłości. Gdyby kto tylko z książek chciał być uczonym, a już zaopatrzenie się w najpotrzebniejsze nie małych kosztów wymaga. Ile znów niezawisłość położenia, zapewniony byt niezależny wpływa na intellektualny rozwój człowieka, na śmiałość, logiczność i szczerość pomysłów jego, to każdy przyzna, kto rozważy, jak nieraz najzdolniejsza osobistość skrępowana czy to obowiązkami stanu czy prostym niedostatkiem, staje się rzemieślnikiem, echem sekty lub stronnictwa, nie heroldem prawdy. Ale daleko trudniéj człowiekowi, aniżeli z biedy wycofać się

z powagi, pozbyć się ulubionych i od dzieciństwa przejętych wyobrażeń. Najwięcéj wzrostowi umiejętności szkodziła ślepa wiara w powagę. Nauki zwłaszcza przyrodzone, tudzież fizyka, chemia, astronomia dopiero odtąd zaczęły żyć, gdy pękły okowy powagi. Historya tych nauk najlepiéj o tém świadczy. Tak np. w XVI w. w Wenecyi, pewien lekarz w odczytach swoich wyłożył jak na dłoni, że główny pień nerwów z mózgu idzie, a mały tylko promień do serca wpada. Obecny temu filozof perypatetyczny zapytany, czy się jeszcze nie przekonał, że siedliskiem nerwów jest mózg a nie serce, odrzekł z powagą: zaiste tak jasno rzecz wyłożyłeś, że gdyby nie text Arystotelesa, nerwy z serca wywodzący, stanąłbym po twojéj stronie (1). Ileż to takich filozofów dziś jeszcze naliczysz! Za nic im najoczywistsze dowody rozumu i zmysłów świadectwo, bo skoro inaczéj napisano u Arystotelesa, to im więcéj znaczy nad pewność własną, bezpośrednią! Otóż rzetelny filozof, pasek powagi zostawia dzieciom myślenia, a puszczając się w drogę ku mądrości, słucha rozumu objektywnego, czyta wielką księgę natury i dziejów człowieczeństwa. Przyjdzie mu nieraz roześmiać się z tego co za jutrznianych dni swoich uważał za kwintessencyą mądrości, przyjdzie mu także poprawić co mu w domu lub szkole błędnie wyłożono: słowem musi robotę rozpocząć na nowo, przejrzeć cały billans wiedzy, odwiać z tradycyjnéj mądrości plew wiele i powiedzieć sobie ironicznie: to tylko wiem, że nic nie wiem; tyle lat pracy i tak mało owocu! To go uczyni prawdziwie skromnym i różnym od nadętych mędrców szeroko rozprawiających o topografii i statystyce tamtego świata, a nierozumiejących najpowszedniejszych zjawisk tego. Wszakże gdy zrzucisz juki powagi, staniesz się podejrzanym, okrzyczą cię panteistą, racyonalistą i Bóg wie nie czém, byle tylko pokazać ubóstwo ziemskiéj mądrości, twoję zarozumiałość i ograniczoność rozumu. Skoro nie idziesz z owcami, wilki cię zjedzą. Szukający więc prawdy gotów być musi na wszelkie obelgi ze strony obłudników, musi mieć odwagę na prześladowania i oszczerstwa. Dość tu wspomnieć Arysto-

(1) L. Feuerbach P. Bayle.

telesa, Sokratesa, Brunona, Spinozę, Galileusza, którzy swoje przekonania drogo okupili. Ileż to ofiar otumaniona ludzkość uczyniła, nim się swoboda myśli przyjęła! Nagrodą zatém filozofii za jéj najszlachetniejsze dążenia były: prześladowanie, oszczerstwo, nędza a często śmierć jéj apostołów. Na chwałę jednak rozumu, praca nie ustaje, znikają pokolenia, przychodzą nowe, świeżych prowadząc zapaśników. Piękna to jest walka, uroczysta i jedynie myślącym właściwa. Kto skosztował radości, jaką samodzielne badanie prawdy w duszy człowieka rodzi, ten głuchym będzie na krzyki gawiedzi, owego *ignavum pecus* żywiącego się miodem pszczół, które ściga i gryzie. Szukanie prawdy, to cel duchowy naszego życia, znalezienie jéj to ambrozya Olimpijskich bogów! Ale wracajmy do rzeczy. Mamyż dostateczne środki do poznania prawdy? sąż nasze władze wystarczające i jakie one są? Oto co trzeba rozważyć.

**Podmiotowe źródła poznania.** Słyszymy aż do znudzenia powtarzaną zwrotkę, iż rozum nasz ograniczony, zmysłowością otulony a więc niedołężny, do poznania pewnych prawd niesposobny, że nawet w tém co mu dostępne nie ma pewności, lecz co najwięcéj prawdopodobieństwo. Zastanówmy się nad tém. Naprzód trudno przypuścić, aby człowiek wyszedł z rąk natury niedołężniejszym od reszty stworzeń; jestto fakt niepotrzebujący dowodzenia: jeżeli zaś one mimo wiedzy cel swojego życia osięgają, żeby on obdarzony rozumem, nieskończoność w sobie piastujący, będąc palmą całego świata, nie mógł poznać celu swojego, i nie miał środków do jego osiągnięcia. Jakoż, celem naszym materyalnym jest zachowanie rodzaju; duchowym, poznanie prawdy. Tą prawdą, jak już wiemy, jest cała rzeczywistość. Ona leży przed nami; możemy ją zmysłem dotknąć, rozumem pojąć. Dwa te więc źródła, czy środki poznania, byleby zdrowe były, dają nam pewność najoczywistszą, bo bezpośrednią. Psychologowie wyliczają rozmaite władze duszy, jakoto: wyobraźnią, fantazyą, pamięć, rozsądek, rozum, wolą. Wszystkie one służą nam do poznania prawdy i mają swoje czynności w duchowym organizmie. Jedne z nich wszakże są więcéj zmysłowéj natury, jak:

pamięć, wyobraźnia; drugie, jak: rozum i wola duchowéj; pierwsze odnoszą się do zewnętrzności bytu, drugie do wewnętrzności, istoty. W ostatnich czasach próbował u nas Trentowski obdarzyć człowieka nową, dotychczas nikomu nieznaną władzą, tojest mysłem. Mysł ten ogłosił, jako jedynie zdolną władzę do pojęcia prawdy całéj; bo rozum zajmuje się podług niego tylko empiryą, bytem rozciągłym, obok siebie i po sobie istniejącym; a umysł duchowością, wewnętrznością, idealnością. Ztąd pierwszy był zawsze ojcem empiryi, realizmu, drugi spekulacyi, idealizmu. Mysł zatém będący summą władz wszystkich i zlaniem rozumu i umysłu, rodzi prawdziwą filozofią i ugląda świat rzeczywisty, czyli boski. A jako zmysły i ich król rozum, ciało mają swym tronem, jako umysł, ducha jest okiem, tak mysł jaźni pełnomocnikiem. Jaźń znowu, to transcedentalna jedność ciała i ducha. Wypadało zatém z téj teoryi poniżyć rozum i umysł, jako jednostronne a podnieść mysł, jako wszechstronny, nikomu dotychczas nieznany a mający zacząć nowy okres w rozwoju filozofii. Czytamy tedy o rozumie co następuje: „On jest królem wszystkich zmysłów, bierność jest jego naturą (?) (a czynność nie?). Zmysł i wyobraźnia mówi: *jest tak;* pamięć znowu mówi: *tak było;* rozum wreszcie woła: tak było i tak jest, a więc i *tak będzie.* Za granice konieczności i ogólności, tojest gminnego poznania nie wychodzi rozum nigdy. On panuje w kuchni, stajni, stodole, na wszystkich obszarach saméj realności" (1). „Umysł, zaś widzi li umysł, ideę, idealność, jego przedmiotem jest podmiot. Umysł nie zna przedmiotu istotnego... Zmysł widzi najgrubszą realność a umysł najczystszą idealność (2). Teraz posłuchajmy, jak mysł wygląda. „Mysł jest ojcem, pierwiastkiem i źródłem tak zmysłu jak i umysłu. Mysł jest tedy całkowitą jaźnią naszą... Mysł jako zmysł i umysł, a więc jako bierność i czynność nasza w jednym zlewie jest dzielnością, a jeżeli rozwikłał się należycie, samodzielnością. Mysł widzi wprawdzie materyą i ducha, boskość przecież jest wszędzie spojrzenia jego celem. Mysł będąc jednią rozumu i umysłu, obejmuje

(1) Myślini. T. I, str. 331. (2) Idem. Str. 336.

wszystko co do tych dwu władz należy; jest zatém zmysłem, wyobraźnią, pamięcią, rozumem, umem, rozsądkiem i umysłem. Mysł jest ostatnią i najwyższą jaźni naszéj potęgą" (1).

Teraz pytamy wszystkich Polaków, uczonych i nieuczonych, czy wiedzą, czém jest mysł? czy przynajmniéj odkryli go w sobie? Co do nas mimo zręcznego wywodu etymologicznego, mysłowi przez autora poświęconego, nie mogliśmy go ani w sobie, ani w nikim ze znajomych odkryć; zaczém oddając cały szacunek Trentowskiemu, oświadczamy, iż jego mysł, ten mniemany skarb filozofii polskiéj jest złudzeniem i ani do zrozumienia psychologii, ani do rozwoju filozofii w ogóle nic się nie przyczynił. Co do jaźni i my używamy czasem tego wyrazu, ale tylko w tém znaczeniu co Niemcy *das Ich*, na oznaczenie indywidualnéj świadomości siebie. Jeżeli zaś ta jaźń ma być czémś trzeciém, z duszy i ciała złożoném, choćby nawet transcedentalnie; to w pokorze wyznajemy naszą nieudolność do jéj pojęcia. Nie słyszeliśmy też, by kto był szczęśliwszy i znalazł mysł w sobie.

Niemcy mają także dwa wyrazy na oznaczenie naszego rozumu: *Verstand* i *Vernunft*. Pierwszy tylko rozkłada, klassyfikuje, czepia się powierzchowności, zewnętrzności; drugi ugląda jedność w wielości, zgodę w rozmaitości, ogół w szczegółach i jest jedynie właściwym organem myślenia filozoficznego. Nazwijmy go umysłem. Otóż ten umysł buduje systemy, składa rozerwaną przez zwyczajny rozum całość wszechrzeczy, a gdzie mu pewnego ogniwa zabraknie, sztuczną kategoryą nadsztukuje. On to był ojcem téj spekulacyi, o któréj professorach powiada Heine, iż „świat dla nich jest za fragmentaryczny, więc go szmatami swoich szlafmyc i szlafroków łatają" (2). Wprowadzenie téj różnicy po-

(1) Myśliui. T. I, str. 339.

(2) Zu fragmentarisch ist Welt und Leben
Ich will mich zum deutschen Professor begeben;
Der weiss das Leben zusammen zu setzen,
Und er macht ein verständliches System daraus:
Mit seinen Nachtmützen und Schlafrokfetzen,
Stopft er die Lücken des Weltenbau's.

*I. Band. Buch der Lieder.* Wyd. 1863 r.

między rozum i umysł jest bezzasadne, bo jestto ta sama władza, tylko w innéj czynności. Niemców wszakże poprawiać nie myślimy, kiedy im dogodnie z temi różnicami, niech daléj umysłem budują systemy. Dla nas wyrazy: rozum i umysł są identyczne; przyjmując nawet między nimi różnicę, utrzymujemy za rzecz niezawodną, iż zarówno są potrzebne empirykowi, jak i spekulantowi. Ten sam rozum rozbiera i składa, widzi materyą i ducha; tylko chęć nowości mogła spowodować filozofów do takiéj psychologii, o jakiéj była mowa. Nastała moda żartować sobie z rozumu i rozsądku, jako panujących „w kuchni i stajni" niezdolnych pojąć „wieczności, godności człowieka, nawet najprostszych zasad moralności"; wymagano zaś po filozoficznym adepcie, by się na skrzydłach umysłu i mysłu wznosił w eteryczne regiony abstrakcyi, gdzie próżność buduje karciane pałacyki metafizyczne. My uważamy rozum po staremu za najwyższą władzę w człowieku, w któréj ześrodkowywa się wszystko cokolwiek wyobraźnia przyniosła, co pamięć zachowała, co rozsądek roztrząsnął, rozsądził. Nie zazdrościmy nikomu tego bogactwa władz duchowych nieokreślonych ściśle, a ztąd dających się przestawiać podług obmyślanego systemu. Wypada nam wszakże bliżéj okazać, jak rozumiemy źródła poznania.

Wiemy z doświadczenia własnego, że człowiek składa się z ciała i ducha; ciało jego wystawione na oddziaływanie świata zjawiskowego, ostrzega go o bytności materyi za nim; duch oglądający siły w przyrodzie, rozumność w jéj rozwoju, widzi także za sobą rozum lubo nieświadomy siebie. Człowiek tedy jest przeświadczeniem całéj natury, zarówno materyi jak i ducha ogólnego. Otóż człowiek party żądzą poznania prawdy, ma dwa jedyne do jéj poznania narzędzia, tojest ciało i ducha. Ale ciało, jako część ogólnéj materyi dopiéro w zmysłach znajduje swój wyraz, dlatego zamiast mówić, że ciało, mówimy, że zmysły dają nam najpierwsze wyobrażenia o istnieniu świata przedmiotowego. Duch znów jednostkowy w rozumie ma swojego przedstawiciela; dlatego mówimy o rozumie, jako drugiém źródle poznania. Przyjrzyjmy się lepiéj obojgu.

Zmysły rozłożone po całém ciele są niby oknami, przez które zagląda do ducha naszego rożnobarwny świat nas otaczający. Jako bezpośrednio stykające się z przedmiotowością, są też najlepszymi jéj przewodnikami do naszego wnętrza. Wiadomo, że człowiek pozbawiony pewnego zmysłu, nie ma wyobrażeń jemu odpowiednich.

Byle zmysły były zdrowe, t. j. chorobą ani sztuką nie zepsute, dają one nam dostateczne o rzeczach wyobrażenia. Ale tu zaraz przychodzi zarzut zawsze zmysłom czyniony, że im ufać nie należy, bo przecież mówią one nam o wschodzie i zachodzie słońca, a rzecz się ma zupełnie odwrotnie; przesyłają nam z odległości przedmioty mniejsze, aniżeli te są w istocie i t. p. Na to już dawno odpowiedziano, że wyobrażenia przez zmysły dostarczone, należy rozumem prostować i dochodzić istoty każdego zjawiska. Zmysły bowiem dają nam wyobrażenia niezupełne t. j. co do jakości lub ilości różne od tego czem są przedmioty. Dlatego też nie same zmysły, ale łącznie z rozumem, są prawdy źródłem.

Między zmysłami a rozumem środkują: wyobraźnia, pamięć i rozsądek; pierwsza daje nam wyobrażenia (notiones v. ideae), pamięć je zachowuje a rozsądek tworzy pojęcia i sądy (conceptus et judicia), z których rozum wyprowadza wnioski (ratiocinia). Jest on właściwém narzędziem poznania (chociaż narzędzie daje nam bardzo mechaniczne wyobrażenie) nietylko dla „kuchni i stajni" ale dla całego królestwa duchowości, wewnętrzności i idealności. Nie masz nic takiego, czegoby pojąć nie mógł: jeżeli nie dziś, to za rok, sto, tysiąc lat; jeżeli nie w tym jednym człowieku, pokoleniu, to w całéj ludzkości. Rozum jest we świecie, rozum jest i w nas; nie są to dwa różnorodne rozumy, ale jeden i ten sam, przenikający materyą nieorganiczną i organiczną, człowieka i dzieje ludzkości: słowem jest to ta sama wstęga ślubnym węzłem łącząca wszech istnienia kręgi. Dlatego to z takim zapałem szukamy rozumowości zewnątrz nas, że rozumowość nasza jest tylko cząstką tego ogólnego rozumu. Jak w magnesie biegun północny goni za południowym, tak człowieczy rozum dąży za rozumem przedmiotowym. Ta prawda jest zdobyczą nowszéj filozofii, niesłychanie ważną, bo

oddtąd nie można zaprzeczać kompetencyi jednostkowemu rozumowi do poznania prawdy. Swiat przestał być sztuczną machiną a stał się jedném wielkiém pojęciem; rzecz każda otrzymała cel swój w sobie i na myśl zamienioną została; związek między człowiekiem a naturą okazał się koniecznym i rozumnym. Ztąd widać, że nie uwłaczamy dotychczasowéj filozofii w tém co istotnie wielkiego i prawdziwego zdobyła, ale owszem przyjmujemy te złote myśli, jako zadatek dalszego filozoficznego rozwoju.

Ma zatém człowiek dwa główne źródła poznania prawdy, t. j. zmysły i rozum; zmysły podają mu materyał, który przegląda, porządkuje, istotność od przypadkowości odróżnia, ogólizuje, tworzy z sądów wyniki i buduje świątynią wiedzy. Lecz nietylko w przedmiotowości dotykalnéj, ale zarówno w moralności, obyczaju, prawie, sztuce i umiejętności śledzi zasadnicze prawa, a to mocą wrodzonéj mu siły abstrakcyi, idealizowania. On w moralności powiada: jesteś wolny a więc za czyny swoje z namysłem dokonane odpowiedzialny. Czyń swoję powinność — oto twój zakon! On uczy, że cnota sama sobie wystarczy i obejdzie się bez nagrody, bo jest oraz najwyższém szczęściem cnotliwego. On uczy nas powinności z istoty natury naszéj płynących, od których nigdy, nigdzie i nikomu usuwać się nie wolno. W prawie, powiada: jesteś sobą, szanujże każdego jako osobę tobie równą. W sztuce pragnie widzieć doskonałe przeniknięcie się materyi i formy podług przytomnego mu ideału. W umiejętnościach ostateczne daje słowo i nie zna apellacyi. Gdy więc nietylko jako teoretyczny, poznający, ale jako praktyczny, jako wola, t. j. gdy pomysły i zasady poznane w rzeczywistość wprowadza; gdy, mówię na obu tych polach słucha nieomylnych, logicznych praw myślenia, po co nam jakiegoś mysłu, jakiejś intuicyi gmatwających stare i dobrze znane rzeczy?

Ustać też powinny owe niedorzeczne utyskiwania na rozum *jednostkowy*, bo w każdym duchu znajduje się rozum ogólny, objektywny. Zatém każdy człowiek uczestniczący w tym skarbie darmo mu z natury danym, byle nie zaniedbał rozwinąć należycie zdolności swoich, obejdzie się bez szczudeł, pasków i okularów, któremi go darzą płaksiwi opiekunowie rozwodzący żale nad ograniczo-

nością jednostkowego rozumu. Rozum nie jako widzimisię tego lub owego, lecz jako rozumność odpowiednia rozumności zewnętrznéj, a więc jako uogólniony i treścią przedmiotowego rozumu wypełniony, jest jedynym mistrzem i władcą w powiatach myślenia.

Bliższe wyświetlenie czynności rozumu tudzież innych władz umysłowych, iak niemniéj wywód ich czynności i uporządkowanie należy do antropologii i psychologii; tu nadmieniliśmy tyle ile do przedmiotu zdawało się koniecznem. Wszakże dodać wypada, że i psychologia wtedy trafi na istotne pojęcie ducha, gdy tak zwanych władz umysłowych przestanie do niego przyczepiać, gdy go pojmować będzie jako zawsze identycznego ze sobą, czy to się objawia w wyobraźni, fantazyi, uwadze, sądzie; czy w rozumie i woli. Jest on zawsze ten sam, tylko, w coraz innéj czynności.

Wiemy już tedy, że celem filozofii poznanie prawdy, że do jéj pojęcia jesteśmy dostatecznie zaopatrzeni; pozostaje tylko, stósownie do założenia powiedzieć słów kilka o tak zwanych kryteryach, czyli sprawdzianach poznania. Na nicby się bowiem nie przydał nasz mozół, gdybyśmy nie mieli pewności, żeśmy prawdę znaleźli.

**Sprawdziany poznania.** Jak mamy dwa źródła poznania, tak dwa są sprawdziany jego. Jak poznając prawdę, własnych muszę używać zmysłów i rozumu; tak sądząc o tém poznaniu, o jego mylności lub prawdziwości, zmysłami i rozumem sądzić muszę czyli *bezpośrednio*. Bezpośredniość więc jest jedynym i wystarczającym sprawdzianem poznania. Wytłumaczmy się z tego. Utrzymują niektórzy, że poznanie nasze zawsze jest pośrednie, tojest, że podmiot wchodzi w stosunek z przedmiotem, a następnie powstaje wiedza tego przedmiotu. Nic nadto sprawiedliwszego. Ale czyż i w takim razie ta okoliczność, że ja, człowiek sobie przytomny za pośrednictwem własnego myślenia przedmiot ów pojąłem i zrozumiałem, nie powiada mi, że to zawsze jest poznanie bezpośrednie? I daléj prawdą jest, że człowiek jak pająk sam z siebie snuć wiedzy nie może, ale oprzeć się musi na pracy zmarłych geniuszów i pokoleń, że mu książka, nauczyciel lub ojciec pośredniczy w nabywaniu wiadomości; ale jak

te wiadomości z jednéj strony same mogą jeszcze być fałszywe: tak z drugiéj służą tylko do rozwinięcia zdolności osobistych, a nigdy o prawdzie nie przesądzają.

Otóż, gdy mi idzie o pewność, czy poznany przedmiot zmysłowy tém jest, za co go mam, biorę go do ręki, na język czy przed oko i orzekam, że poznanie moje zgadza się z takowym lub nie. Czynię to bezpośrednio i niczyjéj nie potrzebuję powagi, wiedząc, że mam tak dobre, a może lepsze jak kto inny, zmysły.

Pewnikiem tu dla mnie jest: czuję, a więc rzecz jest. Gdy mi znów idzie o poznanie przedmiotu umysłowego, także się obejdę bez cudzéj pomocy. Skoro bowiem sam jestem duchem, rozumem, umysłowością, więc zdołam także ujrzéć duchowość, rozumowość za sobą. Niczyje zapewnienie, niczyja powaga, ale bezpośrednio rozumem zbadana rzecz, prawda, system czy zasada, wystarcza mi do pewności.

Zgodzić się tu musi każdy z naszym Trentowskim, który rzecz o kryteryum poznania doskonale wyłożył. Tylko, że u niego są trzy źródła poznania: zmysły, umysł i mysł; zaczém i sprawdzian na tych trzech zdolnościach jest oparty. My nie przyjmując mysłu, ograniczamy zakres krytyki do zmysłów i rozumu. Otóż co mówi Trentowski o bezpośredniości poznania, jako jedynym tegoż sprawdzianie: „Sprawdzian poznania nie może się w żadnéj obcéj filozofii znajdować, lecz musi być w nas samych, w naszém przeświadczeniu. Jakoż nie kto inny, ale tylko ja sam trzymając się mego mozolnie zdobytego i milionkroć wypróbowanego przekonania rozstrzygnąć zdołam, czyli dana mi umiejętność jest prawdziwa lub nie" (1).

Zarzucić tu ktoś może: ale przecież nie możemy być wszędzie, wszystko wiedzieć, wszystkiego dotykać, a mimo to uznajemy wiele takich rzeczy za pewne, o których, że są, wiemy z ust obcych. Tém bardziéj nie żyliśmy w przeszłości, przed lat stem, tysiącem i dawniéj, a jednak jesteśmy pewni że był Cezar, Hanibal, Mojżesz, że takie a takie wypadki historyczne zdarzyły się rzeczywiście. Na to zgoda, że o tych rzeczach nie wiemy bezpośrednio, ale za

(1) Myśliwi. T. 1, str. 369.

to do nas należy krytyka i wybadanie o ile świadkowie są wiary godni, o ile opowiadania ich zgadzają się z niezmiennemi prawami rozumu i myślenia. Tu mi posłużą zasady krytyki historycznéj, tak iż gdy owo obce świadectwo wyjdzie z niéj cało, daje mi najzupełniejszą pewność o prawdziwości opowiadanych zdarzeń równającą się poznaniu bezpośredniemu.

Nie zawsze atoli jesteśmy w stanie każdego czasu zupełną poznać prawdę; nieraz wypada przestać na *prawdopodobieństwie*. Jest ono bardzo słabym w porównaniu z bezpośredniością poznania, jego sprawdzianem, albowiem puszczając się w krainę możliwości, często pomylić się może ze swoimi wnioskami. Arystoteles powiada, że prawdopodobieństwem jest to „co wszystkim, albo wielu, albo przynajmniéj kilku roztropnym, prawdą się być zdaje" (1).

Oczywista, iż tu wszystko zależy od ilości spostrzeżeń, kto je czyni i o ile podane cechy do ścisłości orzeczenia się stosują. Tak np. wnioskuję, że młodzieniec ów, zdolny, pracowity, pilny, może wyjść na uczonego. Pracowitość, zdolność są tu przymiotami do uczoności niezbędnymi; ale równocześnie wiem, że liczne okoliczności mogą je nadwerężyć a tém samém przeszkodzić mu do stania się uczonym. Orzeczenie więc, jakie w rozumowaniu na prawdopodobieństwie opartém przyznajemy podmiotowi, jest tylko możebnością. Tam tylko jest prawda, gdzie orzeczenie kategorycznie i apodyktycznie przyznajemy podmiotowi, gdy mówimy tak jest, tak być powinno.

Z powyższych tedy względów, wartość prawdopodobieństwa jest bardzo ograniczona, lubo zupełnie odrzucona być nie może. Są też rozmaite stopnie prawdopodobieństwa, o których mowa należy do logiki; tu tylko pamiętać jeszcze należy, iż w kwestyach moralności, probabilizm nie ma żadnego znaczenia.

Przychodzi teraz rozważyć sprawdzian trzeci i najsłabszy: mamy tu na myśli tak zwaną *zgodę powszechną*, consensus gentium.

Nic pospolitszego nad zdanie: wszyscy tak mówią, a więc jest prawdą. Naprzód nigdy wszyscy w ścisłém

(1) Topica l. 1. c. 1.

znaczeniu o niczém zgodnie nie mówią: a choćby i mówili, to niepodobna pytać ich o zdanie. Cóż wreszcie łatwiejszego dla mass nieoświeconych, niemyślących, jak powtarzać cudze myśli i ich się zastawiać powagą? Oto co mówi Trentowski o téj zgodzie powszechnéj. „Prawda, iż *vox populi, vox Dei*, ale to ma znaczenie li na polu moralném. Ale za obrębem moralności, jest *vox populi vox absurda*. Lud chiński, japoński, indyjski, a nawet europejski, jakież ci plecie smalone duby! On wierzy chętniéj w oczywiste przesądy, niż w prawdy: służy chętniéj gusłom i szarlataństwom, niż poznaniu... Czyż podobna wreszcie, aby w jakimkolwiek punkcie filozoficznym wszyscy ludzie zgodzić się zdołali? Tu każdy ma i mieć powinien inne zdanie. W najszczęśliwszym razie rozstrzygałaby większość głosów, jak na sejmie. Poznanie natenczas wyszłoby z rąk jeniuszów i ludzi znających się na rzeczy a stałoby się głupiéj czerni dziedzictwem" (1). Odwoływanie się więc do zgody powszechnéj jest najsłabszym dowodem rozumującego, tudzież najuboższym, a mówiąc lepiéj, żadnym sprawdzianem poznania. Nawet w moralności zgoda powszechna nic pewnego stanowić, żadnéj zasady postępowania za normę kłaść nie zdolna. Najwięcéj, że o pewnym fakcie jednostkowym, o téj lub innéj osobie może powiedzieć, iż jest moralną lub niemoralną; ale i wówczas jeszcze zapytać się wypada, jakie owa massa zgadzająca się w tym punkcie, ma pojęcie o moralności. Tak np. Indyanin dla chwały swojego bóstwa, wisi uczepiony za żebro na wysokiéj żerdzi, a lud mu przyklaskuje i świętym go zowie; inny całe życie przemedytuje stojąc lub siedząc w kuczki i szepcząc tajemnicze *oum*, a lud ze czcią nań spogląda. Któżby znów przy zdrowych zmysłach brał to za cnotę i nazywał go moralnym, kiedy to poświęcenie nędzoty i próżni duchowéj jest owocem? Filozof zatém nigdy dla przekonania o prawdzie, do zgody powszechnéj się nie ucieknie, wiedząc że ta użyczyła i użycza swojéj firmy największym niedorzecznościom.

Na tém podług założenia, kończy się nasza rozprawa. Dotknęliśmy ważnych kwestyj filozoficznych i to bar-

(1) Myślini. T. I. Str 370.

dzo zdaleka, ogólnikowo; wszakże szersze wywody do dzieł specyalnych należą. Z przesłanek zaś choć te krótko odprawione, każdy może wyciągnąć wnioski. Lecz nie tyle krótkość wykładu, ile raczéj samo orzeczenie filozofii i ztąd reszta rzeczy płynąca, mogą poważne spotkać zarzuty. Powiedzą nam może: nic nowego, lepiéj było pozostać z tym utworem w ukryciu „nonum ad annum" jak to nam pewien recenzent z innéj okoliczności, pompatycznie powiedział i do szkoły odesłał. Wszakże nie o takich idzie nam recenzentów. Są ludzie kochający umiejętność naszę całemi siłami, ale opanowani gorączką błyszczenia, jednym zamachem powalają największych geniuszów, by się zasłonić od zarzutów przed nauką i własne zakryć ubóstwo. Budują tedy systemiki, które sami przeżywają. Ale to pochlebia próżności. System idealno-realny! wielkie słowo, ale za tym szyldem same zlepki cudzéj pracy. Otóż tacy powiedzą: nic nowego, idealizm absolutny, stanowisko przeżyte! Co do nas przekładamy konsekwentny idealizm lub realizm, nad tę mieszaninę najróżnorodniejszych części jakie przedsiębierze eklektyzm i synkretyzm. Powierzchowne rezonowanie przeplatane technicznymi wyrazy tak dziś powszechne, jest owocem tego chwiania się, zlepiania starych gruzów z nowym materyałem.

Czasy nasze są przeważnie eklektyczne, mianowicie też w umiejętnościach filozoficznych. Filozofowie dzisiejsi przezwyciężywszy jak mówią stanowisko Heglizmu, cofają się do czasów Arystotelesa, Leibnitza i Kanta. Herbartyści nawet atomistykę przywrócili do życia i duszę ludzką zamienili na cyfrę. Teraz piszą psychologią opartą na mechanice. Co za postęp! co za pewność! Lepiéj było zostać przy absolutnym idealizmie, bo ten przynajmniéj konsekwentnie postępował i wiedział że statyka do psychologii stosowaną być nie może. Nie masz wreszcie idealizmu bez realizmu, jak nie ma materyi bez siły a ducha bez ciała; ten więc tylko jest w błędzie, kto albo materyi albo ducha zaprzecza. Najwłaściwiéj zatém postępuje ten, kto chcąc poznać prawdę, obserwuje zjawiska będące niejako twarzami prawdy, bo może przyjść do pewnych rezultatów, opartych nie na marzeniach, lecz na

długiém, mozolném badaniu. To znaczy dla nas położone wyżéj zdanie, że metafizyka oprzeć się winna na fizyce.

Nadto kriteryum na bezpośredniości oparte zdawać się może niewystarczającém; ale tam powiedziano czemu je za dostateczne uważamy. Samo pojęcie filozofii wpłynęło i na wystawienie sprawdzianu. Nie odrzucamy wreszcie powagi płynącéj z prawdopodobieństwa, wiedząc, że niejedna hypoteza okazać się może następnie prawdziwą. Dość tu myśléć o systemie Kopernika; prawdopodobieństwo jest téż w gruncie poznaniem bezpośredniém a więc jego wnioski mają pewne znaczenie dla filozofii.

W ogóle myślą przewodnią w téj szczupłéj pracy była niechęć do „eklektyzmu i synkretyzmu" oraz marzeń abstrakcyjnych z niedoświadczonego rozumu płynących; a chęć zapobieżenia temu na przyszłość przez oparcie filozofii na badaniu natury, ducha i dziejów ludzkości stanowiących istotną rzeczywistość i wyrugowania resztek scholastycznéj barbaryi ze świątyni wiedzy nowoczesnéj.

Nie myśleliśmy téż o tworzeniu żadnego systemu, w znaczeniu jakie do tego wyrazu przywiązano. Zdaniem bowiem naszém, czas systemów już minął, chociaż nie ustała potrzeba filozofii. Pragniemy więc systematyczności, logiczności, konsekwentności w rozumowaniach, nie sztucznych rusztowań, w jakie wciskano świat cały.

Powinien każdy wyrobić sobie jasny pogląd na świat, powinien mieć własne nie widzimisię, lecz przekonanie o wszystkich zagadnieniach rozumu, i dla żadnego systemu, żadnéj powagi, nie zrzekać się samodzielności. Nieomylność téż nie jest udziałem człowieka, dlatego nikt do niéj pretensyi rościć nie może, bo zasób naszych wiadomości i poznania jest i będzie stosunkowo bardzo względny, ponieważ ludzkość żyje i ustawicznie się rozwija; w coraz nowe wstępuje fazy, których matematycznie nie obliczysz. Żyje społeczeństwo, żyć téż powinna umiejętność nie w pajęczych siatkach systemów, ale w stukonarowém, wiecznie zieloném drzewie ludzkiéj wiedzy.

W Warszawie 20 czerwca 1863 r.

# DZIEŃ I NOC.

## SONETY.

---

### I.

Jako jędza zazdrośna noc tuż za dniem w tropy...
Ślady palców różanych mglista ściera ręka,
Po drodze promieniącéj czarne suną stopy,
Wyzywa dzień do walki i cieniem go nęka.

Dzień—młodzian w walce wzrasta, czerpie siły nowe,
Szkarłat mocy wciąż żywiéj wytryska mu z twarzy,
W południe z zaciętości tchem ognistym praży,
Ale pod wieczór skłania okrwawioną głowę.

Noc kładzie na nią stopę—i na dzień omdlały,
Niby piasek grabarski cień rzuca obficie,
Depce, spycha go w przepaść z krańca światów skały—

A na przestrzeń, gdzie jasne promieniło życie,
Roztacza płaszcz zwycięzki pełen ciemnéj chwały!
Dzień zamyka powieki i marzy o świcie....

### II.

Z ćmą puszczyków ochrypłych heroldów twéj mocy,
Z gwiazdą u czoła czarną cienistych promieni,
Ze sztandarem z mgły szaréj o posępna ksieni,
O, ty pogromicielko dnia jasnego—nocy!

Nędzną jesteś w twéj chwale! Odziana jéj mrokiem,
Znikłabyś niewidzialna w majestacie marnym,
Gdyby świetny niewolnik płomiennem swém okiem
Nie zatlił iskr tysiąca w płaszczu twoim czarnym.

Tylko z tych smętnych żarów, z tych ogników stada,
Widać—co zwyciężyłaś i co płaszcz twój kryje!
Ale ze światłych łupów błysk zaguby pada,

I sącząc się po iskrze mur cieniów przebije.
Gwiazdy, noc piętnujecie gorejącém: biada!
Gwiazdy, śpiewacie ziemi: jeszcze światło żyje!

## III.

Jutrzenko, gwiazda twoja piérwszą z jasnych godzin!
Jutrzenko, najjaśniejsza z oblubienic słońca!
Jutrzenko, o zwiastunko wszechświatła narodzin!
Jutrzenko, zastęp blasków śle ciebie za gońca!

Piérwszy promień z twéj gwiazdy wypuszczony złoty,
Strzałą świetną przeszywa zamglone otchłanie,
I warownię ciemności wzywa— o poddanie!
Cienie bledną ze strachu a dzień drży z tęsknoty.

Gdy wschodząca otworzysz pełne blasków dłonie—
Cmy jak zlane hyzopem rozpływają w parę.
Świat wolną dyszę piersią i w łzach wdzięcznych tonie.

A gdy nocy posępnéj cienistą kotarę
Znagła w górę uniesie ręka twoja biała—
Dzień jasny zmartwychwstaje a świat krzyczy: chwała!

## IV.

Chwała, chwała światłości! wszelkie życie woła.
Chwała! poważnie szumią drzew szczytne korony.
Chwała! w wonnym oddechu powtarzają zioła,
Chwała! kłosy na łanach i biją pokłony.

Chwała! niememi usty ryby z fali pluszczą,
Chwała! brzęczą owady po kwiecistéj błoni,
Chwała! ptastwo w powietrzu pełnym chórem dzwoni,
Chwała! ryczą zwierzęta i wstrząsają puszczą.

Porannych świeżych wiatrów fala rozbujała,
I bałwany wód morza o krawędzie świata
Uderzają pobudkę: chwała, chwała, chwała!

Lecz w hymn nieskończoności chaos dźwięków splata,
Głos jeden, co przenika rozbrzmiałe przestrzenie,
Głos człowieka, co woła: chwała ci, zbawienie!

*S. G.*

# KRONIKA PARYZKA

## LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Czarne Szatany" dramat pana Sardou — „La Maison de Penarvan" czteroaktowa komedya Juliusza Sandeau. — Romanse Pawła Feval. — „La San Felice" powieść Alexandra Dumasa. — „Le Maudit" romans w trzech tomach wydany bezimiennie. — „Zbiór zupełny poezyj" pana Sainte-Beuve. — „Les Dieux et les demi-dieux de la peinture" przez pp. Gautier, Houssage i Saint-Victor. — Wiadomości literackie.

Zaczynamy od teatrów, w których skupia się zwykle życie umysłowe pod koniec roku. Paryż zajęty cukierkami i tańcem, nie ma czasu otworzyć książki: na scenie obejrzyć utwór modnego dramaturga, to wszystko co w téj chwili dla piśmiennictwa uczynić może.

„*Czarne Szatany*" czteroaktowy dramat Wiktoryna Sardou, wcale nie usprawiedliwia ogromnego wzięcia, jakiego tu używa. Utalentowany *vaudevilista*, trafny malarz sercowych subtelności, przedzierzgnął się nagle w bulwarowego melodramistę: porzuciwszy rodzaj miniaturowy, wziął się do malowania dekoracyj. Ostatnia jego sztuka nie jest na swoim gruncie w Vaudevillu: właściwe jéj miejsce w teatrze de la Gaité, gdzie dla zabawienia publiczności potrzeba koniecznie podpalać, truć, mordować, a przynajmniéj okradać. Z treści „*Czarnych Szatanów*" czytelnik przekona się jak daleko autor *Ganaszów* odbiegł od maniery, w któréj zasłynął.

Dramat rozpoczyna się w opustoszałym zamku normandzkim. Pani Joanna Olivet, bogata wdowa świeżo otrzymała te zwaliska w spadku, i przybywa je zwiedzić

w powrocie z Dieppe do Paryża. Trzej ubodzy krewni poprzedzili ją tutaj. Są to trzej kandydaci do sukcessyi po Joannie: przez cały ciąg sztuki chodzą za nią jak wilcy za podróżnym czekając aż się potknie, żeby go rozszarpać—bowiem, nieboszczyk mąż Joanny zapisał jéj miliony, pod warunkiem że zostanie wdową. Jeżeli wyjdzie powtórnie za mąż, majątek przechodzi do krewnych. Ci mają nadzieję, że nie długo czekać będą, gdyż pani wpadł w oko niejaki Gaston Champlieu, który w Dieppe przeszywał ją płomiennym wzrokiem zdaleka.

Rozmowa toczy się o tym normandzkim Don Juanie, kiedy przybywa Joanna w amazonce, przestraszona, gdyż o ledwie nie utonęła na wybrzeżu, zaskoczona nagłym przypływem morza.

Wypytawszy o zdrowie, krewni naprowadzają znowu rozmowę na Gastona: dla dowiedzenia się jak głęboko tkwi w sercu pani, zaczynają go ganić gwałtownie. Przedstawiony jako Lovelas najniebezpieczniejszego gatunku, jako uwodziciel pierwszéj próby, tak fatalny płci pięknéj, że gdzie przyjdzie, tam na zawsze przepadają złudzenia, schną serca i łzy wysychają, tém więcéj przyciąga i zajmuje młodą wdowę.

Podczas kiedy go tak malują, pan Gaston wchodzi. Zamówką do niespodzianéj wizyty, bransoleta Joanny którą znalazł nad morzem i odnosi.

Raz wszedłszy do twierdzy wyłomem, nieprzyjaciel postanawia w niéj zostać. Nie tracąc czasu oświadcza się pani ogniście. Ta słucha niby obojętnie, ale znać że w głębi inne ma uczucia. Dla przyzwoitości odprawiając przybysza, powiada mu, iż lepszym jest od swojéj sławy, że nie taki djabeł straszny jak go malują. Wtedy Gaston najeżony jak czart pod kropidłem, opowiada swoją historyą, podobną do ballady o Robercie Diable; powiada, że jest przeklęty! potępiony, przeznaczony do złego jak tygrys do mordu. Dzieckiem, bił towarzyszy, gryzł mamkę; matka, którą wtrącił do grobu, pierwsze jego złe skłonności nazwała niebieskiemi djabłami: z wiekiem, owe diabły zczerniały... Teraz pozostaje całkowicie w ich mocy, musi robić co zechcą: jest graczem, pijakiem, rozpustnikiem, kłamcą, z resztą najlepszym w świecie człowiekiem,

gotowym unieszczęśliwić kobietę, któraby go pokochać mogła.

Po tym bezwstydnym prospekcie, należałoby obaczyć łotra nadzwyczajnego. Tymczasem pan Gaston okazuje się bardzo zwyczajnym urwisem.

Rozstali się państwo młodzi. Noc zapada. Joanna oczarowana przez węża, którego słuchała ma się udać na spoczynek, kiedy słychać stukanie... Gaston powraca po zapomnianą laskę. Pani otwiera. Podczas kiedy on szuka zguby, wybucha straszna burza; *Czarne szatany* musiały rozpętać żywioły na korzyść swego ulubieńca: w dramacie i romansie nawałnica z uwodzicielem znają się jak łyse konie.

Dzieje się tedy, że pan Gaston wszedłszy nie może już wyjść. Wiatr przyjazny zatrzaskuje drzwi, w których klucz tkwił na zewnątrz; są jeszcze drugie, ale kiedy je ma otwierać, zmyślny przeciąg odrywa klamkę i za jednym zamachem gasi świece. Zostaje okno. Można uwziąwszy się, wyjść tędy, z pomocą sznura ukręconego z firanki. Gaston powoli ma się już spuszczać, kiedy gwałtowny wicher przedziera zaimprowizowaną drabinę; Joanna przerażona kapituluje: prosi żeby pozostał.

Pomiędzy aktami upływa parę miesięcy. Kiedy drugi raz podnosi się zasłona, Gaston jest już kochankiem Joanny, a co gorsza, jéj bezpłatnym lokatorem. Widzimy go jak wraca do domu z miasta, na pół pijany, blady do zieloności, z dzikim wzrokiem i rozwiązaną krawatą.. w całym przyborze zaskoczonego przez dzień biały, rozpustnika. Spędził noc na podłéj hulance, którą opowiada napuszyście, jakby kolacyę u Lukrecyi Borgia. Słuchającemu tych niewczesnych deklamacyj, przychodzą na mysl słowa owego francuzkiego birbanta, co to usłyszawszy grzmoty podczas mięsnéj wieczerzy w Wielki Piątek, zawołał:: „*Voilà bien du bruit pour une omelette au lard!*"

Po scenie kłótni z zazdrosną jeszcze kochanką, zakończonéj zgodą, wchodzi jakaś niecna figura z papierem w ręku. Jestto nocny kolega Gastona przynoszący mu kwit na 10,000 franków, które przegrał do niego w karty i zobowiązał się zapłacić nazajutrz rano u pani Olivet. Kredytor grozi, że jeżeli za godzinę pieniędzy nie odbie-

rze, uda się z rewersem do pani. Dawszy godzinkę czasu, wychodzi.

Don Juan z pierwszego aktu zostawiony własnemu przemysłowi, schodzi po prostu na gałgana. Nie bogaty w pomysły, dla pokrycia długu zamierza okraść kochankę. Kluczyk tkwiący w szkatułce gdzie leżą klejnoty, tę myśl mu nasuwa... Już ma rabować, kiedy wchodzi Joanna; uśmiechnęta, kochająca, sadza obok siebie ulubieńca... a on tymczasem chciwie patrzy na bransoletkę błyszczącą na jéj ręce. Przypadek przychodzi mu w pomoc: odrywa się jeden dyament i upada na ziemię. Gaston przydeptuje go nogą a po wyjściu pani, podnosi i ucieka jak złodziéj.

Powróciwszy za chwilę Joanna dziwi się nagłemu zniknieniu Gastona. Nieco zmieszana, zaczyna szukać po dywanie zgubionego dyamentu: rzekłbyś że szuka w błocie, duszy swego kochanka. Kortyna zakrywa ją w téj pozycyi.

W następnym akcie jeszcze szuka, kiedy wchodzi brudny kolega karciany i podaje kwit Gastona. Dyament wart tylko 6000; domaga się więc reszty. Pani odbiera dyament, płaci i odprawia kredytora.

Zdawałoby się, że takie odkrycie oburzy kobietę, że nie tylko wyrzuty, ale mdłości ją porwą z powodu takiéj miłości. Tymczasem, nie! Zazdrość jedynie czuje: o tém myśli kto jest jéj rywalką w szczytném sercu Gastona?

Bywają namiętności uparte, opierające się rozsądkowi i wszelkim ciosom, nawet spodleniu ukochanéj istoty; ale w uczciwéj kobiecie powinno się choć na chwilę zbudzić oburzenie. Miłość może późniéj powrócić, ale żeby Joanna wtedy, kiedy się dowiaduje, że jest kochanką złodzieja, troszczyła się o kobietę, dla któréj on ją oszukuje, to jest nienaturalne i nieznośne.

Podczas kiedy zgorszeni słuchacze czekają przykładnego ukarania nikczemnika, Gaston powraca. Śmie patrzyć w oczy kobiecie, pod któréj wzrokiem powinienby się w ziemię zapaść. Widząc na jéj palcu ukradziony dyament, myśli tylko o tém jak się z zarzutu niewierności oczyścić.

Sardou nie pochlebił swojemu bohatérowi, ale tak znowu podłym człowieka wystawiać nie był powinien.

Czołgający i łaszący się, przebiegający od kradzieży do zalotów, mówiący o miłości, kiedy rękę w worku trzyma, Gaston przechodzi wszelkie granice ludzkiéj nikczemności.

W tém to miejscu sztuka zwichniona, chybiona, nieznośna, zrywa się nagle z upadku i zdobywa poklaski. Joanna wybucha nakoniec: przygniata Gastona swą wzgardą, pluje mu w oczy krwawą obelgą. Osmagawszy go, chce siebie ukarać. Gniewna jak furya, porywa świecznik i wybiega a za chwilę ukazuje się na tle pożaru: podpaliła dom spodlony, i chce umrzeć jak Dydona na przebłagalnym stosie. Osądziła się i skazała na śmierć; inaczéj nie może odpokutować swéj niecnéj miłości. „Ratuj brylanty!" woła, kiedy Gaston chce ją ratować; on, mimo jéj woli, ratuje ją z płomieni, poczém sam rzuca się w ogień, pojmując że umrzeć powinien.

Na tém należało skończyć. Ale nie byłoby czwartego aktu. Gaston tedy wydobyty nie wiedzieć jak z pożaru, znowu się zjawia i na klęczkach asystuje konaniu Joanny, które przeciąga się do nieskończoności. Tak szczegółowéj śmierci jeszcze nie widziano na scenie: śmiertelne łoże w Vaudewillu przedstawia się odarte ze wszelkiego wstydu, jak w lazarecie.

Jakiż cel? jaki sens moralny tego wszystkiego? Nigdy niebezpieczniejszy, a zarazem nieprawdopodobniejszy dramat nie ukazał się oczom powszechności. Ma wszystko przeciw sobie: brak przyzwoitości, brak prawdy, położenia nie możebne, namiętności nie ludzkie; główna figura antypatyczna od stóp do głowy: wstręt wzbudza ten nowy Robert Djabeł, mocą piekielną usprawiedliwiający swoje grzechy powszednie. Rzemiosło jego od podłości podlejsze. Joanna piękna w finalném oburzeniu, przez cały ciąg sztuki okazuje się niedowarzoną romantyczką.

W niektórych scenach jest siła dramatyczna; w niektórych dyalog dowcipny błyszczy; wszędzie effektowność wielka, spotęgowana przez wyborną grę aktorów. Te zalety olśniewające, zasłoniły czczość i szkaradne wady téj sztuki, nadały jéj owo niesłychane powodzenie, którego do dziś dnia w Paryżu używa.

— Komedya którą Juliusz Sandeau ułożył ze swéj powieści: „*La Maison de Penarvan*" przedstawiona naj-

przód na dworze w Compiegne, została w Teatrze Francuzkim wygwizdaną.... z żalem wielu, gdyż poklask jest niby należną grzecznością temu arcymiłemu talentowi.

Ale tą razą klaskać nie było można, żadną miarą: zalety opowiadania zupełnie znikły w bladém przedstawieniu: autor przez amputacye, sam zabił swoją sztukę.

Powieść drukowana w *Przeglądzie Dwóch Światów*, znaną jest czytelnikom polskim: opowiemy więc tylko ogólne jéj zarysy na scenie.

Rozpoczęcie pozostaje w zamkowych zgliszczach, gdzie panna Penarvan royalistka zapalona i arystokratka zawzięta, opłakuje ojca i czterech braci swoich poległych w wojnie wandejskiéj. Strasznie to etykietalna żałoba! W gruncie panna Renata żałuje tylko wygaśnięcia swojego szczepu. Przy jéj boku, ksiądz Pyrmil, sędziwy mentor, pisze na welinie *...Historyą domu Penarvanów*" panna illustruje rękopism gotyckiemi literami.

Od pierwszéj zaraz sceny wieje z téj sztuki jakaś woń staroświecczyzny, którą w teatrze długo oddychać nie można. Ta panna krzyżowcowa, i ten *abbé* szarmancki, czynią wrażenie mar z grobu wywołanych. Nieznaczny odcień śmieszności już się przymieszał do ich szanownych pojęć.

Heraldyczne rozmowy przerywa sąsiad: młynarz Michaud przybywa w zamiarze nabycia zrujnowanego zamczyska: panna Penarvan patrzy na młynarza jakby patrzyła Bradamanta na żyda targującego jéj zbroicę; kupiec urażony, odchodzi mrucząc pod nosem, iż zna mniéj dumnego Penarwana.

Co to jest? Co to ma znaczyć? woła panna. Labuś, który dotąd ukrywał przed nią bolesną tajemnicę, wyznaje prawdę. Starsza linia Penarvanów wygasła, ale młodsza żyje. Ostatni potomek tego rodu po mieczu, zaparł się wiary przodków, czytał *Voltaira* i *Roussa*, wierzy w „*Deklaracyą praw Człowieka*" i w zasady 1789 roku i żyje jak chłop w zagrodzie *la Brigazière*, a nawet wieść chodzi, że ma zamiar ożenić się z córką młynarza... O zgrozo!! wtedy lwy własnego herbu zjadłyby go niechybnie!..

Na wieść tak straszną Renata nie traci chwili: każe siodłać konia, labusia wsadza na muła, i oboje, przy

okrzyku godłowém Penarvanów, *Penarvan, Toujours avant!* jadą walczyć z wiatrakiem Michauda.

W drugim akcie rycerska panna zjeżdża do folwarku, gdzie sobie wegietuje szczęśliwie Paweł Penarvan, dobry chłopiec, potulny, wiejski filozof, żyjący z wieśniakami i nie pozwalający się tytułować wice-hrabią.

Obaczywszy bohatersko tragiczną kuzynkę w swym dworku Pawełek, czuje się zmieszany, niby królik który się spotkał nagle z nasrożoną lwicą. Panna się jeży... wyrzuca mu chłopskie obyczaje, zwołuje na pomoc całą galeryę przodków, aż zmęczony w końcu Paweł tą chryją, oświadcza, że cienie ojców nie przeszkodzą mu poślubić młynarki!

Postanowienie Pawła niekoniecznieby się podobało słuchaczom w innych okolicznościach; ale dostojna jego krewna tak nadużyła Penarvanów, że każdy gotów wotować za młynarką, i byłby rad, żeby się sztuka tém małżeństwem zakończyła. Prawda, że tym sposobem przepadłaby najładniejszsza scena.

Paweł dowiedziawszy się, iż wygaśnienie starszéj linii, czyni go margrabią, zmienia skórę: przywdziewa haftowane suknie, wypędza kury i odjeżdża do rodzinnego zamku z kuzynką, która go sobie za męża wybrała.

Dwa następne akty umierają z zimna i czczości.

Paweł poślubiwszy dumną Renatę, wnet powraca do swéj La Brigaziery. Usychał z nudów! W tém zamczysku zamieszkałém przez posągi grobowe, towarzystwo złożone z familijnych portretów, a całą zabawą *Historya Penarvanów*. Niepodobna było wytrzymać!

List prawie czuły, przywołuje wkrótce zbiega do zamku. Pawełek jedzie, ale na progu zamiast stęsknionéj żony, spotyka jakąś turniejową damę, która mu przypasuje miecz do boku, wkłada na głowę kapelusz z białą kokardą, i w imię Penarvanów nakazuje ruszać natychmiast do królewskiego powstania.

Na takie *dictum acerbum* Paweł struchlał. Daremnie protestuje, dowodzi że go nie do miecza Pan Bóg stworzył, że woli sadzić kapustę niż zbierać wawrzyny... *Penarvan. Toujours avant!* woła sroga żona i wypycha rycerza za drzwi.

Wojna domowa dość złego robi za domem, nie trzeba jéj tu szerzyć, myśli Paweł—i odjeżdza do obozu.

W ostatnim akcie nie rozwiązanie, ale omdlenie sztuki następuje. Paweł ranny odniesiony do swojego dworku, nie chce żadną miarą wrócić do zamku ojców, gdzie go żona pragnie zamknąć na nowo. Renata zostawiając małżonka własnemu losowi, już ma odejść, gdy posłyszawszy łkanie męża, powraca i żałuje za grzechy. Bohatérka przyrzeka, że odtąd będzie potulną i dobrą żoną; wyznaje, że jeżeli pięknie jest hołdować zmarłym, słodko kochać żywych.

To nawrócenie jest ostatniém cięciem zabijającém sztukę: zniża charakter, który nie będąc powabnym, był przynajmniéj pysznym. W romansie, Renata pozostaje sobą aż do grobu: zamiast serca ma tarczę herbowną, i basta. W teatrze staje się zupełnie nieprawdopodobną. L'abbé Pyrmil nie rzeczywistszy od niéj. Z przyjemnością możnaby go spotkać w jakim romansie Walterskota: na scenie jego miłość dla Penarvanów wydaje się monomanią.

Taka sztuka nie mogła się podobać Paryżanom. Dwóch pierwszych aktów słuchano z przyjemnością, w trzecim nuda wzięła górę: parter znienawidziwszy owych wieczystych Penarvanów, zaczął świstać... podobnie jak świszcze wiatr w ich gotyckim zamku.

---

Wyszło nowe, staranne wydanie wszystkich romansów Féval'a. Jest to dzieło ogromne, chociaż jeszcze nie skończone, autor bowiem co rok parę tomów dorzuca, a sądząc po czerstwości jego ostatnich płodów, wnosić się godzi, że długo jeszcze pisać będzie. Tém lepiéj.

Féval ma prawdziwy talent powieścio-pisarski: sztukę kombinowania przygód i dar zaciekawiania czytelników, posiada do najwyższego stopnia. Nadużywa czasami melodramatyczności, psuje zbytnią bujnością kształty typów udatnych, ale w romansach jego skomplikowanych jak węzły gordyjskie, jest mnóstwo scen porywających, postaci dziwnie prawdziwych i wymownych. Zalety tu przeważają: wady drobne dałyby się łatwo poprawić nie-

co większą powściągliwością pióra i okiełznaniem wyobraźni. Bywają temperamenta zbyt słabe, które tylko blade tworzą dzieła; temperament Feval'a jest zbyt silny i gwałtowny: unosi go, jak koń rozbiegany. Próżno wołasz stój! stój! on leci, nie jest w stanie zatrzymać się w biegu, i to główna jego wada.

Ta przewaga temperamentu nad pisarzem, sprawia, że tyle jest rodzajów powieści, ile powieściopisarzy.

Nic elastyczniejszego nad nazwę *powieść:* obejmuje ona wszelakie rodzaje zapatrywania się na ludzi i rzeczy: kształty romansu spółczesnego są niezliczone. Każdy romansopisarz sławniejszy, z innego punktu na społeczność spoziera. W literaturze angielskiéj najobfitszéj w znakomite powieści, każdy romansopisarz przedstawia inny rodzaj prozy. Walterskot jest najświetniejszym wyrazem romansu historycznego; Dickensa talent kolorowy i humorystyczny, wyobraża fantazyą; Thackercy, satyrę ostrą i kwaśną; Currer-Bell uczucie osobiste, że tak powiem, obronę siebie samego; Gaskell, myśl społeczną i ekonomiczną, wiecznie przytomną umysłowi angielskiemu; Disraeli wyobraża pojęcia polityczne i świat parlamentarny; Bulwer, wysokie życie arystokracyi angielskiéj. Podobnie można zdefiniować tam każdego sławniejszego romansistę.

We Francyi toż samo. Balzak uosabia romans obyczajowy, głęboki, rzeczywisty często aż do brutalstwa; George Sand stworzyła romans idealny, pełen myśli nowych, poglądów i dążeń wzniosłych; Fryderyk Soulié przedstawia romans intrygowy; Alexander Dumas, bajarz uroczy, pozostanie we Francyi niezrównanym mistrzem romansu awanturniczego; Juliusz Sandeau, pisarz perłowy, pełen dowcipu i dobrego smaku, w malowaniu wewnętrznego świata ludzkości celuje; Feval dalekim jest od stylu wyliczonych mistrzów, ale posiada w wysokim stopniu poczucie dramatyczności: definiując jego z kolei, nazwalibyśmy go romansopisarzem dramatycznym.

Nie wiadomo czemu, niektóre umysły, nawet wyższe, mają pewien rodzaj wzgardy dla opowiadania dramatycznego i dramatycznéj strony życia. Sądzimy, iż równie z téj jak z innéj strony wolno się na świat zapatrywać.

Jeżeli celem romansisty jest malować prawdę, prawda jest tak dobrze tu, jak gdzieindziéj. Śmiejemy się ze *zdrajców*, a przecież istnieją; nie naturalne wydają nam się opisy zbrodni — a, niestety, sądom zbrodniarzy nie brak; twierdzimy iż w powieści obłuda przesadzona, intryga bajeczna: tymczasem, siła twórcza pisarzy, najczęściéj nie dorównywa przewrotności niektórych umysłów skażonych. Jeżeli więc to wszystko istnieje, za cóż pisarzowi dramatycznemu wypowiadać wojnę?..

Nie idzie zatém, ażeby spokojne studya psychologiczne miały być niższe, równie jak opowiadania łatwe, proste a rzewne. Jeżeli sielanka zwie się *Mare au Diable*, któż nie przyzna, że to arcydzieło? kogóż nie zachwyci pojedyncza powiastka Juliusza Sandeau? Rodzaj Fevala grubszy, zgoda; ale są tu zalety innéj natury, które w rachunek wciągnąć należy, chociażby jedynie na to, żeby uczcić wielką zasadę, o którą ostatniemi czasy nie mało się sprzeczano: wolność w literaturze i sztuce.

Zgodziwszy się na to, pozostaje stwierdzić, czy Feval odpowiada warunkom swojego rodzaju: każdy bowiem rodzaj ma swoje.

Skoro pisarz puszcza się na niebezpieczną drogę romansu dramatycznego, musi najprzód zrobić znaczny zapas wypadków, następnie takowe wiązać, ciągle zbijając z tropu czytelnika, a nie oszukując go nigdy, w końcu rozwiązać wszystko bez pomocy *Deus ex machina*, ani miecza: bo trzeba węzeł rozplątać, nie przeciąć. Dramatyczne opowiadanie musi zajmować mocno, najpierw przez bohatérów swoich, następnie przez tworzące ich okoliczności, co nie jest rzeczą łatwą we Francyi, gdzie ludzie żyją życiem pełném.

Trzy czwarte czytelników francuzkich nie ma czasu: są to ludzie zajęci własnemi, albo politycznemi interesami, zajęci tém wszystkiém, co się mówi, dzieje, a nawet zamierza w około nich. Z koła tych rzeczywistości wrzących, pisarz powinien ich wyciągnąć li tylko za pomocą swéj wyobraźni i zmusić, żeby prawdę porzucili dla bajki. Nie pójdą za nią, rzucą książkę niezawodnie, jeżeli ich odrazu nie pochwyci i nie dociągnie aż do końca, zanim się spostrzegą. Dramat mianowicie przez to, że serce

ściska i zazwyczaj smutnie się kończy, że martwi lub gniewa, jest nieznośny, jeżeli nie porywa i nie ciągnie. Czytelnik biorąc książkę, powiada z góry: musisz mnie zająć mocno, albo cię porzucę na pierwszéj karcie. Kto do śmiechu pobudza, od tego się mniéj żąda.

Otóż Feval tę sztukę posiada: umie pochwycić i trzyma aż do końca. Mistrzem jest w kombinacyi przygód: układa je tak, że nie można się domyślić końca i czytać trzeba zawzięcie, mniéj dla dowiedzenia się końca awantury, jak przez ciekawość oglądania drogi, którą autor wybrnie z tajemniczego chaosu. Ciekawa rzecz w istocie, widzieć go zagłębiającego się w ciemności swego dramatu; mnożącego osoby i wypadki do nieskończoności, puszczającego się cwałem w gęstwiny kręte, w których co chwila kark skręcić może. Czasami w umyśle czytelnika powstaje zawrót, nie wié już, gdzie się znajduje. Powoli trzymając się wątka, jako nitki Aryadny, wychodzi z ciemnicy; autor zapala lampę i z tego nieładu pewną nogą dochodzi do rozwiązania właśnie z pomocą tych okoliczności, które zdawały się czynić je nie możebném.

Wszystko to dokonane tak sztucznie, że po romansie Fevala, resursa innych pisarzy wydają się słabe; dla przywrócenia równowagi trzeba przypominać sobie, że przygody zajmują podrzędne miejsce w romansie a psychologia i styl pierwsze, że trudniéj zbadać duszę i pięknie napisać kartę, niż zbudować awanturę i pokrzyżować nici mnogich intryg. Mimo to wszystko, Feval zajmuje i porywa! malowidła jego są potężne, rzeźby wydatne, koloryt czasami zbyt jaskrawy, zawsze gwałtownie pociąga zadziwione oczy.

Te są zalety „*Tajemnic Londynu*", dzieła, które uczyniło sławnym Fevala. Odtąd nietylko żadnéj z powyższych zalet nie utracił, ale wiele zyskał. Zdaje się lepiéj pojmować słowa Goethego: „Prawdziwy geniusz jest ten, który się umié ograniczyć".

„*Dramat młodości*" jest wiele obiecującą próbą romansu poufnego. Ostatnie jego powieści: „*Capitaine Fantôme*", „*Jean Diable*", „*Madame Gil-Blas*" i „*Bouche de Fer*" zapewniają Fevalowi nieśmiertelność w literaturze

francuzkiéj; te dwa ostatnie mianowicie, są niepospolitéj wartości.

W *Kapitanie*, Feval maluje stan Hiszpanii w czasie wojny 1809 roku, pod panowaniem króla Józefa. Nie jestto, właściwie mówiąc, historya; jednak kolor czasu i fizyognomia wypadków wyraźnie wybija w tém dziwném opowiadaniu. Feval nigdy głęboko nie bada; ale szczęśliwe zuchwalstwo doprowadza go do efektów uderzających. Nie mając dość nauki, ażeby się wdawał w szczegóły, kreśli szkic bardzo podobny do wzoru, mianowicie, jeżeli nań jak na dekoracye, z pewnéj odległości patrzeć będziemy. „*Kapitan-Widmo*" widziany przez mgłę wspomnień, czyni wielkie wrażenie: obrazy francuzkiego wojska, pejzaże, wśród których odbywa się akcya; fantastyczny rumak, na którym cwałuje widmo kapitana, jako śmierć na fresku Kaulbacha; owa jaskinia godna Anny Radcliffe, gdzie posąg bronzowy pilnuje skarbu i w metalowym uścisku dusi rabusiów: wszystko to ma jakąś piękność dziką, dającą wiele żywych wzruszeń.

„*Jean Diable*" jest w tymże rodzaju jeszcze mniéj rzeczywisty. Bohaterami są dwaj bracia: *Jan Szatan* rozbójnik i *Henryk*, wzór cnoty. Fantastyczny to utwór i ciemny jak noc burzliwa! Charaktery wypracowane starannie. Jest tam policyant nie ustępujący Javertowi, dochodzący prawdy w ciemnościach, któremi ją otoczyła zbrodnia. W umyśle jego tkwi upór matematyka silącego się na rozwiązanie zadania; ma swoją metodę, rachunek prawdopodobieństwa, w który wierzy jak w światło dzienne: pracuje, bada, walczy, męczony przez myśl stałą, tu zbity z tropu, ówdzie zachęcony, zawsze baczny i patrzący. Człowiek ten i jego tajemnica stanowią powab tego romansu dwutomowego, który czasami uciska czytelnika, jak zmora.

„*Pani Gil-Blas*" sama opowiada swoje dzieje, od dzieciństwa aż do zamężcia. Jestto girlanda obrazków i anegdot. W dziecinnych wspomnieniach widać kawałek wojny wandejskiéj. Cały pierwszy tom jest ładny. Drugi w awanturach się wikła.

Główną wadą téj powieści wydaje nam się tytuł. Przypomniawszy typ stworzony przez Le Sage'a, czytelnik

zupełnie inaczéj wyobraża sobie kobietę noszącą jego imię. Bohatérka Fevala nie ma prawa nazywać się panią Gil-Blas. Żeby na tę nazwę zasłużyć, powinnaby mieć mniéj uczciwości a więcéj dowcipu. Pani Gil-Blas powinna być zręczną awanturnicą, puszczającą się w świat z bardzo małym zapasem moralnosci a wielką źle zrozumianą ambicyą. Ta, którą maluje Feval, jest przeciwstawieniem typu Le Sage'a, zasługuje na nagrodę Montyona. Na cóż taką istotę było chrzcić nazwą znaną powszechnie, a odpowiadającą przydomkowi łotra?

„*Bouche de Fer*" przedostatni utwór Fevala, słusznie uważają tu za najlepszy. Arcydzieło swego rodzaju odpowiada wszechstronnie zadaniu romansopisarza dramatycznego. Bohatér téj powieści adwokat Gérard Bouche de Fer, jest wspaniałym wzorem cnoty i poświęcenia. Słoneczna ta figura ma obok siebie człowieka czarnego, zuchwałego oszusta, który w powieści przedstawia pierwiastek złego. Walka szatana z aniołem podobnie jak życie, napełnia tę książkę zawierającą nie mało kart natchnionych.

— Ostatni romans Alexandra Dumasa „San-Felice" zachwyca Paryżanów. Drukowany w feilletonie dziennika *La Presse*, wychodzi powoli kawałkami. O całości sądzić jeszcze nie można, ale początek jest w istocie uroczy.

Powieść historycna z 1798 roku mieści się w neapolitańskiéj zatoce,

Autor wśród niezrównanych krajobrazów miejscowych, maluje przepysznemi barwy wielkie figury działające wtedy na politycznéj widowni. Bonaparte, Nelson, dwór Ferdynanda IV króla Obojga Sycylii i jego żony Maryi-Karoliny córki Maryi-Teressy a siostry Maryi-Antoniny; ówczesny stan Europy, usposobienie panujących, ambassadorowie, admirałowie, kardynałowie, wszystko to żywe a kolorowe, rusza się, mówi i działa w oczach czytelnika.

Jeżeli w ten sposób pójdzie daléj, *San-Felice* będzie jednym z najznakomitszych utworów genialnego romansopisarza.

— Trzechtomowy romans przez duchownego anonima napisany pod tytułem: „*Le Maudit*" do rzędu literac-

kich skandalów należy. Autor przedstawił na scenie życia, księdza, i skreślił wszystkie cierpienia, na jakie narażonym jest w społeczności, będąc człowiekiem jak każdy inny, a wydziedziczonym z ludzkiego szczęścia prawami kościoła.

Łatwo się domyśleć ile przedmiot taki mógł nastręczyć scen bolesnych i okropnych sytuacyj a la Claude-Frollo.

Dzieło narobiło wiele hałasu i wywołało wprost przeciwne oceny. Przeciwnicy ultramontanizmu chwalą zawzięcie; obóz ultramontański jest zgorszony tak dalece, że aż kardynał Donnet w senacie na ten utwór powstawał mieniąc go gorszym od ostatniéj publikacyi Renan'a. Przytaczamy tu własne słowa prałata:

...„Wyczerpaliśmy kwestyą programu (wychowania). Dodam tylko jeszcze słów kilka do uwag uczynionych przez moich kolegów z powodu *złych* książek.

„Jedna z nich w ostatnich czasach wywołała nie mało przekleństw, może za wiele w porównaniu do swéj wartości (Życie Chrystusa, p. Renan'a). Ale duchowieństwo nie mogło nie zgromić głośno doktryn wywierających najopłakańszy wpływ, a których ślad znajdujemy aż na zagonie naszych wiosek.

„Nie tę tylko książkę mam wytknąć; jest druga, która również wsie zaraża: tam ją spotkałem. Jestto dzieło w trzech tomach, któremu sam tytuł sprowadzi czytelników, a które, obawiam się, zgorszy nie jedno serce. Jestto książka bardzo nie religijna. Autor nie prowadzi bohatéra do wnętrza Pikpusa, do biskupstwa ani klasztoru, ale jeszcze niebezpieczniejsze przedstawia obrazy. Pokazuje zgromadzenie księży wyszukujących podłych sposobów *przywłaszczenia;* obradujących nad tém, jak obedrzéć wdowę i sierotę a zbudować kościół, założyć klasztór, a zarazem dostarczyć sobie wszech wygód życia. Nic mocniéj nie podżega nienawiści, jak takie podszepty. Książka, o któréj mowa, nosi tytuł „*Le Maudit*", przeklętym jest ksiądz wzięty od dzieciństwa i rozwijający się pod prawami kościoła.

„W jednym z naszych wielkich miast, w Tuluzie, obraduje owa komissya duchowna, zdająca sprawę z bez-

owocnych zabiegów i oszustw tygodniowych, zupełnie jakby złodzieje zdawali sprawę hersztowi ze swoich nocnych wycieczek.

„Nie idę daléj, ale się pytam, gdyby wychodziły książki przedstawiające jako przeklętego i rozmyślającego nad przywłaszczeniem, notaryusza wezwanego do spisania testamentu; albo doktora który pielęgnuje chorego, i pokazały tego doktora mówiącego do chorego: „podpisz tę obietnicę, ten testament na moją korzyść, jeszcze masz na to dość siły", cóżby powiedziano?"

*La Rochejacquelin:* Powiedzianoby że autor napastuje jednę z klas społecznych.

*Kardynał Donnet:* Tak właśnie postępują względem księży. Nie na tém koniec: wymieniają osoby do których czynią alluzye, dość wyraźnie ażeby je poznano. Miejsca są dokładnie wskazane. Pytam się, gdyby jaki nieporządek zdarzył się w Tuluzie, coby się działo? Czyby się nie udano na wskazane miejsca, żeby odebrać te niby łupy, tam złożone?"

---

Pan Sainte-Beuve wydał w dwóch tomach zbiór zupełny swoich poezyj. Utwór najdawniejszy „*Życie, poezye i myśli Józefa Delorme*", stanowi część pierwszą tego wydania, Daléj idą „*Pociechy*" „*Myśli Sierpniowe*" „*Sonety*" i „*Ostatni Sen*".

Dzieło poetyckie pana Sainte-Beuve nie dobiega wyżyn, w których szybuje orle skrzydło Hugona, zawiera przecież tu i owdzie piękności prawdziwe i trwałe. Dwadzieścia tomów „*Literackich Portretów*" i „*Poniedziałkowych pogadanek*" stanowić będą dla potomności rzeczywistą sławę tego krytycznego umysłu; ale poezye wylęgłe tam niechcący, pod wpływem jakiegoś gorętszego wrażenia, przechowają się niby kwiaty wyrosłe na grobie dziecinnéj wiary i miłości, których mogiłą proza akademickiego krytyka.

W rozległéj téj prozie zdumiewa wszechstronne znawstwo, obejmująca wszystko analiza, ogrom nauki, i siła umysłowa, któréj wymaga dokonanie takiéj pracy; uderza trafność, z jaką pan Saitne-Beuve przedstawia rozmaite epo-

ki literackie, posiadając w wysokim stopniu dar przejmowania się przedmiotem i ciągłego odradzania myśli własnéj. Tak wysoko posunięta krytyka jest twórczością: wskrzeszać, ożywiać, odbudowywać przeszłość, wyciągać z ksiąg umarłych istoty żywe, nie jestże to tworzyć po raz drugi?

W poezyi pana Sainte-Beuve wybijają też same zalety: nie naśladuje nikogo, ani sztucznie podnieca w sobie uczucie; widzi prawdę i wypowiada ją szczerze: „*Józef Delorme*" był w swoim czasie rewelacyą: w téj książce czytelnicy francuzcy ujrzeli po raz pierwszy życie prawdziwe w rymowanéj formie. Nigdy przedtém, poezya nie pokazała się tak rzeczywistą. Ażeby mógł przemawiać z zupełną otwartością, poeta ubrał się w całun zmarłego. Zdziwienie było wielkie, kiedy pośród wschodnio rycerskich biesiad, które wstąpiwszy na tron wyprawiał romantyzm, pojawiło się to widmo rzeczywistości w wytartém odzieniu. Sainte-Beuve przez usta téj mary opowiedział naiwnie, męczarnie ubogiéj młodzieży, jéj powściągnięte żądze, nienasycone głody, złudzenia zabite w zarodku, jéj forsowne marsze ku sławie, zabiegi i gorycze nieznanych bohatérów, którzy na przesypywaniu ziarnek piasku zużywają siły zdolne przenosić góry.

Plebejska mara wiodła tak poetę zdala od słonecznych gościńców Irydyona, przez manowce prowadzące do ciemnic powszedniego życia, do bezbarwnych zaułków gdzie kryje się ubóstwo, gdzie łzy płyną równie nie obchodzące nikogo jak krople wody przeciekającéj skałę. Opisując miasto, śpiewał „*Citta dolente*" — we wsi, ubogie lepianki, w których człek żyje jak nieboskie stworzenie.

Boleść wewnętrzna potrzebująca echa, przedstawia poecie wszelkie kształty cierpienia, najsmutniejsze nędzy ludzkiéj obrazy: wiersz jego podobny często do lampy w ręku zwiedzającego szpital doktora...

Sainte-Beuve celuje mianowicie w analizie cierpień własnego serca. Czemże jest teatralna melancholia Chateaubrianda, marudząca na historycznych ruinach, zawsze udrapowana w płaszcz żałobny, siadająca tak, żeby jéj zamyślony profil dobrze od księżyca odbijał; czemże jest nawet smutek Lamartina wnet rozproszony w nieskoń-

czoności i ukojony wiarą, obok splenu rzeczywistego, żywionego niesmaczną trucizną ubóstwa i zniechęcenia.

Nie znamy we francuzkim języku rzeczywiściéj smutnego wiersza, jak zawarty w tym tomie „*Wieczór młodości*" i „*Myśli jesienne*". Namiętność gore w zgliszczach zburzonego serca: sny miłości przerwane nagle rozczarowaniem; gonitwa za widmami rozwiewającemi się w uścisku; upiór przesytu wysysający wszystek miód z pocałunków; bezecna mara starości ze starożytną twardością naszkicowana obok różowéj zalotnicy: oto obrazy téj księgi pełnéj zabójczych wyziewów. „*Poezye Józefa Delorme*" są tém w dziele pana Sainte-Beuve, czém „*Werther*" w dziele Goethego: szaloném zboczeniem z olimpijskiego gościńca, po którym zwykle wiersze ich jako cugi, stąpały wolnym kłusem—burzą, która na chwilę całą ich pogodną naturę zamąciła.

W nieco późniéj wydanych „*Poezyach Jutrzejszych*" Sainte-Beuve ukazuje się prawie już ukojony. Żałobna lira o jednéj strunie poruszanéj gorączkową ręką, zbogaciła się strun nowych przybytkiem. Samotność znikła, otworzyły się drogi, przyszła sława i otrzeźwiła mdlejącą młodość. Nienasycona żądza jeszcze tu i owdzie zajęczy, ale jęk jéj ginie w dźwięku czułych elegij i miłośnych akordów zdradzających posiadanie szczęścia.

„*Pociechy*" które Sainte-Beuve pisał po „*Józefie Delorme*" są przeciwstawieniem owéj burzliwéj poezyi. Książka spokojna, zda się pisana w klasztorze podczas rekolekcyi: ołtarzowa lampa oświeca łagodnie wszystkie jéj karty.

Wszedłszy do klasztoru więcéj idealnego niż mystycznego, gdzie obłoki kadzideł zamglewają godła określonéj wiary, poeta nie zamknął drzwi za sobą. Wolny i badawczy umysł jego, nie mógł osiąść w ołtarzu.

Ta stacya literacka pana Sainte-Beuve podobna do odpoczynku wędrowca. Podróżujący po Wschodzie pielgrzym zmordowany, prosi o gościnność w napotkanym na drodze klasztorze. Odpoczywa dni kilka; uczestniczy w modlitwach i rozmyślaniach zakonników, dzieli ich lichą strawę i śpiewa z nimi nieszpory. Głęboki spokój takiego życia, budzi w nim chętkę, zamienienia pielgrzymiego płasz-

cza na habit mniszy. Na co mi ten ruch bez celu? myśli sobie, po co ten trud i znoje? mam już dość słońca i dość ludzi... zostanę tutaj. Klasztor ofiaruje mi cień swojéj palmy i swojéj groty, odpoczynek wieczny; dnie tu płynąć mi będą powoli i nieznacznie, jako ziarna u boku zawieszonego różańca.

Tak sobie myśli pielgrzym. Ale wnet *powołanie* tę przelotną ochotę głuszy: dowodzi mu stanowczo, że jeszcze wielu rzeczy nie zna na świecie; że jeszcze wiele mórz przebyć i wiele narodów poznać powinien. Trzeba oglądać, porównywać, odkrywać, przysporzyć rozumu doświadczeniem, a wrażenia coraz to nowe pobudzać mieniącemi obrazami rozległego świata. Jakiż być może szlachetniejszy użytek istnienia? Droga opasująca glob, nie jestże najpiękniejszą drogą do grobu?

W kilka godzin po téj przemowie ocknionego *powołania*, pielgrzym opuszcza klasztór. Zakonnicy znajdują celę próżną, a z klasztornéj wieżyczki dostrzegają pielgrzyma niknącego w tumanie kurzawy...

Jak ów pielgrzym przez klasztór, tak pan Sainte-Beuve przeszedł przez mistycyzm. Natura ciągnęła go gdzieindziéj: do wszech uciech, wszech kształtów i wszech piękności życia. Nie pozostał długo pod figowcem świętego Augustyna, ale książka, którą pod jego cieniem napisał, niebiańską woń zachowała.

Pomiędzy w „*Pociechach*" zawartemi myślami a pojęciami „*Józefa Delorme*", taka zachodzi różnica, jak pomiędzy wyrazem gniewnéj i ukojonéj tejże saméj twarzy. Ton tutaj wyższy, miłość spokojniejsza; ale umiarkowanie natchnienia nie zmieniło. Poeta zawsze kroczy po ścieżkach powszedniego życia: wyszukuje cnót ukrytych, i w cieniu żyjących prostaczków. Nie wiadomo którą wybrać z tych jednostajnie pięknych strofek, które za sobą idą, jak biało zakwefione zakonnice pod arkadami gotyckiego kościoła.

Jednak arcydziełem „*Pociech*" wydaje nam się „*Pochwała Samotności*". Kto zwiedzał Luwru malarskie galerye, musiał się zatrzymać przed „*Rozmyślającym filozofem* Rembrandta. Starzec siedzi skupiony w szerokiém krześle; przed nim leży otwarta księga. Zapadający zmrok

przerwał mu czytanie. Promień zaszłego słońca, przebiwszy szybę, utrzymuje w izbie tyle światła co w komórce pszczoły; słaby promyczek pieści brodę samotnika, po czarnych kątach szpera, czepia się ściany, chce wejść na schody kręcone, ale podobny do zbyt słabego dziecięcia, na pierwszym zatrzymuje się schodzie. Pośród téj nocy, któréj jest punktem światłym, starzec duma, zasunąwszy ręce w rękawy, duma zapewne nad biegnącemi laty, nad blizką śmiercią, nad życiem podobnie już przyćmionem przez olbrzymie cienie wieczoru...

Porównawszy obraz poety z obrazem malarza, wielkie znajdujemy podobieństwo: tenże promień przygasły, taż sama harmonia tonów, tenże efekt milczenia samotności. Urok słowa współzawodniczy z czarodziejstwem pędzla.

„*Myśli sierpniowe*" wyszły w ośm lat po „*Pociechach*"; w tym przeciągu czasu rozrósł się wszechstronnie poeta; stał się tém czém jest dzisiaj: trafnym sędzią ludzi i rzeczy. Ostatnie jego utwory szerzéj się na świat zewnętrzny wylewają. Styl prześliczny! Każde słowo waży, strofa obejmuje myśl, niby misternie żłobiona oprawa. Są także szkice krajobrazów włoskich wysokiéj wartości, pan Sainte-Beuve bowiem, jak każdy artysta, z za Alp powrócił oczarowany przez Italią.

Streszczając ocenę naszę, powiemy iż Francya miała w tym wieku poetów wznioślejszych, ale szczerszego jak Sainte-Beuve nie miała. Pod tym względem stoi on na równi z Mussetem. Wiersz jego jest nim samym: to myśl płynąca ze źródła i zaraz zebrana, wrażenie przez rytm pochwycone w swobodnym wytrysku. A ileż sztuki w układzie! Pochód poezyi z razu wolny; w drodze wiersz skrzydeł dostaje, rośnie, rozwija się, leci, i nieznaczną ścieżką doprowadza do widoków wspaniałych. Wszystko tu polega na doborze cieniów: gra światła uwydatnia co ma być widziane, reszta zostaje w cieniu, napomknięta. Jestto dar szczególny, dozwalający schwytać i wyrazić nieokreślone nuty w głosie duszy.

Dwa tomy, o których chcieliśmy dać wyobrażenie czytelnikom, w literaturze francuzkiéj zajmą trwałe i niepoślednie miejsce; zostaną w niéj, jako pierwowzór rodza-

ju poezyi, którą Alfred de Musset doprowadził do szczytu. Dusza pana Sainte Beuve w tym zbiorze poezyi zamknięta; dusza mocno czująca kiedyś, a dziś ostygła pod lodami krytycznego rozsądku.

---

Trzej książęta krytyki pięknéj, Teofil Gautier, Arsen Houssaye i Paweł Saint Victor, ułożyli ze wspólnych studyów artystycznych, przepyszną księgę, która wyszła nanowy rok pod napisem „*Les Dieux et Demi Dieux de la Peinture.*" (Bogowie i Pół-Bogi malarstwa).

Ocena dzieł kilkunastu najwyższych mistrzów pędzla, stanowi niemal historyą sztuki. Autorowie podzielili się przedmiotem: każdy wziął kilku malarzy najmilszych sobie, i wypowiedział jakie było życie tych nieśmiertelnych, jakie ich dzieła, jakie piękności geniusz zapładniający pracę, odsłonił ich duszy wybranéj. Ten posiadał wdzięk cudny, ów koloryt, inny siłę, wszyscy ruch i życie.

Ideał tysiączne przybierał kształty w tych wyobraźniach potężnych. Leonard da Vinci wcielił go w Jocondę: jedną twarzą niewieścią wyraził tajemnice swéj zadumanéj duszy. Gautier wnika głęboko w ten geniusz dziwny, noszący w sobie uczucie zagadkowéj piękności.

Fra Angelico także w nieskończoności ścigał widmo mystycznych snów swoich. Olśniony widzeniem raju, topi ciała w świetle nadziemskiém i nieskończoność przed oczyma ludzkiemi roztacza. Saint-Victor opisał zachwyty tego błogosławionego malarza: brylantowe jego pióro uroczo uwydatnia światłe obrazy Fra Angelico, on także skreślił studyum Hemlinga legendowego malarza świętości, który przez pryzmat wiary patrząc ścigał idealny typ dziewiczego ascetyzmu.

Daléj Gautier znów zabiera głos i mówi o Rafaelu i Michale Aniele. Styl jego tak trzeźwy w gruncie, choć tak hojny i bogaty z pozoru, wybornie się nadaje do studyowania dwóch niezrównanych mistrzów rysunku.

Arsen Houssaye z kolei, jako wyborny znawca, czci inne bóstwa Olimpu. Wybrał sobie szkołę wenecką i antwerpską: opisuje cudne płody Giorgiona; sławi płomienny geniusz Tyciana; słoneczność i wyobraźnią Veronesa,

który na płótno wylał wszystkie skarby Wenecyi i Wschodu; siłę i płodność niewyczerpanego Rubensa; dziwactwa Rembrandta, który promieni snop cisnąwszy w ciemności, oświeca jedną tylko twarz ludzką... Wszystko to opisane w sposób najprzedniejszy: w przezroczystym jak kryształ stylu pisarzy, widać dokładnie styl i myśl malarzy.

Arsen Houssaye dowcipnemi anegdotami przeplata swoją erudycyą; filozof humorysta zwraca uwagę na psychologiczną stronę rzeczy. Gautiemu najwięcéj o kształt chodzi, Saint-Victorowi o kolor, Houssaye myśl przedewszystkiem ściga w obrazie. Trzy różne dążności trzech krytyków, uwydatnia nacisk jaki kładą na tę lub ową stronę nieśmiertelnego dzieła. Chociaż nie podpisali swoich studyów, pióro każdego odrazu poznać można: różnice są uderzające, chociaż miara jednaka. Niewiadomo którego wybrać? każdego talent pisarski przystaje wybornie do geniuszu ukochanego malarza.

Sztycharz Calamatta zajmował się odbijaniem sztychów text zdobiących. Są to wyborne dzieła sztuki, w których pierwszeństwo dalibyśmy *Ewie* Michała Anioła. Same sztychy jużby utworzyły wspaniałe album. Komentarz wartość ich podwaja: jestto pomnik postawiony sztuce przez prawdziwych artystów.

---

Innych książek jak kolędowe, w téj chwili nie ma. Ta którąśmy wymienili, pierwsze pomiędzy niemi zajmuje miejsce. Obok położyć można ogromne dwa tomy *Don Quichota* illustrowanego przez Gustawa Doré. Jest to także rzecz przepyszna w swoim rodzaju. Sławny rysownik nigdy większego nie dowiódł talentu jak tą razą. Gawarniego illustracya *Tysiąc Nocy* także do rzędu okazałych ksiąg się liczy.

„*Ziemia i Morze*" pana Figuier, oraz „*Tajemnice Oceanu*" pana Mangin, przodują w dziale naukowym literatury kolędowéj. Pierwszy opisał ziemię a drugi morze w sposób nader zajmujący i dla młodéj wyobraźni stosowny. Obie te książki będące dopełnieniem siebie, polecamy osobom nad uprawą młodych umysłów pracującym.

Wyjaśnienie

## POCZĄTKU NIEKTÓRYCH PRZYSŁÓW UŻYWANYCH

# W WIELKOPOLSCE.

PODŁUG PODAŃ LUDU SKREŚLIŁ

*Tworzymir.*

---

Nietylko w Polsce, ale ogólnie w Słowiańszczyznie zwrócono bliższą uwagę na lud wiejski, mianowicie na jego podania, pieśni, powieści, przysłowia. Zoryan Dołęga Chodakowski był pierwszy, który począł badać, śledzić, zbierać te umysłowe płody ludu. W jego ślady poszło wielu innych, lecz mimo że znaczne na tém polu poczyniono postępy, nie możemy się my Polacy, a tém więcéj Słowianie, poszczycić dokładnym zbiorem, któryby obejmował pieśni, powieści, przysłowia, podania, jako też zwyczaje, obyczaje, obrzędy, gusła, wyrazy ludowe i w ogóle wszystko, co się tyczy bliższego poznania ludu. Gdyby można ująć w jedno, sporządkować i wyjaśnić wszystkie te skarby ducha, rozrzucone po obszernéj ziemi słowiańskiéj, toby ztąd nader ważne skutki wyniknąć mogły. Ilebyto n. p. zyskały dzieje, a mianowicie przeszłość słowiańska. Taki zbiór ułatwiłby nam bliższe poznanie ludu słowiańskiego, jego usposobienia, cnót, rozwoju ducha. Jakieby ztąd nieocenione źródło, prawdziwe swojskie otworzyło się dla piewców, pisarzy, muzyków, malarzy. I innych bardzo wiele błogich skutków ztądby powstać

mogło. Lecz jest to praca olbrzymia, potężna i nierychło spodziewać się można jéj ukończenia. Gromadzić jednakże zapasy przynajmniéj należy do zbudowania téj wspaniałéj świątyni przeszłości. Niech każdy, kto może, choć cegłę dorzuci, a stanie z czasem gmach okazały i świetny. Tą też to myślą powodowany zająłem się zbieraniem płodów umysłowych, ludu w Wielkopolsce, w téj dzielnicy, gdzie leży Poznań, sławny poznaniem trzech braci słowiańskich; Gniezno, głośne podaniem o znalezieniu białych orłów, i Kruświca, gdzie to przed lat tysiącem zgromadzeni na *Wiecu* przodkowie nasi, Piasta książęciem obwołali. Śledziłem mianowicie, czy z tych czasów starosłowiańskich, jakie ślady nie pozostały. Szczególnie zaś zwróciłem mą uwagę na przysłowia, których zaledwie, jak twierdzi K. Wł. Wójcicki, czwarta część z ust ludu spisaną została. A ważne są zaiste przysłowia każdego ludu pod wszelkim względem, one bowiem rzucają nie mało światła na stosunki narodu, na jego usposobienie, zalety, wady, a nawet dzieje. Jest to skarbnica, gdzie lud złożył wszystkie swoje spostrzeżenia, zapatrywania, wady, wskazówki, przestrogi; jestto filozofia ludu jasno, treściwie, zwięźle za pomocą żywego słowa przechodząca z pokolenia na pokolenie. A cóż dopiero rzec o ważności przysłów dla języka! Dlatego przedewszystkiém zająłem się zebraniem przysłów ludu wielkopolskiego. Daleki jestem od tego, abym wszystkie zebrał, część ich jednakże znaczną już opisałem. Najważniejszą rzeczą w przysłowiach jest: wyjaśnienie i uporządkowanie tychże. Nie dosyć atoli rozpatrywać krytycznie badaczowi te pomniki językowe, należy krom tego podać zapatrywanie się ludu na nie, a mianowicie jakim sposobem przysłowia się tworzyły. I oto w niniejszéj pracy podaję wyjaśnienie początku niektórych przysłów używanych w Wielkopolsce, które wiernie spisałem podług podań ludu, nic nie dodając, ani nie ujmując, czasem tylko sobie skromnéj dozwalając uwagi.

Podając na dziś ten pierwszy plon mych poszukiwań na tém polu, zwracam usilnie uwagę dobrze myślących rodaków, aby raczyli pomyśleć nad zebraniem i ujęciem w jedno wszystkich płodów piśmiennictwa ludowego, jako

też tego wszystkiego, co się umysłowego życia ludu tyczy. Byłaby to piękna i pożyteczna, choć mozolna praca. Jeszcze lepiéj, gdyby wszystkie ludy słowiańskie nad czémś podobném pomyślały. Niechby choć na tém polu zespoliły się usiłowania bratnich szczepów słowiańskich, które dziś niestety w takiém rozstrzeleniu pozostają, że słusznie rzec można z piewcą czeskim Kollarem: „*Daleko pozieram na prawo, bystro rzucam wzrok na lewo i darmo oko moje szuka w Słowiańszczyźnie Słowian*". Być może, że nie nam przeznaczono dokonać téj budowy; jeźli tak, to gromadźmy zasoby przynajmniéj, aby było z czego wznieść gmach okazały. I oto choć cegiełką do téj przyszłéj budowy, ma być praca niniejsza.

Pisałem w Wielkopolsce, dnia 11 listopada 1860 r.

---

## I. PRZYSŁOWIA SIĘGAJĄCE CZASÓW STAROSŁOWIAŃSKICH.

### Stoi, jak bożek.

Przysłowie to sięga zapewne starosłowiańskich czasów, kiedy jeszcze nasi przodkowie kłaniali się bogom składając im objaty. Używa się zaś go, jeżeli stoi ktoś nieporuszony w jednem miejscu lub w ogóle mało okazuje życia. Zawsze przysłowie to jest dowodem, że pamięć czasów pogańskich nie zatarła się u ludu zupełnie.

**Stoi, niby Lelum Polelum na górze.**
**Idzie, robi jak Lelum Polelum.**
**Lelum Polelum, Świstum Poświstum.**

Na człowieka powolnego, odkładającego wszystko na przyszłość mówią w Wielkopolsce i to bardzo często: „*Lelum Polelum, to prawdziwe Lelum Polelum*". Gdy kto stoi nieruchomy, albo idzie powoli, wtedy często można usłyszeć: „*Stoi niby Lelum Polelum na górze*", albo: „*Idzie jak Lelum Polelum*". Bóstwo to, jak w ogóle bogosłowie (mitologia) Słowian, mało wyjaśnione. Czczone zapewne było głównie w Wielkopolsce, a szczególnie może w Gnieźnie i należało o ile się zdaje do rzędu bóstw niższych. Lelum Polelum, Świstum Poświstum, jest to

raczéj okrzyk podziwienia lub niechęci, gdy się co widzi w wielkim nieładzie.

**Leci, jak Pochwist.**

Pochwist czyli Poświst miał być bogiem wiatrów, co też zresztą sama nazwa potwierdza, bo do dziś dnia mówi się: „Świst wiatru, wiatr świszczy". Przysłowie powyższe prawdopodobnie odnosi się do tego boga wiatrów. Używaném zaś jest, lecz niezbyt często, jeźli jest mowa o człowieku płochym, niestałym, który jak wiatr z miejsca na miejsce się przenosi i w ogóle lekkomyślnie sobie postępuje. Znaném jest to przysłowie w okolicach Gniezna: gdzieindziéj go nie słyszałem.

**Idzie, wygląda, siedzi jak ćmuk.**

Na człowieka zasępionego, smutnego, ponurego mówią w Wielkopolsce a szczególnie w okolicy Gniezna: „*To ćmuk*". Mianowicie nieśmiałe, zapłakane dzieciaki bywają tą nazwą obdarzane. Gdy n. p. kto obcy przebywając w jakim domu, chce się bawić z którém dzieckiem, a to wzdryga się, beczy, ucieka; wtedy mówi się: „Idź sobie ćmuku". Bóstwo to jest bardzo mało znaném i pamięć o niém o ile się zdaje, li u ludu się przechowała. Było to zapewne podrzędne bóstwo czczone w postaci zwierzęcéj. Dowiadując się, co to jest ćmuk, usłyszałem od jednych, że to jest zwierzę, już nieistniejące, ale które za bardzo dawnych czasów się znajdowało. Opowiadał mi też ktoś z ludu, że ćmuk pochodzi z bardzo dawnych, może jeszcze pogańskich czasów i że to zapewne był bożek. Większa przecież część powtarzających to wyrażenie, nic nie wie o ćmuku. Powtarzają dlatego, że tak wszyscy mówią i że tak ojcowie mówili. Wyrażenia powyższe bardzo są często w Wielkopolsce używane. Może wyraz: ćma, jest jednego pochodzenia z ćmukiem, bo ćma oznacza ciemność (ćmić się), ponurość, czarność. W niektórych okolicach mówią ćmok, w takim razie zawiera pewne podobieństwo z wyrazem smok.

**Chudy, jak Wił.**
**Wygląda, jak Wił z pod balki.**
**Wyszczerza zęby, jak Wił.**

Tu i owdzie istnieją podania o Wiłach. Podług wyobrażenia ludu wielkopolskiego, mają to być istoty bardzo cienkie, chude, tak że się przez najmniejszą szparę w belce mogą przecisnąć; zęby zaś mają nadzwyczaj długie, ztąd przysłowie: „*Wyszczerza zęby jak Wił.*" Siadają zazwyczaj pod belką, dlatego mówi się: *Wygląda czyli spogląda jak Wił z pod belki* (czyli balki jak lud wielkopolski mówi). Wiły zostają w jakimś związku z czarownicami. Straszą małe dzieci nie dozwalając im spać spokojnie. Gdy w nocy dzieci nie chcą spać ustawicznie płacząc, wówczas utrzymują matki, że to im Wiły przeszkadzają. Wyrażenia „*Chudy, jak Wił,*" używa lud na oznaczenie bladego, chorowitego człowieka. Podług Kaz. Wł. Wójcickiego wystawia sobie lud Wiła, jako głowę, porosłą żółtemi włosami, osadzoną na pile. Lecz w Wielkopolsce lud takich istot nie zna, przynajmniéj ja nie powziąłem bliższych w téj mierze wiadomości.

### Chłop, jak olbrzym albo wielkolud.

Na człowieka niezwykłéj wielkości i siły mówi lud w Wielkopolsce: „To chłop kieby olbrzym albo wielkolud." O tych wielkoludach dochowały się następujące wieści. Za bardzo dawnych czasów, jeszcze nim nasze pokolenie nastało, żyli na świecie wielkoludy, albo wieloludy, jak ich też czasem nazywają. Byli to ogromni olbrzymowie, tacy wieldzy (wielgi zamiast wielki, mówi lud wielkopolski), że na kije do podpierania brali najtęższe drzewa w lesie. I długo jeno oni sami tu na świecie mieszkali, ale przyszedł wreście koniec ich panowania, a nasze pokolenie miało nastać. I jako też w rzeczy saméj nastało. A wielkoludy też jeszcze były, lecz nie tak liczni jak dawniéj. I mieszkał sobie jeden taki wielkolud w zamku, przy którym chłop pewien orał raz pole. I orze sobie ów chłopek i przygwizduje, aż tu przychodzi z zamku córka owego wielkoluda, która ujrzawszy owego chłopa z wołami wzięła go w fartuszek ciesząc się, że znalazła takie ładne robaczki. I pokazała ojcu. Ale ojciec kazał jéj co tchu chłopa i woły odnieść w to samo miejsce, zkąd je wzięła, mówiąc, że tacy ludzie po nas nastaną. Inni znowu mówią, że podobno powiedział: gdyby nie te robaczki,

toby my z głodu poumierali. Tymczasem coraz więcéj zaczęło się mnożyć takich, jak my ludzi, a wielkoludów coraz to było mniéj. Nakoniec już ich jeno było czterdziestu, a widząc, że z niemi krucho, zamknęli się w jednym okrutnie wielgim zamku, położonym ku wschodowi i tam się bronili do upadłego, a choć ich tylko było czterdziestu, to im nic wszystkie wojska, co ten zamek oblegały zrobić nie mogły. Mury były bardzo wysokie, a co się wojsko pod mury zbliżyło, to wielkoludy zaczęli rzucać tęgiemi kłocami, któremi bardzo wiele żołnierzy zabijali. I widział król, co dowodził temi wojskami, że tym wielkoludom nic nie zrobi; więc ogłosił, że kto tych wielkoludów pobije, to dostanie córkę królewską za żonę i będzie królem po jego śmierci. Ale nikt nie chciał i nie mógł na to się odważyć.

I nie trzeba, że właśnie pod owe czasy szedł sobie drogą ubogi chłopak, sierota; aż tu widzi na drodze list leżący, a w tym liście było napisane, że ktoby ten list przy sobie na piersiach nosił, to taki byłby mocny, że każdego by też najmocniejszego człowieka mógłby uśmiercić, a jemu, dopóki ten list miałby przy sobie, nic się nie stanie i nikt go nie zabije. Poszedł tedy ów chłopak z tym listem do obozu królewskiego, a dowiedziawszy się o co rzecz chodzi, powiedział, że on tych wielkoludów uskromni. Jako też poszedł do onego zamku, a co mu jaki wielkolud drogę zastąpił, to go jeno pacnął ręką, tak wielkolud zaraz rym jak długi o ziemię. I takim sposobem zabił wszystkich czterdziestu wielkoludów. Więc tedy ten wielgi zamek po wielkoludach zdobyty został. Ale ów chłopak zgubił ten list czy mu go też ktoś porwał, to też niedługo potém zginął w jednéj bitwie od pierwszego cięcia. Po wielkoludach nastało nasze pokolenie. Wykopują jeszcze czasem w ziemi ogromne żebra: to szczątki po owych wielkoludach. W kruchtach niektórych kościołów widzieć je można. Lecz i nasze pokolenie wyginie podobno, a po nas nastaną Krasnoludki.

**Wygląda, jak Krasnoludek w czerwonéj czapeczce.**
**Mały, jak Krasnoludek.**

O ludziach nader małego wzrostu mówi się, że jak mały Krasnoludek (lub Krasnyludek: wyraz krasny znaczy tyle

co piękny, ładny, miły). Podania o Krasnoludkach znane są nietylko w Polsce, ale w ogóle w Słowiańszczyznie i u innych narodów. Są to małe, piękne, ludziom sprzyjające istoty, mieszkające pod ziemią, dlatego je też podziomkami niektórzy zowią. Ubiór noszą zwykle czerwony, mianowicie czerwone czapeczki; dla tego mówi się też nieraz: „Wyglądasz jak Krosnoludek w czerwonéj czapeczce," gdy kto w jaki dziwny strój się ubierze, a mianowicie jeźli przywdzieje czerwoną czapkę. Te czerwone czapeczki sprawują, że Krasnoludków nikt nie widzi, skoro te czapeczki mają na głowach. Dawniéj nieraz wychodziły Krasnoludki z pod ziemi i dopomagały ludziom w ich pracach. Nie jednéj gospodyni pomogły masło zrobić, chleb upiec, i t. p. Nigdy Krasnoludki nie są wystawione jako istoty złośliwe, ludziom przeszkadzające, ich pokazanie się zawsze dobrą znaczy wróżbę. Już dawno niewidziano Krasnoludków, to też bieda, niedostatek i ucisk co dzień się powiększa. Tu owdzie istnieje u ludu wiara, że ważniejsze wydarzenia wtedy się powiodą, jeźli Krasnoludki równocześnie z pod ziemi wyjdą. Mało już starych ludzi, którzy Krasnoludki widzieli. Krąży wiele o nich różnych powieści, tylko że codzień nikną one i zacierają się coraz więcéj. Do pewnego owczarza pasącego w polu owce, przyszedł Krasnoludek i prosił go o jagnię; owczarz dał mu takowe: wtedy Krasnoludek prosił owczarza na wesele. Nie chciał iść tenże obawiając się o owce, by się nie rozbiegały; lecz Krasnoludek zapewnił go, że będą stały spokojnie. Owczarz poszedł i doskonale się zabawił. Pewna kobieta zachorowała, leżąc w łóżku spostrzegła, jak wyszedł orszak Krasnoludków, odprawiających wesele. Wszystkie sprzęty mieli ze złota. Zaczęli się wesoło bawić i tańczyć, a wtém wchodzi mąż téj choréj żony. Krasnoludki zaraz wdziali na głowy czerwone czapeczki i uciekli sprzęty wszystkie złote zostawiwszy. Wiadomość o tém weselu Krasnoludków jest bardzo rozpowszechnioną u ludu. Raz zaprosiła żaba dwóch ludzi w kumotry. Kazała im iść za sobą i poprowadziła ich pod ziemię. Tam miała pewna Krasnoludka dziecko, które ci ludzie do chrztu trzymali: Krasnoludka w nagrodę dała im śmieci,

które się na tym świecie w pieniądze zamieniły. Krasnoludków nie trzeba brać za jedno z karłami, którzy zupełnie się od Krasnoludków różnią. Są oni prawie o połowę niżsi od nas (a Krasnoludki ledwie kilka cali są wysocy), mają tęgie bary i są bardzo mocni. Czasem wymieniają swoje dzieci, które są bardzo obżarte i straszne, za ludzkie. I też tak razu pewnego wymienili jedno dziecko, t. j. wzięli ludzkie a położyli swoje. Mniemana matka tego dziecka gotowała jeść a ugotowawszy wyszła po coś na dwór. Przychodzi napowrót a tu wszystko zjedzone. Dopieróż to domysły, ktoby to zjadł; ale w izbie nie było nikogo, tylko dziecko w kolebce leżało, a nie sposób, żeby takie małe dziecko tyle jedzy zjadło. Na drugi dzień zaczaiła się owa kobieta w sieni a niedługo ujrzała, jak ów dzieciak wyszedłszy z kolebki pożarł wszystkę jedzę. Dopieróż to owa kobieta, jak nie zacznie owego dzieciaka okładać a nabiwszy się do woli wyrzuciła na śmiecie. Nie warowało długo a karły wyrzuciły zabrane dziecko na śmieci, tak je tęgo wybiwszy, a swoje odebrali. A inne znowu karłów podrzucone dziecko wyrosło na chłopaka, który choć już miał lat kilkanaście, ciągle tylko w kominku siadywał. Jechał raz gospodarz, któremu karły to dziecko podrzucili, z pola z grochem, a wtém wóz zawadził o słup w bramie i ani rusz daléj. Zaczął się gospodarz koło tego wozu krzątać, ale nie mógł go wydźwignąć. Wtém wyleciał ów chłopak z kominka i jak gdyby nigdy nic, wóz ów ciężki odrazu wyciągnął a potém z nowu hyc w kominek. Zmiarkował gospodarz, co się to święci, wytłukł tedy tęgo owego chłopaka i wyrzucił na śmieci, a karły odebrali go napowrót oddawszy gospodarzowi zabranego syna. Dwóch też takich karłów chodziło robić do jednego kowala. Walili tęgo młotami, bo byli bardzo mocni. Kowal widząc, że byli obdarci, sprawił im nowe suknie i położył na kowadle. Przyszli rano owi karłowie a ujrzawszy owe suknie myśleli, że to na to, aby je sobie wzięli i poszli precz, sądzili bowiem, że ten kowal ich więcéj nie potrzebuje. Odeszli tedy z wielkim płaczem i nie przyszli już więcéj. Tyle o karłach i Krasnoludkach.

**Idzie, lezie, wygląda, jak smok.**

Używa się tego wyrażenia o ludziach powolnych, nieporządnych, w ogóle odrazę wzbudzających. O smokach mało przechowało się wieści. O siedmiu głowach, ten i ów umié coś powiedzieć, lecz mało co więcéj. Uwagi godne, że lud rozgniewany zowie przeciwnika: Smoczym łbem. Wyrażenie to nader często jest powtarzaném. W powieściach gminnych często jest o smokach mowa.

### Czerwony, jak upiór.

Podług mniemania ludu, człowiek, który się rodzi z zębami, zostaje po śmierci upiorem. Wychodzi on po śmierci z grobu i różne szkody ludziom wyrządza. I tak np. patrzy na okół, a jak daleko wzrok jego zasięgnie, tak daleko wszyscy ludzie będący w jednym wieku z upiorem wymierają. A zatém np. jeśli upiór miał lat 20, to wymierają wszyscy dwudziestoletni w tym okręgu, jaki wzrokiem upiór zakreślił. Podług innych, człowiek rodzący się z zębami wié za życia o wszystkiém i dlatego zowie się „wieszczym" (o dzieciach, które się rodziły z zębami i przepowiadały klęski, czytać można w kronikarzach naszych, np. w kronice Jana Herburta z Fulsztyna). Gdy taki *wieszczy* umrze, to krew w nim żyje, więc jeszcze wstaje po śmierci i dzwoni, a jak daleko głos dzwonów ludzie usłyszą, tak daleko wszyscy wymrą (zapewne także w jednym wieku z *wieszczym* będący). Aby nie wstał, trzeba mu włożyć pod język pieniądz lub sierp na szyję. Czy *wieszczy* oznacza to samo co upiór, tego dociec nie mogłem. W sklepie kościelnym w Markowicach pod Strzelnem leży w trumnie coś nakształt upiora, tyłem do góry, z sierpem na karku, aby nie wstał, zaś na nogach niezmierne buty. Trumna otwarta, więc go widać. Ten *wieszczy* wstawał także po śmierci i dzwonił, lecz kościelny spotkawszy go przy dzwonieniu, schwycił go i położył w trumnę tyłem do góry, a na szyję sierp mu założył. Człowiek, który staje się upiorem, jest po śmierci czerwonym, a że czerwoność u zmarłych jest czémś niezwykłém, ztąd też na ludzi nienaturalnie czerwonych mówi się: „*Czerwony, jak upiór*". Wyobrażenie o upiorach sięga czasów najdawniejszych. Uwagi godne, że zawiera pewne podobieństwo z *Rzepiorem* (tak zwanym od ludu

górnoszląskiego polskiego), onym sławnym niemieckim *Rübezahlem*, mającym swą siedzibę w Ludetach.

**Zły, jak Bies.**

Bies oznacza dziś djabła, ale wyraz ten, jako i czart jest czysto słowiański i może tak bies, jak i czart były nazwy jakich bóstw, mających podobieństwo z djabłami i dlatego z zaprowadzeniem chrześciaństwa nazwy te przeszły na djabłów.

**Leci, jak Skrzat.**
**Wygląda, jak Skrzat.**

Istniały podobno u Słowian złe i dobre bóstwa, jak owe dwa główne: Biały i Czarny Bóg. Z zaprowadzeniem chrześciaństwa zapewne nazwy bóstw złe przymioty posiadających przeszły na djabłów, jak np. może bies i czart. Do takich bóstw a zawsze przynajmniéj jakichś nieodgadnionych istót należał Skrzat. Pochodzenie wyrazu tego czysto rodzinne. Oznacza właściwie złego ducha, ale niższego rzędu; Skrzat znaczy tyle u ludu co pół-djable. Lecz i na oznaczenie czegoś nieznanego używa się téj nazwy, np. co to za skrzat idzie, widząc zdaleka coś nieznanego w polu, lub gdziekolwiek się znajdującego. Jest téż powszechném wyrażeniem: *„Bodaj cię skrzaci wzięli"*. Ukazuje się zaś skrzat podobno, podług wiary ludowéj w postaci kurczęcia. Powstaje zaś następującym sposobem. Jeżeli jakiegoś dziwnego kształtu i przymiotu jaje kurze nosi czarownica pod pachą, to po niejakim czasie wylęga się kurczę, które jest skrzatem czyli skrzatkiem. Skrzat taki kusi ludzi znosząc im pieniądze, zboże, masło, których dusze późniéj zabiera, jeśli jego usługi przyjmują. Pewien kmiotek wyszedłszy raz w pole, znalazł zmokłe i drżące od zimna kurczę. Zdjęty litością wieśniak zabrał je do domu i posadził na piecu, aby się ogrzało. Kurczę owo po krótkim czasie zaczęło znosić żyto i pszenicę. Zmiarkował chłopek co się to święci, spostrzegłszy owe kupki naznoszonego zboża. Nic nie mówiąc, schwycił owe kurczę, które było skrzatkiem i tęgo wytłukł i wyrzucił za drzwi. Dopiéro o trzy staje coś zarzehotało, a zboże owo zaniesione znikło. Dlatego,

że skrzatek w postaci głodnego zbiedzonego kurczęcia się pokazuje, ztąd powstało przysłowie: „*Wygląda, jak skrzat*", używane, jeśli kto obszarpano wygląda, a źle mu z oczu patrzy. Wieczorem, jak lud twierdzi, często lata skrzatek w powietrzu, znosząc różne przedmioty tym ludziom, którzy usługi jego przyjmują. Często jeszcze po dziś dzień widują wieśniacy w Wielkopolsce lecące w wieczór szybkim pędem małe ptaszki, na około których iskry się sypią: to skrzatki tak lecą. Ztąd też gdy coś szybko pędzi, mówi się: „*Leci, jak skrzat*".

**Zły, jak jędzona, wygląda jak jędzona.**

Dziś już mało podań krąży w Wielkopolsce o jędzonach. Na kobietę złą, kłótliwą, nieporządną, mówią powszechnie: „*Wygląda, jak jędzona* (jędzyna, jędza), *zła, jak jędzona*". Miały to być podobno złe jakieś bardzo istoty, których dziś atoli już nie masz. Mieszkały zwykle nad wodą, którą odrazu, jeśli chciały, wypić mogły. Różnią się tém od czarownic, że kiedy te są zwykłemi kobietami, to jędzony są istotami samodzielnemi, mającemi odrębne od ludzi cechy. W powieściach gminnych zachodzą często jędzony, jako krwi chciwe istoty. I jędzon pochodzenie do pogańskich można odnieść czasów.

**Wygląda, jak czarownica lub Ciota.**
**Jedzie, jak Ciota na świni.**
**Czarownica z Łyséj Góry.**

Wiara w czarownice jest jeszcze po dziś dzień nader silną. Czarownice jeżdżą co czwartek na Łysą Górę, wysmarowawszy się wprzódy jakąś maścią. Łysa Góra atoli nie jest jedna w Polsce, każda okolica zwykle ma swoją Łysą Górę, gdzie się czarownice zbierają. Jeżdżą też podobno na czarnéj świni, która jest djabłem, oprócz tego na miotle czynią powietrzne wycieczki. Jakaby była różnica cioty od czarownicy, dociec tego nie mogłem. Czarownice podług wiary ludu umieją deszcze sprowadzać, ludziom różne choroby zadawać i t. d. Leczą też choroby przez zażegnywanie, sierpem mianowicie. Dawniéj nieraz pławiono a nawet palono niewiasty posądzone o czary, jak tego liczne akta sądowe dawniejszych czasów dowo-

dem. Dziś dzięki dobroczynnéj oświacie, któréj błogie promienie nawet pod strzechę wieśniaka przenikają, poczynają czary, gusła, zabobony ustępować. Jednak jeszcze wiele w téj mierze pozostaje do życzenia. Czarownice, podług wyobrażenia ludu mogą zadać komu djabła. Taki człowiek zwie się opętanym. Dawniéj bardzo wiele miało być opętanych, lecz i po dziś dzień jeszcze opętani od złego ducha się pojawiają. Często jednakże to już wyleczyła z niemocy i wypędziła złego ducha z takich opętanych tęga chłosta. Bądź co bądź, wyobrażenia o ciotach sięgają zapewne czasów pogańskich.

**Zażarty, jak wilkołek.**

W Wielkopolsce wiadomość o wilkołkach czyli wilkołakach nie jest bardzo rozpowszechniona. Są ludzie podobno, którzy się mogą zamieniać w wilków. Czarownice sprowadzają tę klęskę na biednych ludzi, którzy w takim razie zwią się wilkołakami.

**Na dwoje babka wróżyła.**

I to przysłowie sięgać się zdaje czasów najdawniejszych. Używaném jest na oznaczenie niepewności.

**Milczy, jak zaklęty.**

Przysłowie to używane powszechnie w Wielkopolsce, sięga bezwątpienia czasów starosłowiańskich, kiedy jeszcze chrześciaństwo do nas nie zawitało. Istnieje pomiędzy ludem wiara, że dawniéj każde zaklęcie, a mianowicie w złą wymówione godzinę, natychmiast się ziszczało. Ztąd téż bardzo wiele miast, wsi, zamków, kościołów, nawet królestw, także ludzi przez zaklęcia skamieniało lub zapadło się w ziemię, a na ich miejscu często woda powstała. Pełne takich zaklęć są gminne powieści naszego ludu, gdzie nieraz ludzie, zwierzęta, pola, drzewa, rośliny, całe królestwa zapadają się w ziemię, lub kamienieją na jedno groźne zaklęcie czarodzieja lub czarownicy. W „Bajarzu Glińskiego", np. mamy tego liczne przykłady. Nie ma téż prawie okolicy w Wielkopolsce, a o ile wiem i w innych dzielnicach Polski, gdzieby nie

istniały podania o zaklętych miastach, zamkach, kościołach. Prawie każde jezioro, każdy pagórek kryje w sobie miasto lub kościół, a dzwony z miejsc takich nieraz się odzywają pogrobowym jękiem. Dwojaki skutek wywierały dawniéj zaklęcia: albo zaklęte przedmioty zamieniały się w kamień, albo zapadały w ziemię, gdzie zwykle potém utworzyła się jaka woda. W kamień przez zaklęcie została obróconą dziewczyna we wsi Młynach pod Strzelnem. Poszła ona po wodę i długo nie wracała. Zniecierpliwiona gospodyni zawołała: „A bodaj się w kamień zamieniła, kiedy tak długo z wodą nie wraca". I zamienioną została owa dziewczyna w kamień, który po dziś dzień niedaleko téj wsi się znajduje. Tak samo się stało we wsi Dzierząznie pod Gnieznem i w miasteczku Łopiennie. Trzech téż żydów w kamienie zamienionych zostało za nieuszanowanie Bożéj Męki. Dwa z tych kamieni mających tych żydów przedstawiać, znajdują się przy wsi Otorowie, w powiecie szamotulskim. Był tam jeszcze i trzeci kamień, lecz przed kilką czy kilkunastą laty chciano go przewieźć do Berlina. Przecież nie udało się to, bo ów kamień łamał wozy i wciąż spadał, tak, że go o kilka mil od Otorowa porzucono, a dwa inne po dziś dzień przy Otorowie się znajdują. Przy wsi zaś Szczerbinie pod Nakłem podobnie cała karczma w kamień zamienioną została, a to za nieuszanowanie Ciała i Krwi Pańskiéj. Ksiądz bowiem przejeżdżał raz koło téj karczmy z Panem Jezusem, jadąc do chorego. Ludzie zamiast się ukorzyć przed Zbawicielem, tém więcéj się oddawali hucznéj zabawie. Rozżalony kapłan przeklął tę karczmę, a oto w kamień się zamieniła. Podobnie zdarzyło się podług podania ludu we wsi Chlewie, w powiecie Ostrzeszowskim, tylko że tam karczma zapadła się w ziemię, a na tém miejscu dół pełen wody powstał. Także tam przejeżdżał ksiądz z Panem Jezusem; ludzie w karczmie się bawiący wcale nie oddali pokłonu Bogu, owszem śmiali się jeszcze, gracz tylko jeden wyskoczył za próg i uklęknął. Lecz jakże się zadziwił, kiedy obróciwszy się, ujrzał wodę na miejscu karczmy. Przyśli ludzie ze wsi, ale karczmy znaleźć nie mogli; dół który na miejscu téj zapadniętéj karczmy, miał powstać, zasypywano kilka ra-

zy kamieniami, ale te zawsze zapadają się w ziemię. Także przy Trzemesznie miała się zapaść karczma za podobne nieuszanowanie Przenajświętszego Sakramentu, a na miejscu tém powstał dół (głęboczek, jak go lud zowie), który jak powiadają ma być niezgruntowanym. Co do zamieniania się przez zaklęcia w kamienie, to jeszcze tyle nadmienić należy, że podziś używaném jest u ludu wyrażenie: kląć w żywe kamienie. Zaś z miejsc gdzie dziś istnieją jeziora, gdzie dawniéj miasta lub kościoły znajdować się miały, a które zaklęte w ziemię zapadły, wymienię kilka następujących. W bliskości sławnego Gopła znajdują się dwa małe jeziora zwane Trzyszczeń i Łonie. Były to niegdyś miasta, lecz gdy raz dawnemi czasy, jakiś człowiek niemogąc się w tych miastach dokupić chleba, rozgniewany zaklął: „A bodaj się przepadły takie miasta, gdzie nie można dostać kupić chleba", tak zaraz miasta owe w ziemię zapadły, a na ich miejsce powstały jeziora, noszące tych miast nazwy. Jezioro Stempuchowskie, w powiecie Węgrowieckim, także na miejscu zapadłego miasta się wznosi. Część też miasta Żnina zapadła się w wodę; miał właściwie cały Żnin być zatopionym, ale Najświętsza Marya Panna, Orędowniczka nasza, uprosiła choć tylko dla połowy miasta ratunek. Uwiadomiła zaś Boga-Rodzica listem, złotemi pisanym głoskami, o karze, jaka Żnin ma spotkać, jeźli się nie nawrócą. Zaczęli się wtedy modlić mieszczanie, a Bóg wysłuchał ich modłów i nie zezwolił na zatopienie całego Żnina. Na pamiątkę téj łaski i na podziękowanie za nią, co dzień śpiewają w kościele Żnińskim godzinki, a skoro który dzień nie śpiewają, to zaraz woda, jak lud twierdzi, w górę się wznosi. I w rzeczy saméj, miasto Żnin ze wszystkich stron wodą oblane. W jeziorze Trzemeszczeńskiem ma się znajdować kościół zapadły i dzwony, które nie raz w Wielkanoc lub w Boże Narodzenie żałośnie z pod wody dzwonią. Pobożni ludzie idąc rano do kościoła nieraz głos ich słyszeli. I w bardzo wielu innych jeziorach, mają się, podług podań ludowych znajdować kościoły i dzwony zapadłe. Dzwony te nieraz wychodziły z wody, a często nawet wyratowane z wody, zostały w dzwonnicach zawieszone, gdzie po dziś dzień się znajdują. Są zaś też

miasta zaklęte, ale one istnieją, tylko że mieszkańcy, którzy z tych miast pochodzą, niczego się w nich dorobić nie mogą. Zaklęcie to atoli rozciąga się tylko na pewną ilość pokoleń. I w takiém zaklęciu pozostaje podług wiary ludu starodawne miasto Gniezno. A zaklął je zaś na dwadzieścia i dwa pokolenia św. Wojciech; mieszkańcy bowiem Gniezna naśmiewali się z św. Wojciecha, gdy tenże w infule i z pastorałem w ręku po ulicach Gniezna się przechadzał. Wtedy ów święty biskup zaklął to miasto, a po dziś dzień nikt w Gnieźnie, który z tego miasta rodem, niczego się dorobić nie może. (Rachując trzy pokolenia na wiek, toby już kara Gniezna skończyć się powinna, ale przytaczam wiernie słowa ludu, jak je zasłyszałem). Także miasteczko Łekno, w którego blizkości stał niegdyś klasztor Cystersów w Rgielsku, zaklętém czy też przeklętém zostało. Mieszkańcy bowiem tego miasta zatopili zakonników i dla tego klasztor Cystersów z Rgielska do Węgrowca przeniesionym został, gdzie aż do obecnego stulecia dotrwał. Podobno kara ta na Łekno przez klątwę ściągnięta, wkrótce ma się skończyć. W niektórych jeziorach znajdują się ryby zaklęte. Są tacy mądrzy rybacy, którzy umieją ryby zakląć czyli zamówić, a takiéj zaklętéj ryby nikt nie ułowi, dopiero ich potomstwo łowić można. W takich jeziorach połowy ryb są bardzo liche; w zmiankowaném jeziorze Trzemeszeńskiem mają się znajdować takie ryby zaklęte, więc też mało ryb w tém jeziorze się łowi. Lecz gdyby się znalazł kto taki śmiały, coby w nocy poszedł do kośnicy i nabrał kości ludzkich, a utłukłszy na proch nabił flintę i wyjechawszy czółnem o północy na jezioro wystrzelił, wtenczas obfite ryb połowy by nastały. Po wystrzeleniu zawrzałoby całe jezioro, huk stałby się wielki, kłęby pary szłyby w górę, przecież ów człowiek powinien się zachować spokojnie, a nicby mu się nie stało. Także zaklęte ryby mają się znajdować w jeziorze przy Czeszewie, w powiecie węgrowieckim i w bardzo wielu innych jeziorach. Są też tacy ludzie, którzy umieją zaklęciem ryby z jednego do drugiego jeziora przeprowadzać. Tylko na szczupaka podobne zaklęcie nie skutkuje, bo tenże posiada w głowie

kostki, mające podobieństwo do narzędzi Męki Pańskiéj. A ileżto skarbów zaklętych znajduje się w ziemi, których *złe* pilnuje. I tak np. skarby spoczywają przy jeziorze Kurnickiém, których djabeł w postaci czarnego koguta strzeże, na wyspie w jeziorze Lenno, czyli Lednogórskiém, przy Gnieźnie w okopie Gnieźniec zwanym i w wielu innych licznych miejscach zaklęte skarby zaajdować się mają. Aby je wydobyć, to najczęściéj jest położony warunek odprawienia Mszy św. w tém miejscu, gdzie się te skarby znajdują, lub też processyą należy w to miejsce odbyć; lecz jeśli się czego z potrzebnych przyborów kościelnych zapomni, wówczas skarby jeszcze głębiéj w ziemię zapadają. Podania o skarbach zaklętych nie raz się sprawdzają, tojest, że w takiém miejscu, o którém głosi, jakoby tam pieniądze się znajdowały, rzeczywiście nie raz znajdują się skarby; lecz rzadko dochodzą wiadomości o podobnych zdarzeniach, gdyż każdy z tém się kryje. Liczne te ślady wskazują, jakie wielkie znaczenie w bałwochwalskich czasach przywiązane być musiało, kiedy po dziś dzień tak silna w nie wiara. Zapewne kapłani pogańscy leczyli choroby za pomocą zaklęć, a i w innych sprawach może ich używali. A w tych starosłowiańskich czasach nie popsutych cywilizacyą, wielką słowo wywierało potęgę, zwłaszcza u Słowian, tych ludzi *słowa*, jak ich zwie Mickiewicz, jeśli jeszcze to słowo w tajemniczą szatę zaklęcia przybrane było. O leczeniu chorób wnioskować można ztąd, że jeszcze po dziś dzień tak zwane mądre baby i dziady posiadają tajemnicę zaklęć i zażegnywań, za pomocą których leczą chorych. Sąto niewątpliwie zabytki pogaństwa. W przysłowiu: „*Milczy, jak zaklęty*", dochował się ślad potęgi zaklęć dawnemi czasy, kiedy nawet głosu pozbawiały ludzi. Używa się zaś tego przysłowia, jeśli kto mimo zapytań upornie milczy. Mówi się nieraz: a to wszystko jak zaklęte, jeśli nieład, rozprzężenie panuje. Używaném też jest: „*Jakby się w ziemię przepadło*", jeśli co zginie bez śladu. Przysłowie to jest nader ważném w badaniu przeszłości Słowiańszczyzny; przyczynić się bowiem może do wyjaśnienia nie jednych zawikłań, mianowicie w obrządkach religijnych dawnych Słowian. Należałoby ująć w je-

dno wszystkie podania tyczące się zaklęć, a szczególnie zasięgnąć wiadomości o takich miejscach, o których krążą podania, że pozostają w zaklęciu, lub zawierają przedmioty zaklęte. A jest miejsc takich i podań o tychże w Słowiańszczyznie liczba nader wielka. W końcu nadmienić winienem, że u ludu trwa wiara, jakoby zaklęte miasta, kościoły, a nawet królestwa ożyć mogły, gdyby kto umiał zdjąć to zaklęcie. W ogóle wiara w zaklęcia dowodzi potęgi słowa, która rzeczywiście jest wielką.

## II. PRZYSŁOWIA DZIEJOWE, KTÓRE W PÓŹNIEJSZYCH POWSTAŁY CZASACH.

**Sprawić komu łaźnią.**

Bolesław Wielki podobno twórcą tego przysłowia. Powszechnie jest znaném i używaném w Wielkopolsce.

**Mądry Polak po szkodzie.**

I to przysłowie, które po śmierci Mieczysława IIgo powstać miało, nader często bywa powtarzaném. Zamiast po szkodzie, lud mówi po sprawie.

**Do króla Kaźmierza,**
**Jeździli chłopi aż z Sandomierza.**

Pamięć o Kaźmierzu Wielkim, o tym królu chłopków, dochowała się dotąd u ludu, acz wielce niepewna i niejasna. Nieraz zdarzyło mi się słyszéć między ludem, że za króla Kaźmierza było w Polsce bardzo dobrze. Przysłowie to, które ma oznaczać, że do Kaźmierza zewsząd lud wiejski się garnął, słyszałem kilkakroć, chotylko tu owdzie jest znaném. Zawsze jednak ważną to jest rzeczą, że lud dochował wspomnienia o swoim obrońcy i opiekunie.

**Za króla Olbrachta,**
**Wyginęła szlachta.**

Znane także u ludu. Słyszałem jak raz pewien wieśniak mówił: Ej ta szlachta, żeby jéj nie przyszło tak

na koniec, jak to za tego króla Olbrachta, co to wyginęła szlachta.

**Po starych Szwedach.**
**Szwedy, narobiły w Polsce biedy.**
**Łazi po świecie, jak Szwedzi po Polsce.**
**Zły, jak Szwed.**
**Baba, jak Szwed.**

Na oznaczenie czegoś dawnego, starego mówi się: „*To po starych Szwedach*". Mianowicie okopy, których w Wielkopolsce bardzo wielka liczba, pochodzą od tych starych Szwedów. W wielu miejscach znajdują kule armatnie, mianowicie przy kościołach, to także zabytki po tych starych Szwedach. Lud po dziś dzień wiele rozpowiada o klęskach doznanych od tego narodu. Plądrowali oni okropnie w Polsce, rabowali kościoły, zamki, palili wsie, miasteczka; zrabowane zaś świątynie Boże w stajnie zamieniali. Lud też dlatego uciekał przed nimi do lasów. Lecz i na to znaleźli Szwedzi sposób. Chodzili bowiem po lasach wołając: „Kaśka, Maryśka — chodźcie, Szwedów djabli wzięli". Gdy kto łatwowierny słysząc te słowa opuścił swą kryjówkę, wtedy schwytali go i tak długo męczyli, dopóki nie wydał, gdzie są w lesie schowane rzeczy, pieniądze, żywność. Słowem bardzo źle było w Polsce za tych starych Szwedów, czego ślad w owych kilku wyżéj przytoczonych przysłowiach pozostał.

**A verbum słowo, panie Twardowski?**

I w Wielkopolsce żyje dotąd pamięć o owym sławnym czarodzieju Twardowskim. Nawet istnieje w powiecie Węgrowieckim wioska Rzym, gdzie podług podania djabli Twardowskiego porwali. W powiecie zaś Średzkim za wsią Neklą ciągnie się blisko milę długa grobla, która się poczyna od karczmy Wygoda, a kończy przy osadzie Wiktorowo pod Kostrzynem. Z obu stron téj grobli ciągną się błota i łąki, widocznie zatem, że jest sypana ręką ludzką. Lud po dziś dzień zowie ją groblą Twardowskiego. Dawnemi czasy nie było tam na błotach żadnéj drogi. Przyjechał raz do karczmy Wygody pan jakiś bogaty, który mówił do gościnnego (karczmarza), że jedzie do Pozna-

nia. Gościnny powiada, że tu przez błota nie ma wcale drogi, ale Twardowski (bo nim był ów pan bogaty), zagwizdnął tylko na biesów i rozkazał im co tchu przez te błota sypać groblę z maku, on zaś pędził, co koń wyskoczy, w karecie czterokonnéj. Djabli żwawo się uwijali, lecz jeden djabeł nie zdążył przynieść na miejsce przeznaczenia potężnéj torby ziemi, gdyż kur zapiał. Wrzucił ją w jezioro przy Iwnie (wieś w powiecie Średzkim), ztąd powstała wyspa na témże jeziorze. I wiele innych sztuk Twardowski za pomocą djabłów dokonał: i tak most z maku razu pewnego zbudował, drugi raz zaś jechał karetą po garnkach, a co przez nie przejechał, to już znowu mu nowe stały przed koniami, tak że ciągle kilka garnków przed końmi lecieć musiało. Twardowski zawarł z djabłami układ, że im odda duszę w Rzymie. Nie myślał on wcale udać się do Rzymu, lecz hulał sobie jak za dobrych czasów. Po siedmiu czy więcéj latach przyjechał raz do jakiegoś karczmiska, które się Rzym nazywało. Ledwie przeszedł próg domu, aliści ni ztąd ni zowąd stada wron, kawek i kruków nad karczmą krążyć poczęły. Wchodzi djabeł we fraczku i w kapeluszu. Poznał Twardowski, co się to święci, a chcąc uwolnić się od natarczywości szatańskiéj, wziął dziecko małe z kolebki na rękę, do którego djabeł nie miał żadnego prawa. Widząc to tenże wyrzekł do Twardowskiego: „*A verbum słowo, panie Twardowski?*" czyli podług innych: „*Verbum nobile debet esse stabile.*" Twardowski, jako prawy szlachcic, dla którego dane słowo jest świętém, oddał się djabłom, którzy z nim polecieli w powietrze; lecz kiedy zaczął śpiewać kantyczki, wtedy djabeł go puścił, a Twardowski zawisnął w powietrzu i wisieć tam będzie do dnia sądnego. Po dziś dzień, gdy się komu przypomina, aby dotrzymał danego słowa mówi się: *A verbum słowo, panie Twardowski* lub też: *Verbum nobile debet esse stabile.* Pierwszego lud, a drugiego klassa więcéj wykształcona używa.

**Za króla Sobka**
**Nie było w stodole ani snopka.**

Przysłowie to jest bardzo w Wielkopolsce rozpowszechnioném. Na zapytanie moje, dlaczego to wtedy taka

bieda za tego króla Sobka panowała, odpowiadano mi że źle rządził ten król Sobek.

**Za króla Sasa**
**Jedli, pili chłopi, popuszczali pasa.**

Nader często jest używaném powyższe przysłowie. Za króla Sasa, twierdzi lud było bardzo dobrze, bo było co jeść i co pić. Wolność też była wielka. Na zapytanie co to za wolność wtedy panowała, powiada lud, że wtedy mógł każdy iść, gdzie mu się podobało bez żadnego pisma, nie tak jak dziś, co byle gdzie się ruszyć, to trzeba mieć pisanie. Otóż to wyobrażenie o wolności i o dobrym bycie. Ale nie dziwmy się ludowi, kiedy i szlachta pod Sasami nie lepiéj myślała. Jest też tu owdzie w używaniu:

**„Panowały Wazy, panowały Sasy**
**Oj za tych króli dobre były czasy."**

**Wolno w Polsce co kto chce.**

Najwięcéj używa się tego przysłowia w grach i zabawach. Jeśli się ktoś nie chce stosować do woli ogółu lub przepisów gry, wtedy mówi: „Ej co mi tam, przecież wolno w Polsce, co kto chce." Czasem i w innych razach, gdy kto coś uczyni, co mu właściwie czynić nie wolno, mówi podobnie. Jakżeż dobitnie to przysłowie maluje, stan Polski w ostatnich latach, gdzie każdy robił, co mu się podobało, na czego skutki dziś patrzymy.

## III. PRZYSŁOWIA MIEJSCOWE.

**Zkąd data? z Mixtata.**
**Po wygnaniu bydła, bo zegara nie ma.**

W każdéj nieomal okolicy znajduje się jakaś wieś lub miasteczko, które jest celem pośmiewiska sąsiednich mieszkańców. Tak Pacanów w Krakowskiém, Smorgoń na Litwie, zaś w powiecie Ostrzeszowskim miasteczko Mixtat jest celem dowcipnych rozmów okolicznych wiosek. Opowiadają sobie wieśniacy, że ratusz w Mixtacie był niegdyś na kółkach, tak że go było można przenosić z miejsca na miejsce. Na tym ratuszu był zegar, ale nie wskazywał godzin, na nieszczęście. Aby temu jakkolwiek zaradzić, więc

co dzień w południe burmistrz Mixtacki popychał wskazówkę na dwunastą godzinę i obwieszczał dobitnym głosem, że już południe.. Lecz nie wystarczał jednak mimo to ów podział czasu, dla tego uciekano się nieraz do innéj rachuby czasu, uważając przedewszystkiem, czy już bydło zostało wypędzoném, czy nie. Po dziś dzień miasteczko to jest bardzo niepozornem i ubogiém. Nazwa powstała podobna od mixtatnik, co podług Lindego znaczy tyle co tragarz; mieszkańcy bowiem Mixtata trudnili się przenoszeniem towarów. Przysłowie powyższe oznacza nieład, zamieszanie, niepewność.

**Porządek, (szyk), jak w Osieku.**

Osiek jest miasteczko czy wioska, zdaje mi się w Sandomierskiém, o którém znane jest przysłowie: „Sprawa, jak w Osieku," ponieważ tam zamiast ślusarza, powieszono kowala. Lecz i w Wielkopolsce w powiecie Odalanowskim, znajduje się wieś Osiek, gdzie gdy razu pewnego wybuchnął pożar, zaczęli mieszkańcy kopać studnią, choć tuż obok wioski rzeczka płynęła. Ztąd powstało to przysłowie: *Porządek jak w Osieku.* Jest też jeszcze Osiek pod Nakłem i Osiek w Prusach Zachodnich. Wieś Chojno, w powiecie Szamotulskim, słynie także z podobnéj sławy, jak Osiek. Sąsiedzi Chojna bardzo wiele dowcipnych i śmiesznych zdarzeń o mieszkańcach téj wsi opowiadają.

**Elegant z Mosiny.**

Mosina, miasteczko pod Poznaniem, jest także bardzo pogardzoném. Gdy się kto ubierze w niestosowny ubiór, lub w ogóle nieporządnie jest przybrany, wtedy mówi się o takim, że stroi się, jak elegant z Mosiny. Wszkołach uczniowi niepilnemu radzą nauczyciele iść do akademii w Mosinie. Między ludem okolicznym jest też jeszcze używaném:

**Kto idzie do Mosiny,**
**Ten tańcuje w sieni.**

**Szykowny jak z Gorzykowa.**

Gorzykowo, jest wioska położona między miasteczkiem Witkowem a Mielżynem. W téj wiosce mieszkał da-

wnemi czasy gospodarz, który się zwał Szykowny. Ale na przekór nazwisku był wielce nieszykowny, niezgraba jakich mało. Gdy kto tedy widział kogo niezgrabnego, wtedy mówił: „Oj szykownyś (dorozumiewa się, szykowny gospodarz), jak ten z Gorzykowa." Umarł ów gospodarz, a po dziś dzień w sąsiednich wioskach, na niezgrabnych mówią: „*Szykowny jak z Gorzykowa*". Znane przysłowia oznaczające niezgrabność są:

**Zgrabny, jak żyd do karabina. Zgrabny, jak pies do wiązki siana. Szykowny jak wół do karety. Zgrabny jak krowy do podkowy. Szykowny, jak malarzów Wojtek.**

**Pójdziesz zbijać na Ślesińskie bory.**

Ślesin, jest nazwa miasteczka położonego w dzisiejszém Królestwie Polskiem. Ciągnęły się naokół tego miasta wielkie bory, w których się nieraz zbójcy gnieździli. Ztąd też, w dość nawet odległych stronach, ojcowie o złych synach, gospodarze o hardych, puszczających się na bezdroża parobkach, mówią: „*Pójdziesz zbijać na Ślesińskie bory*". Przysłowie używaném jest szczególnie w powiecie Inowrocławskim. Podobne temu są przysłowia w zbiorze Wójcickiego podane: „Wygląda jak świętokrzyzki lub kamecznicki zbójca." Zaś w Prusach Zachodnich jest używaném: „*zbójca z Tucholskiego lasu*", bo naokół miasto Tucholi w Prusach Zachodnich, mianowicie dawniéj, znajdowały się wielkie bory, w których nieraz zbójcy mieli swe kryjówki.

**Kujawiak idzie szukać kija z chlebem, a Pałuczanin z kijem chleba.**

Kujawami zwie się prawie cały powiat Inowrocławski (większa część Kujaw należy do Królestwa Polskiego). W Kujawach jest grunt równy, żyzny, urodzajny, mało lasów zawierający, ztąd dość chleba a mało drzewa. Pałukami zwie lud ziemię leżącą między rzekami Notecią i Wełną, a mianowicie powiaty Wągrowiecki, Mogilnicki, Szubiński i część Gnieźnieńskiego. W Pałukach aczkolwiek jest także grunt urodzajny, jest jednak też wiele a przynajmniéj było lasów, ztąd urosło owe przysłowie. W Kujawach, wyraz Kujawy, znaczy tyle co wesoły, dziarski. Czy dawniéj Pałuczanie i Kujawianie tworzyli osobne ple-

miona, które z czasem zlały się w jedno z Polanami, czy też te nazwy miały inne jakie znaczenie, tego nie wiem. A oto w rzeczy saméj lud w Pałukach, Kujawach i w innych stronach Wielkopolski, różni się nieco w wymawianiu. I tak Pałuczanie zamieniają głoskę *a* przed głoskami *m*, *i*, *n*, na *e*, n. p. zamiast *kamień* wymawiają *kemień*, *sieno* zamiast *siano*; mówią też n. p. *steczka* zamiast *ścieżka*. Powiaty bydgoski, wyrzyski, sparnkowski, chodziecki zowią się u ludu: Kraina (*a* pochylone brzmiące niemal jak *o*).

**Kto ma Markowice, Polanowice, Jaxice, Biżejowice,**
**Ten mówi królowi polskiemu: Mi amice.**

Wsie wyżéj wymienione są nadzwyczaj żyzne i rozległe, tak, że ktoby je miał razem, byłby nadzwyczaj zamożnym. Inne podobne przysłowia są:

**Pan Turwi. Gołębina** } Turwin i Gołębin wsie w powie-
**Może pijać stare wina.** } cie Kościańskim.

**Jeźli masz Dobrojewo i Kwilcz,**
**To ty szlachcicu milcz.**
**Ktoby mógł mieć razem Księczyn i Gaj,**
**Ten miałby tu na ziemi raj.**
} Wsie te leżą w powiecie Szamotulskim.

**Kto mieszka przy Obrze,**
**To ma się dobrze.**
} Obra, rzeka wpadająca do Warty. Nad jéj brzegami wiele łąk, a zatem ztąd wielkie dla nadobrzeńskich mieszkańców wynikają korzyści.

**Stoi, jak św. Jan od Warty.**

Używa się o ludziach, gdy gdzie zdala nieśmiało w pokornéj postawie staną. Zwykle figury św. Jana stawiają nad wodami i rzekami, mianowicie nad rzeką Wartą. A że figury te stoją nieruchomo i niejako w ustroniach, więc też ztąd zapewne początek powyższego przysłowia. Podobném też do tego jest: „*Stoi, jak Marek od piekła*". W blizkości Poznania znajduje się wieś Piekło (zwane także Pastkowo), gdzie się znajduje figura św. Marka, a ztąd owa dwuznaczność, mianowicie w wymawianiu.

**Gracz z Piasków.**

Używa się o złych graczach, mianowicie na weselach.

**Leci, jak pleszewski szewc na jarmark.**

Szewcy doznają pewnéj wzgardy od ludu, która głównie zasadza się na wykrywaniu różnych śmieszności

u szewców. Pleszew liczy wiele tych rzemieślników, a że w daleką stronę spieszą z swym towarem na jarmarki, więc też utworzyło się z tego powodu wyrażenie: „*Leci jak pleszewski szewc na jarmark*". Podobnie o szewcach miasteczka Łókna mówią mieszkańcy sąsiedzkich wiosek. W Prusach zaś Zachodnich mówią: *Leci jak szewc z Gardeja.*

**Głuchy, by od Szamotuł.**

Przysłowie to używaném jest w blizkości Poznania. W *Przyjacielu ludu* leszniańskim był podany początek tego przysłowia. W XVI wieku któryś dziedzic Szamotuł został dyssydentem. Wybudował świątynią dla wyznawców swéj sekty. Kiedy się piérwszy raz odprawiało w nowo wybudowanym kościele nabożeństwo, wtedy też pośpieszyło z ciekawości na nie kilku mieszczan. Nie zajęło ich jednakże wcale to nabożeństwo, tak że ziewali i o w ogóle wielce byli obojętnymi słuchaczami. Po skończoném nabożeństwie dziedzic Szamotuł, jako żarliwy wyznawca nowéj wiary, zawołał: „Wyście głusi", t. j. postępowaliście sobie, jakbyście byli słuchu pozbawieni. I ztąd owo przysłowie: *Głuchy, by od Szamotuł.*

## IV. PRZYSŁOWIA RÓŻNÉJ TREŚCI.

**Nauczę ja cię po kościele gwizdać.**

Jak wiadomo, panuje po kościołach zwyczaj, że w niedzielę podczas nabożeństwa, obchodzi kościelny z workiem, przy którym jest dzwonek, przytwierdzonym na długim kiju, wzywając wiernych do składania dobrowolnych ofiar. Otóż to zdarzyło się dawnemi czasy, że pewnemu kościelnemu, gdy chodził po kościele z tym workiem, spadł dzwonek na ziemię. Lecz kościelny miał, jak to mówią, głowę na karku, nie tracąc więc wcale miny i czupryny, zaczął kijem, na końcu którego jest worek potrząsać, jak gdyby nic nie zaszło, przytém pogwizdywał, co miało zastąpić miejsce dzwonka. Mimowoli lud śmiać się począł a przytomny temu zgorszeniu kapłan zawołał:

„*Nauczę ja cię po kościele gwizdać*", co miało znaczyć, że karę odbierze ów kościelny. Lud przytomny temu zdarzeniu rozniósł wiadomość o tém na wsze strony, zkąd z czasem owo przysłowie powstało. Gdy kto kogo napomina lub grozi, ówczas mówi: „*Nauczę ja cię po kościele gwizdać*" t. j. nauczę ja cię złe broić. Tak jak w ogóle się używa wyrażenia nauczę, zamiast ukarzę, n. p. nauczę ja cię nieuważać. Znaném też jest tę samą myśl wyrażające przysłowie: „*Nauczę ja cię tańcować*", które początek wzięło w wojnach tatarskich. Oprócz tego mówi się także: Nauczę ja cię pod lodem pływać, po błocie lub po bruku skakać.

**Patrz każdy swego,**
**Nie kożucha cudzego.**

Początek tego przysłowia jest taki: Był raz jeden tęgi złodziéj, wyćwiczony w swém rzemiośle, jak się przynależy. Miał on kilku złodziei pod sobą, z którymi kradł doskonale. Wiodło im się pewien czas dosyć pomyślnie, ale w końcu poczęli się mieć ludzie na baczności, tak że złodziejom zatrudnienie ich małe przynosiło korzyści. Starszy złodziéj przemyśliwał nad sposobami nowych kradzieży, aż też raz wpadł na dobry pomysł. Zwołał tedy swych towarzyszy broni i rzekł: „Jutro jarmark w poblizkiém miasteczku, bądźcie tam wszyscy za różnych poprzebierani ludzi, a zobaczycie jakie obfite będzie was czekało żniwo." Złodziejom takiéj mowy dwa razy nie powtarzać, jako też nazajutrz stanęli wszyscy w miasteczku poprzebierani za dziadów, żydów, chłopów i t. d., cierpliwie czekając pomyślnéj sposobności kradzenia. Już jarmark rozpoczął się w najlepsze, wtém naraz stał się wielki zgiełk i zadziwienie w mieście. A było czemu się dziwować, bo oto szedł jakiś człowiek z kożuchem w ręce (a było to lato), w który walił z całéj siły wrzeszcząc co gardła stało: „Patrz każdy swego, nie kożucha cudzego". Wszyscy z ciekawością przypatrywali się temu człowiekowi, nie mogąc pojąć, coby ta scena miała za znaczenie. Kupcy wychodzili z kramów, nawet żydzi przypatrywali się temu szczególnemu widowisku. Kiedy tak się wszyscy gapili, patrząc na owego starszego zło-

dzieja (bo nim był ów człowiek z kożuchem), wtedy kamraci jego kraść poczęli w najlepsze. Porządnie się też obłowili, a tymczasem człowiek ów z kożuchem cichaczem wyniósł się z miasta. Po skończoném widowisku każdy wrócił do przerwanéj czynności, lecz jakież było ich zadziwienie, gdy wyrządzone szkody spostrzegli. Dopieroż to wyrzekania, a mądrzejsi rzekli: Toć mówił ów człowiek z kożuchem: *Patrz każdy swego, nie kożucha cudzego*", gdybyśmy byli naszych kożuchów pilnowali, toby się nam nic nie było stało. „Oj prawda, święta prawda", mówili okradzeni, ale już było zapóźno. Takim sposobem stał się ów złodziéj twórcą tego dziś powszechnie używanego przysłowia. Podobne do tego są: *Nie wtykaj nosa, kiedyś nie dał grosza. Nie kładź palca między drzwi, bo ci go przyskrzypią.*

### Mędrsze jaje niż kura.

Przysłowia tego używa się, jeżeli jaki niedowarzony młodzik przypisuje sobie więcéj rozumu, aniżeli doświadczonym mężom. Określa ono myśl tę nader dobitnie. Miało zaś powstać to przysłowie podług podania ludu wielkopolskiego, następującym sposobem. Jechał sobie raz Niemiec z całém swém gospodarstwem, gdzieś w świat daleko (pewnie do Polski—Drang nach Osten). Miał też także kurę na wozie. Nie trzeba, że jadąc z góry przydusiła deska kurę, która od ciosu tego życie postradała, jaje przecież, które przed chwilą była zniosła, ocalało. Zadziwiony Niemiec powiedział: Jaje całe, a kura nie żyje, więc jaje mędrsze od kury, kiedy się umiało ocalić".

### Jak prządł, tak miał.

Młynarz Niemiec ożenił się w Polsce z kobietą rodu wiejskiego. Lecz źle trafił ów Niemiec, gdyż dostał nader nieporządną, gnuśną i leniwą żonę. W domu powstał przeto wielki nieład i biéda. Nawet płótna na koszule nie zrobiła żona owego młynarza, dlatego sama chodziła bez koszul. Chcąc temu zaradzić, wzięła raz kilka grubych miechów od mąki swemu mężowi i zrobiła sobie z nich koszulę. Lecz gdy to Niemiec spostrzegł, ściągnął z niéj tę koszulę, mówiąc: „*Jak prządł,*

*tak miał, potrzebny miecha do mąka*", co później stało się przysłowiem. Znaczy tyle co: Jaka praca, taka płaca.

**Pośpieszył się jak jéż z młodziami.**

Gdzieś w domu chował się jéż. Tego wysłano raz po młodzie (drożdże) a wiedząc jak był powolnym, zalecano mu pośpiech. W siedm lat wrócił ów jéż z młodziami, lecz przechodząc przez próg, obaliwszy się stłukł naczynie, a młodzie wylał. Wtedy rozgniewany zawołał: „A to tak zawsze bywa, kiedy się kto za bardzo śpieszy". Dla jeża bowiem było za prędko w siedm lat z niedalekiego miejsca przynieść młodzie i tylko bardzo się spiesząc mógł tego dokonać. Używane też jest, a nawet częściéj, niż powyższe przysłowie: „*Pośpieszył się jak sowizdrzał z młodziami*", gdzie zamiast jeża, sowizdrzał, czyli sowirzał, jak lud mówi, siedm lat po młodzie chodził. Sowizdrzał jest dobrze naszemu ludowi znanym, wiele też o nim krąży powieści.

**Dla zawiści w niebie nie być, albo w piekle być.**
**Zazdrośny, jak św. Piotra matka.**

Matka świętego Piotra apostoła, była bardzo złą niewiastą, szczególnie na ubogich ludzi nielitościwą. To też za to po śmierci dostała się do piekła. Bolało to Piotra świętego, jako przykładnego syna, że jego matka, acz grzesznica wielka, pospołu w piekle z potępieńcami siedzi. Tedy począł prosić Pana Jezusa Piotr święty, aby dozwolił wyjść jego matce z piekielnych otchłani. Wzdragał się z początku Pan Jezus, aż w końcu zmiękczony prożbami Piotra świętego, dozwolił mu na jakim dobrym uczynku, który matka Piotrowa za życia uczyniła, z piekła ją wyciągnąć. Pośpieszył prędko uradowany Piotr święty do piekła, jak zwyczajnie każdy syn bogobojny, który swym rodzicom może coś dobrego wyświadczyć. Kiedy zaś przyszło matkę z piekielnych ogni wyciągnąć, pokazało się, że matka Piotrowa za życia tylko raz jednemu ubogiemu trzy szczypiorki od cebuli dała. Za te tedy szczypiorki miał Piotr święty matkę swoją wyciągnąć z piekielnych toni. Zaczął więc najprzód za pierwszy szczypiorek ciągnąć, za który się matka uchwyciła, ale

ten się zerwał, tak samo i drugi; nakoniec na trzecim już się prawie wydostała, kiedy wtém spostrzegła, że się także kilka dusz koło niéj uwiesiło, a jako była zawsze zawistną kobietą, tak i teraz nawet zawołała: „A wy przeklęte dusze, a wy potępieńce, a zaraz do piekła napowrót: nie dla was niebo". Spadły dusze do piekła, ale z niemi i owa niegodziwa kobieta, a ztąd powstało przysłowie: *„Dla zawiści w piekle być, albo w niebie nie być"*, boć matka św. Piotra jedynie gwoli zawiści nie przyszła do nieba. Jako i drugie przysłowie: *„Zazdrosny, jak matka św. Piotra"*, ztąd bierze początek.

### Odpust-rozpust.

Przysłowia tego znaczenie łatwo każdy zrozumié, kto choć raz był na odpuście wiejskim. Prawdziwie tedy z odpustu rozpust czyli swawola powstaje, mianowicie dawniéj, kiedy nieraz dobrze podchmielone chłopstwo, zacięte na kije staczało bójki. Dotąd żyją wspomnienia tych walnych rozpraw, kiedy to aż skówki od kijów latały w powietrzu, gdzie tylu a tylu było nieraz rannych. Dawniéj każdy parobek idąc na odpust, tęgi kij czyli lalę ukrył pod płaszczem, a tylko mały i cienki kijaszek trzymał w ręku. Dopiéro kiedy przyszło do potrzeby, wtedy kijaszek na bok, a nagle ni ztąd, ni zowąd potężna pałka zabłysła przed oczyma przeciwników. Dziś już dzięki Bogu, bójki te coraz rzadsze. Opis takiéj odpustowéj bitwy w Gołłańczy (miasteczko w powiecie węgrowieckim, podał Au. Wi. w swych Ramotach w Bibliotece Warszawskiéj). Sławne odpusty na całą Polskę a nawet pograniczne kraje odbywają się w *Częstochowie*, lecz i prócz tego nie masz prawie okolicy w Wielkopolsce, któraby jednego lub więcéj cudownych miejsc nie liczyła. I tak w *Poznaniu* znajduje się cudami słynący Pan Jezus u fary i w kościele Przemienienia Pańskiego. Oprócz tego następujące wsie i miasta posiadają cudowne obrazy: *Kcynia*, w powiecie szubińskim, najsławniejsze może miejsce cudowne na całą Wielkopolskę, dokąd o kilkanaście mil często pielgrzymują pobożni; *Mikorzyn* w powiecie ostrzeszowskim, znany w ostatnich czasach z znalezienia tamże kamieni, sięgających czasów starosłowiań-

skich; *Tursk* pod Pleszewem, *Borek*, *Rokitno*, z cudownym N. Maryi Panny obrazem, którego piękny odcisk wyszedł w Paryżu; *Gościeszyn* pod Trzemesznem, *Dąbrówka* pod Miesciskiem, *Markowice*, *Pakość* i wiele innych oprócz tego kościołów się znajduje z cudownemi obrazami. W Prusach Zachodnich najsławniejsze są z odpustów: *Wejherowo* (Neustadt przechrzczone od Niemców) i *Łąki*, gdzie nie raz kilkanaście tysięcy poczciwych Kaszubów na odpust spieszy. Aczkolwiek słusznie mówią: *Odpust-rozpust*, to jednak też i wiele dobrego odpusty sprawiają, tylko, że to dobre nie tak widoczne. A potém są to jedyne miejsca, gdzie się lud w większéj zbiera liczbie, wyższą powodowany myślą. Należałoby złe a mianowicie pijaństwo usunąć, a odpusty byłyby dla ludu rzeczywiście wielkiém dobrem.

**Kiedy Pan Bóg dopuści,**
**To i z kija puści.**

Początek tego przysłowia jest taki: Odbywało się raz wesele wiejskie. Cieszono się i bawiono wesoło, a na powiększenie radości strzelano raz po raz z pistoletów. Wtedy namówiło się dwóch chłopów, aby sobie z trzeciego zażartować. Siadł tedy jeden z nich na kamieniu i wziąwszy kij w rękę wymierzył w tego chłopa, który był celem tego żartu, mówiąc, że do niego strzeli. Ten śmiał się z tego; lecz wtém zabłysło i huknęło, tak, że chłop ów, gdyż to było blizko, z przestrachu padł na ziemię. Wszyscy mniemali, że to kij puścił, ale tymczasem inaczéj się rzecz miała, gdyż za owym chłopem, który kijem celował, ukrył się inny wieśniak z pistoletem i strzelił, podczas gdy ten siedzący celował. Ztąd powstało powyższe przysłowie, że kiedy Pan Bóg dopuści, to i z kija puści, choć właściwie wtenczas kij nie puścił. Żydowi też pewnemu zdarzyło się podobnie. Szedł sobie bowiem Żyd ten przez las, aż wtém ujrzy potężnego niedźwiedzia na sośnie, miód pszczołom podbierającego. Z początku Żyd ów bojaźliwy struchlał, lecz po krótkim namyśle postanowił go ubić. Jakoż schwycił łokieć do mierzenia towarów, wycelował i z całéj siły zakrzyknął: paf! paf! Niedźwiedź czy tym krzykiem przestraszony, czy też dla innéj przyczyny, dość, że zwalił

się na ziemię, a że przypadkiem głową na śpiczasty pień trafił, więc wkrótce życie postradał. Ucieszył się ów Żyd wielce swemu trafnemu strzałowi, dodając: „Ny, kiedy Pan Bóg dopuści, to i z kija puści"!

**Dogodził mu, jak ksiądz Gierce.**

Powszechnie używane przysłowie. Gierka (Giertruda) byłato dziewka służąca u pewnego księdza. Ten kupił jéj buty na lato, a zimą kazał jéj boso chodzić. Ztąd też powyższe powstało przysłowie używane, jeśli kto komu ofiaruje się z przysługą, a w razie potrzeby ją cofa.

**Na spółkę, sam djabeł narzeka.**

Powieści i przysłów o djabłach krąży wielka liczba między ludem wielkopolskim. A zawsze we fraczku, kuso, w pluderkach z harbajtlem w tyle, lud djabła sobie wystawia. Jest on przebiegły, chytry, mądry, ale go jednak nasz chłopek swym chłopskim rozumem zwycięża. I tak też dawnemi czasy, razu pewnego oszukał chłop djabła na spółce. Zawarli oni bowiem ugodę, że będą razem pracowali, a potém zyskiem się podzielą. Narobili piwa: wziął chłop smaczne piwo z wierzchu, a djabłu zostawił drożdże. Bolał go więc brzuch okropnie. Potem siali rzepę. Tą razą był już djabeł mędrszym, wybrał więc sobie część wierzchnią, a tak dostały mu się gorzkie liście, a chłopu słodka rzepa. Jeszcze raz siali i to pszenicę. Tą razą djabeł wybrał jeszcze raz to, co będzie na spodzie; wziął więc chłop pełne kłosy, a djabeł korzonki i trochę słomy. Takim sposobem wyszedł djabeł bardzo źle na téj spółce, zkąd powstało przysłowie: „*Na spółkę sam djabeł narzeka*", albo: „*Kto się czego na spółce dorobi, ten może się z djabłem dzielić*". Najczęściéj obie strony nie są ze spółki zadowolone, tę myśl przysłowie to potwierdza wymownie, że tak być musi, kiedy sam djabeł na niéj źle wyszedł.

**Gdzie djabeł nie może, tam babę pośle.**

Nietylko chłopi, ale i baby, czarownice nieraz więcéj posiadają rozumu od samego djabła, dla tego się

też niemi chętnie djabeł wyręcza, jak tego powyższe przysłowie dowodzi. Początek téj przypowieści już nam podał znakomity badacz rzeczy ludowych K. Wł. Wójcicki, lecz w Wielkopolsce krążą prócz tego różne odmiany. Podług jednych, chwyciła się baba, chcąc cnotliwe małżeństwo do kłótni pobudzić, że każdemu z nich nóż pod poduszkę włożyła, każde z osobna uwiadomiwszy, że jedno drugie chce zabić. Zaś sam djabeł chcąc koniecznie małżeństwo owe pokłócić, pokusił raz męża, że tenże przywiózł raz umyślnie z lasu krzywego drzewa, chcąc się przekonać, czy też się żona będzie o to gniewała. Ale ta przeciwnie, nietylko się nie rozgniewała, ale jeszcze ucieszyła się wielce, mówiąc, że takiego dobrego drzewa nigdy dotąd nie miała. Obstawiła bowiem krzywém tém drzewem garnki, tak, że te okolone były gałęziami, a z tego powodu strawa daleko się prędzéj ugotowała. Wtedy dopiéro djabeł widząc, jak jego zabiegi w niwecz się obracają, udał się do baby, bo jak mówi przypowieść: *Do baby, na porady.* Jakoż baba owa dokazała tego, czego sam djabeł przez lat siedm nie mógł sprawić, bo skłóciła małżeństwo z sobą. Zamiast włosa długiego na głowie, radziła baba żonie zerznąć brzytwą włosek na gardzieli, zkąd większy był powód zabójstwa. Djabeł zas dla tego podał na żerdzi obiecane babie trzewiki, gdyż ta pomazała się smołą, chcąc go przyczepić do siebie. Obawiał się zatém djabeł słusznie, aby go baba nie skusiła.

**Bogu wola,**
**Chłopu rola,**
**Panu czynsz,**
**A księdzu meszne.**

Piękne to przysłowie śpiewa ludowi wywiłga czyli boguwola. W głosie bowiem tego żółtego ptaka lud upatruje pewne podobieństwo do powyższego przysłowia. Jakiż głęboki a tajemniczy związek łączy lud z przyrodzeniem, kiedy w głosie nawet ptaków słyszy wzniosłe prawdy!

# KRONIKA LITERACKA.

---

*Ocena Gramatyki polskiéj Małeckiego, p. Adolfa Kudasiewicza.*

Jak dalece pożądaną jest Gramatyka języka naszego umiejętnie opracowana, któraby przedstawiała cały obraz jego ustroju; któraby regulowała niejednostajności i bałamuctwa, wciskające się doń przez ludzi dopełniających fantazyją braku właściwéj znajomości rzeczy: dowodem jest pojawienie się Gramatyki polskiéj Małeckiego, w dwóch wydaniach: obszerniejszém i skróconém nieco. Zaledwie się pokazała na widok publiczny, tysiące egzemplarzy rozchodzą się w oka mgnieniu; zewsząd płyną pochwały; radość powszechna patrzy na rezultaty bijące w oczy, nie dopatrując się nawet cienia tego, coby zganić można było. Rzeczy dla masy wiele nowych podnieca ciekawość do czytania, tak, że nawet obojętni na naukę, porwani wirem powszechnego uwielbienia, biorą się do czytania przedmiotu skądinąd nie bardzo ponętnego, bo rzecz sama dodaje powabu treści nieco suchéj. Że książka czyta się z zajęciem, to już najlepszym dowodem tego, że jest w niéj treść. Zdaje ci się, że autor wziął cię z sobą i oprowadza po starych dawnością omszałych komnatach polszczyzny, pokazując co widzenia godne. Radbyś nic nie stracić z tego, co widzisz; i czytasz daléj skwapliwie, dopóki ci sił starczy, bo podniecona nowością widoku ciekawość pragnie dojść ostatniego słowa; pragnie rozstrzygnienia wątpliwości, postawienia praw stałych, jedności do któréj wzdycha i obejrzenia całego obszaru ojczystéj mowy. Rzecz samą podnosi jeszcze imię autora, znane już na polu literatury. Dlatego ocenienie takiego dzieła z chłodną rozwagą nie łatwém

est zadaniem. Nie masz odwagi wziąć się do wytykania stron słabych, aby cię nie posądzono o stronną zawiść fachową i chęć poniżenia zasługi. Masz przed sobą dzieło o 427 stronicach, a w niém tysiączne szczegóły, które chcąc pojedynczo przechodzić, albo drugie dzieło o niém napisać musisz, albo zbierając wypadki główne, dające o niém jakieś wyobrażenie, pozostawić je bez żadnych uwag, abyś nie przebrał miary objętością swego pisma. Owóż potrzeba wypowiedzenia swojego sądu w pracy tak ważnéj, nie wstrzyma nas od oceny, nie cofniem się w obec trudności. Pozostawiając każdemu odczytanie tego dzieła uważnie, aby nic nie stracił z tak poważnego pisma, jakiém jest Gramatyka p. Małeckiego, i nie wchodząc w strony dodatnie, które mają większą daleko w dziele przewagę: wskażemy, cobyśmy radzi jeszcze byli widzieć, aby ono było doskonalsze względnie do zasobów pisarza i nadziei w nim pokładanych; aby miało większą wartość, więcéj niosło z sobą pożytku i wpływ wywierało zbawienniejszy. Tém bardziéj, że mogą się w niém znaleźć usterki z powodu pośpiechu, z jakiém było dokonane, gdy jak sam autor w przedmowie wyznaje, w ciągu roku niespełna (1859 zaczął je, a 1860 skończył), a pomimo całéj łatwości produkcyjnéj i poprzedniego przygotowania, nie trudno coś z oka spuścić było.

Tak rzecz naszą postawiwszy, uważać będziemy badania gramatyczne p. Małeckiego: I. pod względem dążności i celu; II. pod względem wyrażenia; III. pod względem treści, ze szczególną uwagą na to, co w naszym języku, jako wątpliwe, potrzebuje uregulowania, podciągnięcia pod zasady pewne i stanowczego rozstrzygnienia wymaga. Pod każdym z tych trzech punktów, szczegóły poddziałowe, o ile można, uwydatnimy, oddzielając je od siebie.

## I.

I. Zasługuje to na wysokie uznanie, że „autor trzyma się metody historyczno-porównawczéj, spożytkowawszy na korzyść naszą wypadki, które przez poszukiwania postronne w dziedzinie powszechnéj lingwistyki słowiańskiéj, w ciągu ostatnich lat kilkunastu, dla wszystkich szczepu słowiańskiego narzeczy pośrednio pozyskane zostały.“ Ale nie byłoby od rzeczy, gdyby autor sam wywód przedmiotu poprzedził był rysem kształcenia się języka polskiego i rozmaitych wpływów, jakim on ulegał; samo bowiem przyczepianie polszczyzny do starosłowiańskiego języka,

gdy żadnych do tego nie mamy w historyi języka dat wskazanych, wygląda na cudowność, lub też topienie jéj w tyglu zamroczonéj ubiegłemi wiekami przeszłości Dla obeznanych z rzeczą i to nie nowina, co autor napisał; dla nieobeznanych trzeba faktów, z którychby drogą wywodu (iudukcyi) dosięgać mogli wypadków, które autor, jako pewniki filologiczne podaje. Rzecz tak objaśniona wielkie rzuciłaby światło na drogi, któremi postępowała polszczyzna w wyrabianiu swojéj odrębności czyli kształtowaniu na osobny między słowiańskiemi język. Widzielibyśmy wtedy, jak i kiedy polszczyzna nie oddalając się od pnia głównego, była prawie tém samém, czem inne języki słowianskie, tak, że zmieniwszy pisownię, nie było prawie między niemi różnicy; ale widzielibyśmy z drugiéj strony, jakie przyczyny wpłynęły na nią, tak, że nie zrywając z pniem wspólnym dosięgła swéj odrębności, i idąc własnym krokiem rozwija się nadal w duchu sobie tylko a nie starosłowiańskiemu lub innym, słowiańskim językom właściwym. Cechy różniące dzisiejszą polszczyznę od innych narzeczy słowiańskich, mocno i grubo narysowane nie pozwalałyby zmieszać jéj z innemi i dałyby podstawę do ocenienia podawanych na drodze filologii słowiańskiéj poszukiwań i odróżniania domysłów od faktow niewątpliwych. Tymczasem pomimo metody historyczno-porównawczéj wieje na nas z wykładu tego jakiś wiatr zimny. Autor zamiast posiłkować się tylko obcemi pracami, mającemi posłużyć za punkt porównania w objaśnieniu faktów dzisiejszego języka; zamiast szukać w nim światła, gasi naturalny płomień zeń wychodzący, każe nam Polakom uczyć się od obcych własnego języka, którego oni, choć go mogą umieć, nie czują, i podaje nam jakieś prawidła powszechno-słowiańskie. Słowem, autor zamiast się stawiać zawsze na stanowisku dzisiejszego języka a fakta niezrozumiałe objaśniać faktami z dawnéj Słowiańszczyzny, dzisiejszych narzeczy odmiennych od polskiego, lub prowincyjonalizmami: przyczepia nasz język do Słowiańszczyzny, nie uważając go prawie za nic odrębnego i amalgamuje w niéj.

2. W dziele przedstawiającém systemat nauki radzibyśmy widzieć jedność celu, tojest zamiar, jaki miał autor w napisaniu téj książki. Bo aczkolwiek z jednéj strony widać to, że pisze dla rozumiejących rzecz i przypuszcza pewne usposobienie potrzebne jużto w nauce filologii, mówiąc np. o aoryście i supinum, już w historyi języka i literatury: to jednakże z drugiéj strony przebija tu i owdzie znowu praktyczność widoku i zamiar ułatwienia uczącéj

się młodzieży, jak w nauce o składni, i indziéj. Na jedności celu zyskałaby jedność tonu i układ dzieła. Tym sposobem rzeczy rozrzucone w rozmaitych miejscach, znalazłyby się przy sobie, jak np. rzecz o naturze i znaczeniu słowa pod słowem, etymologiją i składnią — o stopniowaniu przymiotników pod etymologiją — o przysłówkach pod partykułami, imionami, przymiotnikami, etymologiją i składnią. To sprawia, że chcąc o jakimkolwiek szczególe coś wiedzieć stanowczego, należy całą książkę przeczytać i tak jeszcze nie widzi się go jasno, bo ten szczegół przypomina drugi, ten zaczepia się o trzeci, trzeci należy do czwartego i innych jeszcze, a przecie każdy nową assocyjacyję idei z sobą przynosi i wyklucza główną ideę, o którą nam chodziło. Zatém idzie że,

3. Autor objaśnia fakta języka naszego formami nie będącemi w jego użyciu, a więc mu ze znaczenia nie znanemi, jak § 734 „że nasz tryb idealny początkowo nie był czém inném, jak jednym z czasów przeszłych aorystem w połączeniu z imiesłowem i wyrażano przez co było, a co nie jest."

4. Rzuca niekiedy słówko jakieś na wiatr, rozbudzając ciekawość dowiedzenia się czegoś, i późniéj nas w niepewności zostawia, nic o tém nie powiedziawszy, jak np. § 558 „następujące wyrazy: gdy, że, ażeby, gdyż, aż, tudzież i t. d. mogą być czém inném, jak spojnikami." Czemże one jeszcze być mogą? przyimkami nie; przysłowkami nie są, czy wykrzyknikami?

5. „Nie rozstrzyga punktów spornych, ale ich liczbę powiększa wprowadzając wątpliwości tam, gdzie była jednostajność, a narzucając prawidła jednostajne tam, gdzie swoboda jest dozwoloną. (patrz pod składnią!).

## II.

Autor w ogóle jest panem języka, włada nim dzielnie, a nawet niejednym szczęśliwym wyrazem wzbogaca go, jak n. p. *bezlik* (liczba nieograniczona), *rozziew* (hiatus) i t. d. Jednakże mamy za złe autorowi, że niektóre wyrazy gwałtem z innych sfer wprowadza do Gramatyki. I tak:

6 W § 281. „W późniejszych dopiero czasach od wieku XVIgo począwszy, zaczęły się pojawiać w deklinacyi tych liczebników po kolei, stopniowo coraz nowe *swobody*, nieregularności, słowem odstępstwa od form pierwotnych". Swobody nie są nieregularnością, odstępstwem; swobody bywały w życiu polityez-

ném narodu, ale nie w deklinacyi; w ogóle biorą się w dobrém znaczeniu, nie w złém, w dodatniém nie ujemném. W § 736 „Najprzód (używamy sposobu warunkowego) we wszystkich takich zdaniach zawisłych, które zależą od słowa *zaprzeczonego*". Tu *zaprzeczonego* stoi zamiast użytego z przeczeniem, jestto więc nowe na miejscu powszechnie użytego znaczenie. Dotąd mówiło się o nowinie, że zaprzeczoną została, gdy się okazała mylną lub fałszywą, co tyle znaczy, jakoby zaprzeczeniem późniejszém odwołaną została; ale, jeżeli przy słowie położymy: zaprzeczyć, aby to miało być użyte w znaczeniu gramatyczném: to już gwałt zadajemy naszemu wyrażeniu, bo tu zaprzeczone nie bierze się przy słowie w znaczeniu przeczenia t. j. przeciwieństwa twierdzenia, lecz waży tyle, jak gdybyśmy powiedzieli, że słowo było wyrzeczone, ale je później cofnięto, odwołano.

7. Jednych wyrazów w różném używa znaczeniu.

I tak *główny: a)* W ogóle jeżeli słowo *główne* w zdaniu wyraża czynność zaprzeczoną albo przeczącą, *b)* w § 832 powiada, że nie można końcowych głosek przybranki doczepiać do wyrazu głównego, ani też początkowych głosek wyrazu głównego doczepiać do przybranki. Mylnie n. p. byłoby pisać be-zcześcić wezbrany. „Tu wyraz główny znaczy tyle co pierwiastek—I daléj": W drugim razie, jeżeli wyraz główny bez przybranki w głównéj połowie w pośrodku dzielimy, n. p. gwiazda i t. d. „Tu jeszcze główny wyraz w inném wzięty znaczeniu. Czyż nie lepiéj tam, gdzie można, trzymać się terminologii utartéj i nazywać pierwiastkiem część główną wyrazu a końcówką drugą jego połowę; wtedy zamiast wyrazu głównego n. p. gwiazda, możemy użyć *dany* (do rozdzielenia). Tym sposobem nadając każdemu wyrazowi ścisłe znaczenie, zyskujemy ową precyzyję, tak potrzebny przymiot dobrego stylu.

Pod koniugacyjami czyli pod rozkładem słów na poszczególne formy znajdujemy dopiéro różnicę między pierwiastkiem a źródłosłowem, chociaż tego oznaczenia zachodziła już dawno przy odmianach imion potrzeba. § 348. „Różnica między źródłosłowem (thema, Stamm) a pierwiastkiem (radix, Wurzel) jest taka, że piérwszy t. j. źródłosłów n. p. d(y)ma w słowie wydymać służy za materyał koniugacyjny tylko jednemu słowu; przeciwnie pierwiastek jest źródłem, z którego rodzi się cała familija wyrazów, mających każdy osobny źródłosłów, idących z jednego wspólnego pierwiastka. Tak n. p. w słowie wydymać, źródłosłowem jest dyma a pierwiastkiem całéj téj rodziny wyrazów do

których i wydymać należy jest d(y)m. Możnaby przeto słusznie pierwiastek nazwać źródłosłowem źródłosłowu." Jeżeli się podobało autorowi użyć wyrazu źródłósłow: to jeżeli się nie mylę, bacząc na myśl autora czyli rozumienie, w jakiém ten wyraz bierze i od którego zwyczajne doń przywiązane znaczenie nie odstępuje, to należało autorowi wyrazy te położyć na opak, t. j. pierwiastek położyć na miejscu źródłosłowu a źródłosłów na miejscu pierwiastku. Do wyrazu pierwiastek stawa jako dozupełnienie końcówka albo jak chce autor przyrostek, w każdym wyrazie odmiennym; gdy tymczasem to nie ma miejsca przy wyrazie: źródłosłów, gdzie na myśl żadne przeciwne ani dozupełniające pojęcie nie przychodzi. Pierwiastek jest jak dusza wyrazu, w któréj jego życie, myśl główna i znaczenie schowane; końcówka czyli przyrostek jest ciałem jego, nadającém mu formę, t. j. urabiającém go na ten i ten wyraz czyli część mowy. W źródłosłowie tymczasem, jako zestawieniu z dwóch wyrazów: źródło słów, szukamy niby źródła, zawiązku, nasienia, nie pojedynczego wyrazu ale wszelkich słów czyli wyrazów w ogóle, którym on daje życie. W tém też znaczeniu, wbrew woli że nie powiem, wiedzy, a jedynie właściwie, użył tego wyrazu pod Etymologiją § 402, „wyrazy umierać, mara, martwy, śmierć i t. d otrząsnąwszy ze wszystkich koniugacyjnych zakończeń i spojek, a otrzymamy źródłosłów (nie pierwiastek) *mr*, który jest źródłem i słowa mrę i wszystkich wyrazów z niego idących".

Zakończenia albo przyrostki znajdujemy jako pojedyncze głoski lub zgłoski w wyrazie bezokolicznym (ć) w imiesłowach czynnych czasu przeszłego (*ł, ła, ło*), i w odmianie słowa przez osoby i liczby (*m, sz, my, cie* i t. d.).—§ 321. W przymiotnikach znowu nazywa przyrostkami całe zakończenia stopień własności zdrobniające lub podnoszące eńki, iutki, iuchny, iusienki, iuteńki, iusineczki i t. d. Prócz tych dwóch odmiennych znaczeń przybywa jeszcze zakończenie czyli przyrostek, co się nazywa cechą trybową § 335. Tu pod napisem cechy trybowe mieści się tylko liczba pojedyncza t. j. „jedna cecha trybowa, mająca miejsce w dzisiejszym języku tylko w trybie rozkazującym; jest nią samogłoska *i*, która się dodaje, odrzuca, wzmacnia na ij, osłabia na j. Wyraz ten: cechy słowa miał dotąd ogólniejsze znaczenie rozróżniał formy czasowania, które tu znowu zeszczególnione do jednego przypadku, nazwane jest spójkami! Takie odmienne znaczenia, w jakich ten sam wyraz się bierze utrudniają zrozumienie, przez co wykład na jasności a styl traci na przejrzystości.

8. Wyrazy powszechnie używane, zastępuje innemi swojego utworu. Opuszczając mniéj ważne jak przybranki, przydawki, dopowiedzenia, zastanówmy się nad ważniejszemi. Za Tryb bez-okoliczny wprowadza autor nazwę: wyraz bez-okoliczny (§ 301 i indziéj). „Trybem nazywać tego nie można, nie ma bowiem żadnéj wspólności między widzieć, czynić i t. d. a istotnymi trybami. Wyraz bez-okoliczny wyraża samo tylko znaczenie i niejako treść słowa bez wszelkich zresztą koniugacyjnych okoliczności, t. j. w abstrakcyi od szczególnych warunków, pod jakimby ono mogło mieć miejsce w rzeczywistości. Takie formy jak widzieć, czynić stoją jakby na pograniczu koniugacyi i deklinacyi, czyli na pograniczu słowa i rzeczownego imienia. Wyrażają czynność, wyrażają jéj czynną przechodniość, bierność albo też nieprzechodniość, więc są już słowem; z drugiéj strony zastępują miejsce rzeczownika w przyp. 1szym i t. d." Nie mówiąc już nic o tém, że tryb idealny jako nie rzeczywisty nie byłby według orzeczenia autora trybem, bo treść słowa nie oznacza warunków, pod któremi czynność słowa może mieć miejsce w rzeczywistości; że w najlogiczniejszym języku świata nie wszystko jest porodem najściśléj obrachowującego rozumu i że nigdy mowa z całą konsekwencyją nie ma na swéj posłudze wyrazów: *infinitivus* był zawsze i jest miedzą graniczną rzeczownika i słowa i często kładzie się zamiast rzeczownika i to nietylko w naszym języku. Wiedzieli o tém wszyscy dawni, nie tylko nasi ale nawet i łacińscy gramatycy i dlatego nazywali go *modus*, co jedni gramatycy u nas trybem, inni sposobem mianują; a więc gdy tradycyja wiekowa nieprzerwanym ciągiem policzała ten kształt słowa do trybów czyli sposobów wyrażania słowa: to zostawiając tę nazwę, nietylko jesteśmy w zgodzie z tradycyją wiekową wszystkich a głównie polskich gramatyk; ale nadto dochowujemy terminu najwłaściwszego i jedynie logicznie przystającego do znaczenia myśli. 2. Wyraz słowa jest nazwą pleonazmową, słabo nawet cieniującą ważność jego znaczenia, bo wygląda tak, jakbym powiedział: słowo słowa; jedno bowiem słowo bierze się w znaczeniu wyrazu, a drugie, choć mu autor nadaje znaczenie czasownika, może się brać także w znaczeniu wyrazu, bo słowowyraz, skąd słownik. 3. Tryb bez-okoliczny ma tylko tu o tyle znaczenia, że się go łącznie używa ze słowem w znaczeniu czasownika, jako termin gramatyczny; wyraz bez-okoliczny słowa nie zastępuje tego specyjalnego znaczenia, jakie tu właśnie ze słowem koniecznie wiążemy. Po co nam odmieniać to, co jest dobre, naj-

właściwiéj myśl oddaje i trzyma nas w związku z tradycyją naukową.

Równe prawo do potępienia ma tryb *idealny*. chyba że Oznajmujący (który także mówiąc bez ogródki nie oddaje tego coby powinien, a rozumiemy go jednak), chyba że Oznajmujący nazwiemy Realnym; a jeżeli ten mąciłby nasze pojęcie co do rzeczywistego swego znaczenia: to *idealny* nam go wcale nie wyświeca lepiéj od Łączącego albo Warunkowego.

Na dobitkę pomącenia pojęć występują tu jeszcze tak zwane sposoby trybu idealnego, co przetłumaczone na łacińskie znaczy *modi modi*. Co się nie da wytłumaczyć, to coś niejasnego, ale gdy u nas ten sam modus, jedni, jakeśmy powiedzieli trybem, a drudzy sposobem mianowali, dwa razy jako tożsamość przy sobie staną, to już delikatna różnica, jaką chce przez to oddać autor, z przed oka znika i staje się łamigłówką dla naszych polskich mózgów, które jasno rzecz pojmować rade!

9. Sam jeden wbrew powszechnemu zwyczajowi narzuca używanie odmienne form wyrazowych, nie usprawiedliwiwszy tego, np. *Pierwiastka*, *przypadka*, drugie przypadki zamiast pierwiastku, przypadku, tak jak Deszkiewicz *rodzaja;* jakkolwiek kwiatek ma 2gi przypadek kwiatka; spodek, spodka; to zatém nie idzie, aby pierwiastek, przypadek, tak jak rozsądek, rachunek i wiele innych wyrazów, które nie indywidua rzeczowe, ale pojęcia rozumowe oznaczają, przypadek ten mogły kończyć na *a;* poczucie prawa językowego nie pozwala na to, jak na: rozuma, dowcipa kraja, chłoda i t. d. *Odcienie* za *odcienia* wprawdzie foremniejsze, ale czy odcień za odcienie niejest czasem w tym samym wyjątku, jak jęczmień za jęczmienie albo jęczmiono, a gdy mówimy jęczmiona i jęczmienie, to i odcienia nie jest źle.

§ 485 tego oznaczyć *niepodobno* zamiast nie podobna, jak wszyscy mówią. Jeżeli wolno, jest przysłówkiem, którego z łącznikiem lub bez niego, z przeczeniem lub bez przeczenia użyć można: to podobno, pono, nie jest doń żadną analogiją. Podobno, nie bywa wypowiednikiem (predykatem), ale jest sobie najpospolitszym przysłówkiem wątpliwości stawającym przy słowie, przymiotniku lub przysłówku i znaczy tyle, co może, nie pewno czy, zdaje się, np. *podobno umarł* (może i nie umarł); *podobno chory* (może i nie chory); *podobno tak będzie dobrze* (może i źle). Miałby autor więcéj za sobą, gdyby można pisał, bo to było za możono, jak czytamy w Biblii Leopolity: *przez któreby drążki możono wkładać.* Ale podobno, jako przysłówek wątpliwości znaczenie w sobie

mieszczący nie może stać z przeczeniem, bo inaczéj możnaby zań jego drugiéj skróconéj użyć postaci *pono*; ale gdy się nie mówi: niepono, tak jak się nie mówi: nie niepewno, więc nie można także powiedzieć: niepodobno, ale nie podobna, jak się mówi można, słuszna, widoczna, sprawiedliwa; przyczém dorozumiewamy się wyrazów: *jest rzecz.*

10. Niekiedy określenia logicznie nie przystają do wyrazów, jakie określać mają, np. „Jest wprawdzie cały bezlik takich pierwiastków, które się obecnie w języku naszym, albo wcale nie okazują inaczéj, jak tylko w przetworzonéj postaci, albo jeżeli w pierwotnéj, to przecież już nie w postaci źródłosłowów słowa pierwotnego; ale dopiéro w przymiotnikach, rzeczownikach, albo téż w słowach pochodnych" (§ 404). Bezlik, to samo, o ile nam się zdaje, co bez liku, bez liczby, niezliczoność, coś nie dającego się ująć pod liczbę, liczbą oznaczyć. Jakże z tym wyrazem, bezlik, zgodzić przymiotne określenie: *cały*, kiedy się coś nie da ująć w jedność liczebną i uważać za całość. Nie jestto nawet, co logika nazywa *contradictio in adjecto*, ale poprostu niedorzeczność, bo jeżeli nie mogę powiedzieć nie cały bezlik, to i cały powiedzieć trudno!

Wiąże z sobą formalnie, że tak powiem, wyrażeniem gramatyczném to, co logicznie w treści podanéj jest w rozerwaniu, np. „Raz dla tego (§ 391), że nazwiska osobowe powinny być i na piśmie, że tak powiem, szanowane. „Myśl cała przywiedziona od punktu do punktu, a jednak nie cała, urwana i nie wiemy, gdzie jéj koniec albo przynajmniéj dopełnienie w ciągu tekstu dalszego zaczynające się od wyrazów: drugi raz, trzeci; powtóre, potrzecie i t. d. „Pomiędzy kilku zdaniami (§ 790) pobocznemi, które należą do jednego zdania głównego, zachodzić może w ogóle między sobą związek trojaki". Na co tu, dwa razy pomiędzy kilku zdaniami i między sobą i do czego to między sobą odnieść! (Resztę patrz pod Składnią!).

### III. *Co do treści.*

Całe dzieło dzieli się na sześć części: 1. Głosownia. 2. Nauka o formach czyli fleksyja. 3. Etymologija v. Słoworód. 4. O częściach mowy nieodmiennych. 5. Składnia. 6. Pisownia v. ortografija. Prócz tego jeszcze dodatek o wierszowaniu.

11. Podobało się autorowi w takim ułożyć porządku części swego systemu gramatycznego, choćby można wiele co do ścisłości logicznéj zarzucić; to jednakże można go i usprawiedliwić;

ale nie może się podobać dołączony przez autora *Gramatyki dodatek o wierszowaniu.* W jakimże to wierszowanie stoi związku z całością. Dziwić się trzeba, że umysł autora wyższy nad pospolitość, dał się unieść zwykłemu prądowi rutyny nie pytającéj nigdy o przyczynę!

*Z głosowni.*

12. *Czy były trzy samogłoski nosowe ą, ę, an.*

W § 13 czytamy: „Jest rzeczą prawdopodobną, żeśmy pierwotnie nie dwie, ale trzy mieli samogłoski nosowe, tojest *ą, ę, an* (jak francuzkie an, albo niemieckie an w Wange, Mangel i t. d.). Naprowadza nas na wniosek ten nietylko ta okoliczność, że w niektórych stronach lud polski do dziś dnia używa brzmienia *an* tam, gdzie my w języku piśmiennym mówimy *ę*, np. swianty, wyklanty, J. Kanty (1 dowód), — w wieku XV używano także jeszcze tu i ówdzie owego ѳ; (1) najzwyklej jednak wypisywano brzmienia nosowe przez *a*, an, lub *ą*. (2 dowód).

Wprawdzie osłabia autor sam swoje argumentowanie już to a) przez to, co jest niezaprzeczoném, że w pisowni naszéj było wiele bałamuctwa i że pisano ѳ tak za *ą*, jak i *ę*, już b) w przykładach przywiedzionych (wszechmogancego manka zbłandzili, to trzecie *an* mówi więcéj na korzyść *ą*, bo i dziś jest tém samém już c) mówiąc, jakoby dzisiejsze *ę* łączyło w sobie dwie niejako natury, t. j. pierwotną, t. j. własną i drugą przybraną" przydaje zaraz: „to samo i względem *ą* rozumieć trzeba, co jednak już ważnych następstw praktycznych za sobą nie pociąga". Gdyby tak rzeczywiście było, miałoby następstwa i ważne, ale że następstw nie ma, to i domysł względem *an* mającego zastępować *ę* ze znaczeniem nabytém, oparty jest na niczém. d) Znajdowanie *an* w dawnéj polszczyznie a nawet i w dzisiejszéj wymowie niczego nie dowodzi, w takim razie *un* byłoby czwartą samogłoską nosową, bo znajdujemy: sundzi, sundzia, sund, a może jeszcze *im*, *in*, *om*, *on*, *em*, *en*, które nie są żadnemi samogłoskami nosowemi. Zresztą autor cytuje ze Statoryusza 1568 wyrażenie włoskie angelo, jako niby ową trzecią samogłoskę nosową, a przecie i dzisiaj mamy takie wyrazy jak Antoni, Anglia, stan, ale tu się *n* odbija od *a*, a nie zlewa w jeden ton nosowy e) Czego nie było w Słowiańszczyznie, tego nie mogło być i w Polszczyznie, albo jeżeli w niéj jest, to nie jest schowane pod korzec, ale stoi na świecz-

(1) Z powodu braku stosownéj czcionki znak ten stoi za o w środku pionową linijką przekreślonego.

niku dla wszystkich. Próby dążeń do ujednostajniania tak głosowni, jak i pisowni są tylko próbami i niczém więcéj.

13. *Czy było więcéj samogłosek czystych?*

§ 14. „Jest rzeczą niezawodną, że były kiedyś te wszystkie samogłoski, znak twardy, miękki ъ, ь, r, w znaczeniu samogłosek. W odległych już wiekach wyszły z używania jako głoski osobne i zaczęły się zastępować innemi, najczęściéj zaś brzmieniem *e*. „Że one mogły być w języku słowiańskim albo jeszcze polskim, ale nie w osobny język ukształtowanym: to jest prawdopodobném; ale żeby w języku polskim już urobionym na osobne narzecze słowiańskiego: to nie jest wcale do przypuszczenia. Gdyby było dawniéj, byłoby i w dzisiejszéj polszczyznie, tojest w języku ludowym. Nigdzie na całym obszarze kraju przez polską ludność zamieszkanego nie usłyszy ich; bo co było, byłoby jeszcze pozostało w języku ludowym, jako najmłodszym potomku praojców naszych najwierniéj z nimi trzymającym. Godzi się raczéj utrzymywać, żeśmy ich nie mieli, albo, że ten przygłos samogłoskowy po twardéj i miękkiéj spółgłosce, jaki i dzisiaj w wymawianiu spółgłosek końcowych spostrzegamy w mowie cudzoziemców a szczególniéj Francuzów, przyzwyczajonych do swego *e* niemego, przed którém wybijają poprzednie spółgłoski—tudzież małoletnich dzieci, którym trudno ostatniéj spółgłoski bez samogłoski wymówić (pan(y), (głód(y), (kon(i), (święć(i)—się), że ten przygłos, mówię, zastępowany tylko był na końcu wyrazów, niby znak miękki i twardy u Rossyjan. Gdy zaś ten przygłos po twardych brzmiał jak *y*, po miękkich jak *i*, odrzucono go jako niepotrzebny i zaczęto znaczyć tylko spółgłoski miękkie, twarde pozostawiając bez znaku. To tém łatwiéj stać się mogło, gdy tak *i*, jak *y* równie używano do miękczenia, dopóki nareszcie i jako odpowiedniejsze naturze miękkich spółgłosek nie stało się jedynym znakiem miękczenia przed samogłoskami. Inaczéj nie możnaby sobie wystawić, dlaczegoby nie było dwóch znaków twardego i miękkiego, jak w starosłowiańskiém i innych narzeczach. Tego stwierdzenie mamy widoczne na przymiotnikach i wyrazach przymiotnych, gdzie po spółgłosce twardéj odpada *y*, *i* nigdy, np. godny, godzien, wesoły, wesoł, zdrowy, zdrów, tani, nizki. Że ubytek samogłosek w wyrazach dzisiejszych spostrzegamy, to jest fakt niezaprzeczony, ale to nie jest dowodem braku jakichsiś samogłosek nie bywałych w języku, bo ten ubytek widać tylko na samogłoskach dzisiaj znanych; ale że najwięcéj spółgłosek ma przy sobie przygłos *e*, np. *te*, *ce*, *eł*, *er*, *pe*, *be*, i t. d., to

*e* najczęściéj wypada, albo się wstawia; stąd ćma, niby cima, ciema, ciem, a dno niby deno, denko, den.

To samo myśléć o samogłoskach miękkich ѣ, e. Że dawniéj w słowiańskim języku miękkość spółgłosek oznaczano samogłoskami miękkiemi po nich, to nie ulega wątpliwości, tojest, że były samogłoski miękkie z przygłosem miękkiéj spółgłoski poprzedzającéj. To jest nawet do dziś dnia, choć wiele jest wyrazów w polskim języku z twardą spółgłoską, gdzie była dawniéj miękka, jak np. wesele za wiesiele, wesoły za wiesiołyj, cały za ciełyj; ale przemiana spółgłosek *k* przed *e* na *c*, *cz*; *g* na *dz* i *ż* lub zostawienie ich dla powodów deklinacyjnych, koniugacyjnych lub etymologicznych już inną dążność w osobnym języku ukazuje; a choć w rossyjskim języku jest ѣ, e, э twarde, znak twardy i miękki, gdzie miękczenie spółgłosek odbywa się na samogłoskach, to polszczyzna nie przyjęła tego systematu. Od samego jéj początku głosownia była polska a nie słowiańska, stąd różne właściwości swoje oddawała środkami, jakie w jéj naturze tkwiły, nie mając konieczności uciekania się po znaki gdzieindziéj. Dla tego dziwić się trzeba, jak autor może nam pisać takie herezyje głosowniowe w § 19, że widzieć = widźѣć, dzieło = dźѣło, chlèb = chlѣb, kiedy tu już na spółgłosce oznaczone miękczenie, które według systematu innych narzeczy, następujące samogłoski oznaczają, raczéjbym powiedział: widieć, chlieb, dieło i t. d. Podobnież uważać należy twierdzenie co do *l*, *r*, jakoby były samogłoskami, o czém sam autor nawet pisze § 21, że nie znajdujemy na to przykładów w najdawniejszych nawet zabytkach języka polskiego i że (§ 17) w wiekach, kiedy po polsku pisać zaczęto, już ich w mowie nie było". Kiedyż więc przypuszczać, żeby były, a jeżeli wtedy, gdy język nie był jeszcze polskim, to na co nam się to przyda. Gdyby były, pozostałyby, jak dotąd w czeszczyznie; ale gdy się podobne ich używanie dla ucha polskiego wydawało zbyt twardém, to stały zawsze przed niemi lub po nich inne samogłoski i miejsce nawet zmieniać mogły, tojest przed lub po nich, np. mrę, umarł.

14. Kładzenie po gardłowych g i, k i, a po zębowych c, dz, ż, rz, sz, cz, dz, przeciwnie y, zamiast i, nazywa autor wyręczaniem się wzajemném *i*, *y*. § 27. Anomalija ta trudna na pozór do rozwikłania, daje się faktycznie wytłumaczyć, nie jak autor bierze ze stanowiska dzisiejszego, ale z punktu dawniejszego w języku zapatrywania się. W rzeczownikach po *g*, *k*, prawie jest przygłos twardy, ale nie w przymiotnikach i dla tego w ostatnich nie odtrą-

ca się *i*, jak w rossyjskim: nizok, blizok, za nizki blizki w formie skróconéj; to tylko w naszym języku robi się w przymiotnikach z przygłosem twardym. Tu więc jest jeszcze ten moment ważenia się, że tak bowiem głosowni i pisowni polskiéj; tu nie zdaje się *i* być zmiękczaniem ani y, stwardzaniem, bo one są sobie równe, ale toby należało nazywać równoważnikami (ekwiwalentami), bo tu i=y, g=dz, lub ż; k=c, lub cz; s=sz. Ubogi i ubodzy to jedno w zasadzie, ale w następstwach swoich różne, bo gdy tam pozostaje w liczbie pojedynczéj i mnogiéj, a inne przypadki nie formują się od ubodzy ale od ubogi, pokazuje się że to tylko zastępczo; podobnie szeroki i szerocy, wysoki i wysocy, dla téj saméj przyczyny, gorący, wrzący c jako zastępcze, za s przed e ani przed i nie mięknie. Tu natura tych samogłosek nie jest jeszcze ustalona na dzisiejszy sposób i dla tego zarówno ich obu używano do miękczenia jeszcze w w. XVI, dopóki się nie wyrobiły na przedstawców brzmień zmiękczonych lub stwardzonych poprzedzających je spółgłosek. Dopiero późniéj, t. j. od wyrobienia się głosowni spółgłosek i ich przemiany, pod wpływem przyjętéj pisowni łacińskiéj, za dwa odrębne znaki z osobném w piśmie przeznaczeniem używać ich zaczęto. Gdzie więc tego zmiękczenia się nie było, tam *y* nie za *i* ale za siebie stoi, bo jéj równe w zasadzie, zastępcze jest o tyle, że stoi za spółgłoską, zastępującą inną spółgłoskę. Dla tego to mówi autor: § 44, że się w spółgłoskach c i dz ukrywają dwa brzmienia, które się kiedyś musiały wymawiać odmiennie. A może nie wymawiać, tylko pisać, a jak się ustaliła pisownia, to i pochodzenie różne tych spółgłosek bardziéj się jeszcze zatarło.

15. Różnolicość tych spółgłosek *c* i *dz* doprowadziła autora do wniosku „że one są (§ 63), zmiękczeniem drugiego stopnia równie ze spółgłoskami podniebiennemi cz, sz, ż, i dla tego (§ 64) to że mogą ulegać powtórnemu a silniéj działającemu zmiękczeniu.“ Jakkolwiek w niektórych razach to łatwém się zdaje do przeprowadzenia, to jednakże nie zawsze, i służyć nie może za zasadę. Jeżeli w tracić: tracę, łudzić: łudzę, *c* i *dz* są zmiękczeniami 2go stopnia, to analogicznie biorąc w: módz może, mogę mogą, w tłuc tłucze tłukę, g i k będą jeszcze większe od dz, ż, c, i *cz*? byłyby to zmiękczenia trzeciego stopnia! Autor mówi że się c i dz, sz i ż, daléj miękczyć nie mogą? A przecie mówimy: ksiądz, księżyna, księżulo; chłopiec, chłopczyk! pieniądz, pieniążek. W takim razie mazurowanie w wyrazach: chłopcyk, płace, capka, sabla, ładniejsze jest niż: czapka, szabla, chłopczyk, płacze. Sz i ż przechodzą w ś, ź np. bożek, bozia; Roża, Rózia; nasz, nasi, pierwszy pierwsi.

Sz jest tylko modyfikacyją *s*, niejako jest jego podwojeniem, ostrzegającém nas, że w początkach naszego języka możnaby je wymawiać jak *z* z łacińska i dla tego się niekiedy pisało przez dwa ss jak *owssejki*=bardzo w Żywocie Baltazara Opecia: może to być i wpływ giermanizmu, bo grosz, grossus, Groschen; skaradny wymawiano szkaradny, maska i maszkarada. Podobnie ż jest modyfikacyją z, rosa, róża. Czy można gdzie lepiéj widzieć systemat miękczenia jak w zdrobniałych rzeczownikach i stopniowaniu przymiotników? Co do *c* i dz uważać tu także można wpływ łaciny i niemczyzny. C końcowe i przed samogłoskami *a*, *e*, *u*, *y*, mogło znaczyć jak w łacinie także *k*, a przed *e*, *i* wracało do swego naturalnego brzmienia, stąd: chłopiec, chłopca, chłopcu, chłopcy, chłopców, może za chłopek, chłopka, chłopku, chłopki, chłopków. Przed *e*, wracało do swego naturalnego brzmienia, nie jak w łacinie, chłopcze bo chłopce mogłoby się wymawiać jak *k*; stąd Kephalonia, Ce-falonija; Kypros, Cypr; Kimbrowie, Cymbrowie. Wpływ języka piśmiennego na język ludowy mógł także dać się czuć i w wymowie narodu. Niemieckie z, także jak c lub dz. wymawiano Zürich, cyrych, setzen, sadzać Satz, sadza. Tu więc głosownia i pisownia nie mają racyi *a priori ale a posteriori*, z doświadczenia. Nawet samo c pierwotne często przechodzi w mowie ludowéj w cz, np. lud prosty w Krakowskiém mówi: czynić za cenić. Podobnie g, miało dwojakie brzmienie jak np. we francuzkim, angielskim, lub włoskim, bo niepodobna aby w jednym języku coś było anomaliją, co w innych językach jest prawidłowością; raz się wymawiało twardziéj przed a, o, u, ą, ę, drugi raz jak ż, lub *dz*, przed *e* i *i* stąd i dziś girafa według pisowni, lub żyrafa według głosowni; agio, adżyjo. W Zabytku Działyńskiego mamy: ubodzi za ubogi, przed Bodziem za Bogiem, drudzi przykład (drugi), dłudzie zdrowie (długie), księdzi (księgi). Na tych samych zasadach stoi *ch* mucha (cudzoziemcy mówią muka), musze zdrobniałe musia, Stach Staś, Włoch Włosi.

*Z nauki o formach czyli odmianach wyrazów.*

16. W § 96 przypuszcza szanowny autor 9 części mowy; imiesłowów nie bierze za osobną część, miesza je z przymiotnikami a przecie przeznaczenie ich w mowie jest różne, bo służą do łączenia i skracania zdań—znaczenie czynności słowa i czasu im tylko właściwe; zresztą są odmienne i nieodmienne. Pomimo to, gdy autor nie zostaje pod wpływem obmyślanego z góry systematu, który zadaje

gwałt jego wewnętrznemu przekonaniu, zapomina się łatwo i nie mając się na baczności, odróżnia je faktycznie choć teoretycznie różnicę ich znosi. I tak mówi w nauce słowa (pod składnią!) § 721: „Wyrazy jak: ciągły, wytrzymały, czuły, okazały, śmiały i t. d. właściwie są także imiesłowem nijakim czasu przyszłego; po dziś dzień atoli uważają się za przymiotniki". (A więc co innego!).. Podobnie i od niektórych słów nie przechodnich, niedokonanych formujemy wyrazy jak: biegły, dbały, trwały; ale i te są już dziś tylko przymiotnikami!

17. Pod imiona podciąga rzeczowniki, przymiotniki, zaimki, i liczebniki według dawnéj gramatyki łacińskiéj, a przysłówki, przyimki, spójniki i wykrzykniki, pod-partykuły § 96. Ta generalizacyja, jakkolwiek może być dobra w gramatyce łacińskiéj, nie jest logiczna w naszéj; każda bowiem z tych części mowy ma w niéj osobne przeznaczenie. Nikt z nas nie mówi jakie imię nadajemy przymiotom rzeczy, liczbom, zaimkom; przysłówki zaś kłaść na równi z przyimkami, spójnikami i wykrzyknikami nie trafnie, bo one nie są właściwemi partykułami: w każdym razie należało wypowodować to kategoryzowanie, gdyż przez właściwe partykuły co innego rozumiemy.

*Deklinacyje.*

18. Deklinacyi podaje autor 5, opierając je na różnicy źródłosłowu, na różności zakończeń i na różności w sposobie łączenia się zakończeń ze słowem. „§ 115. Mielibyśmy pod względem logicznym zrobić zarzut sz. autorowi, że w gatunkowaniu wybiera się jeden punkt wspólny za fundament podziału, a jeżeli się ich trzy obiera, to już podział nie jest ścisły i jednolity. Z tych trzech punktów wspólnych, mających się dopiero w zjednoczeniu brać za podstawę podziału, wychodzi wprawdzie liczba deklinacyi na wzór łacińskiéj, ale za to nie ma ściśle i jasno odróżnionych cech deklinacyi. I tak deklinacyja 1sza obejmuje wszystkie rzeczowniki męzkie, których źródłosłów w 1ym przypadku, nie przybiera żadnego zakończenia." Więc wyraz nie ma zakończenia? więc w wyrazie pierwiastek, pierwiastka, pierścionek, prócz źródłosłowu, czyli jakbyśmy powiedzieli pierwiastku nie ma zakończenia? a jednakże obok tego kładzie autor w téj saméj deklinacyi imiona chrzestne i zdrobniałe Tadzio, Stefcio, Józio; czyż i te są bez zakończenia? Z definicyi za ciasnéj wypłynęło późniéj, że w nią trzeba było wstawiać to, co w nią wchodzić nie było powinno, a wchodzić musi.

Punkt podziału, jak dotąd: *rodzaj imion*—a różnica rodzajowa: *zakończenie*, są prostszemi cechami deklinacyi.

Teraz proszę znowu, jaka istotna różnica zachodzi między deklinacyją III obejmującą wszystkie rzeczowniki ze źródłosłowem na *a*, *i*, od deklanacyi IV, którą, jak autor niewłaściwie się wyraził, *tworzą* (§ 120) rzeczowniki żeńskie na jaką spółgłoskę miękką. Co tu za różnica gdy wiemy, że *a*, *i* odpadać mogą, jak chorągiew chorągwia; pieczeń, pieczenia; kość, kości—a jeżeli jest, to nie zasługuje na osobną klasę deklinacyjną. Deklinacyja IV gwałtem oderwana od III samogłoskowéj daje samą anomaliję; prawie tu się trzeba wszystkiego domyślać; zwyczaj narobił tu wiele nieregularności—a tak to, co obok siebie postawione, byłoby się łatwo dopełniało, postawione osobno potrzebuje długich wywodów i obszernych komentarzy.

Daléj oddzielenie deklinacyi II od 5-téj z powodu, że do tamtéj należą kończące się na o, *e;* do téj na ę nie wiele cieniuje różnicę ich, bo w wymawianiu *e* od ę prawie nie jest różne—co do pisowni to nawet i lepsi pisarze jak Korzeniowski i inni, nie zawsze piszą jak powinni ę, np imie, książe za imię, książę. Późniejszy nawet dopisek że „do téj deklinacyi należą rzeczowniki nijakie, których źródłosłowy w niektórych przypadkach tracą spółgłoskę końcową" nie wystarcza, bo nie jednéj tu spółgłoski końcowéj domyślamy się to raz, a powtóre, że mówiąc o imieniu z pewném zakończeniem, którego dziś nawet nie ma, jak można myśleć o innych przypadkach a nie o pierwszym?—Oprócz tego, żeśmy zyskali 2 deklinacyje, nie mamy gdzie podziać imion samych mnogoliczbowych (pluralia tantum) jak nożyczki, sakwy i t. d.; należało przynajmniéj coś o nich wspomnieć, bo dużo jest między niemi wątpliwych, do któréj z pięciu deklinacyi należeć mają!

19. Że często autor szafuje ogólnikowemi wyrażeniami n. p. ten przypadek jest z tego wzięty; to zakończenie z postępem czasu (kiedy?) wyparło zakończenie z wzoru pierwszego lub drugiego, tamten przypadek z innéj deklinacyi tu wniesiony? Nie wiem czy miano w początkach jaki wzór 1 lub 2-gi, czy te pięć deklinacyi były od zawiązku języka już tak uregulowane, kiedy same deklinacyje formowały się stosownie do zakończenia, a tych zmiana była ciągła, dopoki się wszystkie elementa logicznie wiązać z sobą i wzajemnie przez ustalone końcówki wyrazów podpierać nie zaczęły, aby mogły służyć za podstawy klasyfikacyi deklinacyjnéj. I dla tego w tłómaczeniu tak ogólnikowém właściwie nic się nie tłómaczy, jak np. przyp. 7 l. m. na ami wniesiony tu (do

męzkiéj) z deklinacyi żeńskiéj, więc znowu autor myśli o jednéj deklinacyi a tu ich jest dwie, to nie wiem z któréj! A jeżeli daléj, jak sam autor utrzymuje między męzką a nijaką jest wielkie pokrewieństwo, bo niektórzy za jedno je biorą: to zapytać możemy skąd pożyczył téj końcówki rodzaj nijaki i to tak w 3-éj jak i 5-éj formie— a jeżeli wziął od żeńskiéj, to skąd ją wzięła żeńska i dla czego?

20. Nie zgadzamy się, aby i własne żeńskie na *ka* miały mieć 5-ty przypadek na *u* np. Marynku, Zosinku. Najprzód, że nikt tak nie mówi, a jeszcze w 17 w. Sobieski pisał do swojéj kochana Marysieńko!—a powtóre, jeżeli są zdrobniałe Stefka za Stefcia Janka, i powié się: Stefku, Janku: to równie o dziewczynie jak o chłopcu powiedzieć tego nie można, bo co innego formy zdrobniałe na *ek* i ka a co innego na *cio* i *cia*, w których ta dwuznaczność nie razi.

21. Co do 4 przyp. l. p. imion żeńskich, aby jedne jak bania mogły mieć na *ę*—a *pani*, *gospodyni*, *batalija*, *linija* i t. d. do téj samej deklinacyi na *ą* (§ 183.) Jeżeli jak sam autor się wyraża: „pozwalano (!) sobie mówić tę różą i rożę; burzę i burzą, duszę i duszą i dlatego w Zygmuntowskiéj literaturze nieraz w jednéj i téj saméj książce formy na *ą* i ę znajdujemy; jeżeli wyrazy na yja, ija tak się dawniéj pisały, i były wybijane, bo tak brzmiały, tego ówczesny duch języka wymagał; jeżeli granicy między temi, które powstały z przyrostka ija, a które z ja, nie tylko nie potrafiłby wskazać zwyczajny autor, ale nawet byłoby to i filologowi z profesyi nie raz niełatwém: dla czego mówię każe pisać muszę, wolę, duszę, wyobrażnię a czemu nie liniję, panię, Angliję? W języku trzeba ładu, ustalania prawideł, trzeba go robić regularniejszym dla zwyczajnych, nie autorow. ale ludzi nawet nie piśmiennych, a nie zostawiać z umysłu nieregulalności, aby miał się czém napawać filolog w swojém dowodzeniu!

*Zaimki.*

22. Nie dość ścisłe a nawet fałszywe określenia zaimków! § 213 „ponieważ zaimki zastępują zawsze jakieś imiona, liczą się przeto i same do imion i stanowią jeden z czterech gatunków imion. Odmieniają się naturalnie (!) jak każde imię przez rodzaje, liczby i przypadki". Tu zdaje się, że autor obejmuje wszystkie zaimki, a tymczasem dla braku stosownéj poprzedniéj klasyfikacyi, jedne się nie odmieniają jak: jego jéj jego, (jako 2-gi,

przypadek)—inne odmieniają się tylko przez przypadki, jak: kto, co, nikt i ogólne z nich formowane—inne przez liczby i przypadki tylko jak osobowe: osoby 1-éj i 2-giéj ja (my) ty (wy)—a dopiero niektóre t. j. przymiotne i przez rodzaje. Zresztą to się sprzeciwia prawdzie powszechnie uznanéj, aby imiona odmieniały się przez rodzaje, bo przecie rzeczownik np. kot, nie może być w téj saméj postaci rodzaju męzkiego, żeńskiego i nijakiego? Nakoniec zaimki nie tylko zastępują imiona, ale znaczą różne względy sobie właściwe, jak pytanie, twierdzenie, przeczenie i t. d.

§ 215. Pomiędzy zaimkami wskazującemi jest *taki* tylko przymiotnym, *jego, jéj, jego* tylko rzeczownym.. Nie wiemy, jak się ten zaimek rzeczowny odmienia!

Między zaimkami dzierżawczemi nierozrożniony dzierżawczo-zwrotny: swój; swoja, swoje (a zatém dopiero § 713 w nauce o słowie nazywa go autor takim); owszem postawiony obok *mój* i *twój*, jakoby był zaimkiem osoby 3-ciéj—i dopiero daléj jako dodatek stoi, że brak zaimka osoby III zastępuje się przez przyp. 2-gi zaimków wskazujących jey, jéj, jego, ich. Tego zaimka jak go tu autor nazywa wskazującym, a pod § 223 w użyciu przypadków znowu osobistym mianuje (!) mylnie wskazane użycie, że się nie kładzie przed nim *n*, choć stoi po przyimku, i jest rozziew (hiatus), kiedy zaimkiem osobistym nie przyimek rządzi, tylko inna część mowy. Daruje mi szanowny autor, że takie nieoznaczone określenie wielką gmatwaniną nazwę. Tu gdyby był rozziew hiatus, to dla powodu dźwięczności musiałoby być *ń*; ale tu jest powód logiczny, znaczenie wyrazu gramatyczne inne i osobna natura zaimka nie wskazującego ani osobowego, ale dzierżawczego i to nie dopuszcza, aby zacierał swój niezmienny charakter; stąd nie powiem do niego matki, do nich ojca, ale do *jego, ich*. Że tak jest, to i prostém pytaniem, jakiego przy zaimku dzierżawczym używamy, rzecz się rozstrzyga; nie pytamy się przy nim: kogo? ale czyj, czyja, czyje, czyjéj, czyjego? i t. d.

23. Nie wyprowadził nas autor z błędu, przestając tylko w § 224 na pobieżnéj wzmiance, że czwarty przypadek zaimka zaginionego ji, ja, je, któryśmy zawsze z czeska wypisywany w pomnikach dawniejszych znajdowali: *gi*, jak to potwierdza własna jego tamże cytacyja z Kochanowskiego, Wujka i Skargi—że to g ani j nie zastępuje, ale jest tylko znakiem odróżniającym zaimek od spójnika i. Bo przecie znajdujemy niekiedy ten spójnik wypisywany samą głoską *y*. bez kropek. Powiedział nam autor, że łatwo tego dowieść niewzruszenie, ale tego nie zrobił, a szkoda

tym więcéj, że powód zrastania ń za *i* z przyimkami na samogłoskę zakończonemi np. *doń*, *poń*, *przezeń*, *nadeń* przekonywająco do nas mówi.

24. Na zaginioną w polszczyznie, choć kiedyś żyjącą, formę zaimkową nie tylko w zaimkach ale i przymiotnikach, dużo sprowadził autor światła; szkoda tylko, że gdy jéj dziś nie ma, tak mocno obstaje § 225 za jednym tylko przypadkiem 4-tym l. p. r. ż. mającym się kończyć w zaimkach na ę a nie na ą np. moję, twoję swoję, naszę, waszę, samę, kiedy już ta forma zaimkowa nie tylko z przymiotników ustąpiła, ale jéj już i w samych zaimkach nie czujemy różnicy. Odmienne przypadkowanie zaimków rzeczownych kto, kogo? co? czego i z nich pochodnych żadnemu nie ulega zaprzeczeniu, bo jest faktem, i dlatego żałować nam przychodzi, że autor na ich odmianę żadnego przynajmniéj swego domysłu nie rzucił. My patrząc na język ze stanowiska dzisiejszego, radzibyśmy wprowadzić weń jakąś, choćby nieregularną regularność ale jednostajną tam, gdzie to fundamentalnym jego podstawom, jakby powiedział stary Polak nie *stoi z przeciwia* (nie sprzeciwia się). Dlatego téż i my obstajemy przy swojém i utrzymujemy wbrew woli autora, że się pisać nie powinno moję, twoję, swoję, naszę, waszę, innę, samę, ale moją, twoją swoją, naszą. waszą stawiając na poparcie tego twierdzenia następujące powody: 1-e. Czy to jest dawna forma zaimkowa pełniejsza, czy tylko jest drugim kształtem odmiany (abundans forma) tego samego zaimka mój, moja, moje albo my, ma, me jak *jen* i *ji*, który, (któren) każdy (każden) sam i samy za samyi i t. d.: to nam wszystko jedno; albowiem dziś nie tylko zaimków przymiotnych ale przymiotników i innych wyrazów przymiotnych kardynalną podstawą odmiany jest końcówka zaginionego zaimka ji, ja, je? jen, ja, je (ty, ten). Co było a czego nie ma w formie zaimka i, ja, je albo jak dziś: on, ona, ono (je): tego nie może a przynajmniéj nie powinno być w odmianach na jego odmianie wyłącznie opartych. A że w zaimku dzisiejszym on, ona, ono, za ji, ja, je jest 4 przyp. *ją* i *nią*, choć bardzo być może, że było w języku więcéj do starosłowiańskiego zbliżonym a jeszcze nie wyrobionym na język polski, tak jak autor twierdzi *jeję*, *jejam*: to i w zaimkach: mój, twój, swój, nasz, sam, wasz jeden, inny, ów, on, który jaki, żaden powinno być: moją v. mą, naszą, waszą, edną, inną, ową, oną, którą, taką, żadną i t. d. 2, końcówka po *i* idąca nie zmienia się nigdzie, więc *ą* jest końcówką, nie przerobieniem i ściągnięciem, bo jeśli się mówi moja, ma, twoja, twa; moje, me; twoje, twe; i t. d. gdzie po prostu *oj* wypada: to

dla czego nie ma być moją, kiedy jest mą, twoją, kiedy jest twą a więc i naszą, waszą i t. d. a co nam po tém, czy tam kiedyś mogło być wasjajam, wasjeję, wasjejam, czy inaczéj? Jedyną wątpliwość i chwiejność przedstawia nam: *tę* a czy ono za tjeję i tjejam czy za co innego stoi, to w nas wcale nie obudza ciekawości, bo lud sobie mówić zaczyna na tą i tamtą stronę i w téj formie owéj pierwotności pochodzenia i dawności formy zaimkowéj, jaka tam kiedyś być mogła, więcéj nie czuje. 3-e. Samogłoski *ą* i *ę* nie miały dawniéj takiego ustalonego użycia, jak, dzisiaj: nie możemy więc żadnéj, nawet najdowcipniéj przeprowadzonéj hipotezie przyznawać stopnia prawa niewzruszonego, bacząc na ową dawniéj bałamutną pisownię; a choćby nawet i dawniéj pisało się przez ę stale, to co na tém zależy językowi, jak było u źródła przed tysiącami lat, gdy język polski nie miał jeszcze swéj odrębności dzisiejszéj i gdy dla tego starosłowiański przerobił, aby żyć życiem własném!

25. Czy mamy mówić, *imi*, *ymi* wszędzie w rodzaju męzkim w 6tym przyp. l. m?.

W § 241 czytamy: Przypadek VI l. m. ma obecnie na rodzaj męzki *ymi*, *imi* n. p. tymi panami. Pisać wszelako należy nietylko tymi panami, owymi braćmi, ale także: tymi końmi, wszystkimi krajami, swoimi zwyczajami; nimi, naszymi, onymi (z dorozumiewającym się jakimkolwiek rzeczownikiem, chociażby zwierzęcym i nieżywotnym, byle tylko męzkim jak n. p. domami, zamkami). Co bowiem jest męzkiem, pozostaje męzkiem i w liczbie mnogiéj, bez różnicy czy żyje czy nie żyje, czy jest osobowe, czy zwierzęce". Powołuje się tu autor na § 239, gdzie tłómaczy przyczynę. „Przyp. 1. l. m. brzmiał pierwotnie *ci* na rodzaj męzki, *ty* na żeński, *ta* na rodzaj nijaki. Formę *ci* zatrzymały same imiona męzkie osobowe: ci anieli, rycerze, ci ludzie. Wszystkie zaś nieosobowe męskie postradały ją i zastępują stracony przyp. 1, 4tym przyp. czyli tak zwaną formą rzeczową przyp. 1go: te konie, psy, te skarby. Dawniéj używano w takich razach *ty*. Forma *ty* w 1 i 4 l. m. r. ż. zgoła nie jest w używaniu". Jeżeli więc téj formy żeńskiéj nie ma i nie mówi się: ony, samy, ty, wszystkie, bo taj mniéj dźwięczną dla ucha polskiego; jeżeli forma nijaka *ta* odpadła, a sam autor przyznaje, że formę *ci* zatrzymały same tylko imiona męzkie osobowe: to z tego wypływa bardzo naturalny wniosek, że albo jest druga forma na wszystkie inne imiona nieosobowe i to czy męzkie czy żeńskie czy nijakie, albo jéj nie ma. Jeżeli nie ma, to już tém samém wszystkie imiona w l. m.

jednako się odmieniać będą i mówić będziemy ci konie, ci domy, ci ryby, i ci zwierzęta, a więc 6ty przyp. tymi końmi, tymi domami, tymi zwierzętami tak jak było dawniéj n. p. nad rybami *morskimi* (Bib. Leop.) i to już będzie logika językowa! Ale jeżeli 4ty przyp. we wszystkich innych imionach l. m. byle nie osobowych męzkich, jest taki jak piérwszy, a odmienny w osobowych, bo przodowanie rodzajowe zostawiono tylko jeszcze osobowym męzkim w liczbie mnogiéj i nie można cofnąć téj już zwyczajem głęboko zakorzenionéj formy, z którą trzyma się w związku przyp. 6 l. m.: to nie ma innéj rady, jak poddać się choćby fantazyi języka, który zawsze jest prawem dla wszystkich. Słabość istot innych, język usiłował oznaczyć złagodzoną formą na *e*, to złagodzenie weszło w dzisiejszy ustrój języka, nie należy więc cofać nas do form archaicznych mniéj w tym razie dźwięcznych i pogrzebanych już w nim na wieki. Co większa nawet, wolałbym zupełnie zarzucić raczéj końcówkę ymi, imi imion osobowo męzkich w liczbie mnogiéj, niż stosować ją do wszystkich innych imion rodzaju męzkiego, które na tym samym stoją z imionami innych rodzajów stopniu, bo poczucie estetyczne w narodzie przyzwyczaiwszy ucho swoje do form dźwięczniejszych, instynktowo oburza się na ostre wbrew myśli języka narzucane mu dzisiaj i dawno, a choćby tylko dopiéro od Kopczyńskiego zarzucone formy! To już fakt dokonany!

*Słowa.*

26. Podział słów na formy polega „na czterech punktach widzenia t. j. na źródłosłowie, zakończeniu albo przyrostku, spójkach i cechach trybowych § 320". Nie mówiąc o różném określaniu tych wyrazów przez autora co do praktycznego ich stosowania, co już znacznie utrudnia zrozumienie rzeczy i klasyfikacyi; to jednak zawsze jeszcze sama w sobie kunsztowna i zawikłana struktura, w któréj myśl rozleciawszy się na oglądanie naraz tych czterech punktów, nie wié prawie, przy którym się głównie zatrzymać i co mieć na uwadze, przeskakuje od jednego do drugiego i dopiero w téj uciążliwéj pracy skupiać je ma wszystkie razem, aby je wziąć za podstawę podziału i odnieść do jednéj z form czasowania. Zaczém idzie, że autor przyjmuje 6 klas odmian słownych w koniugacyi polskiéj § 349: I. obejmuje słowa pierwotne czyli pierwiastkowe, których źródłosłów jest zarazem pierwiastkiem. II. Zawiera słowa ze źródłosłowem zakończonym na *n*, *nę* (Czy to już źródłosłów?). III. Słowa ze źródłosłowem za-

kończonym na e, ѣ (Czy to znowu nie spójka?). IV. Słowa ze źródłosłowem zakończonym na *i* (Czy to czasem nie przyrostek?). V. Słowa ze źródłosłowem zakończonym na *a*. VI. Słowa na *u*, *owa*, *ywa*. To nie dosyć. Ten podział wystarczyć jeszcze nie może autorowi do objęcia całości, więc przyjmuje poddziały czyli gromady, których n. p. w Iszéj klasie jest 8, tak dalece, że ta forma ciągnie się nie będąc przedstawiona w całości, ciągnie się, mówię przez 19 stronnic od 157 do 176 a pomimo tylu klas i gromad nie możemy się dowiedzieć jak się n. p. słowo jechać odmienia, według któréj klasy, dla czego ma jadę, szedł i t. d. i nie możemy sobie zupełnego utworzyć obrazu czasowania polskiego. Wszystko tu rozleciałe, porozcinane drobniutko, a grubych rysów syntetycznych łączących owe jednostki słów tak co do klas jak gromad w jakiś jeden widok całości, nie masz wcale; z tego powodu każdy szczegół znać możesz nie źle, ogółu nie widzisz, a gdy ci przyjdzie stosować i odnosić pojedyncze słowa do klas i gromad, bez książki do tego trafić nie możesz!

*Imiesłowy.*

Imiesłowów narachował autor w dzisiejszéj polszczyznie 9, (§ 303); z tych cztéry należy do strony czynnéj słowa, 5 do biernéj.

Czasy przeszłe formowane z pomocą dawnego imiesłowu, w czém poczucia dopiero przez rozbiór dawnych pomników nabrać można, autor nazywa imiesłowem czynnym. W taki sposób w koniugacyi polskiéj dzisiejszéj nie ma według p. Małeckiego czasów przeszłych, bo jeżeli pił, siedział, są imiesłowy czynne (?) a nie używamy ich w połączeniu ze słowem jak było kiedyś: jest był, jest była, są byli, jest pił, była siedziała i t. d; jeżeli dawne aorysty na *ach*, *ich*, wyszły z użycia: to nam nic z przeszłości czasowéj nie pozostało!

Przymiotniki dzisiejsze jak: znikomy, widomy, kryjomy, rzekomy, ruchomy, rodzimy, wiadomy i łakomy, kładzie autor między imiesłowy bierne czasu teraźniejszego i charakteryzuje one w ten sposób, „że wyrażają możność jakiéj biernéj czynności i odpowiadają łacińskiemu participium na *ndus* (widomy=*videndus*, *qui videri potest*." Jeżeli im odpowiadają, to chyba będą imiesłowami czasu przyszłego.

Wszystkie słowa jak utrzymuje autor, tworzyły je podobnie do znamy za znajomy (cytacyja z Ps. Małgorzaty); w takim razie warto się było autorowi potrudzić, nad wynalezieniem nowych, bo

kiedy fakt stoi niewzruszenie w języku, to i wyrażenie nań znaleźć się może. Byłoby to bowiem przeciw naturze imiesłowu biernego, który oznaczyć musi w sobie działanie zapadłe w przeszłość i dopiero da się pojmować jako przymiotnik słowny, na którym skamienieje czynność pewnego podmiotu (subjekt) lub z niego się w przyszłość rozmaga. Miałżeby nasz język mieć imiesłowy bierne czasu teraźniejszego, na przekor logice zwyczajnéj mowy ludzkiéj.

Zapomniał jeszcze autor dziesiątego imiesłowu doliczyć do dziewięciu poprzednich, o czém w § 721 czytamy: „Wyrazy, jak ciągły, wytrzymały, czuły, okazały, śmiały i t. d. właściwie są także imiesłowem nijakim czasu przeszłego."

28. Czas teraźniejszy, § 304: idę, słyszę, czynię—będę, zmiotę, spalę i to w tekście dużemi literami wypisane, jako fakt dokonany w dzisiejszym języku—a dopiero za tém idzie przypisek, że on ma znaczenie czasu przyszłego. Co się w teoryi wypisuje większemi literami, jest niby kwintesencyją treści naukowéj; każdy to czyta i uczyć się tego musi. Co w przypiskach stoi, nie jeden tego nie dojrzy, może nie przeczyta. Wielki to błąd, nagannа plątanina, mieszać archaizmy jako historyję z rzeczywistym i dzisiejszym stanem języka i zapatrując się na formy wyganiać z nich myśl i znaczenie. Teoryja powinnna zawierać to, co jest, przypisy tłómaczyć powinny zboczenia, wyjątkowe formy; ale objaśnienia w przypisach w żadnéj mierze nie mogą być dopełnieniem tekstu, całość treści naukowéj w sobie zawierać mającego.

*Składnia.*

29. O zdaniach mówi autor bardzo ryczałtowo, podając niby regiestr to jest suchy spis nazw bez systematycznego i plastycznego obrobienia; wzgląd praktyczny porównawczy na języki obce miesza ład logiczny różnéj natury zdań, nie wywięzujących się z siebie jak być powinno, organicznie, a tém samém utrudnia nabycie koniecznych pojęć i że tak powiem podkładu logicznego, na którym się ma dobry styl budować!

30. Krępuje swobodę składni (§ 806) podając na przykładzie wskazanym normę zachowania się w innym danym przypadku. „Jeżeli przyjaciela, który twéj pomocy potrzebuje, nie chcesz utracić." (Tu autor mówi ujdzie powiedzieć). Ale nieznośnieby brzmiało: jeżeli nie chcesz przyjaciela, który twéj pomocy potrzebuje, utracić." Nie pojmuję, co tu zdrożnego i nie znośnego w brzmieniu, kiedy gładko a zrozumiale jeszcze! Zby-

tecznego przestawiania wyrazów wystrzegać się trzeba, jeżeli to szkodzić może jasności; jeżeli zaś téj nie stawa na zawadzie, można się poruszać w naszéj składni szyku swobodnie.

31. Łamie prawa zwyczajowe i wykracza przeciw polskiéj składni i dobremu rytmowi § 807 „jakaż bo miałaby być przyczyna zakończenia na ą? jakże kiedy bo i tamte zakwestyonowane!". Oba te wyrażenia rażą nawet chropowatością. pod względem rytmu zgłoskowego a jak w jedném tak i drugiém *bo* stoi w pośrodku. Nie sądzę, żeby to być mogła pomyłka a tymczasem nie usprawiedliwia tego w swém dziele autor: owszem w § 807 wyłączając: „bowiem zaś i też, które się kładą zawsze na drugiém miejscu a przeto" tedy, zatém, na drugiém i na pierwszém—hołdując prowincyjonalizmowi galicyjskiemu, w sprzeczności z sobą stawa.

„Nie mam wiadomości, którejbyś się ucieszył (mam wiadomość, któréj się ucieszysz § 736." Sądziłem że to pomyłka, ale gdy dwa razy przy sobie zdanie to położone widzę, przekonywam się, że to błąd Ucieszyć się nigdy nie ma rządu drugim ani trzecim przypadkiem, ale zawsze wymaga przyimka *z* np. cieszę się z czego albo czém.

§ 619. Jeżeli się zaimek względny ściąga na całe zdanie i t. d., ściągać się jako zaimkowe zastępuje tylko synonim: odnosić się i wtedy koniecznie wymaga przyimka *do;* albo znaczy prawie tyle co sprowadzać co za sobą i wtedy tylko może stać z przyimkiem na; albo nakoniec może być zwrotném i to tylko w znaczeniu ściskać się, kurczyć, np. bardzo się ścisnął pasem i mdło mu jest.

*Pisownia.*

Tę część gramatyki zbywa autor bardzo krótko, uwydatniając tylko te strony, które swoim sposobem i z nowego punktu wyjaśnił; resztę zostawia w cieniu, nawet i to, o czém w dziele nic nie wspomniał, a jednak trzyma się nieraz osobnego i sobie tylko właściwego sposobu pisania.

32. „Kreskowanie wargowych miękkich, na końcu wyrazu położonych albo przed spółgłoskami, nie może mieć miejsca" mówi autor o tém w głosowni § 56, a to z powodu że brzmienie wargowych zbyt jest momentalne, żeby nawet (§ 57) na końcu wyrazu można było w nich schwycić uchem zmiękczenie." Wprawdzie od bardzo dawnych czasów, bo właściwie od Seklucyjana począwszy 1551, wszystkie niemal gramatyki zalecają kreskowanie, odzywa się tamże autor, ale dla powyżéj przywiedzionego powodu nie przystaje na te wymagania. W tym razie stoi w sprzeczności z sa-

memi nawet wnioskami Deputacyi. Sama powszechność żądania jest już najlepszym dowodem, że wyosobnianie się autora nic tu wskórać nie potrafi i przyciągnąć wszystkich do swego obozu. Jestto głos tradycyi wiekowéj, która większe może ma znaczenie, gdy coś twierdzi, niż wtedy, gdy tylko milczeniem coś pokrywa lub przeczy. Miękkie wargowe na końcu rzeczowników i liczebników: np. paw', jedwab', Radom', pisać i wymawiać trzeba; inaczéj zaniedbywanie takiego miękczenia wpłynąćby mogło na zamęt w przypadkowaniu rzeczowników, bo zkąd mam wiedzieć, że paw ma mieć drugi przypadek pawia i inne przypadki zmiękczać? jeżeli tego nie wymówię i nie wypiszę, to naturalna rzecz, mogę deklinować mając poczucie głosowni polskiéj; Radoma, pawa, pawem, pawy, podobnież drobu, jedwabu, i t. d. ośmu, siedmu, i cały organizm przypadkowny (deklinacyjny) idzie w rozprzężenie! gdy przecie *Miklosich Lautlehre der slavichen Sprachen* właściwie twierdzi, że siedm swoje *c* winno zaniedbanemu kreskowaniu końcowego m. (str. 448). W słowach i pochodnikach nie kreskujemy wargowych miękkich a to może z powodu, aby wybijanie ich nie pociągnęło za sobą powrotu form archaicznych np. mówi, trafi, robi, za mów, traf, rób: choć nawet i w tym razie mniejsze byłoby złe w zachowywaniu ich, niż w pierwszym razie w ich zaniedbywaniu, bo praktycznych tak ważnych następstw za sobą nie pociąga.

33. Móc, lec, strzec, strzyc, prząc, zaprząc i t. d. Krótko mówiąc słowa w trybie bez-okolicznym zamiast przez dz, odtąd przez c pisać się mają! z powodu zbicia się równie *kć* jak i *gć* na *c* (§ 95 tudzież § 825). Dotąd rozdział głosowniowy między *k* i g był tak wielki, żeśmy go przestrzegali w wyrazach pochodnych, oglądając się z czego c lub dz powstaje; teraz za poradą Miklosicha (który mówiąc o słowie módz, wyraża się „Słowo módz mało obeznani ze słowiańską filologiją piszą przez dz" str. 478 *Lautlehre der slavischen Sprachen)* autor nasz z obawy może, aby nie być i przezeń posądzonym o małą znajomość filologii słowiańskiéj, wszystkie słowa w trybie bez-okolicznym każe pisać przez *c*. Jeżeli cechą trybu bez-okolicznego nie ma być ć, ale *c*, to się żadnéj krzywdy głosowni nie dzieje, owszem jest to tylko dług jéj należny, gdy w razach, w których przed ć, g stało, na oznaczenie zbicia się tych głosek, używamy *dz* nie *c*. Analogija rzeczownika *moc* z tego samego źródła, niczego tu nie dowodzi, albo co więcéj dowodzi tego, że tak Miklosich jak i autor za nim nie w swoje się rzeczy wdają, poprawiając to, co jest dobrém w zasadzie. Że piec i piéc pochodzą z tego samego źródła, to lsze

nie daje żadnego prawa do poprawienia *dz* w słowie módz na *c*, najprzód, że w słowie to e przed c było częściéj kreskowane i dotąd w mowie ludowéj tego kreskowania niby ściągnięcia zgłosek święcie się przestrzega, n. p. wypiéc, upiéc, czego nie ma w rzeczowniku piec; powtóre, że ta sama zasada kierowała głosownią naszą w kreskowaniu o przed dz w słowie a zaniedbaniu jéj w rzeczowniku, stąd różnica wyrazowa głosowniowo i ortograficznie wyrażona w dwóch osobnych kształtach: módz i moc. 2gie. Pisząc *c* na miejscu *dz* popełniamy nonsens, niedorzeczność, łamiemy prawa głosowni, bo jakim tytułem kreskować o przed *c* w trybie bez-okolicznym, gdy to jest spółgłoska trwała (mocna) a przed trwałemi się nie kreskuje, inaczéj bowiem będziem miéć: móc, nóc, kóc, kłóc i t. d. Co w języku zrobione przez miliony, tego jeden ani dwóch a choćby i dziesięciu zmieniać nie mają prawa, bo trzeba się oglądać na cały rozwój językowy nie na pojedyncze niby anomalije. 3cie. Jak n. p. ładnie wyglądają, bo w formy imiesłowowe ustrojone i dlatego do niepoznania, słowa w trybie bez-okolicznym: wyprząc, zaprząc (jak rosnąc, prąc, porąc) i t. d. 4te. Co wtedy zrobimy z formami obfitującemi t. j. na *nąć*, bo niektóre ze słów tę tylko formę zachowały, n. p. schnąć, inne mają obie n. p. wybiegnąć i wybiedz, wystrzygnąć i wystrzydz. Czy tu nie wyraźnie pojawia się ściągnięcie z nąti a nie z *ti*, kiedy w czasach przeszłych nawet w formach *nąć* ną wypada n. p. usechł za uschnął, pobiegł za pobiegnął! Owóż widzimy jasno, jakie bałamuctwa wnosi się w język, gdy zamiast postarać się o ustalanie faktów dokonanych języka i podciąganie ich pod pewne prawa, stawiamy jakieś prawa *a priori* bez oceniania ich tak pod względem fizyjologicznym jak i psychologicznym języka!

34. Przymiotniki: zwycięzki, paryzki, francuzki, równie jak blizki, nizki, męzki, pisać się mają przez *s*, z powodu zbicia się *zs* na *s*; podobnież słowa: gryźć, znaleźć, wieźć i t. d mamy pisać przez s, bo ź przed ć przemieniać się ma na *s*. Jużeśmy co do tego punktu swoje wypowiedzieli zdanie w rozprawie naszéj: „Przeszłość i teraźniejszość ortografii polskiéj ocenione ze stanowiska wymowy" (pod *s* i *z* str. 12, 13, 14, 15). Dodać nam tu wypada, że lepsze miała poczucie rzeczy od autora Deputacyja, bo razem trzymała z językiem. Że maść pochodzić może od mazać a pisze się przez ś, to właśnie dlatego, że to rzeczownik; żeśmy w nim poczucie tego pochodzenia, równie jak w wyrazach powrósło, masło, stracili —i że to przeszło już do całéj rodziny wy-

razów namaścić, namaszczony, namaszczenie. Ale w słowach gryźć, leźć, znaleźć, wieźć i t. d. gdy jest: ogryzek, zgryźliwy, ogryzać, ogryziony, zgryzota i t. d. litera *z* jest pierwiastkową i téj tracić nie można, albo pisać: zgrysł, zagrysły, wynalasek wynalesiony i t. d. Na takiém samém prawie stoją przymiotniki i rzeczowniki na *stwo*, gdzie ostatnią spółgłoskę pierwiastku starannie wypisywać należy i nie robić ściągania ale po prostu przemianę na twardą lub pośrednią. Bo jak rzs nie zlewa się na *s* ale twardnieje na *r*, bo tu twardą r zastępuje i dlatego stoi po niéj *ski;* jak dźs nie zbija się na s ale na dz zamiast ds n. p. sandomierski, ludzki: tak i żs twardnieje na z a że z=s, to drugie *s* wcale nie potrzebne, bo pierwsze chroni nam pierwiastkową z od zaguby. Jeżeli w: Szlązak, Szlązacy, Paryżanie, zwyciężać, w Paryżu jest z, dla czego nie ma go być w szlązki, paryzki, zwycięzki, zwycięztwo, zwycięzca? Zaginęły nam stare formy, głoski niektóre z wyrazów poubywały, brzmienia uległy przemianie tak wielkiéj, że już niekiedy w wyrazie swojskim nie czuć swojskości; po cóż jeszcze rugować z języka w pochodnych głoski końcowe pierwiastku, które się czuje, a o których zachowanie zwyczaj dotychczasowy tak widać się stara. Jeżeli n. p. wyraz męzki mężczyzna jak dotąd pisany przez z zaczniemy pisać przez s, sz, to już tracimy poczucie pochodzenia tych wyrazów; sam wyraz mąż będzie się wtedy pisać mógł przez sz a będzie to wyraz niemiecki napisany po polsku Mensch. W mąsz nie czujemy już tego, *co może, co jest silnym, ma odpowiednią siłę*. Może się to wydać paradoksem a tymczasem tak jest rzeczywiście, bo przeglądając historyję naszego języka, dostrzeżemy nie na jednym przykładzie, że pisownia wpływ wywierała na wymowę; że w niéj myśl idąc na przód i wstecz się cofa t. j. od pochodnych do pierwotnych; poco więc wprowadzać ferment niepotrzebny do języka i wypędzać duszę z wyrazów t. j. pozbawiać je znaczenia!

35. Wyrazy obce co do pisowni rozkłada na dwie połowy: do jednéj odnosi wszystkie imiona starożytne a z nowoczesnych te wszystkie, któreśmy spolszczyli (§ 828); po drugiéj kładzie imiona własne do dzisiejszego świata się odnoszące, których brzmienie nie jest spolszczone. Pomimo to w uwadze pod deklinacyją przymiotników (§ 269) gani zwyczaj narodowy, że spolszcza mniéj stosownie i niepotrzebnie przeistacza us łacińskie na usz n. p. Ennijusz, Pompejusz, Tarkwinijusz pisać radzi: Ennius, Pompejus, Tarquinius. Niedługo alfabet nasz stanie się panalfabetem, tojest wszystkie alfabety ludów ziemskich będą tam miały swoje znaki,

tylko Polacy nie będą wiedzieć co one znaczą, a bo nasz alfabet składać się będzie nie z 45 ale z kilkuset jeżeli nie z kilku tysięcy liter! Na co przyjmować dwa prądy zwyczaju: jeden starożytny t. j. prawdziwie polski. który nam tak łatwo przychodzi, bo niejako naturalny i czuć w nim woń swojskości— a drugi obcy, a tém samém nie polski, datujący od czasu, gdyśmy język nasz rzucili na pastwę obcym wpływom. Jeżeli w wyrazach obcych starożytnych był zwyczaj spolszczania, to tylko taki zwyczaj można nazwać zwyczajem, drugi sposób jest tylko nową modą. Jakże autor może użyć tego wyrażenia: „pozostać nam należy przy zwyczaju narodowym". gdy to jest tylko frazes bez znaczenia? Raczéj należało właściwiéj się wyrażając, powiedzieć: zatrzymać się w tém, co zrobiono dawniéj, a porzucić go teraz. wprowadzając natomiast zasadę różną od dawnéj polskiéj t j. nie spolszczać już nic, ale brać wszystkie znaki obcych ludów i wypisywać je tak, aby wymawianie nasze nie zgadzało się z pisownią, a przecie w § 811 stoi położona zasada ortografii polskiéj: wyraz tak pisać jak go wymawiamy (patrz Teraźniejszość i przeszłość str. 83 ortografii polskiéj, III o pisaniu wyrazów cudzoziemskich, gdzie rzecz tę obszernie traktujemy w duchu zwyczaju narodowego).

36. Nie położył zasady autor, jak i kiedy pisać przysłówki złożone, bo raz je pisze razem, drugi raz osobno. podobnież o przyrostkach mówić: *by*, *to*; tylko co do przyimków wskazuje sposób pisania t. j. jeżeli jest w nich *z* na początku pisać się ma osobno; jeżeli nie ma razem. Więc to jedno pojęcie kilku wyrazami oddawać trzeba i przyimek przy drugim przyimku stać może nie będąc już tém samém przyimkiem bo się nie do imienia odnosi? Wszakże on tu nabiera roli przyrostka początkowego t j. wchodzi w skład wyrazu, którego tylko cieniuje pojęcie, to czemże uwydatniać to złożenie, jeśli nie łącznem pisaniem wszystkich przyimków w jedność pojęcia zlewających się!

37. Co do pisania wyrazów na *ije*, *yja* i t. d. (§ 830) czytamy co następuje: „Przyznaję, 1sze, że pisanie takie ma wiele za sobą" daléj, 2gie, że tylko lud gminny i język minionych stuleci wybijał n. p. Azyja, bakalija, 3cie „w poezyi czasem dla zapełniania potrzebnych ilości zgłosek dzieje się to jeszcze nie zlane w jedną zgłoskę zupełnie a jednak uchodzące za jedną zgłoskę; 4te, że dawniéj tak pisano, bo tak wymawiano". Zdawałoby się, że takie argumenta powinny raz rozstrzygnąć ową trudność pozorną zjednoczenia się wszystkich sposobów pisania. Ale tu jedna tylko zgłoska w wymawianiu, twierdzi autor. Odsyłam znowu do méj

rozprawy: „Przeszłość i teraźniejszość ortografii polskiéj", gdzie rzecz ta od 59 do 70 stronnicy traktowana wszechstronnie co do tego przedmiotu; nadmienić tylko muszę, że tu autor nową wnosi trudność w rozdzielaniu zgłosek. Rozdzielając n. p. wyrazy dane Azyja, bakalija, trzeba właściwie pomijać akcent nad trzecią od końca a kłaść go na ostatniéj z dwóch zgłosek ściągniętéj, tojest zamiast Azya, wymawiać A-zyja przez co przybędzie więcéj jambów do rymów polskich! W skutek tego potrzeba znowu będzie stworzyć nowe prawidła dla formowania drugiego przypadku, aby i tu jedna tylko była sylaba i pisać w liczbie pojedynczéj A-zyi, baka-lii a w liczbie mnogiéj baka-liij w wyrazach pochodnych baka-lijjka. Widzimy z tego, że autor zamiast rozwiązać węzeł gordyjski owéj zagmatwanéj joty, jeszcze go więcéj zaplątał! Nie ma rady, tylko, albo się godzić z dążnością języka w mowie ludowéj, w języku minionych stuleci i zwyczaju na gruncie polszczyzny wyrosłym, albo w coraz większe popadać bałamuctwa!

38. Rozdzielanie wyrazu na zgłoski.

§ 832. „Rozdzielają się zawsze wyrazy w tych miejscach, gdzie nam poczucie dyktuje, że się pojedyncze zgłoski z sobą stykają. Poczuciem tém powinny kierować względy albo na złożoność wyrazu, albo na naturę głosek.

Wyrazy opatrzone na początku jaką przybranką, albo można rozdzielać w tém miejscu, gdzie się przybranka z głównym wyrazem styka, albo też w środku głównego wyrazu.

1. W pierwszym razie pamiętać o tém należy, że nie można końcowych głosek przybranki doczepiać do wyrazu głównego, ani początkowych głosek wyrazu doczepiać do przybranki. Wyjątki stanowią tu: *odejść*, *podejść*, *rozum* i od niego pochodne, a to z przyczyny, że już zupełnie straciliśmy poczucie, że to wyrazy złożone.

W drugim razie, t. j. jeżeli wyraz główny w pośrodku dzielimy, są trzy warunki: Wyrazy, które żadnéj przybranki przy sobie nie mają, albo które choćby też i miały przybranki, rozdzielić wypadnie po ich drugiéj połowie, rozkładają się na swoje części najnaturalniéj w taki sposób, że zgłoska pozostawiona na linii zapisanéj kończyć się powinna na samogłoskę, następna zaś zgłoska zaczynać się będzie od spółgłoski, np. gwia-zda, gę-sty, ziemny, ró-wny, go-dny, szczę-ście, chy-try, o-stry.

Wyjątek tylko stanowią takie zgłoski, które się kończą na j, albo na jaką spółgłoskę płynną l, ł, r, ń, kiedy takowe mają ze sobą jakąkolwiek drugą spółgłoskę, np. szyj-ka, kij-kiem, wietrz-ny, biel-ko, spadł-szy, biel-szy, hań-ba.

Również zostawia się na linii zapisanéj spółgłoska m, tudzież wszystkie spółgłoski słabe, jeżeli po nich następuje jaka mocna spółgłoska, albo odwrótnie wszystkie mocne, jeżeli po nich nąstępują słaba: kłam-ca, proś-ba, mów-ca, traw-ka, daw-szy, kład-ka, (przeciwnie: groź-ba, hu-fce, chło-pka, chło-pstwo), obra-zki, nó-żka (przeciwnie: ma-tka, ko-tki, bla-ski, i-skra, czaszka, wszy-scy, ka-ždy, koko-szka, ró-zga o-pa ctwo".

Przytoczyłem tu cały prawie traktat o rozdzielaniu zgłosek, abyśmy lepiéj ocenić mogli jedność podawanéj zasady. Wszystko tu porozkładane na podziałeczki drobniuchne, na przypadeczki tak, że trzebaby ciągle z gramatyką p. Małeckiego chodzić i w każdym danym razie do niéj zaglądać, aby się nauczyć wyrazy właściwie rozdzielać. Postawiona na czele *Mechaniczna zasada kończenia na samogłoskę* zniesiona tu jest prawie wyszczególnianiem pojedynczych przypadków, w których się jéj trzymać nie można! Jeżeli bowiem mamy kończyć na samogłoskę, to już w wyjątkach od téj reguły nie powinno być wyjątków. Jeżeli się mamy powodować poczuciem w rozkładzie wyrazu na zgłoski, to niechże głównie tém poczuciem kieruje wzgląd na pierwiastek, który należy oddzielać od przyrostków początkowych, jakiemi są przyimki lub zgłoski słoworodne i końcowych czyli tak zwanych końcówek do pierwiastku przydawanych, aby z tegoż pierwiastku taki i taki powstał wyraz.

Przeciw téj krótkiéj a jasnéj zasadzie możnaby tylko jeden zarzut ważniejszy zrobić, aby przez to stojące przy sobie głoski z powodu następstwa, wywierające wpływ na siebie, nie straciły przez rozdział powodu swéj przemiany, np właś-nie za wła-śnie, gdzie s przemieniło się w ś z powodu następującego *nie*. Ale na to łatwa odpowiedź. W środku wyrazów na zgłoski rozłożonych kładziemy rozdzielnik. Naturą tego rozdzielnika jest, że z jednéj strony rozdziela, a z drugiéj strony łączy, tojest przypomina, że to wyraz nie cały, nie skończony; że więc w następującéj zgłosce musi być powód, dla którego jak w tym wyrazie właśnie ś a nie s stoi; że więc trzeba wyraz brać w spojeniu, razem nie w rozłączeniu na zgłoski, a tym sposobem mając zawsze ogół wyrazu w pamięci i wiedząc, że wyraz już cały był utworzony, nimeśmy go rozdzielili; nie będziemy mieli żadnéj trudności w rozkładaniu wyrazów na zgłoski. Tym sposobem jedna zasada krótko i treściwie postawiona co do końcówek, że zaczynające się od samogłoski czyli tak zwane złączki przybierają głoskę ostatnią z pierwiastku; zaczynające się od spół-

głoski, ponieważ się same wymówić dają, odcina się od tegoż pierwiastku (Kurs II, c. I, § 16. Kurs III Nauki języka polskiego p. A. Kudasiewicza Ortografia § 33) ujednostajni sposób rozdzielania wyrazów. Sam autor na stronnicy 397, powiada, że dawniejsi gramatycy żądali tego, a więc zróbmy raz to, co jest do zrobienia, a to przyczyni się do koniecznego zastanawiania się nad pierwiastkiem, a tym sposobem przyzwyczaimy się do wnyślania się w znaczenie i treść istotną wyrazów.

Na tém zakończam już i tak zbyt długi, a jeszcze nie wszystkich szczegółów dotykający przegląd główniejszych punktów gramatyki p. Małeckiego. Nie chodziło mi tu wcale o jakieś zawistno fachowe nicowanie zkąd-inąd tak cennego dzieła i tak szacownych nad językiem naszym badań, ale o zwrócenie uwagi szanownego autora na niektóre tak ważne w praktycznem zastósowaniu do naszego języka szczegóły. Chodziło mi o to, jakem we wstępie wyraził, aby dzieło jego, owoc tak głębokich studyjów obrane ze swoich niedostatków, stanowczo rozstrzygało wątpliwości w duchu narodowego zwyczaju naszego języka, aby porządniéj ułożone przedstawiało systematyczny układ budowy naszego języka, bez czego nie może być ani od uczących się, ani uczących za podręcznik naukowy brane. Takim tylko sposobem przerobione, może zbawienniejszy wpływ wywierać na piszących, stać się powagą naukową i przyczynić się do uregulowania nieregularności faktów języka, do wprowadzenia ładu w język i pisownię, a tém samém przez podanie jasno sformułowanych zasad gramatyki, w któréj się prawdziwy duch jego odbija, może posłużyć za regulatora pojęć gramatycznych i za wzór do wyrobień w piszących dobrego stylu, którego poprawność gramatyczna jest jednym z najważniejszych przymiotów

Pisałem w Warszawie, 3 grudnia 1864 r.

---

*Rocznik Leśniczy. Dzieło Zbiorowe. Tom IV. Część III. Warszawa, w drukarni Ch. Kelter et Comp. 1863 r: W. 12-cie, stron. 421.*

W r. 1860, zasłużony piśmiennictwu naszemu Alexander Połujański zaczął wydawać *Rocznik Leśniczy*. Wpierwszym roku i drugim składał się z jednego tomu, w 1862 r z dwóch czę-

ści a w r. 1863, w 3-ch częściach, i na tém kończy się wydawnictwo téj publikacyi. Redaktor, pragnąc podeprzeć tak użyteczną publikację, czynił starania o uzyskanie funduszu ze skarbu na wydawanie pisma czasowego leśniczego; lecz usiłowania jego były daremnemi. Tak więc, leśnictwo polskie, z ustaniem *Rocznika*, utraciło ostani swój organ.

W r. 1821, kosztem osób prywatnych zaczęło wychodzić pismo p. n. *Sylwan*, które w zeszytach kwartalnych lub półrocznych, albo raz do roku wychodząc, składało przez rok tom jeden. W takim porządku do r. 1823 wyszły trzy tomy Sylwana, a po trzyletniéj przerwie, w r. 1827 wyszedł tom IV; następnie zaś regularnie co rok wychodził tom następny (z wyjątkiem r. 1831.) Tym sposobem w r. 1843 zbiór całkowity wynosił XIX tomów.

O dalszych losach Sylwana czytamy zajmujące sprawozdanie p. Połujańskiego w obecnym Roczniku:

„Kiedy Kazimierz Janczewski otrzymał to pismo na własność i został redaktorem jego, mając bliższe stosunki z Komissyą Skabu, w któréj był naczelnikiem sekcyi, wyjednał rozporządzenie, polecające wszystkim urzędom leśnym rządowym, tudzież urzędnikom i strażnikom leśnym, aby prenumerowali to pismo; przez co był już zapewniony stały fundusz na druk i broszurowanie potrzebny, który powinien był zachęcić redaktora do rozszerzania ram tego pisma i do rozpowszechnienia jego nie tylko w kraju lecz i za granicą. Do pomienionego funduszu, który wynosił co rocznie pięć tysięcy kilkaset złotych polskich, redakcya miała sobie udzielone prerogatywy korespondowania z władzami rządowemi bez stępla i rozsyłania swego pisma oraz korrespondencyi pocztą bezpłatnie.

„Pomimo takich dogodności dla wydawnictwa, redaktor jednakże coraz bardziéj opuszczał ręce do nieczynności, i tylko pilnował, aby przedpłata regularnie potrącaną była z pensyi urzędników i strażników leśnych (1).

„Już w r. 1844 w miejsce tomu XX, redaktor dał swym prenumeratorom, dzieło Mikołaja Reumana np. *Gospodarstwo łowieckie*. W następnych trzech latach t. j 1845, 1846, 1847, prenumeratorowie otrzymali: „*Słownik leśny, bartny, bursztyniański i orylski*", przez Wiktora Kozłowskiego ułożony, który miał zastąpić dwie

(1) Za potrąceniem kosztu druku, zysk redaktora, czyli czysty dochód z każdego tomu Sylwana, wynosił przeszło 4000 złp. *Przyp. aut.*

części tomu XXI Sylwana, uważane, jakby dwa tomy, dla tego, że do każdéj części dołączony był rocznik Administracyi leśnéj rządowéj z lat 1846 i 1847 (1).

W r. 1848 znowu nastąpiła przerwa w wydawnictwie, a w roku następnym ukazał się tom XXII Sylwana, w którym najważniejsze miejsca zajęły dwa artykuły w oddzielnych broszurach wydane 1.) *O uprawach sztucznych w lasach, Jana Bromirskiego:* 2.) *O ustaleniu wydm piaszczystych* Antoniego Hollaka. Na tym tomie właściwie, skończył się *Sylwan*: bo chociaż pod nazwą tomów 23 i 24 wyszły w latach 1853 i 1858, dwie części: *Przewodnika dla służby leśnéj rządowéj*, ułożonego przez Klemensa Wydrzyńskiego, jednak w nim niema nic właściwego Sylwanowi i podobnym innym pismom czasowym, jest to bowiem tylko zbiór treści przepisów rządowych do służby leśnéj odnoszących się, który mało obchodzić może obce osoby.

„Sądząc, że koniecznem jest nam pismo, jako organ leśników krajowych, w r. 1860 postanowiliśmy, w miejsce zgasłego Sylwana, wydawać *Rocznik Leśniczy*. Zadaniem tego pisma było zachęcić wszystkich, a szczególniéj młodych leśników do nauki pracy i moralności; program roczników zakomunikowany w r. 1860 wszystkim leśnikom w służbie rządowéj zostającym zapowiedział, że to pismo obejmie: życiorysy znakomitszych leśników krajowych już nieżyjących, statystykę lasów, ogólne poglądy na gospodarstwa leśne i przemysł w lasach krajowych, tudzież wiadomości o godnych uwagi zwierzętach, ptakach i ciałach kopalnych, znajdujących się w lasach i opisy zabytków historycznych w nich znajdywanych; wreszcie poezye treści tyczącéj się leśnictwa lub łowiectwa. przy wezwaniu wszystkich do współpracownictwa, za które bezpłatny egzemplarz *Rocznika* redakcya każdemu autorowi zapewniła, zarazem uprzedziła ich, że fundusz ze sprzedaży tego dzieła zbiorowego uzbierany i uzbierać się mający, jest przeznaczony na zasiłek zakładów naukowych leśniczych krajowych, jako to: wyższego w Feliksowie i sześciu niższych w leśnictwach Lubochnia, Brok, Przasnysz, Bodzentyn, Łuków i Pilwiszki.

„Program ten zdawał się obiecywać wielkie powodzenie pismu, témbardziéj, że przedpłata w porównaniu z Sylwanem była nizką, bo zaledwie złp. 3 gr. 10 wynosiła, gdy tymczasem

(1) Ogłoszenie dwóch tych dzieł ważnych M. Reumana i W. Kosłowskiego, uważamy jako prawdziwą zasługę owczesnéj redakcyi Sylwana. *Przypis. red.*

za Sylwan urzędnicy płacili za każdy tom po złp. 10 a urzędy leśne po złp. 12.

„Jednakże oczekiwania, niestety! niezupełnie ziściły się: gdyż materyalizm, w niektórych okolicach kraju, tak przesiąkł tych, do których nowym, postępowym głosem przemowiono, że go słyszeć nie chcieli, i stał się dla nich głosem wołającego na puszczy.

„Zakład praktyki leśnéj w Feliksowie w celu podniesienia w kraju leśnictwa, ogrodnictwa i pszczolnictwa utworzony. przyjął to pismo najsympatyczniéj i uważając je za swój organ, przyrzekł najczynniéj wzrost jego wspierać. Usprawiedliwiło się późniéj to przyrzeczenie, gdyż w *Roczniku leśnym* widzieliśmy liczne artykuły przewodniczącego praktyce Wojciecha Jastrzębowskiego, pomocnika jego A. Hollaka, sekretarza J. Krasińskiego, tudzież praktykantów: W. Olszewskiego, J. Skulteckiego, A. Skarzyńskiego, W. Bańkowskiego, F. Kołakowskiego i T. Przyjemskiego; nie byli obojętnymi dla tego pisma urzędnicy leśni okręgów Maryampolskiego, Augustowskiego, Płockiego, Warszawskiego czyli Piotrkowskiego i w części Częstochowskiego, którzy wspierali je swą przedpłatą: z okręgu Kieleckiego, leśnictwa Olkusz, Łagów i Żarnowiec, z okręgu Lupeckiego, Łuków, Chełm i Janów, a z okręgu Radomskiego Radzice, takiż udział wzięły. Reszta nie chciała iść za przykładem swych kolegów, bez względu na zachęty osób poważania godnych i cel szlachetny tego pisma.

„Przy tak szczupłych środkach materyalnych do wydawnictwa, Rocznik leśny zaledwie mógł przeżyć zamierzony sobie okres czasu. Rocznik bowiem miał zadanie wychodzić coraz częściéj, aby tym sposobem przysposobił umysły do przyjęcia innego stałego pisma czasowego, które wydawane być powinno kosztem skarbu, jeżeli nie częściéj, to zeszytami miesięcznemi."

W tym ostatnim tomie czytamy rozprawy: 1) O lasach olszowych i zagospodarowaniu ich T. Przyjemskiego. 2) O sztucznem hodowaniu trufli A. Połujańskiego. 3) Pomysły do nauki życia W. Jastrzębowskiego. 4) O pismie czasowém leśniczém A. Połujańskiego. 5) Rozbiór dziełka B. Alexandrowicza: Praktyczny sposób wymierzania i wyrachowania massy drzewa w pniach stojących, oraz ocenienia tegoż, p. T. Bohuszewicza. 6) Przegląd literatury leśniczéj z roku 1863. 7) Rozmaitości. 8) Rocznik zarządu leśnego Królestwa Polskiego. Z rozmaitości dowiadujemy się mało znanéj wiadomości, że w obrębie leśnym *Kunkowa Wola*, w bliz-

kości miasta Brześcia Kujawskiego i wsi *Rzadkowoli* położonym, od r. 1859 chowają się dziko i mnożą bażanty.

Główny redaktor A. Połujański, w rozprawie o sztucznem hodowaniu *trufli*, podaje nowe odkrycie, że jest wyłączny gatunek *dębów truflonośnych*, które już rozpoznano dokładnie we Francyi, a u nas rosną także w różnych okolicach.

W r. 1855 na wystawie powszechnéj paryzkiéj, zwróciły uwagę piękne trufle przedstawione przez Augusta Rousseau, który wyhodował je w plantacyi dębów, tak zwanych *truflonośnych* (chenes truffiers) w gminie Karpantra (Carpentras), blizko Awinionu, w departamencie wokluzkim (Vaucluse).

Towarzystwo gospodarstwa wiejskiego w Karpantra, wzięło ten przedmiot pod uwagę bliższą i w styczniu 1857 r. wyznaczyło ze swych członków komissyę do obejrzenia pomienionéj plantacyi, i przyjrzenia się zbiorowi trufli. Do wyznaczenia téj komissyi głównie przyczynił się rozbiór krytyczny teoryi Rousseau, przez hr. Gasparina (*Journal d'agriculture pratique. T. V, 1856 str. 175*), w którym wyrzekł zdanie, że przez siew żołędzi, można dowolnie rozmnażać trufle we Francyi południowéj.

Wynik badań wysłanéj komissyi potwierdził zdanie hr. Gassparina, z tym jeszcze dodatkiem, że nie tylko we Francyi południowéj, lecz wszędzie gdzie rosnąć mogą dęby truflonośne, mieć można dowolną ilość trufli.

Rousseau prowadził znakomity handel truflami, i podróżując po okolicach Karpantra, zauważał, że przedmiot jego handlu, ciągle był znajdowany, pod dębami pewnego gatunku. To zjawisko podało mu domysł, że plantacya utworzona z siewu żołędzi z tych dębów zebranych, może wydać trufle.

Wnet uczynił próbę, naprzód w r. 1847 na powierzchni dwóch hektarów, a w r. 1851 na 2½ hektarach, czyli razem przeszło na 8 morgach polskich, zasiał żołądź z dębów truflonośnych.

Po upływie lat czterech, pokazały się gdzieniegdzie pojedyńcze trufle; w następnym roku zbiór był obfitszy i odtąd ciągle się powiększał, tak, że w r. 1857 zebrano już 77 kilogramów czyli pudów 4 i funtów 28,1. Wielkość i waga tych trufli były osobliwe, gdyż w objętości wyrównywały pięści ręki, a w średnicy jajku kurzemu: wiele zaś z nich miało przeszło pół funta wagi. W smaku i zapachu nie ustępowały najlepszym perygorskim truflom.

Wysłana komissya znalazła w plantacyi dwa gatunki dębu: *zwyczajny* (Quercus robur) i *więzozołd* czyli *dąb zielony* (Quercus ilex). U podnóża tych ostatnich znaleziono daleko większą ilość

trufli, niż pod pierwszemi, a nadto wielkością i smakiem, odznaczały się w porównaniu z rosnącemi pod dębem zwyczajnym. Te trufle znajdowały się w głębokości od 5 do 10 blizko cali, zawsze u podnóża drzew, w zetknięciu się z korzeniami i na powierzchni ocienionéj drzewem. Najbliższe od drzewa trufle, odznaczały się wielkością.

Jak wielki dochód czynią, dowód najlepszy, że sprzedaż trufli od grudnia do marca trwająca w Karpantra, przynosi od 1,800,000 do dwóch milionów franków rocznie.

Rousseau do swéj plantacyi zbiera troskliwie żołędzie dojrzałe i sieje je gęsto dla tego, że nie każda żołądź wschodzi, a jeżeli za gęsto wejdzie, dokonywa trzebież. Siew uskutecznia się w pasy od 17 do 20 stóp od siebie odległe, w kierunku od północy ku południowi. Można zaprowadzać plantacyą z sadzonek, lecz doświadczenie przekonało, że siew lepszym jest od sadzenia.

W plantacyi Rousseau dęby siane w ciągu lat 10 dochodziły do 10½ stóp wysokości.

Dla wyszukiwania trufli w lasach, we Francyi używają zwykle świni, która lepiéj od psa czuje zapach trufli w ziemi ukrytéj. Aby wybrać trafnie zdolną do takich łowów sztukę, przemysłowcy trudniący się zbiorem trufli, udają się na rynek, gdzie przygnane są trzody na przedaż: tam rzucają garść żołędzi i trochę trufli, ta zaś ze świń, która ze szczególną chciwością chwyta i pożera trufle, uznana za zdolną do ich wyszukania, zostaje zakupioną. Kiedy zbiór trufli nadchodzi, wypędzają świnię do lasu lub do plantacyi, gdzie poczuwszy zapach trufli, zaczyna ryć ziemię: wówczas pilnie ją śledzą, a skoro pokażą się trufle, odpędzają ją lekkiém uderzeniem pręta po ryju, dając jéj w nagrodę kilka żołędzi lub truflę zepsutą.

Dęby truflonośne rosną w naszym kraju w rozmaitych okolicach, lecz nikt dotąd na nie nie zwracał uwagi, niedomyślając się że trufla jest płodem ziemnym dębu, tak jak żołądź jego owocem z gałęzi.

Tom ten jakeśmy wspomnieli, zamyka całość ważnéj publikacyi, jakim był *Rocznik leśniczy*. Teraz leśnictwo polskie niema już żadnego organu swego. Żałować przychodzi, że równie szlachetne jak pożyteczne przedsiewzięcia, po daremnych wysiłkach rozbijać się muszą o obojętność, tych właśnie, których powinno być zadaniem podtrzymywanie takowych. Nie pierwszy to smutny przykład takiéj obojętności. (*w*).

# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

*Miesiąc Grudzień 1863 roku.*

## DZIEŁA.

Encyklopedya powszechna. T. XV. Zeszyty 133, 134, 135, Warszawa, nakł. i druk S. Orgelbranda, 1863, 8ka, str. od 561—672. 673—784, 785—896, (Korzeniowski.—Kraków). Okł. druk. Każdy zeszyt kop. 35.

Opowiadania zajmujące i nauczające o najsłynniejszych wynalazkach ludzkich w dziedzinie sztuki i przyrody Przekład *Wojciecha Szymanowskiego*. Z rycinami. Wyd. 2. T. 1—2. Warszawa, nakł. S. H. Merzbacha, 1863, w drukarni przy komissyi rządowéj sprawiedliwości. 8ka, mniej., str. 269, 229, Spisu 4.

Zabawka dla dzieci. Z ośmioma kolorowanemi rycinami. Warszawa, nakł. J. Kaufmanna, 1864, druk A. Liefeldt, 4ka, str. 11.

*Możejewski Martynian ks. Ref.* Słowa prawdy o pijaństwie i trzeźwości, oraz rady i modlitwy dla trzeźwych. Płock, druk E. Pauli. 1863. 8ka mniej., str. 320, spisu 2.

Dziesięciogroszowa Biblioteczka dla dobrych i pilnych dziatek zaczynających sposobić się do nauk. 6. Dziennik podróży Jana Orlickiego do Stanów Zjednoczonych. Z drzeworytem. Warszawa, nakł. C. Lewickiego, 1863, druk Gazety Polskiéj. 12ka, str. 34, okł. druk.

Głos do Boga. Nabożeństwo domowe i kościelne dla ludu polskiego, ułożone z najużywańszych modłów w Polsce. Warszawa. Nakł. M. Glücksberga, 1863, druk S. Lewentala. 12ka, str. 4, 522, XII.

*Ordo divini officii et missarum juxta rubricas ac decreta sacrae rituum congregationis ad usum Dioecesis Podlachiensis, pro anno Bissextili 1864. Opera* Francisci Jaczewski. *Varsaviae, typis A. Lifeldti. 8vo, p. 63, 64*, nieliczb. 10.

*Wałecki A.* Materyały do Fauny ichtyologicznéj Polski. Warszawa, druk Gazety Polskiéj. 1864, 8ka, str. 68. (Oddruk z Biblioteki Warszawskiéj).

Informacya do ustawiania i obchodzenia się z młocarniami sztyftowemi w fabrykach Nepomucena Rolbieckiego wyrabianemi w Warszawie na Pradze. Warszawa, druk J. Ungra, 1863. 4ka, str. 12.

*Komperda Jan ks.* Kazania parafialne na niedziele całego roku, popularnie i obrazowo ludowi opowiadane. T. I—II. Wyd. 2gie. Warszawa, nakł. J. Breslauera, 1863, druk J. Psurskiego, 8ka, str. VI, 384, spisu 2. 348, spisu 2.

*Komperda Jan ks.* Kazania parafialne na wszystkie święta uroczyste w roku popularnie i obrazowo opowiadane ludowi. Wyd. 2gie. Warszawa, nakł. J. Breslauera, 1863, w drukarni przy komissyi rząd. sprawiedliwości, 8ka, str. 305, spisu 2.

*H. G. Ollendorff'a* Teoretyczno-praktyczna metoda dla nabycia wprawy w czytaniu, pisaniu i mówieniu językiem niemieckim w sześciu miesiącach. Dzieło zupełnie nowe, przyjęte przez radę królewską uniwersytetu we Francyi do wykładu w kolegiach i wszystkich zakładach naukowych, publicznych i prywatnych obojéj płci, podług oryginalnéj edycyi przerobione i do użytku młodzieży polskiej zastosowane przez *B(ernarda) L(esmann'a)*. Warszawa, nakł. B. Lesmann'a, 1864, druk A. Ginsa. 8ka, str. 304.

## DZIEŁA ZBIOROWE.

Noworocznik (kalendarz), Illustrowany dla Polek na rok 1864. Rok 4ty. Warszawa, nakł. A. Dzwonkowskiego, druk A. Ginsa, 1864, 8ka str. 20, 43, 258, 32, zawiera:

Paulina Kraków. Żywoty świętych szwedzkich patronów Polski. Estetyka przez *Eleonorę Ziemięcką*. Szkice Drezdeńskie, p. *Józefa Ignacego Kraszewskiego*. Historyczne przysłowia, p. *Kazimierza Władysława Wojcickiego*. Kościół katolicki zewnątrz i wewnątrz, oraz nieco o krzyżach, p. *Józefa Łepkowskiego*. Franciszek Mirecki, szkic bijograficzny, p. *Romualda Zientarskiego*. Miłość za cenę wolności, nowella wyjęta z dzieł *Dickensa*. Powieść o dwóch Mazurach p. *Alexandrę z Chomętowskich Borkowską*. Marzenie i czyn, dwa rozmyślania, p. *Adolfa Jakóba Cohn*. Rzut oka na nowy utwor Wincentego Pola, p. t.: Pachole Hetmańskie, p. *Eleonorę Ziemięcką*. Charakter Barbary Radziwiłłówny, jéj choroba i śmierć, p. *Juliana Bartoszewicza*. Ogród i kobieta, p. *Adama Wiślickiego*. Śmierć królowéj Bony, p. *Juliana Bartoszewicza*. Krótka wiadomość o życiu i pracach Zofii z Szymanowskich Lenartowiczowéj. Wycieczka do Szczawnicy. p. *Władysława Ludwika Anczyca*. Kilka słów z powodu artykułu Jul. Bartoszewicza p. t.: „Charakter Barbary Radziwiłłowny, jéj choroba i śmierć", p. *Eleonorę Ziemięcką*. Siewierz. p. *Józefę Śmigielską*. Czorsztyn. p. *J. Śmigielską* Ostatnie chwile życia Stefana Czarnieckiego, p. *Jul. Bartoszewicza*. Pogrom Tatarów, p. *tegoż*. Zbiory sztuki i starożytności w Dreznie, p. *Józefa Łepkowskiego*. Wioska polska, obrazek, p. *Felicyana*. Poezye. Część kalendarzowa kościelna i astronomiczna.

## PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Przegląd Katolicki. M. grudzień 1863. NN. 48—52, zawierają:

Ojciec Mathew kapucyn. Jezuici na galerach (c. d.). Maryanna Pers. Lipcowy i wrześniowy zeszyt Roczników rozszerzania wiary. Wspomnienia pośmiertne o trzech kamedułach z Pożajścia. Dzień 24 i 25 grudnia w świecie chrześciańskim. Siostrzyczki ubogich. Czy niesłuszną jest wiara katolicka w Niepokalane Poczęcie Najświętszéj Panny,

jak to utrzymuje Zwiastun Ewangeliczny? Korrespondencye. Kronika kościelna, krajowa i zagraniczna. Bibliografia krajowa i zagraniczna.

Zwiastun Ewangeliczny. M. grudzień 1863. NN. 23—24, zawierają:

Narodzenie Chrystusa Pana. Niepokalane Poczęcie Maryi Panny. Zasady chrześciaństwa, jako zbawienia świata w Chrystusie (c. d.). O Socynianach w Polsce (c. d.). Powstanie Taipingów w Chinach (dok.). Zakończenie Roku. Marcin Luter doktor św. Teologii (c. d.). Parafia Ewangelicko-Augsburska w Wiskitkach. Kościół Ewangelicki w Palestynie i Egipcie. Wiadomości z kościoła i o kościele. Prospekt na postyllę ks. Grzegorza z Żarnowca.

Roczniki gospodarstwa krajowego. Okres III, T. VIII. Poszyt III. M. grudzień 1863. str. od 323—479, Spisu 2, Tab. 1, zawiera:

Zachowanie się gruntu względem pokarmów roślinnych w nawozach. Gospodarstwo wiejskie w Niderlandach, p. *Emila de Laveleye* (dok.). Czy ziemia zostaje przez uprawę wyczerpaną, jak temu zapobiedz. Wiadomość o wypadkach udzielania się księgosuszu owcom w r. 1863, w Królestwie Polskiem, oraz środki zaradcze przez Komissyę Rządową Spraw Wewnętrznych zarządzone. Rozmaitości. Bieżące wiadomości rolnicze. Dostrzeżenia meteorologiczne za m. listopad 1863.

Tygodnik Lekarski. M. sierpień 1863 N. 34, zawiera:

*Rolle:* O gruźlicy postrzeganéj w Kamieńcu. *Jakobowski L.:* Lekcye o ranach postrzałowych (c. d.). *Jeżewski Wł.:* Dializa zastosowana do Medycyny sądowéj. *Sciborowski:* Wiadomości z dziedziny farmakologii. Posiedzenie Towarzystwa lekarskiego warszawskiego. Spostrzeżenia meteorologiczne. Nowe dzieła.

Kółko Domowe. M. grudzień 1863. Posz. IXty, str. od 257—288, zawiera:

Powieść o zamku Międzygórskim, p. *Alexandrę Borkowską.* Bitwa pod Byczyną, p. *Władysława Chomętowskiego* (dok.). Podróże badacza przyrody po środkowéj Afryce (c. d.): O ubiorach.

Przyjaciel Dzieci. M. grudzień 1863. NN. 140—143, zawierają:

Dzieje narodu polskiego, p. *Leona Rogalskiego*, (c. d.). Jedwabnictwo. Jak się dziewczynki szyć uczą. Pozory, obrazek dramatyczny. Kołek bronowy, p. *Jana Chęcińskiego.* Historya święta, p. *Michała Szymanowskiego*, (c. d.). Cuda oceanu (c. d.). Wilk, p. *W.* Żłobek Dzieciątka Jezus. Skradziona krowa, powiastka. Rozmaitości. Myśli i zdania. Zagadki.

Tygodnik Mód. M. grudzień 1863. NN. 49—52, zawierają:

Elekcya Jana Sobieskiego (c. d.). Mexyk (c. d.). Jan Halifax, powieść M. Mulloch, spolszczona z angielskiego, p. *Sewerynę Pruszakową* (c. d.). O naczyniach blaszanych. O emaliowanych naczyniach kuchennych. Poezye. Korrespondencya z Paryża. Nowości zagraniczne. Opisy rycin mód, wzorów, form i deseni.

Tygodnik Illustrowany. M. grudzień 1863. NN. 219—222, zawierają:

Ibrahim Strasz, p. *Juliana Bartoszewicza.* Kościół ewangelicko-augsburski w Warszawie. Zaślubiny Maryi-Ludwiki w Paryżu. Eureka

szkic szczęścia ziemskiego, skreślony p. *A. W. Lasotę*. Dawne ubiory i uzbrojenia. Antoni Małecki, p. *Fr. Henryka Lewestama*. Kościół PP. Sakramentek w Warszawie. Drzewa podaniowe, p. *Józefa Grajnerta*. Ks. biskup Jan Albertrandy. Przyrząd do niszczenia szarańczy, pomysłu J. A. Sztafla. Król wężów, podanie ludowe wołyńskie. Jan-Franciszek Commendoni, p. *A. Adamowicza*. Zamek w Biały. Zwóz żętycy w Tatrach. Przegląd polityki zagranicznéj. Kronika tygodniowa. Szachy. Rebusy.

Wędrowiec. M. grudzień 1863. NN. 48—52, zawierają:

Mexyk (c. d.). Tysiączna i druga noc (dok.). Walter Scott, szkic biograficzno-literacki, p. *Fryderyka Henryka Lewestama*. Pielgrzymka do Kenelar, przekład z *Heine'go*. Co było w rękopismie znalezionym w butelce na morzu. Wspomnienia francuzkiego Skwattera w Australii. Historya pozytywki. Leonardo da Vinci, szkic biograficzno-artystyczny, p. *F. H. Lewestama*. Oświata w Danii. Ehrenberg. Pojedynek w balonie. Pogrzeb w Chinach. Ustęp z podróży po rzece Saubat w Afryce. Oberlin, dobroczyńca ludzkości.

Kmiotek. M. grudzień 1863. NN. 49—52, zawierają:

Opowiadanie o Litwie, napisał *Janko Korabicz* (c. d.). Gospodarstwo na zagrodzie, p. *A. K. Stelmasiewicza* (c. d.). Św. Anna matka Najświętszéj Panny. Halusia, (dok.). Św. Łucya panna i męczenniczka. Najświętsza Panna Częstochowska, czyli cudowne ocalenie od śmierci, opowiadanie Dziadusia. Pasterze u żłobu. Św. Szczepan pierwszy męczennik.

Czytelnia Niedzielna. M. grudzień 1863. NN. 49—52, zawierają:

Marcin Mrąga, powiastka historyczna z ziemi kaszubskiéj (dok.). Zadymka, pogadanka (dok.). Wspomnienie o Maryi-Ludwice królowéj polskiéj. Noworoczna troska, powiastka. Wspomnienie o matce Jagiellonów. Narody i kraje starożytne. Trochę o dawném życiu, o dawném gospodarstwie, z dawnych ksiąg wyjęte. O jassyrze, czyli niewoli u Turków. Zdania starożytne. Rożności.

Gazeta Warszawska. M. grudzień 1863. NN. 275—298, zawierają:

Cóż teraz zrobi? powieść *Sir Edwarda Bulwer Lytton* (c. d.). Przegląd literatury zagranicznéj. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące, literackie, artystyczne.

Gazeta Polska. M. grudzień 1863. NN. 275—298, zawierają:

Dola i niedola, powieść z końca XVIIIgo wieku, p. *Józefa Ignacego Kraszewskiego* (c. d.). Paryż od początku bieżącego stulecia (c. d.). Sztuka mówienia przed publicznością. Stosunek płac w szesnastém i dzisiejszém stuleciu w Niemczech (dok.). Przegląd Roczników gospodarstwa krajowego z m. listopada. Kronika paryzka, p. *Z. W.* Obyczaje w Japonii. Biblioteki ludowe. Sprawozdanie roczne Domu Rolników kaliskich. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące, literackie, artystyczne.

Kuryer Warszawski. M. grudzień 1863. NN. 275—298.

Kuryer Niedzielny. M. grudzień 1863. NN 50—56, zawierają:

Przeglądy: polityczny, bruk owy, pism czasowych, literacki. List z miasta. Korrespondencye. Życie, odpowiedź na wiersz Deotymy. Głos z knajpy. Katonowie spodn czkowi. Alboż ich już nie ma? Jak sławnym być? Listek jesienny.

Dziennik Powszechny. Pismo urzędowe, polityczne i naukowe. M. grudzień 1863. NN. 275—298, zawierają:

William Pitt Afterbury, p. *Lorda Macaulaya*, przekł. z angielskiego (c. d.) Korrespondencya z Krakowa. Postanowienia Rady Administracyjnéj Królestwa: O opłatach od pasportów. O podniesieniu opłaty stemplowéj. O opłacie od trunków. O opłacie patentowéj. Postanowienia Namiestnika Król. o kontrybucyi od Duchowieństwa rzym. katol. O poborze furażu Opowiadanie uciekiniera. Postanowienie Rady Administracyjnéj o podziale przedmiotów w wydziale filologiczno-historycznym Szkoły głównéj. Przegląd teatralny. Przegląd dzienników. Żółta księga. Kronika.

Warszawska Gazeta Policyjna. M. grudzień 1863. NN. 275—298 zawierają:

Panna romansowa (c. d.). Instrukcya o prowadzeniu i utrzymywaniu ksiąg ludności w m Warszawie. Czasowe przepisy obowiązywać mające ludność rzemieślniczą i fabryczną m. Warszawy.

Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. M. grudzień 1863. NN. 86—93, zawierają:

Bulwa. Wiadomości rolnicze krajowe i obce (dok.). Parzenie paszy. O tępieniu chwastów na roli. Koniczyna cielista czyli Inkarnatka. Bieżące wiadomości rolnicze. Urywki weterynaryjne. O szkodliwości za głębokich siewów. Przesadzanie roślin. Opisanie i leczenie zasadne chorób inwentarza, w których lud do kuracyi błędnych zwykł się uciekać, p. *Piotra Seifmana*. Mięszane posiewy traw i roślin pastewnych. O użyciu gipsu na gnojowiska, p. *T. K.* Trojeść syryjska. Roczne sprawozdanie Domu handlowo-komissowego rolników kaliskich. Żywe płoty Karmienie zwierząt gospodarskich papką. O wykorzenieniu i użyciu chwastów w gospodarstwie rolniczém Rozłożenie kości gnojem końskim. Wiadomości handlowe.

Gazeta Rolnicza. M. grudzień 1863. NN. 49—52, zawierają:

Wystawa w Królewcu, p *Józefa Szafarkiewicza* (dok.). Ustęp z pamiętników Podolanina, p. *Józefa Gluzińskiego*. Ptastwo domowe (dok.). Ogólne zasady systematów rolniczych, p. *Toporczyka* (dok.). Nowy maneż konny. Przyrząd do ujeżdżania koni. Wiadomość o życiu i pismach hr. Adryana de Gasparin. Listy z wycieczki agronomicznéj po Czechach, p *A. K. Stelmasiewicza*. Wspomnienia z podróży po obczyznie, p. *Władysława Mrówińskiego* (c. d.). Groch szparagowy. Pędzenie smoły i terpentyny, p *Jana Turkuła*. Tegoroczna wystawa rolnicza w Bruxelli, p. *Juliana Izerta*. Przegląd dzienników gospodarskich zagranicznych za kwartał IV, 1863 r. Nowo przyswojone zwierzęta gospodarskie, p. *A. K. Stelmasiewicza* Korrespondencye gospodarskie. Nowiny i ogłoszenia gospodarskie.

# WIADOMOŚCI LITERACKIE.

## WARSZAWA.

W szkole głównéj przedmioty naukowe w wydziale filologiczno-historycznym podzielone zostały na trzy sekcye: *a)* Nauk filologii klassycznéj. *b)* Nauk filologii słowiańskiéj. *c)* Nauk historycznych.

I. Sekcyą nauk filologii klassycznéj stanowić będą: A) Przedmioty główne: 1) Psychologia i logika. 2) Historya filozofii. 3) Język i grammatyka łacińska. 4) Język i grammatyka grecka. 5) Literatura rzymska. 6) Literatura grecka. 7) Encyklopedya i metodologia filologii. 8) Archeologia. 9) Starożytności greckie. 10) Starożytności rzymskie. 11) Mitologia grecka i rzymska. 12) Metryka. 13) Historya starożytna. 14) Język i literatura polska. 15) Grammatyka porównawcza. 16) Geografia starożytna. B) Przedmioty pomocnicze. 1) Antropologia i Etyka. 2) Estetyka. 3) Język sanskrycki. 4) Język litewski. 5) Język starosłowiański. 6) Język i literatura francuzka, lub włoska. 7) Język i literatura niemiecka lub angielska. 8) Historya powszechna i polska. 9) Paleografia grecka i łacińska. 10) Pedagogika dydaktyka. 11) Bibliografia.

II. Sekcyą nauk filologii słowiańskiéj stanowić będą: A) Przedmioty główne: 1) Psychologia i logika. 2) Historya filozofii. 3) Język i literatura polska 4) Język starosłowiański. 5) Język i literatura rossyjska. 6) Język i literatura czeska. 7) Język i literatura serbska. 8) Grammatyka porównawcza języków indo-europejskich. 9) Grammatyka porównawcza języków słowiańskich. 10) Historya języka polskiego. 11) Historya narodów słowiańskich. 12) Mitologia słowiańska. 13) Starożytności słowiańskie. 14) Historya polska. 15) Historya sztuki słowiańskiéj, zwłaszcza polskiéj. 16) Estetyka.—B) Przedmioty pomocnicze: 1) Język sanskrycki. 2) Język litewski. 3) Język i literatura niemiecka. 4) Język i literatura francuzka. 5) Język łaciński. 6) Język grecki. 7) Historya powszechna. 8) Antropologia. 9) Etyka. 10) Bibliografia. 11) Paleografia. 12) Literaratura grecka. 13) Literatura rzymska. 14) Pedagogika i dydaktyka.

III. Sekcyą nauk historycznych stanowić będą: A) Przedmioty główne: 1) Psychologia i logika. 2) Historya filozofii. 3) Historya powszechna i historya Rossyi. 4) Historya Polski. 5) Propedeutyka historyczna (paleografia, dyplomatyka i ćwiczenie praktyczne). 6) Geografia. 7) Starożytności rzymskie. 8) Starożytności greckie. 9) Historya prawa polskiego, rossyjskiego i innych narodów słowiańskich. 10) Historya języka i literatury polskiéj. 11) Antropologia i Etyka.

12) Historya literatury powszechnéj.— B) Przedmioty pomocnicze. 1) Bibliografia i bibliologia. 2) Ekonomia polityczna. 3) Prawo natury, albo filozofia prawa. 4) Estetyka i historya sztuki 5) Język łaciński (klassyczny i średnio-wiekowy). 6) Język grecki (klassyczny, helenski i bizantyjski. 7) Język rossyjski. 8) Język czeski. 9) Język francuzki. 10) Język niemiecki. 11) Grammatyka porównawcza języków słowiańskich ze względem na indo-europejskie. 12) Pedagogika i dydaktyka. 13) Język włoski. 14) Język angielski.

— *Rektor akademii duchownéj rzymsko-katolickiej warszawskiéj.* — Celem obsadzenia professorem katedry teologii moralnéj, w akademii duchownéj rzymsko-katolickiéj warszawskiéj, z płacą rs. 900 rocznie, która z powodu wezwania na wyższą posadę JX. prałata Wincentego Orzeszkowskiego będzie wakującą, ogłasza się niniejszém konkurs publiczny, dla chcących się ubiegać o tę katedrę pod następującemi warunkami: 1) Ubiegać się o katedrę wyżéj wspomnioną mogą tylko kapłani. posiadający stopień naukowy. 2) Jeśli ubiegający się nie są zblizka znani tutejszéj władzy, obowiązani będą złożyć od zwierzchności, pod którą zostają, świadectwo moralnego sprawowania się i poświęcenia się naukom teologicznym, jak niemniéj dowód, iż w jakim wyższym zakładzie duchownym nauk teologicznych słuchali, lub otrzymali stopień. 3) Mają napisać rozprawę w języku łacińskim, z tematu: „*Disputatur inter theologos quaenam contritio requiratur et sufficiat ad justificationem in Sacramento Poenitentiae? evolvatur tota controversia ista et statuatur, quid pro praxi tenendum in hac gravi materia salutis aeternae*" 4) Rozprawa ta winna być złożoną rektorowi akademii na dzień 1 maja 1864 roku, po którymto terminie nadesłane przyjmowanemi nie będą. 5) Rozprawy nie mają być podpisanemi, ale oznaczone dewizą, a w osobnéj kopercie zapieczętowanéj, obejmującéj świadectwa i kwalifikacye, ma być wyrażoném, kto jest autorem rozprawy, dewizą oznaczonéj. 6) Autor rozprawy, która uznaną będzie za najlepszą, jeśli nie jest znanym, obowiązany będzie poddać się egzaminowi dla przekonania, że on sam jest autorem rozprawy i obronić ją potrafi. 7) Oprócz tego ma złożyć próbę swego wykładu na pierwszéj publicznéj prelekcyi, wobec rektora i rady akademickiéj. 8) W ten sposób wykwalifikowany i następnie zanominowany przez właściwą władzę, nie wprzód do obowiązków przypuszczonym będzie, aż po wykonaniu *professionem fidei*, wedle formy od Piusa IV podanéj i złoży przysięgę na wierność Tronowi, jeśli takowéj jeszcze nie wykonał.—W Warszawie, d. 10 (22) grudnia 1863 r.— Ks. *Kossowski.*— Sekretarz akademii, *Sierociński.*

— Znany z wielu prac ważnych, zasłużony dobrze piśmiennictwu naszemu Leon Rogalski, ukończył w rękopiśmie rys dziejów literatury polskiéj od najdawniejszych do obecnych czasów, który wyjdzie nakładem Michała Glücksberga. Będzie to dokładniejsze dzieło, niżeli niedawno wydana przez tegoż księgarza Historya literatury polskiéj, co wywołała tyle rozbiorów przeciw jéj autorowi, zkądinąd zasłużonemu.

— Księgarnia Gustawa Gebethnera i Roberta Wolffa przygotowała staranne i piękne wydanie wszystkich kompozycyj na fortepian Fryderyka Szopena ziomka naszego, w pięciu tomach. Oglądaliśmy tom pierwszy w sztycharni tychże nakładców wydany i przyznać musimy, że pod względem typograficznym nie ustępuje wydaniom drogo za granicą opłacanym.

— Karol Estreicher współpracownik naszego pisma, ułożył spis całkowity przedmiotów Biblioteki Warszawskiéj, od r. 1841 czyli od początku jéj powstania do dni obecnych. Redakcya nie zaniedba korzystać z téj tak użytecznéj pracy i ogłosić jéj drukiem, skoro stagnacya w handlu księgarskim ustąpi.

— K. Wł. Wójcicki przygotował w rękopiśmie drugie wydanie przysłów narodowych, wydanych w r. 1830. Zbiór ten obejmuje dwa wielkie tomy z wyjaśnieniami strony historycznéj i zabytków starożytności. Wykończa zbiór *pieśni historycznych* popularnych, dawniéj w narodzie naszym śpiewanych, począwszy od najdawniejszéj z 1410 roku o bitwie pod Grünwaldem, o któréj wspominali tylko Błażowski w tłumaczeniu Kromera i Marcin Bielski w kronice swojéj i doprowadza do ostatnich czasów. Poprzedza obszerna rozprawa wykazująca istnienie dawniejszych zabytków, z których lub wspomnienie jedyne, albo ułamki pozostały. Każdą pieśń poprzedza objaśnienie historyczne

— Encyklopedyi Powszechnéj tomu XVI wyszedł zeszyt pierwszy i obejmuje życiorysy Krasińskich i dalsze artykuły aż do Królewca. W nim znajdujemy biografią J. I. Kraszewskiego, z oceną prac jego przez F. H. Lewestama. Pierwszy raz znajdujemy sąd sumienny o stanowisku i pracach tego pisarza z całą prawdą skreślony. Oddawszy hołd zasługom jego, po wyliczeniu wszystkich a tak różnorodnych utworów, któremi wzbogacił niwę literatury ojczystéj, o ostatnich latach działalności Kraszewskiego mówi;

„Założenie w 1851 r. *Dziennika warszawskiego*, które zdziałało przewrot w peryodycznem piśmiennictwie polskiém i głównie także spowodowało znaczne rozszerzenie rozmiarów *Gazety Warszawskiéj*, skłoniło Kraszewskiego do przyjęcia w tém piśmie stałego i nader czynnego współpracownictwa: zasilał je więc swojemi *listami*, w których pobieżnie, niekiedy może jednostronnie, ale z rzeczywistą zręcznością, i wielką częstokroć trafnością sądu, traktował o literaturze i sztukach pieknych. W odcinku téj gazety, ukazały się także niektóre ze znakomitych późniejszych powieści Kraszewskiego jak np. *Powieść bez tytułu*, *Dwa Światy*: jednocześnie wyszły z druku, *Jaryna*, *Dziwadła*, *Złote jabłko*, *Tomko prawdzic*, *Chata za wsią*, (1) ta ostatnia, prawdziwe w swoim rodzaju arcydzieło. W przemienionym na *Kronikę* Dzienniku warszawskim, drukował także Kraszewski tendencyjną, a wymierzoną przeciw handlowi i przemysłowi powieść p. t. *Choroby wieku*. Wszakże wbrew zasadom téj powieści objawionym, w r. 1859 objął główną redakcyą *Gazety Codziennéj*, która przeszedłszy na własność warszawskiego bankiera Kronenberga, założyła sobie właśnie za cel, zacne popieranie tych dwóch wielkich dźwigni ekonomicznych, niedawno jeszcze tak gorąco przez Kraszewskiego potępianych. Wszakże i na tém polu, i w tym zmienionym nagle szyku bojowym, niepospolity jego talent dowiódł dziwnéj wielostronności: niewiele téż solidarnie kosztowało go odstępstwo od dawnych zasad, w myśl których deklamacyjną obroną wszystkiego co *nasze*, dobił się był przecież uznania szczeroduszneg ogółu. W każdym razie Kraszewskiego za powrót do czystych pojęć winować niemożna. Ale jako publicysta, miał on jeszcze do naprawienia inną, ważniejszą chybę swéj literackiéj przeszłości, bo ogłoszone we Lwowie: *Wieczory wołyńskie*. Temu drugiemu na nieszczęście mniéj sprostał na nowém stanowisku, zawsze atoli wyznać należy, że przybywszy do bezpośredniego ruchu piśmienniczego, a zwłaszcza dziennikarskiego w Warszawie, ze świeżym czynnikiem potężnéj swojéj zdolności, życie w nim obudził niezwykłe. Liczba abonentów *Gazety Codziennéj* wkrótce *Gazetą Polską* przezwanéj, wzrosła do niesłychanych u nas rozmiarów. Kraszewski posiadał tajemnicę, poruszania wszystkich kwestyj na dobie, niektóre z nich zgłębiając gruntowniéj, o inne nawiasem tylko potrącając, a jakkolwiek kilkoma bódł święte

(1) Powieść ta wyszła pierwszy raz w Bibliotece Warszawskiéj: Kraszewski pisał ją w ciągu dwóch lat nie ze zwykłym sobie pośpiechem, dlatego téż ma wykończenie tak artystyczne.

*P. R. B. W.*

poczucia narodu, zawsze obudzoną przez to polemiką podtrzymywał życie, i nie dawał sprawy zasypiać nikomu. Mniéj szczęśliwy był wybór powieści zamieszczonych od owéj pory we własnéj gazecie: zwłaszcza *Kopciuszek*, *Dola i Niedola*, gorzéj jeszcze zraziły instynkta sromu w narodzie, niż w podobnym rodzaju, tegoż autora: *Interessa Familijne*, niegdyś w Gazecie Warszawskiéj drukowane."—W tym tomie ukończoną zostanie wkrótce cała litera *K* jedna z największych w Encyklopedyi Powszechnéj, i pomieścić się ma litera L. Dziś z pewnością możemy powiedzieć, że cała publikacya ta pomieści się w XXV, lub najwięcéj w XXVI tomach.

— Jozefat Ohryzko, który jako księgarz i wydawca w Petersburgu tyle ważnych usług literaturze naszéj oddał, zakład drukarski odprzedał, i zamknął przedsięwzięcia dalsze. Publikacye wszelako Ohryzki, imię jego chlubnie przechowają we wdzięcznéj pamięci. Do najważniejszych należy przedruk *Voluminów Legum*, z całą ścisłością i sumiennością literacką wykonany. Kiedy zamierzał wydawnictwo gazety *Słowo* w Petersburgu, zebrał znakomite zasoby prac literackich od grona wszystkich niemal żyjących pisarzy polskich; gdy dziennik przestał wychodzić, ogłosił Ohryzko *Pismo Zbiorowe* w 2óch tomach, które zaprawdę doborowością artykułów stoi na czele wszystkich pism zbiorowych. Ostatniém wydawnictwem téj zasłużonéj firmy, była powieść niedawno zgasłego Michała Grabowskiego p. n. *Zamieć w Stepach.*

— Wydawca *Wędrowca* postanowił we własnym zakładzie drzeworytniczym, wyrabiać illustracye do tego pisma, w miejsce sprowadzania kliszów z zagranicy zużytych i zbitych. Piękny to pomysł i użyteczny, bo da zajęcie naszym drzeworytnikom, i przygotuje większą ich liczbę na czas przychylniejszy do rozwoju piśmiennictwa ojczystego. Czytelnicy przyjmą wdzięcznie tę zmianę, mając w piśmie, które już się ustaliło, drzeworyty starannie wykończone, z wyraźnym rysunkiem, w miejsce nieraz trudnych do odgadnienia kliszów zagranicznych drogo przepłacanych.

— Nakładem księgarza Aleksandra Lewińskiego wyszło trzecie poprawione i powiększone wydanie dzieła p. n. Geografia Powszechna dla użytku uczącéj się młodzieży, według najlepszych źródeł ułożona przez B. Kołodzińskiego. Warszawa 1864 r.

Zwracamy uwagę, że szanowny autor zdaje się nieuznawać faktów spełnionych, gdy pod Włochami, oddzielnie opisuje Królestwo

Lombardzkie (?). Królestwo Sardynii, Księstwa Parmy i Modeny, Romanią, Wielkie Księstwo Toskańskie i Królestwo Obojga Sycylii. Czyż można w jeografii 1864 r. podobne błędy popełniać, i zapomnieć o Królestwie Włoch zjednoczonem i uznanem przez Europę? Jest skorowidz alfabetyczny, a nie ma właściwego spisu rzeczy: przecież spis taki w książce podręcznéj jest niezbędny.

*Lwów*— W zeszłą sobotę t. j. 9 stycznia r. b. Wincenty Pol rozpoczął w sali ratuszowéj we Lwowie wykłady o literaturze polskiéj XIXgo wieku. Znane imię Pola, jak niemniéj ważny i zajmujący przedmiot wykładów zachęciły publiczność do licznego zebrania się. Na wstępie poeta rzucił pogląd na dwie sfery, z których wyszła literatura polska naszego wieku i porównywając ją do dwulicowego posągu Janusa, którego jedna twarz była stara i myśląca, druga jaśniała młodością i natchnieniem. „Postawmy, rzekł, przed Janusem krzyż, a będzie to symboliczny obraz naszéj literatury". Określając charakter téj literatury, odróżnił jéj cechy i źródła od współczesnego nam obcego piśmiennictwa. Jest ona według niego zarazem najnowszą tradycyą, oraz dalszym ciągiem dziejów i przyszłości figurą. Przeszło w nią życie dawniejsze, fakt nagi stał się jéj podstawą.

W dalszym ciągu lekcyi zamierzając skreślić na tle dziejowém główne rysy oświaty polskiéj XIXgo wieku i w porównaniu z nią ocenić literaturę, przyrzekł usunąwszy wszelką stronniczość, zająć i utrzymać stanowisko bezstronnego badacza i krytyka. Nakoniec wykazał znaczenie i powołanie krzewicieli oświaty i cywilizacyi i zakończył pierwszy swój odczyt podziękowaniem słuchaczom za życzliwe słów jego przyjęcie.

— *Posiedzenie wileńskiéj archeologicznéj komissyi.* Dnia 19 grudnia, pod przewodnictwem prezesa hr. *Eustachego Tyszkiewicza* odbyło się zwyczajne posiedzenie Komissyi archeologicznéj Wileńskiéj, w obecności licznie zgromadzonych członków.

Prezes, zagajając posiedzenie, powitał znajdującego się raz pierwszy na posiedzeniu p. cywilnego gubernatora Paniutina i prosił go w imieniu całego Towarzystwa o przyjęcie godności rzeczywistego członka Komissyi i Muzeum w skutek jednomyślnego wyboru. Następnie w pobieżnym zarysie starał się oznajomić dostojnego gościa z celem i pracami naukowego stowarzyszenia, które obrawszy sobie za godło zbadanie przeszłości tutejszego kraju, postępowało na téj drodze prosto i bez żadnéj wstecznéj myśli, zmierzając ku celom, wytkniętym w Najwyżéj zatwierdzonéj ustawie. Potém, po odczytaniu przez sekretarza naukowego protokółu przeszłego posiedzenia,

zabrał głos rzeczywisty członek *Mikołaj Malinowski* i odczytał w języku francuzkim drugą część sprawozdania z korrespondencyi księcia Janusza Radziwiłła, obejmującą jeden z najciekawszych ustępów dziejowych, a mianowicie zatargę dwóch możnych rodzin litewskich, Radziwiłłów i Chodkiewiczów, o rękę księżniczki Zofii Olelkowiczówny, ostatniéj dziedziczki imienia i bogactw książąt na Słucku i Kopylu.

Na początku autor poświęcił znaczny ustęp rodowodowi téj starszéj dzielnicy Olgierdowiczów, któréj protoplastą był pierworodny syn Olgierda, Włodzimierz, zrodzony r. 1316 z małżeństwa jego z Maryą księżniczką Witebską, udzielny książę na Kijowie a późniéj na Słucku i Kopylu, a ostatnim męskim potomkiem książę Olelkowicz, pochodzący w prostéj linii od Alexandra czyli Olelki, najstarszego syna księcia Włodzimierza Olgierdowicza, zmarły r. 1588. Z małżeńskich związków księcia Jerzego z Barbarą Kiszczanką urodziła się właśnie r. 1586 księżniczka Zofia Olelkowiczówna. Przychodząc na świat, straciła już matkę, ojciec odumarł ją w drugim roku życia, zostawując wedle praw ówczesnych opiekę nad małoletnią córką ciotecznemu bratu swemu Jerzemu Chodkiewiczowi staroście żmudzkiemu, który był pojął w małżeństwo Zofię rodzoną synowicę księcia Krzysztofa Radziwiłła wojewody wileńskiego. Daléj autor skreślił szczegółowie niesnaski między temi dwiema rodzinami i przygotowania do walki, które miały miejsce w Wilnie w 1600 roku.

Kończąc rzecz swoją sprawozdawca obiecał w trzeciéj części na jednem z przyszłych posiedzeń wyczerpnąć z listów księcia Janusza Radziwiłła szczegóły tyczące się wojny z Karolem księciem sudermańskim, któréj widownią były Inflanty.

Potém rzeczywisty członek rz. r st. *Paweł Kukolnik* odczytał własny artykuł p. t. „Pobieżny rzut oka na przeszłość", w którym z okoliczności nadchodzącéj dziewiątéj rocznicy otwarcia Muzeum dla publiczności, skreślił w pouczających zarysach stan istniejących w Wilnie naukowych instytucyj i zwrócił uwagę na szybki wzrost zbiorów Muzeum, które stanowią już dziś pewną całość, w rozmaitych gałęziach nauk historycznych i przyrodzonych.

Następnie po skończonem posiedzeniu prezes wręczył p. naczelnikowi gubernii rz. r. st. Paniutinowi dyplom na godność rzeczywistego członka i zaprosił go do obejrzenia dolnych sal Muzeum, w których się mieszczą zbiory archeologiczne, obrazy i gabinet numizmatyczny.

— *Kraków* — W d. 26 grudnia 1863 r. odbyło się zwyczajne miesięczne posiedzenie oddziału nauk moralnych Towarzystwa naukowego krakowskiego. Na posiedzeniu tém, prof. Karol Mecherzyński, odczytał rozprawę historyczną p. t.: *O szkole Panny Maryi w Krakowie. (Przyczynek do dziejów uniwersytetu)*, a potém ustęp p. t. *O szkole rycerskiéj w dawnéj Polsce.* Następnie prezes Towarzystwa, dr. Majer zawiadomił, że nadesłaną została rozprawa na jedno z dwóch ogłoszonych poprzednio zadań konkursowych na na-

grody z fundacyi p Siemieńskiego, należących do zakresu oddziału nauk moralnych, i wezwał oddział o rozpoznanie i ocenienie takowéj. Zgromadzenie wyznaczyło z łona swego komissyę złożoną z prawników, któréj poruczyło, po rozpoznaniu téj rozprawy, złożyć szczegółowe o niéj sprawozdanie.

Do ważniejszych prac członków Towarzystwa naukowego krakowskiego, zaliczyć także należy dość obszerną rozprawę p. Jana Radwańskiego, ogłoszoną już dawniéj p. t.: *O roku założenia wszechchnicy krakowskiéj, i o obchodzie 500-letniéj rocznicy w r. 1864.*

— *Czasopismo poświęcone prawu i umiejętnościom politycznym* wydawane w roku zeszłym w Krakowie, pod redakcyą pr. dr. Michała Koczyńskiego z współdziałaniem członków wydziału prawnego w uniwersytecie Jagiellońskim, wychodzić będzie i roku bież. poszytami miesięcznemi. Czasopismo to kosztuje na miejscu rocznie złr. 6. Program jego nie zostaje zmieniony, redakcya atoli zapowiada, iż staraniem jéj będzie, coraz więcéj odpowiadać wymaganiom ścisłéj nauki, jakotéż praktyki sądowéj i administracyjnéj. Nieliczny poczet czytelników. nie zraził dotąd tego wydawnictwa, które żywi nadzieję coraz większego rozpowszechniania się, licząc na to, że znaczna liczba urzędników rządowych i administracyjnych w Galicyi powinna podtrzymywać pismo, które pod względem naukowym, mogłoby stać się prawdziwym organem krajowym w zakresie umiejętności prawniczych. Traktując wszakże kwestye prawne i administracyjne, nietylko w oderwaném ich znaczeniu jako umiejętności, lecz nadto w zastosowaniu do kraju; redakcya mogłaby nietylko zyskać znaczne powiększenie liczby czytelników swego pisma, lecz nadto zająć właściwe sobie stanowisko w miejscowéj publicystyce i przyczynić się niemało do rozpowszechnienia w Galicyi najpotrzebniejszych wiadomości z dziedziny obowiązującego tam prawa.

— *Kronika krakowska* wydawana dotąd przez Jana hr. Załuskiego, przeszła na własność p. Franciszka Trzecieskiego.

— W nr 10 z r. b. Gazety Polskiéj czytamy zajmujące wiadomości o *katedrze krakowskiéj*: „Jakkolwiek starożytny kościół na Wawelu, utrzymywany jest kosztem kapituły, niektóre jednak kaplice i pomniki nieopatrzone stałym funduszem, jak np. kaplica Zygmuntów, groby ich, lub pomnik Kazimierza W. gdy je czas poszczerbi, zeszpeci lub nadniszczy, oczekiwać muszą odnowy tak długo, dopóki nie starczą na to składane w tym celu do Kassy Towarzystwa Naukowego ofiary osób, dbałych na zachowanie świetnych a poważnych zabytków przeszłości. Kilka już kaplic katedry wawelskiéj odnowione zostały staraniem i kosztem prywatnych: tak np. hr. Potoccy odnowili oratoryum dawniéj Zawiszów; hr. Anna z Tyszkiewiczów Wąsowiczowa kaplicę królowéj Zofii; oratoryum Wazów ksiądz Antoni Bystrzonowski, który nadto jeszcze przekazał summę 10,000 złp. na restaura-

cyę kaplicy Św. Krzyża (Jagiellońskiéj), do dziś dnia znacznie zapewne powiększoną wieloletniemi procentami. Długo także czekała na odnowienie i kaplica Lipskich pod wezwaniem Św. Macieja. Oratoryum to istniejące od połowy XIV stulecia, przebudowane ostatecznie w XVII wieku przez Andrzeja Lipskiego biskupa krakowskiego, a w sto lat późniéj, bogato ozdobione przez kardynała Jana Alexandra Lipskiego, których zwłoki pod sklepieniem grobowców w pięknych spoczywają tam trumnach, przedstawiało w ostatnich czasach smutny widok opuszczenia i ruiny. Ozdoby marmurowe, alabastrowe, stiuki i gipsy, któremi skutkiem mieszaniny kilku stylów wynikłéj z kilkakrotnych przerobień i przebudowań do zbytku prawie było przepełnionem, kruszyły się i opadały, misterne ornamenta rzeźbione w drzewie próchniały, zaciekała i sączyła się woda niszcząc wilgocią starożytne mury. Dopiero w roku 1857 za staraniem Józefa Łepkowskiego, pan Żychliński z Usarzewa, a głównie żona jego Zenobia z Lipskich, postanowili odezwać się do krewnych kardynała i biskupa, o złożenie funduszu na odnowienie kaplicy. Na cel ten p. Żychlińska i p. Józef Lipski z Lewkowa złożyli w r. 1862 do kassy Towarzystwa naukowego krakowskiego 600 talarów. Kwota powyższa zmieniona na monetę austryacką wyniosła wtedy 1.128 złr., lecz zupełne wyrestaurowanie kaplicy i naprawa uszkodzonego wiązania dachowego wymagały prawie drugie tyle. Zasiłek ten udzieliła kapituła krakowska z oszczędzonych funduszów. Towarzystwo naukowe poruczyło członkowi swemu p. Feliksowi Księżarskiemu budowniczemu, sporządzenie kosztorysów całéj restauracyi, a wewnętrzne odnowienie powierzyło p. Parysowi Filipiemu rzeźbiarzowi; kapituła zaś cały dozór nad fabryką oddała ks. Janowi Pietrzykowskiemu prepozytowi kaplicy Zygmuntowskiéj, zgodziwszy się aby restauracyą kierowało Towarzystwo naukowe za pośrednictwem prof. Józefa Kremera, Józefa Łepkowskiego upełnomocnionego pp. Żychlińskich, oraz p. Władysława Łuszczkiewicza jako technika wyznaczonego z oddziału archeologii i sztuk pięknych.

P. Filipi wywiązał się należycie z poruczonéj mu pracy; malowanie na sklepieniach kopuły odnowił p. Izydor Jabłoński, a p. Antoni Krywult bronzował kapitele kolumn i złocił ozdoby ołtarza. Świetnych złoceń właściwych panującym w kaplicy stylom *rococo* i *barocco* unikano umyślnie, raz dla tego aby posiadany fundusz wystarczył przedewszystkiem na najpotrzebniejsze roboty, a głównie aby odnowione oratoryum w przyćmionéj wiekami katedrze nie raziło zbytnią jasnością i zostawało w harmonii z ogółem kościoła. Z tego względu także dla utrzymania w niém półcienia, by rozmaitość barw i materyałów wymagana warunkami stylu nie tak jaskrawo od reszty świątyni odbijała, zamieniono białe szyby okien na żółtawe.

Dziś już dzięki staraniom rodziny Lipskich, kapituły krakowskiéj i Towarzystwa naukowego, odnowienie kaplicy zostało ukończoném, z wyjątkiem grobu i trumien, w których spoczywają oba jéj fundatorowie, gdyż na to funduszu zabrakło.

Podobnego odnowienia wymagają jeszcze na Wawelu kaplica Śgo Krzyża, oratoryum Zygmuntowskie, pomnik Kazimierza Wielkiego i starożytny obraz wystawiający Śgo Wojciecha ze Św. Stanisławem. Na pierwsze jest już fundusz gotowy z daru ks. Bystrzonowskiego, lecz na inne trzeba zbierać ofiary."

† Dnia 3 stycznia r. b. o godzinie dziewiątéj wieczorem, przeniósł się do wieczności Michał Baliński w 69 roku życia w Wilnie. Zwłoki przeniesiono do kościoła św. Jana i wystawiono w kaplicy świętéj Cecylii. Po nabożeństwie żałobném przewiezione zostały do Jaszun, gdzie spoczęły obok prochów Jana Śniadeckiego. Zmarły, mąż znakomity nauką, jak zasługami obywatelskiemi, ważnemi pracami uwiecznił imię swoje w literaturze ojczystéj. Pismo nasze traci w ś. p. Balińskim jednego ze swych współredaktorów i gorliwego współpracownika. — Cześć jego pamięci!

† Dnia 8 stycznia r. b. umarł w Wilnie Dyonizy Jakutowicz. Urodzony w Grodzieńskiem, był synem kapłana obrządku unickiego. Nauki ukończył w Wilnie, a młodość swą spędził w szeregach wojsk Napoleona. Wyszedłszy z wojska, poświęcił się naukom i literaturze, drobniejsze swe utwory wierszem i prozą, zamieszczając w ówczesnych pismach peryodycznych. Utwory te jakkolwiek nie przeszły do potomności, zwróciły jednak uwagę na autora i zarząd b. uniwersytetu wileńskiego powołał Jakutowicza na nauczyciela mineralogii w szkole wyższéj w Łucku. Po wysłużeniu na téj posadzie pensyi emerytalnéj, Jakutowicz wrócił do ulubionego Wilna. Bogate podówczas zbiory uniwersyteckie, oraz prywatne gabinety: Michała Wańckiego, generała Kossakowskiego, prałata Grozmaniego i inne potrzebowały umiejętnego dozoru i opieki, a zwiedzający je przewodnika i objaśnień. Jakutowicz podjął się z zamiłowaniem téj czynności, a żywe jego słowo wyjaśniało lepiéj wartość i naukowe znaczenie każdego egzemplarza lub zabytku, niżliby zdołał najwyborniéj sporządzony katalog. Gdy przed 10 laty utworzono w Wilnie muzeum starożytności, z młodzieńczym zapałem poświęcił mu swe usługi do ostatnich chwil życia. Oprócz tego Jakutowicz czynny brał udział w wileńskiém towarzystwie dobroczynności i był członkiem kilku Towarzystw naukowych; posiadał medal pamiątkowy św. Heleny. W ciągłéj na publicznych usługach pracy dożył późnéj starości; zwłoki jego pochowane zostały w d. 11 b. m. na cmentarzu bernardyńskim w Wilnie.

† Dnia 10 stycznia r. b. we Lwowie, umarł Karol Baliński w 47 roku życia, jeden z pierwszych poetów młodszéj generacyi po Mickiewiczowskich czasach. Zacny zawsze uczuciem, z prawdziwém poetycznem natchnieniem zgasł w saméj sile dojrzałości talentu. Zgon tych dwóch mężów jednego nazwiska z Litwy i Korony, jest ciężką i bolesną stratą dla literatury ojczystéj, bo nie łatwo i nie prędko spodziewać się możemy, że zgon ten w szczupłém gronie pisarzy narodowych, zapełnionym i wynagrodzonym zostanie.

*K. W. W.*

*Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.*

Wolno drukować.—Warszawa, d. 23 Stycznia (4 Lutego) 1864 r.
Cenzor, *Paweł Lachmanowicz.*

# DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

## w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

***Grudzień*, 1863.**

## Grudzień, 1863. Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ᵏ·14ᵐ·45ˢ·,7 czyli w łuku 18°41′25″, na wschód względem południka paryzkiego.

| Dnia | Odmiany księżyca | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0° | | | | | TERMOMETR stustopniowy | | | | | STAN NIEBA | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | Ilość wody co do wysokości w milim. | | Wysok wody n Wiśle | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | średni dzienny | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | średni dzienny | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 godz. wiecz. | 10 godz. wiecz. | 6 god. rano | 10 god. rano | 4 godz. w. | 10 godz. w. | dészczu | śniegu | dopł | cali |
| 1 | | 765.15 | 765.18 | 763.22 | 761.42 | 763.742 | — 0°.9 | — 0°.9 | — 1°.3 | — 3°.4 | — 1°.63 | 93.2 | pochm. | pochm. | pogodny | pogodny | PdW1. | PdW1. | PdW1. | PdW1. | | | 2 | 3 |
| 2 | | 757.75 | 756.77 | 753.27 | 750.51 | 754.575 | — 5.6 | — 4.4 | — 1.1 | — 3.1 | — 3.55 | 97.8 | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PdW1. | PdW1. | PnW1. | PdW1. | | | 2 | 2 |
| 3 | ☾. | 749.19 | 750.14 | 757.74 | 744.11 | 747.795 | — 2.9 | — 2.3 | — 0,5 | — 2.3 | — 2.00 | 90 0 | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PdW1. | PdW1. | PdW2. | PdW2. | | | 2 | 2 |
| 4 | Apog. | 745.39 | 748.48 | 751.75 | 757.35 | 750.742 | — 1.4 | — 0.2 | — 0.1 | — 1.0 | — 0.68 | 94 8 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Pd2. | Pd2. | Pd2. | Pd2. | | | 2 | 0 |
| 5 | | 761.25 | 763.28 | 763.73 | 763.38 | 762.910 | — 1.7 | + 0.5 | — 1.2 | — 0.7 | — 0.42 | 90.5 | pochm. | napół poc. | pochm | pochm. | PdW2. | PdW2. | PdW2. | PdW2. | | | 1 | 10 |
| 6 | Rów. | 760 66 | 760.58 | 757.19 | 756.89 | 758.830 | — 1.5 | — 0.1 | + 1.2 | — 1.0 | — 0.85 | 92.2 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PdW1. | PdW1. | PdW2. | PdW1. | | | 1 | 10 |
| 7 | | 755.59 | 756.65 | 758.07 | 758.08 | 757.097 | — 0.5 | + 0.8 | + 1.2 | + 2.3 | + 0.93 | 97.8 | śnieg | śnieg | poc. mgła | poch. dés | Pd1. | Z1. | Z1. | Z1. | | 5.2 | 1 | 10 |
| 8 | | 757.52 | 757.65 | 756.24 | 755.64 | 756.760 | + 3.3 | + 4.6 | + 3.6 | + 1.2 | + 3.17 | 96.2 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Z2. | Z2. | PdZ2. | PdZ2. | | | 1 | 11 |
| 9 | | 754.80 | 754.64 | 752.61 | 752.84 | 753.235 | + 1.8 | + 2.9 | + 2.9 | + 1.5 | + 2.15 | 88.0 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PdZ2. | Z2. | Z2. | Z2. | 2.0 | | 2 | 0 |
| 10 | ☽. | 752.85 | 752.71 | 750.33 | 750.33 | 751.550 | + 1.9 | + 2.5 | + 3.3 | + 3.7 | + 2.59 | 95.7 | pochm. | pochm | poch. mgł. | pochm. | Z2. | Z2. | PdZ2. | Z3. | 0.5 | | 2 | 0 |
| 11 | | 746.46 | 740.90 | 740.23 | 741.51 | 744.775 | + 3.8 | + 5.4 | + 2.1 | + 0.6 | + 2.64 | 85.5 | pochm. | pochm. | napół poc. | pochm, | PdZ3. | PdZ3. | Z3. | Z3. | 1.9 | | 2 | 0 |
| 12 | Perig. | 740.50 | 742.12 | 741.98 | 733.81 | 739.602 | — 1.4 | — 0.3 | — 0.1 | — 1.1 | — 0.67 | 97.8 | pogodny | pogodny | pochm. | śnieg | Z2. | Z2. | Z2. | PdZ2. | | | 1 | 11 |
| 13 | | 728 63 | 733.24 | 743.48 | 747.72 | 738.270 | — 0.6 | — 0.9 | — 0.5 | — 3.3 | — 1.33 | 97.0 | śnieg | pochm. | pochm. | pochm. | Pn2. | PnZ2. | PnZ2. | PnZ2. | | 8.8 | 2 | 2 |
| 14 | | 747.78 | 749.62 | 751.94 | 753.77 | 750.780 | — 4.8 | — 3.7 | — 4.0 | — 8.2 | — 5.17 | 96.0 | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | Pn2. | Z1. | PnZ1. | PnZ1. | | 1.0 | 2 | 4 |
| 15 | | 747.86 | 745.37 | 747.75 | 741.17 | 748.290 | — 4.5 | — 2.4 | + 0.1 | — 2.7 | — 2.38 | 94.5 | śnieg | śnieg | pochm. | pogodny | PdW2. | Pd2. | PdZ2. | PnZ2. | | 3.0 | 2 | 4 |
| 16 | | 753.24 | 753.13 | 750.26 | 747.77 | 751.600 | — 5.0 | — 2.8 | — 0.3 | + 0.4 | — 1.93 | 100 | pochm. | poch. mgł. | poch. mg. | pochm. | Z1. | PdZ1. | PdZ1. | PdW1. | | | 2 | 2 |
| 17 | ☽. | 744.61 | 744.79 | 745.85 | 747.34 | 745.635 | + 0.3 | + 1.0 | + 1.5 | + 1.4 | + 1.05 | 91.7 | pochm. | poch. mgł. | poch. mg. | pochm. | Pd1. | Pd1. | PdZ1. | PdZ1. | | | 2 | 4 |
| 18 | Rów. | 747.14 | 749.52 | 750.60 | 753.47 | 750.182 | + 0.8 | + 1.5 | + 1.2 | + 0.0 | + 0.87 | 94.7 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PdZ1. | PdZ1. | Z2. | PnZ3. | | | 2 | 4 |
| 19 | | 752.57 | 749.56 | 748.30 | 752.87 | 750.820 | — 1.9 | — 2.3 | + 0.8 | + 0.0 | — 0.85 | 95.7 | pochm. | śnieg zw. | pochm. | napół pog. | Z2. | PnZ4. | Z3. | PnZ2. | | 3.5 | 2 | 2 |
| 20 | | 753.37 | 751.30 | 750.94 | 749.95 | 751.375 | — 2.3 | + 2.4 | + 2.7 | + 2.5 | + 1.33 | 99.0 | pochm. | dészcz | pochm. | pochm. | Z2. | Z2. | Z2. | Z2. | 2.0 | | 2 | 2 |
| 21 | | 748.92 | 746.68 | 746.52 | 745.70 | 747.455 | + 3.1 | + 4.0 | + 2.9 | + 2.0 | + 3.00 | 97.0 | pochm. | pochm. | pochm. | poch. dés. | Z3. | Z3. | Z3. | Z3. | 2.3 | | 2 | 6 |
| 22 | | 737.63 | 732.26 | 726.72 | 728.48 | 731.253 | + 2.9 | + 2.5 | + 3.7 | + 0.6 | + 2.43 | 90.2 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PdZ4. | PdZ4. | PdZ4. | PdZ4. | 6.0 | | 3 | 5 |
| 23 | | 732.55 | 739.21 | 744.04 | 742.50 | 739.575 | — 1.3 | — 1.3 | — 1.8 | — 0.7 | — 1.27 | 85.5 | pochm. | pochm | pochm. | pochm. | PnZ4. | PnZ3. | PnZ3. | PnZ3. | | 3 0 | 3 | 10 |
| 24 | | 735.21 | 736.75 | 748.88 | 752.92 | 743.440 | — 0.6 | + 0.8 | — 1.1 | — 4.2 | — 1.27 | | pochm. | poch. dés. | pogodny | pogodny | PdZ3. | PdZ2. | PnZ1. | PnZ1. | | 4.5 | 3 | 10 |
| 25 | ☉. | 753.45 | 753.49 | 753.05 | 753.55 | 753.385 | — 2.3 | + 0.6 | + 1.8 | + 1.5 | + 0.40 | 95.0 | pochm. | poch. dés. | pochm. | pochm. | PdZ1. | PdZ1. | PdZ2. | Z2. | 2.0 | | 3 | 10 |
| 26 | | 753.12 | 752.86 | 751.40 | 748.35 | 751.432 | — 2.0 | + 2.3 | + 2.5 | + 2.2 | + 2.25 | 86.2 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Z2 | Z2. | PdZ3. | PdZ3. | | | 4 | 0 |
| 27 | | 743.14 | 740.20 | 734.77 | 736.35 | 738.615 | + 2.2 | + 3.1 | + 2.2 | + 0.0 | + 1.37 | 91.5 | pochm. | poch. dés. | pochm. | pochm. | PdZ2. | PdZ4. | PdZ4. | Z3. | 1.0 | | 3 | 10 |
| 28 | Apog. | 738.17 | 740.98 | 746.48 | 749.61 | 743.810 | — 0.5 | — 0.7 | — 2.3 | — 4.6 | — 2.02 | 91.0 | pochm. | śnieg zw. | pogodny | pogodny | PdZ2. | Pn3. | PnZ2. | PnZ2. | | 3.0 | 3 | 10 |
| 29 | | 750.87 | 751.54 | 749.58 | 748.04 | 750.007 | — 7.9 | — 4.8 | — 2.7 | — 2.7 | — 4.53 | 93.7 | pogodny | pochm. | pochm. | pochm. | Z2. | Z3. | Z2. | Z1. | | | 3 | 10 |
| 30 | | 743.92 | 744.01 | 745.84 | 747.99 | 745.440 | — 3.3 | — 1.8 | — 3.1 | — 6.5 | — 3.67 | 97 0 | pochm. | pochm. | pogodny | pochm. | Pd1. | PdW1. | PnZ1. | PnZ1. | | | 3 | 0 |
| 31 | Rów. | 749.12 | 750.71 | 750.31 | 750.22 | 750.090 | — 7.3 | — 6.8 | — 5.0 | — 6.1 | — 6.40 | 95.7 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PnZ1. | PnZ1. | PnZ1. | PnZ1. | | | 3 | 6 |
| Śr. | | 748.06 | 748.86 | 748.57 | 749.49 | 748.743 | — 1°.24 | — 0°.01 | + 0°.44 | — 0°.95 | — 0.45 | 94.57 | | | | | | | | | 17.7 | 32.0 | 2 | 7.67 |

| | m. | | l. |
|---|---|---|---|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 748.743 | 27 | 7.913 |
| Najwyżéj barometr dochodził d. 1 o g. 10 r. | 765.18 | 28 | 3.200 |
| Najniżéj — — d. 22 o g. 4 w. | 726.72 | 26 | 10.152 |
| Średnia dzienna zmiana barometru | 6.02 | | 2.67 |
| Największa dzienna zmiana barometru d. 21—22 o godz. 4 wiecz. | 19.80 | | 8.78 |
| Średnia wysokość barometru jest mniejsza o | 2.667 | | 1.182 |
| od stanu normalnego z 37 lat poprzedzających | 751.61 | 27 | 9.185 |
| Średnia temperatura grudnia wynosi | — 0°.44 C. | | — 0°.350 R |
| Średnia temperatura grudnia jest większa o | 2.15 „ | | 1.72 „ |
| od stanu normalnego z 37 lat poprzedzających | — 2.59 „ | | — 2.072 „ |
| Największe ciepło dochodziło d. 11 o g. 10 r. | + 5.4 „ | | + 4.32 „ |
| Najmniejsze — — d. 29 o g. 6 r. | — 7.9 „ | | — 6.32 „ |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | 2.03 „ | | 1.62 „ |
| Największa zmiana dzienna temperatury d. 28—29 o godz. 6 rano | 7.4 „ | | 5.92 „ |

Termometrograf wskazał: Maximum: + 6°.12 C. = + 4.9 R d. 8 po połud.
Minimum: — 7°.87 „ = — 6.3 „ d. 29 z rana.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 94.6 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 5.1 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest równa normalnéj z 37 lat popoprzedzających (94,6).

Ilość wody spadłéj z deszczu co do wysokości wynosi: 17.7 mil. czyli 7.84 lin. par.; ze śniegu 32.0 mil. czyli 14.18 lin. par.; razem wody z deszczu i śniegu 49.7 mil. czyli 22.02 lin. par. większa o 11.0 mil. czyli 4.8 lin. par.; od ilości wody jaka zwykle u nas w grudniu spada (38.7 mil. czyli 17.14 lin. par.).

Dni pogodnych było 3, napółpogodnych 6, pochmurnych 22.

Dni deszczu 9 (d. 9, 10, 11, 20, 21, 24, 25, 27).

— śniegu 10 (d. 7, 12, 13, 14, 15, 18, 19, 20, 23, 28).

— mgły 5 (d. 10, 16, 17).

Wiatrów mocnych 12 (6 Z., 2 PnZ., 4 PdZ.).

Wichrów 5 (2 PnZ., 2 PdZ., 1 Pn.).

Wiatr panujący: Zachodni, częste były Północno-Zachodnie.

Grudzień r. z. pod względem stanu powietrza był nader zmienny, deszcz, wichry, zawieje śnieżne, zmiany temperatury często następowały jakby w marcu. Przesilenie dnia z nocą zimowe (d. 22) odznaczało się szczególną burzą, wichrem i deszczem; przez trzy dni ciągle panował gwałtowny wicher: w d. 21 Zachodni; d. 22 Południowo-Zachodni; d. 23 Północno-Zachodni. W ogóle jednak pod względem temperatury miesiąc ten był łagodny i przeszło o półtora stopnia R. cieplejszy jak zwykle. Deszcze padały często i obficie jakby w jesieni, co się rzadko w tym miesiącu zdarza. Średnia temperatura całego miesiąca jest — 0,35 stop. R. o 1.72 stopni R. wyższa od normalnéj (— 2°.0' R.); Największe ciepło dochodziło 4.9 stop. R. d. 8 po południu; największe zimno — 6.3 stop. R. d. 29 rano; największa zmiana dzienna temperatury 5.9 stop. R. przypadła z d. 28—29; w ciągu całego miesiąca temperatura 8 razy stan swój zmieniała to jest: d. 6, 11, 17, 19, 21, 23, 24, 28. Barometr przy częstych wichrach nizko się utrzymywał; średnia jego wysokość miesięczna jest 27 cali 7.91 lin. par. o 1.18 lin. par. mniejsza od normalnéj. Największa zmiana dzienna barometru dochodziła 8.78 lin. par. z d. 21 na 22. Pod względem pogody miesiąc ten zbliżał się do stanu normalnego. Ilość wody spadłéj z deszczu i śniegu wynosi co do wysokości 22 lin. par. o 4.9 lin. par. więcéj jak zwykle (17.1 lin. par.). W nocy z d. 23 na 24 spadł śnieg obfity. Dnia 24 stan powietrza nagle się zmienił; z rana był przymrozek, potem odwilż i deszcz, popołudniu i wieczór mróz; z rana panował wiatr Południowo Zachodni, potem Północno-Zachodni; barometr wzniósł się bardzo wysoko; od godz. 6 rano do godz. 10 wieczór podniósł się o 7.65 lin. par.

Dnia 16 o godz $8^1/_2$ z rana lody na rzece Wisie po nad linią mostu na całej szerokości rzeki stanęły; następnie skutkiem odwilży też lody w dniu 21 o godzinie $3^1/_2$ wieczorem ruszyły. Dnia 30 o godz. $2^1/_2$ rano powtórnie Wisła stanęła.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stóp 2 cali 7.67 n.m. polsk.
Wysokość wody największa dochodziła d. 26..... stóp 4 „ 0 „ „
„ „ najmniejsza „ d. 5, 6 i 7..... stóp 1 „ 5 „ „

# Wypadki średnie dostrzeżeń meteorologicznych w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem w roku 1863 robionych.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza; jego szerokość geograficzna 52° 13′5″, długość w czasie 1ʰ 14ᵐ 45ˢ.7, czyli w łuku 18° 41′25.″3 na wschód względem południka paryzkiego.

| ROK 1863 | WYSOKOŚĆ BAROMETRU W MILIMETRACH SPROWADZONA DO TEMPERATURY LODU TOPNIEJĄCEGO | | | | | | | TEMPERATURA PODŁUG TERMOMETRU STUSTOPNIOWEGO | | | | | | | PSYCHROMETR Wilgotność średnia miesięczna biorąc 100 za zupełne nasycenie powietrza. | | | | | STAN NIEBA. | | | | | | | | | Ilość wody spadłej w milimetrach z | | KIERUNEK WIATRU | | | | | | | Elektryczność atmosferyczna | WYSOKOŚĆ WODY na Wiśle pod Warszawą | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| MIESIĄCE | ŚREDNIA | | | | | Najwyższa | Najniższa | ŚREDNIA | | | | | Najwyższa | Najniższa | ŚREDNIA | | | | | Dni pogodnych | Dni napół pogodnych | Pochmurnych | Deszczu | Śniegu | Gradu | Mgły | Błyskawic i gromów | Błyskawic bez gromów | Wichrów i wirów mocnych | deszczu | śniegu | Północny | Północno-Wschodni | Wschodni | Południowo-Wschodni | Południowy | Południowo-Zachodni | Zachodni | Północno-Zachodni | średnie natężenie miesięczne | Średnia miesięczna | Najwyższa | Dnia | Najniższa | Dnia |
| | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 go. wieczór | 10 go. wieczór | miesięczna | | | 6 godzina rano | 10 godzina rano | 4 god. wieczór | 10 god. wieczór | miesięczna | | | 6 g. r. | 10 g. r. | 4 g. w. | 10 g. w. | miesięcz. | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | stop. cali | | | stop. cali | |
| Styczeń .... | 749,35 | 750,10 | 749,40 | 749,19 | 749,51 | 765,09 d. 15 | 721,53 d. 20 | + 0°,39 | + 1°,33 | + 1°,28 | + 1°,32 | + 1°,33 | + 9°, 5 d. 31 | — 4°, 0 d. 11 | 98,4 | 92,7 | 90,9 | 95,4 | 94,4 | 1 | 3 | 17 | 6 | 5 | — | 4 | — | 1 | 14 | 20,4 | 3,4 | 0 | 0 | 0 | 9 | 9 | 13 | 13 | 1 | 17°,7 | 3 4,0 | 5 1 | 28 | 2 3 | 1 |
| Luty..... | 754,91 | 755,30 | 754,93 | 755,76 | 755,22 | 767,81 d. 20 | 739,58 d. 9 | — 0,02 | + 1,33 | + 2,60 | + 0,84 | + 1,19 | + 7,50 d. 1 i 7 | — 5,62 d. 21 i 22 | 98,0 | 91,4 | 87,0 | 97,0 | 93,5 | 4 | 10 | 14 | 8 | 3 | — | 3 | — | — | 16 | 13,5 | 4,0 | 5 | 1 | 0 | 1 | 4 | 8 | 21 | 4 | — | 3 8,4 | 5 4 | 15 | 2 8 | 2 |
| Marzec..... | 746,74 | 747,22 | 746,64 | 746,99 | 746,90 | 761,62 d. 1 | 724,25 d. 29 | + 1,19 | + 3,68 | + 5,44 | + 2,74 | + 3,26 | + 14,. 0 d. 24 | — 3,87 d. 10 | 99,3 | 86,9 | 76,8 | 91,1 | 87,7 | 2 | 12 | 17 | 9 | 11 | — | 4 | — | — | 9 | 30,6 | 30,3 | 0 | 4 | 5 | 13 | 7 | 8 | 11 | 6 | 25,6 | 4 0,2 | 5 6 | 15 i 16 | 2 7 | 1, 2, 3 i 4 |
| Kwiecień ... | 750,80 | 750,94 | 750,39 | 750,80 | 750,73 | 756,65 d. 10 | 741,55 d. 22 | + 2,82 | + 8,13 | + 10,36 | + 5,62 | + 6,73 | + 20,62 d. 7 | — 4,25 d. 1 | 88,6 | 63,4 | 52,1 | 75,9 | 70,0 | 6 | 15 | 9 | 9 | 1 | 2 | 7 | — | — | 12 | 21,7 | 2,8 | 5 | 7 | 2 | 15 | 5 | 3 | 10 | 6 | 20,0 | 4 1,1 | 4 11 | 21 | 3 1 | 28 |
| Maj..... | 749,49 | 750,30 | 749,49 | 749,88 | 749,79 | 758,64 d. 9 | 736,77 d. 24 | + 10,18 | + 15,39 | + 18,40 | + 12,27 | + 14,06 | + 30, 0 d. 18 i 19 | + 1, 2 d. 9 | 84,5 | 63,6 | 52,0 | 72,0 | 68,0 | 8 | 15 | 8 | 11 | — | — | 2 | 3 | 2 | 8 | 61,1 | — | 12 | 6 | 1 | 10 | 4 | 7 | 10 | 9 | 20,5 | 3 8,4 | 5 4 | 9 | 3 0 | 31 |
| Czerwiec .. | 749,22 | 749,36 | 748,57 | 749,12 | 749,07 | 757,05 d. 25 | 740,35 d. 14 | + 14,30 | + 19,45 | + 21,77 | + 15,47 | + 17,75 | + 34,12 d. 30 | + 2,52 d. 2 | 83,4 | 58,5 | 45,8 | 73,8 | 65,4 | 4 | 22 | 4 | 7 | — | 1 | — | 1 | — | 13 | 32,2 | — | 9 | 8 | 0 | 8 | 2 | 7 | 11 | 10 | 15,0 | 2 3,6 | 3 0 | 1 | 2 0 | 25 i 26 |
| Lipiec ..... | 750,85 | 750,93 | 750,28 | 750,51 | 750,63 | 760,75 d. 2 | 738,50 d. 18 | + 13,64 | + 18,77 | + 20,97 | + 15,31 | + 17,17 | + 30, 0 d. 30 | + 6, 5 d. 19 | 79,7 | 54,9 | 48,5 | 69,4 | 63,1 | 4 | 16 | 11 | 7 | — | 1 | — | 2 | 2 | 12 | 25,7 | — | 5 | 7 | 0 | 1 | 4 | 7 | 16 | 9 | 14,4 | 1 5,3 | 2 1 | 1 i 8 | 1 1 | 27—30 |
| Sierpień.... | 749,90 | 750,15 | 749,52 | 749,86 | 749,86 | 757,43 d. 9 | 741,91 d. 22 | + 14,00 | + 20,26 | + 23,53 | + 17,06 | + 18,71 | + 32,25 d. 31 | + 6,50 d. 15 | 86,6 | 61,0 | 45,2 | 69,7 | 65,6 | 10 | 17 | 4 | 8 | — | — | 2 | 1 | 1 | 5 | 27,6 | — | 4 | 1 | 0 | 7 | 2 | 9 | 16 | 10 | 14,6 | 1 5,2 | 4 1 | 29 i 30 | 1 1 | 12-20, 25-27 |
| Wrzesień ... | 749,96 | 750,31 | 749,76 | 750,02 | 750,01 | 758,50 d. 27 | 732,48 d. 23 | + 12,52 | + 17,71 | + 17,34 | + 12,58 | + 15,40 | + 31,75 d. 1 | + 6,25 d. 15 i 16 | 88,0 | 69,7 | 62,2 | 81,5 | 75,3 | 3 | 16 | 11 | 11 | — | — | 8 | 2 | 1 | 7 | 54,3 | — | 0 | 0 | 0 | 11 | 11 | 18 | 21 | 1 | 15,0 | 1 5,6 | 3 2 | 1 | 1 0 | 27—30 |
| Październik. | 752,75 | 753,19 | 752,55 | 752,78 | 752,82 | 758,62 d. 19 | 743,38 d. 24 | + 6,41 | + 10,55 | + 13,35 | + 8,75 | + 9,81 | + 21,75 d. 6 i 10 | + 3,75 d. 27 i 28 | 92,4 | 83,0 | 71,0 | 89,3 | 83,9 | 19 | 16 | 6 | 6 | — | — | 10 | — | — | 14 | 21,3 | — | 7 | 1 | 0 | 21 | 5 | 2 | 12 | 1 | — | 1 5,4 | 2 3 | 7 | 1 1 | 1 |
| Listopad ... | 754,16 | 754,75 | 754,72 | 754,71 | 754,73 | 770,04 d. 27 | 739,93 d. 12 | + 2,68 | + 4,30 | + 4,63 | + 3,02 | + 3,66 | + 12, 3 d. 5 | — 1, 9 d. 29 | 90,3 | 90,0 | 90,2 | 90,5 | 90,2 | 5 | 4 | 21 | 11 | 4 | — | 12 | — | — | 7 | 27,2 | 2,6 | 0 | 0 | 0 | 3 | 0 | 25 | 4 | 0 | — | 2 8,0 | 3 10 | 11 | 1 5 | 1 |
| Grudzień ... | 748,06 | 748,86 | 748,57 | 749,49 | 748,74 | 765,18 d. 1 | 726,72 d. 22 | — 1,24 | — 0,01 | — 0,44 | — 0,95 | — 0,44 | + 5,4 d. 11 | — 7, 9 d. 29 | 96,2 | 94,8 | 91,4 | 95,9 | 94,7 | 3 | 6 | 22 | 9 | 10 | — | 3 | — | — | 17 | 17,7 | 32,0 | 1 | 1 | 0 | 7 | 5 | 21 | 30 | 15 | — | 2 7,7 | 3 10 | 23-25, 27-29 | 1 10 | 5—7 |
| Średnia roczna..... | 750,515 | 750,950 | 750,418 | 750,758 | 750,856 | 770,04 d. 27 Listopada | 721,53 d. 20 Stycznia | + 6°,57 | + 11°,80 | + 11°,42 | + 7°,84 | + 9°,40 | + 34°,12 d. 30 Czerwca | — 7°, 9 d. 29 Grudnia | 90,5 | 75,8 | 67,7 | 83,4 | 79,4 | 69 | 152 | 144 | 102 | 64 | 4 | 55 | 9 | 7 | 134 | 353,3 | 75,1 | 48 | 36 | 8 | 106 | 58 | 128 | 175 | 72 | 17°,8 | 2 8,2 | 5 6 | d. 15 i 16 Marca | 1 0 | d. 27, 28 29 i 30 Wrześn. |

| | milimetr. | c. | l. |
|---|---|---|---|
| Średnia wysokość barometru roczna..... | 750,856 | =27 | 8,854 |
| Najwyżej barometr dochodził d. 27 Listopada ... | 770, 04 | =28 | 5,356 |
| Najniżej „ „ d. 20 Stycznia ..... | 721, 53 | =26 | 7,851 |
| Największa zmiana roczna barometru..... | 48, 49 | = 1 | 9,505 |
| Średnia zmiana miesięczna barometru ..... | 2,99 | = | 1, 25 |
| Średnia zmiana dzienna barometru..... | 3,50 | = | 1, 55 |
| Średnia wysokość roczna barometru jest większa o od stanu normalnego z 37 lat poprzedzających | 0,886 | = | 0,392 |
| | 749,970 | =27 | 8,462 |

| | | | |
|---|---|---|---|
| Średnia temperatura roczna jest..... | + 9°,40 C. | = + | 7°,52 R. |
| i ta jest większa o ..... | 1,81 „ | = | 1,45 „ |
| od stanu normalnego z 37 lat poprzedzających..... | + 7,59 „ | = + | 6,07 „ |
| Największe ciepło było d. 30 Czerwca ... | + 34,12 „ | = + | 27,30 „ |
| Największe zimno d. 29 Grudnia ..... | — 7,90 „ | = — | 6,30 „ |
| Największa zmiana roczna temperatury... | 42,02 „ | = | 33,59 „ |
| Średnia zmiana miesięczna temperatury... | 3,44 „ | = | 2,75 „ |
| Średnia zmiana dzienna temperatury ..... | 2,42 „ | = | 1,94 „ |
| Największa zmiana dzienna temperatury z dnia 22—23 Września..... | 11, 7 „ | = | 9, 3 „ |

**Wszystkie miesiące w roku były cieplejsze, wyjąwszy Kwiecień i Lipiec, które były chłodniejsze, jak w stanie normalnym, Czerwiec zaś był taki sam, jak w stanie normalnym; szczególniej Styczeń i Luty odznaczały się nader łagodną temperaturą, tak, że Styczeń był najcieplejszy z 37 letnich dostrzeżeń, czynionych w Obserwatoryum, Luty zaś tylko w 1843 roku, był cieplejszy od tegorocznego.**

Uważając miesiące: Grudzień (1862 r.), Styczeń i Luty r. b. za miesiące zimowe; Marzec, Kwiecień i Maj za wiosenne; Czerwiec, Lipiec i Sierpień za letnie; Wrzesień, Październik i Listopad za jesienne, wypada:

temperatura zimy — 1°,44 C. = — 1°,55 R. wyższa o 2°,21 C.=1,77 R.
„ wiosny + 8,02 „ = + 6,42 „ wyższa o 0,92 „ =0,74 „
„ lata .. +17, 9 „ = +14, 3 „ niższa o 0,32 „ =0,26 „
„ jesieni + 9, 6 „ = + 7, 7 „ wyższa o 0,20 „ =1, 6 „
od temperatur tychże pór w stanie normalnym.

Średnia wilgotność powietrza roczna jest 79,4 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 7,5 gramów, na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o dwie setne mniejsza od normalnéj (81,2).

Ilość wody spadłéj wynosi co do wysokości:

| | | | |
|---|---|---|---|
| z deszczu 353,3 milimetrów, czyli 13 cali | 0,51 lin. par. | | |
| ze śniegu 75,1 „ „ 2 „ | 9,27 „ | | |
| razem z deszczu i śniegu 428,4 milimetrów, czyli 15 cali | 9,78 lin. par. | | |
| to jest o 181,4 milimetr. czyli o 6 cali | 8,36 lin. par. mniéj, od ilości wody, jaka średnio u nas w roku spada (609,8 milimetrów = 22 cali | 6,141 lin. par.). | |

Najwięcéj wody spadło w Maju, najmniéj w Lutym. Ilość wody ze śniegu jest prawie 5 razy mniejszą jak z deszczu i równa normalnéj.

W całym roku było: dni pogodnych 69, napół pogodnych 122, pochmurnych 144, dni deszczu 102, śniegu 64, gradu 4, mgły 55, błyskawic z grzmotami 9, błyskawic bez grzmotów 7, wichrów 26, wiatrów mocnych 117. Wiatr panujący był zachodni i południowo-zachodni.

Stan elektryczności atmosferycznéj co do jéj natężenia średni roczny jest 17,8 stopni, największe natężenie elektryczności było w Marcu, najmniejsze w Lipcu i w Sierpniu.

Jeżeli rok uważać będziemy jako całość podzieloną na 100 równych części, i w tych częściach wyrazimy liczbę dni pogodnych, napół pogodnych i pochmurnych; wypada w średnim stanie z 37 lat poprzedzających (1826—1863) stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jak: 17,2 : 32,5 : 50,3, w roku bieżącym stosunek tych dni jest jak: 18,9 : 41,6 : 39,5; co pokazuje, że rok bieżący pogodniejszy był niż zwykle.

Miesiące: Czerwiec, Lipiec i Październik były najpogodniejsze; przeciwnie: Listopad i Grudzień niepogodne.

W ogóle rok 1863 należał do lat ciepłych, suchych i pogodnych.

**Zima.** — Dość pogodna, wietrzna, ciepła i sucha, w ogóle o 2°,21 C. czyli 1 ,77 R. cieplejsza jak w stanie normalnym. Styczeń był tak ciepły jak od roku 1796, jeszcze ani razu nie zdarzył się.— Początek zimy, to jest pierwsze 19 dni Grudnia 1862 roku był mroźny, środek zaś i koniec cieplejsze jak zwykle. Największe ciepło dnia 31 Stycznia, wynosiło +9°,5 C. +7°,6 R.; największe zimno dnia 10 Grudnia 1862 roku, —23°,72 C. czyli —19°,0 R. Zima tegoroczna, szczególniéj jéj koniec, była pogodniejsza jak zwykle. Wody z deszczu i śniegu spadło najmniéj w Lutym, najwięcéj w Grudniu, wogóle mniéj jak w stanie normalnym. Z początku zimy, panował wiatr południowo-wschodni, we środku południowo-zachodni, przy końcu zachodni.

**Wiosna.** — Pogodna, ciepła w początku i na końcu wilgotna i dżdżysta, w środku sucha. Średnia jéj temperatura 8°02 C., czyli 6°42 R,. wyższa o 0°,9 C., czyli 0°,8 R. niż w normalnym stanie, szczególniéj Marzec odznaczał się ciepłym stanem powietrza. Wiosna tegoroczna była pogodniejsza jak zwykle, jakkolwiek początek jéj był niepogodny. Wody z deszczu i śniegu spadło więcéj jak w stanie normalnym; najwięcéj wody spadło w początku i przy końcu wiosny, środek zaś jéj był suchy.—Wiatr panował w początku i w środku południowo-wschodni, przy końcu północny.

**Lato.** — Pogodne, w ogóle było chłodne i nader suche. Pierwsze dni Czerwca były gorące, środek lata chłodny, a koniec ciepły. Średnia temperatura wynosi 17°9 C., czyli 14,3 R. niższa jak w stanie normalnym o 0°,3 C., czyli o 0°,26 R. Największe ciepło dochodziło do 34°,12 C., czyli 27°,3 R. dnia 30 Czerwca. Barometr utrzymywał się w czasie lata, tak jak w stanie normalnym. Średnia jego wysokość wynosiła 749,35 mil. Najwyżéj barometr stał w Czerwcu. Wody z deszczu w ciągu lata spadło bardzo mało, prawie 3 razy mniéj jak w stanie normalnym. Pod względem stanu nieba, to lato tegoroczne było pogodniejsze jak w stanie normalnym. Szczególniéj środek lata odznaczał się pogodą. Wiatr panujący był zachodni.

**Jesień.** — Pogodna, ciepła i dość sucha. Średnia temperatura téj pory jest +9°,6 C., czyli 7°,7 R. większa o 2° C., czyli 1°,6 R. od temperatury normalnéj jesieni. Początek jesieni, jak również 5 ostatnich dni Września były nader ciepłe; przeciwnie, koniec jesieni był chłodny. Największe ciepło było dnia 1 Września i dochodziło do 31°,8 C., czyli 25°,4 R., największe zaś zimno wynosiło—3°,8 C., czyli —3,0 R. W ogóle zmiana temperatury podczas jesieni wynosiła 37°3 C., czyli 28°,4 R. Barometr utrzymywał się najwyżéj w Listopadzie, najniżéj we Wrześniu, w ogóle wyżéj jak w stanie normalnym. W d. 27 Listopada dochodził barometr do znacznéj wysokości 770,04, czyli 28 cali 5,356 lin. par. Pod względem stanu nieba jesień tegoroczna była dość pogodna, pogodniejsza jak w stanie normalnym. Wody ze śniegu i z deszczu spadło mniéj jak w stanie normalnym; szczególniéj śniegu było mało w jesieni, tak, że ilość jego była prawie 50 częścią, ilości wody spadłéj z deszczu, a 7 razy prawie mniejsza od ilości śniegu, jaka zwykle w téj porze spada. Wiatr panujący był zachodni.

Ostatni mróz z wiosny wynoszący —4°,24 C., czyli —3°,4 R., był dnia 1 Kwietnia, a pierwszy w jesieni —3°,8 C., czyli —3°,0 R. dnia 27 Października.

Ostatni śnieg z wiosny padał 2 Kwietnia, a pierwszy w jesieni 2 Listopada.

Dnia 27 Maja było zaćmienie cząstkowe słońca, przy zupełnie pogodnem niebie, widziane w Warszawie.

Dnia 31 Maja o godz. 10½ rano, świetne koło otaczało słońce.

Plamy na słońcu pokazywały się najliczniéj w Maju, Czerwcu, Lipcu, Sierpniu i Październiku; najmniéj w Marcu, Kwietniu i Wrześniu.

Dnia 1 na 2 Czerwca, w nocy, podczas pełni księżyca, o godz. o m. 54, uważano całkowite zaćmienie księżyca, widziane w Warszawie.

Dnia 27 na 28 Stycznia, o godzinie 11 w nocy, lody górne na Wiśle pod Warszawą, całą massą ruszyły.

Dnia 16 Grudnia o godz. 8½ z rana, lody na rzece Wiśle, na całéj szerokości stanęły, następnie skutkiem odwiązy też lody w dniu 21 o godz. 3½ wieczorem ruszyły.

Dnia 30 Grudnia o godz. 8½ zrana, powtórnie Wisła stanęła.

Stan wody na Wiśle był bardzo nizki; największa średnia wysokość była w Kwietniu, najmniejsza w Lipcu i w Sierpniu.

Średnia wysokość roczna wody jest stóp 2 cali 8,2 na m. p.

| | | | |
|---|---|---|---|
| Najwyżéj woda dochodziła..... | „ | 5 | „ 6 d. 15 i 16 Marca. |
| Najniżéj „ „ ..... | „ | 1 | „ 0 od 27 do 30 Wrześ. |

# WŁADYSŁAW

## KSIĄŻE KUJAWSKIE (*),

**zakonnik opactwa Cystersów, późniéj Benedyktynów w Dyżonie, współzawodnik do korony polskiéj po śmierci króla Kazimierza Wielkiego w XIV wieku, który po zgonie pochowany byłw Dijon; przez P. C. N. Amanton kawalera legii honorowéj, członka korrespondenta antykwarzy Francyi i Kommissyi departamentalnéj starożytności de la Côte-d'or. etc.**

---

Rozprawa niniejsza przeznaczoną była do zamieszczenia w opisie podróży po Burgundyi, którą M. A. Jobard ogłosił w r. 1831. Gdy jednakże wydawca ograniczył się sa-

(*) Kronikarze nasi, głównie też Naruszewicz, podają szczegółowe wiadomości o tym równie mężnym jak niestałym księciu z rodu Piastów, który zachwiał tronem króla Ludwika węgierskiego. „Wystąpienie Władysława Białego (mówi I. Szujski) nosi wszystkie cechy średniowiecznego awanturnictwa Władysław gromadzi ludzi łóżnych, rozbójników, hałastrę, w czasach zamętu powstającą, łączy się więc przeciw niemu szlachta. Nie umiał Władysław ująć znamion czasu, nie umiał wystąpić jako przywódzca partyi narodowéj; wystąpił jako wichrzyciel i wyzyskiwacz nieporządku; dlatego nie mógł przyjść do znaczenia i skutku osiągnąć". (Dzieje Polski, T. I, 1862 r.). W wiernym przekładzie podajemy tę broszurę, należącą w saméj Francyi do rzadkości bibliograficznych, która obok ważnych i nieznanych nam szczegółów, stawia nowy dowód, jak uczeni nawet francuzcy, mało znają nasze dzieje, i lekkomyślnie je traktują, chociaż opierają się na pisarzach naszych, których cytują. Praca ta (pomimo tych błędów) p. Amantona, dla badacza téj wydatnéj postaci i czasów króla Ludwika, nie może być obojętną, szczególniéj w ustępach, gdzie czerpie ze źródeł miejscowych archiwów. *K. Wł. W.*

mym tylko opisem malowniczym, bardzo krótkim Burgundyi, autor wydał ją w 50 tylko egzemplarzach w Dijon, w drukarni p. Brugnet wdowy w r. 1832 r.

*Grobowiec Władysława książęcia polskiego pogrzebionego w r. 1388 w pośrodku kościoła św. Benigny w Dyżonie (Dijon) dzisiejszéj katedry dyecezyalnéj.*

Kamień grobowy dotąd w całości zachowany, pokrywa od kilku wieków popioły książęcia cudzoziemskiego, o którym dziejopisarze różnie mówili; pomimo to jednak żywot jego mało jest znanym (1), chociaż owocześnie dał był wiele powodów mówienia o sobie, tak przez swe szczególne usposobienie, wzniosłość i niestałość umysłu, jakotéż przez nadzwyczajne przygody, już zrzeczeniem się wielkości światowéj, to znowu przez dumne usiłowania do pozyskania tronu, wreszcie przez mnóstwo wypadków, które żywot jego cechują.

(1) Zamiar napisania nowego życiorysu téj postaci, zniewoliby nas do wielu przypisów, w których badaniem wypadków uzasadnilibyśmy prawdę naszego zdania wbrew podanych przez innych. Ograniczamy się przeto na opisie zdarzeń, a wdajemy się w krytykę historyczną w tych ustępach, gdzie sądzi śmy to za rzecz konieczną. Sądzimy, że pisząc z materyałów, których wybór mieliśmy w pozostawionych pomnikach przez naszych poprzedników, mamy tę korzyść nad nimi, że czytelnikom o téj dziwnéj postaci możemy dać dokładniejsze wiadomości, niżeli gdziekolwiekbądź indziéj znaleźćby potrafili. Wiadomości, które zasięgaliśmy od pisarzy dziejów krolów polskich, nie objaśniły nas w tym względzie, gdyż ci wzmiankując tylko bezkrólewia, zachowali milczenie o książęciu Władysławie kuszącym się bezskutecznie, o panowanie. Nowsi zaś pisarze poszli niewolniczo w ślady dawnych: nie możemy więc ani pierwszych, ani drugich przytaczać. Lecz nie zamilczymy źródeł, z których mniéj lub więcéj czerpaliśmy. Z tych wymieniamy: *Le Theâtre d'honneur et de Chevalerie par André Tavin, Paris. 1520. T. II. Alexandro Gvagnino Rerum Polonicarum. Francoforti. 1584. S. Neugebauer: Histor. Rerum Polon. 1618. Histoire de Rois du royaume de Pologne et du Gde Duche de Lithuanie par M. M. à la Haye. 1734. Biographie Universelle. T. XLIX.* Znaleźliśmy również wiele pomocy w kilku ustępach z archiwum Benedyktynów dyżońskich *(Archives Benedicti, de Dijon)* teraz przechowaném w bogatém archiwum departamentalném, których udzielił mi p. Baudut uczony miejscowy archiwista. Dodać winienem, że wiadomości dostarczone mi z tego źródła, są zupełnie sprzeczne z temi, które Dom Villevicille dostarczył panu de Saint-Allais, jakoby czerpane z archiwum Benedyktynów. *(Przyp. aut.).*

Gdy ten książę ma ścisły związek z dziejami Polski, potrzeba nam się cofnąć do lat ostatnich XIII wieku, kiedy panowali w Polsce Przemysław II zgasły w r. 1296 i Władysław III Łokietek, zmarły 1333 r., a mieli brata rodzonego w osobie książęcia Ziemomysła; ten umierając pozostawił trzech synów: Przemysława, Leszka i Kazimierza: z tychto trzech braci sam tylko Kazimierz pozostawił dzieci, tojest Elżbietę i Władysława zwanego *Białym*, później znanego pod nazwiskiem książęcia kujawskiego, o którym mówić będziemy.

Elżbieta wychowaną była staraniem swéj krewnéj córki Władysława Łokietka, małżonki króla węgierskiego, który ją wydał za Stefana książęcia Bośnii.

Z tego małżeństwa urodziła się córka, również Elżbieta; ta była drugą żoną Ludwika króla węgierskiego, który tron polski odziedziczył po Kazimierzu Wielkim.

Tak Władysław Biały książe kujawski był prawnukiem dwóch królów: Przemysława II i Władysława Łokietka, a wujem Elżbiety drugiéj żony Ludwika króla węgierskiego i polskiego.

Za panowania Kazimierza Wielkiego, Władysław począł rozwijać swój umysł dumny i niepodległy, pobudzany przez urodzenie tak blizkie tronu. Nie ukrywał on zamiaru i nadziei objęcia berła po Kazimierzu Wielkim, który miał tylko dwie córki, a te według obyczaju narodowego były wykluczone od korony, a mało było podobieństwa, żeby pozostawił potomka męzkiego. Na przypadek więc śmierci, korona z prawa przypadała Władysławowi, który był najbliższym krewnym króla i zdolnym do następstwa. Kazimierz z tego powodu był niespokojnym, lękał się może, ażeby dumny krewniak nie zrzucił go z tronu, co go już mocno oburzało, gdy inne jeszcze okoliczności powiększyły króla rozjątrzenie.

Po wstąpieniu na tron, Kazimierz miał pilne staranie o uspokojenie zamieszek trapiących Polskę, skarcenia zbuntowanych srogiemi karami i uwolnienia Królestwa od rozbojów, które przed wstąpieniem jego na tron popełniano bezkarnie. Później zwrócił uwagę na prawodawstwo; dawne zwyczaje zmienił, nowe nadał prawa

w zgodzie z niemi będące, stósownie do życzeń i potrzeby narodu, którego cywilizacya chociaż mało jeszcze posunięta, uczyniła znaczne w niéj postępy z czasem i nie mogła jak tylko przez to powiększyć się jeszcze bardziéj z szybkością.

Byłoto w toku rzeczy ludzkich, że ta zmiana chociaż oparta na zdrowéj i światłéj polityce i zasadach niezaprzeczonych sprawiedliwości, nie znalazła wszystkie umysły gotowe do uległości. Utrzymanie zwyczajów starożytnych stało się pozorem do nieumiarkowanych żądań i wymagań, i możemy nawet powiedzieć, do tworzenia stronnictwa przez Władysława; były one hasłem, które zgromadziło wokoło niego mnóstwo szlachty, co mniemała się być pokrzywdzoną przez nowo zaprowadzone zmiany przez Kazimierza. Władysław nawet tak daleko się posunął, że głośno i jawnie wzbraniał się zaprowadzić nowe prawa królewskie w dziedzicznem swém księztwie bydgoskiém, inowrocławskiém i gniewkowskiém.

W żywym sporze, podbudzanym przez odmówione żądania i układy bezskuteczne, umysły się poburzyły do tego stopnia, że stronnicy Władysława zmyślili i rozgłaszali o królu to szkaradne podejrzenie, że pragnął pozbawić życia swego krewnego, lękając się go jako niebezpiecznego współzawodnika. Byłoto również przekonaniem, jeśli nie prawdziwém, to udaném Władysława, jeśli sądzić będziemy z jego usprawiedliwienia, czynionego późniéj przed papieżem Klemensem VII, któremu przekładał, że król Kazimierz miał ku niemu nienawiść śmiertelną i że wpośród zasadzek i sideł, które ten monarcha nań zastawiać nie przestawał, życie jego było narażone na największe niebezpieczeństwo.

Bądź co bądź, Władysław nie mógł sam uniknąć obwinienia za zabicie wielkiego sędziego kujawskiego, który pragnął skłonić go ku uległości, i wkrótce ciężyć na nim poczęło nowe obwinienie za przywłaszczenie sobie przemocą, części ziemi, od szlachcica prawego właściciela. Doprowadzony do ostateczności król Kazimierz, przez otwarty bunt Władysława i jego zbrodnicze postępowanie, rozkazał go przyzwać przed stopy tronu, dla uspra-

wiedliwienia się z oskarżeń ciążących. Lecz Władysław w uniesieniu gniewnym, uważając to za zniewagę swéj wysokiéj dostojności uczynioną przez monarchę, nietylko nie usłuchał wezwania królewskiego, lecz nadto tak posunął daleko nierozwagę i nieuszanowanie, że napisał do niego list wkrótce po wstąpieniu Kazimierza na tron, gdy mu król ten dał księztwo inowrocławskie darem, że niechcąc mu być za nic obowiązanym, daje mu wzamian księztwo bydgoskie.

Kazimierz wziął za słowo Władysława, i wszedł natychmiast w posiadłość tego księztwa, który począł żałować swojego śmiałkowstwa; udał się więc w prośby, aby swą ziemię odzyskać, lecz znalazł króla głuchym na swoje żądania. Przejęty był więc złością, że poddając się uniesieniu dumy i lekkomyślności chwilowo, o tak znaczny szwank przyprawił swą sprawę; do tego wkrótce, dołączył się i żal i smutek po utracie małżonki, którą kochał serdecznie. Widząc z drugiéj strony, że król Kazimierz daleki od myśli pozostawienia mu tronu po sobie, przeznaczał go młodemu Ludwikowi królowi węgierskiemu, już wsławionemu w Europie przez swoje cnoty i zwycięztwa, które musiały być przyjemne narodowi z przyrodzenia wojowniczemu; te ciosy zadane jego dumie, niweczące świetne jego nadzieje, któremi się kołysał, dały inny zamiarom jego obrot.

Niestały i popędliwy zarazem z niepomyślności które go spotkały, sądził, że go niebo powołuje do życia wolnego od spraw tego świata. Zajęty cały myślami téj zmiany, skłonił się wreszcie do ustąpienia królowi Kazimierzowi, swego księztwa gniewkowskiego, za zaliczenie tysiąca czerwonych złotych (?), i mając te pieniądze i inne które zgromadził zkądinąd, opuścił Polskę.

Dziejopisowie nie zgadzają się w tém, gdzie się późniéj obrócił? Jedni powiadają, że pojechał do Niemiec, gdzie nie sądząc się bezpiecznym, udał się późniéj do Francyi, gdzie źle był przyjęty u dworu zajętego wojną z Anglikami, pustoszącemi królestwo, a z powodu, jakoby nie mógł się utrzymywać stosownie do swojego stanu, piszą, że wstąpił do zakonu Cystersów, o kilka mil od Dyżonu będącego. Lecz dziejopisarze ci, uprzedzając czas,

zamilczeli wiele zdarzeń poprzednich, zaszłych na kilka lat przed wstąpieniem Władysława do klasztoru.

Inni poprzestają na powieści, że po opuszczeniu Polski, Władysław prowadził życie błędne, aż do chwili wstąpienia do zakonu. Lecz okazuje się z głębszych poszukiwań, że po wyprzedaniu się z mienia w Polsce, książe ten podróżował do Ziemi Świętéj (Palestyny) i zwiedził święte miejsca jako prosty pielgrzym; że po powrocie do Europy, zatrzymał się czas niejaki w stolicy Austryi, dla obleczenia szat rycerzy zakonu Teutońskiego, zajętego walką z Litwą, ludem jeszcze barbarzyńskim, pogrążonym w ciemnościach pogaństwa.

Wziąść znak krzyża i towarzyszyć rycerzom zakonnym w ich wyprawie, w któréj pobożność Władysława nie widziała jak tylko cel ucywilizowania téj części ziemi, nawracając ją na chrześciaństwo, zdawało mu się godném powołania, które mniemał, że mu niebo przeznaczyło; lecz jego duma i wymagania poróżniły go wkrótce z towarzyszami broni, i dłużéj nie chciał nic mieć wspólnego z ich losem.

Po wyczerpaniu w podróżach i wyprawach wojennych, pieniędzy, które wyniósł z Polski, i nie będąc w stanie utrzymać się na świecie, według stopnia i urodzenia swojego, przedsięwziął wtedy dopiero wstąpić do zakonu, poczém udał się do Cystersów dla spełnienia tego przedsiewzięcia, nie w roku 139⅝, jak to pisze dzieło „*L' art de verifier les dates*" (Wydanie w 8ce. Paryż. Tom VIII str. 3), lecz 1366 r.

Władysław stawił się przed opatem Janem IV *de Buxieres de la Tourd'auvegne*, pod ten czas przełożonym zakonu; powiadają, że poprzednio pozyskał dozwolenie od papieża Urbana Vgo, mieszkającego w Avignonie; lecz ta okoliczność, więcéj jest domniemywaniem, gdy widzimy, że Władysław, w swojéj prośbie do papieża Klemensa VIIgo, w roku 1367 nie czyni o niéj żadnéj wzmianki.

Jakkolwiekbądź, opat Cystersów nie chciał go przyjąć do zakonu, tylko pod warunkiem, że zobowiąże się pozostać w nim do zgonu. Władysław, który jeśli temu dać wiarę należy, nie miał żadnéj wiadomości o regule św. Bernarda, jaką tam zachowywano, pokonał uległością

opór opata, i uczynił wyznanie zwykłe, jako prosty braciszek, nie umiejąc, ile się zdaje po łacinie; złożył nawet w ręce jego za uposażenie, małą ilość pozostałych mu pieniędzy i innych posiadanych przedmiotów. Ale około tylko siedmiu miesięcy przebywał Władysław u Cystersów, poczém, czyli to, że ostrość reguły przewyższała jego siły, czyli też przez niestałość swojego umysłu, opuścił ich klasztor bez dozwolenia opata, wbrew regule i ustawom zakonu, w zamiarze przyjęcia reguły innego zakonu, mniéj ostréj, to jest świętego Benedykta, w klasztorze świętéj Benigny w Dyżonie.

Jeżeli damy wiarę dziełu: *L'art de verifier les dates*, już przytoczonemu, Władysław powziąwszy niesmak do ostrości, które zachowywali Cystersi, oznajmił o tym opatowi; ten, widząc że go zatrzymać nie potrafi, udał się do biskupa Langreskiego (1) dla naradzenia się z nim nad środkami, przez jakie mógłby dla swego zakonnika pozyskać żywot słodszy i obowiązki łatwiejsze do spełnienia: poczém biskup umieścił go w opactwie świętéj Benigny w Dyżonie, gdzie pełnił obowiązki dozorcy szpitala, z prebendą i służącym.

My odpowiadamy na tę wiadomość, chociaż przytoczoną, jakoby była czerpaną w archiwum św. Benigny, treścią aktu, z d. 9 kwietnia 1367 roku, pisanego po łacinie, wyjętego z protokółu *Roberta de Senevoy*, notaryusza książęcego w Dyżonie, który to zbija zupełnie.

Akt ten świadczy o stawieniu się w kaplicy zamkowéj książąt Burgundyi, Jana opata klasztoru Cystersów, w obecności również szlachetnego pana brata Władysława, w zakonną Cystersów szatę przybranego. W akcie tym, opat mówiąc do Władysława, tak się wyraża:

„Przyszedłeś niedawno (1366 r.) do klasztoru naszego Cystersów, gdzie żądałeś oblec sukienkę; przyniosłeś nieco mienia, które było twoją własnością, a które ci wróciłem i oddałem; opuściłeś nasz klasztor bez żadnego

(1) Wzniesienie biskupstwa Dijonu i podzielenie Langreskiego nastąpiło r. 1731, mocą Bulli papieża Klemensa XIIgo z 9 kwietnia, zatwierdzonéj listem królewskim Ludwika XVgo, z lipca tegoż roku, co wszystko zapisane zostało w parlamencie d. 8 sierpnia 1731 r.

zezwolenia, co jest przeciwne ustawom i regule naszego zakonu: jednak, jeśli ci to dogodném jest, proponuję ci, powrócić do naszego zakonu i klasztoru, w pokoju i dobrowolnie, jak to dobremu zakonnikowi przystało, a jestem gotów przyjąć cię według reguły, która chce, że każdy zakonnik w błąd popadły, lub który uciekł z klasztoru, poddać się ma napomnieniu, będąc po trzykroć smagany dyscypliną".

Władysław odpowiedział, że przyznaje, iż wszystko jest prawdą co opat powiedział; lecz że trwa w tém co dokonał. Notaryusz zamknął protokół, doręczeniem kopii aktu w obecności dostojnych osób, powołanych za świadków téj czynności. Wtedy dopiero Władysław przyszedł do klasztoru św. Benigny (1367 r.) i zrzucił kaptur św. Bernarda dla przyobleczenia się w świętego Benedykta, zawsze pod uniżoném nazwiskiem prostego braciszka.

W klasztorze tym, pozostawał spokojnie około lat trzech: w czasie tym Elżbieta królowa węgierska, jego siostrzenica (a nie siostra), i król Kazimierz Wielki jego krewny, hojnie zaopatrywali go we wszelkie potrzeby. Zdaje się, że te dobrodziejstwa otrzymywał pod warunkiem, że do Polski nie powróci. Jakoż Władysław zdawał się nie myśleć wcale o tém, dopóki Kazimierz tron zasiadał; lecz śmierć tego króla zaszła w dniu 8 listopada 1370 roku w 60 roku życia, a 37 panowania, obudziła wkrótce w sercu brata benedyktyna, jego dawne myśli dumy i wielkości.

Ze zgonem Kazimierza skończyło się panowanie rodu Piastów linii męzkiéj (1), które trwało przez 528 lat, gdyż Kazimierz za życia, chociaż istniał jeszcze jeden szczep téj rodziny w osobie Władysława, przeznaczył i przyjąć *kazał* (?) za następcę, na królestwo Ludwika króla węgierskiego, syna swéj siostry, który zaraz był obwołany królem polskim, poczém namaszczony i ukoronowany d. 17 listopada 1370 roku przez arcybiskupa gnieznieńskiego w katedrze krakowskiéj.

(1) Autor niniejszéj rozprawy, zapomniał o linii Piastów książąt mazowieckich i szlązkich. *(Przyp. tłum.)*.

Obcy ten książe Polsce, posiadacz dwóch królestw, mało zajmował się szczęściem swoich nowych poddanych. Dzieje wspominają o jego rządach, które nie odznaczały się chwałą i były bardziéj szkodliwe niż pożyteczne narodowi. Jakkolwiekbądź wyniesienie się Ludwika na tron polski, obudziło dumę Władysława, w zaciszy zakonnéj żal głęboki, że wykonał śluby lekkomyślnie, które stawiały mu przeszkodę, w dokonaniu zamiarów, do jakich przez ród swój czuł się powołanym.

Kiedy w tym niepokoju zostawał, stronnictwo jego tajemnie wzmagało się w Polsce, na czele którego znajdowała się nie mała liczba panów znaczniejszych rodów, przywiązanych do Piastów rodziny, co niecierpliwie znosili panowanie obcego króla, który przekładał pobyt w swych dziedzicznych państwach, niż w nowém swém królestwie, którém rządził przez namiestników.

Sprzysiężeni wysłali do Dyżonu deputowanych, z poleceniem ofiarowania tronu Władysławowi, do którego powoływały go prawa odziedziczone z przodków. Wysłańcy ci, łatwo pociągnęli do podzielenia widoków stronnictwa, jakie przedstawiał umysł tak lekki, tak niestały i pełen dumy: lecz była przeszkoda do pokonania jedna jeszcze, to jest, uwolnienia od ślubów zakonnych przez królewskiego-pustelnika.

Władysław pewny, że łatwo mu się przyjdzie z nich uwolnić, pojechał do *Avigumu*, dla wyjednania w tym względzie *indulgencyi* papieża Grzegorza XI, który tam miał stolicę: odjeżdżając, polecił posłom polskim, aby nań oczekiwali w Bazylei.

Ale nadzieje go zawiodły, papież odrzucił jego prośbę, i rozkazał wrócić mu do zakonu. Władysław opuścił wprawdzie Avigum, lecz zamiast udać się do Dyżonu, przybył do Bazylei, gdzie nań panowie polscy oczekiwali: odprawił ich do kraju, niewydając swoich przyszłych zamiarów. Sam zaś udał się do Budy, gdzie stanąwszy przed Ludwikiem królem węgierskim i polskim, powinowatym swoim, prosił go o zwrot swoich księstw w Polsce, i wdania się jego, aby mógł być uwolniony od ślubów zakonnych. Król Ludwik znaglony prośbami swéj małżon-

ki Elżbiety a siostrzenicy Władysława, udał się do papieża; lecz żądania króla nie otrzymały skutku. Grzegorz XI trwał w odmowie, którą dał już Bratu Władysławowi Benedyktynowi.

Ta nieugiętość papieża, zniewoliła Władysława, że mniéj dbając na jego powagę, przychylając się do życzeń stronnictwa swego, z którém miał ciągle tajne stosunki, skrycie Węgry opuszcza z czterema towarzyszami, i niespodzianie pojawia się w Inowrocławiu, stolicy swojego dawnego księstwa kujawskiego. Wkrótce otoczyło go liczne grono stronników: wziął zamek warowny podejściem, poczém zgromadził mieszkańców i rozkazał im wykonać sobie przysięgę. Zdobył Gniewków, również stolicę jednego ze swych księztw i to z taką samą szybkością, i w tym dniu równie *Złotor* (Złotoryę) zmusił do poddania, po zagrożeniu dowódzcy, któremu kazał wejść na wały, że go śmiercią ukarze, jeśli twierdzy nie podda. Tak stawszy się panem w jednym dniu trzech warowni, widząc Wielkopolskę całą za sobą, która powstała poruszona urokiem jego imienia, otoczony coraz liczniejszą drużyną stronników, Władysław czuł wzmagające się zaufanie i odwagę. Nazajutrz obległ twierdzę *Sarléj*, która po trzech dniach się poddała.

Uwiadomiony o tych wypadkach, których nie mógł przewidzieć Sendziwoj Sabinus (1) rządca Wielkopolski, pospieszył o nich uwiadomić króla Ludwika, sam zaś spółcześnie ruszył na czele sił przeważnych dla wstrzymania usiłowań Władysława. Zaczął od oblężenia Inowłodza, który nie mogąc się spodziewać odsieczy od pretendenta, poddał się bez oporu.

Zatrwożony tém pierwszém niepowodzeniem w walce z siłami przemagającemi, wojsko jego słabnąć poczęło, przez ucieczkę większéj części tych, którzy się byli z początku z nim połączyli. Władysław ufny w zapewnienia Sędziwoja, że król będzie się z nim obchodził z łaskawością i wspaniałomyślnością, skłonił się do poddania innych twierdz przez siebie zajętych. Lecz gdy długo, napróżno

(1) Sędziwoj z Szubina był podówczas rządcą Wielkopolski. *(Przyp. tłum.)*.

oczekiwał skutków obietnic wielkorządcy, i gdy się przekonał, że na nie rachować nie można, a nadto zmuszony potrzebą wydobycia się z niebezpiecznego położenia, w jakim zostawał, również dla zapewnienia sobie żywności, Władysław znowu wrócił do pierwotnéj myśli, i rozstrzygnienie swego losu powierzył orężowi. Zwrócił swe widoki ku *Złotorowi* (Złotoryi), w którym znaleźćby mógł schronienie, i użył podstępu, dla stania się znowu jego panem.

Skrzypiński (Krystyn ze Skrzypowa) dowódzca téj twierdzy, był to starzec pijaństwu oddany, z téj go więc słabéj strony zażył pretendent. Pozyskał sobie i namówił rybaków, aby go upoili winem przywiezionem z Torunia, a gdy się upił i zasnął wraz ze spojoną strażą, oddział wojska wysłany przez Władysława podczas ciemnéj nocy, przystawił drabiny do murów i dostał się do twierdzy bez wystrzału z łuku, zabrał w niewolę dowódzcę, wraz z całą załogą.

Ten śmiały czyn był niejako hasłem, na które zgromadzili się w około Władysława, wszyscy ludzie z téj okolicy, głodni, obdłużeni, bez cześci, skalani zbrodniami i chciwi rabunku: słowem ludzie tacy, jacy zjawiają się zwykle w czasie zamieszek domowych i walkach stronnictw.

Z tymi niecnymi sprzymierzeńcami, i na czele garstki piechoty i jazdy kusił się o zdobycie twierdzy (zamku) *Raciąża*, która należała do arcybiskupa gnieznieńskiego; lecz odparty od załogi, obległ Gniewkowo, a za pomocą mieszkańców, spalił twierdzę i wziął w niewolę jéj dowódzcę *Gerharda Słoniewskiego* (?). Z drugiéj strony, silny dzierżeniem Złotoru, z téj twierdzy napadał częstemi wycieczkami Wielkopolskę i plądrował, tak, że Sendziwoj porażony kilkakrotnie, nie był wkrótce w stanie sam ze szlachtą, którą dowodził, zastawiać się usiłowaniom śmiałym, walecznym i trafnym, swojego przeciwnika; dopiero aż gdy Jan Kmita rządca sieradzki, wyruszył na czele wszystkiéj szlachty téj ziemi, został wstrzymany dalszy postęp Władysława, połączywszy swe siły, z rządzcą (starostą) Brześcia Kujawskiego, wyruszył na spotkanie Władysława pod Gniewkowem. Stoczył z nim bitwę, rozproszył je-

go wojsko, i nie zostawił innego środka ocalenia się jego dowódzcy nad ucieczkę: nie było to wszystko trudném do dokończenia, siłom przemagającym je liczbą i dowodzonym przez wodzów walecznych i doświadczonych. W czasie swéj ucieczki Władysław przebył Wisłę na małéj łódce, i schronił się do Złotoru, zkąd, chociaż Sendziwój wzmocnił był załogę Inowrocławia, aby mogła powściągnąć wycieczki niszczące kraj okoliczny, Władysław jednak nie przestawał trapić go srogim rabunkiem. Sędziwoj uznał potrzebę wówczas, że tylko przez zastosowanie wielkich środków, położy koniec podobnemu stanowi rzeczy, które podawały tron i monarchę jego w niebezpieczeństwo. Dla zapewnienia więc zwycięztwa, nad zbuntowanemi, rozkazał wsiąść na koń wszystkiéj szlachcie polskiéj i kujawskiéj, która po powiększéj części pozostała wierną królowi Ludwikowi, zażądał również posiłków od książęcia szczecińskiego. Pobity od tak przeważnych sił, i ściśle otoczony w Złotorze, Władysław potrafił przez czas niejaki, nie tylko opór stawiać oblegającym, lecz przyprawiał ich o znaczne straty. Co noc rozkazywał z twierdzy wycieczki czynić na małych łódkach, oddziałom lekko uzbrojonym, które zachowując największą cichość, wyladowywały po za obozem oblegających, brały do niewoli tych, którzy z niego wychodzili, podchodziły czaty i również zabierały je w niewolę. Z drugiéj strony za pomocą machin okropny skutek wywierających, tłukli z murów żołnierzy, pracami oblężniczemi zajętych, i zmuszali ich do cofania.

Te machiny były misternie zbudowane i kierowane przez rzemieślników, z których jeden podał w moc Władysława *Złotor*, drugi zaś nazwiskiem Hanko, był synem młynarza, i budowniczym młynów, którego niedawno pretendent był ujął w niewolę. Hanko bacząc że wojna ta niedługo potrwa, w przekonaniu że Złotor nie mógł długo się opierać usiłowaniom oblegających, tém bardziéj, że już brak żywności czuć się dawał; lękając się również, by go o zdradę nieobwiniono, za to, że przeważne usługi oddawał nieprzyjacielowi kraju, postanowił dla uzyskania przebaczenia i ułaskawienia, wydać twierdzę wojsku królewskiemu. Władysław przeczuwając ten jego zamiar, rozkazał uwięzić Hanka i wziąć go na tortury: wtedy ten,

odkrył swój plan, i postęp zdrady jaką zamyślał dokonać. Skorzystał Władysław z tak ważnego odkrycia; polecił udać się do obozu nieprzyjacielskiego zięciowi Hanki, który zlecenia niby jego szedł oznajmić, z układem dokonania zamiaru, który sam był pretendent ułożył.

Sędziwoj, chciwie przyjął przełożone mu środki; lecz dla pozyskania chwały zdobycia twierdzy przez siebie, nie powierzył tajemnicy mniemanéj zdrady Hanka, ani księciu Kazimierzowi pomorskiemu, który naczelnie dowodził wojskami królewskiemi, ani innym panom, którzy mieli udział w obronie tronu i kraju. I wpadł w zastawione nań sidła, a stosując się do układu, który mu udzielono: w czasie ciemnéj nocy zbliżył się pod mury twierdzy, w towarzystwie kilku ludzi lekko uzbrojonych. Na dany znak, brama została otworzoną, i już 26 jego ludzi tam weszło; lecz nim sam Sędziwoj ją przekroczył, krata najeżona żelaznemi kolcami zapadła, i zgniotła swoim ciężarem dwóch znakomitych panów, którzy wzięli udział w téj wyprawie. W tejże saméj chwili ogień rozjaśnił ten widok, a 26 żołnierzy, którzy weszli do twierdzy, zostali obsypani ze wszech stron gradem strzał i kamieni.

Przejęty rozpaczą Sędziwoj że popadł w zastawione sidła, w których zginęli jego waleczni towarzysze, powrócił smutny i pomięszany do obozu, a chcąc pomścić się zniewagi mu wyrządzonéj, nazajutrz równo ze świtem, przypuścił szturm do twierdzy, z wszystkiemi siłami wojsk królewskich. Szturm ten trwał do nocy, bez żadnego skutku. W dniu tym, w którym cuda waleczności obie strony dokazywały, naczelny wódz książe pomorski Kazimierz, został raniony w głowę kamieniem, poczem w kilka chwil żywot zakończył.

Władysław przy téj okoliczności pomścił się na Hance, jego zięciu i tych wszystkich, którzy z początku poddali mu tę twierdzę, a późniéj pragnęli ją poddać wojsku królewskiemu i polecił ich spalić żywcem u stóp wałów. Wkrótce potém, widząc że się dłużéj w twierdzy utrzymać nie potrafi, poddał ją dobrowolnie i wyszedł z niéj na czele swoich z szablą w ręku. Od téj chwili był wolnym swą osobą, i uzyskał przebaczenie za zamach przeciw tronowi, ale w gwałtowności charakteru, postanowił wyzwać

na pojedynek jednego z wodzów, który kierował pracami oblężenia Złotoru; ten przyjął wyzwanie, zranił go mocno, i rozbroił. Zaprowadzony do Węgier po tym pojedynku, był obdarzony od króla Ludwika, swego krewnego, bogatém opactwem z tytułem *Opata Komandatora*, który mu polecił w tém opactwie osiąść. Lecz to nieprzypadło do smaku Władysławowi, który zażądał powrotu do Dyżonu i przywdziania znów kaptura benedyktyńskiego. Król Ludwik znudzony i naleganiami i szemraniem, które się ciągle o uszy jego obijały, zezwolił wreszcie na odjazd Władysława i polecił mu zaliczyć dziesięć tysięcy czerwonych złotych, jako wynagrodzenie utraty księztwa gniewkowskiego, a przez to odjąć mu wszelki powód niechęci, poczém Władysława wysłał do Dyżonu.

W roku 1375 przybył książe do Dyżonu i uzyskał miejsce zakonne w klasztorze Śéj Benigny. Mniemać jednak można, że chociaż powrócił do dawnego swojego stanu, nie zaniechał dumnych myśli, i że go na nowe pokuszenia narażano. Śmierć króla Ludwika w r. 1382, nastręczyła Władysławowi sposobność, dobijania się znowu o tron polski.

Król Ludwik za życia wydał za mąż swą starszą córkę, za Zygmunta margrabię brandeburskiego, syna Karola IV cesarza rzymskiego, króla czeskiego i naznaczył ją za następczynię tronu polskiego. Po śmierci Ludwika, Zygmunt był uznany za króla w Polsce bez żadnego oporu; lecz duma jego oburzyła wkrótce naród przeciw niemu i złożony został z tronu na sejmie wiślickim.

Natenczas stronnictwo Władysława, trwające ciągle w Polsce, a doświadczeniem panowań króla Ludwika i Zygmuta wzmocnione i zwiększone zostało: wielu panów uznało błąd, że przenosili panów nad książęcia pomiędzy nimi urodzonego i jednoplemiennego, a którego ród zasiadał na tronie polskim, więcéj niż lat pięćset.

W tém usposobieniu, przyjaciele księcia Władysława, pisali do niego listy, nagląc go, ażeby porzucił klasztor, i nie zwlekał swojego przybycia do Polski, zapewniając że tą razą berło go ominąć nie może.

Władysław związany zakonnemi ślubami, przed odjazdem, udał się do anty-papieża Klemensa VIIgo, mają-

cego stolicę w Avignionie. Klemens, korzystał z tego zdarzenia, pragnąc pociągnąć ku sobie Polskę, która jego współzawodnika Urbana VIgo siedzącego w Rzymie za papieża uznała, a w osobie Władysława widział narzędzie najwłaściwsze do doprowadzenia do skutków swoich zamysłów. Na prośby więc jego, pierwsze mu posłano *breve* téj treści: „Gdy z powodu spraw różnych, nam osobistych i spraw kościoła rzymskiego, mamy naglą potrzebę waszéj obecności, powołujemy was przeto ku nam, żądając, ażebyś po otrzymaniu tego listu, stawił się przed nami osobiście, chociażby syn nasz opat klasztoru św. Benigny w Dyżonie, lub ktokolwiekbądź inny z przełożonych, zezwolenia na toby ci odmówił".

Zdaje się, że Władysław nie mógł się dostać do Avignionu, lecz że przełożył papieżowi, z mniejszą lub większą szczerością i prawdą, wypadki i powody które miał za sobą, dla uzyskania sekularyzacyi i stan rzeczy który go powoływał do Polski, albowiem Klemens VII pośpiesznie nadesłał mu drugie *breve*, mocą którego, nietylko go uwolnił od ślubów zakonnych, lecz upoważnił zarazem do odzyskania i posiadania wszystkich dóbr doczesnych obecnie i w przyszłości, nawet i tronu polskiego, jeśliby miał do niego prawo, a temu jakiekolwiekbądź konstytucye apostolskie, statuta, zwyczaje, przysięgi i t. p. nie stały na przeszkodzie, tak aby nikt nie mógł sprzeciwiać się niniejszemu *breve*, i nie poważył się stawiać mu oporu, pod karą gniewu Boga Wszechmogącego i błogosławionych Jego apostołów Piotra i Pawła (1).

Mając to *breve*, Władysław opuścił klasztor i udał się w podróż do Polski, w tém pewném przekonaniu, że go tam korona czeka, z postanowieniem wszelkich usiłowań, aby ją utwierdzić na swojéj głowie.

(1) Dwa te *breve*, jedno z d. 6 lipca, drugie z 15 września 1382 roku, są drukowane w *Theatre d'honneur et de Chevalerie*: Tom II str. 1333 i 1336: tudzież w Spicilegium D. Luc. d' Acheri. Tom III str. 753—754. (zapewne przez błąd druku w tym zbiorze breve Klemensa VIIgo, przypisane są Klemensowi VImu). Duplikata obu tych breve kollacyonowane przez notaryusza Guillaume Gérarda, z oryginału mu przedstawionego przez księcia Władysława przed odjazdem do Polski, znajdują się w archiwum Benedyktynów w Dyżonie.

Po przybyciu do Polski przyjęty był z okrzykami swoich stronników, którzy mu zaprzysięgli wierność, i zapewnili że gotowi są krew swą przelać, dla dopomożenia mu do wstąpienia na tron swych przodków.

Drugie stronnictwo było wówczas królowéj Jadwigi, drugiéj córki zmarłego króla Ludwika, którą zaręczył był z Wilhelmem, synem Leopolda książęcia Austryi; lecz Polacy nie chcieli go uznać za pana, i posłali do Węgier, żądając Jadwigi od królowéj Elżbiety jéj matki; do czego królowa się skłoniła, i Jadwiga sprowadzoną została do Polski, którą obwołano królową i poczém namaszczoną i koronowaną została przez arcybiskupa gnieźnieńskiego w miesiącu październiku 1384 r. i władała sama czas niejaki królestwem: lecz Polacy wkrótce sprzykrzyli sobie rządy niewiasty. Jadwiga bacząc niebezpieczeństwo jéj zagrażające, oświadczyła Polakom, że skłania się do zamężcia, lecz obierze tego tylko za męża, którego jéj sami obiorą. Uwiadomiony o tém Jagiełło, wielki książe litewski, który już objawił był swe żądanie posiadania tronu polskiego, a nawet był zajął Kraków (??) z siłami znacznemi dla poparcia swojego obioru, wysłał swych braci w poselstwie do sejmu, ofiarując siebie i swe państwo narodowi polskiemu i królowéj Jadwidze, przyrzekając zrzec się bałwochwalstwa i przyjąć chrześciaństwo, tudzież połączyć na zawsze Wielkie Księztwo Litewskie z Polską.

Warunki te z radością i wdzięcznością przyjęte zostały: Jagiełło wraz z braćmi po nauczeniu się wiary świętéj został ochrzczony w lutym 1386 r. przez arcybiskupa gnieźnieńskiego, w kościele katedralnym krakowskim; Jagiełło otrzymał na chrzcie imie Władysława i w dniu tym samym monarcha ten i Jadwiga poślubieni zostali, i byli uznani, według wyrażenia dawnego jednego dziejopisa: „*Królami Polskiemi*".

Domniemywać się można, że w czasie bezkrólewia, które przypadło w czasie złożenia z tronu Zygmunta, i przed wstąpieniem na tron Władysława (Jagiełły), wiele musiało być zatargów i wypadków ważnych wojennych, w których Władysław książe kujawski i jego stronnictwo miało wielki udział; lecz gdy mało śladów znajduje się

w dziejopisach w tym względzie, musimy o nich zamilczeć. Wróćmy więc do Władysława.

Powodzenie Jadwigi i Jagiełły pozbawiło odwagi stronników księcia kujawskiego, ich liczba zmniejszała się codziennie, tak, że wkrótce, nie był w stanie czynic oporu siłom, które współzawodnik jego naprzeciw niemu wyprowadził, tudzież ściganiu i napieraniu ciągłemu. Zniewolony był więc ukryć wstyd ucieczki z rodzinnéj ziemi, którą w bezsilnym gniewie obwiniał o zdradę i niewdzięczność.

Niewiedząc co z sobą począć, zdaje się, że około dwóch lat błąkał się po Niemczech. W końcu, ustępując zawistnemu losowi, powziął postanowienie powrotu do klasztoru św. Benigny, który tak niebacznie opuścił, goniąc za urojeniami. Lecz zapadłszy na zdrowiu w Sztrasburgu, zakończył tam swój żywot pełen niepokoju, w dniu 1 marca 1388 w latach już podeszłych. Umierając napisał testament, mocą którego polecił swym domownikom, przenieść zwłoki swe do kościoła św. Benigny (1) i zapisał temu klasztorowi 2500 złotych ówczesnych, ażeby za duszę jego tam odprawiano corocznie nabożeństwo.

Zwłoki jego zostały przeprowadzone do Dyżonu, i pochowano powiada *Favyn, au beau mitan de la nef*, to jest w pośrodku kościoła św. Benigny; lecz dopiero w 50 lub 60 lat po jego śmierci, grób jego został pokrytym kamieniem grobowym, i wtedy zaczęto odprawiać w rocznicę jego zgonu, żałobne nabożeństwo, rocznicą króla *Lancelota* zwane.

Archiwum Benedyktynów nie czyni żadnéj wzmianki o przyczynie nazywania rocznicy żałobnego nabożeństwa, za króla Lancelota: sądzimy, że obchód za duszę księcia Władysława Białego, odbywany corocznie, tak nazwano z powodu porównania jego osoby, do Władys-

(1) Według *Biografii powszechnéj* (Biographie Universelle) Władysław umarł dopiero 1398 roku, w *swoim zakonie*, i że wzniesiono mu pomnik, w kościele świętego *Remigiusza* (Remy). Co jest podwójnym błędem, niepopartym żadném podaniem, ani świadectwem historycznem, a który zbija sam napis grobowego kamienia, dotychczas zachowany. *(Przyp. aut.)*.

sława czyli Lancelota króla neapolitańskiego, zwanego także hrabią Prowancyi i króla węgierskiego, książęcia nieograniczonéj dumy, połączonéj z niesłychaném okrucieństwem. Wstąpił on na tron neapolitański w r. 1386 i był sławnym z kłótni z książęciem d' *Anjou* (andegaweńskim) ubiegającym się z nim o koronę neapolitańską, który go poraził w r. 1411 w bitwie pod *Roquesèche*. Król Lancelot, szczęśliwszy od Władysława Białego, został później uznany królem Neapolu, z krzywdą książęcia andegaweńskiego, gdy ten nie umiał korzystać ze swego zwycięztwa. Książe ten zmarł w r. 1414.

# Z DZIENNIKA PODRÓŻY PO ROSSYI, ODBYTEJ W ZIMIE 1863 roku.

Miasto gubernialne Psków liczące 15,000 mieszkańców, leży po obu stronach rzek Wielkiéj i Pskówki, łączących się z sobą w mieście; pierwsza ztąd zaczyna być przystępną dla parowych statków, których dwa regularny bieg swój latem po znacznéj części rzeki odbywa. Jestto rzeka z bardzo równemi brzegami i przyczynia się do upiększenia tego ponurego zkądinąd miasta. Woda rzek tych jest ciemnego koloru, a mniejsza z nich Pskówka daje z wysokiego mostu wiązanego, straszny lecz szczytny widok w czasie wichrów, bałwaniąc się niby Styx piekielna i rozpryskując dokoła ciemne perły po ciemniejszych jeszcze falach. Most łączący jednę część miasta z drugą przez rzekę Wielką, zrobiony jest z tratew przytwierdzonych łańcuchami do gęsto po obu stronach nawbijanych pali.

Jak wiadomo, Psków był stolicą niegdyś rzeczypospolitéj tegoż nazwiska, zawojowanéj przez Iwana Groźnego po krwawym i długotrwałym oporze; dotąd też jeszcze pozostały wkrąg miasta ciągnące się baszty i mury wysokie z wielu szczerbami i wyłomami do przedłużenia ulic służącemi, z których jeden ma nazwę wyłomu Batorego, którędy ten król wtargnął do zawojowanego przez siebie miasta. Prócz tych murów dokoła prawie ciągną się wysokie wały z głębokiemi fossami, świadczące o silnych niegdyś fortyfikacyach miasta.

W Pskowie mieszka katolików 1,500 z górą; w całéj zaś parafii ciągnącéj się po całéj gubernii, liczba ich do 3,000 dochodzi. Dla téj parafii służy kościół wybudowany w Pskowie, poświęcony przed 6 laty usilném staraniem dzisiejszego proboszcza i przy pomocy gorliwych w wierze parafian, oraz dalszych mieszkańców. W roku 1805 było tu tylko 90 katolików, w roku 1831 liczba ich doszła do 1,000 osób; zrazu była tu jedynie kapliczka pod wezwaniem św. Wincentego a Paulo, który to święty i nadal pozostał patronem całéj parafii. W roku 1850 przybył dla objęcia parafii ks. Missyonarz Witkowski, który znalazłszy parafian w dobrém usposobieniu do pomagania mu w przedsięwziętym zamiarze wybudowania świątyni Pańskiéj, otrzymał Najwyższe zezwolenie na wystawienie kościoła kosztem prywatnym w miejsce kapliczki, która przerobioną została niegdyś z opuszczonéj cerkwi, a która zaledwo 60 osób pomieścić w sobie mogła. Stanął więc murowany kościół pod wezwaniem św. Trójcy, mający już pewny zasób do utrzymania się w zakupionym w mieście przez parafian domu murowanym wraz z dwiema oficynami. Zbudowany on według planu Antemona Janiewicza budowniczego, z kosztorysem złp. 33,866, a dzieło doprowadzone do skutku usilnością dzisiejszego proboszcza i głównie prywatnemi ofiarami. Ma on długości 11 sążni, szerokości 8, a wysokości 5; wymurowany ze skały, na ustroniu tuż przy wałach i dwiema niewielkiemi ostremi wieżycami pnący się ku niebu. Wielki ołtarz wzniesiony według planu Franciszka Szaslera, a wewnętrzna malatura uskuteczniona według gustu tegoż budowniczego i drugiego Justyna Holeniewicza. Strój wewnętrzny kościołka tchnie skromnością, tak spojrzawszy na wielki ołtarz jako i na chórek z organami; ambona rzeźbiona z drzewa i wykładana również skromnie złotem, bardzo jest gustowna. Filary obustronne nawy są czworokątne; okna gotyckie mają w półkolach swoich szyby różnokolorowe. Dwa boczne ołtarzyki czekają jeszcze strojniejszego przybrania; kilka obrazów olejnych zawieszone po ścianach niczgorszego są pędzla. Dla podróżnego kościołek ten brzmiący swojskiemi hymnami organów i przemawiający do strapionéj duszy sło-

wami pociechy, oraz pieniem świątecznem, staje się niebieską oazą. Kuratem kościoła jest wspomniany wyżéj czcigodny ks. Justyn Witkowski kanonik honorowy mohilewski, magister teologii; pomocnikiem zaś w spełnianiu mozolnych obowiązków duchownych w tak rozległe rozsianéj parafii, jest kapelan szkoły gimnazyalnéj, inaczéj wikary, ks. Ildefons Leszczyński, także ze zgromadzenia ks. Missyonarzy. Do szkoły téj uczęszcza uczniów katolików obecnie 20, w szkole zaś wojennéj pskowskiéj znajduje się teraz 250 uczniów tegoż wyznania.

W mieście Pskowie prócz jeszcze ewangelickiego kościoła, znajduje się wraz z kaplicami 34 cerkwi; stosunek to znaczny względem liczby mieszkańców. Cerkwie te prawie wszystkie mają kopuły malowane zielono, gzémsy ceglatéj barwy, a ściany jasno-żółte. Sobór znajduje się na wzgórzu przy wpadnięciu rzeki Pskówki do Wielkiéj i również jak miasto nosi wyraźne ślady starożytnych fortyfikacyj. Znajdują się tam szczątki prawosławnego świętego Gabryela. Lud w Pskowie jak i gdzieindziéj ma być wcale nienabożnym, w niedzielę i święta pracując w najlepsze na polu i w domu. Ruch zimowy w mieście jednoczy się w jeździe saneczkami jednokonnemi, które tu zastępują dorożki, a nazywają się *perelotkami*, biorącemi za kurs od 20 groszy do złotego. Domy tu po większéj części murowane; księgarni nie ma żadnéj: sklepów dosyć, teatr i kilka hotelów.

Tak tu, jak i w każdém innem mieście spotkasz mnóstwo wypaszonych gołębi i wron, oraz kawek, które chmarami obsiadają gzemsy lub z krzykiem krążą około kopuł wielolicznych cerkwi. Gołębi lud nie zabija, lecz owszem szanuje je wielce, a w Moskwie są nawet umyślnie utrzymywane przezeń stare kobiety, które od przechodniów odbierają jałmużnę na karm dla gołębi.

Jadąc np. towarowym pociągiem koleją żelazną od Pskowa, można w trzy dni i trzy nocy stanąć w Moskwie, podczas gdy pociągiem osobowym staniesz w tém mieście za jedną dobę. Wagony na linii kolei moskiewsko-niżegorodzkiéj daleko są wygodniejsze, niż na linii petersbursko-moskiewskiéj; tę pierwszą posiada toż samo Towa-

rzystwo francuzko-rossyjskie, co i koléj warszawsko-petersburską.

W Moskwie między starożytnemi budowlami znajduje się zamek więzienny tak zwany *Tiuremny moskiewski zamek*, najwięcéj przeznaczony on dla zbrodniarzy wszelkiego rodzaju prywatnych, czyli dla kryminalistów. Jest tam i kapliczka katolicka bardzo skromniutka, dla przejezdnych; dla stałych znajduje się cerkiew wewnątrz zamkowego dziedzińca. Zamek ten więzienny w dawniejszych czasach mógł być nieco obronnym; dokoła niego są mury miernéj wysokości. Przy wejściu z bramy do wnętrza, znajduje się prawie prostokątna, wysokości dobrego wzrostu człowieka, żelazna klatka z drzwiczkami od frontu, przykuta do muru. Bok, gdzie są drzwiczki, szeroki jest na łokieć prawie, a dwa drugie o ćwierć łokcia krótsze: bok zaś czwarty odpowiadający frontowemu, stanowi mur, do którego klatka przybita.

Wewnątrz wiszą zardzewiałe ogromne kajdany z prętem żelaznym składanym, mającym u góry obręcz żelazną zapewne na szyję. W téjto klatce stał na cegiełce, znany z historyi kozak uralski Puhaczew, który jako samozwaniec i buntownik został pojmanym w końcu roku 1774, a potém śmiercią straszną skarany. Nad klatką sterczy późniejszy już daszek blaszany, a pod nim dzwonek więzienny; obok zaś ujrzéć można wmurowaną w ścianę czarną tablicę z napisem białym, który prawie dosłownie tak brzmi w spolszczeniu: „Uralski kozak, buntownik Puhaczew pojmany 1774 roku, został przywieziony do Moskwy najprzod w drewnianéj klatce i osadzony w murach mennicy, a potém wsadzony do téj oto żelaznéj klatki, gdzie zostawał w zachodniéj baszcie zamku Tiuremnego, zwanéj ztąd Puhaczewską. Tak okuty w kajdany pokazywanym był narodowi przez dwa miesiące, tojest do czasu kary w roku 1775. Kajdany, które miał na nogach, ważą 22 funty".

Jadąc po zamarzniętéj rzece Oce ku Niższemu Nowogrodowi, ujrzysz to miasto, ojczyznę Minina, którego i pomnik znajduje się w murach tiuremnego zamku, jak wraz z tym zamkiem wznosi się malowniczo na górze,

z pod stóp której można zobaczyć na lewo w oddali łączącą się Okę z Wołgą, przystępną również w zimie do szybkiéj jazdy w strony Kazania.

Zimowa podróż rzadko gdzie, nawet w ojczystych stronach mało ma powabu. Droga wiodąca od Niższego Nowogrodu ku Penzie i Saratowowi jest nader smutna a miejscami bardzo dokuczliwa z przyczyny śniegowych wybojów, choćbyś nawet i najdzielniejszą trójką i z najżywszym *jamszczykiem* (pocztylionem) był powożonym. Sanki pocztowe odznaczają się od prywatnych dzwonkiem zawieszonym u hołobli, który jednak trzeba zmuszać do milczenia według przepisów, przejeżdżając przez miasta gubernialne. Stacye pocztowe zazwyczaj są bardzo dobrze ogrzane, czasami nawet do niezniesienia dla nieprzyzwyczajonych; palą zazwyczaj dębowém drzewem, a gaz jego tak jak i węgle do samowarów używane, nieoswojonych z tém nabawiają bólu głowy. Że miasta po drodze są rzadkie, więc też po stacyach wiejskich rzadko można coś innego znaléźć do pożywienia, prócz herbaty i chleba czarnego. Przy obiadach tutejszych głównie zastawianych kapuśniakami różnego rodzaju i bardzo tłustemi potrawami, zawsze w końcu stawia się kasza pod różną postacią zazwyczaj z mlekiem. Zajęcy i ptastwa dzikiego, jak jarząbków, kuropatw, cietrzewi, głuszców, drachw, wielkie jest mnóstwo po całéj Rossyi, a szczególniéj zajęcy. Są sekty religijne, które brzydzą się zającami, porównywając ich z kotami, od których też obfite tu białe zające mało się na rzut oka różnią; ztąd też zająca bez skóry można tu kupić za 10, 12, a najdrożéj za 20 groszy. Wieśniacy łowią je w ten sposób, iż gromadnie wypłaszają je z lasów i napędzają w zastawione sieci, w których je zabijają pałkami. W guberniach tak zwanych *chlebородnych*, zboże, a ztąd i mąka nader tanie: i tak za 40 funt. żytniéj mąki płaci się 2 złp.; funt pszennéj mąki wypada na 8 groszy i to w najlepszym gatunku: gatunek pośledniejszy płaci się po 6 groszy funt. Mięsa wołowego funt w najlepszym gatunku kosztuje 10 groszy; wieprzowina w miejscach, gdzie są Tatarzy, kosztuje 7 groszy funt; kartofli garncy 16 można dostać za 40 groszy. W ogóle do potraw tutejszych przy-

zwyczaić się mocno trzeba; bowiem i pieczyste tu inne, wyglądając, jakby mięso było tylko sparzone, i włoszczyzny też tu nie znają, która wraz z makiem, z kaszą jęczmienną jest tu białemi krukami między roślinami; cebulę nawet przywożą z daleka. To samo i o piwie powiedzieć można; zamiast też drożdży do pieczywa ciasta, używają drożdży kwasowych, kwas zaś zastępujący tu niby piwo, robią ze słodu mielonego, a potém przerobionego na ciasto i wodą zalanego. Dla znających smak dobrego piwa, jestto nieponętny napój. Wódka dziś w Rossyi tańsza z przyczyny umniejszenia od niéj podatków, w ogóle daleko się różni od wódek znanych w innych krajach: jest bowiem albo zbyt słaba, albo też dziwnym, niby kamforowym zapachem przesiąknięta. Lud wiejski jednak chętnie przy pierwszéj sposobności oddaje się opiowym marzeniom tego napitku.

W porównanie z temi cenami stawiamy tu ceny po miastach większych lub stacyach kolei żelaznych, gdzie za każdą porcyjkę pieczystego lub zupy jakiéjś płaci się od 70 groszy do trzech złotych, i gdzie lichéj wódki kieliszek kosztuje 20 groszy, a piwa bawarskiego butelka od 40 groszy do dwóch złotych. Z tych stacyj najstraszliwszemi cenami odznacza się *Ługa* w połowie drogi od Pskowa do Petersburga; tamto nielitościwie ściągają z przejezdnego za szklankę herbaty z półkieliszkiem araku dwa złote, za porcyą z dwóch kotletów nieznośnych złożoną 4 złote, za piwa bawarskiego butelkę 50 groszy, a za kieliszek czystéj, również nieznośnéj wódki 20 groszy. Mówiąc o stacyach, wspomnieć należy, że na całéj linii od Warszawy do Niższego Nowogrodu, foxale, szczególniéj pierwszo i drugorzędne są bardzo porządne, a niektórych budowla i okazała. Koszt jazdy na téj całéj przestrzeni drugą klassą wynosi 320 złp.; za telegram z 20 słów złożony, płaci się do Warszawy z Pskowa 20 złp., z Moskwy złp. 23 gr. 10, a z Penzy tylko o pół rubla drożéj, tojest złp. 26 gr. 20.

Wsie w guberniach, zacząwszy od pskowskiéj na całéj linii podróży aż do saratowskiéj są bardzo rzadkie; zdarza się, iż szczególniéj w penzeńskiéj gubernii od stacyi do stacyi pocztowéj, tojest w przestrzeni blizko

trzechmilowéj jednę tylko wieś się napotyka, nigdy zaś więcéj nad dwie, co jest już bardzo obficie. Wsie takie jednak są już znaczne, mnóstwo chałup ciągnie się rzędem regularnym; skupione one są ściśle z sobą, ściana jednéj chaty styka się z drugą, nie przedzielona ani podwórkiem, ani też ogrodem, co więcéj, prawie w żadnéj wsi zasadzonego drzewka nie widzisz. W razie pożaru mogą ztąd straszne następstwa przypadać. Ten brak zamiłowania w drzewach widzisz na każdym kroku, wyjąwszy miast większych, gdzie np. w Moskwie wiele jest ogrodów. Chaty te z nieznacznemi kominami albo też wcale bez nich, tak zwane kurne, przepuszczające dym z izby otworem w dachu, od przodu z rzeźbą częstokroć misterną, są przyozdabiane nad oknami i wzdłuż trójkąta dachowego; jednakże zamiłowanie w jaskrawych kolorach psuje te ozdoby. Za to z boków i z tyłu, chaty te nędzny przedstawiają widok, a częstokroć nowe ściany już się schylają do matki-ziemi. Okienka prawie powszechnie opatrzone są okiennicami, lecz brak lufcików przykremi czyni mieszkania nietylko na wsiach, ale i po miastach, wyjąwszy hotelów; gdzieniegdzie tylko spotykać można szyby dające się w górę wysuwać, co jednakże jest bardzo niewygodném. Przy chatach nie ujrzysz nigdzie stodoły; w tak zwanych *chleborodnych* guberniach znać, mało cenią sobie ziarno zbożowe, bo młócka odbywa się przy drogach na śniegu. Cała przestrzeń ku Czarnemu morzu chyląca się, posiada czarnoziem tak doskonały, roślinny, z żadnym żwirem nie pomieszany, iż nietylko z mierzwy nic sobie tam gospodarze nie robią, uważając ją za próżną zawałę, ale nawet uprawienie jest żadne; dosyć tylko jest poruszyć lada czém ziemię, a obfite wyda plony. Wiatraków dużo spotkać możesz, bo lud tutejszy żarn domowych nie zna; nie zna też ani kaszki drobnéj, ani pszennéj lub owsianéj, tak jak i pietruszki, selerów, porów, i t. p.: kawony za to są obfite w saratowskiéj i blizko niéj leżących guberniach, a zarazem bardzo tanie.

Wracając do wsi, wspomnieć należy o pięknym zwyczaju wieśniaków co do troskliwéj gościnności dla niektórych ptaków. Wprawdzie na Wielkiéj-Rossyi nie ujrzysz ani jednego gniazda bocianiego lub jaskółczego,

tak, że lud nie wie nawet, jak nazwać podobne ptaki; ale za to jest tam przyswajany co lato szpak, dla którego przy każdéj prawie chacie znajdziesz przysposobiony przytułek. Sąto małe budki drewniane z otworem okrągłym, najczęściéj przybite do ściany przodowéj nad oknami, lub też czasem utkwione na drążku wysoko przy chacie. Z wiosną, gdy szpak przylatuje z cieplic, z domku znanego sobie należycie wypędza intruza wróbla i tam z swą ukochaną gości dopóty, dopóki nie doczeka się potomstwa, z którém na resztę lata do lasu ulatuje, aby ztamtąd powędrować znów za słońcem, daleko. Szpaki te nazywają się po miejscowemu *skwarcami*.

Lud wiejski w ogóle jest bardzo uniżony: aby tylko zobaczył w zimie szubę, a w lecie czarne ubranie na człowieku, zaraz go wita z daleka ukłonem. Na wigilią Bożego Narodzenia dzieci wyśpiewują wieczorem niby kolędę monotonną, powtarzającą się wciąż piosenkę; w czasie świąt i starsi przychodząc z powinszowaniem po datek, śpiewają także coś przytłumionego i krótkiego. Od tych świąt zaczynają się też przestrajania dziwaczne, niby w zamaskowanych Turków, co nazywają *błahorodnemi maskami*, gdzie ciągłym tańcem jest *byczek*, nakształt kozaka o dziwnych ruchach. Trwają te zabawy do Trzech Króli *veteris stili*.

Kieriński, gub. Penzeńska,
d. 14 stycznia 1864 r.

*J. Grajnert.*

# KRONIKA PARYZKA

## LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Reforma akademii sztuk pięknych. — Broszura Ingra. — Artykuł pana Beulé. — Reforma muzeum historyi naturalnéj. — „Historya cywilizacyi włoskiéj" (Essai sur l'Histoire de la civilisation en Italie par M. Boullier). — Ostatnia opera Auber'a „La Fiancée du Roi do Garbe." — Elektra Sofoklesa, przekład Leona Halevy. — Wiadomości literackie.

Wprowadzone przez hrabiego Nieuwerkerke reformy do akademii sztuk pięknych, rozpętały burzę, która od wydania (Wprowadzone listopada) do dziś dnia grzmi jeszcze. Nieustanna polemika toczy się dotąd w tym przedmiocie pomiędzy rozsierdzoną akademią, któréj się zdaje, iż wraz z jéj przywilejami przepadnie sztuka, a prawdziwemi téjże miłośnikami, którzyby radzi wyzwolić ją z pod zardzewiałéj feruły patentowanych opiekunów.

Każdy postęp walczyć musi z uzbrojoną od stóp do głowy rutyną: to zwykła kolej rzeczy. Tą razą postęp nietylko na jedno oderwane prawo nastaje, ale zahacza całą korporacyą możną a zazdrosną, przyuczoną do samowoli, a okopaną w swéj szkole, niby w feodalném zamczysku, nie ulegającém prawu powszechnemu.

Nie ograniczając się na polemizowaniu z nieprzyjaciołmi po przeglądach i dziennikach, akademia posłała cesarzowi *protestacyą*, którą umieścił Monitor. Jednocześnie ogłoszona odpowiedź ministra domu cesarskiego i sztuk pięknych, zbiła wszystkie argumenta akademickiego adwokata. Podrażnieniu miłości własnéj, marszałek Vaillant przeciwstawił pogodne i niezłomne postanowienie zdrowego rozsądku. Konieczność reform pokazała się jasna jak słońce.

Spór w sferze administracyjnéj skończony, przeniósł się na bruk paryzki; akademia appellowała do najwyższego trybunału opinii publicznéj. Sekretarz dożywotni p. Beulé, ogłosił w *Revue des Deux Mondes* artykuł, w którym usiłuje dowieść niedorzeczności proponowanych reform, oraz ogromu krzywd, jakie rząd zamierza wyrządzić akademii.

Zanim poznamy ten artykuł, przejrzyjmy przywileje, których jako praw swoich dopomina się akademia.

Szkoła sztuk pięknych przedstawiała najprzód tę niewłaściwość, że za pomocą wyborów sama siebie tworzyła. Professorowie przy zamkniętych drzwiach wybierali sobie kolegów. Potwierdzenie ich wyboru przez ministra było prostą formalnością. Wada organiczna szkoły leżała w téj możności odradzania siebie saméj po za wszelką kontrolą; szkoła miała swoją ortodoxyą artystyczną i do grona swego wpuszczała tych tylko, którzy jéj się poddali. Członkowie się zmieniali, ale ciało pozostawało w nieruchomości; professorowie w 1863 roku wyobrażali też same przesądy co w r. 1819, chwili swojego ostatniego urządzenia: byłto rodzaj kasty indyjskiéj, leżącéj kamieniem pośród ogólnego prądu postępowéj społeczności. Odpychająca wszelką nowość, uwieczniająca przestarzałe teorye, akademia podobną była do owych rodzin arystokratycznych, które obcując tylko z krewnemi i pomiędzy sobą zawierając małżeństwa, w końcu marnieją, brakiem przypływu krwi młodéj.

Nauka, jaką dawała akademia sztuk pięknych, była zupełnie niedostateczna: tak w malarstwie jak w rzeźbie, ograniczała się na lekcyach rysunku. Uczniowie malować i modelować uczyli się po za szkołą, w pracowniach niektórych professorów swoich za opłatą. W szkole nauczyciele dawali tylko pierwszych początków sztuki; ażeby się nauczyć czegoś więcéj, trzeba było iść za nimi do domu.

Cóżby powiedziano o uniwersytecie, w którymby professorowie z katedry uczyli tylko przepisów syntaxy, a naukę układu i stylu zachowywali sobie na lekcye prywatne?

Akademia tak czyniła: była téż szkołą nic nie uczącą.

Wyuczeni po za szkołą, ale przez jéj członków, uczniowie przybywali do niéj na konkurs przesiąkli duchem ciasnym, zabraniającym wszelkiéj śmiałości, krępującym każdy wyskok rodzącego się talentu, narzucającym wszelkiéj zdolności jeden i tenże sam nizki poziom stylu scholastycznego.

Pośród społeczności, która odnowiła świat, szkoła pozostawała jeszcze w swéj starożytności sztucznéj z ideałem naśladownictwa. Podczas kiedy ludzkość biegnie z szybkością pary, rekrutując codzień to nowe hufce robotników postępu, ona jeszcze nie rozpuściła wysłużonych Greków Dawida i Trojanów Guérin'a.

Uczeń pragnący wziąć udział w konkursie, musiał starannie ukrywać wszelką oryginalność osobistą; im niewolniczéj naśladował nauczycieli, tém pewniejszego mógł się spodziewać powodzenia, gdyż nauczyciele byli zarazem jego sędziami. Professorowie przedzierżgnięci w przysięgłych, otwierali drzwi Rzymu swoim wyznawcom, a zamykali je przed odszczepieńcami.

Dekret 13 listopada nagle przeistoczył z gruntu tę spróchniałą budowę. Dość wymienić objęte nim reformy, ażeby czytelnik ocenił ich wartość.

Konkurs o wielkie nagrody zachowany dotąd dla samych wychowańców szkoły, jest otwarty dla wszystkich młodych artystów.

Konkurujący będą sądzeni przez sędziów przysięgłych, nie przez wyłączną koteryą.

Mianowanie przez ministra, dyrektora czasowego, poddaje szkołę prawu powszechnemu. Odejmując jéj władzę mianowania swoich professorów, dekret w miejsce oligarchii samowolnéj, stawia władzę wolną od sekciarstwa i rachującą się z opinią publiczną. W przedmiocie sztuki państwo nie ma systemu; będzie więc wybierało nauczycieli, których wskaże wybór powszechny: tym sposobem błędy, jakie popełnić może, nie będą wieczne; wszystkie smaki i wszystkie doktryny zasiądą w radzie wyobrażającéj wybór opinii w przedmiocie sztuki.

Tak wolnomyślne rękojmie rozszerzą koniecznie nauczanie. Rzeczywiste konkursa zastąpią dawne, wrzekome. Nauka historyi rozwinie intelligencyą uczniów

ograniczoną teraz do kilku legiend starożytnych; nada im wiedzę powszechną, bez której artysta jest tylko mniéj więcéj zręcznym rzemieślnikiem. Historya sztuki smak ich wykształci a umysł wyswobodzi, oprowadzając go po rozmaitych szkołach. Archeologia, którą zaledwie widzieli zdaleka, wprowadzi ich w rzeczywistość przeszłości. Zaprowadzenie w szkole pracowni malarskich, rzeźbiarskich i sztycharskich, zapełni wyż wspomnianą próżnię.

Nie na tém koniec.

Szkoła nauczała jakiéjś idealnéj architektury; uczniowie tracili czas na rysowaniu budynków urojonych, nie będących w styczności z obyczajami i potrzebami dnia dzisiejszego. Uczono ich budować w powietrzu; nie mieli żadnego pojęcia o praktyce. Dekret zapełnia i tę szczerbę. Kursa geometryi, chemii, geologii, administracyi i budownictwa praktycznego dadzą młodym architektom wykształcenie praktyczne, bez którego umieli rysować na papierze plany Forum i Panteony, a nie umieli wybudować prostéj chałupy.

Takie są główne punkta dekretu 13 listopada. Rząd cesarza Napoleona w dniu jednym spełnił ulepszenia, których się domagano przez lat sześćdziesiąt; jedném pociągnięciem pióra przeciął nadużycia zakorzenione w twardém ciele; jestto dla sztuki postępowe *Coup d'Etat.*

Na czele licznego zastępu przeciwników reformy stanął pan Ingres, malarz, senator i rozpoczął bój olimpijską broszurą.

Francuzi mówią o zbyt gorliwych monarchistach, iż są *„plus royaliste que le roi"*; o Ingrze powiedziećby można, iż jest więcéj Rafaelowski, niż sam Rafael. Wielki artysta, którego cały żywot był nieustanném przeobrażeniem, dla Ingra jest niezmiennym dogmatem sztuki. Biada temu, kto się przeciw niemu buntuje.

W romantyzmie Ingres upatruje jakąś apokalyptyczną bestyą siedmiogłówną, którą nie dobrze rozeznaje, ale któréj się lęka okrutnie! Kolor, realizm, nowoczesna literatura i sztuka przemysłowa wchodzą w skład téj urojonéj potwory, którą Ingres „plagą Francyi" zowie. Zdaniem jego „rysunek jest całą sztuką; materyalnego sposobu malowania nauczyć się można w tydzień".

Jestto teorya klasztorna góry Athos, gdzie mnisi od tysiąca pięciuset lat fabrykują odbicia malatur bizantyńskich za pomocą nieomylnéj recepty. W tym przybytku tradycyi artysta kalkuje i koloruje świętą osobę, podobnie jak bóbr dom swój stawia, albo ptak gniazdo lepi.

Możnaby długo szydzić, bo przedmiot się nadaje, ale poszanowanie dla sędziwego ministra wstrzymuje nas od nicowania jego teoryi. Zresztą, cóż odpowiadać na twierdzenia bez dowodów? Ingres zowie szkołę sztuk pięknych „Świątynią Apollina". Apollo był bogiem wyroczni; ich też językiem Ingres broni akademii. Nietylko wyroki wydaje, ale wygłasza dogmata pontyfikalnie. Rzecz widoczna, że dla niego sztuka jest religią, nie doskonalszą, ale niezmienną, zatrzymaną w pewnéj epoce, któréj on mniema się być nieomylnym naczelnikiem. Któżby się ważył wbrew papieżowi dyskutować kwestye wiary lub obrzędu?

Z panem Beulé, sekretarzem dożywotnim akademii łatwiejsza sprawa. Gdyby zarozumiałość pisarza o wartości jego stanowiła, natenczas wypadałoby uderzyć czołem przed jego sławnym artykułem, ogłoszonym w *Revue des Deux Mondes*. Najwyższa sława nie zdołałaby usprawiedliwić tonu, w jakim przemawia.

Tymczasem, p. Beulé nie jest żadną znakomitością: właściwie nazwaćby go można dorobkowiczem erudycyi. Rozpoczął karyerę odkopaniem w Atenach paru schodów, które zawiodły go daleko.... Książka o Akropolis, miernéj wartości naukowéj a nadzwyczajnéj oschłości; dramat p. t. „*Fidyasz*" naśladowanie Dyalogów Platona; *Studya rzeźby greckiéj* strasznie zapylone— oto cała zasługa literacka pana Beulé członka Instytutu i dożywotniego sekretarza akademii.

W charakterze tego ostatniego dostojnika, wygłosił niedawno pochwałę Horacego Verneta, która jest wzorem napuszystéj frazesologii. Pan Beulé podobnie jak archeologiem, mógłby być inżynierem: w pismach jego nie znać żadnego zamiłowania rzeczy, któremi się zajmuje. Rozprawia językiem umarłym o nieśmiertelnéj sztuce; gada o niéj wiele, i niezgorzéj, ale bez żadnéj oryginalności, i na zi-

mno. Znać że do Grecyi starożytnéj wszedł, jakby wszedł do administracyi szkoły dróg i mostów.

Chłód ten czuć nawet w artykule, w którym pan Beulé widocznie zapalić się pragnął. Fałszywa napuszystość adwokata akademii, odstręczała tych nawet, co z nią trzymać byli gotowi.

Mając bronić szkoły sztuk piękych, pan Beulé przenosi się do szkoły rzymskiéj, przez nikogo nie zaatakowanéj: umyślnie wprowadza zamęt do rozprawy, żeby ją mniéj zrozumiałą uczynić. Dekret zdaniem jego, obala francuzką szkołę rzymską. Sztuczna to ruina, wynaleziona *ad hoc*, służy mu zarazem za piedestał i warownią; stawia go jako obrońcę wielkiéj sztuki: dawną jéj sławą pokrywa drobne interesa, których broni.

Pierwsza część téj mówki pogrzebowéj, wyrzeczonéj nad próżnym grobem, poświęcona jest sławieniu szkoły rzymskiéj i wywoływaniu jéj cieniów, inaczéj bowiem uczniów rzymskich nazwać nie można.

Na czterdzieści dziewięć wielkich nagród do rozdania od 1801 do 1850 roku, pan Beulé z wielką pracą i pobłażaniem rachując, wymienił dwadzieścia pięć rozdanych. Na dziewięciu sięgających po laury pejzażystów, mógł tylko wymienić jednego. Pomiędzy rzeźbiarzami znalazł dwudziestu wybranych, na trzydziestu trzech wybieralnych. Na trzydziestu pięciu sztycharzy, wymienił siedmiu, a ośmnastu architektów na pięćdziesięciu jeden konkursistów.

Najlepszą odpowiedzią na to wyliczenie sztucznych znakomitości szkoły rzymskiéj, jest przeciwstawienie spisu wielkich artystów społeczesnych, którzy z niéj *nie wyszli*: Gros, Prudhon, Géricault, Delacroix, Decamps, Ary Scheffer, Horacy Vernet, Delaroche, Chasserieu, Robert Fleury, Diaz, Roqueplan, Meissonnier, Aligny, Corat, Rousseau, Dupré... Wymieniam tylko nazwiska na pierwszy apel nasuwające się pamięci. Spis zupełny, wykazałby ogromną wyższość szkoły swobodnie ukształconéj w walkach, nad szkołą wyniańczoną w Rzymie przez tradycyą.

Od panegiryku Beulé przechodzi do polemiki. Napastuje najprzód sąd przysięgłych mający zastąpić na kon-

kursach sądy akademickie: usiłuje zwalić najmędrsze rozporządzenie dekretu, twierdząc że po za pseudo-greckim i pseudo-rzymskim stylem, który akademia przyjęła, jest tylko potworność.

Dekret cofa do lat dwudziestu pięciu granicę wieku kandydatów do wielkich konkursów. Pan Beulé utrzymuje, iż to zastrzeżenie zuboży szkołę rzymską. Prawdopodobnie pokrzepi ją, odmładzając jéj kardy i usuwając kandydatów niezdolnych. Artysta, który w dwudziestu pięciu leciech nie okazał talentu, nie będzie go miał nigdy. Przy pamięci i pracy, będzie mógł wykonać jaką nie złą kopią, ale żywego dzieła nie stworzy.

Dekret ubożący szkołę rzymską, zdaniem pana Beulé, rujnuje, odziera szkołę sztuk pięknych. Kilka osób zapisało akademii summy przynoszące jéj rocznie do trzech tysięcy franków, z poleceniem rozdania takowych pomiędzy ubogich uczniów, otrzymujących pierwsze nagrody. Zapisy te teraz chybiają przeznaczenia. Sekretarz dożywotni żałośnie woła: akademia traci swoje dochody a młodzież zasiłek! Gdyby miał opisywać splądrowanie świątyni przez Heliodora, tragiczniejszym nie ozwałby się tonem. Ale kogóż wzruszą te jęki. Marszałek Vailiant odpowiadając akademii, oświadczył, że kierunek sztuk we Francyi nie może być tamowany okresami testamentów; trzy tysiące dochodu okupione bezwładnością, jest za drogiém dobrodziejstwem. Przyjmując je, sztuka zawarłaby ugodę Ezawa: za drobny dochodzik, sprzedałaby swoje prawa do postępu.

Dekret z pięciu redukuje do dwóch lat obowiązkowy pobyt w Rzymie. Artyści, którzy otrzymają wielką nagrodę, będą mogli trzy lata poświęcić, wedle upodobania, podróżom naukowym.

Rozporządzenie powyższe jest rzeczywistą emancypacyą. Skrócić zbyt długi pobyt w szkole, jestto przyspieszyć dojrzałość talentu.

Zdawałoby się, że zdolnemu młodzieńcowi nader łatwo tworzyć piękne dzieła w pałacu pełnym posągów i cienia, zbudowanym na Monte Pincio, niby obserwatoryum odwiecznego miasta, żyjąc pod piękném niebem

wśród przecudnego szczepu, wolnym od powszednich kłopotów. Rzym dostarcza uczniom najwspanialszych zwalisk historycznych, najpiękniejszych malowideł i najprzedniejszy wybór posągów starożytnych.

Prawda. A jednak nic rzadszego, jak świetne dzieło przybywające z Rzymu. Zazwyczaj talenta tam usychają, jakby owiane duchową malarią.

Zkąd ten wpływ fatalny? Z ducha miejscowości: z ucisku mistrzów i służebności, jaką budzą w zbyt długo w ich chwałę zapatrzonych artystach; z tego steku arcydzieł, od których każda kopia będzie słabsza, a w nieudolnéj ręce tak łatwo z olbrzyma w karła przejdzie.

Rzym jest klasztorem, wprawdzie obszerniejszym od innych, ale zawsze klasztorem. Przez pięć lat spędzonych w jego cieniu, może zardzewieć najsilniejszy talent. Uczniowie zamknięci w willi, żyją tylko z sobą, pyszni z scholastycznych wawrzynów a pogardzający nowemi pojęciami: ich płótna i gipsy, są okopem odcinającym ich od reszty żyjącego świata. Tracą z oczu swoją epokę i swój kraj, stają się zakonnikami Monte-Pincio. Skoro po długiém wygnaniu powracają do Francyi, jeżeli nie są nadzwyczajnie silni, już nie mogą dognać prądu, który upłynął podczas ich nieobecności. Z palm ich rozwiną się zwiędłe kwiaty, znajdą się obcymi w ruchu, którego nie rozumieją: rzekłbyś mnisi powracający do świata.

Skrócając pobyt uczniów w Rzymie, dekret oddaje im wielką przysługę: co nadto, to nie zdrowo.

Przez następujące trzy lata mogą bujać po całym świecie i powołanie swoje kształcić dowolnie. Na tę swobodę daną uczniom, pan Beulé mocno się zżyma. Słysząc jak się oburza, sądzisz, iż rząd zburzył willę Medyceuszów i owies na niéj sieje... Tradycye i godność przepadła! przepadło braterstwo! Sztuka zagrożona! Na nieszczęście, dziwnie jéj broni sekretarz dożywotni: „Grecya, Konstantynopol, Jeruzalem, Hiszpania, Afryka, powiada, wzywać będą przyszłych pensyonarzy: jakżeżby tam nie pośpieszyli z zapałem. Ale przez ten czas w co się obróci sztuka malowania? Czy w oberży znajdzie się pracownia? Czy rzeźbiarz będzie woził ze sobą słup marmuru, a sztycharz miedziane blachy? Najrozsądniejsi osię-

dą w innéj jakiéj stolicy. Przyznajcie, że warto opuścić Rzym, żeby osiąść w Londynie lub Berlinie"

Cóż odpowiedzieć na pytanie, czy artysta znajdzie pracownią w karczmie? Ależ, nawet nie pod dachem, lecz pod namiotem rozbitym w marokańskiéj pustyni, Eugeniusz Delacroix rysował niezliczone szkice, które zapełniły większą część jego obrazów. Decamps w karawanseraju Azyi Mniejszéj, kreślił swoje wschodnie poematy. Na łodzi płynącéj po Nilu, Marilhat przysposabiał płótna odzwierciadlające tak cudnie słoneczny Egipt. Gdyby ci trzej artyści przesiedzieli internowani w Rzymie, lata swéj najbujniejszéj młodości, zamiast malowniczego Wschodu, który pokazali Europie, zostawiliby pewnie, kilka bladych kopij Dominiquina lub Rafaela.

Pan Beulé, jako strony szkodliwe sztuce, wskazuje kraje najpiękniejsze na świecie.... kraje, gdzie ród ludzki zachował pierwotną powagę; gdzie natura dobiega do wielkości, jakiéj nie dosięga nigdzie; zkąd, jakby karawana obładowana skarbami, powrócili francuzcy pejzażyści.

Chociażby tak nie było, niepotrzebnie się obawiać dalekich podróży: Europa uczniom akademii wystarczy. Każdy uda się tam gdzie go instynkt powoła, bo talenta mają swoją ojczyznę, równie jak ciała. Ci, których kolor wabi, pojadą do Wenecyi, lub do Rubensowego ogniska. Ci, którzy charakter nad styl przekładają, co wolą naśladowanie energiczne rzeczywistości nad poszukiwanie ideału, pojadą do Madrytu lub do Amsterdamu, uczyć się od Rembrandta i Valasquez'a. Większość, nie opuści Italii tak rozmaitéj w swéj majestatycznéj jedności. Zwiedziwszy Rzym, zatrzymają się, wedle temperamentu, jedni we Florencyi, inni w Pizie, w Medyolanie lub w Siennie. Tylko Bolonii strzedz się powinni: była to szkoła sztuk pięknych epoki odrodzenia. Tam ono przepadło zaduszone w professorskich pracowniach.

Rzeźbiarze pozostaną w Rzymie, bo to jest stolica ich sztuki. Porzucić go mogą tylko na chwilę, dla studyowania bronzów neapolitańskiego muzeum. Materyału do pracy im nie braknie: tyleż znajdą marmuru na Pausilippie ile na Monte-Pincio.

Wytknęliśmy wszystko, co wydało nam się niedorzeczne w elukubracyach nie przyjmującéj reform akademii. Opozycyą tak słabo i fałszywie się broniącą, z góry za zwyciężoną uważać należy. Dotąd jeszcze ta kwestya pomiędzy żywotnemi mocno hałasuje; burza jeszcze grzmi w najlepsze. Ale burza to płodna, która po sobie użyźnione pole zostawi. Akademia sztuk pięknych niechybnie rzeczywiste swe dobro zrozumie, i odłączy swą sprawę od sprawy sekciarzy. Cóżkolwiekbądź, mimo krzyków i protestacyi, dekret tak potężnie pomagający do rozwoju sztuk pięknych, spełnionym będzie, i zostanie w przyszłości jako jeden promień więcéj w aureoli chwały Napoleona IIIgo.

Nastąpi także wkrótce reorganizacya Muzeum historyi naturalnéj, które oddawna nie odpowiada już potrzebom swojego czasu.

*Monitor* ogłasza raport ministra oświecenia, zwracający uwagę cesarza na niedostatki administracyi tegoż muzeum i podający poprawki.

Minister proponuje: 1$^{sze}$ mianowanie dyrektora, nie rocznego, co jest zbyt krótką władzą do przeprowadzenia wszelkiego ulepszenia; nie dożywotnego, bo zależy na tém, żeby muzeum nie pozostawało przez ciąg życia człowieka, pod jednym i tymże samym wpływem naukowym; ale pięcioletniego, wybranego przez cesarza z pomiędzy trzech przez zgromadzenie przedstawionych kandydatów.

2$^{re}$ Poddanie pod zatwierdzenie władzy centralnéj obrad zgromadzenia, nie na to żeby dać ministrowi prawo drobiazgowego nadzoru, ale na to, żeby w każdym ważniejszym razie mógł, w imieniu interesu publicznego, którego jest wyobrazicielem, stanowić w naradach zgromadzenia.

3$^{cie}$ Wprowadzenie mianowanego przez ministra rachmistrza do zarządu ekonomicznego; do nadzoru zaś téjże rachunkowości, oraz jéj rocznych sprawozdań we wszystkich gałęziach muzeum, komissyi, w któréj skład wchodziliby członkowie rady stanu, izby obrachunkowéj i ministeryum finansów.

Nie ulega wątpliwości, że powyższe główne reformy, oraz wiele drobnych które raport ministra zawiera, zosta-

ną potwierdzone przez cesarza, z jego bowiem natchnienia wejrzano bliżéj w skład instytucyi, będącéj dzisiaj niepożytecznym ogółowi majoratem naukowym.

---

August Boullier wydał pierwszą część dość poważnego dzieła pod tytułem: *„Essai sur l'Histoire de la civilisation en Italie"*.

Na wstępie pan Boullier dowodzi, że oświata włoska zaledwie dotknięta inwazyą, nie wzięła od Germanów nic: ani obyczajów, ani wyobrażeń, ani sztuki, ani języka; że cała wychodzi ze starożytnego gruntu, odnowionego chrześcianizmem. Przytém autor zwraca uwagę, że oświata włoska nigdy nie szerzyła się za pomocą zbrojnéj propagandy. Ogromny jéj wpływ na Europę, był zawsze duchowy, moralny i pokojowy; a wpływ to tém chwalebniejszy, że wywierały go ludy słabe na ludy mocniejsze, podobnie jak Grecy w starożytności.

Ta przewaga tradycyj starożytnych w cywilizacyi włoskiéj, uwydatnia się, od wieków średnich począwszy, w różnicy znaczenia miast i wiosek.

We Francyi i w Anglii szlachta długo panowała i rządziła wyłącznie. Wiele miast utworzonych po inwazyi, pokornie ugrupowały się u stóp pańskiego zamku lub opactwa; miasta były poddanemi i nie miały żadnéj władzy: pan był wszystkiem.

We Włoszech przeciwnie: miasta prawie bez wyjątku starożytnego pochodzenia, liczniejsze i ważniejsze niż gdziekolwiekbądź, rychło nad wsiami górę wzięły; municypalności zaledwie wydobywszy się z zamętu, pochłonęły feodalność. Było tam szlachty więcéj niż gdzieindziéj, bo wyszła nie tylko z podboju, ale z każdego rodziła się zawichrzenia; każdy szczęśliwy condottiere, każdy podesta zostawiał swoją dynastyą; ale chociaż było szlachty wiele, rzeczywiste szlachectwo nie istniało.

Organizacya feodalna była słaba: nie miała nigdy węzłów hierarchicznych, ani zasad ogólnych potrzebnych do sklejenia wszystkich stronnictw tego wielkiego ciała bez duszy. Dla nadania sobie powagi, szlachcic musiał podszywać się pod mieszczaństwo, to jest wypierać się

swéj kasty. We Florencyi szlachta ustawicznie mieszała się z mieszczanami; w Wenecyi patrycyusze trudnili się handlem i tyle tylko znaczyli, o ile brali udział w interesach rzeczypospolitéj.

Daléj pan Boullier mówi o zabiegach i rządach owéj demokracyi, któréj wpływ był tak przeważny, zanim ją zbyt wielka ambicya zabiła podżegając do wojen z przemożnymi sąsiady.

W tych ciągłych starciach ludność włoska nabyła pewnéj niepodległości; nauczyła się rządzić sama: stała się światłą, bogatą, bardzo przemysłową, ale zarazem bardzo burzliwą. Z tego stanu rzeczy wyszła oświata nagła i świetna, która miała tyle ognisk, ile miast było kwitnących wszechstronnie na italskim półwyspie. Ztąd owe arcydzieła pędzla i dłuta, i ta nieśmiertelna falanga pisarzy stanowiących chwałę Italii.

Wszystkie klassy naówczas kolejno dochodziły do władzy: światło przenikło najniższe warstwy społeczne i uwydatniło istniejące tam talenta.

Boullier przedstawia dobre i złe strony demokracyi: wykazuje jéj płodność, ale zarazem i tyrańskwo będące cechą Włoch rozdrobnionych na małe państewka. Czy owe oligarchie zwały się jeszcze rzeczpospolitemi, czy téż urządziły się jako księstwa, rządziły tylko siłą. Sroga tyrania wynikła z częstych rewolucyj: powodzenie usprawiedliwiało wszelakie zbrodnie. Moralność polityczna wraz z poczuciem obowiązku opuściła sumienia; zawiść i ciągła walka, trzymały miasta monarsze w koniecznem odosobnieniu: tylko potężny i natychmiastowy interes łączył je czasami na chwilę. Chwała starego Rzymu ciężyła na nich okropnie. Drobne rządy małość swoją zasłaniały wielkiemi tytułami: w najmniejszéj mieścinie byli senatorowie i konsulowie. Wszystkim się zdawało, że czasy Brutusa i Pompejusza nie przeminęły. „Italia chciała mieć dwóch panów: cesarza i papieża, żeby nie słuchać żadnego," powiada kronikarz z Xgo wieku. W końcu była gotowa słuchać jednego, ale już było zapóźno.

Sądzimy, iż pan Boullier myli się utrzymując, że lud sprowadził do Włoch cesarzy niemieckich: sami papieże

zawezwali ich interwencyi celem pobijania książąt włoskich, którzy stawili zaporę szerzeniu władzy papiezkiéj. Toż wiadomo, że Stefan wezwał Pepln'a w 754 r.; że Adryan zaklinał Karlomana, żeby mu przyszedł na pomoc (773); że Agapet i Jan XII wzywali kolejno Ottona w 950 i 962 roku: że wreszcie, jeżeli teraz wojska francuzkie stoją w Rzymie, to nie zwoli rzymskiego ludu, ale z woli Piusa IX.

Pominąwszy zbyt wielką może względność autora dla papieżów, pogląd jego jest bystry: dzieło wynikło widocznie, z mnogich i sumiennych poszukiwań. Znajdujemy w niém znakomitą ocenę społeczności rzymskiéj w chwili inwazyi Germanów, oraz podboju Longobardów. Boullier mówi nie mniéj uczenie o Ojcach kościoła, koncyliach i całéj hierarchii duchownéj. Daléj rozbiera prawodawstwo rzymskie i kodex barbarzyńców: przebiega kodex Justyniana, Juliana i Teodozyusza; następnie kodex Teodoryka, rozmaite ustawy Germanów, i porównywa takowe z rzymskiemi.

Obyczaje tych ludów tak różnych są opisane niepospolicie. Starożytna oświata rzymska zestawiona z tegoczesną cywilizacyą Italii, przedstawia podobieństwa i sprzeczności bardzo ciekawe i nauczające.

Drugi tom *Historyi cywilizacyi włoskiéj*, stanowiący koniec pierwszéj części dzieła, zawiera pogląd na piśmiennictwo.

Język łaciński był językiem bogów. Na widok barbarzyńców, nieśmiertelni bogowie uszli z Italii, unosząc z ziemskiego mieszkania wszystkie narzędzia wyrażania swych myśli. Piśmiennictwo piękne przepadło. Język dawny nie przypadł do wzrostu nowych zdobywców. Stała się niezmierna próżnia w społeczności pogańskiéj. Wśród zamętu rozpaczy i grubych ciemności, dusza téj społeczności szukała siebie sama; znalazłszy się zeszpeconą fizycznie i moralnie, skamieniała z przerażenia, i nie mogła ani cofnąć się, ani naprzód postąpić.

Taka była postawa piśmienictwa starożytnego podczas jego przeobrażenia. Skoro ludzie wykształceni ujrzeli się wśród zgliszczów, zasypani gruzami uczonych posągów, sami zmienili się w posągi, i wśród grobowego

milczenia, słychać tylko było grzmot walących się miast i trzask niszczącego płomienia.

Po tém gwałtownem rozkruszeniu cesarstwa i społeczności, ciemność zawisła nad rzymskim światem i pochłonęła go na zawsze: dzicz zajęła jego miejsce.

Podczas długiego snu oświaty, dokonywała się przez długie wieki ciemnoty i zbydlęcenia, praca powolna ukryta w umysłach. Tam nowe pojęcia się kształtowały i rozwijały coraz więcéj, aż wybuchły na zewnątrz z siłą nadzwyczajną w nieznanym przedtem języku. W owéj to chwili Dante ukazał się zdumionemu światu. Jego przyjście jest zarazem urodzinami włoskiego języka, połączeniem i wskrzeszeniem pociętych członków wielkiéj włoskiéj rodziny.

Szkoda, że autor tak pięknie o wskrzeszeniu téj rodziny rozumujący, zupełnego jéj zjednoczenia nie pragnie. „Francya, powiada, oswobodzi Włochy od Alp do Adryatyku. Ale wtedy my, w zamian za niepodległość, będziemy mieli prawo żądać od Italii, ażeby się urządziła na podstawach najmniéj przeciwnych interesom Francyi. Po tém co zaszło, nie może już być mowy o federacyi. Ale możnaby podzielić Włochy na dwa królestwa, któreby się wspólnie równoważyły: jednoby miało za stolicę Medyolan, drugie Neapol; pomiędzy niemi małe państewko papieskie mogłoby się pomieścić z Rzymem za stolicę".

Nie podejmujemy się godzić sprzeczności takiéj konkluzyi z resztą poglądu; powiemy tylko, że takie rozwiązanie wydaje nam się nie możebne, bo równowaga zerwanąby została nazajutrz po przyłączeniu się papiestwa do północnego lub południowego królestwa. Nadto, możnaby spytać autora, w czém Italia podzielona, była kiedy pożyteczną Francyi? Czy za Ludwika Świętego? czy za Filipa Pięknego, Ludwika XIgo, Karola VIIIgo, Ludwika XIIgo, Franciszka Igo, Henryka IVgo, Ludwika XIVgo; czy za Napoleona była jéj sprzymierzeńcem? Czyż nie znane krwawe porażki, których tam Francya wielokrotnie doznała, i ofiary jakie skutkiem ich poniosła? Czyż nie wiadomo, że drobni monarchowie półwyspu a mianowicie papieże, zawsze przeciwko Francyi się obracali?

Podział Włoch nie jest więc zabezpieczeniem Francyi; historya aż nadto tego dowodzi: jedynym sprzymierzeńcem szczerym, bo jedno plemiennym i jedną myślą ożywionym, byłyby *Zjednoczone* Włochy dla *bezinteresownéj* Francyi.

---

Ostatnia opera Aubera „*La Fiancée du roi de Garbe*", znowu za Alpy nas przenosi. Libretto téj sztuki wyjął ś. p. Scribe z *Dekameronu* Boccacia. Dość wymienić to nazwisko, ażeby czytelnik poczuł smak wątku, na którym haftował Auber. Rozwiązły Florenczyk zuchwalej niż Don Juan urągał śmierci. Poeci epiczni gnieździli czasem ptaka Wenery w rycerskim hełmie; śmielszy od nich Boccacio, ptakowi miłości każe śpiewać w trupiéj głowie.

Wiadomo kiedy pisał sławnego *Dekamerona*. W chwili przedświtu zorzy odrodzenia, roku Pańskiego 1318, czarna zaraza dziesiątkowała czarowną Florencyą. *Mający umrzeć* gromadzili się na publicznych placach i processyonalnie szli *sami* na miejsce wiecznego odpoczynku: śmiertelnie chory ksiądz, na czele idąc, nad nimi i nad sobą śpiewał *dies irae*. Z cmentarza żaden taki kondukt nie wracał. Tak *ostatki* swoje we Włoszech obchodziły wieki średnie.

Podczas téj straszliwéj śmiertelności i żałoby powszechnéj, siedm młodych dam i trzech kawalerów spotkawszy się we florenckim kościele Santa-Maria Novella, postanowili uciec razem z zarażonego grodu. Jedna z dam ofiarowała swoją willę i do niéj podążyło wesołe grono ucztować w obec niechybnéj śmierci. Tańce, hulanka, swawola, brzmiały w willi, podczas kiedy z daleka dolatywał odgłos dzwonu konających... Zefir oprószający srebrne kwiaty pomarańcz, był może zatruty oddechem ziejącéj w około zarazy, ale nikt nie dbał o to. Wieczorkiem o chłodzie, goście willi Pampinea zasiadali na murawie i opowiadali sobie kolejno miłosne przygody. Przez dni dziesięć opowiedzieli takich bajek sto.

W takich czasach, z takich powieści, złożył swego *Dekamerona* Boccacio.

Geniusz odrodzenia ocknął się podobnie jak zasnął geniusz pogański, urągając śmierci. Rzecz godna uwagi, że we wszystkich *sądnych dniach* historyi, niby miłosierdzie nad skazanymi, rodzi się w ludziach jakieś niedbalstwo o dziś i jutro: śpiewają chórem piosnkę Gennara *z Lukrecyi Borgia*.

*Dekameron* jest satyrą społeczności mrącéj, czytaną głośno obok jéj śmiertelnego łoża. Nikt nie ujął się za nieboszką! Skoro wypełnią się czasy, lat kilkanaście wystarcza do odwrócenia w umysłach wiekowego prądu. Pół wieku dzieli zaledwie *Dekamerona* od *Boskiéj komedyi*, a przechodząc z jednéj do drugiéj księgi, zda ci się, że z północnego na południowy biegun się przenosisz. Antypodą stu pieśni Danta, są sto powieści Boccacia. Poeta przepełniony miłością i nienawiścią, rodzinne miasto przenosi aż na tamten świat, czyniąc zeń jakąś piekielną i niebiańską Florencyą. Bajarz pieje swe bajki po całym globie i zakłada urojoną stolicę *Cospopolis*, która zastępując Rzym idealny, przez długie wieki była stolicą moralną niedbałéj Italii. Średniowieczne namiętności, które Dante w piekle jeszcze przedłużył, w *Dekameronie* prawie nie istnieją: wieki średnie, czarne jak węgiel w *Boskiéj komedyi*, w *Dekameronie* roją się jak pstre motyle. Boccacio równie na politykę jak na religią obojętny, lekko wyszydza fałsze, stylem Liviusza opowiadając plotki florenckie uwiązane w dziesięć dziesiątek.

Bajka pod tytułem „*Narzeczona króla Garby*", na scenie opery komicznéj występuje w skurczu. Treść taka: urojony król Garby Babolin I, posyła swojego siostrzeńca Alvara do Egiptu z poleceniem poślubienia tamże w jego imieniu, córki egipskiego Sudana, boskiéj Alaciel. Jako podarek ślubny, każe oddać narzeczonéj sznur pereł *zaczarowany*. Perły te czulsze od sensitiwy, znikają po jednéj, za każdym pocałunkiem rozpusty. Jest ich trzynaście. Babolin tedy będzie mógł porachować na palcach, ile razy mu się oblubienica przeniewierzyła.

Karawana wyładowywa w Alexandryi, gdzie Alvar poślubia zakwefioną córkę Sudana. Skoro pani podnosi zasłonę, poseł czuje się oczarowany ognistemi oczyma wdzięki ni... Cóż począć? Trzeba ją wieźć wujowi. Odjeż-

dżają więc; ale w drodze mnóstwo przygód się zdarza: pocałunki padają gradem...

Na szczęście Alacieli, Figarina golibródka jéj małżonka, zbiera te wszystkie całusy: z czarownego naszyjnika, który szyi królewskiéj oblubienicy nie opuścił, zostało już tylko dwie perły, a i te w jakichś dwóch niespodzianych przygodach znikają.

Na widok ogołoconego sznurka, Babolin chce księżniczkę odesłać ojcu, ale mu Figarina doradza, żeby ją lepiéj podarował niegodziwemu Alvarowi. Tak też czyni król Babolin, szydząc pocichu z siostrzeńca, sam zaś tryumfalnie prowadzi do ołtarza Figarinę, trzynasto perłową dziewicę...

Rzecz sama w sobie mniéj niż błaha, nadaje się do pięknéj wystawy, oraz dostarcza kanwy muzykowi. Auber zużytkował ją po swojemu.

Uwertura bardzo ładna, jest szkicem partycyi rozpoczynającéj się żywą aryetką Figariny „*Je suis la barbière*". Daléj zauważaliśmy romanse Alvara „*Tout bas je puis te dire*" pełną miłosnego zapału. Finalny kwartet tego aktu błyszczy jak dobrze oszlifowany dyament.

W drugim akcie jest tylko piękne *nocturno* i tercet odbijający na tle orkiestry, jak klejnot na czarnym aksamicie.

Trzeci akt równie bogaty jak pierwszy: prześliczna piosnka Figariny słuchaczom wynagradza zupełnie pogubione przez nią perły.

Ostatecznie, w tym utworze Aubera nie widzimy wcale osłabienia znanéj werwy autora *Nieméj z Portici*. Zwykłe jego zalety, jasność i elegancyą, widać tu dostatecznie, żeby odrazu poznać było można mistrza francuzkiego, który chociaż z górą ośmdziesiąt lat liczy, jeszcze daleko młodszy od wszystkich młodych.

---

Czciciele marmurowéj muzy posągowego Sofoklesa, z radością oglądają w *Odeonie* „*Elektrę*" przełożoną na język francuzki przez Leona Halevy.

Poetyczna starożytność nie ma wyższéj figury nad bladą Elektrę z wielkiém sercem, cechującém niewiasty

pół-barbarzyńskich szczepów. Starożytne prawo odwetu kryje się tu pod niezłomną cnotą spartańskiéj dziewicy.

Dopóki zabójstwo Agamemnona nie zostanie okupione śmiercią jego morderców, dopóty Elektra, jego córa, nie przestanie pokutować i pomstować w przedsionkach myseńskiego zamku, niby widmo zmarłego domagające się sprawiedliwości. Jęk ją poprzedza na scenie; zanim ją ujrzą, widocznie głos jéj słyszą i po głosie poznają, niby grobowego ptaka. „O! ja nieszczęsna!" woła, w pałacowém wnętrzu. Innego wyrazu nie ma ani w duszy ani w obliczu: nieruchoma maska tragiczna wydaje się jéj twarzą. Wszedłszy, wzywa najprzód światła, owego światła, które krąży we wszystkich tragedyach Sofoklesa, jako ich naturalna atmosfera, a które nadaje scenom podobieństwo do grobowcowéj płaskorzeźby, rysującéj się na błękicie dnia pogodnego.

„O! światłości czysta! rozpostarta równo na powierzchni ziemi, ileż razy słyszałaś lamenta, które płyną z mojéj rozdartéj piersi, skoro przeminą nocne cienie!" Poważna i piękna jak *Noc* Michała Anioła, Elektra przypomina sobie ojca ugodzonego śmiertelnie przez Egistesa i Klytemnestrę: jego porównywa do świętego dębu, siebie do słowika, który utracił pisklęta. Następnie wzywa bogów piekielnych, którzy tak długo nie przysyłają jéj na pomoc brata Orestes'a.

Wielkość Elektry leży w téj uporczywéj wierze i niezłomném oczekiwaniu sprawiedliwości, które tak wysoko stawia człowieka. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, ma nadzieję; nie widzi nikogo przybywającego z pomocą, a jednak ciągle wygląda. Aż dopóki nie wysłuchają jéj bogowie, zanosi do nich nieustanną skargę i pomsty woła za krew wylaną. Życzliwe chóry daremnie uspokoić ją usiłują. „Szaleni! woła, możnaż zapomnieć nagłéj śmierci ojca, możnaż zapomnieć katuszy wymordowanych? O! Niobe! coś tyle wycierpiała! Ty jesteś bóstwem mojém, ty, która w swym kamiennym grobie ciągle płaczesz!"

I dla usprawiedliwienia nieubłaganéj nienawiści, roztacza niby ogniwa długiego łańcucha, męczarnie swéj niewoli, przymusowe mieszkanie z mordercami ojca, pogardę

którą znosić musi, prześladowanie jakie na jéj podłą szatę niewolniczą spada, a mianowicie widok mordercy obok *nędznéj* matki w łożu Agamemnona.

Nienawistne imię Klytemnestry zawsze ze wstrętem wymawia dziewica. Niewiasta z czasów bohatérskich, nie zna niepewności Hamleta zawahanego pomiędzy krwawém wspomnieniem ojca, a resztą synowskiéj miłości dla matki. Elektra otwarcie nienawidzi matki: topór który zabił jéj ojca, przeciął zarazem w jéj sercu wszystkie węzły natury. W rodzinie pierwotnéj, matka stoi w drugim rzędzie: ojciec jéj bogiem, królem i pasterzem; w obec jego krwi przelanéj, wszyscy zabójcy są równi.

Jako przeciwstawienie niezłomnéj Elektry, Sofokles stawia obok niéj siostrę Chrysotemis. Chciał on tym sposobem przymieszać nieco ludzkiéj słabości do czystego marmuru, z którego wykuł swoją bohatérkę.

Klytemnestra zaniepokojna snem złowrogim, posyła młodszą córę z ofiarą na grób Agamemnona. Trwożliwa Chrysotemis zaklina Elektrę, żeby uległa losowi i milczała; ale ta oburza się, i srogiemi rani ją wyrzuty: obwinia bojaźliwe dziecko o zdradę i odstępstwo, szydzi z jéj rad i strachów. Słuchając dyalogu dwóch sióstr, rzekłbyś: orlica ostrym krzykiem odpowiadająca gruchaniu gołębicy.

Opowiedziany przez Chrysotemis sen matki, ożywia nadzieje Elektry: czuje mściciela... Mściciel już nie daleko....

Wtém nadchodzi pyszna i cierpka Klytemnestra, dręczona w duszy strasznem przeczuciem. Wyobraźnia jéj w gorączce, widzi już przybywającego Orestesa, uosobienie zemsty bogów.

Eschyles w „*Agamemnonie*" maluje Klytemnestrę z miedzianém czołem, bezwstydnie przyznającą się do zbrodni i pokazującą ludowi zbroczone krwią królewską dłonie. Sofokles więcéj po ludzku pojąwszy żonę Agamemnona, każe jéj się usprawiedliwiać przed ujarzmioną córą. Ta, nie patrzy, ani słucha... chce się powściągnąć, ale serce jéj wybucha: wyrywa zeń wizerunek Oresta i przesuwa go przed oczyma przerażonéj królowéj, niby błyskawicę miecza. Uknute matkobójstwo uchyla na chwilę maski i pa-

trzy na monarchinią krwawemi oczyma... Klytemnestra wyniosłym gestem zamyka córce usta.

Nastaje grobowe milczenie. Królowa idzie składać ofiarę Apollinowi. Przy posągu jego przyczajona Elektra podsłuchuje matczyne modły. Dla tego, Klytemnestra nie śmie głośno prośby swojéj wyjawić bogu, tylko pocichu, dwuznacznemi słowy błaga go o śmierć syna. Ale tenże bóg, do którego występne zasyła prośby, przez usta wyroczni śmierć jéj już zawyrokował. W téjże chwili, kiedy ona się modli, on śle ku niéj Orestesa, syna i kata z mieczem w ręku. Tu poeta religijną szczytnością powlókł tragiczną grozę.

Kiedy mentor Oresta z jego rozkazu przynosi matce zmyśloną wiadomość jego skonu, Klytemnestra mniema, że prośba jéj wysłuchana. Starzec po Pindarowsku opisuje śmierć Oresta obalonego z wozem, na igrzyskach delfickich. Obraz syna krwią zbroczonego, rozrzewnia na chwilę królowę: „Macierzyństwo, powiada, jest dziwną rzeczą: jakiebądź są winy dzieci, matka nienawidzieć ich nie może." Ale wnet ten głos natury milknie w wyrodnéj duszy. Klytemnestra cieszy się z śmierci Orestesa i urąga bolejącéj Elektrze.

Elektra przywiedziona do rozpaczy, postanawia w braku pomocy brata, sama zabić Egista: na wspólnicę namawia sobie siostrę. Wojenne ody Tyrteusza nie są zapalniejsze od tego bohatérskiego pozwu, tchnącego miłością chwały, która była duszą Grecyi. Elektra chcąc namówić siostrę do rozpacznego czynu, ukazuje jéj nie zdobyte berło, ani blask tronu, ale bohatérską palmę, marmurowe posągi stawiane wielkim mężom i oklaski wdzięcznego ludu. „Obywatel i cudzoziemiec wielbić nas będzie, mówi, ujrzawszy nas, zdumiony zawoła: oto dwie siostry, które ocaliły ród przodków, które z narażeniem życia, śmierć zadały możnym wrogom. Słuszna jest wielbić ich męztwo i odwagę, zasługują na miłość i szacunek powszechny."

Podczas tych namów, przybywa Orestes w cudzoziemskim stroju, niosąc urnę zawierającą niby jego popioły. Elektra porywa ją, i przyciska do piersi, jakby głowę ukochaną zmarłego dziecięcia. Płacząc przemawia do tego grobu jak do kolebki. Orestes widząc jak go mocno

siostra żałuje, daje jéj się poznać... Okrzyk radości wyrywa się z piersi siostry, ale wnet milknie, bo należy działać skrycie a szybko: brat zamyka jéj usta.

W żadnéj tragedyi nie spotykaliśmy figury straszniejszéj, jak ten spokojny matko-bójca: rzekłbyś, że to twór rzeźbiarza nie poety. Ponura jego pogoda nie zmienia się ani na chwilę. Kat fatalizmu zabija bez gniewu, spokojnie, jak ten na którym nie ciąży żadna odpowiedzialność; do pałacu, gdzie ma zamordować matkę, wchodzi jako nadziemska sprawiedliwość, pokłoniwszy się w przedsionku posągom bogów domowych. Niebawem, słychać krzyki Klytemnestry wydzierającéj się z pod synowskiego miecza... Ale Orestes milczy, głosu jego nie słychać wcale: jako ofiarnik zabija w cichości. Elektra tylko, krwi głodna, jako furya wściekła podnieca brata do mordu: a jednak jéj wrzask mniéj straszny od jego milczenia.

Sofokles, równie jak Eschyles, nie poważył się spełnić téj zbrodni na scenie. Prawo rzymskie zaszywało ojco-bójcę w worek: tragedya grecka zarzuca nań zawsze swe najgrubsze osłony.

Po Klytemnestrze przychodzi koléj na Egista; poeta uznając go niegodnym swojego pióra, przeprowadza go tylko przez scenę idącego na śmierć. Elektra podstępem wywodzi ojczyma z pałacu: prowadzi go niby do przywiezionego ciała Oresta. Egistes pod całunem znajduje trupa Klytemnestry, a przed sobą spostrzega Orestesa z dymiącym jeszcze mieczem... „Uderz! woła Elektra. W imię bogów, uderz! i zostaw trupa drapieżnym ptakom i psom głodnym: to jedyny grobowiec, który jemu przystoi; to jedyna ulga moich długich boleści".

To są ostatnie jéj słowa. Egistes popychany żelazem Orestesa, idzie na miejsce kaźni. Elektra milknie: dramatyczne jéj istnienie kończy się z istnieniem Klytemnestry i Egistesa. Grecka Nemezys nie powinna przeżyć spełnionéj zemsty...

„Jak pszczoła topiąc żądło i serce z niém grzebie,
Tak ona duszę utopiła w"... piekle.

Płaczący posąg marmurowy: taką pozostaje w wyobraźni nieśmiertelna Elektra, bliźnia siostra skamieniałéj Nioby.

Wyszła druga i ostatnia część *Historyi ministerstwa Louvois* (Histoire de Louvois par Camille Rousset). Wiadomo jak wysoko krytycy paryzcy ocenili pierwszą część tego dzieła, które przez dwa lata otrzymywało wielką nagrodę Goberta od akademii francuzkiéj. Takież pochwały pozyskają zapewne świeżo wydane dwa tomy, dopełniające ten ważny i ciekawy ustęp dziejów Francyi.

— Drugi numer *Autografu* dwutygodnika wydawanego przez pana Villemessant, zawiera między innemi dwa ciekawe dokumenta: List własnoręczny Napoleona Igo do Anglii, proszący to mocarstwo o przytułek „jako najpotężniejszego ze swoich nieprzyjaciół", oraz *Marseillaise* napisaną własną ręką jéj twórcy p. Rouget de Lisle.

— Wyszło już kilkanaście poszytów *Słownika francuzkiego* (Dictionnaire de la langue francaise) wydawanego u Hachetta przez pana Littré. Z każdym poszytem uznanie tego dzieła wzrasta: znawcy osądzili, iż to jest najwspanialszy pomnik, jaki wzniesiono językowi francuzkiemu, dzieło narodowe, w całém znaczeniu tego słowa.

— *Encyklopedya Powszechna* (Encyclopédie Universelle) wydawana przez księgarza Tandou, słusznie używa dobréj sławy. Jestto dzieło użyteczne i nauczające, a w dodatku tanie. Dzieli się na trzy części, z których każdą osobno nabyć można; działy zatytułowane jak następuje: *Dictionnaire Général de Biographie et d'Histoire; Des Lettres et des Beaux-Arts; Des sciences théoriques et appliquées.*

— Dziejopis Mignet wydał nowy tom *Pochwał historycznych* (Eloges historiques). Znajdujemy w tym tomie pochwałę Schellinga, Portalisa i historyków angielskich Macaulaya i Hallam'a.

— Pan Hipolit Castille pisze „*Historyą lat sześćdziesięciu*" (Histoire de soixante ans) w dziesięciu tomach. Są to dzieje Francyi od 1788 do 1848. Wyszedł już pierwszy tom tego dzieła, pod napisem „*Histoire de la Revolution francaise*".

— Sprawozdanie z wyprawy chińskiéj wyszło ułożone wedle dokumentów historycznych w drukarni cesar-

skiéj, pod tytułem: „*Relation de l'expédition de Chine en 1860, redigée par le lieutenant de vaisseau Pallu d'après les documents officiels*".

— Ludwik Ratisbonne wykonawca testamentowy Alfreda de Vigny, wydał w jednym tomie jego dzieła pośmiertne, pod ogólnym tytułem *Les Destinées*. Dewiza téj książki wschodnia „Tak było napisano". Jestto zbiór poemacików dość miłych, ale nie odznaczających się wszelako niczem nadzwyczajném. Książka, wedle wyraźnéj woli zmarłego, wyszła bez żadnéj przedmowy ani dopisków.

— Zjawił się do opróżnionego fotelu Alfreda de Vigny nowy kandydat: pan Wiktor Le Clerc, który prawdopodobnie zostanie przyjęty.

Pan Le Clerc członek Instytutu, był na przemiany professorem retoryki w liceum Charlemagne; następnie professorem wymowy łacińskiéj w wydziale literatury; w końcu radzcą Oświecenia publicznego. W 1834 obrano go członkiem Akademii Napisów. Ma to być znakomity tłumacz autorów łacińskich. Najciekawszém z dzieł jego jest studyum naukowe, pod napisem „*Des Journaux chèz les Romains*".

# AFGHANIE.

## WSPOMNIENIA Z POLITYCZNÉJ MISSYI ANGIELSKIÉJ.

---

Anglicy opanowawszy Indyą, powzięli bardzo późno, dokładniejszą wiadomość o kraju, który jest kluczem do ich niezmiernych posiadłości. Dopiéro w roku 1815, zajmujące opisy Muntstuarta Elfinstona, dały im poznać społeczną i polityczną organizacyą „królestwa Kabulu"; tak wówczas ten kraj nazywano. P. Elfinstone mianowany rezydentem rządu angielskiego przy dworze Poonach, sprawdził, ile jest ważnym Kabul pod względem wojennym, uważany w owéj epoce za jedno z miejsc wypoczynku i zebrania się dla wojska zdobywczego, które Francya i Rossya po traktacie tylżyckim zamyślały wyprawić przeciw posiadłościom angielskim w Indyach. P. Elfinstone znalazł tam inżynierów wysłanych przez generała Gardanne posła francuzkiego do Persyi i mógł przekonać się, że wyprawa przez Konstantynopol, Teheran, Herat i Kabul, była przez czas niejaki rzeczywistym zamiarem dwóch cesarzów. Lecz zerwały się ich związki, a jedynym skutkiem obawy Anglii, zagrożonéj w ognisku jéj potęgi, pozostało wspomnienie missyi Elfinstona.

Wspomnienie to zagasło wkrótce, i po dwudziestu latach na nowo dowiedział się lud angielski, że jest kraj zwany Afghanistanem, położony za krajami Radiputów i Sikhów, który nagle nabrał politycznego znaczenia,

przez niespodziany napad Persów na miasto Herat. Po zdobyciu Heratu szach wystąpiłby z pretensyami do Guznee, potém do Kandaharu, a jego wojsko 40,000 żołnierzy wynoszące, utorowałoby drogę jakiemu mocarstwu europejskiemu aż do Indyj angielskich. Nie ma dostatecznych dowodów, że taki był plan państw nieprzyjaznych Anglii i że chciały odważyć się na tak dalekie i niebezpieczne przedsięwzięcie; lecz w roku 1835 i następnych, nie wątpili o tém ajenci angielscy, a ich obawę podzielał ówczesny wielkorządzca Indyj lord Auckland, i chcąc odwrócić uwidziane niebezpieczeństwo, nietrafném postępowaniem przyspieszył katastrofę jeszcze bardzo daleką (1).

Kompania angielska już wtedy nachylająca się do upadku, wdała się w roku 1838 w niepotrzebną wojnę i wspólnie ze swoim wątpliwym sprzymierzeńcem Runjet-Singiem, zrzuciła z tronu Dost-Mohammeda króla Kabulu, a na jego miejsce osadziła księcia dawniéj wygnanego, uważając go za najżyczliwszego sprzymierzeńca. Śmieszny i próżny ten akt, dokonany był z wielkiém niebezpieczeństwem i kosztem. 7 sierpnia 1839 r. Dost-Mohammed ustąpił miejsca księciu protegowanemu przez Angli-

(1) Afghanistan składa się z dwóch krain różniących się nazwą i cechami przyrodzonemi. Kabul czyli Kabulistan obejmuje górzyste powiaty na północ Guznée i Sufaj-Koh, aż do pasma gór zwanego Hindu-Kuch. Kabulistan graniczy na zachód z krajem Hazarahów (Paropamizus u starożytnych), na wschód z Abba-Sin czyli ojcem rzek (Indus). Drugą krainą jest Khorassan czyli Zabulistan, górzysty przy granicy wschodniéj, pusty i wywyższony przy granicach zachodnich. Na południu i na zachód dotyka granic Persyi, od któréj w stronie południowéj jest oddzielony pustynią Sistan. Na południe, pasmo gór Washati, prowincye Sarawan i Kach Gandaba, na północ góry Hazarah i Ghor, na wschód pasma gór Sulaiman terrytoryum Daman położone u ich podnóża i ciągnące się do rzeki Indus, oddzielają ten kraj od Beludżistanu. Nie trzeba mieszać Khorassanu Afghanów, z obszerną prowincyą tak samo zwaną, a leżącą przy wschodniéj stronie państwa perskiego i graniczącą z Khorassanem Afghanów. Ludność tego kraju, przez przybliżenie obrachowana, gdyż wojny i podboje bardzo często zmniejszają jego granice, składa się z trzech milionów właściwych Afganów, z 500,000 Tajiksów, z 200,000 Kazzilbahsów, z 60,000 Hazarahsów, z 600,000 Indyan i Jauów, z 150,000 góralów Kabulu. Pokolenia Afghanów jedne są koczujące, inne zaś osiadłe na miejscu.

ków i osiadł w Kalkucie pod opieką tych, którzy go z tronu zrzucili.

Po trzechletniém panowaniu, wojsko angielskie niebacznie zmniejszone i oddane pod rozkazy starego nieumiejętnego generała, niespodzianie ujrzało się w obec pamiętnego powstania, które wybuchło gdy lord Ellenborugh zastąpił lorda Auckland (w listopadzie 1841 r., i w stycz. 1842 r.). Wysłańcy angielscy Burnes i M'Naghten zostali zabici, tak samo jak porucznik Wyburd w Chiwie, jak w Bucharze pułkownik Stoddart i kapitan Conolly. Anglia z zadumieniem dowiedziała się, że z całego wojska, które zostawiła w Afghanistanie, ledwie kilkadziesiąt ludzi powróciło do posiadłości angielskich. Anglicy musieli opuścić Kabul wśród zimy 6 stycznia 1842 r. Pięć tysięcy żołnierzy kompanii indyjskiéj, 12,000 krajowców ze znaczną liczbą kobiet i dzieci, którzy schronili się pod opiekę Wielkiéj Brytanii, zginęło od głodu, zimna i oręża nieprzyjaciół. Byłto na mniejszy rozmiar odwrót wojska Napoleona z Rossyi; krew płynęła po jasnym śniegu na górach, zmarzłe trupy leżały na stromych ścieżkach i zawalały wąwozy. Z rąk bezsilnych przez brak pożywienia, odrętwiałych od mrozu, nie jednéj matce dzicy żołnierze wydarli dziecię, a ją samą zamordowali. Takiego losu doznał jeden młody człowiek i na jego świadectwo powołujemy się w opisie tego ludu, który byt swój objawił zdziwionéj Europie, przez zwycięztwo odniesione nad wszechwładną Anglią.

Honor wojskowy Anglii poniósł ciężki uszczerbek. Trzeba było niezwłocznie zmyć tę zniewagę. Generał Pollock przebył wąwozy Kyber dotąd miane za niezdobyte; generał Nott przyszedł na odsiecz generałowi Sale, który dzielnie bronił warowni Jellelabad. Te czyny przywróciły dawną wziętość i postrach orężowi Anglii. Na murach cytadelli w Kabulu, znowu zatknięto chorągiew Wielkiéj Brytanii. Żeby zemścic się za śmierć generała Elfinstone, zmarłego w niewoli u Afghanów, spalono bazar zdobytego miasta, niegdyś zbudowany przez Aureng-Zeba, a na miejsce Szach-Sudjacha, protegowanego wprzódy przez Anglików, a którego zabili buntownicy, przywrócono koronę Dost-Mohammedowi i czémprędzéj

opuszczono Afghanistan, po uroczystéj odezwie lorda Ellenborugh, wyrażającéj między innemi rzeczami, że ani z zasadą, ani z polityką Anglii, nie zgadza się narzucanie jakiemubądź ludowi, rządu, którego tenże lud nie chce. Afghanie musieli z podziwieniem słyszéć to wyznanie wiary politycznéj, nie stósowne w ówczesnych okolicznościach. Cóżkolwiekbądź, wyszli oni jako zwycięzcy, z téj tak niebezpiecznéj walki. Odzyskali dawnego monarchę, a cudzoziemcy daremnie usiłujący nagiąć ich do swojéj polityki, musieli ustąpić po ciężkich stratach i zapewne już więcéj nie przekroczą ich granic. Jakoż było to bardzo bolesne doświadczenie. Anglicy stracili 6,000 żołnierzy, a koszta wojny wynosiły 15,000,000 funtów szterlingów (600,000,000 złp.). Taki rezultat nie prędko pójdzie w niepamięć. Pewnym będąc pokoju ze strony swoich groźnych sąsiadów, Dost-Mohammed stopniowo przybrał niezależną postawę i chwycił się polityki zaborczéj, właściwéj każdemu despocie wschodniemu. W roku 1850 zdobył Balk i jego terrytoryum, w r. 1854 przyłączył księztwo Kandaharu do swojego królestwa. Herat pozostał pod władzą niezależnego naczelnika, i kilkakrotnie przechodził w moc różnych panów od 1852 do 1856 r., tojest do epoki, kiedy Iza-Khan zagrożony przez Afghanów, wezwał opieki szacha perskiego i niezwłocznie ją otrzymał wbrew traktatom zawartym pomiędzy tym monarchą a rządem angielskim. Ztąd wynikła wojna w r. 1857 między Anglią i Persyą i tylko co się zakończyła, gdy niespodziany bunt cypajów jeszcze bardziéj zawikłał sprawy anglo-indyjskie.

Na początku wojny perskiéj w styczniu 1857 r. na nowo zawiązały się polityczne stosunki między Anglią i Afghanistanem. Emir Dost-Mohammed podczas pobytu w Kalkucie, poznał dążenia i tradycye polityki angielskiéj. Zabierając kraj za krajem, doszli Anglicy nareszcie, po przyłączeniu Pendżabu, aż do granic jego państwa; obudziło to jego nieufność i niespokojność, lecz zarazem nauczył się cenić i szanować ich potęgę; a gdy mu zagrozili Persowie zajęciem Heratu i zachodnich granic, nie wahał się prosić rządu angielskiego o pomoc. Nie odrzucono jego żądania, gdyż przez to nastręczyła się

sposobność zatarcia przykrych wspomnień i zawiązania z Afghanami stosunków, które zniszczyła nieroztropność lorda Auckland, a tém samém utworzenia nowéj zapory na drodze prowadzącéj lądem z Europy do Indyi. Emir zaproszony do Peschawur przez Johna Lawrence namiestnika i rządzcę Pendżabu i przyległych krajów, przybył tam i zawarł z Anglią traktat zaczepny i odporny przeciw Persyi, wspólnemu nieprzyjacielowi państw obu. Żeby mógł zaciągnąć i utrzymać wojsko, któreby wypędziło Persów z Heratu, otrzymał zasiłek 250,000 franków co miesiąc. Byłto wyborny środek, a tém pożyteczniejszy podczas wielkiego buntu w Indyach, który wkrótce nastąpił. Wtedy Dost-Mohammed nalegany i namawiany ze wszech stron, mógł przez chwilę mniemać, że w jego ręku spoczywają przeznaczenia Indyj. Jakże wielkie byłby zajął stanowisko, gdyby był poprowadził swoje wojenne hordy na pomoc Wielkiemu Mongołowi, oblężonemu w Delhi, przez dość słabe siły Anglików?! Lecz Dost-Mohamed nietylko był protegowanym, ale nawet płatnym od swoich świeżych przyjaciół, którzy po ukończeniu wojny z Persami, nie odjęli pensyi tak ważnemu sprzymierzeńcowi. Sama obawa nie byłaby utrzymała jego wątłéj wierności. Lecz żądza pieniędzy dodała mu siły do oparcia się podszeptom nieprzyjaciół Anglii, i nie chwycił się tych śmiałych kroków, do których wzywały go życzenia rozdrażnionego ludu.

W traktacie r. 1857, osobnym artykułem zastrzeżono wysłanie wojskowéj missyi angielskiéj, która pod opieką Emira miała czuwać nad ruchem wojsk perskich i zawiadamiać władze w Pendżabie o wszystkich wypadkach wojennych przy zachodniéj granicy Afghanistanu, a zarazem przestrzegać dobrego użycia zasiłków pieniężnych, wyłącznie ofiarowanych na poparcie wojny. Missya wyjechała z Peshawur 13 marca 1857 r. pod rozkazami majora Lumsden organizatora i dowódzcy korpusu Gidów i złączywszy się 20 tegoż miesiąca nad brzegiem rzeki Karrom z eskortą przysłaną przez emira, przebyła z niemałym trudem i po czterodniowéj zwłoce wąwozy w górach, gdzie kilka hord zbrojnych wzbraniało jéj przystępu, wbrew rozkazom panującego; 8 kwietnia dojechała do sławnych

minaretów Ghuzny (1), a 25 odprawiła uroczysty wjazd do Kandaharu i pozostała tam przez cały ciąg pobytu w Afghanistanie: bo ze względu na wzburzenie ludu, zrządzone przez wypadki w Indyach, nie chciał emir przyzwać do stolicy tych niedogodnych gości; nie śmiał ani za nadto jawnie ich bronić, ani też wystawiać ich na zawziętą nienawiść mieszkańców. A przytém polecenie dane wysłańcom angielskim, skończyło się zaraz po ich przybyciu, gdyż pokój między Anglią i Persyą zawarty został w Paryżu na sześć dni wprzód, zanim oni wyjechali z Peshawur (4 marca 1857 r.). Mimo tego, zostali na swojém już bezużytecznem a niebezpiecznem stanowisku, aż do 15 maja 1858 roku. Żyli zatém więcéj jak rok w środku tego kraju, którego granic żaden Anglik byłby nie przekroczył bezkarnie przed laty piętnastu.

Dowódzca missyi powinien był opisać jéj czynności; lecz nie miał czasu na tak długą pracę, gdyż zaraz za powrotem powierzono mu bardzo ważne obowiązki. Na szczęście towarzyszył mu lekarz wojskowy pan H. W. Bellew, a jego powołanie otwierało mu przystęp do prywatnych domów. Posiadając wszechstronne wiadomości, mógł lepsze czynić postrzeżenia niżeli sam dowódzca. Z jego dziennika i innych historycznych sprawozdań, wypisaliśmy szczegóły o kraju niedostępnym dla zwyczajnych podróżników i o którym przed podróżą Elfinstona nie było żadnych dokładniejszych wiadomości. Uzupełnimy je wspomnieniami młodego Anglika, zabranego w dziesiątym roku życia przez Afghanów, w dolinie Tezeen, gdzie szczątki wojska angielskiego po wyjściu z miasta Kabul były otoczone i wymordowane. Młodzieniec ten, po różnych przygodach mniéj lub więcéj wiarogodnych, powrócił nareszcie do swoich współziomków. Najznamienitsze osoby w Indyach angielskich, jakoto: Jord Elfinston, John Lawrence, Karol Murray, byli jego opiekunami i nazwali go Janem Campbel. U Afgha-

(1) Są to dwie wielkie wieże z palonéj cegły zbudowane, delikatnie rzeźbione i starożytnemi napisami w języku arabskim pokryte. Stoją o pięćset łokci jedna od drugiéj i jak mówią, oznaczają dwa krańce sali, w któréj niegdyś sułtan Mahmud dawał publiczne posłuchania,

nów nazywał się Feringee Bacha. Opowiadanie swoje podyktował nauczycielowi, któremu go powierzono. Nie widać tam piętna bezwarunkowéj prawdy; zdaje się miejscami, że wyobraźnia przychodziła w pomoc pamięci młodego awanturnika. Jednakże idąc za przykładem poważnych osób powyżéj przytoczonych, musimy choć w połowie zawierzyć mu i żałujemy tego tylko, że prawda może tak bardzo zbliżać się do powieści sułtanki Szeherazady w *Tysiącach nocy*.

## I.

Właściwe plemię Afghanów, ród swój wywodzi od Żydów. Mają liczne podania zachowane na piśmie, a pan Bellew czytał siedm ich kronik. Z tych pięć było w języku perskim, a dwie w języku afghańskim, zwanym *puchtu*. Najdawniejsza z nich istnieje od lat 250, a najpóźniejsza 74. Wszystkie zgadzają się co do początku dziejów, a ten zasięga panowania Sarula (Saula) należącego do pokolenia Beniamina (Ibnyamin). Ten potężny monarcha miał dwóch synów pogrobowych, zrodzonych w jednéjże godzinie, z dwóch niewiast należących do pokolenia Lawi (Lewi). Wychowani przez Dawida następcę Saula, Barakiach i Iramia (Jeremiasz) zostali z czasem jeden pierwszym ministrem, a drugi naczelnym wodzem. Pierwszego syn zwał się Assaf (Józef), a drugiego Afghana. Pod panowaniem Sulejmana (Salomona) odziedziczyli dostojeństwa ojcowskie. Afghana przewodniczył pod zwierzchnictwem Salomona, budowie Bait-ul-Mukaddas (kościoła jerozolimskiego) zaczętego przez Dawida. Gdy Buchtu-n-Nasr (Nabuchodonozor) zdobył Bait-ul-Makkaddas, pokolenie Afghana trwało niezłomnie w religii ojców, a po długich prześladowaniach i rzeziach, zostało wygnane z kraju Sham (z Palestyny) na rozkaz bałwochwalczego zdobywcy. Wtenczasto jego szczątki schroniły się do Kochistan-i-Gor i Koh-i-Faraza i otrzymały od sąsiadów jużto nazwisko Aoghanów czyli Afghanów, jużto Bani Izrael. Po długich walkach zwyciężyły wszystkie ludy pogańskie zamieszkałe w tym górzystym kraju i stały się jego panem, a potém z przeciągiem wieków, wzrasta-

jąc w liczbę i potęgę, rozciągnęły granice swoje aż do Kohistanu i Kabulu, Kandaharu i Ghuznée.

Tysiąc pięćset lat upłynęło od śmierci Solimana, kiedy Afghanowie po raz pierwszy posłyszeli o wierze Mahometa. Pewien Izraelita, którego przodkowie po rozproszeniu Żydów byli osiedli w Arabii, należący do pierwszych uczniów proroka, stał się narzędziem ich nawrócenia na wiarę mahometańską. Afghanie przez niego uwiadomieni o zjawieniu się ostatniego proroka, wysłali do Mahometa poselstwo złożone ze starszych, pod przewodnictwem Kaïsa najpobożniejszego z nauczycieli i najmędrszego z pomiędzy swoich. Owi mędrcy z zapałem przyjęli ową wiarę i okazali tak mocną gorliwość, iż prorok obdarzył ich szczególniejszemi nagrodami: wszystkim nawróconym dał na znak zadowolenia imiona arabskie i przyrzekł, że tytuł *Malika* czyli księcia, który niegdyś ich przodkowie nadali Saulowi, nigdy im odjęty nie będzie. Ztąd pochodzi, że naczelnik każdéj odnogi pokolenia Afghanów, chlubi się książęcym tytułem.

Powróciwszy do współziomków, Kaïs gorliwie pracował nad ich nawróceniem. Islamizm zaczął rozszerzać się między Afghanami; lecz zdaje się, że Saraceni z ogniem i mieczem przybywszy do ich kraju, dążąc do Indyi, nie mało dopomogli do missyi Kaïsa. Jednakże kilka pokoleń mieszkających w niedostępnych pustyniach, zachowało przez długi czas pierwotną wiarę swoją, czytało *Pentateuk (Tauret-Kwan)* i wykonywało przepisy prawa Mojżeszowego.

Od ery mahometańskiéj, zaczynają się nieco pewniejsze wiadomości o politycznéj historyi Afghanów, czyli jak się sami zowią, o narodzie *Puchtanach* (1).

Kaïs miał trzech synów; od nich wywodzi ród swój 277 pokoleń czyli *Khailsów*, które stanowią jądro narodu. Ktoby chciał poznać historyą tych trzech synów: *Sara-*

(1) Słowo to pochodzące z języka hebrajskiego podług jednych, a z syryjskiego podług drugich, znaczy lud wyzwolony. Wyraz *Afghan* ma to samo znaczenie, jeżeli prawdą jest, że matka Afghana, którego tradycya zowie synem Saula, tak go nazwała, zawoławszy po ciężkiém porodzeniu *Afghana!* co znaczy, jestem *uwolnioną*,

*banai*, *Bathanai* i *Gurghustai* znajdzie ją w dziele pana Bellew. My tylko zwrócimy baczenie na ten fakt dość ważny, tojest na wyższość oddzielnego pokolenia nad innemi, mającemi tenże sam język, religią i prawa. Widać tam żydowską tradycyą, odbicie dogmatu przedstawiającego Hebrajczyków jako plemię wybrane z pomiędzy wszystkich, żeby stało się ludem Bożym. Przydajmy, że rysy twarzy Żydów i Afghanów, a zwłaszcza koczujących plemion w północnéj stronie kraju, są niezmiernie podobne. Toż samo podobieństwo okazuje się w ich odwiecznych zwyczajach. Zabicie baranka wielkanocnego, znajdujemy w ofiarach, które Afghanowie składają Bogu. W chorobie, lub w innym nieszczęśliwym przypadku, skrapiają krwią ofiary, próg i podwoje domu dotkniętego plagą. Jeżeli jakiéj wiosce grozi zaraza, wtedy z wielką uroczystością obciążają grzechami całéj gminy, głowę bawołu albo krowy, a potém to zwierzę wypędzają na puszczą przy odgłosie bębnów i okrzyków. Tu widzimy oczyszczalnego kozła Żydów. Bluźnierca u Afghanów tak samo jak u Żydów, jest ukamienowany za obrębem osady, na którą bezbożnemi słowami ściągnął zemstę Boga. Błagający, albo ten co domaga się wynagrodzenia krzywdy, staje przed sędziami niosąc na głowie na znak uległości, naczynie napełnione gorącemi węglami. Przytoczę jeszcze jeden zwyczaj od Żydów pochodzący. Równy podział gruntów między familie pokoleń, odbywa się u Afghanów tak samo, jak to jest napisane w ostatnim rozdziale księgi *Liczb* u Mojżesza, a z niego to wynika, że małżeństwa odbywają się najczęściéj między członkami tegoż samego pokolenia, żeby przez związki z obcemi nie odrywać części wspólnego dziedzictwa. W pokoleniach dopełniają się także, na mocy dobrowolnych zastrzeżeń, zamiany gruntów spowodowane przez nierówną wartość ziemi, wyznaczonéj każdéj rodzinie. Co pięć albo co dziesięć lat, podług zwyczaju, grunta przechodzą od jednego posiadacza do drugiego, a po upływie pewnego przeciągu czasu, każdy posiada z kolei złe i dobre działy wspólnéj ziemi. Ztąd pochodzą wędrówki całych wiosek, po których grunt rozdziela się na nowo między nadciągające rodziny, a to na mocy nowego działu zwanego

*pucha* albo *purra*. Ten ostatni wyraz pochodzi od Żydów (1).

Dowody te usprawiedliwiają zdanie sławnego oryentalisty Wiliama Jones, który Afghanów uważał za odnogę plemienia izraelskiego. Zdanie jego pogardliwie odrzucili pan Elfinston i Przegląd Edymburski, pod tym jedynym pozorem, że między językiem hebrajskim i afghańskim nie ma żadnego podobieństwa. Przeciw téj różności, którąby wypadkami dziejowemi usprawiedliwić można, stawiamy duch narodu Afghanów, zupełnie taki sam jak duch Izraelitów, tęż samą niezwalczoną energią, siłę oporu i dążenie do odzyskania i obrony niezależności, tak wydatną w pokoleniach afgańskich, tak samo jak w odłamkach plemion Izraelskich, rozproszonych po całym świecie. Ich dzika niepodległość, źródło bezrządu i ciężkich zaburzeń, wzbudziła dla nich w panu Elfinstone szacunek, a nawet uszanowanie. W długich podróżach po Azyi, wszędzie napotykając samych tylko niewolników, dumny ten Anglik z radością zobaczył naród, śmiałe stawiający czoło nieprzyjaciołom, czyhającym na jego ujarzmienie. W zgromadzeniach pokoleń (jirgas) i w naradach naczelników odbywających się w obecności Khana, upatrywał patryarchalny podział władzy, podobny do systematu dawnych klanów szkockich. Dostojność Khana nie była dziedziczną, a wpływ pokoleń naczelników był także bardzo ograniczony. Jest to raczéj urzędnik, nie zaś władzca i musi szanować, oprócz praw koranu, zwyczajowe i podaniowe prawa kraju, przytém jeszcze wszechwładne przepisy innego nie pisanego kodexu, to jest honoru Afghanów, do którego co chwila odwołują się ci dumni górale.

„Nic nam nie może bardziéj przypominać, czém była Szkocya: mówi pan Elfinstone: którego wymowne okresy skrócić musimy. Król wywierał władzę prawie nieograniczoną w miastach i okręgach najbliższych jego rezydencyi; klassy sąsiednie zostawały w dość wątpliwéj zależności; najdalsze cieszyły się prawie zupełną niepodległością. Też same są intrygi i stronnictwa między

(1) Purra, po hebrajsku dział, udział; ztąd święto *Purym*.

szlachtą mającą stosunki ze dworem, też same stosunki między wielkiemi lennikami i monarchą. Taki stan rzeczy jest pod wielu względami bardzo niedogodny i możnaby zapytać się, czyli kraj cieszy się takim samym porządkiem, spokojnością i szczęściem, jak pod władzą potężnego i nieograniczonego monarchy. Sądzę, że czyniąc te pytania, stajemy na błędnym punkcie widzenia. Afghanowie lubią swoją gminowładną ustawę, ona utrzymuje między niemi niezależność i godność osobistą, zniewala do rozwinięcia odwagi, rozwija i podnosi umysły.

Z takiego stanu rzeczy wynika mnóstwo pojedynczych nadużyć, lecz przez to zabezpiecza się naród od powszechnych wstrząśnień, od tych klęsk niepowetowanych, jakim podpadają wschodnie kraje i ludy. W Persyi albo w Indyach, po śmierci każdego monarchy wybuchają wojny domowe i cały kraj pogrążają w bezrządzie i nędzy. W Afganistanie zaś, wewnętrzny zarząd pokoleń, tak doskonale czyni zadosyć celowi swojemu, że największe przemiany dynastyi nie zdołają go zniszczyć i wstrząsnąć krajem. Pokolenia udzielają sobie wzajemnéj pomocy, i zabezpieczają od zamachów przywłaszczycieli tronu. I dla tego to, Persya po dwudziestu latach głębokiego pokoju, nachyla się do upadku; przeciwnie zaś, pomyślność Afghanistów wzmagała się podczas wojny domowéj trwającéj od lat dwunastu. Miasta i ich okolice, oraz wielkie trakty, ucierpiały od napaści pretendentów do korony i od rabunku żołnierzy; lecz we wszelkich innych miejscach, budowano nowe wodociągi, i obsiewano wykarczowane pola.

Z takiego składu rządu i z kierunku umysłów, wyniknął zwycięzki opór Afghanów, przeciw najazdowi Anglików, którzy polegając na łatwych tryumfach odniesionych w Indyach, spotkali, zamiast zniewieściałych i obojętnych Indyan, naród przejęty uczuciem sławy i niepodległości, i musieli cofnąć się z żalem i wstydem.

Nie chcemy przesadzać. Wolność Afghanów jest taka sama jak Kleftów greckich i rozbójników korsykańskich. Ich najgłówniejszém prawem jest odwet, a wzajemne wynagrodzenie ustanawia źle czy dobrze, sąd przysięgłych, złożony z bród białych (*sping hirai*). Niektóre po-

kolenia, mianowicie mieszkające w nieprzystępnych górach, są to bandy złoczyńców urządzone dla rabunku i rzezi. Gościnność, zwykła cnota koczujących ludów, jest ochroną dla podróżnego dopóty, dopóki siedzi przy ognisku domowém; lecz wprzódy nim wnijdzie do namiotu albo domu Afghana i skoro tylko wyjdzie z niego, obedrą go i zamordują bez litości. Jest to wielka różnica od porządnéj organizacyi społecznéj; lecz pośród tych pojedyńczych nadużyć, nie słabnie duch publiczny, osobista odwaga, niezależność narodu i pojedyńczych osób.

Afghan dumny z natury swojéj, nie ma innego rzemiosła prócz rolnictwa i żołnierki. Praca ręczna, przemysł, handel jakibądź, nie zgadza się z jego instynktem. Handlem istniejącym w ich kraju zajmuje się kilka pokoleń z kilkunastu tysiącami rodzin, lecz kupno i sprzedaż następuje za pomocą i pośrednictwem kapitalistów indyjskich i perskich. Krajowcy trudnią się tylko przewozem produktów. Nawykli są do wszelkich ćwiczeń ciała. Polowanie, jazda konna, strzelanie do celu, hodowanie sokołów, są rozrywką młodzieży. Feringhée-Bacha wspomina często o swojéj zręczności w strzelaniu, jako o najpiękniejszym tytule do szacunku u ludzi. W wojnach między pokoleniami, które co chwila wywołuje najdrobniejszy wypadek, prosty kamień rzucony z nadzwyczajną trafnością, staje się zabójczém narzędziem. Afghani pełni przesądów, mściwi, skąpi aż do nikczemności, pokrywają te wady pozorną szczerością i przez nią cudzoziemców uwodzą. Są nieoświeceni i ledwie mają kilka podań pisanych, które tylko ich księża czytać umieją. Mała liczba bogatych ludzi ze stanu świeckiego i duchownego, umié język perski i zabawia się czytaniem. Dokumenta urzędowe, listy kupieckie, pisane są w obcym języku. W krajowym jest ledwie kilka tomów teologii, kilka powieści poetycznych i kilka kronik, a ich czytaniem zajmuje się bardzo mała liczba osób.

Islamizm jest u nich tak samo jak wszędzie, religią zasadzoną na przepisach, ceremoniach i formułach; nie wywiera żadnego wpływu na serca, chyba tylko przypadkiem przez zabobony, a wielka liczba Afghanów wyznając pozornie religią Mahometa, oświadcza w poufałéj roz-

mowie, że należy do filozofów. Są to deiści; przyznają oni stworzenie a tém samém Stworzyciela, lecz nie wierzą w żadne posłannictwo proroków bożych. Lubią rozprawiać o przedmiotach teologicznych, ale ich rozprawy są tak ciemne i subtelne, że zbiją z toru najodważniejszego słuchacza. Gmin czci swoich świętych, wierzy w czary, amulety, astrologią i pełen jest przesądów, które los nastręcza, a głupota tłumaczy.

Należy powiedzieć o wojskowéj organizacyi tego kraju. Może w przyszłości będzie on zajmował ważne stanowisko między dwoma państwami, których niezmierne posiadłości azyatyckie, coraz bardziéj zbliżają się ku sobie. Może w niedalekim przeciągu czasu, Afghanistan będzie ostatnią między niemi przegrodą.

Afghanowie mają wojsko regularne i milicyą. Pierwsza składa się z osiemnastu pułków piechoty, wymustrowanych po europejsku i ubranych w wybrakowane mundury, przedawane emirowi przez ajentów intendentury anglo-indyjskiéj. Do tego przydać trzeba trzy lub cztery pułki lekkiéj jazdy, tak samo umundurowane i artyleryą o stu armatach bronzowych, po większéj części ulanych w kraju. Pułki te nominalnie zostające pod władzą emira, oddane są pod dowództwo książętom, jego krewnym i gubernatorom prowincyi, bez najmniejszego względu na zdolność i naukę. Każdy z nich po swojemu urządza korpus; główny sztab zbiera ze swoich ulubieńców, a niekiedy i z niewolników. Rząd dostarcza broni i mundurów za cenę z góry umówioną, którą potém strąca z żołdu. Trudno im przychodzi sprowadzanie i robota kapiszonów i dla tego wielka część wojska liniowego ma karabiny ze skałkami. Żołd wypłacają albo pieniędzmi, albo nadaniem gruntów, na których żołnierz osadza swoją rodzinę lub téż je wydzierżawia. Główny korpus składa się z *prawdziwych* Afghanów z pierwotnych pokoleń, lecz także jest w wojsku znaczna liczba Taiksów (1), nie wielu Persów

(1) Po Afghanach, Taiksowie są najliczniejszém plemieniem osiadłém w Kabulu i Khorassanie, to jest we właściwym kraju Afghanów. Mają pochodzić od Persów i oddawna mieszkają w zachodniéj stronie Afghanistanu. Jest to ludność rolnicza, osiadła w miejscu i nie brzydząca się ręc-

i cypajów indyjskich. Milicya składa się w potrzebie, to jest w razie najazdu, z całéj prawie ludności męzkiéj, do lat sześćdziesięciu i niepodobna obrachować jéj liczby. Nie ma innéj broni prócz długiego muszkietu zwanego *jazail*, sztyletu i puklerza. Niektóry z jezdzców mają lekkie strzelby, lecz w ogólności poprzestają na włóczni, szabli i parze pistoletów.

Panujący nie ma dość silnéj władzy nad tém pospolitém ruszeniem. Obowiązani do stawienia się pod jego chorągwiami, skoro tylko da hasło wojny, milicyanci słuchają rzeczywiście naczelników swoich pokoleń, z któremi wspólny mają interes i służą im jako feudalni lennicy.

Takiemi były klany szkockie za czasów Maryi Sztuart. Zazdrość naczelników, niezgody wewnętrzne i nieustanne wojny między pokoleniami, sprzeczność ducha klanów, z duchem wojskowym, polegającym na jedności w dowództwie i działaniu, zrządzają niemoc téj siły zbrojnéj. Nie jest zatém groźna, jeżeli ją uważać będziemy jako narzędzie napaści: lecz inne znamie przybiera jako narzędzie przyrodzonéj obrony kraju. W obec wspólnego nieprzyjaciela ustają domowe niezgody; potrzeba potężnego związku przytłumia osobiste bunty i nienawiści pokoleń; centralny rząd odzyskuje przewagę i daje ruch i popęd massie narodu. Znaczący fakt wykazuje sprzeczność sytuacyi. Na granicy mieszkają dwa małe nieprzyjazne pokolenia, Hazarahów i Afridisów (1). Afgahanie nigdy nie mogli ich podbić a zniszczyli wojska angielskie i upokorzyli dumę jednego z najpotężniejszych mocarstw.

kodzielami i przemysłem. Są mahometanami z sekty Sumitów, bardzo ciemni i zabobonni; lecz spokojniejszego i łagodniejszego charakteru od Afghanów, którym ulegają bez oporu.

(1) Hazarahowie są ludem muzułmańskiéj sekty schiitów, a tém samém za heretyków uważani przez Afghanów. Mieszkają w górzystym okręgu od nich nazwanym, w wielkiéj liczbie wychodzą w porze zimowéj, szukając roboty, bądź to u Afghanów, bądź w okolicy Peshawur. Afridisowie osiedli na granicy Kabulu i prowincyi angielskich, nie uznają władzy Emira Afghanów, ani Wielkiéj Brytanii. Są to rozbójnicy z rzemiosła i toczą nieustanną wojnę między sobą lub z sąsiadami.

## II.

Poselstwo angielskie wysłane do Kandaharu, składało się z trzech oficerów angielskich, z dwóch znakomitszych Afghanów płatnych od rządu angielskiego; miało straż złożoną z trzydziestu żołnierzy pieszych i dwudziestu jezdnych. Przebywszy granicę posiadłości angielskich, weszło pod eskortą Afghanów, w kraj, gdzie wszyscy mieszkańcy są uzbrojeni, gdzie każda wioska otoczona gęstym pasem cierni, wygląda jak opatrzona warownia; gdzie na każdym domu jest wieża, która służy za czatownię i obronę; w kraj niezdrowy, gdzie choroby wytępiają cudzoziemców, gdzie panują ciągłe rozboje. Gdy już doszli do warowni zwanéj *Kurram*, powiedziano im, że niepodległe plemie zwane *Jaji Pathans* zawaliło *Kohtal* czyli przejście Paiwar i nie chce przepuścić gości emira. Naib Gholam-Jan, dowódzca eskorty, oświadzył że nie zdoła orężem otworzyć drogi, chociaż ma pułk regularny piechoty i dwa lekkie działa. Po czterodniowém daremném umawianiu się z Jajisami, trzeba było użyć podstępu. Nie przestając układać się Naib kazał zająć wojsku swojemu inną drogę, przez góry bardziéj na północ idące, któréj Jajisowie nie umocnili. Zdobywszy to stanowisko, przeprawił podróżnych przez góry pokryte lasami i śniegami. Nie łatwo i nie bez obawy odbyła się ta ciężka podróż. Jajisy rozjątrzeni podejściem Naiba, znowu zabiegli drogę orszakowi. Nie często pokazywali się, ale w głębi wąwozów słychać było odgłosy bębnów i ostre dźwięki ich kobz, odbijające się o skały i lasy. Niekiedy widziano ich, jak przeskakiwali ze skały na skałę, wstrząsali szablami i chórem śpiewali pieśń wojenną, połączoną z osobliwszym krzykiem, który zaczynał się od najgrubszych dźwięków, a nagle do najpiskliwszych przechodził. Gromady te przybierały coraz to bardziej nieprzyjazną postawę, a Naib musiał wielokrotnie umawiać się z tą dziką tłuszczą. Kiedy wieczorem trzeba było stanąć obozem u pódnóża tych gór, które zajęli Jajissowie, położenie Anglików było bardzo niebezpieczne. Śpiewano pieśni i urządzono tańce wojenne. Położywszy na ziemi puklerze i długie muszkiety, z odkrytemi głowami, przewiązani zawojami, z sztyleta-

mi w ręku, z zapaloném okiem, ci szatani w ludzkiéj postaci, zawodzili ruchome koła. Jednocześnie, gromady uzbrojonych Jajisów otaczały obóz, śpiewając, krzycząc i rzucając się jak małpy, to w górę, to naprzód. Chcieli tym sposobem wywołać jakibądź czyn nieprzyjazny, któryby posłużył za pozór do napaści. Zimna krew i pogardliwa spokojność angielskiéj eskorty, stosującéj się do otrzymanych rozkazów, nie dopuściła spełnienia tych zdradzieckich planów. Obawiano się napaści nocnéj; a chociaż górale rozproszyli się za nastaniem ciemności, lecz straże postrzegły, że kilkanaście set ludzi poszło ku téj wiosce, do któréj poselstwo miało wyruszyć nazajutrz o świcie. Gdy już zwijano obóz, Naib prosił majora Lumsden żeby się zatrzymał, a za chwilę przybył bardzo pomieszany. Otrzymał wiadomość, że pięć tysięcy Jajisów zajęło pod dowództwem jednego Akhanzada (1), wązki i długi wąwóz, jedyną drogę, przez którą można było iść daléj.

Coraz większe niebezpieczeństwo zagrażało. Jeżeli się zwrócą, napotkają na wczorajszych Jajisów i na Ali-Khailsów, których kilku naczelników potrafilismy skłonić na naszą stronę; lecz którzy wkrótce zwracają się przeciw nam, skoro tylko postrzegą wahanie się i słabość. Otworzyć sobie drogę przemocą, był to zamiar bardzo niebezpieczny, bo nieprzyjaciele w przeważającéj liczbie zajmowali mocne stanowisko. Można było pozostać na miejscu i zażądać posiłków; lecz na to trzebaby wynaleźć wiernych gońców do rządzcy prowincyi i do samego emira; wojsko nie mogłoby przybyć prędzéj jak za dwanaście dni, a zkądże przez ten czas wezmą żywności? Po krótkiéj naradzie, umyślili chwycić się pośredniéj drogi. Naczelnicy Ali-Khailsów przyjaźni Anglikom, udali się do *akhanzady* żeby go skłonić do zaprzestania kroków nieprzyjaznych, a jeżeliby się to nie udało, miano zdobyć dwa poblizkie domy obwarowane i w nich się zamknąć. Naczelnicy powrócili z niczém; nie chciano słuchać ich przełożeń: wówczas Naib oświadczył, że w ostatecznym razie sam pójdzie. Zdjął z siebie pas, ukląkł na nim i od-

(1) *Mądry od urodzenia.* Tak zowią ludzi odznaczających się umiejętnością i pobożnością.

dał pod opiekę Boga i Mahometa poselstwo angielskie i życie swoje. Cypaje z eskorty, którzy go nigdy nie widzieli tak nabożnego, śmieli się z jego modlitw. Nieobecny był dłużéj jak przez godzinę, a tymczasem parę set Ali-khailsów stojących na pobliskiém wzgórzu, miotało obelgi na niewiernych, których każdy krok plami ich ziemię i których przeklinali aż do ostatniego pokolenia. To szczęście, że cypaje zachowali jak najzimniejszą krew, chociaż zdawało się, że co chwila barbarzyńcy rzucą się na nich. Za powrotem Naiba, ustała obawa; odniósł jak powiadał, zupełne zwycięztwo, przełożywszy że honor Afghanów (*nanq i puchtana*) byłby narażonym na wielki uszczerbek, gdyby goście emira doznali krzywdy w jego własnym kraju; że za taki postępek emir wymierzyłby jak najmocniejszą karę. Akhanzada ustąpił i zaprzysiągł na siedem koranów, że przepuści *Feringów* (Anglików) przez tę świętą ziemię, którą znieważa ich nieczysta obecność.

Gdy więc od razu wszystkie przeszkody ustały, poselstwo ruszyło w dalszą podróż; spotykało jednakże tu i owdzie gromadki nieprzyjazne, które miotały na nie przekleństwa i groźby, ale żadna nie posunęła się do czynnéj zaczepki. Niedosyć na tém, skoro po południu tegoż dnia rozbito namioty, wielu naczelników nieprzyjaznych pokoleń, przybyło do majora Lumsdon z usprawiedliwieniem się i prośbą o *razi-nama*, to jest o świadectwo dobrego postępowania; lecz go z wielkim żalem swoim nie otrzymali.

Najciekawszą jest rzeczą, że całą tą sprawą kierował Naib. Żeby poselstwo angielskie lepiéj oceniło jego usługę, a tém samém dało mu większe wynagrodzenie, sam podmówił naczelników dwóch pokoleń Jajisów do groźnego wystąpienia, a zarazem przykazał im, żeby się nie posunęli aż do napaści. Była jednakże chwila, kiedy rozdrażnienie téj dziczy o mało nie zawiodło jego rachuby i nie sprowadziło smutnéj katastrofy. Wtenczas to Naib zląkł się na prawdę, a ten lis afghański ledwie że nie wpadł w swoje własne sidła.

W dwa dni potém, eskorta afghańska nie odbierając regularnie żołdu i dostatecznéj żywności, zaczęła szemrać i burzyć się. Oficer na którego się uskarżano, uciekł do

namiotu; żołnierze podcięli sznury i przykryli go massą płótna. Za tę psotę otrzymali bardzo surową karę. Porwano pięciu najwinniejszych i każdemu z nich dano po sześćset batów. Od téj chwili nikt nie śmiał zanosić skargi.

Na granicy każdéj prowincyi, poselstwo otrzymało inną eskortę i nowego Naiba. Każdy z tych oficerów afghańskich, odznaczał się odrębną fizyonomią i charakterem.

Po zdradzieckim Gholan-Janie, nastąpił *Sardar* Mohamed-Umr-Khan i *nazir* Walli Mohamed. Pierwszy był to stary fanatyk, surowy i niemiły; przez jego dumną grzeczność przebijała się nienawiść i wzgarda dla cudzoziemców. Nazir przeciwnie, mocno otyły i jednooki, człowiek żartobliwy i aż do zbytku gaduła, dopuszczał się największych oszukaństw. Pożyczył wielbłądów u swojego kolegi Gholam-Jana i kazał je skraść w téj saméj chwili, gdy je był oddał; nakazywał dostawę żywności dla poselstwa, trzy razy większą nad potrzebę, a co zbywało brał dla siebie. I tak uzbierał ładunek na dwadzieścia wielbłądów, chociaż skrycie dzielił się ze swoim surowym towarzyszem. Zachęceni przykładem dowódzców, jezdzcy obdzierali nielitościwie biednych wieśniaków. Piękna dziewczyna porwana z domu rodziców i ofiarowana dowódzcy, czyniła go ślepym na te wszystkie nadużycia i głuchym na skargi nieszczęśliwego ludu.

Takie krzywdy zrządziły, że w wielu wioskach najbardziéj poszkodowanych, żałowano panowania Anglików. Poselstwo angielskie dowiedziało się o tych skargach, lecz przekonało się zarazem, że ogół mieszkańców nienawidzi cudzoziemców i dobrowolnie nie podda się pod ich panowanie. Pan doktor Bellew przyznaje, że wszyscy krajowcy unikali naszego towarzystwa, chociaż cisnęli się do niego po radę, jako do lekarza z Europy.

W tym jedynie charakterze mógł lepiéj poznać Afghanów i chociaż cokolwiek uchylić téj zasłony, którą otacza się nieufność i chytrość wschodnia. W podróży do Kandaharu, a mianowicie gdy już przybyli na dwór następcy tronu, obarczony był bardzo drażliwemi żądaniami.

Pod pozorem radzenia się w chorobach, domagano się o napoje miłosne, albo o skryte i powolne trucizny.

Najznamienitszym jego klientem był następca tronu *(wali-ahad) sardar* Gholam-Haider Khan, który często zapadając na zdrowiu, zasięgał rady lekarza angielskiego i nie zważał na złe wróżby hakimów, to jest lekarzy krajowych. Książe ten niezmiernie otyły i przyjemne mający oblicze, mocno przypominające rysy żydów, bardzo serdecznie przyjął Anglików. Opowiadał nam jakich względów doznawał w Kalkucie, przebywając tam jako jeniec wojenny, i oświadczał się z niezmiernem poważaniem dla narodu angielskiego (1). Idzie o to, czy te oświadczenia były szczere, a następne wypadki przekonały o tém.

Po zawartym pokoju z Persami i opanowaniu Heratu, już poselstwo angielskie nie mogło mieć tak wielkiego znaczenia; wiadomości z Indyi były coraz gorsze i w Afghanach wzbudzały nadzieję oddawna upragnionego odwetu. Poselstwo angielskie, lubo zostawało pod bezpośrednią opieką następcy tronu i mieszkało z nim razem w cytadelli, było jednakże w bardzo niebezpiecznem położeniu, a z dziennika pana Bellew okazuje się, że gorliwość i dobra chęć Gholama Haider-Khana byłaby ostygła, gdyby Anglicy ponieśli w Indyach coraz to większe klęski.

Był to książe taki, jakich mnóstwo posiadała Europa w wiekach barbarzyństwa: łakomy, podejrzliwy, przebiegły i bez żadnego miłosierdzia dla poddanych. Kandahar był w owym czasie dręczony podwójną klęską głodu i morowego powietrza. Następca tronu, zamiast obmyślenia środków zaradczych, ciągnął zyski z zakupu i odprzedaży zboża, a że cytadella wolna była od zarazy, nie dbał o to że w mieście i w kraju mnóstwo ofiar umiera. Zdziwił się bardzo, gdy lekarz angielski prosił go o wyznaczenie miejsca, w którémby mógł przyjmować chorych przychodzących do niego po radę. „Na cóż sobie masz zadawać tyle zachodów i pracy? rzekł do niego.

(1) Był wzięty do niewoli w Ghuznée, kiedy tę warownię zdobył szturmem lord Keane.

Nikt ci tego nie poczyta za dobre". Nareszcie znudzony jego naleganiem, przeznaczył mu stary i na pół zrujnowany seraj: ale pod pozorem czuwania nad bezpieczeństwem lekarza, żołnierze stojący na warcie, ściągali opłatę od chorych, którzy przychodzili po radę, po lekarstwa, a nieraz i po jałmużnę.

Skracając opowiadanie pana Bellew, przytoczymy wydatniejsze zarysy postępowania i trybu życia Afghanów, w tym samym porządku, jakim je zapisywał codziennie.

„Książe okazuje nam coraz mniéj względów, a jego przykład naśladują dworzanie. Wynikło to z naszego żalenia się na przesadzoną cenę furażu, dostarczanego dla koni naszych. Liczą go dwa razy drożéj niż jest na targu. Książe zatwierdził postępowanie swego urzędnika (*nazira*); musimy więc płacić, ale tę nadpłatę odtrącimy księciu z jego miesięcznéj pensyi.

„Książe przysłał nam butelkę balsamu z Gilead i prosił nas żebyśmy o nim powiedzieli zdanie nasze. Ma to być niezawodne lekarstwo na reumatyzm. Na etykiecie jest napis: *szampański koniak*. Skosztowawszy téj cieczy, powiedzieliśmy, że ów balsam jest to wódka francuzka. Sardar niezmiernie zadziwił się i zakłopotał, że taki trunek zakazany znajdował się u niego. Weźcie go sobie, rzekł: jeżeli wam na co przydać się może. Podarunek ten chętnie przyjęliśmy, bo już nam tylko pozostały dwie butelki wódki i dwie wina porto, zachowane na przypadek, gdyby który z nas zachorował.

„Musiałem zaniechać rozdawania jałmużny ubogim chorym, bo żołnierze afghańscy stojący przy drzwiach na straży, bili tych nędzarzy i odbierali im pieniądze. Następca tronu nie karze takich nadużyć, lecz przeciwnie, utrzymuje niezgodę między cywilnemi a żołnierzami.

„Przez dwie godziny dysputowałem z lekarzem księcia. Utrzymywał iż Bohrat, Julinus, Aristus, Aben-Ali-Sina (Hippokrates, Galien, Arystoteles, Awicenna) dowodzą, że brzmienie głosu pochodzi od bicia serca, a wszystkie żyły krwiste znajdują się w pępku. Opierając się na stworzeniu Ewy, jak ich Koran opowiada, twierdził że na lewym boku mężczyzny jest tylko jedenaście żeber. Odpowiedziałem na to, żeby się przekonał wła-

snemi oczyma. Rozgniewał się i nazwał mię bluźniercą. Jest to obłudnik dumny, bardzo poważny w mowie, ale z twarzy jego widać, że lubi wszystkie uciechy zmysłowe. Dostał z Bombaj zbiór lekarstw angielskich i przyniósł je do mnie, żebym je obejrzał i wskazał mu w jakiéj dozie i na jakie słabości ma ich używać. Były to same pachnidła, wódka kolońska, olejek różany, fijałkowy, miętowy i t. p., słoiki z pomadą, a między temi nieszkodliwemi rzeczami, flaszka siarczanego kwasu. Poczciwy lekarz użył go na chorobę oczu, a chory oślepł na zawsze.

„Dziś rano za miastem, za upoważnieniem następcy tronu, ukamienowano jakiegoś biedaka oskarżonego o bluźnierstwo. Jeden z naszych cypajów utrzymuje, że kiedyś zbudują kościół w tém miejscu, gdzie zabito tego niewinnego człowieka; inni cypaje bardzo powstali na tę zuchwałą mowę.

Sardar zawezwał mię przez naczelnego generała wojsk swoich. Jego Książęca Mość leżał na łóżku, w wielkiéj sali audyencyonalnéj. Dworzanie rozpościerali żale swoje, hakimowie rozprawiali zawzięcie, słudzy płakali w głos, jak to było ich powinnością, a ta wrzawa zagłuszała jęki księcia. „Ratuj mię", rzekł do mnie! Był to prosty napad podagry w wielkim palcu prawéj nogi. Zaleciłem przystawienie pijawek. Hakimowie oparli się. Jeden z nich wyjrzawszy przez okno, oświadczył, że zepsuła się równowaga powietrza, że stosunki gwiazd nie są przychylne użyciu lekarstwa mojego. Inni lekarze radzili Sardarowi, żeby jeszcze napił się sorbetu z piżmem. Książe od rana bezskutecznie używał tego lekarstwa; odpędził więc nietrafnego doradzcę. „Czy to jest choroba zimna, czy też ciepła?" zapytał się inny doktor, bardzo poważnym tonem. Odpowiedziałem że to jest choroba bardzo ciepła i wymaga prędkiego leczenia. Natychmiast wyjął z kieszeni gruby rękopism i przeczytał szereg lekarstw używanych w takim przypadku. Inni hakimowie spoglądali na niego z podziwieniem i zazdrością. Sardar wydawał kiedyniekiedy jęk przytłumiony, na który odpowiadano tysiącem modłów i wykrzyków. Przybliżyłem się do niego i rzekłem po angielsku, żeby kazał wszystkim uciszyć się. Uczynił zadosyć woli mojéj, lecz

go nikt nie usłuchał. Rozlegały się nieustanne krzyki i ubolewania. Naresz ie przystawiono pijawki, a po nich dano okładanie ciepłe. Sardar doznał ulgi w boleściach i wykrzyknął uradowany: *Tafawat i za min wa atman* (taka różnica jak niebo od ziemi), potém usiadł i kazał mi podać fajkę i filiżankę herbaty. Słyszałem jak szydził z głupoty swoich lekarzy. Zapisałem lekarstwo, które z wdzięcznością przyjął. Zaufany sługa poszedł ze mną do mieszkania poselstwa i przyniósł je niezwłocznie. Czy mniemacie, że je Sardar zażył? Bynajmniéj. Jego lekarze oświadczyli, że to jest napój z *wina*, a więc zakazany, a nawet może być trucizną. Naturalny skutek wynikł ten, że noga znowu zaczęła boleć, objawiła się gorączka połączona z uderzeniem humorów do głowy. Oświadczyłem, że trzeba krew puścić i zacząłem przyrządzać bandaże. Hakimowie wstrzymali mię nie dlatego, że sprzeciwiają się temu środkowi; lecz że muszą zastanowić się, czy użyć mam lancetu robionego w kraju, albo czy wolno mi będzie przeciąć żyłę Sardarowi narzędziem zrobioném przez niewiernych.

„Od czasu kiedy gońcy z Peshawur przywieźli wiadomość o buncie cypajów, nasze położenie jest bardzo niebezpieczne. Zależymy od łaski i woli emira i następcy tronu. Jeden z głównych naczelników Sarfarat-Khan umyślił napaść na cytadellę, żeby nas schwytać i wymódz okup za głowy nasze; a jeżeliby tego okupu nie otrzymał, to zyskałby miejsce w raju za to, że nas zabije jako niewiernych. Widząc że zakupuje amunicyą, domyślono się jego zamiaru. Sarfarat uciekł w stronę Heratu, a wysłany za nim oddział jazdy nie mógł go dosięgnąć.

W kilka dni potém, pewna liczba mullahów (księży) wystąpiła w imieniu duchowieństwa, prosząc Sardara, żeby im wydał Anglików, a przynajmniéj, żeby ich wygnał z dworu i kraju, który znieważają swoją obecnością. Sardar, mówili, czyniąc zadosyć ich żądaniu, okaże się prawowiernym muzułmaninem, obrońcą islamizmu i zasłuży na szacunek i zaufanie poddanych. Książę odpowiedział, iż bez zaprzeczenia jesteśmy niewiernemi, lecz mimo tego jesteśmy *ahl i Kotab*, tojest *ludźmi książki*, a tém samém najznaczniejszemi i najwierniejszemi sprzy-

mierzeńcami emira przeciw Persom, że będzie nas bronił przeciw wszelkim napaściom i odprawił ich z zagrożeniem surowéj kary, jeżeliby podnieśli jakiebądź zamieszanie w mieście. Zadziwiła nas i zaspokoiła jego stałość.

...Nieustanne wystrzały z muszkietów, obudziły nas bardzo wcześnie. Dowiedzieliśmy się, że Sardar ledwie co uleczony z podagry, pojmuje żonę. Mówią na mieście o tém małżeństwie, że jest niesprawiedliwe. Bogaty kupiec owdowiały, ojciec dziewięcioletniéj dziewczynki, umarł kilka dni temu, a dziecko to zostało jedyną dziedziczką jego majątku, składającego się z 15,000 rupij z gruntów wartości 600 rupij, z czterech młynów konnych, z bydła, zapasów i t. d. Sardar skoro tylko dowiedział się o jego śmierci, wysłał kilku żołnierzy, którzy pod pozorem, że są z tego samego pokolenia, chcieli opanować jego dziedzictwo. Dziewczynka uciekła do babki i z pomocą służących zabrała skarb ojcowski. Żołnierze ścigali ją i domagali się, żeby im oddano pieniądze i dziecko. Dziadkowie zanieśli prośbę do Sardara; on odpowiedział stanowczym rozkazem, żeby mu natychmiast przysłali małą dziewczynkę, gdyż chce pojąć ją za żonę. Nie mogąc stawić oporu, musieli uledz. Tegoż dnia wsadzono ją do lektyki i wysłano do haremu następcy tronu. Nazajutrz odbyły się uroczystości weselne, z muzyką i wystrzałami.

Trzech ludzi powieszono wczoraj przed cytadellą. Są to włóczęgi, którzy zabili poborcę w okolicy Girishtk. Dzisiejsza egzekucya uczyniła większe wrażenie. *Kisaz*, czyli *zemsta krwi*, sprowadziła mnóstwo widzów. Wypadek jest następujący. Dwóch parobków zajętych sprzątaniem łąki, pokłóciło się niedawno. Jeden z nich uderzył drugiego sierpem i przeciął mu rękę aż do kości; krew wytryskała niezmiernie i zatrzymano ją lekarstwem krajowém, tojest niegaszoném wapnem, pomieszaném z utartemi liściami morwowemi. W tydzień przyprowadzono do mnie tego człowieka. Gangrena już doszła do łokcia. Jedynym środkiem ratunku było odjęcie ręki. Chory nie chciał na to zezwolić i wolał iść prosto do nieba, niżeli żebrać przez resztę życia, a potém szukać swojéj odciętéj ręki, Bóg wie gdzie, aby mógł przyzwoicie stawić

się przededrzwiami raju. Dopóki był tylko ranionym, rzecz ta mało dotyczyła się jego przeciwnika; lecz gdym tylko oświadczył, że umrzeć musi, natychmiast generał Faramurz-Khan kazał uwięzić winowajcę. Chory umarł trzeciego dnia na gangrenę. Wtenczas brat jego upomniał się o srogi przywilej wynikający ze zwyczajowego prawa Puchtun-walach i natychmiast otrzymał *Kisas*, tojest prawo odwetu. Nie chciałem patrzyć na to obmierzłe widowisko, lecz Faramurz-Khan opowiedział mi wszystkie jego szczegóły.

Skoro tylko przeczytano wyrok, który oddał zabójcę w moc brata ofiary, natychmiast tenże wyjął pałasz z pochwy i powaliwszy na ziemię człowieka, nad którym dano mu prawo życia i śmierci, przycisnął mu pierś kolanem i odrąbał mu głowę po kilkakrotném uderzeniu, wołając: *Bismillach-a-v-rachman-a rahim* (w imię pana najłaskawszego i najmiłosierniejszego).

Ten generał Faramurz-Khan jest niewolnikiem z *Kafiristanu*. Porwano go z gór ojczystych w młodocianym wieku i odtąd zawsze żył między Afghanami. Wprzódy nim przeszedł pod rozkazy następcy tronu, należał w Kabulu do dworu emira, jako paź zmarłego Akhbar-Khana. Jest przystojnym mężczyzną, ma lat blizko trzydzieści. Od czasu naszego przybycia do Kandaharu, przyjął ubiór angielski, a mając cerę prawie białą i włosy ciemne, zupełnie podobny jest do jednego z naszych współziomków. Jako powiernik Sardara i naczelny dowódzca jego wojska, zajmuje bardzo ważne stanowisko. On zaopatruje wszystkie nasze potrzeby i załatwia nasze stosunki z Sardarem: dlatego też przychodzi do nas prawie codzień, a od jednego pożyczywszy munduru, od drugiego kaszkietu, od trzeciego pary butów, przebiera się po europejsku. Na nieszczęście, nie ma dobrego krawca, a że praczki afghańskie nie używają krochmalu, niezgrabnie przeto wygląda w pomiętych kołnierzykach i kamizelkach, z włosami nigdy nieuczesanemi i w kaszkiecie wsadzonym na bok. Nie obraża się o to, że śmiejemy się z jego miny. W prywatnéj rozmowie przyznaje się, iż mu żal gór ojczystych; lecz na pozór okazuje jak największą cześć

dla Afghanów i dla wiary mahometańskiéj. Będąc odpowiedzialny za administracyą wojskową, musi starać się bez pieniędzy, o utrzymanie, ubranie i spokojność żołnierzy; zostaje więc w ciągłéj obawie, pomimo tego że posiada zaufanie księcia

Wyjechawszy na przechadzkę z Sardarem, napotkaliśmy karawanę koni. Handlarze sprowadzili ośmdziesiąt sztuk z Heratu i Majmuny. Książę jak tylko je postrzegł, natychmiast polecił wielkiemu koniuszemu, żeby je obejrzał i wybór uczynił. Dwadzieścia najpiękniejszych przyprowadzono na dziedziniec pałacu i wtedy zaczęła się scena, którą tylko w Afghanistanie widzieć można.

Sardar wyliczył najprzód wady owych koni, a potém zwrócił się do swoich dworzan i zachowując wszelkie formy wspaniałomyślności i ścisłéj sprawiedliwości, zapytał się co mogą być warte tak liche konie? Koniuszy odpowiedział natychmiast, że gdyby były w lepszym stanie, możnaby dać po trzydzieści rupij za każdego; lecz że wspaniałomyślny i hojny Sardar mając na względzie długą podróż handlarzy, podniesie tę cenę aż do czterdziestu i pięciu rupij.

Słowa te przyjęto z powszechnym oklaskiem, Sardar głos zabrał, a hojność jego przeszła wszelkie oczekiwanie: zapłacił po 50 rupij za każdego konia. Wtedy uniesienie dworzan doszło do najwyższego stopnia. Biedni handlarze także zaczęli wołać i narzekać; powołując się na świadectwo wszystkich świętych proroków, przysięgali, że będą zniszczeni, jeżeli taką cenę dostaną. Pięćdziesiąt rupij! więcéj kosztowała żywność koni i opłaty celne. Nie dozwolono im mówić; ich nikczemna niewdzięczność oburzyła wszystkich, kazano im milczéć; jakoż zamilkli pomieszani i smutni, wiedzieli bowiem z doświadczenia, co zyskaliby przez dalszy upór. Dobito targu. Odeszli, pocichu przeklinając Sardara i czémprędzéj opuścili miasto, udając się do Shikarpore (posiadłości angielskiéj), gdzie dostaną po trzysta lub czterysta rupii za każdego z tych koni, z których za najlepsze zapłacił Sardar po 50 rupij (1).

(1) Rupia warta jest około 2 i $^1/_2$ franka, czyli 4 złp.

„Bawełna strzelnicza nieznana Afghanom, bardzo zadziwiła Sardara i jego dworzan. Gdy mu pokazałem działania tego nowego materyału, jeden z dygnitarzy odprowadził mię na stronę i poprosił, żeby mu tą bawełną wypchać poduszkę. Dam ją, rzekł mojemu koledze, a gdy przypadkiem upuści na nią węgiel z cybucha.... Stary mullah, obudzony wrzawą, która powstała przy roztrząsaniu skutków bawełny strzelniczéj, rzekł wysłuchawszy o co idzie, że to jest wynalazek szatański i przesuwając ziarnka różańca, znowu zasnął.

„Inne doświadczenie z palnością gazu wodorodnego, utwierdziło Afghanów w mniemaniu, że mam poufałe związki z władzcą piekieł, a że ztąd mogłyby ważne skutki wyniknąć, zaniechałem ukończenia bateryi Wolty, już prawie na pół gotowéj. Te okazy chemiczne zjednały mi sławę biegłego truciciela. Obarczano mię bardzo kłopotliwemi żądaniami. Jedni prosili mię, żebym tajemnie zgładził ich nieprzyjaciół; inni, żebym podał środki, jakiemiby można poznać truciznę przymieszaną do potraw. Okazuje się z tego, że sztuka otrucia jest w Kandaharze bardzo wziętą i używaną.

„Przytoczę, jakim sposobem Sardar pojmuje sztukę finansów. Zawiadomiono przy odgłosie bębnów, żeby wszelką miedzianą monetę przynieść do skarbu książęcego, w ciągu dwudziestu czterech godzin, a to pod najsurowszą karą. Ale wprzódy oznajmiono, ze ta moneta przyjęta będzie za połowę dawniejszéj wartości. Po ściągnięciu jéj do skarbu, zostanie przebita na nowo i wypuszczona po dawnéj cenie, co czyni sto na sto zarobku dla Sardara. Takiéj monety było około 40,000 rupii. Ten obrót powtórzył się pięć razy podczas naszego pobytu w Kandaharze, a dwa razy zredukowano nietylko monetę srebrną, lecz i miedzianą.

„Iirga (zgromadzenie księży) skazało na ukamienowanie, człowieka, oskarżonego o buntownicze mowy. Powiedziano nam, że człowiek ten przepowiadał rychłe zwycięstwo Anglików w Indyach, wychwalał naszą administracyą i porównywał ją z niesprawiedliwością i tyrańskwem rządzców Afghanistanu, któregoby nie ścierpiano w posiadłościach angielskich. Ta surowa nagana i jawnie wyra-

żona życzliwość dla Anglików, poczytana była za zbrodnię stanu. Powiadano nam że umarł odważnie, obarczony przekleństwami wszystkich widzów jego męczarni.

„Lubo wiadomości z Indyi są coraz lepsze, przebyliśmy gwałtowne przesilenie, które zaczęło się od wypadku bardzo drobnego. Młodzieniec z plemienia Indyan, bawiąc się z Afghanami w równymże wieku będącemi, powtarzał głośno *Kalimę*, to jest wyznanie wiary mahometańskiéj. Przechodzący usłyszał to, porwał chłopca, zaciągnął go do najbliższego meczetu i żądał, żeby natychmiast dokonano na nim obrzędu obrzezania. Młodzieniec opierał się i krzyczał, już to z bojaźni, już to dla tego że nie chciał zostać muzułmanem. Jego współwyznawcy zaczęli zbiegać się; rodzice upominają się o zwrot syna, mullahowie nie chcą go wydać. Policya miesza się do téj kłótni i chłopca prowadzi do więzienia, dopóki władza nie rozstrzygnie tej sprawy. Sardar otrzymał w nocy od deputacyi Indyan 3.000 rupij i za jego tejemnym rozkazem wypuszczono więźnia. Mullahowie musieli ustąpić i zdawało się, że już jest po sprawie, ale w dwa dni potém dowiedziano się o postępku Sardara, a przekleństwa wszystkich księży mahometańskich i pogróżki, rozległy się po mieście. Ukarzmy zdrajcę i przeniewiercę! wołano, a te krzyki zatrwożyły następcę tronu. W tym właśnie dniu, poselstwo angielskie przejeżdżało przez targ główny, a naczelnik mullahów, otoczony mnóstwem swoich popleczników obsypał nas obelgami stosującemi się w ogóle do wszystkich niewiernych, a wszczególności do nas i do naszego opiekuna Sardara. Przejechaliśmy nic nie odpowiadając i wróciliśmy do cytadelli inną drogą. Sprawę wytoczono przed Sardarem, który uniesiony gniewem, wyprawił straż do bazarów, kazał zamknąć składy książek i wygnać wszystkich mullahów w ciągu dni ośmiu. To ukaranie jeszcze ich bardziéj rozjątrzyło. Całe to zgromadzenie, to jest księża i ich uczniowie, w liczbie sześciu set udali się w uroczystéj processyi do meczetu stojącego o pół mili od miasta za bramą Kabulu i najbardziéj czczonego przez muzułmanów. Potém zniósłszy się ze strażnikami bram, rozwinęli zieloną chorągiew, weszli do miasta, wzburzyli pospólstwo i napadli dom sędziego, który schronił się do

swego haremu, bo tego miejsca nigdy nie znieważą Afghanie. Straż przyboczna Sardara przyszła na miejsce wrzawy i kolbami rozpędziła wichrzycieli.

Gdy to działo się na jednym końcu miasta, pogrzebowy orszak Indyan idący do cmentarza, napotkał mullahów wracających do Kandaharu. Z powtórzonym okrzykiem Allah! rzucili się na Indyan; pomogło im pospólstwo muzułmańskie. Porwali ciało i okryli go zniewagami, stratowali, spluli, wciągnęli do kanału i nareszcie wyrzucili na kupę gnoju. Sardar w ciężkim był kłopocie: chciał bowiem ukarać to nadużycie, lecz obawiał się żeby jego wojsko już i tak dosyć zniechęcone, nie zbratało się z fanatycznemi stronnikami duchowieństwa. Gdy tak waha się i naradza, bunt wzrasta coraz bardziéj; mullahowie ośmieleni powodzeniem, gromadzą swoich zwolenników i chcą uderzyć na cytadellę. Więcéj jak przez godzinę stojąc przy głównéj bramie, słyszeliśmy złorzeczenia miotane na Sardara. Nazywano nas psami, niewiernemi, synami psów, synami potępieńców i t. d. Lud nalegał żeby nas oddano w jego ręce. Stan rzeczy pogorszał się przez to, że rozstawieni żołnierze w pierwszéj linii, rozmawiali przyjaźnie z pospólstwem i jawnie oświadczali, że bić się nie będą. O usposobieniu wojsk donieśli nam przewodnicy nasi, a chociaż Sardar niezwłocznie cofnął podejrzane straże, a w ich miejscu postawił swoją przyboczną gwardyą, która z nim pokrewieństwem złączona była, czuliśmy że bliskie niebezpieczeństwo zagraża. Staliśmy więc uzbrojeni aż do północy, a kto poszedł na spoczynek, ten nie rozbierał się wcale, a każdy z nas miał nabite rewolwery.

Nazajutrz rano, umowy między Sardarem i mullahami wzięły pomyślniejszy obrót. Mullahowie ograniczali się na odwołaniu wyroku wygnania i na otwarciu ich księgarń: na co Sardar łatwo zezwolił, gdyż kontent był, że tak małą rzeczą zakończył tę sprzeczkę. Po zawarciu ugody odzyskał zwyczajną śmiałość i jak mógł pokrył ustępstwa, do których go zmuszono. Dał publiczne posłuchanie *żałującym mullahom*, wspomniał jak surowe środki byłby przedsięwziął, zganił ostro nieufność chlubił się z gorliwości o wiarę, któréj dowodem jest świeża jego łaskawość, a zakończył wyraźnym rozkazem,

żeby zajęli się świętemi obowiązkami powołania swojego, przywrócili spokojność i w dzielnicach swoich utrzymywali porządek. Cała ta komedya bardzo nas ubawiła; lecz wkrótce nastąpiła tragedya. Za parę tygodni, pod pozorem łaski i awansów, emir zawezwał do Kabulu głównych przywódzców buntu. Często jadali u jego stołu i nie wiedzieć jakim sposobem wymarli jeden po drugim, na choroby mniéj lub więcéj naturalne. Widać z tego, że rząd Afghanów jest monarchią a raczéj bezrządem, powściąganym przez truciznę.

Następca tronu pożegnał się z nami. Jedzie do Kabulu, do swego ojca, który podług głoszonych wieści, umiera prawie co trzy miesiące. Odjazd księcia zgadza się z przepowiednią burzliwego fakira, który przed dwoma miesiącami oznajmił, że śnieg i Sardar razem odejdą. Wtrącono go do więzienia i zagrożono śmiercią, jeżeliby jego przepowiednia ziścić się miała; lecz pospólstwo oświadczyło się za uwolnieniem proroka i chciało przemocą spełnić ten zamiar. Lud afghański jest niezmiernie zabobonny. Lada wróżba niepomyślna, już go odwodzi od jakiegobądź przedsięwzięcia. Wojsko wraca się nie dokonawszy wyprawy, jeżeli zając przebieży mu drogę. Wierzą także w moc złego oka, a nas szczególniéj uważają jako posiadających ten wpływ szkodliwy. Nieraz widziałem, że ludzie koło których przechodziliśmy, pluli na ziemię i mówili jakieś niezrozumiałe zaklęcia. Objaśniono mię, że to czynią dla uchronienia się od szkodliwych spojrzeń naszych.

Sardar jak najtkliwiéj pożegnał się z nami, modlił się za nasze powodzenie i najmocniéj polecił Sardarowi Fattach Mohammedowi Khanowi, żeby czuwał nad bezpieczeństwem naszém. Nazajutrz udał się do obozu już gotowego do podróży, lecz jak zwyczaj każe, cały dzień tam przepędził. Ten dzień zwłoki, służy do naprawy tego, o czém można było zapomnieć. Przez te dwanaście godzin, konie i wielbłądy nieustannie krążyły między pałacem Sardara i jego obozem podróżnym. Wyjechał bez żadnéj okazałości, bez ceremonialnego pożegnania, bez wystrzałów z armat, pocichu, ostrożnie, przez ulice najmniéj zaludnione. Mówiono, że miał do tego

bardzo ważne powody. Między mnóstwem mieszkańców, których pokrzywdził albo zniszczył, mógłby łatwo natrafić na jakiego zapaleńca. Wziął z sobą trzech mullahów, najbardziéj skompromitowanych między temi, którzy jeszcze nie odbyli podróży do Kabulu. Ci przebiegli księża wymawiali się jak mogli zatrudnieniem około swoich owieczek, nauczaniem młodzieży i mnóstwem tym podobnych powodów; lecz następca tronu miał ważne przyczyny do zabrania ich z sobą. W ciągu tak długiéj podróży, czyliż może obejść się bez ich pobożnych rozmów, bez ich religijnéj pociechy? Ich modlitwy, ich orędownictwo u Boga, czyliż go nie uchronią od wszelkiéj złéj przygody? A przytém książe przyrzekał, że powiększy ich zapłatę, że im da zyskowne urzędy, jeżeli, dzięki ich modlitwom, podróż odbędzie się pomyślnie. Łakomstwo i duma przemogła obawę losu, jakiego doznać mogli w Kabulu i dosyć chętnie pojechali. Ani wątpić, że ich tak samo jak tamtych Dost Mahommed zaprosi na obiad.

Czyliż to nie jest wierne powtórzenie kronik włoskich z epoki Cezara Borgii?.

## III.

Poseł angielski p. Elfinstone, zanadto zakochał się w Afghanach i przyznał im wszystkie przymioty ludów posiadających rząd doskonały, miłość ojczyzny i niepodległość. Wychwala on także ich rycerską miłość i uszanowanie okazywane kobietom. Jednakże zmuszony przyznać, że tam kobiety przedają i kupują, a nawet wynagrodzenia karne uiszczają tém bydłem ludzkiém, nie cofa zdania swojego i upatruje w tym narodzie zasady bardzo wytwornéj zalotności. Za dowód stawia długą wojnę domową, któréj początkiem była intryga miłosna między naczelnikiem *Turkolauów* a żoną jednego z Khanów, Euzofsaisa; przytacza także romanse i ballady miłosne poetów afghańskich, którzy śpiewali o miłości, z wytworem godnym podziwu, a między temi historyą Audama i Doorkhaunei, najbardziéj upowszechnioną między ludem i daje jéj zarys. Mimo woli zaślubiona z mę-

żem którego nie kocha, Doorkhaunea prowadzi z Audamem platoniczny romans, zawiązany w ich młodocianych latach, wbrew woli okrutnych i wzajemnie nienawidzących się rodziców. Dwoje kochanków widują się tajemnie, lecz młoda niewiasta stale opiera się naleganiom kochanka i obowiązkom hymenu. Mąż odkrywa tajemne ich schadzki i urządza zasadzkę, w której Audam, zdradziecko napadnięty przez kilkunastu nieprzyjaciół, wyrywa się z ich mocy, lecz śmiertelną ranę odbiera. Okrutny mąż Doorkhaunei z dziką radością stawa przed nią natychmiast po bitwie, i pokazuje zakrwawiony miecz, którym jak mówi, zabił Audama. To okropne widowisko i nieszczęsna wiadomość, przeraża występną małżonkę; pada konająca między dwoma ukochanemi kwiatami, z których jeden ma imię Audama, a drugi jéj własne. Audam ukryty w bliskości tego miejsca gdzie o mało nie zginął, umiera dowiedziawszy się o śmierci ukochanéj Doorkhaunei. Pochowano ich każde z osobna, lecz potęgą miłości ich ciała łączą się w jednym grobie, nad którym splotły gałęzie swoje, dwa drzewa.

Fikcya ta odznacza się jak najdelikatniejszemi uczuciami miłości; lecz z niéj nie trzeba wnosić, że Audamy i Doorkhauneje często napotkać można między rozbójnikami afghańskiemi. Pan Bellew nie czyni nam pod tym względem żadnego złudzenia, wspomina o jak największéj nieufności mężów w Kandaharze i opisuje obelżywą męczarnią, zadaną cudzołożnéj kobiecie. Prowadzono ją po mieście, siedzącą na odwrot na ośle, z ogoloną głową, z twarzą pokrytą sadzami i tłuszczem. Gmin obsypywał tę biedną grzesznicę najcięższemi obelgami. Lecz przydaje tenże pisarz, że pomimo tak surowéj kary, będącéj wszakże złagodzeniem kary śmierci, naznaczonéj prawem za ten występek, pomimo wszelkich środków ostrożności, mężowie afghańscy nie są bezpieczni od przygody, któréj tak się lękają. Opuszczone przez rozwiązłych mężów, przesiadujących po tak zwanych *masjid*: to jest domach zakupionych za wspólne pieniądze przez mieszkańców wioski albo dzielnicy miasta: mężowie przepędzają czas na brudnéj rozpuście, a tymczasem Afghanki pozbawione wyobrażenia o swoich obowiązkach

moralnych, łatwo mogą korzystać z dogodności, którą im nastręcza ich ubiór zwierzchni zwany *burka*, pod którego fałdami nie można rozpoznać ani rysów, ani postaci: a tym sposobem wprowadzają do haremu pod imieniem przyjaciółek, wspólników swojego nierządu i mszczą się za przeniewierstwa mężów.

Czytelnicy chcieliby może znaleźć objaśnienia w opowiadaniach Jana Kambella, owego Anglika od dzieciństwa wychowanego między Afghanami pod nazwiskiem Feringhe-Baha; lecz czy to ze skrupułu, czy przez nieuwagę, młody ten człowiek ani razu nie wspomniał o sidłach, które córki Ewy mogły na niego zastawić. Może też usunął je tłumacz jego opowiadań, należący do sekty Kwakrów. Cóżkolwiekbądź, awanturnik anglo-afghański jest zajęty samemi tylko studenckiemi zabiegami, przez które chce się wystarać o pieniądze potrzebne do jego zabaw i zamiarów. Jego wyznania są bardzo szczere, bez żadnego skrupułu, ani nawet zakłopotania. To prawda, że wcześnie nauczył się tych podstępów od swego nauczyciela. Ten wzorowy mentor był niezmiernie ostry dla biednych uczniów, dopóki mu nie opłacili się za jego przedajną wyrozumiałość. Wtedy ich nie bił i uwalniał od wszelkiéj pracy. Żeby zadosyć uczynić jego łakomym i ciągle ponawianym żądaniom, biedne dzieciaki musiały dopuszczać się kradzieży domowéj. Jan Kampbell okradał przybraną matkę, na korzyść srogiego nauczyciela. Chciał potém uciec i udać się do swoich współziomków, lecz zamiast prosto dążyć do Indyj angielskich, długo włóczył się po kraju, często oszukiwał i sam był oszukiwanym. Jego wędrówkom nie raz brakuje podobieństwa do prawdy a tém samém i zajęcia. Błąkał się ciągle, narażając się na wszelkie niebezpieczeństwa; tu był służącym, tam czarownikiem, owdzie uczniem Derwisza, gdzieindziéj wspólnikiem rozbójników, handlarzem koni, nareszcie żołnierzem, jużto w służbie hana Heratu, jużto szacha perskiego, a nawet w wojsku rossyjskiém (?). Jestto dziwnego rodzaju włóczęga i podejrzany opowiadacz. Jakże mógł chwytać się tylu różnorodnych rzemiosł, od roku 1840, w którym, jak powiada, miał się urodzić, do

roku 1857, w którym przybył do Bombaj? Trudno tę rzecz wyjaśnić, trudno mu zaufać. Między innemi szczegółami o nim, czytamy następujący: „Im się bardziéj z nim zaznajomiłem, pisze Oswald, tém więcéj mię obchodził ten młody człowiek. Szanował wszystkie formy religijne, lecz jego pojęcia o prawdzie były bardzo skrzywione. Sądził, że można dopuszczać się kłamstwa dla dobrego celu, którąto maksymę utrzymywała pani Genlis i wielu innych pisarzy francuzkich". Zaiste, nie spodziewałem się, że pani Genlis wmieszana będzie do przygód Anglo-Afghańczyka.

Zdaje się, że Jan Kampbell chcąc dodać zajęcia swoim przygodom, zapełnił je mnóstwem utworów bujnéj wyobraźni. Gdyby posiadał talent powieścio-pisarski, mielibyśmy Idziego Blasa afghańskiego, wielkie arcydzieło w tym rodzaju. Opis przygód tego młodzieńca zawiera wiele geograficznych i historycznych szczegółów, potrzebujących ścisłego sprawdzenia.

Ostateczne zdanie pana Bellow o Afghanach nie jest tak pochlebne, jak pana Elfinstone; lecz w głównym punkcie z nim się zgadza. Opisawszy tyraństwo emira i sardarów, ich liczne nadużycia i uległość poddanych, na wierze w przeznaczenie opartą, czyni następujące uwagi.

„Skreśliłem ten obraz bez przesady; same tylko dzikie zamiłowanie niepodległości i duma narodowa podpiera i utrzymuje polityczny byt Afghanów. Narzekają na uciemiężenie, jednak chlubią się z téj bezrządnéj wolności i utrzymują, że gdyby mieli silniejszy rząd, gdyby byli zgodniejsi i zjednoczeni, łatwo podbiliby świat cały. Kto powierzchownie sądzi o rzeczach, mógłby mniemać, że gdyby jakiebądź obce mocarstwo weszło do kraju, objęło władzę i zapewniło mieszkańców, że będą rządzeni sprawiedliwie i z pewną miarą swobody z surowością złączonéj, byłoby radośnie przyjęte. Lecz podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, przeciwny skutek nastąpiłby w takiém zdarzeniu. Afghan nie cierpi regularnego rządu, woli znosić krzywdę od wyższych, jeżeli spodziewa się, że nawzajem będzie przewodził i gnębił słabszych od siebie; woli znosić uciemiężenie i dopuszczać się odwetu,

niżeli uledz jakiemubądź prawu, którego surowość pozbawiłaby go téj pocieszającéj nadziei."

Jeżeli te uwagi poczytamy za sprawiedliwe i trafne, to musielibyśmy przyznać, że tak w każdym pojedynczym człowieku, jak w narodach, tkwi wrodzona żądza osobistéj niezależności i odróżnia ludzi od istót podrzędnych, pod ich panowanie oddanych.

Co rzeczywiście znaczyła

# KUNICA.

PRZEZ

*Wacława Alexandra Maciejowskiego.*

---

Choć religią uświęcony, szkaradny jednakże zwyczaj, mówi Herodot (I. 199.) miał lud babiloński i grecki, wyspę Cypru zamieszkujący, który nakazywał każdéj niewieście wydać raz w swém życiu swój wstyd, na ofiarę bogini Wenus, i wziąwszy za to od mężczyzny, przyjmującego tę ofiarę, pieniężny, by najmniejszéj wartości datek, złożyć go na ołtarzu bóstwa. Podobny zwyczaj, mówi tenże (IV. 168) istniał u jednego z libjskich, w Afryce mieszkającego ludu, który nakazywał co rok przedstawiać królowi wszystkie kraju dziewice za mąż wyjść mogące, ażeby z nich na raz jeden tę lub ową upodobał sobie. Zwyczaj drugi upowszechnił się w południowéj Europie. Korzystał z niego w III po Chr. wieku rzymski cesarz Maksymilian Galery, korzystali też naczelnicy klanów galskich, gdy jeszcze byli poganami. U zamieszkujących Szkocyą stawszy się jedném z praw feodalnych, wymagał od każdéj dziewicy (*merch*) takiéj saméj uległości dla prawa, do jakiéj się dziewice afrykańskie poczuwać musiały. Trwało to aż do roku 1090, po Chr., w którym na prośbę swéj żony zmienił to prawo król Malkolm III i opłatę w miejsce jego postanowił (1). Byli mu w tém przykładem monarchowie Galom z Armaryki do Walii przesiedlonym panujący, którzy niewiado-

(1) Du Cange pod wyrazem *marcheta*.

mo kiedy, ale już w X wieku, może przez wpływ religii chrześciańskiéj przywiedzeni do tego będąc, opłatę rzeczoną *amobyr* zwaną, pobierali od wszystkich kraju swego dziewic, a pobierali według wyrażenia się prawa, przeto, że dziewictwa ich strzegli od skazy (1). Rzeczone prawo, które dla krótkości dziewiczém *(jus virginale)* zwać będę, przejęli od walijskich Galów, Anglosaksonowie, ale opłaty od samych tylko poddanek przed podbiciem Walii wymagali. Po nastąpionym podboju zażądali jéj i od dziewic w stanie wolnym urodzonych, co jeszcze w XVI wieku praktykowało się w Anglii (2). Na Anglosaksonów i na Anglików zapatrzywszy się Francuzi, przywłaszczyli sobie to prawo, jak mniemali tém słuszniéj, gdy go niegdyś naczelnicy galskich wykonywali klanów. Nie przestali atoli na tém co Anglosaksonowie, lecz w ten co królowie i panowie szkoccy przed r. 1090, wykonywując go sposób, upierali się przy tém prawie *(droit de* **culage, culliage***)* zarówno świeccy jak duchowni francuzcy panowie aż do r. 1409. W tym to roku parlament (najwyższy sąd) ograniczył prawo dziewicze, zamieniwszy go na pieniężny w XVI jeszcze wieku pobierany datek. Francyą naśladując Sabaudya, Belgia, Fryzya i niektóre niemieckie kraje, wymagały opłaty od wydawanych za mąż poddanek, mianowicie gdy się z mężczyzną obcéj wsi zaślubiały. Skarbowością uzasadnili to prawo, niby że przez wywód poddanki ze wsi, zrządzony ubytek ludności, czynił szkodę ich dochodom. Z opłatą za wywód połączyli prawo bękartskie (pasterne). Albowiem i bękart nie mógł się przesiedlić z miejsca na którém się urodził, bez wiedzy właściciela. Spadek po nim należał się jemu (3).

Prawo dziewicze na religijnym grubizmie, na rozpuście i chciwości zysku oparte, byłoż znane Słowianom? Twierdzi to Ewers i początek jego w Pskowie upatruje,

(1) Porówn. Ferdynanda Waltera: das acte Wales ein Beitrag zur Völkerrechts—und Kirchen Geschichte. Bonn. 1859. Str. 151, 158 i nast.

(2) Du-Cange pod w. *marcheta*. Walter tamże 187.

(3) Du-Cange tamże i pod wyr. *bastardagium*, *bastardus*, Mittermajera: Grundsätze des gemeinem deutschen, Privatrechts. Regensburg 1837, w 2 tom porown. I. 253, 999. Philips: Grundsätze des gemeinen deutschen Privatrechts Berlin 1838 w 2 tom. porown. str. 273.

gdzie Olga r. 964 prawo to znieść miała, postanowiwszy w jego miejsce opłatę, którą od żeniącego się mężczyzny pobierał w czarnéj kunie, pan idącéj za mąż niewiasty (1) bądź tym panem był bojar, bądź krajem władnący książe. Lecz kiedy ją płacił nowożeniec, to płacił za wywód ze wsi zaślubionéj sobie żony, i nie wynika ztąd, ażeby przed Olgi ustawą prawo galskim, naczelnikom służące, istnieć w Pskowie miało. Raczéj przypuścić należy, że na angielskich Normanów (Anglosaksonów) Normanowie pskowscy (Warago-Russy) zapatrzywszy się, brali opłatę za wywód, która *kuną* albo *kunicą* nazywała się przeto, że się dawała w futrach kunich, w równi ze srebrem idących. Jeszcze w XIV—XVII wieku na pieniądz według cen targowych ewaluowane rzeczone futra (2), oznaczały szacunek usamowolnionéj przez zamężcie (3) niewiasty: bez téj opłaty nie mogłaby była ruszyć się z miejsca (przesiedlić się), będąc przywiązaną do roli (4). Właściciele utrzymywali osobnych służebników do pobierania dochodów w kunach, nie tylko za wywód, lecz i za inne należytosci płaconych: kunszerykami ich, z tego zowiąc względu (5).

Ewers powołał się dla poparcia swego twierdzenia na Naruszewicza. Ten mniemał, że niegdyś istniała kunica w Polsce od Skandynawów przyjęta; Skandynawowie zaś, mówi tenże, słynne sobie *jus cunnagii*, od rzymskiego wyrazu *cunnus* tak nazwane, na wzór Szkocyi utworzywszy, puścili go następnie (niewiadomo kiedy) w zapomnienie. Mniemanie to podziela Czacki, i jest tego zdania, że kunica w szkockim znaczeniu wzięta istniała na Rusi i na Litwie (6). Lecz wymysł to czysty.

(1) Ewers: das aeltesto Recht der Russen. Dorpat 1826 porówn. str. 70 i nstpn.

(2) Porówn. r. 1398, 1483, 1663. Akt. sobr. w bibliotece i archiwach rossyjskoj Imperii. St. Petersburg 1836, tom 4, I. nr. 13. Akt. jurydiczeskie St. Petersburg 1838, nr. 413, 202, I, II.

(3) R. 1400. Akt. sobr. I. nr. 15. Instrukcya z wieku XVII, w akt. jur. nr. 334, II, III.

(4) R. 1506, 1663, 1679, 1699. Akt. sobr. I. nr. 143. Akt. jur. nr. 65, 399, 401.

(5) Dypomiata XIV, XV wieku w Akt. jur. nr. 110, VII.

(6) Dzieła I. 80, i nstpn.

Gdyby ona istnieć kiedy u Skandynawów miała, wiedziałby zapewne o tém Kolderup-Rosenvinge, tymczasem nic o kunicy w jego Historyi duńskiego prawa nie stoi (1). Co do Litwy, możnaby na poparcie zdania Czackiego przytoczyć pieśń ludową, w któréj żali się przed bratem dziewica, że ludzie z morza (z zamorza przybyli) gwałt jéj zadawszy, stargali wianek; lecz gwałt wyrządzic nie jest to samo co wykonywać prawo, na którém się właśnie kunica wspierała. Nie ma wątpliwości, że przed rokiem 1237 istniało w Wielko i Małopolsce wdowie, dziewicze i t. p. (2), w którym zniósł go panujący tu w imieniu pupila swego Bolesława Wstydliwego, Henryk Brodaty; lecz jedno i drugie nie w znaczeniu *jus cunagii*, ale *kunicy* brane być musiało, kiedy się o takowe upominał na synodzie sieradzkim (r. 1262) fiskalności ściśle przestrzegający, Janusz arcybiskup gnieźnieński. Oba świadectwa zestawiwszy widać z nich dowodnie, że czyto szlachcic, czy ludowy człowiek brał z cudzéj wsi poddankę: (pierwszy dla wydania ją za swojego człowieka, drugi dla siebie na żonę) płacił *za wywód*. Prawo to pod niewiadomém nazwiskiem i na Węgrach istniejące, zniósł król Ludwik na rzecz szlachty, na rzecz ludu znieśli go dopiéro później w lat sto następcy jego (3). Uchylone na korzyść jednych i drugich przez Henryka Brodatego w Polsce, przywrócił znowu jego pupil, gdy panowanie objął; uwolnił on szlachtę, lecz nie lud i poddankom za mąż wychodzącym opłacać się kazał. Zganił mu to r. 1241 Grzegórz IX papież, lecz napróżno i w lat dwadzieścia kilka sam nawet arcybiskup gnieźnieński, jak wnet powiemy, prawość opłaty téj uznał. Totéż na Szlązku pomimo zniesienia jéj od Brodatego, istniała ona pod nazwą opłaty za wywód (4), a w Gostyńskiem pod nazwiskiem swadebnicy (5), szlachtę nawet aż po czas

(1) Grundriss der dänischen Rechtsgeschichte, übersetzt von Dr. E. G, Homeyer. Berlin. 1825.

(2) *Viduale, virginale*, et similia, mówi świadczący o tém Długosz.

(3) R. 1351 art. 17, r. 1492 art. 85, 56 w *Corpus juris hungarici*. Tyrnaviae 1751 w 2 tom. porówn. I, str. 169, 175.

(4) R. 1277 w Stenel. Urkundb. *wy wejde* za *wywód*.

(5) Czacki dzieł I, 79, 80.

wcielenia tego księztwa do Korony obowiązywała. Wtedy ją ztąd Kazimierz Jagiellończyk r. 1462 usunął. Na rzecz ludu nie prędzéj aż za Zygmunta I zniesioną została w Polsce. Król ten ogólnie wyrzekł, że wolno córkom osadników wychodzić za mąż bez składania za to opłaty swojemu panu (1). Od tego czasu nigdzieś się kunicy, swadebnicy i t. p. nie dopatrzył, prócz Litwy i Rusi, tudzież serbskiego państwa; w tych albowiem krajach opłata za wywód wielkim książętom, carom i sułtanom (2) wciąż się dawała. Rzecz w ten, jak rzekliśmy sposób zrozumiawszy, nie będziemy się dziwić arcybiskupowi Januszowi, że w r. 1262 zakazał szlachcie szarpać wdowie, dziewicze i mające się wnet wyjaśnić pasterne; nie płacący bowiem za wywód zrodzonéj we wsi klerykalnéj wdowy lub dziewicy szlachcic, czynił przez to ubytek w dochodach dobrom duchowieństwa.

Po takiém wyjaśnieniu rzeczy widać dowodnie, że kunica (wdowie i dziewicze) nie ma żadnego związku z wątpliwém *jus cunagii*. Widać też z różnych nazw, które nosiła, nie mając ogólnéj nazwy, widać i ztąd, że kunica wywodząc swoje miano od wyrazu, który nie jest słowiańskim, musi tém samém być pochodzenia obcego i różnych czasów wypływem. Futra drogie, któremi daninę opłacały zakarpackie ludy, kotami (dorozumieć się leśnemi), a przedkarpackie naprzód scytyjskiemi sobolami (3) następnie, lecz niewiadomo kiedy i dlaczego kunami nazywały. Związku, jakiego między tym wyrazem a *cunnus* dopatrzyć się niepodobna, zwłaszcza, gdy pomnimy na to, że kunicy nazwa u ludów ruskich popłacała jedynie, a u reszty Słowian opłata za wywód już wdowiém, już dziewiczém, już swadebnicą, już mordką (4),

(1) R. 1511 w polskich Voluminach legum porówn. I, 379.

(2) Pieśni serbs., I, 429, 423

(3) Du-Cange pod wyr. *martures*, tudzież pisarze od Tołstoja w Istor. finansowych Uczrežđenii Rossyi. St. Petersburg 1848 przywiedzeni

(4) Węgierski podatek *bansulmora*, lub, jak Du-Cange p. t. wyrazem czyta *bansolmora*, *bansolusmamora*, oznacza składki (*solusma*, złożma się), mordek (*mora*), czyli futer dla bana. Od czasu Kolomana aż do Ludwika szlachta między Drawą i Sawą, gdzie były wielkie lasy mieszkająca, kotami

już kopą lieerską (rycerską), czyli opłatą dawaną szlachcie (1), nazywała się. Mniemam, że właśnie ta rozmaitość wyrazów służy za dowód, że różnemi czasy i z różnych okoliczności wciskał się z Zachodu do Słowian zwyczaj dawania opłaty, która gdy prócz ucisku nie miała w sobie nic nagannego albo nieprzystojnego (2), więc i dla téj przyczyny wywodzić ją od wyrazu *cunnus* nie godzi się. Pobierał ją równo duchowny jak świecki, równo krajowiec jak przybysz, wymagając takowéj od samego tylko prostego a bynajmniéj i od uszlachconego ludu. Totéż i Murzowie tatarscy nie płacili jéj licząc się do szlachty (3).

Co o wdowiem i dziewiczem, toż samo o „pasternem" czyli „basternem", tudzież „bykowem" zauważył fiskalności ściśle przestrzegający prałat. Wdowa lub dziewka nie mogła uchodząc ze wsi wziąć z sobą bękarty swoje. Rabunek popełniał właściciel stanu świeckiego, jeżeli niewiastę taką ze wsi duchownéj zbiegłą przyjął do siebie z dziecięciem, lub dał u siebie schronienie téj, która ciężarną będąc, wyszła z klerykalnéj wsi do szlacheckiéj, nie porodziwszy tam gdzie dziecię poczęła. Przepadło bowiem wtedy kościołowi „bękartne", tudzież „bykowe", któreby był tenże ściągnął od gospodarza, w którego domu zostając nie zamężna niewiasta w ciążą (4) zaszła.

leśnemi podatek płaciła. Inaczéj niż ja, wydawca zbioru praw węgierskich wyżéj przywiedzionych (corp. jur. hung.). I, str. 168) wyraz *bansolmora* objaśnia.

(1) Wójcick. pieśni II, 145, 146.

(2) Lelewel. Polska śr. wiek. (wyd. drugie), III, 84.

(3) Czacki dziel. II, 133.

(4) W przypisku do listu w piśmie zwaném „Słowo r. 1859. St. Petersb. krótko wychodzącego (patrz nr. 15 tegoż pisma) powiedział Lelewel, że *pasterne* znaczy *opłatę pasterzom* (infułatom, opatom, proboszczom) od ich owieczek od parafian opłacaną. Mniemam, że gdyby to znaczyło, nie byłoby z dziewiczem i wdowiem zestawione. Łaguna w Bibl. Warsz. r. 1854, III, 163, za *pasterne* czyta z Helclem zgodnie „*pusteine*" *puścizna*, bezzasadnie. O bykowem Polskę pod względem obyczajów, III i Lindego porównaj.

# Uwagi
## NAD POCZĄTKIEM ROKU POLITYCZNEGO
# U ATEŃCZYKÓW.

PRZEZ

*Hippolita Grzybowskiego.*

---

Są pewne rysy w dziejach ludów, które się nie starzeją; ani doświadczenie późniejszych pokolen, ani zmiana wyobrażeń i potrzeb ludności, ani wreszcie zupełnie nowe warunki wspierające układ nowoczesnych społeczeństw, które nie odejmując wdzięku starożytności czynią ją jednak czémś zdatném raczéj do uczonych doświadczeń niż naśladowania: wszystko to nie jest w stanie zmniejszyć znaczenia i stanowczego wpływu niektórych epok, chociaż pogrążonych w głębokiéj starożytności. Czas siejący wszędzie z wytrwałością dzieło zniszczenia, dla tych szczęśliwych okresów jest przeciwnie najwierniejszym sprzymierzeńcem, bo postęp nauki rozszerzając zakres badań, odkrywa w nich tylko coraz nowe zalety; wskazuje, że wiele faktów mających niedawno pozór kropelki wody, jest istotnie przybytkiem najtrwalszego pod słońcem istnienia, bo życia wielkiéj myśli człowieka.

Takich rysów najwięcéj przedstawiają nam starożytni Grecy, lud wybrany do spełnienia olbrzymiego posłannictwa cywilizowania świata. Dzieje narodu nie są, bez wątpienia, tylko prostym wynikiem przyrodzonych własności jego kraju, ale niezawodném jest, że położenie jeograficz-

ne potężnie dopomaga do wprowadzenia w czyn powierzonego mu przez Opatrzność zadania. Ojczyzna Greków jest najlepszym tego dowodem, i ktokolwiek umie tak patrzyć na kartę, że widzi na niéj coś więcéj oprócz linij granicznych, dostrzeże, że Bóg ustalając Greków śród takich a nie innych warunków naturalnych, dał im już przezto niejako zadatek wielkiéj przyszłości. Lud ten spełnił szczęśliwie myśl opatrzną, ztąd dzieje jego przedstawiają jednocześnie najpiękniejszy obraz błogiego stanu narodu i niewyczerpane źródło głębokiéj korzyści dla późniejszych pokoleń.

Nic więc dziwnego, że historya Grecyi stanowiła zawsze dla największych uczonych ulubiony przedmiot badań, i niektore jéj części są opracowane ze ścisłą dokładnością. Z tém wszystkiem najświetniejsze nawet jéj ustępy, jak naprzykład czasy wojen perskich i epoka Peryklesa, lubo opisane z wielkiemi szczegółami przez historyków ojczystych Herodota, Tucydytesa, Diodora i innych, oraz objaśniane i rozwijane przez najzdolniejszych filologów i dziejopisarzy nowszych czasów, nie zostały jednak kompletnie wyjaśnione. Najsłabszą stroną wszystkich tych badań jest, bez wątpienia, chronologia, która nawet po takich dziełach jak Sygoniusza, Skaligera, Petawiusza, Dodwela, Klintona, oraz spółczesnego nam prawie Beka, wiele jeszcze pozostawia do życzenia. Rzeczywiście téż trudności, jakie spotykamy przy tego rodzaju badaniach, są niekiedy nie przezwyciężone, a najważniejszą z nich jest przedewszystkiem brak wspólnéj ery, którąby przyjęły narody starożytne za podstawę swych obliczań. Nie mówiąc już o ludach Wschodu, biorących zwykle jako zasadę związku pomiędzy wypadkami czas życia najznakomitszych władców, co stało się przyczyną powstania wielu bardzo rodzajów chronologii i dało początek wielkiéj ilości błędów wprowadzonych przez mniéj biegłych lub niewiele cenionych sumienną dokładność latopisarzy, sami nawet Grecy przedstawiają pod tym względem taką niejednostajność, że rozwiązanie powstających ztąd zawikłań, stanowi jednę z najmozolniejszych potrzeb nauki. Przytaczane zwykle przez historyków greckich nazwiska *eforów, archontów*, kapłanów, przedstawiają w wielu miej-

seach chaos kompletny, tém bardziéj, że czas trwania tych godności nie był jednostajny; niektóre bowiem urzędy kapłańskie zajmowane były dożywotnie, gdy tymczasem dostojeństwa archontów najprzód dziedziczne, od 752 roku zamienione zostały na dożywotnie, a nareszcie w 682 roku zaczęto wybierać dziewięciu z władzą przez rok tylko trwającą. Niepodobném było, żeby fakt ten przy wielkiéj, jak na owe czasy, ilości dzieł historycznych i oraz nowych potrzebach z zadziwiającym porządkiem uorganizowanéj społeczności, nie zwrócił uwagi uczonych i ludzi u steru rządu stojących. Dostrzeżono wtedy, że najpewniejszym punktem oparcia dla porządnego prowadzenia chronologii, mogą być igrzyska olimpijskie, jako uroczystości w wysokim stopniu cenione przez wszystkich Greków, które tém bardziéj były w stanie ułatwić obliczanie lat, że oddawna ustalony był zwyczaj ścisłego zapisywania nazwisk zwycięzców w tak zwanych olimpionikach (*Ολυμπιονῖκαι*). Zczasem więc znaleźli się historycy, jak naprzykład Eratostenes, którzy opowiadanie swe oparli wyłącznie na wskazówkach zwycięztw olimpijskich. Zatracenie tych dzieł jest z tego względu niepowetowaną dla nauki szkodą, którą w małéj zaledwie części wynagradzają szczupłe z nich wyciągi spotykane w dziełach późniejszych historyków greckich.

Przyjęcie igrzysk olimpijskich za podstawę chronologii nie zmniejszyło jednak o wiele trudności, która nie została zupełnie usuniętą, nawet po ustaleniu przez aleksandryjskich uczonych zwyczaju dołączania do liczby kolejnéj każdéj z takich uroczystości, nazwiska pierwszego archonta ateńskiego. Główną przeszkodę zawsze stanowiła kwestya, do obecnéj chwili niedostatecznie wyjaśniona, kiedy zaczynała się epoka noworoczna u Greków. Rozstrzygnięciem tego pytania zajmowało się wprawdzie, jak zobaczymy niżéj, wielu uczonych, ale wskazówki historyków starożytnych, dowodzące że początek roku umieszczany bywał raz w tym, drugi raz w innym miesiącu, uczyniły je jeśli nie kompletnie niepodobném, to przynajmniéj nadzwyczaj trudném do rozwikłania. Wszystkie te z resztą trudności wywołały w chronologii greckiéj dziwny dualizm; kiedy bowiem igrzyska olimpijskie, razem z oznaczeniem naz-

wisk archontów eponimów przyjęte zostały za zasadę liczenia czasu w dziełach historycznych, system ten jednak zawsze odrzucany był w rachubie urzędowéj. Pierwszy Diodor Sycylijski w swém znakomitém, choć niestety nie doszłém do nas całkowicie dziele *βιβλιοθήκη ἱστορική* wsparty poprzedniemi pracami kompilatorów aleksandryjskich, usiłował przezwyciężyć przedstawiające się trudności, układając z najściślejszą starannością fakta ugrupowane około każdéj olimpiady, przez co nietylko wyjaśnił pozornie chronologią naukową, lecz stał się nadto wzorem dla wszystkich następnych historyków. Ztąd czytając jego „Bibliotekę historyczną" na pierwszy rzut oka jesteśmy zdumieni zarzutami czynionemi mu przez najzdolniejszych badaczy (1), ale po dokładniejszém wpatrzeniu się spostrzegamy, że czas przytaczanéj olimpiady łączy on w ten sposób z nazwiskami archontów, jak gdyby miesiąc *ἑκατομβαιών*, *w którym odbywały się igrzyska*, przypadał zupełnie do początku roku cywilnego. Tymczasem na nieszczęście stronników tego mniemania, mamy dość jasne dowody w dziełach historyków greckich, że skutkiem usiłowań mężów stojących u steru rządu, zbliżenie to nastąpiło dopiero przy rozpoczęciu wojny peloponezkiéj, i że tém samém w epoce opisywanéj przez Diodora *γαμελιών* był pierwszym miesiącem roku politycznego. Historyk ten przy całéj pewności, z jaką wyprowadza szeregi archontów eponimów, zdaje się zupełnie nie spostrzegać, że jest w grubym błędzie, albo też, co pewniejsza, poświęca na ofiarę prawdę, unikając trudności. Korsyniusz jednak nie dał się tak łatwo w błąd wprowadzić. W jego badaniach (2), omyłka Diodora występuje w całéj nagości, choć rozstrzygnięta została w sposób niekoniecznie godny wielkiego badacza. Wierzy on, idąc za przykładem Skaligera, że do 432 roku przed Chrystusem, rok ateński zaczynał się śród zimy, i że tém samém od przytaczanego przez Diodora, archonta Kalliadesa, wybranego w 480 roku, do Pethodora obejmującego urząd już śród lata 432 roku upłynęło 48 ½ lat, a zatém ten ostatni był czterdziestym

(1) Patrz Daunou: Cours d'etudes historiques, Paris 1846, tom XII.
(2) Fasti Attici.

dziewiątym archontem, licząc od Kalliadesa; gdy tymczasem Diodor wymienia go czterdziestym ósmym. Chcąc ominąć powstającą nagle groźną dla całego systematu chronologicznego skałę, Korsyniusz powiada, że poprzednik Pethodora miał sprawować władzę przez ciąg półtora roku. Zkąd wziął ten domysł, trudno rozstrzygnąć; bo sam Diodor na podobną myśl nie naprowadza.

Jakiż więc jest środek do utworzenia stałéj i pewnéj chronologii, którąby pogodziła opowiadania rozmaitych historyków greckich? Oto rozstrzygnąć kwestyę noworocznéj epoki u Greków, i na tém oprzeć dopiero cały wątek dziejów.

Tucydytes, jako czynny członek jednego stronnictwa, nie zawsze może być przyjmowanym za dostateczną powagę w sądzeniu o ludziach; ale gdzie chodzi o pewność w wykładzie biegu faktów i dokładność w oznaczeniu chronologicznem, spokojnie polegać na jego zdaniu możemy. Z jaką ścisłością lubi on określać ważniejsze zwłaszcza epoki, widzimy zaraz na wstępie jego dziejów wojny peloponezkiéj.

Mówiąc o pierwszém rozpoczęciu działań przez Tebańczyków, powiada on, że wypadek ten miał miejsce przy samym początku wiosny, w szóstym miesiącu po bitwie przy Potydei, za efora spartańskiego Ainezyasza i na dwa miesiące przed ukończeniem władzy archonta ateńskiego Pythodora. Widoczne więc, że termin wyboru nowych urzędników, czyli ostatnie dni roku wypadały z początkiem lata. Lubo nie trudno byłoby przytoczyć na poparcie téj prawdy świadectwa innych uczonych greckich, lecz uważamy to za zbyteczne. Tucydytes nie pozostawia żadnéj w téj mierze wątpliwości, tak że gdybyśmy posiadali podobnie stanowcze dane co do poprzedzających okresów, kwestya ta należałaby do rzędu najpewniejszych ze wszystkich części dziejów starożytnych. Ale, na nieszczęście, tam mamy tylko wskazówki, które dopiero po dokładném zbadaniu tekstu historyka stają się prawdopodobnemi.

Zwróciwszy przedewszystkiém uwagę na zdania w tym względzie nowoczesnych uczonych, spostrzegamy trojakie, wprost przeciwne sobie mniemania wypowiedzia-

ne w dziełach najznakomitszych badaczów chronologii starożytnéj. Skaliger (1) utrzymuje, że rachuba epoki noworocznéj od miesiąca letniego *ἑκατομβαιών* została wprowadzona u Greków już w późniejszych czasach, i że przedtem Ateńczycy liczyli początek każdego roku od miesiąca zimowego, noszącego nazwisko *γαμηλιών*. Częste czytanie Herodota i innych historyków greckich przyprowadziło, bez wątpienia, Skaligera do tego przekonania. Nie mógł on jednak zapewnie przypomnieć sobie, w jakiém mianowicie miejscu znalazłby dowody stanowczo potwierdzające jego mniemanie i skończył na tém, że wypowiedział je jako pewnik, nie powołując się na żadne świadectwa starożytnych. Z tém wszystkiém następni badacze uchwycili to zdanie, jakby zupełnie niewątpliwe; ztąd spotykamy je w dziełach Petawiusza (2), Dodwela (3), Korsyniusza (4) bez żadnych zmian i dopełnień. Znaleźli się jednak uczeni inaczéj w téj sprawie myślący, którzy nie wahali się twierdzić, że Hekatombaeon był zawsze pierwszym miesiącem roku. Szczególniéj zasługuje pod tym względem na uwagę: *Henrici Clintonis Fasti Hellenici civiles et litterarias Graecorum res explicantes conversi a Kruegero Lipsiae 1830.* W osobnéj, zawartéj w tém dziele rozprawie, pod tytułem: *De mensibus Atticis* na stron. 338 autor rozpoczyna rzecz od wyliczenia miesięcy, kładąc na czele Hekatombaeon. Następnie dowodzi, że od niego rozpoczynał się zawsze rok ateński i stwierdza swe przekonanie cytatami, które rozpoczyna od Bekkeri Anecd. Gr.. a kończy na Arystotelesie i Demostenesie przedstawiających świadectwa co do pory roku, w jakiéj umieszczony był ten miesiąc, oraz jakie odbywały się w nim uroczystości. Potém przechodzi kolejno do innych miesięcy, przytacza gorliwie świadectwa rozmaitych uczonych, wyjąwszy tych, którzy niezawodnie objaśniliby go w tym względzie stanowczo, a nareszcie robi uwagi ogólne nad rokiem ateńskim, który, jak powiada

(1) Josephi Scaligeri opus de emendatione temporum, Genevae 1629.
(2) Dionisii Petavii opus de doctrina temporum (Paris. 1627).
(3) De Cyclis.
(4) Fasti Attici.

od Solona był rokiem księżycowym, składającym się z 354 dni (1). Przytoczywszy następnie opinie najznakomitszych uczonych, potwierdzające to zdanie od Plutarcha do Korsyniusza, przechodzi do ważnéj nader uwagi, dotyczącéj dodawania przy końcu każdego przestępnego roku miesiąca dodatkowego, który nazywa się Pozydeonem 2gim (2). Z tém wszystkiem, mówi daléj Klinton, porządek rachuby nie mógł być wielkim; starożytni bowiem astronomowie nie określili dokładnie całości, ani księżycowego, ani słonecznego roku. Dla tego Meton w 432 roku zmienił cykl, nie zmieniwszy jednak dawnéj epoki noworocznéj. Następujące potém samo objaśnienie cyklu metońskiego nie interesuje nas na teraz; dlatego pomijając je zupełnie, zwrócimy tylko uwagę na uderzającą różnicę opinij nowoczesnych uczonych co do początku roku. Nic nie objaśniwszy, zaplątały one owszem całą sprawę do takiego stopnia, że niewiadomo na pierwszy rzut oka, komu przypisać słuszność, czy Skaligerowi, który każe wierzyć sobie nie przedstawiając dowodów, czy też Klintonowi obszernie rozwodzącemu się nad słusznością swego zdania, popartego zresztą świadectwami wielu starożytnych i późniejszych uczonych.

Jakkolwiek musimy wyznać, że przytoczone wyżéj dzieła zajmują pierwsze miejsce między wszystkiemi badaniami w tym przedmiocie, mamy jednak jeszcze inną drogę mogącą doprowadzić nas do pożądanego celu, a tą jest staranny rozbiór tekstu historyków starożytnych.

Zakres niniejszego pisma nie dozwala nam przytoczyć wszystkich wskazówek spotykanych w dziełach Dyonizyusza Halikarnasskiego, Dyodora i innych; poprzestaniemy więc tylko na przypomnieniu jednego miejsca z VI księgi Herodota. Opisując zdobycze dokonane przez Persów na Archipelagu, historyk kończy opowiadanie swe o nich temi słowy: Przy końcu tegoż roku Persowie nie mogli żadnéj innéj szkody wyrządzić Jończykom,

(1) Post Solonis tempora Atticus annus lunaris erat 354 dierum.

(2) Hi lunares anni cum solis cursu eo conciliati sunt, quod in fine secundi cujusque anni intercalaris mensis Posideon 2 additus est. De mensibus atticis pag. 349.

ale z nadejściem wiosny Mardoniusz przypłynął do morza z ogromną potęgą" (1).

Po tak jasném oświadczeniu na nic się nie przyda długi szereg starannie wybranych przez Klintona dowodów i okazuje się zarazem cała wielkość domysłu Skaligera, że rok cywilny Ateńczyków w epoce wojen perskich zaczynał się przed początkiem wiosny. Pozostaje więc tylko okazać, kiedy właściwie nastąpiła zmiana przenosząca epokę noworoczną na miesiąc *ἑκατομβαιών*, zajmujący miejsce w środku lata, jak świadczą wszyscy historycy i uczeni starożytności.

Skaliger i Petawiusz (2), którzy bez żadnéj wątpliwości pierwsi położyli stałe podstawy chronologii greckiéj, w sposób stanowczy, choć niepomyślny dla nas rozstrzygają to pytanie jedném słowem: *incertum est.* Do Klintona odwoływać się w tym razie zupełnie nie możemy; sili się on bowiem na okazanie, że Hecatombaeon był po wszystkie czasy dla Greków kresem rozpoczynającym rok nowy. Za to Korsyniusz a szczególniéj Dodwel (3) wyraźnie twierdzą, że początek roku cywilnego Ateńczyków przeniesiony został na miesiąc letni Hecatombaeon przez Metona 432 roku przed Chr.

Zdanie to potwierdzają wskazówki starożytnych, nie pozostawiające żadnéj wątpliwości. Z pomiędzy wielu rozrzuconych u Plutarcha, Dyodora i innych, weźmiemy te tylko, które zawarte są w tak zwanych dydaskaliach poświęconych wyłącznie opisywaniu współubiegania się na igrzyskach poetów dramatycznych. Stanowią one tém droższy dla nas materyał, że z zupełną dokładnością oznaczają czas, przytaczając zarazem nazwisko prezydującego na tych igrzyskach archonta, a przytém prowadzą szereg opowiadań prawie do wojny peloponezkiéj. Wszystkie te doszłe do nas dydaskalie stwierdzają, że

(1) *καὶ κατὰ τὸ ἔτος τοῦτο ἐκ τῶν Περσέων οὐδὲν ἔτι πλέον ἐγένετο τούτων ἐς κεῖνος φέρον ἅμα δὲ τῷ ἦρι Μαρδόνιος κατέβαινε.* i t. d.

(2) Patrz Petavii, Opus de doctrina temporum lib. r I, XXIV, str. 65.

(3) De veteribus Grae. Roman. cyclis, dies III, Sect. XXXV, stron. 182.

rok cywilny ateński, nawet po ukończeniu wojen perskich ciągle zaczynał się przed początkiem wiosny od miesiąca *γαμηλιων*. I tak naprzykład, w jednéj z nich czytamy: „Drugiego roku, 80téj olimpiady, za archonta Filoklesa odbywały się przedstawienia dramatyczne, na których pierwszą nagrodę otrzymał Eschiles za Agamemnona". Drugi rok 80téj olimpiady ciągnął się od lata 459 do lata 458 roku; ponieważ zaś współubieganie się poetów dramatycznych miało miejsce zwykle w miesiącu Elaphebolionie na uroczystościach, które nosiły nazwisko *τὰ μεγαλα Διονυσια* (1), archontem zaś wtedy był Filokles, widoczna więc, że godność swą otrzymał w miesiącu gamelionie. Gdyby bowiem Eschiles odniósł zwycięztwo w poprzednim roku, tojest na początku 459, kronika wtedy notując fakt ze zwykłą sobie ścisłością, nie omieszkałaby powiedzieć, że miał miejsce w piérwszym roku 80 olimpiady.

Nie możemy przytoczyć wszystkich następnych dydaskalij, kilka jednak z nich znajduje się w dziele: *Die Didaskalie zu Aeschylos Septem contra Tebas. Franz.; Berlin 1848;* inne znów w badaniach poświęconych wyłącznie poezyi dramatycznéj Greków, lub niektórych biografiach Plutarcha: wszystkie zaś one są dowodem, że do czasu wojny peloponezkiéj, epoka noworoczna przypadała śród zimy. Tymczasem już wyżéj wskazaliśmy, że Tucydytes mówiąc o początku téj wojny (431), wyraźnie daje do zrozumienia, że miesiąc Hecatombaeon rozpoczynający lato, był wówczas zarazem pierwszym miesiącem roku. Okazuje się więc, że zdanie Skaligera co do odmiany zaprowadzonéj w rachubie czasu przez Metona jest słusznem, tém bardziéj, że stwierdza je znany ów ustęp poematu Festa Awiena, który tak często rozbierano, tylokrotnie bezskutecznie usiłowano zbijać, a którego dwa ostatnie wiersze zupełnie rozstrzygają wątpliwość, mówiąc:

*Sed primaeva Meton exordia sumpsit ab anno*
*Torreret rutilo cum Phoebus sidere cancrum.*

(1) Patrz Klintona. De mensibus Atticis.

W Warszawie, d. 28 grudnia 1863 r.

# KRONIKA LITERACKA.

*Historya Polska do końca panowania Stefana Batorego; dzieło pośmiertne, przypiskami pomnożone i wydane przez E. Rykaczewskiego. Poznań, nakładem księgarni Jana Konst. Żupańskiego. 1863. 8ce. Str. XVI i 680.*

**(Tom XIII dzieła: Polska, dzieje i rzeczy jéj).**

Historya téj pośmiertnéj pamiątki po znakomitym uczonym, jest następująca: „Z wiosną 1813 roku, pisze Lelewel, kreślący swoje „Przygody w poszukiwaniach i badaniu rzeczy narodowych polskich" zjawił się nadzwyczajny pociąg do trudu umysłowego. Lektura nagła dzieł historycznych wzorowych, ściągnienie kronik i dzieł do tych co miałem we własnéj książnicy; zgromadzenie, rozpatrzenie, uszykowanie widoków i zdarzeń, szły z niepomierną łatwością, a to: w zamiarze napisania dziejby historyi polskiéj, nie obarczonéj przytoczeniami czyli erudycyjnemi cytacyami, ale rozwijanéj w pomyślanéj powieści, w stylu i wykładzie dziejby historyi. Z tém wszystkiém było to tylko: pisz dzieło czego się chcesz nauczyć. Dwoma rzutami od 17 czerwca do 16 lipca, potém od 15 października do 27 listopada skreśliłem ją dość rozciągle na dwa lub trzy tomy, do zgonu Batorego. Na tém się urwało, bo się nie udało rychło ściągnąć na raz potrzebnych do dalszego ciągu przewodników i woluminów, a tymczasem różne zaskoczyły wydarzenia".

Daléj, w opisywaniu tychże przygód postępując, mówi Lelewel: „Nagle w 1813 znacznéj części dziejów polskich skreślenie, stało się wczesném przygotowaniem do kursu, jaki podjąć miałem. Rozważając sprawy i rzeczy Polski, usiłowałem rozpoznać

różnicę onych od spraw innych ludów, aby wydobyć własny narodowy żywioł, odróżniając go od cudzoziemskiego; usiłowałem widzieć Polskę niewyosobnioną, ale w związku, położeniu i postępie powszechnym ludów i mocarstw europejskich. Mało zważając na to, co inni widzieli przedemną, snułem własne widzenie. Poznając cudze, nie kwapiłem się napadać na nie, bez nadarzonéj pory. Snując swoje, pamiętałem na to, że w dalszém dopiero, długiém rozważaniu a wszechstronném rozpatrywaniu, nie zaś pierwszym poglądem istotę rzeczy zgłębić i na czysto wyprowadzić można. Pootwierałem tedy sobie dalszego poszukiwania widoki, wewnętrzną i zewnętrzną politykę Polski na cztery dzieląc okresy. Przed mym z Warszawy wyjazdem, w przypadłych z kolei elekcyach, zostawszy Towarzystwa przyjaciół nauk członkiem przybranym, na posiedzenie wydziału poniosłem na karteczce krótkie tych czterech epok wyłuszczenie. Po odczytaniu, jeden tylko Staszic wziął kartki do ręki, zastanawiał się, czynił uwagi, potakiwał".

Pod r. 1821, Lelewel wezwany przez uniwersytet warszawski do wykładu „jakiéj szczegółowéj części historyi" pisze w Przygodach daléj: „W skutek podjętego dziejów wykładu, przygotowałem sobie: parallelę Hiszpanii z Polską, a zgromadziłem w zapiski me mnogie do dalszych studyów notaty. Wglądając zaś do skryptu mego, skreślonych przed ośmiu laty (1813) do historyi dziejów polskich, mały z niéj wyjmek, w sposobie listu do Miklaszewskiego, wielu zbytecznemi dziejów ustronnych obserwacyami ustroiłem, pod tytułem: *Ostatnich Zygmunta Starego lat*, 1821 roku wydałem. Myliłby się czytelnik, że całe przed ośmiu laty dzieje są tak skreślone; te ostatnie lata okazywały zamiar mocnego ich rozwinienia: do czego nie przyszło".

Dzieło to więc w 1813 roku napisane, równo przez pół wieku leżało w rękopiśmie. Światłéj gorliwości Żupańskiego winniśmy, że i ten owoc pracy Lelewelowskiéj, niezmarnowany.

Oczywiście, samo zapomnienie, na jakie dzieło było skazane, dowodzi, że autor nie wiele co sobie z niego robił. „Mały wyimek" w sposobie listu do Miklaszewskiego wydał z tego dzieła, przerobiony i rozwinięty pod tytułem: „Ostatnie lata panowania Zygmunta Starego i początki panowania Zygmunta Augusta". Tak sam wyznaje autor, chociaż nie wiemy dlaczego ma to być wyimek, nie zaś osobna praca. Jeżeli autor myślał tak samo rozszerzyć inne części dzieła, byłby obok szczupłego, inne większe dzieło zostawił w literaturze. Tymczasem to szczuplejsze,

mógł rozwijać, poprawiać, przerabiać. Widzimy, że coś podobnego Lelewel zrobił z historyą Wagi. Trzy kolejne przerobienia i wydania, zmieniły dawnego Wagę do niepoznania. To czego w nim nie było, Lelewel dodał, co potrzebowało staranniejszego wykładu, rozszerzył. Waga z roku 1824 jest zupełnie książką Lelewelowską. Uderza to, że znakomity autor do takiego przerobienia kolejnego nie wziął swego dzieła, ale cudze. Jeżelić się Waga do tego nadawał, mogła się nadać i Lelewelowska historya z roku 1813. Wszakże brał się do spisania swoich dziejów dla tego, że książki podręcznéj, a stosownéj ku celom edukacyjnym nie dopatrzył się w literaturze. W roku 1813 sam to poświadcza, że w historyi polskiéj płocho powtarzano „przesławne imiona". Wiedziano coś o Zygmuncie IIIcim, o Janie Sobieskim, „bo ich posągi stolica ogląda" i Łokietek był znany ztąd, iż maluczki, i Popiel ztąd, że go myszy zjadły, i Lech, że „urojony ojciec ludu". Ale „Zygmunt Stary, August, Batory, leżą w pleśni zapomnienia, ale najważniejsze wieki średnie Królestwa, ledwie są dotknięte". Krótkie zbiory historyi nie zaspokajały wymagań, nie nosiły na sobie „znamienia historyi stosowanéj czyli pragmatycznéj, oczekiwanéj, od wielu pożądanéj". Lelewel tylko historyę Bandtkiego wyjmuje, ale Wagę (takiego jaki był w roku 1813) kładzie i sprawiedliwie w szereg pisarzy nie dających rozleglejszéj nauki. Jednakże w badaniach Naruszewicza, Łojki, Czackiego, Surowieckiego, Bentkowskiego, rosły pomoce ku nowemu i dokładniejszemu obrabianiu historyi. Samo dzieło Bandtkiego „przy wadzie we wszech względach niejednostajności", zawierało w sobie „wiele szczęśliwych, mianowicie tego pisarza postrzeżeń". Ten w ogóle nędzny stan nauki, pobudził Lelewela do pisania. Czemuż potém dzieła swego nie przerabiał, tylko Wagę? Sądzimy, że tu chodziło o to, żeby dać w ręce publiczności książkę podręczną i niewielką. Historya Lelewelowska z roku 1813 stanowi tom obszerny ścisłego druku i obejmuje tylko czasy do śmierci Batorego. Musiałby być drugi, tak samo wielki tom z dalszym ciągiem historyi. Dzieło to już obszerniejsze nawet od Bandtkiego. A Lelewelowi chodziło o małą książkę, wszelako obejmującą całość i odpowiadającą przytem postępowi nauki; dla tego swego dzieła zaniechawszy, Wagę przerabiał i stworzył małe arcydzieło, bo w istocie historya Wagi i do dziś dnia najstosowniejsza do elementarnego wykładu.

Wielka szkoda, że mąż uczony swojéj historyi nie przerabiał: byłoby to drugie arcydzieło. A przez pięćdziesiąt lat książ-

ka się zleżała, i trąci starą treścią. Często temu przyczyną czas, w którym Lelewel pisał, to jest stan badań ówczesnych, często znowu sama niepoprawność, niedozór, bo przy przeglądaniu rękopismu, nie jednoby sam Lelewel wymazał. Jest tu n. p. biskup wrocławski w r. 1000 (str. 18). Jest nie prawdziwa wiadomość, że Kijów po wojnach Bolesława Chrobrego „nigdy już do swéj ludności i zamożności nie wrócił" (str. 30). Masław jest tu podczaszym i zwany buntownikiem; Krzywousty jest dziedzicem tronu. Raziło nas także zawsze, przyznamy się, to samowładztwo Piastów, jakie sobie Lelewel wyobrażał, i jakie dla jego powagi, do książek elementarnych wpłynęło. Samowładztwo to płynęło nie raz z okoliczności, z osobistego charakteru dzielnego władcy, nie z zasady narodowéj i pewnie takim samym potężnym i silnym samowładcą był Kazimierz Wielki jak i Bolesław Chrobry, jeżeli naturalnie odrzucimy różnicę wieku, w którym żył jeden i drugi: wciągu lat trzystu obyczaje złagodniały, władza dawną swoją tęgość straciła. Raziło nas także i wyrażenie w Polsce: monarcha i monarchia. Te wyrazy nigdy w Polsce nie miały takiego znaczenia, jak w całéj zachodniéj Europie; nie będzież to krzywić fakt historyczny, przenosić żywcem do innych zupełnie pojęć cudze pojęcia i wyrazy? Szczególniéj też wyraz: *monarcha*, *monarchia*, wchodzą w zwyczaj u Lelewela od czasu podziału Krzywoustego. Nie wiedzą historycy jak odznaczyć księcia panującego w Krakowie od innych, księcia co niby pracy ma więcéj od innych, co niby w osobie swojéj wiąże całe państwo Bolesławów w jedność. Monarchami więc, są tylko książęta krakowscy, monarchią Księztwo krakowskie. Daleko byłoby właściwiéj tu wymienić tego księcia i księztwo, jeżeli potrzeba było wymienić imię. Jeżeli monarcha oznacza jednego, najwyższego władcę w księztwie, dlaczego pierwszy lepszy na Szlązku, na Mazowszu Piast nie jest monarchą? Dla oznaczenia zaś jedności kraju ten wyraz służyć nie może. A i późniéj nawet, kiedy panowali w Polsce Jagiellonowie, razi nas przy Zygmuncie Starym, przy Zygmuncie Auguście ten wyraz, monarcha (1). Nie oznacza on dobrze stosunków króla do narodu, oznacza je dobrze we Francyi, w pierwszém lepszém państwie europejskiém. W Polsce ani monarchy, ani pod-

(1) Jakby umyślnie czytam w téj oto chwili następne wyrażenie się w pewnym projekcie reformy rzeczypospolitéj za króla Michała: „Gdy się król w oppresora (uciążyciela wolności) przez potęgę i powagę obróci i *przyjdzie w monarchę*".

danych, w znaczeniu europejskiém nie było. My mamy naszą własną, polityczną terminologię i chociaż w znacznéj części łacińska jest, zawsze zastosowana do potrzeb, do wyobrażeń narodowych, nam służy i niepotrzeba nam uciekać się do innéj.

O straconém obywatelstwie ludu, rzecz, którą Lelewel późniéj poruszył i rozwinął, ani słówka. Także Rusi i Litwy nic tu prawie nie ma. Są tu i owdzie wzmianki, ale o tyle, o ile się dzieje właściwéj Polski z dziejami owych ziem plączą. Z przygody więc spotykamy w téj książce Lelewela, Ruś i Litwę, tak samo jak n. p. Czechy i Węgry. Urywkowe dzieje ani dadzą czytelnikowi wyobrażenia o losach Litwy i Rusi, ani też objaśnią mu dobrze ówczesnych jeszcze międzynarodowych stosunków Polski z sąsiadami, których los miał powiązać w jedno z Polską. Pod tym względem, że Lelewel późniéj spostrzegłszy niedostatek, pomyślał o tém, nierównie bogatszy i większe światło rzuca jego przerobiony Waga. Oczywiście, że książka Lelewela jest poniekąd w nauce anachronizmem.

Stało się znowu winą systematu, którego wszyscy się trzymali podówczas w opowiadaniu dziejów narodowych, że nie ma czasami nawet związku pomiędzy wypadkami tyczącemi się saméj wyłącznie Polski. Od czasu mianowicie podziału Krzywoustego, zaczynają się dzieje odrębne pojedynczych części kraju, ale na to nie zważano. Wszystkie wypadki w ogóle ściągano pod dzieje księcia panującego w Krakowie. Tymczasem książe ten nie zawsze mógł być wybrany za reprezentanta epoki. Na dzielnicach książęcych mazowieckich, szlązkich, pomorskich, częstokroć ukazywały się charaktery większe, zdolności wyższe, jak na tronie krakowskim. Władysław Laskonogi, Leszek Biały, Bolesław Wstydliwy, byli to słabi książęta i nie mogli iść w porównanie ani n. p. z Henrykiem Brodatym, ani z Bolesławem Pobożnym, ani z bratem jego Przemysławem, ze Świętopełkiem pomorskim, nawet z pewnego względu i z Konradem mazowieckim. Toć w tych nie krakowskich książętach był hart duszy, myśl jakaś wyższa, znaczenie: tam słabość. Kazimierz Sprawiedliwy, ten „książe stanu rycerskiego", ostatni z książąt krakowskich, miał wpływ przeważny na losy innych stron państwa Bolesławów, jednoczył w sobie Lechię. Potém tronem krakowskim rozporządzali nieraz książęta niższych, mniéj dostojnych linij. Dlaczegóż Kraków ma ten przywiléj, że pod swoje dzieje ściąga dzieje innych księztw Piastowskich? Może tę rolę przewodzenia w Lechii, rozwijania wpływu urzędowego wszędzie po dzielnicach,

przeznaczał krakowskim władcom Krzywousty; cóż, kiedy zadania swego nie dopełnili, na wysokości się téj nie utrzymali? Ściąganie tedy wszystkich wypadków gdziebądź zaszłych w Lechii, pod jedne dzieje krakowskiéj dzielnicy, jest uderzającym w oczy bezsensem. Historya Naruszewicza, która pomimo tego że stara na dziś, ma swoje niepospolite jeszcze zalety, powinnaby była ostrzedz piszących o wadliwości systematu. Otóż po roku 1139, potrzeba opowiadać dzieje osobno każdego księztwa rozdzielonego kraju, a kiedy księztw tych się mnoży, potrzeba opowiadać dzieje księztw gruppami: zwykle interes dynastyczny, miejscowy, ściśléj związał z sobą książąt jednéj linii. Mogą być tedy osobne dzieje księztw polskich, mazowieckich, szlązkich, kujawskich. Mogą i muszą. Inaczéj, będzie jak w Naruszewiczu, chronologiczny spis wypadków w Lechii, ale nie dzieje życia, nie światło. Uwaga ciągle się rozrywać będzie i wreszcie w końcu się znuży; bo rzeczywiście, trudno będzie czytelnikowi wybrnąć z zamętu. Roku jednego rozpocznie się wojna książąt w Szlązku, drugiego wojna książąt na Mazowszu, trzeciego fakt jaki prawodawczy, i czwartego znowu wrócić się będzie potrzeba do wojny n. p. w Szlązku. Uniknie się tych przeskoków i powrotów przy systematyczniejszym wykładzie, wtenczas lepiéj się pojmie i miejscowe księztw stosunki i miejsce ich w ogólnéj historyi polskiéj. A my źle odnosimy wszystkie te wypadki i rzeczy do Krakowa, wtenczas kiedy Kraków był takiém samém księztwem, jak n. p. wrocławskie, płockie; błąd jest rażący, nie pojęcie życia. W dziejach Lechii chaos, a księztw tu jeszcze nie tak wiele, dzielnice nie tak rozdrobnione; cóżby dopiero było, gdyby kto chciał w podobny sposób opowiadać dzieje Rusi, wiążąc wszystkie wypadki do Kijowa? Tam i osób niezmiernie więcéj, i księztw, i spraw, i wojen, i zabiegów. Trzebaby zginąć w chaosie i do tego nie znalazłoby się nauki, którejby się szukało w zmudnéj pracy około takiego tworzenia.

Rzecz taka jasna, a jednak wszystkie nasze dotychczasowe historye popełniają błąd ten stary. W przerobieniu Wagi, w dziejach Litwy i Rusi, Lelewel poprawił się, w Historyi z 1813 roku ten błąd systematu jeszcze w całéj sile; w czasach późniejszych nawet, w Jagiellońskiéj epoce uderza to. Nie postawił autor Litwy obok Korony, dziejów jéj osobno nie rozpowiadał, tylko ile razy wypadło mówić o Litwie, przerywał ustępem dzieje Korony. Tak jednak traktować dzieje przed rokiem 1569, nie godziło się: Litwa przed unią lubelską osobny zupełnie miała organizm, na-

wet i po r. 1569, na objawy prowincyonalnego życia historya zważać powinna, jeżeli chce wystawić całą prawdziwą historyą, ale nie jéj urywki, ustępy. Systemat tu winien, że n. p. w dziejach Jadwigi, kiedy jeszcze unii z Litwą nie było, mówi się ciągle tylko o Jagielle, o Kiejstucie, o sprawach litewskich. Systemat tu winien, że w dziejach Jana Olbrachta dużo Lelewel rozpowiada o Litwie.

Ale pomimo te wady i starości książki i systematu, Lelewel świetnie ze swego zadania wychodzi. Ogromny to gieniusz, który w roku 1813, jeszcze w epoce, w któréj nikt około dziejów narodowych chodzić nie umiał, zdobywał się na dzieło podobnéj treści, głęboko pomyślane i umiejętnie przeprowadzone. W Bandtkiem więcéj kompilacyi, objaśnienia są nowe, krytyczne, pojedynczych wypadków, w Lelewelu całość wielka. Te jego ogólne rzuty i poglądy na epokę, na cywilizacyą, te porównywania wciąż położenia Polski z położeniem państw Europy, to objaśnianie głębin życia, zwrócenie uwagi na prawodawstwo, na zwyczaje, pokazywało na męża tak znakomitéj zasługi i nauki, że nie było jéj z czém porównywać. A jednak i przed i po 1813 roku przez lat kilkanaście, mąż ten wielki należycie oceniony nie był. Dzieło Lelewelowskie ma dzisiaj wielkie swoje zalety, jakieżby tedy zajmowało stanowisko w czasie, w którym napisane było!

Zaczął jak należy Lelewel od pierwszéj przyczyny, która do bytu powołała Polskę, tojest od zdobyczy Karola Wielkiego. Nakreślił pokrótce geografią ziemi, w któréj miała Polska powstać i rozwijać się. Wszyscy zaczynali dopiéro od Mieczysława, a śmielsi od Ziemowita, więc nie wskazywali na powód nastania Polski jako państwo. Dzieje innych autorów bez tego koniecznego wstępu, nie mają początku. Wcieliwszy się do cywilizacyi zachodniéj, Polska wszystko wspólne miała z Europą. Lelewel nie spuszcza tego z uwagi i co chwila na tle historyi ogólnéj dzieje nasze kreśli. Jaśniejsze przez to malują się wypadki, np. wpływ duchowieństwa na sprawy Polski, kiedy widzimy obok wystawiony obraz podnoszenia się władzy papiezkiéj. Częstokroć zbliżeniem do siebie podobnych wypadków i porównaniem, nabieramy jaśniejszego wyobrażenia rzeczy o sprawach domowych. Porównanie np. unii Polski z Litwą za Jagiełły i Jadwigi, z unią kalmarską spółczesną na Północy (str. 303) pokaże ogromną różnicę faktu jednego od drugiego. Obraz potęgi polskiéj za Władysława Jagiełły, krótki ale wspaniały, pokazuje, że wówczas ojczyzna

nasza była pierwszém państwem europejskiém (str. 293). Jużto w ogóle z każdego porównania dziejów naszych z obcemi, wychodzimy zwycięzko. Pamiętamy np. porównanie Polski za intryg Bony i Francyi za intryg Katarzyny Medicis (str. 477); jakaż różnica cywilizacyi, moralności narodowéj, obyczajów! We wszystkich miejscach, gdzie tego przedmiotu Lelewel się dotyka, nieporównany jest. Co z tego, że pisze językiem nie wyrobionym i chropawym, kiedy światło się staje za skinieniem czarodziejskiéj ręki?

Na małéj stosunkowo liczbie stronnic. umié Lelewel powiedzieć wiele. Pod tym względem każde prawie panowanie Jagiellońskie jest wykończonym obrazem. Jagiełło, Warneńczyk doskonale wystawieni, toż Zygmuntowie. Mniéj barwy jakby należało, ma Kazimierz Jagiellończyk i starsi jego dwaj synowie. Charakterystyka w ogóle Jagiełłów, kiedy już umarł z nich ostatni, wymowna prostotą swoją i prawdą. Tak samo kiedy Lelewel skreśla i charakterystykę epok albo narodów, nic odjąć z niéj, nic odrzucić nie można. Z powodu wojny inflanckiéj za Zygmunta Augusta, maluje np. obraz Iwana w Moskwie i jego państwa. Takie poglądy i charakterystyki wstawione w stósowne miejsce, rozjaśniają dzieje Polski, chociaż na pozór do nich nie należą. Dziwna rzecz, że tyle ich jest w historyi późniejszéj, Jagiellońskiéj, a mało w Piastowskiéj. Dzieje téż Piastów nie wiele ożywione.

Lelewel pierwszy do nauki historyi wprowadził prawodawstwo i wewnętrzne życie, obyczajowe, polityczne. Znajdują się w dziele całe ustępy poświęcone temu przedmiotowi. Treść statutu litewskiego obszernie nawet przywiedziona. Staropolska arystokracya pańska ginie za Zygmunta Starego, król sam znosi ordynacye, podnosi się za to i w cichości zbiera tytuły do przyszłego przewodzenia arystokracya na wzór cudzoziemski, książęca, hrabiowska. Senator polski nie byłto poddany królewski, ale pan rady. Genialnie autor skreśla różnicę usposobienia ku królowi izby poselskiéj i senatorskiéj za czasów Tarnowskiego i Kmity. Wprawdzie w charakterystyce hetmana nieco przesadził, dobierając farb pochlebnych, ale i w owym czasie nie było jeszcze listów Zygmunta Augusta do Radziwiłłów. Wojna Kokosza miała swoje dążności i opierała się na duchu narodowym, ale téż w części i naśladownictwem szła, bo jednocześnie na polach pod Toledo walczył naród, który bronił wolności swoich przeciw królowi i arystokracyi.

W ogóle obrazy Jagiellonów ostatnich z widoczną malowane miłością i sprawiedliwie: niepodobna się nie unosić nad majestatem, sławą, potęgą i znaczeniem narodu w owych czasach. Zygmunta Starego Bóg czasami nawiedzał „nie z innéj przyczyny, tylko żeśmy nadto byli szczęśliwi", powiada Lelewel (str. 491). Chmurą na całkiem pogodném niebie, były dążności stanu szlacheckiego, w gruncie jednak zacne i poczciwe. Nie umiała się szlachta zatrzymać, znaléźć końca i miary swoim wolnościom, panowaniu i żądaniom (str. 497). Pracował nad szlachtą król nieustannie. Panowanie całe mu zeszło na równoważeniu spraw i namiętności. Tą samą ręką niszczył wolność krzyżową, którą księcia heretyckiego osadzał na tronie, ręczył przyjaźń Turcyi i miecz przyjmował od Ojca Świętego. Zręczny, każdemu dogadzał, stronił od nagłych odmian, złe samo na dobro kraju obracał (str. 458). Król wielki i jedyny, nie mógł tylko poskromić szlachty, bo oręża i gwałtu używać nie chciał, prawdziwy ojciec narodu. Za długiego panowania sprawował rzeczypospolitę bez wewnętrznego krwi rozlewu, ochraniał ją od ciężkich wojen postronnych wtenczas, kiedy inne kraje prowadziły żywot bolesny. Porównywany z innemi królami Europy, Zygmunt Stary nad wszystkich góruje. Prawdziwe natchnienie dyktowało Lelewelowi charakterystykę Zygmunta Starego (str. 507) i Zygmunta Augusta. Polska i pod tym względem stanowi rzadki w dziejach wyjątek. Królowie nasi Jagiellońscy nie spiskowali przeciw wolności narodowéj. Dosyć mieli chluby i zaszczytu, że wielkiemu narodowi panowali. Lelewel mniéj barw rozrzucił, charakteryzując Zygmunta Augusta. Ale niesprawiedliwie. Byłato także swojego rodzaju wielka zacność i powaga. Mniéj tęgiego charakteru jak ojciec, serce miał polskie, bo szlachetne, wielkie. Lelewel nie ubliża téj narodowéj świętości, alebyśmy chcieli, przyznamy się, więcéj słów, jak ich tutaj znajdujemy. Gdy stan Polski w skutku unii z r. 1569 dosyć uwydatniony, wypadek należycie postawiony, królowi téż samemu więcéj się słów należało.

Nie poprawiał wad swojéj książki Lelewel. Chciał je poprawić i w niektorych miejscach rozszerzyć wydanie dzieła Erazm Rykaczewski, którego nazwisko często w dziejach bieżącéj literatury występuje obok nazwiska Lelewela. Oczytany w dziełach znakomitego badacza, często je na francuzkie tłumaczył. Z historyą narodową ciągle miał do czynienia. Były to nam słuszne powody do wniosku, że jąć się mógł tych poprawek i dopełnień, których sam postęp nauki wymagał. Oczywiście pana Rykaczew-

skiego zadaniem było sprawić, żeby książka Lelewela najmniéj trąciła anachronizmem. W cytacyach źródeł, jakich jednak używał do swéj pracy wydawca, uderzyła nas pewna jednostronność. Najwięcéj faktów swoich wziął z inwentarza, tojest ze spisu archiwum koronnego, który w roku 1682 kazał sporządzić Jan III, a który świeżo wydała Biblioteka Polska w Paryżu. Po cytacyach z inwentarza najwięcéj ich z Wapowskiego. Zapewne, ważne to źródła, ale pokazują zawsze na pewną niedostateczność środków naukowych wydawcy. Wapowski tylko dla czasów bardzo późnych jest świadectwem. Od inwentarza nierównie bogatsze są źródła, wydawca widać nie miał ich pod ręką. Nie był więc na wysokości bieżącego rozwoju nauki.

Czasami uda się Rykaczewskiemu sprostować Lelewela, kiedy np. w przypisku objaśnia, że Kijów nie upadł po wojnach Bolesława Chrobrego, ale po najazdach książąt suzdalskich (str. 30). Częściéj przecież skutkiem starych przesądów naukowych prawdę Lelewelowską zaćmi. Cóż znaczą takie np. twierdzenia, że Polacy nie byli w stanie oprzeć się koronacyi Daniela „swego hołdownika" (str. 149). Lelewel tego nie powiedział, żeby Daniel był hołdownikiem Piastów. Potężny król halicki, ktorego państwo obejmowało Ruś Czerwoną, Wołyń, Podole, Ukrainę, stepy i pół Litwy, był hołdownikiem i któregożby to Piasta? Czy Bolesława Wstydliwego, który najpotężniejszy z książąt Piastowskich, kilka razy utonąłby w ogromie jego państwa? Z temi hołdami trzeba nam być bardzo ostrożnemi w historyi. My hołdujemy cesarzowi, nam hołdują po kolei to Kijów, to Halicz i t. d. Wyraz nieostrożny, a nie raz fałszuje czyste pojęcie wypadków. Wyrazów tych nie ma też u historyków poważnych. Bywały chwile dzielniejszego albo mniéj skutecznego działania kraju na kraj, dynastyi na dynastyą, ale niepodobna tworzyć z tego legitymicznéj zasady: dlatego, że był Piast jaki zwyciężkim kiedy np. w Haliczu, już prawo do odbierania hołdu przez to i jemu i potomkom jego trudno w Haliczu przyznawać.

Błędnie Rykaczewski wyrzuca pierwszym Jagiellonom, że skąpili przywilejów dla szlachty, kniaziów i bojarów wyznania greckiego i tém tłumaczy ich przechodzenie pod znamiona Moskwy (str. 3).

Ale najwięcéj błądzi wydawca przez swój chorobliwy pogląd na sprawy Polski w ogóle. Był w ostatnich chwilach w Rzplitéj zbytek szlacheckiéj wolności i niezawodnie ten zbytek i swawola były w znacznéj części przyczyną naszego upadku. Zbytek ten wy-

rodziła wolność taka, jakiéj jednakże w całym świecie nie było. Dzisiaj straciliśmy nie wszyscy, ale wielu z nas, zmysł bardzo potrzebny, spoglądania uważnego, nie namiętnego spoglądania na przeszłość. Widzimy jednostronnie. Potępilibyśmy wiele rzeczy zacnych, nawet i to czém wielkiemi stają się narody, potępiliśmy samą wolność, z dziwnego przesądu, że nas zgubiła. Tego właśnie przekonania jest i pan Rykaczewski.

Są ludzie, którzy mają pogląd swój własny, oryginalny, wyrozumowany, na te dawne sprawy naszego żywota. Karol Sienkiewicz np. był czystym monarchistą z przekonania głębokiego. Pogląd więc jego był surowy względem wielu objawów szlacheckiéj, republikańskiéj Polski. W poglądzie tym wszystko się logicznie wiązało. Dla tego znając myśl, wyobrażenia Sienkiewicza, z góry możemy przewidzieć, kiedy się go o sąd zapytamy, względem ludzi i wypadków, co o nich powie. Możemy z tym sądem nie godzić się, ale musimy przyznać, że ze stanowiska swojego sąd trafny Sienkiewicz wydał, powody do niego objaśnił. Toć pogląd pewny, niezachwiany, płynie z systematu. Wolność się ostoi przy poglądzie ściśle monarchicznym. Wolność jest tylko pewną formą, w któréj duch się narodu przejawia; trudnoż potępiać wolność, kiedy się żyje w świecie ucywilizowanym, kiedy co chwila, co krok spotyka się na wielkie sprawy wolności w każdéj sferze ducha, w każdym zawodzie pracy.

Lelewel przeciwnikiem był z poglądu swojego systematu monarchicznego Sienkiewicza. Jemu spodobała się republikańska wolność Rzplitéj, chociaż dobrze wiedział, jakie były jéj wady, jak się nieostrożnie rozwijała, i jak wykroczywszy z karbów umiarkowania, wśród których jest potrzebną ostrożność, zmieniała się na swawolę, która do zguby prowadziła naród. Lelewel nie potępiał wolności saméj, ale tylko złe jéj użycie.

Jakim tedy losem nieszczęsnym padło, że objaśniać i prostować musiał Lelewela Rykaczewski, który nie miał własnego, wyrobionego na te sprawy poglądu, jak Sienkiewicz, ani nie rozumiał Lelewela? Rykaczewski potępia każdą wolność, najmniejszy jéj objaw przejmuje go strachem: za Krzywoustego drży już o los Polski, że widzi pierwsze głośniejsze pobłyski wolności. Jesteśmyż w Chinach? Więc jak silną ręką ujął wodze rządu taki Chrobry, już przez wieki systemat jego miał się utrzymać? Więc w życiu narodów za nic światło, rozwinięcie się potrzeb moralnych, dojrzałość umysłowa? Rzeczywiście wpadamy w okropną ostateczność. Boimy się lada strachu w konopiach, lada głosu

energiczniejszego. Ależ taka słabość nerwów jest oznaką niezawodnéj choroby. Sienkiewicz nie objaśniałby Lelewela, bo niezgadzając się z nim w poglądach, nie mógłby dla takich objaśnień pisać obok danego, drugiego dzieła, samby swoje napisał. Jakże Rykaczewski odważył się na to? Nie mówimy o tych jego dopiskach, w których rozwija nieco obszerniéj sprawy ledwo przez Lelewela w tekście napomknione, a które często są w miejscu; ale mówimy o tych jego poglądowych, dążnościowych uwagach, których w téj książce tak pełno, a które są wprost przeciwne duchowi, nauce Lelewela, o poglądach chorobliwych, jednostronnych, nawet powiedzmy po prostu, dziwacznych.

Agnieszka, żona najstarszego z synów Krzywoustego, Władysława, ma „wyższy rozum polityczny" (str. 98), że chce złączyć dzielnice młodszych braci w jedno z krakowską. „Ale panowie duchowni i świeccy zasmakowali już w niesforności, w nieposłuszeństwie, pod koniec panowania folgującego już z rygoru Krzywoustego" (str. 99). Ten „rozum wyższy" Agnieszki, był po prostu pychą, chęcią do zajmowania wyższego stanowiska. Ale podług Rykaczewskiego, Agnieszka była większą patryotką, jak „niesforni panowie". Otóż gdy Agnieszce się nie udało, a udało niesfornym panom, wniosek oczywisty, że Polska wtedy już była na drodze do zguby. Nie ma tu głębszego spojrzenia w przeszłość. Państwo Krzywoustego rozdzieliło się na pomniejsze księztwa. Nie prosty to kaprys królewski sprawił, ale naturalny wówczas bieg wypadków, wyobrażeń czasu, wyrabiającéj się wolności, dążności pojedyńczych ludów polskich, w jedno państwo wszczepionych. Polska nic nie straciła na podziałach, niech co chcą powiedzą ci, serca dziwnie płaczliwego pisarze, którzy w testamencie Krzywoustego widzieli brak rozumu stanu, niedołęztwo polityczne. Owszem, Polska zyskała wiele na podziałach, bo przez półtora wieku doświadczeń i prób ciężkich przeszedłszy, silniéj poczuła w sobie, we wszystkich swoich częściach, potęgę wyrobionéj już narodowości, skupiła się sama pod jedno berło. Przedtém więcéj trzymała ją cało w skupieniu władza króla, który siedział w Gnieźnie, w Krakowie, czy w Płocku; wtedy prowincye miały swoje odrębności, do centralnéj władzy nie nawykały. W skutku podziałów, już nie królowie wiążą cząstki rozpadłego się ciała, ale same cząstki lgną do siebie, szczelnie przystają. Nieszczęścia podziałów wskazały, że w połączeniu się wspólnem jest siła i bezpieczeństwo. Zawsze dowodzimy i dowodzić będziemy, że ojczyzna całopolska rodziła się za czasów Przemysława i Łokietka. Przed

tą chwilą były tylko obok siebie mazowieckie, kujawskie, polskie, szląskie i krakowskie ziemie. Jeżelić z podziałów Polska wychodzi wielką, bo z myślą, z przeczuciem znakomitéj przyszłości, pod Łokietkiem, pod Kazimierzem Wielkim, cóż znaczy ów Agnieszki „wyższy rozum polityczny" i „niesforność panów duchownych i świeckich" Krzywoustego?

Idźmy daléj.

Na króla Ludwika krzyk, że organizował nierząd (str. 163, 237), Lelewel nie gniewa się na reformy Ludwika, ale Rykaczewski z urzędu przeciw nim powstaje i opiera się tutaj na powadze Stanisława Augusta, który mówił Czackiemu z powodu koszyckiego przywileju: „oto jest grób znaczenia kraju, wzniósł się na nim ołtarz anarchii". Polska więc znowu była na zgubę przeznaczona przez Ludwika, jak przez Krzywoustego, a nie upadła przecież ani w skutek podziałów, ani w skutek przywilejów koszyckich, bo na szczęście Polski ten ołtarz anarchii się wznosił w przeddzień wielkiéj Jagiellońskiéj epoki, w któréj sięgnęła Polska dwóch mórz, w któréj pod Warną odpierała Turków i zasłaniała Europę, w któréj cała prawie Słowiańszczyzna, czeskie i węgierskie ziemie, skupiały się naokoło Polski. Król Stanisław August był złym historykiem, a do tego interesowanym w sprawie, bo chciał rozleglejszéj władzy od téj, jaką mu nadała Rzplita; bo sądził, jak w jego epoce wielu patryotów, że wolność zła, nie zaś swawola. Z tą małą władzą, jaką miał król Stanisław, człowiek bez uczucia godności i bez charakteru, Rzplitéj źle było, a chciało się królowi jeszcze większéj, chyba na prędszą zgubę ojczyzny, zostawionéj w nieudolnych rękach. Bądź co bądź, zdanie króla Stanisława na żaden tu wzgląd z wielu powodów zasługiwać nie może. I śmieszne powody król przytacza na uzasadnienie swojego wniosku. Mówił, że od przywilejów koszyckich nie można już było szlachty wyprowadzać za granicę na wojny, „bo obietnica wrócenia wszystkich szkód wojującym stała się niepodobna, bo skarb publiczny nie mógł być zapełnionym" (str. 237). Tak więc upadek kraju, ołtarz anarchii, król Stanisław jedynie w tém upatrywał, że nie można już było szlachty wyprowadzać na zagraniczne wojny? Myśl dziwnie oryginalna dla wszystkich, tém bardziéj dla Polski, która wojen zaczepnych nigdy nie prowadziła, krajów nie podbijała! Więc dzisiaj państwa europejskie mogąc prowadzić zagraniczne wojny, tém samém zabezpieczyły się od upadku?

Nierozważnemu powiedzeniu króla Stanisława wtoruje Rykaczewski w inném jeszcze miejscu, robiąc uwagę: „odtąd

król Ludwik uwolnił szlachtę od wszelkich prawie podatków, urząd podskarbiego stał się niepotrzebnym, bo nie było nigdy pieniędzy w skarbie." (str. 483). Oczywiście, jeżeli pan Rykaczewski przypuści, że podatków nie było, toć podskarbiego król nie potrzebował. Jednakże sam fakt, że do ostatnich czasów było podskarbich i dwóch, nie jeden, wielki i nadworny, i dwóch w Litwie, powinienby panu Rykaczewskiemu objaśnić, że w istocie nie tak jest, jak mówi. Prawda, że skarb nasz bywał często pusty, ale winą temu nie były przywileje koszyckie, tylko nie urządzona finansowość, która jest nauką, tylko zbyteczna hojność królów Jagiellońskich. Nie przeczymy, że ta strona administracyi była zawsze u nas zła, ależ nie Ludwik i jego przywileje były temu winny; szlachta płaciła podatki, tak zwane pobory ciągle, na każdym sejmie je uchwalała. Nie było u nas systematycznego urządzenia podatków stałych, nie było zasady; ależ szlachta płacąc pobory na potrzeby Rzplitéj, zeznawała tém samém potrzebę jużcić rządu, nie anarchii. I nawet trudno jéj robić z tego względu zarzut, że co roku musiała pobór uchwalać, kiedy się widzi z praktyki, że parlamenta nowoczesne co roku uchwalają budżet.

Rozbierzmyż te przywileje koszyckie, jak je Lelewel przedstawia, żeby zobaczyć, czy miał prawo pan Rykaczewski oskarżać Ludwika o zasianie anarchii? Dla córki budując tron, chciałżeby powagę jego osłabiać, naród gubić? Dwa grosze od łanu był naprzód podatek, a więc widzimy, są i podatki. Na wojnę szlachta winna wsiadać na koń; jeżeli wyjdzie za granicę, król jéj szkody wynagrodzi. Cóż słuszniejszego? jużcić ubogi szlachcic nie mógł prowadzić wojny o własnym koszcie, z daleka od kraju. Służył w ojczyźnie, toć nowy krwią swoją płacił podatek. Mieszkańcy w czasie wojny obowiązani byli do naprawy zamków, lub przykładać się do budowania nowych. Cóż tu złego i anarchicznego? Notujmy jeszcze, że to nowy podatek i z grosza i z pracy. Województwa, kasztelanie i t. d. samym tylko krajowcom rozdawane będą. Toć to prawo ogólnie ludzkie; każdy naród wyłącza mniéj więcéj cudzoziemców od urzędów. Król przejeżdżając przez dobra szlacheckie, wszystko co weźmie na swoje utrzymanie zapłaci. Słusznie, miałoż tak być zawsze, żeby na utrzymanie króla składały się gminy i ponosiły ciężary jego przejażdżek po kraju? Stare zwyczaje nowa cywilizacya znosiła. Król zaręczył panom, szlachcie, miastom, gminom, kmieciom, zachowanie ich wolności i obiecał, że nie pozwoli na to, iżby ich kto uciskał. Szlachetnie i zacnie, ale otóż i wszystko. Gdzież tu więc w przywilejach koszyckich

„grób znaczenia kraju?" gdzie „ołtarz anarchii?" według słów króla Stanisława Augusta? „Miano na oku ujęcie szlachty, opowiada Lelewel, a przyciśnienie duchowieństwa." Jakoż nakładano odtąd podatki na duchowieństwo, biskupi umieli się wszelako od nich uchylić. „Wszystka szlachta już od podatków wolna, mówi daléj Lelewel, sama przez się mogła większe na siebie nakładać". I rzeczywiście nakładała je nie raz, na wykupienie ziemi dobrzyńskiéj, na wojny pruskie, potém regularnie płaciła pobory. „Szlachta drobniejsza, mówi Lelewel, zaczyna się już piąć do równości, szydzi z hrabiostwa możnych, w boju, panów, hrabiąt od niebezpieczeństwa stroniących, na pierwszy ogień wyprawia. Tam im wskazuje pole uzacnienia swych tytułów, zasiewa bujne nasiona gminowładztwa szlacheckiego" (str. 237). I cóż tu w tém wszystkiem jest anarchii? Nie rozumiejąc widocznie słów Lelewelowskich, pisząc do nich komentarz płaczliwy w przypiskach, Rykaczewski na jednéj stronnicy pomieszał czarno i biało, dwie niby prawdy, a prawda zawsze jedna. Cóż na tém skorzysta, nie powiemy nauka, bo nauka ma podstawy, ale czytelnicy książki, którzy z Lelewela szukają nauki? Niejeden z nich nie znając prac Lelewela, gotów pomyśleć, że badacz myślał tak w 1813 roku i późniéj mniemanie swoje zmienił, kiedy fakta inaczéj, jak sam pisarz, tłumaczy w przypiskach jego wydawca.

Toż samo przywilej jedliński Jagiełły, mówi Rykaczewski, „stał się grobem władzy królewskiéj, osłabił wszystkie sprężyny rządu, otworzył wrota do nadużyć i przywłaszczeń stanu szlacheckiego, zasiał nasiona przyszłego niedołęztwa w działaniach rządowych, nieładu i upadku Polski" (str. 297). Mój Boże, co tu na raz złego! Trzebaby powiedzieć, że Polacy na to królów swoich obierali, żeby przez nich prędzéj lecieć do upadku. A rzeczywiście, żeby téż choć jeden nie myślał o tém, jak zgubić naród, jak prędzéj go wtrącić w nieład bezrządu? Rozbierzmy i ten przywilej jedliński, tak okropnie zaskarżony tu przed potomnością. Król potwierdza dawne narodowi wolności, duchowieństwu toż samo, urzędy rozdawać będzie szlachcie osiadłéj w téj ziemi, w któréj mają posiadać urząd, expektatyw żadnych i zamków nie będą trzymać ani książęta, ani cudzoziemcy; szlachcic na wyprawę idący za granicę, pięć grzywien dostanie do ręki (cóżby na to powiedział Stanisław August?); szkody mu wynagrodzą, niewolników od niego odkupią, pieniędzy bić król nie będzie bez wiedzy senatu, kmieć z łanu po dwa grosze zapłaci podatku,

od którego wolni być mają, wójci, młynarze i nie posiadający pół włóki. Szlachcica więzić wolno tylko przekonanego prawem, Ruś zrównana w swobodach z Polską; sąd polubowny oznaczony. Cóż tu w tém wszystkiém okropnego? Gdzież tu osłabienie wszystkich sprężyn rządu, gdzież tu jest ów grób władzy królewskiéj? Na miłość Boską, jakże na ślepo rozumujemy o sprawach naszych! Pokazuje się, że nic nie trzeba stanowić, nic nie robić, bo niebezpieczeństwo grozi z pracy, z sejmowania, z wolności. Trzeba zdobyć się na kodex np. Konfucyusza i to pod warunkiem, ażeby w tym kodexie nic dla wolności indywidualnéj i towarzyskiéj nie było i tak uchwaliwszy zaczarowane prawo, spokojnie założyć ręce i spać wieki w kontemplacyi o marnościach tego świata.

Wyjdzie na to, że Zygmunt Luxemburczyk, który Jagielle dowodził, że „potwierdzenie dawnych i nadanie nowych swobód, może jemu i jego następcom stać się szkodliwém", który radził królowi, „aby nowych przywilejów nie dawał", bo Polacy syna jego „przyjąć za króla prawem boskiém są obowiązani" (str. 291); wyjdzie na to, że ten koronowany nikczemny władca, żyjący tylko podstępem, że ten Zygmunt Luxemburczyk był mądrym monarchą i wielkim królem. A jednak pomimo téj mądrości jego, Węgry i Czechy poszły w rakuzką niewolę!

Nie do pojęcia nawet, jak Lelewela psuje Rykaczewski. Z powodu mnożących się w Polsce miast po najazdach tatarskich, uczony mąż pisze, że tworzyły się u nas rzeczypospolite „prędko polaczejące", że tworzyły się nowe zasady „wolnego wyboru sędziów i urzędników", że „to pomyślne stanu miejskiego utwarzanie" zapewniało szczęście wielkiéj części ludu, drogą przemysłu i handlu mnożyło dostatki narodowe, załatwiało potrzeby, ogładzało wiejską szorstkość, dopomagało do rozszerzenia światła. Lelewel mówi, że takiemu miast urządzeniu winne były swą pomyślność Szlązk i Pomorze i t. d. (str. 170). Cóż na to Rykaczewski? Na téjże saméj stronnicy u spodu snuje powieść inną. Na miejscu ubytéj ludności, osadzanie u nas Niemców „gorszém było od choroby", myśl ta mogła przyjść „w ostatniém obłąkaniu zmysłów", które straciły „wszelką wiedzę bytu politycznego, wszelkie uczucie narodowéj godności i niepodległości" i t. d. Ależ jeżeli, jak mówi Lelewel, i jak było, lud niemiecki „polaczał", cóżto tak okropnego, że Niemcy rządzili się własnemi prawami, tojest że obierali sobie sędziów, że mieli niby tyle rzeczypospolitych, ile miast oddzielnych? Tylko w stolicach, jak w Krakowie, w Poznaniu, pierwiastek niemiecki trzymał się

swojéj narodowości długo i nie raz występował nieprzyjaźnie względem ziemi, tojest narodu polskiego; w małych miastach pod parciem pierwiastku miejscowego rozkładał się i ginął. Kraj nie ludny, nie ma siły, trzeba więc mu ludności; cóż dziwnego, że ta obca ludność więcéj posunięta w organizmie społecznym, nie chce podlegać wojewodom i kasztelanom? Jeszczeż to nadziei polskiéj nie zabiło, że miasta same się sądzą i rządzą. Do ostatnich chwil rzeczypospolitéj były magdeburgie, dzisiaj wolność wszędzie buduje municypalności, rady miejskie. Dzisiaj znowu tyle rzeczypospolitych co miast, a przecież nie jestto dowód, że upada naród lub rząd, który zaprowadza takie instytucye. Tu całe niebezpieczeństwo było w tém, że ludność do nas przesiedlająca się była niemiecka. Aleć jeżeli ta ludność polszczyła się, co kraj tracił? Owszem, zyskiwał niezmiernie wiele, wzbierał ludnością, wzmagał się lepszym bytem materyalnym, poznawał nowe zasady wolności, rozwijał życie. Obawy pana Rykaczewskiego, że ludność niemiecka „zagroziła narodowości i zacnemu bytowi narodu polskiego" są tém bardziéj bez podstawy, że chwała Panu Bogu narodowość nasza nie upadła, bo Polska znalazła i patryotyczne duchowieństwo i wielkich mężów, kiedy na to czas przyszedł.

Pan Rykaczewski mówi, że aby zachęcić Niemców do osiadania w Polsce, „potrzeba było zwolnić co miało w sobie uciążliwego prawo polskie, a przedewszystkiem poznosić niebacznie nadane możnowładcom przywileje, wynoszące ich nad prawo, bo któżby chciał osiadać w kraju bez opieki prawa publicznego, i nachylać kark pod miecz dany szalonemu w rękę"? (str. 172). Widać tedy, że przeciw zasadzie wpuszczania Niemców do Polski w XIIItym wieku, nic nie ma pan Rykaczewski. Co się tyczy możnowładców i wyłączeń dla nich dawanych przez książąt, to inna sprawa. To mogło być złe, ale to było w duchu wieku, tak samo u nas jak gdzieindziéj. Gdyby zasada zabijała, powinnyby z powodu niéj inne narody być zagrożone upadkiem, a przecież nie były. Ale książęta właśnie nie poznosili przywilejów możnowładczych, i pomimo zapytania się pana Rykaczewskiego, ktoby chciał osiadać w kraju naszym bez opieki prawa publicznego, i nachylać kark, Niemcy widzimy że chcieli i osiadali. Właśnie dla tego prawa z sobą przynosili, że nie chcieli być bez opieki. Ktoby chciał, gdyby prawo polskie nie zwolniło się w tém, co było w niém uciążliwe? Każdy chciał, wielu chciało. I możnowładcy nasi z czasów Bolesławowych, nie byli to jeszcze ludzie szaleni z mieczem w ręku. I wreszcie przypuśćmy wszystko, żeby i pra-

wo polskie z powodu Niemców zwolniało cokolwiek ze swojéj surowości i żeby książęta przywileje poodbierali możnowładzcom, a ludność niemiecka w kraju osiadła, nie polszczyła się? Cóżby wtedy wygrała narodowość polska? Uderza i to, że pan Rykaczewski, zwolennik surowéj władzy, przyszedł do wniosku, że prawo polskie potrzeba było zwolnić i to nie dla Polaków, ale dla Niemców. Właśnie pozostawienie przesiedleńcom praw, które ich wolność ojczystą utrzymywały, było owém zwolnieniem prawa polskiego uciążliwego. Wiemy, że odwoływali się w sporach swoich do Magdeburga, nie koniecznie przez to księstwa lechickie wciągały w systemat polityczny Rzeszy. Dla tego te poniżające wyrazy Rykaczewskiego, że „w rozdrobnionéj Polsce, bez rządu, bez głowy", nikt dokazać tego, co chce pan Rykaczewski, nie był w stanie, są na wiatr rzucone. Wyrażenie jest piękne i patryotyczne, ale myśli nie ma.

Nie ludność niemiecka „polaczejąca" jak mówi Lelewel, ale większe wtedy dla Polski groziło niebezpieczeństwo w podnoszeniu się jednoczesném trzech potęg nieprzyjaznych, które gdyby porozumiały się z sobą, Polskaby przepadła. Od północy wznosiło się państwo niemieckie krzyżackie, zasilane sokami i potęgą całéj zachodniéj Europy, od wschodu królestwo litewskie Mindowsa, od południa i zachodu także wielka potęga halickiego Daniela. Każda z tych potęg oddzielnie wzięta, silniejszą była niezawodnie od wszystkich księstw lechickich, wziętych razem i rozdrobnionych wtenczas, kiedy Szlązk zniemczał. Ale z téj nieszczęśliwéj doli wyciągnęła Polskę naprzód wola Opatrzności, a potém ramie dzielnych ludzi. Podług pana Rykaczewskiego, gdy nie było rządu i głowy w rozdrobnionéj Polsce, ocalenie Polski za króla Łokietka, stało się przypadkiem, było dziełem losu.

Życie jak życie. Zdarzają się w niém dole i niedole. Raz szczęście, drugi raz klęska; raz praca, drugi raz upadek na duchu. Zmienia się wszystko, dziwnie plecie. Nie każde osłabienie sprowadza śmierć. Z choroby często powstaje człowiek i państwo silniejszém Po Gnuśnym na tron wstępuje Odnowiciel i Śmiały. Po Wstydliwym, Łokietek i Kazimierz Wielki. Nie dla tego upadał naród, że ubiegał się za wolnością, że się rozwijał. Instytucyj polskich, jakie były jeszcze w XVIII wieku, bronił król Leszczyński i wskazywał na to, co prawdą jest po wszystkie wieki uznaną, że nie wolność, ale przesada w niéj, że swawola gubiła

i gubi narody. Król Leszczyński chciał tylko urządzić nierządną wolność narodową.

Podług teoryi pana Rykaczewskiego, Polska urodziła się na to, aby ciągle, wieki całe drżéć o swoje życie. W jednéj chyba tylko epoce od Ziemowita aż do Bolesława Krzywoustego, nie obawiała się smutnéj ostateczności. Ale już od r. 1139 ciągle kona. Sto razy kona. Każdy objaw dzielniejszy życia, każda słabość rzeczywista, pana Rykaczewskiego przeraża. Kiedy już tak drżeć lubi, niechżeby w epoce Piastowskiéj, mając jeszcze przed sobą dobę Jagiellońską nie rozpaczał i zachował skargę na czasy Wazów, Sobieskiego, Augustów saskich. Nareszcie naród dźwigał się, poprawiał stare wady rządu, reformował swoją wolność, jak chciał król Leszczyński, zamykał swawoli wrota i właśnie w téj chwili upadł. Takie zbliżenie wypadków, powinnoby pana Rykaczewskiego uleczyć z jego chorobliwego na sprawy poglądu. Jest coś w życiu więcéj, jak wszelkie obrachowania ludzkie, chociażby i najbystrzejszego rozumu. Polska nie upadła wtenczas, kiedy obok niéj powstawały państwo krzyżackie, królestwa litewskie i halickie, kiedy kraj się wyludniał przez napady Tatarów a Niemcy do niego szli tłumami; ale kraj wtedy upadł, kiedy doświadczeniem mądry, wychodził że średniowiekowych swoich czasów na pole pięknéj przyszłości. Niech bądź co bądź powié pan Rykaczewski, nie dla tego Polska upadła, że Bolesław Krzywousty dzielił synów, że możnowładzcy mieli swoje przywileje w XIII wieku, że do miast naszych ściągała się ludność niemiecka, że Ludwik nadawał przywileje w Koszycach, a Jagiełło w Jedlny; nawet nie dla tego, że była naokoło wojna. Rzeczy to tak dalekie, że najmniejszego wpływu nie miały i mieć nie mogły na rozwiązanie się dni ostatnich. Gdzież wad nie ma i ludzi i rządów? Gdzie nie ma łez i boleści? Ratunek możebny był dla Polski jeszcze w XVIII wieku, w dobie saskiéj, która największe rozprzężenie się i swawolę pokazywała; po co niewłaściwém narzekaniem psuć prawdę, ludziom starym wyrzucać błędy, którychby nigdy nie zrozumieli, gdyby z martwych nawet powstali?

Dnia 9 grudnia 1863 roku.

*Julian Bartoszewicz.*

## *O główniejszych zasadach „Głosowni" p. Małeckiego, stanowiącéj część pierwszą jego Grammatyki.*

Jednę z najgłówniejszych zasad swojéj głosowni p. M. doraźnym sposobem tak ogłasza: „Wiedzieć bowiem raz na zawsze należy, że w pierwotnym stanie języka naszego i wszystkich narzeczy słowiańskich, żaden wyraz nie kończył się nigdy na spółgłoskę, ale zawsze na samogłoskę" (§ 12).

Jakież są na to dowody?

P. M. żadnych nie wymienia. Ile jednak z dalszego ciągu dzieła postrzedz można, zdaje się, iż autor to swoje zasadnicze prawo opiera na mniemaniu, że cerkiewno-słowiańskie (1) litery ь, ъ (2) mają znaczenie samogłosek. Lecz to mniemanie jest mylne.

Do wyjaśnienia znaczenia liter ь, ъ przedewszystkiem posłużyć może ta uwaga, że litery te dawniéj zastępowane były znakami zwanemi *pajerk* i *jeryk*. Pierwszy z nich wyrażał się daszkiem (^), albo też kréską (′), i oznaczał że spółgłoskę nad którą jest położony, wymawiać należy miękko np. суд′ба (los) пол′ный (polowy, polny), кров′ (krew) i t. p. Drugi zaś nieco różniący się postacią od pierwszego, kładł się nad spółgłoską, którą trzeba było wymówić twardo, np полный (pełny) (3). Z tego się okazuje, że cyrylicka litera ь, czyto we własnéj swojéj postaci, czy zastąpiona kréską, zupełnie to samo wyraża, co takaż kreska w polskim języku nad spółgłoskami miękkiemi położona (ć, ń, ś, ź i t. p.), a zaś ъ odpowiada przekreśleniu, które literę *l* w polskim języku zmienia na ł (ль=ł).

Grammatycy języka rossyjskiego, do którego główne głoski cerkiewnego alfabetu, z literami ь, ъ wprowadzone zostały, liter

(1) Dla oznaczenia języka, który p. M nazywa starosłowiańskim, używamy tu powszechniéj znanéj nazwy cerkiewno-słowiańskiego. Pierwotnego bowiem staro-słowiańskiego języka, dla braku piśmiennych pomników, wcale nie znamy. Tłumaczenie zaś pisma ś. dokonaném zostało w IX wieku nie na starosłowiański język, lecz na jedno z narzeczy słowiańskich, które już w owym czasie istniały.

(2) Dla braku liter cerkiewnych użyte tu zostały rossyjskie; tudzież *jeryk*, o którym daléj będzie mowa, wyraża się polskiem *s*, nieco podobnym do jeryka.

(3) Obacz między innemi Grammatykę cerkiewnego języka przez Jana Peninskiego, a mianowicie § 12, oraz str. 13, gdzie jest przytoczone o téj rzeczy zdanie ks. Pawskiego, także § 18 i inne.

tych (ь, ъ), nie uważają za samogłoski; nazywają je najczęściéj *półsamogłoskami*, niekiedy przydechami (ks. Pawski), a najwłaściwiéj *bezgłoskami* (1), przyznając im ostatecznie znaczenie takie same, jak w cerkiewnym języku, to jest, że są znakami twardego lub miękkiego wymawiania poprzedzających je spółgłosek.

Wprawdzie znajduje się w grammatykach rossyjskich, powzięte zkądinąd mniemanie, że litery ь ъ, mogą się zamieniać na samogłoski. Ale zmiana ta jest tylko pozorna dla oka, nie zaś rzeczywista. Bo gdy się pisze np. съ тобою (z tobą), со мною (ze mną), tu się po spółgłosce *с* nie przeistacza *ъ* na *о*; lecz w drugim razie (*со* мною), *о* jest eufoniczne, dla łatwiejszego wymówienia zbiegu kilku spółgłosek dodane, które w pierwszym razie nie było potrzebne: lecz że podług upowszechnionego zwyczaju, po spółgłoskach na końcu wyrazów, stosownie do ich brzmienia dodaje się znak twardy (ъ) lub miękki (ь), przeto w pierwszym razie przybyło ь po twardo brzmiącem *с* (ъ). W miejscu przeto samogłoski *о*, zjawił się w pismie znak ь, ale przeistoczenie rzeczywiste samogłoski о na ъ, lub też odwrotnie ь na о nie nastąpiło. Toż samo dzieje się w cerkiewnym języku. Lecz w polskim, na miejscu eufonicznego *е* (ze mną, z tobą) nic się nie pojawia, bo w nim nie ma zwyczaju kłaść po spółgłoskach znaku twardego lub miękkiego.

W środku też wyrazów cerkiewnego języka, używane po spółgłoskach л, р litery ъ, ь niczém innem nie są, jak znakami twardego lub miękkiego brzmienia tychże spółgłosek. To bowiem zaprzeczeniu nie ulega, że słowiańskie języki od innych europejskich tém się głównie różnią, że mają spółgłoski twarde i odpowiadające im miękkie (ł—l, s—ś, z—ź i t. p.) Znajdując tak wybitną cechę w swoim języku Słowianie, wszędzie gdzie tylko czuli tego potrzebę, odróżniali spółgłoski twarde od miękkich, kładąc za czasów Cyryllego po pierwszych ъ, po drugich ь. Ten zwyczaj, pomimo ostrzeżeń Szlecera, który był tego przekonania, że bez znaku twardego (ъ) na końcu wyrazów obejść się można, zachował się w narzeczu cerkiewném i rossyjskiém, w polskiém zaś kreska nad spółgłoskami miękkiemi w takiém znaczeniu jak *pajerk* w cerkiewném z czasem upowszechniła się (2).

(1) Obacz między innemi „Obszerniejszéj grammatyki Wostokowa § 17“ także Kaszyryna" Грамматические уроки Русскаго языка, i innych.

(2) To mając na uwadze, zdaje się, że logiczniéj byłoby głoski miękkie b′, f′, m′, p′, w′ wyrażać przez kreskę nad temi literami położo-

Po takiém wyjaśnieniu znaczenia liter cyrylickich ъ, ь, nie można uważać tych liter za podstawę przypuszczenia, że kiedyś tam w wiekach oddalonych od czasu pojawienia się pierwszych pomników pisma polskiego, nie było w polskim języku żadnego wyrazu kończącego się na spółgłoskę. Ale mamy pewną liczbę rzeczowników i teraz używać się mogących, przynajmniéj w poezyi, albo z zakończeniem na spółgłoskę miękką, albo téż na *a*, np. *pieśń-pieśnia*, *tarcz-tarcza* i t. p.; także mamy słowa w dawnych pomnikach pisma polskiego, mianowicie w trybie rozkazującym, pisane z dodaniem *i* np. *zyści* zam. *zyść*, *spuści* zam. *spuść*; możnaby więc na zasadzie tych przykładów przypuścić (ale zawsze będzie to tylko przypuszczenie), że wyrazy kończące się teraz na spółgłoski miękkie, mogły się kiedyś kończyć na samogłoski; ależ pozostaje ogromna liczba wyrazów kończących się na spółgłoski twarde, które pod żadnym względem na samogłoski kończyć się nie mogły. Istnienie bowiem niegdyś w polskim języku samogłoski wyrażanéj u p. M. przez ъ (obacz przyp. na str. 6) jest istotną mrzonką.

Samogłosek natura tak różną jest od spółgłosek (obacz definn. samogł. i spółgł. u p. M. w § 9), że jedne w drugie, pomimo pozornéj zmiany w pisaniu, przeistaczać się nie mogą. Bez względu na to p. M. utrzymuje (§ 26), że samogłoska *i* przemienia się na spółgłoskę *j*, oraz że z samogłoski *u*, powstaje spółgłoska *w*, nakoniec że spółgłoski *l*, *ł*, *r* mogą mieć raz znaczenie samogłosek, drugi raz spółgłosek (§ 21). Lecz i tu jest widocznie wzięcie pozornéj zmiany w pisaniu, jak to ma miejsce w narzeczu cerkiewném i rossyjskiém z literami ъ i о, za przeistaczanie się samogłosek w spółgłoski. Jakoż wiadomo, że przed samo-

ną, aniżeli wprowadzać do alfabetu polskiego sposób ich pisania: b (i), f (i), m (i), w (i), jak to p. M. w § 8 uczynił. Pierwszy sposób każdemu jest zrozumiały, a drugi przy pierwszym wstępie potrzebuje objaśnienia, które zaledwo w dalszym ciągu rozważania polskiego alfabetu może być dostępne. Jakoż objaśnienie to u p. M. podane jest w § 46, gdy tymczasem alfabet z literami b (i), f (i) i d, znajduje się w 8smym. Wreszcie zupełna zmiana pisania zgłosek *cie*, *nie*, *sie*—*bia*, *mia*, *pią*, *wią* i t. p na *će*, *ńe*, *śe*, *b'a*, *m'a*, *p'ą*, *w'ę* byłaby w polskiém piśmie bardzo pożądaną, bo umniejszyłaby o kilka prawideł i objaśnień w grammatyce polskiéj, ułatwiłaby pisanie wyrazów przyswojonych na *ia*, *ya*, kończących się, z któremi dotąd jeszcze nie możemy przyjść do ładu, nie powiększając bynajmniéj kresek nad literami; litera bowiem *i* zastępująca w tym razie znak miękczący, pisze się zawsze z kropką, która po wyrzuceniu *i*, powróciłaby do właściwéj i wszystkim zrozumiałéj postaci.

głoską *i*, zaczynającą wyraz lub zgłoskę, jest domyślne *j*, które podług upowszechnionego zwyczaju w pisaniu opuszcza się, np. *iść* zam. *jiść*, *nadziei* zam. nadziei (Gram. p. M. § 25). Gdy więc spółgłoski w skład wyrazu *iść* (jiść) wchodzące, za dodaniem nowéj do niego syllaby, mogą się połączyć z inną samogłoską, wtedy *i* opuszcza się, lecz spółgłoska *j* w piśmie wprzódy opuszczona na swoje miejsce powraca. Stąd z wyrazu *iść* (jiść) powstają wyrazy złożone *wyjść* (z. wyjiść), *przyjść* (z. przyjiść) i t. p. Lecz bynajmniéj *i* nie przeistacza się na *j*. Toż samo można powiedzieć o pozornéj zmianie *u* na *w*, zwłaszcza opierając się na tém, co p. M. przy końcu § 48 o literach *j*, *w* jako o przygłosach mówi. Mając zatém pod ręką ten logiczny sposób objaśnienia pojawiania się w pisaniu litery *j* na miejscu *i*, tudzież *w* na miejscu *u*, p. M. całkiem niepotrzebnie wprowadza bezzasadne przeistaczanie się samogłosek w spółgłoski; jak z drugiéj strony również bezzasadnie utrzymuje (§ 330 str. 393) że połączenia głosek *lia*, *sya*, *zya*, *cya* i t. p. *powszechnie* liczą się zawsze za jednę zgłoskę, gdzie samogłoski *i*, *y*, mają być podług niego znakami ugodnemi, sztucznie zastosowanemi do wyrażenia brzmień obcych *lia*, *cya*, *sya*, nie zlane w jednę zgłoskę zupełnie, a jednak uchodzące za jednę zgłoskę! Tak dowolnie tłumacząc znaczenie zgłosek *lia*, *cya* i t. p. które tworzą zakończenia wyrazów mających przycisk na trzeciéj zgłosce od końca, cóż zrobimy z zakończeniami wyrazów, również na trzeciéj od końca zgłosce przycisk mającemi: wizyta, machina, fizyka, etyka, syllaba, litera, muzyka, grammatyka, arytmetyka, matematyka, Ameryka, także w ogóle, w szczególe i t. p.?

Co się tycze głosek *ł*, *l*, *r*, te zawsze są spółgłoskami i w żadnym razie samogłoskami być nie mogą. Dodawane po nich w środku wyrazów cerkiewnego języka litery ъ, ь, są znakami, jak już powiedzieliśmy, twardego lub miękkiego brzmienia spółgłosek ł, l, r, i także przeistaczać się w samogłoski nie mogą. Pojawianie się samogłosek przy tych spółgłoskach w narzeczach, które nie mają wyrazów pisanych bez samogłosek, dostatecznie objaśnia p. M. w § 365, w następnych wyrazach „Otóż przy wymawianiu w ten sposób powyższych wyrazów (płł, mrł, brł), słychać zawsze obok *ł*, *r* jakby jakąś samogłoskę mimowoli towarzyszącą; kiedy np. mówię *mrł*, słyszę między *m* a *r* coś, cobym mógł wyrazić przez *a* albo *e*, albo *é* (marł, merł, myrł) i t. d." Jakoż w rzeczy saméj wyrazy w cerkiewnym i innych słowiań-

skich narzeczach pisane bez samogłoski, w wymawianiu mają ją niezawodnie, lecz niewyraźną; ztąd przeto w innych narzeczach łagodniejsze dźwięki przybierających, przybywają do takich wyrazów rozmaite wybitnie wymawiane samogłoski. Tak np. cerkiewne влькъ, плькъ wymawiają się po rossyjsku волкъ, полкъ, po polsku *wilk*, *pułk* i t. p. Po cóż więc tenże sam fakt tłumacząc, przyjmować zasadę (§ 21), że głoski *ł*, *l*, *r* mogą mieć raz znaczenie samogłosek, drugi raz spółgłosek?

Nie przywraca wprawdzie w zupełności p. M. dwugłosek (dyftongów) *ia*, *ie*, *ią* i t. p. których jeszcze bronił J. Śniadecki, a które przed mocą dowodów Felińskiego, Mrozińskiego i innych ustąpić z polskiego języka musiały. Wszakże przyjmując zasadę (§ 51), że każda samogłoska miękka, zmienia poprzedzającą spółgłoskę twardą na miękką, oprócz miękkiéj samogłoski *i* wprowadza jeszcze miękkie samogłoski e, é, ь, ѣ oraz ę oznaczając je dodaniem i: (i) e, (i) é, (i) ę, które to *i* znowu mieści przy spółgłoskach p (i), m (i), b (i) i t. d. (§ 8). Z takiego posługiwania się samogłoską *i*, widać, że ona jedna w polskim języku jest samogłoską miękką, i że wprowadzenie do polskiego alfabetu innych samogłosek miękkich jest tylko przypuszczeniem nieuzasadnioném. Jeżeli przez wprowadzenie większéj liczby samogłosek miękkich chciał p. M objaśnić skąd się wzięły w polskim języku spółgłoski miękkie, tedy ten sposób objaśnienia nie odpowiada założonemu przez autora celowi. Aby uniknąć obszerniejszego téj rzeczy wywodu, zwrócimy tu tylko uwagę, że p. M. w § 37 spółgłoskę miękką j, jako nie mającą odpowiadającéj sobie twardéj, umieszcza między *pierwotnemi* spółgłoskami. Jest tu więc przykład, że spółgłoski miękkie mogą się wyrabiać bez odpowiednich im twardych i bez wpływu na nie następujących po nich samogłosek. Prócz tego niech wolno będzie uczynić zapytanie, skąd się w językach niemających twardego *ł*, wzięła głoska *l*? Czyż spółgłoska *l*, powstawszy ze zmiękczenia *ł* w słowiańskich językach, z nich dopiero przeszła do greckiego, łacińskiego, germańskiego, oraz wszystkich romańskich?

Te przykłady, zdaje się nam, są dostateczne do okazania, że spółgłoski miękkie mogą się wyrabiać bez wpływu na nie samogłosek miękkich, i że owszem zasadnicze prawo p. M. (§ 51) wyrażone tym sposobem: *przedewszystkiem spółgłoska zawsze stosuje się do natury samogłoski, która po niéj następuje*, należy wyrazić odwrotnie: *że samogłoska powinna zawsze stosować się do spółgłoski, po któréj następuje*, co jednak wówczas dałoby się w zu-

pełności wykonać, gdybyśmy rzeczywiście mieli tyle samogłosek miękkich ile twardych.

Ale szczególniéj zastanawiającém jest wprowadzenie przez p. M. dwugłosek jotowych (ja, je, jo i t. d.) i przyznawanie spółgłosce *j* własności miękczenia poprzedzających spółgłosek w drugim stopniu. Czytamy bowiem w § 24 „Dwugłoski jotowe mają tę własność, że jeżeli następują po jakiéj spółgłosce, *natenczas* j *z tą spółgłoską zlewa się i tonie w niéj niejako: w skutek czego powstaje z obydwóch jedno nowe brzmienie*, np. kazi-e, każj-e, każ-ę! To zlanie się liter *ż-j*, dające początek nowéj głosce *ż*, wówczas mogłoby być zrozumiałe, gdyby u nas *j* wymawiało się jak *ż*.

Mówiąc w § 22 o iloczasie (quantitas syllabarum) p. M. ma za rzecz udowodnioną, że dawniéj były w języku polskim samogłoski długie, które stały się potém samogłoskami pochylonemi. Najpewniejszy dowód długich samogłosek czerpie p. M. z rozprawy Parkosza, który mówi „*Omnes vocales apud Polonos modo longantur, modo breviantur*" (str. 38). Lecz z dalszych wyrazów Parkosza, jako téż z czasu w którym pisał, inny daje się wyprowadzać wniosek. Parkosz pisał swoję rozprawę w połowie XV wieku, a już przy końcu tegoż wieku, podług objaśnień p. M. samogłoski długie w polskim języku zniknęły. Trudno jest przypuścić, aby to, co było w powszechném użyciu całego narodu, tak prędko zatrzeć się miało. Raczéj mniemać należy, że Parkosz przejęty wyobrażeniami łacińskiéj grammatyki, brał to za długość samogłosek, co w rzeczy saméj było tylko ich pochyleniem, a zatém zmianą brzmienia tych samogłosek. Wszakże pomimo że już Zaborowski (1518 r.) poświadcza, że za jego czasów różnica pomiędzy samogłoskami długiemi i krótkiemi zniknęła, po nim jednak piszący, aż do najpóźniejszych prawie czasów, ciągle o długości w polskim języku mówią, biorąc przycisk (accentus) za długość zgłosek. (1) Nic więc dziwnego, że Parkosz, który ile wiadomo pierwszy rozumowaną pisownię dla polskiego języka starał się uło-

(1) W czeskim języku, ktory p. M. pomiędzy dowodami długości samogłosek słowiańskich wymienia, przynajmniéj w drugiéj połowie XVII wieku, rzecz się miała tak samo jak w polskim, to jest że samogłosek z natury długich nie znano, a tylko przycisk brano za długość. Tego dowodzą wyrazy grammatyka prazskiego (z r. 1672) „*Lingva Bohemica non distinguit tempus a tono, sicut graeca et latina, quia voces Bohemicae pronuntiantur vel longe vel breviter secundum accentum.* Długość więc samogłosek w czeskim języku, stanowi przedmiot wymagający ścisłego i dokładnego zbadania.

żyć, uwiódł się pozorem, i inną własność samogłosek polskich, to jest ich pochylenie nazwał długością. Prócz tego Parkosz wspomniawszy (na str. 39), że w łacińskim języku nie ma potrzeby odróżniać w pisowni długich samogłosek od krótkich, daléj mówi: *quia regulas prosodiae Polonis* illiteratis *difficile foret tradere, oportuit ut in scribendo qvantitas vocalium exprimatur.... geminando eas et simplando ... quia hoc praetermisso magna occurrit in distinguendis significatibus dictionum difficultas. . Ideo, etsi non omnis vocalis producta enunciabitur, saltem hoc observabitur, ubi rectius breviationis et productionis surgit notabilis diversitas significati ejusdem dictionis. Quamvis etiam et ex parte* consonantium *literarum haec differentia notari possit. Porro omnes fere literae in sono variantur. Nam* c *quinquies*, s *sexies, sonum variat... Ponitur etiam ut simplex consonans et tunc aliquando grossatur, aliquando molliter profertur.* Z tego się okazuje, że sami tylko uczeni (literati) przejęci pojęciami grammatyki starożytnych języków, mogli przypuszczać *quantitas syllabarum* w polskim języku; *illiterati* zaś, to jest naród w ogólności, a mianowicie lud niepiśmienny, długości zgłosek nie czuł i nie zachowywał i dla tego trudno było dla niego ustanowić prawidła iloczasowe. Ale Parkosz czuł potrzebę oznaczenia w pisowni długich podług niego samogłosek przez ich podwajanie, *gdyż bez tego*, jak utrzymuje, *byłaby wielka trudność w rozróżnieniu znaczenia wyrazów.* Nakoniec z jego wyrażenia: *etsi non omnis vocalis producta enunciabitur* ect. najwidoczniéj się okazuje, że Parkoszowi bynajmniéj nie szło o iloczas w polskim języku, lecz o podanie sposobów rozróżnienia znaczenia wyrazów, co mogło nastąpić przez oznaczenie samogłosek pochylonych, tudzież miękkich spółgłosek, które równie jak samogłoski pochylone zmieniając się w brzmieniu, mogą odróżniać znaczenie wyrazów, lecz jak jedne tak i drugie z iloczasem związku bynajmniéj nie mają. Tak rzecz pojmując, łatwo będzie zrozumieć jakim sposobem w rozumieniu p. M. mniemana długość samogłosek polskich późniéj mogła się zmienić w ich pochylanie.

Na tém ograniczamy rozważanie zasad *głosowni*, w przekonaniu, iż to na cośmy dotąd zwracali uwagę, dostatecznem będzie do wyprowadzenia wniosku, że głosownia p. M. jest po większéj części zbiorem przypuszczeń nieuzasadnionych i *mrzonek* (1). Na zakończenie zaś naszych uwag przywiedziemy wyrazy listu pisane-

(1) Porównaj z tém zdanie o grammatyce p. M, umieszczone w Tygodniku Illustrowanym, nr. 221. z r. 1863. str. 496.

go do wydawcy Teki wileńskiéj, umieszczonego w jéj numerze 5 z roku 1858 na str. 319 i dalszych. Autor tego listu pomiędzy innemi rzeczami, mówiąc o porównawczéj nauce języków słowiańskich (str. 328). przytacza o jednéj tylko kwestyi t. j. o bezsamogłoskowości wyrazów różnorodne zdania Dobrowskiego, Maksymowicza, Katkowa, Sreźniewskiego, a wspomniawszy o Grimmie, Boppie i Busłajewie, mówi „Jeżeli tedy taki zamęt zdań, objawia się w świecznikach nauki, jakże trudno dadzą się stosować myśli te dla dzieci w gimnazyach; bo tam to tylko korzystnie przyswoić się da, co już nauka po wielkiéj doświadczenia próbie, zamieniła na niezbite axyomata."

*T. Kurhanowicz.*

*Urywek wspomnień Józefa Rulikowskiego, wydany z obszerniejszego rękopismu. Warszawa u Gebethnera i Wolffa.* 1862.

Przedmowa do téj książki napisana przez J. Bartoszewicza jest zarazem dość obszernem o niéj sprawozdaniem tak pod względem samego rękopismu, z którego niniejszy urywek jest wzięty, jak i pod względem jego treści i znaczenia jéj między pomocami dla historyka ostatnich czasów Rzplitéj Polskiéj, oraz pod względem myśli, która napisaniu i wydawaniu takich jak Rulikowskiego pamiętników, przewodniczy. Napomknął też wydawca o trudnościach, dla których, z obszernéj stosunkowo pracy autora, ten tylko urywek, stanowiący dziewiątą część całości, ogłosić się dało; opowiada, w jakim stopniu wpłynął na obecną fizyonomią tego urywka wspomnień. Słowem, rzecz w téj przedmowie, rozwlekłym nieco sposobem pana Bartoszewicza dotknięta, wyczerpana jest niemal. Więc by czytelnika Biblioteki Warsz. zaznajomić z treścią książki i jéj wartością, niepodobna w nowem tém sprawozdaniu nie zaczepić w czémś przytoczeń pana Bartoszewicza, lubo nie na wszystkie i nie w zupełności na niektóre godzić się przyjdzie. Samego zaś rozbioru pracy Rulikowskiego jąć się nie można, bez rękopismu jego pod ręką, bo wydawca, jak to sam opowiada, nietylko poprawiał styl dak dalece, że aż „do całkowitego przerabiania okresów" przychodziło, ale i uporządkował samo opowiadanie „zbliżając porozrzucane a należące do siebie szczegóły, usuwając powtarzania, odrzucając wycieczki w dawne czasy i historyę, oraz ogólniki moralne i filozoficzne, jakich dość było w Porankach" (jak sam autor swą pracę nazwał z powodu zajmowania się nią rau-

kami): „tekst wreszcie Rulikowskiego obfitował w pomyłki wszelkiego rodzaju" więc je wydawca poprawił i to nie w dopiskach a w samym tekście—choć niektóre usterki sprostowane są także i w dopiskach, dopełniających, co się wydawcy potrzebném zdawało, a co się odnosi do dat, nazw, szczegółów biograficznych i t. d. Z tego wszystkiego widać, jak współudział pana Bartoszewicza znaczny jest w tém wydaniu wspomnień, że zatém oceniać samego autora niepodobna prawie, mimo to iż wydawca, jak zapewnia, zostawił tu i owdzie coś z tego, co gdzieindziéj odrzucił, a mianowicie gdy mu się zdawało, że to uznamionuje „indywidualność autora, który téż czasem poważnie mówił o rzeczach świata, o historyi i stosunkach chwilowych."

Jak widzimy, wziął wydawca autora zupełnie na swój rachunek. Wiadomo jednak wszystkim, zajmującym się dzisiejszém polskiém piśmiennictwem, że p. B. ma siły potemu; z drugiéj strony nie tak znów wielka waga tych pamiętników, nie daje powodu do nieufania w zmysł krytyczny wydawcy, tém mniéj, że mimo mozołu jaki mu redakcya tego urywka pamiętników przyniosła, brał się do niéj z miłością do przedmiotu jako przekonany, o znakomitéj ważności takich pamiętników dla historyi. Wreszcie, choć tu wiele szczegółów i osób, o których nie spotykamy wzmianki w innych do tejże epoki odnoszących się pamiętnikach, sprawdzić więc słów autora nie możemy, to nie brak historyczno-urzędowych, że je tak nazwiemy, danych, znanych powszechnie a wspólnych dla wszystkich tego rodzaju pamiętników. Snujące się na tych danych opowiadanie Rulikowskiego w niczem ich nie fałszuje, a nadto ze wszystkich jego słów wieje tchnienie szczeroty i prawdy, którego nie osłabia nawet skromne wyznanie samego autora pamiętników (wstęp), że „spędził wiek swój na niskiem stanowisku urzędnika powiatowego„ i że ztąd zdarzenia i wypadki, które opisuje, nie mogą być dla nikogo jako rzeczywistość niemylna". Jużto wydawca był w tém, żeby się pomyłki Rulikowskiego do czytającéj publiczności nie dostały; mniejsza zaś o te, którychby i sam p. B. sprostować nie umiał, bo chybaby się odnosiły do drobiazgów potocznych, jakich w tych wspomnieniach niebrak—a to na krzywdę historyi, w pomoc któréj te pamiętniki iść mają, wypaśćby niemogło. Ta poprawność tekstu, do któréj się sam przyłożył, była wydawcy powodem do wyrzeczenia: „Wiara dla podań Rulikowskiego zostanie, dzieło jego cytowane być może". Zobaczmyż jakiego rodzaju są te podania.

Napisy rozdziałów wskażą to najlepiéj.

Pierwsze z nich odnoszą się więcéj do osób prywatnych, mających najbliższe stosunki z rodziną Rulikowskich; takie było jednak bogactwo stosunków szlacheckich ze sprawami kraju, autor pamiętni-

ków tak szczęśliwie wybiera szczegóły, że i tam gdzie prawie wyłącznie o familii mówi, znać społeczność ówczesną. Rozdziały te zwą się: Rodzina, Życiorys mojego ojca, Życiorys matki, (a raczéj krótkie wspomnienie), Moje wspomnienie dziecinnne, Pierwsi nauczyciele.

Rozdział pod tytułem: Rodzina, jest po prostu genealogią rodu Rulikowskich a napisanie go mogłoby sprowadzić na autora zarzuty o pychę, lub stare wyobrażenia. Sam on to czuje; więc po określeniu rodzaju arystokracyi, jaką szlachta polska tworzyła, tak kończy: „Myślałem w młodości mojéj, iż opinie wyrozumowane o równości ludzkiéj, szybki postęp wezmą i że wiedza rodowitości będzie tylko igraszką badań przeszłości, dla tego żadnéj na ten przedmiot uwagi nie zwracałem. Gdy jednak więcéj pół wieku upłynęło a usposobienia ludzkie jeszcze się nie rozjaśniły i mogą jeszcze się przyćmić, z tych powodów..." i t. d. Widzimy to jasno, że miłość szlachecczyzny zagnieździła się w pojęciach autora, więcéj niż to sam przed sobą śmiał wyznać; zachował ją na zawsze, jakto naturalne. Otoczony ludźmi dziedziczącemi po przodkach imiona szlacheckie, opatrzonemi w jakieś tam marne przywileje, nie dostrzegł Rulikowski, że dawniejszy szlachcic stanowczo zastąpiony został przez dzisiejszego *obywatela*; bo porównanie stanów przyjęte za zasadę na sejmie czteroletnim, za sprawą późniejszéj organizacyi społecznéj, wyrabiającéj się więcéj na opinii niż na prawodawstwie, ciągle postępowało na drodze faktycznéj, i dziś nikt mu już zaprzeczyć nie śmie głośno. Czasy jednak do których ten urywek wspomnień Rulikowskiego się odnosi (1731—1792) były jeszcze w wyłącznem szlachty władaniu.

Cośmy powiedzieli wyżéj o duchu pierwszych książki rozdziałów, odnosi się także i do dwóch ustępów poświęconych głównie pamięci dwóch autora nauczycieli: Wawrzyńca Aubry i księdza Romualda Kowalskiego. Zaiste, wdzięczność i miłość ucznia czyni z nich znakomitszych ludzi niż byli istotnie; jednak wiadomości o nich, jako o ludziach uczciwie pełniących obowiązki swego powołania (pierwszy w domach obywatelskich a drugi i w zakładach publicznych), nie jest do odrzucenia, a jest też oblana tém samém tchnieniem społecznem, jakie z całéj téj książki wieje. Druga jéj połowa góruje w tém jeszcze nad pierwszą; to też autor znika tam zupełnie, choć nibyto o sobie i swych najbliższych opowiada: mimo wiedzy może, maluje społeczeństwo i kraj. Tu należą rozdziały: Sejmik staropolski w Chełmie; Nieco o trybunale Piotrkowskim z r. 1788. O trybunale Lubelskim z r. 1789. Najciekawsze są ostatnie rozdziały, i bogate w szczegóły obyczajowe nie spotykane gdzieindziéj albo nie z tą samą dobitnością przedstawione. Tak np. rozdział: Liberya w Lublinie, daje

nam poznać czém w domu, a czém w mieście trybunalskiém była służba panów polskich, do jakiego dochodziła zuchwalstwa mimowolnie tolerowanego, jak się wiązała w pewne stowarzyszenie mające swych urzędników, swoje prawa choćby nie pisane, których narzucanie sobie i panowie nawet znosić musieli. Z tego też rozdziału dowiadujemy się o karach policyjnych zwanych koza lub kot, kobyła, zaścianek i t. d. Nie mniéj ciekawy jest rozdział: Różne klassy próżniaków w Lublinie i w kraju: gdzie mowa o żebrakach, drabach, bajarzach, rezydentach (autor jednak tego wyrazu nie używa), pielgrzymach i kapnikach. Oba te rozdziały dla dzisiejszych czytelników będą miały barwę nowości; a jakkolwiek ludzie są ludźmi, a społeczeństwo z nich złożone na takie same jak dawniéj choruje wady, tém więcéj że niemiało się kiedy radykalnie z nich wyleczyć—jednak różnica między ówczesnym a dzisiejszym stanem obyczajowym zbyt wielka, aby się opowieść o tém co dawniéj było, nie miała niekiedy zdawać zmyśleniem prawie. Oba te rozdziały pokazują silnie rozwinięty w autorze dar dostrzegania i nadziwić się mu nie można przypomniawszy sobie, że to wszystko są wrażenia mało co więcéj jak dziesięcioletniego dostrzegacza, jakkolwiek poparte dojrzałéj głowy późniejszego pisarza uwagami. Wnikające więcéj w stan polityczny kraju a jednak gęsto obyczajowemi rysami narzucone są rozdziały ostatnie: Wojsko polskie starego i nowego autoramentu; Komissye cywilno-wojskowe; Sejmik chełmski podług nowego prawa; Nowa organizacya sądownictwa. I one czytają się jak powieść, co o ogóle tych wspomnień Rulikowskiego powiedzieć można—ale, co także znać było i dawniéj, jaśnieje głównie myśl obywatelska i budzi w czytelniku to samo uczucie pomięszane z żalem, że tyle w narodzie cnót, talentów i prac, fatalne okoliczności sponiewierały dla kraju ratującego skołotaną nawę swą od rozbicia, ubezwładniły działalność, która nietylko na zachowanie posiadanéj, ale i na stworzenie i świetny rozwój nowéj ojczyzny starczyć była powinna.

Jak już powiedziano wyżéj, „Urywek wspomnień" jest drobną częścią i początkiem obszernych pamiętników ciągnących się, jak mowi wydawca aż po r. 1817. Ze względu na tło, na jakiem rysował autor ostatnie rozdziały urywka wydanego, żałować przychodzi, że obietnica wydawcy wypowiedziana w przedmowie „wyjdą też one (Pamiętniki te) w osobnych książkach" spełnioną dotąd nie została, lubo wydanie urywka, o którym mowa, może być uważane za początek spełniania obietnicy, jakkolwiek ta część pamiętników Rulikowskiego drukowana już była w r. 1856 w Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych. To co jest jeszcze do wydania, dotyczy

jednéj z najciekawszych epok naszéj historyi. Opowiadanoć ją niejednokrotnie mniéj więcéj obszernie: ale działo się to z niedostateczną swobodą autorską, albo istnieje bez swobodnéj dla czytelników korzyści i nie było poddane jak należy swobodnéj dyskussyi krytycznéj, tém potrzebniejszéj, że opowiadanie zapatrywało się na rzeczy sposobem kronikarskim, mało co wyższym zresztą. Totéż nie wyrobiono jeszcze dla téj epoki właściwéj historycznéj barwy i zawsze jeszcze mimo niejednokrotnych usiłowań rozjaśnienia rzeczy, pogrążeni jesteśmy w wątpliwości co do istoty faktów i ich donośności. Wątpliwości te mnożą się w miarę jak się pokolenia w grób zapadają: emanacya ich w pamiętnikach zostawiona, coraz bledsza, bo dyskussyą krytyczną we właściwym czasie nie streszczona, z naleciałości nie oczyszczona. Zwłoka w wydaniu takich jak Rulikowskiego pamiętników, osłabi ich tętno życiowe; z miłością i z korzyścią słuchaliby go najbliżsi: późniejsi coraz obojętniéj słuchać go będą, a społeczeństwo może na tém stracić, lubo historya zarobić może, o ile mniéj z takich pamiętników będzie potrzebowała korzystać.

Panu Bartoszewiczowi istotnie najwięcéj idzie o ważność historyczną takich pamiętników; usiłuje wykazać tę ważność i mówi, że gdyby nie brak takich notatek, nie mielibyśmy tylu ciemnych chwil w naszéj historyi, tych naprzykład, w których jakakolwiek część Polski przyrastając do niéj stanowczo, traciła swoje prowincyonalne znamiona. „Taką chwilę miało każde pojedyncze księztwo wcielone do Korony, a najpóźniéj miało ją Mazowsze; taką chwilę pamiętały Małe i Wielkopolska przed statutami wiślickiemi i przed koronacyą Łokietka, zanim się zlały, w jeden naród i prawa swoje zmąciły w jedno prawo. Że nie było historyków, którzyby umieli pojąć wielkość chwili tego powolnego przeobrażenia się, więc śladów bytu dawnego nie mamy: a piśmienne zabytki, z których czerpiemy wiadomości o tych bardzo odległych czasach, są to dla nas hieroglify egipskie, zawsze ciemne i niezrozumiałe, choć więcéj może mówią, niż hieroglify. Ztąd pojmowanie tych dawnych stosunków będzie zawsze mniéj więcéj dowolne, bo zależy od indywidualności historyków i pod ich piórem będą się łatwo rozwijały waryacye na temat dziejowy. Ale spuścićże się nam na nich bezwarunkowo? wierzyćże, że to co o cywilizacyi dawniejszéj, co o zwyczajach narodu podają, jest prawdą? Jedni zawsze marzyć będą, drudzy sumienniejsi podadzą tylko okruchy przeszłości. Nam téż okruchami cieszyć się historyi, nie historyą"?

Widzimy, z jaką powagą wydawca patrzy na „Pamiętniki domowe" i dodajemy, że wiele miejsc w przedmowie takim samym

tchnie duchem, przeceniającym ważność pamiętników tego rodzaju. Smutna konkluzya tego przecenienia: że nie cieszyć się nam historyą, tylko jéj okruchami, także tchnie przesadą, albo jeśli jest prawdą, to nie dla tego, że nam brak z dawniejszych epok takich pamiętników, jak dla epoki ostatniéj napisał Rulikowski, Ochocki, Kitowicz i inni. Będą one istotnie słabą bardzo pomocą przyszłemu historykowi do odtworzenia dziejów wewnętrznych epoki, o któréj mówią, a smutna to byłaby ostateczność być do pamiętników samych ograniczonym. Gdybyśmy z panowania Jana III nic nie wiedzieli nad to co jest w Pamiętnikach Paska, gdyby nawet podobnych mu autorów te same opisujących czasy było wielu, to nie byłoby z czego zrobić historyi, choćby dla tego, że każdy autor mówiłby o rzeczach po swojemu. Nawet na urzędowych historyografach nie możnaby polegać. Trzeba czegoś ważniejszego, rdzenniejszego. W ogromie faktów dziejowych, na których urabianie się powolne patrzéć musiało zawsze więcéj niż jedno pokolenie; w potędze prądu, który wiódł ludy a z niemi i ziemie ich do ważnych przemian politycznych, nie mamy potrzeby szukać tego, czém się zajmują Pamiętniki: działania pojedynczych osób, wpływu drobniutkich działaczów. Bo jakkolwiek osoby pojedyncze mogły silnie wpływać, jakkolwiek bez drobnych działań nie urosłyby wielkie skutki, to przecież nigdy pojedynczy ludzie, pojedyncze działania nie mogły tak wpływać na dziejowość kraju, aby się on musiał wyrzec historyi z powodu nieznajomości szczegółów i osóbek, skoro ma dostatek materyałów w dokumentach i faktach, na których poczęcie, urobienie i trwałość, a więc i wpływ dziejowy cały naród się składał, choćby niektóre jego klassy, pozornie bierny tylko udział w tém brały. Ludy i narody mają w sobie pewne dane, wedle których się rozwijają i żaden gwałt z tego toru ich nie zepchnie, chyba czasowo. Człowiek pojedyńczy wpływający przeważnie na los narodu, toć to jego wychowanek, jego narzędzie, działające mimowiednie czasem, sięgające daléj niż mierzy i dojrzéć może. Bez sankcyi narodu niech forma jego rządu będzie jaka chce, nigdy działanie pojedynczego człowieka się nie ostoi, a czemu naród dał swe uznanie, to z niego wynikło, jemu służy. Więc téż naród chowa pamięć tego w instytucyach, obyczajach i zwyczajach ciągnących się przez wieki, w prawodawstwie i całém wewnętrzném urządzeniu społeczném, w dokumentach pisanych zwanych przez samego Bartoszewicza urzędowemi, jak akta, uchwały, przywileje, rozkazy, listy osób historycznych w materyi stanu. Bynajmniéj nie z wierzchu, jak mówi wydawca Rulikowskiego w przedmowie, ale od gruntu wyświecają one rzecz i może tém lepiéj, że ją wyświecają całą, a nie

w podziałach, jakby pragnął p. B., bo tylko z poglądu na całość wywija się historya prawdziwa i historyozofia najistotniejsza dla człowieka część historyi. Owe drobiazgi i szczegóły, do których pan B. zbyt wiele przykłada wagi, przyczynić się raczéj mogą do zamętu niż do wyświecenia rzeczy; do téj różnicy mniemań, na którą p. B. żaląc się, do żadnego wiary przyłożyć nie może, lubo ma wiarę do podań Rulikowskiego. Nam się zdaje, że im więcéj zaglądać w drobiazgi, tém więcéj będzie ich trzeba, żeby jedne drugiemi dopełnić; tém więcéj przypuszczeń różnorodnych, żeby jedne z drugiemi pogodzić; a zawsze czegoś będzie brakować, co osobistym poglądem historyka musi być zastąpione, a co innemu mylném się będzie zdawać. Co głowa to rozum. Nie w takich to wielkich i szerokich rzeczach, jak historya, łatwo się na jedno zgodzić, gdy w drobniejszych, potocznych sprawach trudno dociec prawdy mimo ścisłego, uporczywego nie raz ich badania, chwytania ich w locie samym; bo prawda stósownie do stanowiska patrzącego, w różne mienić się może kolory. Więc nigdy w sądzie historycznym jedności nie będzie, bo téż nie o nią idzie ale o naukę dla ludzkości wedle jéj potrzeb bieżących, zmieniających się wedle zasadniczych pojęć. Jak Rulikowski i Ochocki patrzą różnie na te same czasy choć współcześni, tak i historycy późniejsi różnie te czasy sądzić mogą i będą. Ani się stanie rzetelna komukolwiek krzywda, jeśli sąd o Szczęsnym Potockim zostanie jakim jest, ani korzyści ztąd nie będzie, jeśli Chrząszczewskiego zdanie o nim przeważy. Fakta zostały i wpływ wywarły, i niewątpliwie nie jednego człowieka były dziełem, bo jeden nic nie zdoła, tylko być narzędziem. Ludzie pojedynczy, fakta odosobnione, sąto głoski tego wzniosłego języka, którym do nas historya przemawia, ale same bardzo mało mogą, nie są nawet wyrazami. Historyka jest rzeczą ułożyć z nich mowę bogatą w treść a do tego niezbędne mu są poważniejsze, granitowe, że tak powiemy, historyczne materyały.

Wszystko cośmy tu ostatnio powiedzieli, nie ma w niczém uwłaczać zasłudze i dziełu Rulikowskiego. Korzystać z jego napomknień będą może do rozpraw przygotowawczo-historycznych, do powieści, do gawęd potocznych; ale wielka historya nie może się na nim oprzeć, ani na podobnych jemu. Najwięcéj odniesie zeń korzyści pokolenie żyjące z powodu tętna życiowego w jego opowiadaniu; ale żeby korzyść była zupełniejsza, trzeba koniecznie nić tych pamiętników urwaną na roku 1792 rozwinąć i prowadzić ją aż do dzisiejszych niemal czasów. Rulikowskiego na to nie starczy; pewnie się znajdą inni prowadzący rzecz daléj. *J. S.*

*Proza i poezya polska wybrana i zastósowana do użytku młodzieży żeńskiéj przez Paulinę Kraków. Część I. Warszawa. W drukarni Karola Kowalewskiego. 1860 r. Str. 328.*

Rok trzeci dobiega, jak wyszła część pierwsza zapowiadająca dalsze tomy. Stagnacya zapewne handlu księgarskiego, wstrzymała szanowną autorkę od ogłoszenia dalszych części. Trzy ich być miało, jak się dowiadujemy z przedmowy: o wydanéj tylko powiemy.

Potrzeba takich wypisów oddawna czuć się dawała; drogość książek polskich utrudnia biedniejszym korzystania ze skarbów literatury ojczystéj. Dziełko pani Krakowowéj przeznaczone jest wyłącznie na użytek dla młodych dzieweczek polskich; nikt nie potrafiłby lepszego wyboru uczynić nad tę, która jako nauczycielka ich, przez wiele lat doświadczenia, zna dokładnie ich potrzeby umysłowe, co zająć, nauczyć i rozrywkę pożyteczną podać może.

W części pierwszéj mamy wzory wyjęte z pism naszych autorek: Hofmanowéj Klementyny z Tańskich, Elżbiety Drużbackiéj, Deotymy (Jadwigi Łuszczewskiéj), Ewy Felińskiéj, Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj, Bronisławy Kamińskiéj, Walentyny z Trojanowskich Horoszkiewiczowéj, Maryi z Majkowskich Ilnickiéj, Józefy Prusieckiéj, Gabryelli księżnéj Puzyninéj, Pauliny Wilkońskiéj i saméj pani Krakowowéj. Z pisarzy są podane utwory: księdza Antoniewicza, Bohomolca, Kazimierza Brodzińskiego, Antoniego Czajkowskiego, Alexandra Fredry, Jana Horoszkiewicza, Stanisława Jachowicza, Franciszka Karpińskiego, Jana Kochanowskiego, Ignacego Kraszewskiego, J. I. Kraszewskiego, T. Lenartowicza, Leśniewskiego, Fr. Morawskiego, T. Nowosielskiego, A. E. Odyńca, Józefa Paszkowskiego, Szymona Pisulewskiego, Adama Pługa (Pietkiewicza), W. Pola, L. Rogalskiego, K. Sienkiewicza, J. Śniadeckiego, Wł. Syrokomli i Antoniego Wagi. Sam ten szereg wyliczonych tu pisarzy daje rękojmią wartości tego zbioru, lubo przyznać potrzeba, że co do stylu i czystości języka ani Bohomolec, a tém bardziéj J. I. Kraszewski za wzór stawiani być nie mogą. Szczególniéj ostatni, przy pośpiesznem pisaniu żadnego poszanowania dla ojczystéj mowy nie ma, kalecząc go niemiłosiernie i wciskając w nią mnóstwo gallicyzmów i rusinizmów.

Jakkolwiek liczny szereg wymieniliśmy pisarzy, o których szanowna autorka wspomina na samem czele swéj książki; wielki szereg pozostaje autorów, których utwory najgłówniéj zasługują na przytoczenie tak co do wartości ich wewnętrznéj, jak stylu i języka. Nie potrzebujemy ich tu wymieniać, bo zna ich dokładnie autorka.

W wypisach takich trzeba mieć na uwadze głównie pożytek czytelników, dlatego z poetów dawnych jeden tylko Kochanowski, z prozaików Łukasz Górnicki i Cypryan Bazylik, co stać mogą za wzory; z późniejszych kilka pieśni Karpińskiego, Kniaźnina i Krasickiego satyry a bajki. Bo główny cel dzieła jest ten, ażeby utwory odznaczały się nietylko myślą, ale dobornością stylu i czystością ojczystego języka, mając dobrze na uwadze przytoczone i trafnie przez samą autorkę przysłowie: „Z jakim przestajesz, takim się stajesz".

Zbiór całość stanowiący wypisów pani Krakow, składać się miał z trzech części. Pierwszą mamy, drugą przeznaczyła dla starszych panien, część trzecia nakoniec, miała posłużyć do zaokrąglenia wiadomości z literatury polskiéj i obcéj (o ile ta z naszą stoi w związku) dorastającym rodaczkom.

Żałować musimy, że wydawnictwo tak pożyteczne przerwaném zostało; mamy jednakże nadzieję, że przy polepszonych stosunkach handlu księgarskiego i pomyślniejszych czasach dla piśmiennictwa, szanowna autorka spełni swe przyrzeczenie.

(*w*).

# ROZMAITOŚCI.

---

*Pojedynek Adama Tarły wojewody lubelskiego z Kazimierzem Poniatowskim, odbyty pod młynem marymonckim przy Warszawie, dnia 16 marca 1744 roku* (*).

(Z współczesnego rękopismu).

Jmć Pan Adam Tarło wojewoda lubelski, lubo pierwszy fundament na JW. p. wojewodzie sandomierskim mający, perswazyami jednak domu książąt ichmościów Czartoryskich, zdaniu JW. JM. pana wojewody sandomierskiego i przychylności przeciwnemi i szkodliwemi uwiedziony, do Paryża wyjechał, tam znaczną część fortuny stracił i ledwie nazad sprowadzony, znowu w Warszawie z instynktu familii książąt ichmościów rezydencyą obrał. Tam w wielu okazyach doznając nieprzyjaźni książąt ichmościów i całego ich domu, spostrzegłszy się, że zmyślona tylko była przyjaźń; przed różnemi przyjaciołmi się żalił, że ustawiczne dawano mu okazye do irrytacyi, wdzierając się w juryzdykcyą jego wojewódzką, przeszkadzając sejmikom, swoje tylko i do dworu i po województwach promowując subjekta, przeszkadzając wszelkim nietylko ś. p. JMP. wojewody lubelskiego i innym domu interesom, ale i przyjaciołom, zkąd nieznośny żal mając krzywdę swoją

(*) Pojedynek ten opisał Jędrzej Kitowicz w swoich Pamiętnikach do panowania Augusta III. Rękopism nasz, który tu podajemy, w zupełnie odmiennem świetle ten wypadek maluje i obszerne podaje szczegóły nieznane Kitowiczowi. Z tego powodu umieszczamy go tu w całości. Ciekawy czytelnik porównawszy dwa te opisy, głośnego w swoim czasie wypadku, poznać może rzeczywistą prawdę. Materyał to piękny dla naszych powieściopisarzy i artystów. *K. Wł. W.*

oświadczać począł, gdy mu coraz większą do irrytacyj wynajdowali okazyą.

Zrobiwszy konspiracyą cała familia książąt ichmościów Czartoryskich przeciwko ś. p. JP. wojewodzie lubelskiemu, uradziła między sobą, aby go nietylko przez siebie dość afrontować ale i przez damy jeszcze familii swojéj i szukała tylko okazyi. Tandem bal w dzień koronacyi Najjaśniejszego króla JMości, JW. JMpan Bieliński marszałek wielki koronny, w Warszawie w pałacu swoim dawał. JW. JM. pan wojewoda lubelski będąc proszony od gospodarza, tenże bal z Jmci panią marszałkową W. korony przez taniec otworzył. Potém z Xiężną Wdziną krakowską, Xiężną Wdziną Ruską w pierwszych parach kontynuował, gdy Jmć Pan Marszałek Wielki Koronny z Xiężną Wdziną krakowską tańcem kontynuowanie przerwał, Jmc. P. Wda Lubelski w drugiéj parze córkę za matkę w taniec wziął teraźniejszą Jmć. Panią Graffowę Esterhazę Posłowę Węgierską. A gdy ten taniec się skończył, Jmc. Pan Marszałek W. korony prosił Jmc. Pana Wdy Lubelskiego o kontynuacyą kolei z inszemi damami, co Jmc Pan Wda Lubelski chcąc czynić prosił w pierwszej parze Xnéj Jmci Podkanclerzynej Lit. w taniec, a ta już będąc sfomentowana od męża i siostry swojej Jmć Pani Wdzinéj Mazowieckiéj taniec mu odmówiła, spytana zaś od Jm. Pana Wdy Lubelskiego, że podobno nie tańcujesz Wasza Xca Mość, odpowiedziała, że tańcuję i będę tańcowała ale nie z Wdą Panem, na co gdy Jmc P. Wda Lubelski rzekł, byłoby to z moim affrontem, gdybyś WM. Pani miała z kim innym tańcować mnie odmówiwszy i obróciwszy się do kawalerów przy onych rzekł: prosiłem w taniec Xżnéj Jejmości, odmówiła mi, rozumiem że Wm. Państwo zatrzymacie się z proszeniem Xiężnéj Jmci w taniec, póki ze mną nie pójdzie, bo miałbym w tém krzywdę honoru mego, i tak się rzeczy pomięszały.

Jmć Pani Wdzina Mazowiecka siedząc przy Xiężnéj Podkanclerzynéj Litt. różne grymasy czyniła na Jmci Pana Wdę Lubelskiego, szalonym i wściekłym go nazywając, po syna swego Jmc. Pana Kazimierza Poniatowskiego posłała, który gdy przyszedł zaraz mu rzekła: „Jmć Pan Wda Lubelski zakazuje tańcować z Xiężną Podkanclerzyną Litt. jakoby to niewolno było nikomu tańcować", i to samo kilka razy powtarzając, pokazywała mu, ażeby ją wziął w taniec; którą gdy brał w taniec, Jmc. Pan Wda Lubelski jeszcze przez dyskrecyą powiedział mu, że Xżną

Jmć Podkanclerzyna zamówiona odemnie do tańca, proszę mi bez racyi tego afrontu nie czynić, póki ze mną nie pójdzie.

Jmć Pan Poniatowski nie uważając na sprawiedliwe Imci Pana Wdy Lubelskiego remonstracye z instynktu familii do siebie należącéj i rozkazu matki swojej do dania okazyi iritacyi Imć Panu Wdzie Lubelskiemu, poszedł w taniec z Xiężną Imćią Podkanclerzyną Litt, która animowana od Imci Pani Wdzinej Mazowieckiej, gdy wstawała z miejsca do tańca. Jmć Pan Wda Lubelski rzekł Imć Panu Poniatowskiemu: „niepowinieneś Wm Pan tego przez poczciwość mi czynić afrontu, chyba że chcesz mię oczywiście affrontować i do irrytacyi przyprowadzić," i tak ruszył się zaraz Jmć Pan Wda Lubelski z miejsca swego, a Imć Pan Poniatowski za nim szedł irrytując go i irrytując.

Będąc przytomni Xże Jmć Biskup Poznański, Jmć Pan Wda Mazowiecki, Xże Jmć Podkanclerzy Litewski, łatwo mogli uspokoić zaczynającą się kłótnię albo perswadując Xiężnej Jejmci, żeby w taniec z Jmć Panem Wdą poszła, albo nie czyniąc affrontu IMP. Wdzie, żeby z nikim w taniec nie chodziła, nietylko w tém starania swojego nie dokładali, i owszem cieszyli się z tego animując młodego IMP. Poniatowskiego do dalszej kłótni.

Jmć Pan Wda Mazowiecki miasto zganienia tego synowi swemu, karesował go na tym balu, na prawéj stronie koło siebie posadził, i animował go do kłótni z Imcią Panem Wdą Lubelskim.

Temuż synowi swojemu kazał wyzywać Jmć Pana Wojewodę Lubelskiego na pojedynek pod Marymont i tam mu lekcyą dał, jak się miał sprawować w tym pojedynku, jeszcze co większa na plac przysyłając, aby się póty strzelał, póki albo by Imć Pana Wojewody Lubelskiego nie zabił, albo sam nie zginął, a to dla tego, że jeżeliby się nie udało go zabić a syn był zabity, żeby przez prawo i process inwolwować go i życie mu odebrać.

O tym pojedynku który z wielkim honorem Imć Pana Wdy Lubelskiego przy sprawiedliwości był odprawiony, bo nietylko dwoma zapędami umykał się IMP. Poniatowski przed szpadą, ale też i z konia pod nim z pistoletu za drugą razą zabitego przez tył zwleczony był; jednak familia Xiążąt Czartoryskich czyli przez siebie, czyli przez subordynowane osoby na załatwienie i oczernienie sławy i honoru IMPana Wdy Lubelskiego xiążkę drukować za granicą kazali, pod tytułem: Szpieg polityczny i domowy, kędy przywłaszczając wiele IMPanu Poniatowskiemu junakieryi, a uwłaczając słuszności IMPana Wdy Lubelskiego

tę xiążkę po cudzych krajach i Polsce publikowano z krzywdą narodu całego a niezmierną do żalu okazyą dano IMPanu Wdzie Lubelskiemu, i jako ta xiążka po wyjściu z druku najpierwej w domu Czartoryskich Xiążąt czytana była, i z urąganiem inszym kommunikowana, a tém nieznośniejsze było przed IMPanem Wdą utajenie tej xiążki, iż Imć Panu Poniatowskiemu po pierwszym pojedynku męztwo i piękne serce przyznawał, póki nie był tym paszkwilem zirrytowany.

Kiedy IMPan Wojewoda Lubelski urażony tym paszkwilem pod tytułem: Szpiega domowego i politycznego kommunikowanym, o krzywdę swoją kartkę pisał do IMPana Wdy Mazowieckiego, pretext wziąwszy exkuzy po syna IMPana Kazimierza Poniatowskiego zaraz do Puław posłał, sprowadzając go do Warszawy, aby powtórnie azardował na odjęcie życia IMPanu Wdzie Lubelskiemu. Tandem inszą wziąwszy radę, sam jechania do Drezna temuż synowi swojemu napisaną kartką skoncentrowaną z familią IMPani Wojewodziny Mazowieckiej przez IMPana Karasia do Góry posłaną, aby swoją ręką też przepisawszy, przez tegoż IMP. Karasia, nazad do rąk matki odesłał a sam się do Puław wrócił do Xięcia Imci Wojewody Ruskiego, tam gromadząc liczną dla niego assystencyą.

Jmć Pani Wojewodzina Mazowiecka też kartkę samą wyzywającą do Puław Jmć Pana Wdę Lubelskiego, sama przez berejtera z pałacu swego w Warszawie IMPanu Wdzie Lubelskiemu posłała.

Xiąże Jmć Wda Ruski dawszy ordynans aby kilkadziesiąt piechoty Regimentu Gwardyi Koronnej z Warszawy do Puław poszło, powtórną kartkę a bardziej paszkwil z rozkazu Xcia Mci Wdy Ruskiego skomponowali i IMPanu Poniatowskiemu do przepisania dali. On matce swojéj do Warszawy posłał a matka kazawszy go zapieczętować w kopertę pod cudzą pieczątką na pocztę odesłała z informacyą, aby ten list odesłany był z innemi do kamienicy IMPanu Wdzie Lubelskiemu.

Kiedy IMPan Wda Lubelski odebrawszy ten paszkwil wyzywający, wziął rezolucyą jechania do Lublina i w niedzielę z Gniewoszewa posłał IMPana Zokarzewskiego towarzysza znaku swego do Puław, dając znać IMPanu Poniatowskiemu że mu gotów dać satysfakcyą, tenże Jmć Pan Poniatowski naradziwszy się z Xciem Wdą Ruskim naznaczył miejsce pod Marymontem we środę, a tymczasem zasadzki poczynili, ludzi Gwardyi

Rzeczypospolitej na to zażywając i Dragonii kilkadziesiąt w pole wyprowadzili.

Kiedy IMPan Wda Lubelski wiedząc dokumentalnie, iż to pisanie kartek z instynktu Xcia Imć Wdy Ruskiego były, posyłał do Xcia Imci Wdy Ruskiego na godzinę przed pojedynkiem, ponieważ obadwa w równej randze Generałów Lejtnantów zostawali. Tenże Xże Wda Ruski odpowiedział: niech pierwej z Panem Poniatowskim skończy, to potém ja z nim zacznę, bo już tak rzeczy dobrze ukartowane były i zasadzki postawione, i Imć P. Korf obligowany i doterminowany, aby żywego IMP. Wdę z placu nie puszczali, tenże IP. Korf z tém się oświadczał przed różnemi że z jego rąk miał zginąć Imć Pan Wojewoda, jakoż i po zabiciu żalił się na kilku miejscah, że nie taką miał rekompensyę, Pan Korf jaką mu obiecywano.

JW. IMX. Kanclerz W. Koronny zjechawszy z Warszawy do Puław kilka listami JW. IMPana Wdę Sandomierskiego w Lublinie attentującego sprawy swojej Xciem Jmcią Radziwiłłem do Celojowa mila od Puław sprowadził, aby tam IMPana Wdę Lubelskiego do siebie sprowadzić mógł, co się i stało, i tam do przyjęcia aresztu wraz z JW. IMP. Wdą Sandomierskim IMPana Wdę Lubelskiego obligował, i choć dano znać że już pod Markuszewem z liczną assystencyą IMPan Poniatowski wyjechał i w polu oczekiwał i Dragonii kilkudziesiąt uszykowanych było, jednak z karety niepuszczając IMPana Wojewodę do Markuszewa zwyż pomienieni Imć z przyjaciołami swemi zajechali i tam areszt Królewski w obecności delegowanych z Trybunału dla większego waloru i powagi tego aresztu Jmć Pan Kuchmistrz koronny posłany z tymże, podobnyż areszt przez JW. Im. X. Kanclerza podpisany posłany przez delegowanych czterech Departamentów w pole IMPanu Poniatowskiemu, a gdy Jmć Pana Pułkownika Błędowskiego z tamtej strony przysłanego, że Jmć Pan Poniatowski akceptować aresztu nie chce, natenczas w pole IMPan Wojewoda z przyjaciołmi wyjechawszy, gdy się oświadczył Jmć Pan Poniatowski że przyjmuje areszt, z pola jeszcze o kilkadziesiąt kroków będąc od IMPana Podkomorzego, wrócił się Jmć Pan Wda Lubelski do JW. Imci X. kanclerza Korony z oświadczeniem się: jako respektuje J. K. Mci areszt, Prześwietny Trybunał i przyjaciół interpozycyą prosząc, aby doniósł J. K. Mci krzywdę jego, i że sam chce się J. K M. explikować jak niesprawiedliwie tam był udawany. Areszt w rękach JW. IMPana Wdy Sandomierskiego zostawiony przez JW. Im. X. Kanclerza W. Korony chcąc jeszcze

w nim JW. Im. X. Kanclerz dołożyć aby i nikogo z famili Jmć Pan Wda nie wyzywał, aż do powrotu Królewskiego. co potém na affektacyą Jmci X. Kanclerza W. K. i tamtéj strony nastąpiło.

Gdy JW. IMPan Wojewoda Lubelski chciał jechać do Drezna dla explikowania wszystkiego jak jest w samej rzeczy, Jmć Pan Wda Mazowiecki obawiając się aby J. K. M. nie był informowany o prawdzie, a przez to żeby się nie wydały były fałsze które za prawdę udawała familia Xiążąt Ichmościów Czartoryskich przez Najjaś. Królem Imością zabiegł temu i listy dwa prokurował imieniem Królewskiém przez Jmć Pana Graffa Brylla Jmci P. Podkanclerzego Korony, aby pisał do Jmć Pana Wdy Lubelskiego i do IMP. Podkomorzego K., aby obydwa w Polsce siedzieli i tam czekali przybycia do Królestwa J. K. Mci, co było zdradą, bo myśleli o jego zgubie i już na życie Jego konspirowali chcąc go z świata zgładzić nimby Król Jmć przybył.

Xże Jmć Wda Ruski relacyą z wielkiemi pochwałami IMPana Poniatowskiego przysyłał do Warszawy, którą Jmć Pani Wojewodzina Mazowiecka przez Jmć pana Szambelana Moszczyńskiego do Kamery posłała, uwłaczając sławie i honorowi Jmć P. Wojewody Lubelskiego. Też relacyą i do Drezna do Dworu taż Jmć Pani Wdzina Mazowiecka z Xięciem Jmcią Podkanclerzym posłali na ręce IMPana Wojewody Mazowieckiego, co wszystko dla rozżarzenia ognia większego i oczernienia sławy Jmć P. Wojewody Lubelskiego czynili pragnąc go wcale zminować u J. K. Mci.

IMP. Wda Lubelski z pod Markuszewa do Lublina powrócił z wszelką modestyą o pojedynku tamtym czyniąc relacyą, staranie swoje obrócił, ażeby dawniej uczynioną kombinacyą, utrzymywać Xcia Jmci Radziwiłła z JW. IMPanem Wdą Sandomierskim, ale tém bardziej Xiążęta Czartoryscy na złość czyniąc IMP. Wdzie Lubelskiemu i domowi Jego dla większej jego irrytacyi o skassowanie tej komplanacyi starali się, jakoż na większą depressyą tę komplanacyą skassowali. IMPan Wda Lubelski mając relacyą z Warszawy o opacznych tam relacyach, które od Xiążąt Czartoryskich publikowane były, tudzież o protestacyi Xcia Jmci Podkanclerzego Litewskiego przeciwko IMPanu Wdzie uczynionej, tak go to zirrytowało, że ledwie nie śmiertelnie zachorował, i musiał się determinować chory do Warszawy powracać.

Xiąże Jmć Wojewoda Ruski już ustawicznie przy sobie trzymał IMP. Korfa oświadczającego się sobie IMP. Wojewodę Lubelskiego do Lwowa z IMP. Podkomorzym Korony przy Xciu

Jmci Wdzie Ruskim jeździł, wraz obydwa wyprawieni z Łubnic. tam sekretnie konferencye miewali i wraz wyprawieni do Warszawy na tragiczną scenę.

Tenże Jmć Pan Wda Ruski w Lubnicach publicznie mówił na wspomnienie IMP. Wdy Lubelskiego te słowa: Co IMPan Wda Lubelski, dokażemy tego gdyby nam przyszło całej familii azardować substancyą, że mu kat w Trybunale szyję utnie, a jeżeli tego nie dokażemy, to go z Polski wyrzucimy a jeżeli tego nie potrafilibyśmy dokazać, to go potrafimy kazać zabić, z tym dokładem, że jemu co rok wscieklizna się odnawia.

Przedtym jeszcze różnych namawiano na zabicie IMP. Wojewody Lubelskiego o czém IMP. Wojewoda Lubelski przez Xięży był przestrzeżony, i wiele razy przed przyjaciołmi żalił się na tak niegodziwy występek.

Xiążęta Czartoryscy Jmci Xiędza Wysockiego Prezydenta Trybunału Kor. po zdartym przez Dekret Trybunalski Piotrkowski paszkwilu namówili, ażeby Manifest uczynił przeciwko IMPanu Wdzie Lubelskiemu, nie słuszne mu zadając wiolencye niby przy Reassumpcyi Trybunału Piotrkowskiego poczynione i w Piotrkowie aggrawując IMP. Wdę, ludzi tegoż IMP. Wdy Jmć Xiądz Prezydent pod wartę brać kazał, szukając sposobów na otrzymanie infamii na IMPanu Wdzie i jakoż też familia Xiążąt Ichmościów Czartoryskich przyprowadziła do tego Jm Xiędza Wysockiego, że nad wolą całej Izby Trybunalskiej Posłom od Trybunału w instrukcyą do Króla Jmci punkt był skarząc na IMPana Wojewodę o jakieś wiolencye niby Trybunałowi poczynione dołożony.

JW. IMPan Wda Mazowiecki rezydujący w Dreznie różnemi udaniami IMP. Wdę Lubelskiego tak u Dworu dyskredytował, że IMPana Gruszczyńskiego Szambelana J. K. M. do Xcia Jmci Prymasa Kardynała i do IMPana Wdy Kijowskięgo Hetmana W. K. wyprawiono, oskarżając jakoby jakieś przeciwko J. K. Mci miał czynić konspiracye.

Znosząc się wszyscy z sobą taż familia Xiążąt Czartoryskich i Poniatowskich upatrzywszy IMPana Wdę Lubelskiego, że nikogo nie miał przy sobie ani z krewnych ani z przyjaciół, zatrzymawszy IMP. Generała Fleminga umyślnie w Warszawie, Xże Jmć Wda Ruski wyprawił IMPana Poniatowskiego Podkomorzego Koron. z Żubnic z tymże IMP. Korfem do Warszawy, który jednego dnia kilkanaście mil ubiegł.

Tenże JP. Poniatowski stanąwszy w Warszawie zaraz oficerów wszystkich w Kazernach objeżdżał i różnemi sposobami onych Imieniem Ojca i Xiążąt Czartoryskich do assystencyi sobie, remonstrując wolą i ordynas Xcia Jmci Wdy Ruskiego jako ich Generała obligował, mając assekurowanych potém przez kilka dni pod pretekstem rankortu jeżdżąc tak koło kamienicy IMP. Wdy Lubelskiego jako i po wszystkich drogach i ulicach z tymże IMP. Korfem chciał go affrontować, okna w karecie paryzkiej wybijać, na ostatek i zdradziecko zabić.

Tenże IMPan Poniatowski w Piątek, to jest Decimo tercia Martii anno 1744. przysławszy dwóch officerów od Gwardyi, jednego Oberlejtnanta Rejmintza, drugiego Kapitana Mitforta pod Marymont na dzień jutrzejszy to jest na Sobotę, nie uważając na areszt Królewski i Prymasowski wyzwał, tam kilkadziesiąt circiter officerów od Gwardyi i innych regimentów z pistoletami na kruczkach pod surdutami, tudzież Gemejnów sprowadziwszy z bronią na zabicie IMP. Wojewody Lubelskiego oczekiwał, a to z namowy familii swojej. Ponieważ Jmć Pani Wdzina Mazowiecka matka powiedziała mu: „jedź a nie zów mi się synem, kiedy Wdy Lubelskiego nie zabijesz, ponieważ trzeba go tam na placu zostawić." Widząc IMPan Wojewoda tak wiele zgromadzonych oficerów i żołnierzy od Gwardyi posyłał respektem odmiany inszego placu.

Pod Marymontem jak prędko stanął na placu IMP. Wda Lubelski, widząc tak wielu zgromadzonych oficerów i żołnierzy od Gwardyi, posyłał respektem odmiany innego placu i chciał satysfakcyą dawać IMP. Poniatowskiemu na szpady, IMPan Generał Fleming tak że Jmć Pan Korf z pistoletami nabitemi do niego przyszedłszy powiedzieli mu z naśmiewaniem się, żeś tu Wmość wyjechał nie dla tego żebyś się wrócił z tego placu, ale żebyś kulą w łeb wziął, trzeba to sobie wyperswadować że tu umrzeć potrzeba i parol mu zaraz na to dawał. Na co IMPan Wda Lubelski rzekł: Na Waści parol że jak z tamtym skończę to i z Waścią się wybije, a Pan Korf wtém rzekł do IMPana Wojewody Lubelskiego: Pan Podkomorzy na szpady bić się nie będzie z Waścią Panie Wojewodo, ale ze mną się spotkaj i dla zirrytowania IMPana Wojewody mówił, umiałeś przedtém na beczki szpontowe prochu wyzywać a teraz się pistoletu boisz.

Ciż posławszy po IMPana Poniatowskiego który opodal stał, a potém tenże IMP. Poniatowski z pistoletami nabitemi odwiodł-

szy one, szedł ku JMPanu Wdzie Lubelskiemu i mierzył do niego chcąc go zabić, i gdyby postrzegłszy IMP. Wojewoda Lubelski zawołał: Mości panowie patrzcież jak mię niegodziwie chce zażyć, toby był strzelił do niego, gdyż go już na cel brał.

Ciż Ichmość Fleming i Korf i Jm. Pan Poniatowski Jm. Pana Wojewodę Lubelskiego szkalowaniem zirrytowali i temże szkalowaniem że na plac i na strzelanie się z pistoletów pozwolił przymusili. Pistolety zaś Pan Korf z Jm. Panem Szawłowskim nabijali. Tenże Pan Korf naśmiewając się rzekł: siłaż Panie Wojewodo każesz kulmi nabić, pięcią czy więcéj? Na co odpowiedział Jm. Pan Wojewoda Lubelski, że dla poczciwych ludzi dość jedną kulą nabijać.

Jm. Pan Wojewoda Lubelski rzekł: kiedy się strzelać będziemy, oddajmy szpady sekundantom, na co Jmć Pan Poniatowski rzekłszy, zaraz dobył szpady z pochwy odrzuciwszy gołą w pendent włożył, będąc assekurowany od Jm. Pana Szawłowskiego że kurków od pistoletów nie odwiedzie Jm. Panu Wojewodzie Lubelskiemu, z którym to Panem Szawłowskim JmP. Poniatowski coś cicho mówił a potém się pocałowali.

Jm. Pan Wda Lubelski zmierzywszy z Jm. Panem Poniatowskim do siebie: gdy temuż JmPanu Poniatowskiemu pstryknął pistolet, Jm. Pan Wda Lubelski JmPanu Poniatowskiemu w górę nad głowę umyślnie strzelił nie chcąc mu życia brać; potém do drugich trzymając ich pod pachami, gdy się porwali JmPan Poniatowski bez pochew w pendencie szpadę mając, zaraz strzelił i chybił, chybiwszy cisnął pistolet na ziemię, animowany od JmPana Fleminga i Korfa temi słowy: teraz go zabijesz śmiało, skocz na niego, widząc że Jm. Panu Wojewodzie pistolet nie chciał spuścić bo nie był odwiedziony, który gdy JmPan Wda Lubelski postrzegłszy zdradę, lewą ręką odwiódł i potém wystrzelił, a wystrzeliwszy oddawał pistolet, JmP. Poniatowski skoczywszy w pośrodku między Flemingiem i Korfem niemającego szpady jeszcze w ręku JmPana Wdę Lubelskiego, tylko się biorącego za nią w piersi z lewéj strony pod obojczyk szpadą jadem zmyślnie napuszczoną ranił i odskoczywszy począł paryerować, a JmP. Wojewoda Lubelski już będąc ranionym, skoczył JmP. Poniatowskiego i odbiwszy mu jego szpadę, pchnął go że zaraz się potoczył i jęczeć począł, na co rzekłszy JmPan Wojewoda Lubelski oto masz, wywinął szpadą i zawoławszy konia w tym momencie podparł się szpadą, nogi mu poczęły się giąć i na twarz

upadł, rzekłszy tylko po francuzku: O Boże! bądź miłościw duszy mojéj, i łzy mu z oczu wypadły.

Zawziętość była familii Xiążąt Ichmciów Czartoryskich, że nietylko tych sekundantów swoich i wielu officyerów namówili, żeby JmPana Wdę Lubelskiego z placu nie spuścili i postępem go zakłuli; jakoż wszyscy hurmem z JmPanem Poniatowskim nie po kawalersku na ś. p. JmP. Wojewodę Lubelskiego po wystrzelaniu zbiegali się i zaraz go obskoczyli, sekundanci zaś z strony JmP. Wdy Lubelskiego między ludzi się zamieszali i najmniéj nie sekundowali, co sług tamże przytomnych zastraszyło, sami się w tył za karetę umknęli, zgoła opuszczony był od wszystkich, sam jeden zostawiony, od oficerów i całego prawie Regimentu gwardyi otoczony.— Trudno tam było zejść z tego placu, gdy na życie jego konspirowali. Nawet gdy upadł, ledwo nierychło cerulika się ludzie cudzy dowołać mogli, ale i ten kiedy krew chciał puścić, już nie żył JmP. Wojewoda Lubelski.

Drugi syn JmPana Wojewody Mazowieckiego JmP. Alexander Poniatowski z Bawaryi umyślnie przez ojca sprowadzony, zbiegł pocztą do Warszawy, a gdy w Piotrkowie dowiedział się o śmierci ś. p. JmP. Wojewody Lubelskiego, publicznie to powiedział, że gdyby nie zginął był od mego brata, toby odemnie zginął.

Xiąże Jmć Wojewoda Ruski, Lipkow Tatarów nadwornych był porozstawiał aby mieli oko na ś. p. JmP. Wdę Lubelskiego i gdyby się byli na koniach strzelali a zginął był JmPan Poniatowski, dopóty się nie dali salwować JmP. Wojewodzie Lubelskiemu i lubo tenże JmPan Wojewoda widział oczywistą śmierć swoją, bo na to wszyscy ordynowani byli ażeby żywo z placu nie zszedł, salwować się jednak bez żadnego przyjaciela będący ani od pojedynku do którego gwałtem był wzięty nie mógł.

Rotmistrz Tatarski Xcia Wdy Ruskiego stał na koniu na tym placu pod Marymontem i jak prędko zginął ś. p. JmPan Wda Lubelski w sobotę przed jedenastą godziną, zaraz skoczył co tchu na konia do Łubnic w Sandomierskie i mając rozstawione konie w niedzielę tam stanął z tą nieszczęśliwą a tam pocieszną relacyą o śmierci JmPana Wdy Lubelskiego, Xże zaś Wda Ruski zaraz dawał różnym o tém wiadomość.

J. O. Xżna Wdzina Ruska mdlała, płakała dowiedziawszy się o tém nieszczęściu a Xże Wda Ruski łajał ją mówiąc: nieprzyjaciel domu naszego zginął. Z tego się cieszyć trzeba a nie płakać, i Xżna Jejmość Czartoryska kasztelanowa Wileńska narzekała na familią, że taili przed nią tę konspiracyą.

Na ciele zabiwszy ś. p. JmP. Wdę Lubelskiego i duszy Jego taż familia szkodzić usiłowała, kiedy przez kilka miesięcy niepozwolono ciała chować i ratunku duszy nie odprawować, przeszkadzając absolucyi przez audytora Nuncyaturskiego i więcéj niż trzy miesiące pogrzebu ciała zabraniali.

W Gazetach publicznych Hollęderskich już po śmierci Jmci Pana Wojewody drukować kazano kartki przez JmP. Poniatowskiego Podkomorzego koronnego pisane, nie przepuszczając i zmarłego honorowi.

# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

*Miesiąc Styczeń 1864 roku.*

## DZIEŁA.

Encyklopedya powszechna. Tom XV, Zeszyt 136. Tom XVI, Zeszyty: 137, 138. Warszawa, nakł. i druk S. Orgelbranda, 1864, 8ka, str. od 897—983, spisu X. (Kraków-Krasiński) str. 112, 113—224. (Krasiński kryształy) Zeszyt kop. 35.

*Kowalski Zeno Andrzej.* Pszczolnictwo ogrodowe i domowe, teoryczno-praktyczne. Warszawa, nakł. A. Dzwonkowskiego, 1864, druk J. K. Psurskiego. 8ka mniejsza, str. 91, Spisu 3, Tab 1.

*Rolle Józef.* Szkic Hygieny Podola oparty na jego statystyce. Warszawa, czcion. A. Liefeldt. 18[illegible]3. 8ka, str. 99. (Odbitka z Pamiętnika lekarskiego Warsz. T. III i IV, Ser. IV.).

*Le Brun Alexander.* Sprawozdanie z czynności kliniki chirurgicznéj przy Cesarsko-Królewskiéj Warszawskiéj Akademii Medyko-chirurgicznéj, z r 1860/1. Warszawa, czcionk. A. Liefeldt, 1863. 8ka, str. 79. (Odbitka z Pamiętnika Tow. lek. Warsz. T. III i IV, Ser. IV).

*Rubricella divini officii et Missarum directiva juxta rubricas breviarii et missalis Romano Seraphici A. SS. D. N. Pio Papa VI. 1785 die 6 Septembris observari praeceptas ad usum FF. Minorum S. P. N. Francisce Reformatorum Almae provinciae S. Antonii Padvani, pro an. bssiextili MDCCCLXIV. edita authoritate A. R. Patris Ministri Provincialis. Calissii, typis Hindemit*, 1864, 8ka mniejsza str. 48.

Arcybiskupi gnieźnieńscy i prymasi. Zeszyt 19ty. Warszawa, nakł. A. Dzwonkowskiego i Spół., druk J. Ungra, 1864. 4ka większa, str. 8. 2, 4, 2. (Władysław Alexander Łubieński, Gabryel Podoski, Antoni-Kazimierz Ostrowski, Michał-Jerzy Poniatowski).

## DZIEŁA ZBIOROWE.

Rocznik leśniczy. Dzieło zbiorowe. T. IVty, Część IIIcia. Warszawa, druk Ch. Kelter et Comp, 1863, 8ka mniej. str. od 257—421, zawiera:

O lasach olszowych i zagospodarowaniu ich, p. *T. Przyjemskiego.*
O sztucznem hodowaniu trufli, p. *A. Połujańskiego.* Pomysły do nauki

życia, p. *W. Jastrzębowskiego*. O piśmie czasowem leśniczém. Ocena dziełka B. Alexandrowicza: „Praktyczny sposób wymierzania i wyrachowania massy drzewa w pniach stojących, p. *T. Bohuszewicza*. Przegląd literatury leśniczéj z roku 1863. Rozmaitości. Rocznik Zarządu leśnego Królestwa Polskiego. Zarząd lasów miejskich. Administracya lasów księztwa łowickiego.

## PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

### Przegląd Katolicki. M. styczeń 1864. NN. 1—4, zawierają:

Rok przeszły pod względem kościelnym. Upadek Anglikanizmu. Czy słuszną jest wiara katolicka w Niepokalane Poczęcie Najświętszéj Panny? (c. d.). O szkodliwości zawierania małżeństw między blizkimi krewnymi. O Jakóbie Lainez Pielgrzymka Bergstrasselerów Korrespondencye. Kronika kościelna krajowa. Kronika kościelna zagraniczna. Bibliografia zagraniczna.

### Zwiastun Ewangeliczny. M. styczeń 1864. NN. 1—2, zawierają:

Od redakcyi. Stara prawda w Nowym Roku. Marcin Luter (c. d.). Historya Zboru Ewangelicko-Augsburskiego warszawskiego do r. 1793. Pewność wiecznego zbawienia. Ewangelictwo między Ormianami. Korrespondencye.

### Przegląd Europejski. Listopad 1863, Zeszyt 17, str. od 207—379, zawiera:

Dzieje alchemii, czyli nauki o filozoficznym kamieniu, zebrał i ułożył *F. Beneveni*. Osadnicy Australscy, powieść p. *Elie Berthet* (dok.). Jan Prati i jego poetyczne dzieła (dok.). Brazylia, jéj społeczeństwo, obyczaje i krajobrazy. Przegląd rzeczy potocznych, p. *J. H.*

### Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego warszawskiego. Ser. IV, T. IV, Zeszyt 5 i 6 (listopad i grudzień 1863). Str. od 337—504, zawiera:

*Fudakowski:* O trawieniu glutyny oraz ciał w nią przechodzących. *Korzeniowski:* Przyrząd gipsowy przerywany do złamań powikłanych z poranieniami, owrzodzeniami i t. d. (dok.). *Stadnicki:* O niektórych pierwiastkach w atmosferze i wpływie ich na zdrowie. *Kulski:* Kronika lekarska zagraniczna. Wyciągi z literatury zagranicznéj. Wiadomości krajowe. Czynności Towarzystwa Lek. warsz. Krytyka.

### Tygodnik Lekarski. M. styczeń 1864 NN. 1—4, zawiera:

*Rewoliński:* Wyciąg ze sprawozdań lekarza powiatu siedleckiego, z lat 1859—1862. *Kremer A.:* O przymiocie. *Groer:* Przypadki chirurgiczne w szpitalu św. Ducha. *Farenholc Wilhelm:* Sprawozdanie z dziełka p. t.: „Medycyna do powszechnego użytku zastosowana przez dra. Kazimierza Świderskiego". *Sciborowski:* Przegląd czynności Szpitala św. Alexandra w Wilanowie w r. 1862. *Eborowicz:* Anatomia nadnerczy. *Rolle Józef:* Sprawozdanie z dziełka p. t.: „Praktyczne spostrzeżenia niektórych lekarzy, zebrane p. A. F. Adamowicza. *Burzyński:* Przerost blizn. *Chodakowski:* O działaniu ciepłych i zimnych kąpieli. O leczeniu chorei. *Eborowicz:* Meningitis i Apoplexia. Powietrze pod mikroskopem. *Sciborowski:* Wiadomości z czasopism zagranicznych. Spostrzeżenia meteorologiczne. Nowe dzieła.

Tygodnik lekarski. M wrzesień 1863. N. 35, październik, N. 40, zawierają:

*Rolle J.*: O gruźlicy postrzeganéj w Kamieńcu. *Jakubowski L.*: Lekcye o ranach postrzałowych (c. d.). *Sciborowski*: Kilka słów o gruźli y narzędzi moczowych. *Miłosz*: Przymiot w stosunku do chorób nerwowych. Posiedzenia Towarzystw, lekarskiego warszawskiego i naukowego krakowskiego Spostrzeżenia met orologiczne

Kółko Domowe, pismo poświęcone polskim rodzinom. M. styczeń 1864. Posz. Xty, str. od 289—320, zawiera:

Królowa Cecylia, p. *Alexandrę z Chomentowskich Borkowska*. Kartka z obyczajów XVIIIgo wieku. Rycerz z Lewinhradu. Korrespon encya z Wiednia. Podróże badacza przyrody po środkowéj Afryce. Władysław Biały książe Gniewkowski. O ubiorach.

Przyjaciel Dzieci. M. styczeń 1864 NN. 144 - 148, zawierają.

M dlitwa na Nowy Rok, p. *Felicyana*. Stary Maciuś, opowiadanie *Kazimierza Władysława Wojcickiego* O waga, zuchwalstwo, junactwo, wspomnienia z podróży, p. *Franciszka Salezego Dmochowskiego*. Ziemia Egipska, p. *Str.* Dzieje Narodu Polskiego, p. *Leona Rogalskiego* (c. d.), ogawędki z Dziaduniem, p. *Wł. z R. Izdebską*. Historya święta, p. *Michała Szymanowskiego*. Gawęda naukowa: p pier. p. *J. Ch.* Alexander Fredro, p. *L. Huberta*. Szlachetność i wdzięczność, powieść, p. *Józefa z Mazowsza* Wjazd Ossolińskiego do Rzymu Cuda oceanu. Machiny do rachowania. Wspomnienia dziecka które się zbłąkało w Londynie, przekład z *Dickensa*. Rozmaitości. Myśli i zdania Bajka. Zagadka.

Tygodnik Mód i nowości dotyczących gospodarstwa domowego. M. styczeń 1864. NN. 1—5, zawierają:

Georgia i Georgianie. Mexyk (c. d.). Jan Halifax, powieść *M. Mulloch*, przełożona z angielskiego. p. *Sewerynę Pruszakową* (c. d.). Wypra. wy wojenne Sobieskiego przed koronacyą. Starożytność rasy ludzkiéj. Słowiańszczyzna północno-zachodnia, obraz historyczny z XII wieku Don Karlos i Filip IIgi. Nęd a za czasów Frondy. Z traktatu o zębach. Poezy. Korrespondencya z Paryża. Kronika literacka. Nowości zagraniczne. Mody. Szarady. Opisy rycin mód, wzorów i form.

Tygodnik Illustrowany. M. styczeń 1864. NN. 223—227, zawierają:

Pieśń Jana Kochanowskiego, kolenda Obrazy Rusi Czerwonéj, p. *Władysława Zawadzkiego*. Tranzakcya Zygmunta Batorego, opowiadanie na tle historycznem, p. *M. B.* Ksiądz Michał Dymitr Krajewski, p. *Juliana Bartoszewicza*. Drzewa podaniowe. Tizba, żałodya w czterech oddziałach, przez Tadeusza Wolańskiego (Przegląd). Dawne ubiory i uzbrojenia Oryginały, szkic *Józefa Dzierzkowskiego*. Jerzy Rakoczy, p. *W. Grochowskiego*. Klęska na Wołoszczyźnie za Jana Alberta roku 1498, p. *Kazimierza Władysława Wojcickiego*. Michał Baliński, p. *Leona Rogalskiego*. Kościół Panny Maryi w Warszawie. Środa, p. *Teodora Żychlińskiego*. Poezye. Przegląd polityki zagranicznéj. Kronika tygodniowa Szachy. Rebusy.

Wędrowiec. M. styczeń 1864. NN. 53—56, zawierają:

Sen Jakóba Obchód Nowego Roku w pierwszych latach naszéj ery. Przygody Augustyny Libarony w Południowéj Ameryce. Oliwier. Palmy. Gustaw Doré. Teodor Mundt, Polowanie na lwy, słonie

i nosorożce, tudzież połów hippopotamów we wschodniéj Afryce. W jaki sposób w Paryżu piszą się dramata. Droga żelazna z Drezna do Czech. Dzicy ludzie. Indyanie w Guatemali, szkic etnograficzny *Karola Scherzer*. Podróż passażerów, drogą żelazną. Kronika zagraniczna. Kapitan Fracasse, powieść *Teofila Gautier*. Horacy Vernet. Rozmaitości

Kmiotek. M. styczeń 1864. NN. 1 - 5, zawierają:

Opowiadanie o Litwie, napisał *Janko Korabics* (c. d.). O różnych krajach, krótkie opowiadanie Dziadka. Ślepota Elimasza. Wilia Nowego Roku. Nosorożec. Jacek organista, p. *E. Leja*. Rajskie ptaki. Historya o Jasiu Złotogoleńczyku, synu kmiecym z Borynia. Św. Wincenty męczennik. Leniwa Magda. Św. Franciszek Salezy. Zemsta Jankowa.

Czytelnia Niedzielna. M. styczeń 1864. NN. 1—5, zawierają:

Nowy rok. O jassyrze, czyli niewoli u Turków (c. d.). Królowa leśna, powiastka. Ptasznik, powiastka z prawdziwego zdarzenia. Historya o ślepym staruszku. Zręczny mówca. Narody i kraje starożytne. Urwis, powieść. Niezgodne stadło. Sasanka, wiersz. Niepotrzebne wymysły. Zdania starożytne. Różności.

Gazeta Warszawska. M. styczeń 1864. NN. 1—24, zawierają:

Przegląd literatury zagranicznéj. Cóż teraz zrobić? powieść *Sir Edwarda Bulwera Lytton* (c. d.). Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące, literackie, artystyczne

Gazeta Polska. M. styczeń 1864. NN. 1—24, zawierają:

Dola i niedola, powieść z końca XVIIIgo wieku, p. *Józefa Ignacego Kraszewskiego* (c. d.) Sprawozdanie roczne rolników kaliskich (dok.). Astronomia mieszkańców różnych planet. Sztuka mówienia przed publicznością. Przegląd Roczników gospodarstwa krajowego. Ś. p. Michał Baliński. Kronika paryzka. Ustawa szkolna w Zurychu. Przegląd literatury krajowéj, p. *Wiktoryna Zielińskiego*. O warunkach rozwoju ekonomicznego. Przegląd naukowy. Porównanie handlu Anglii i Francyi. Rodzina Romarhierta, obraz z życia rzeczywistego, p. *Maryę-Zofię Szwartz*, przekład ze szwedzkiego. Kopalnie Mexyku. Korrespondencye zagraniczne. Wiadomości bieżące, literackie, artystyczne.

Kuryer Warszawski. M. styczeń 1864. NN. 1—24.

Kuryer Niedzielny. M. styczeń 1864. NN. 1—7, zawierają:

Przeglądy: polityczny, brukowy, literacki. Psalm, p. *A. Z.* Targ jakich mało. Historya bab pieczonych. Głos żalu. Stary kupidyn. Sprawa Roederera. Rzecz o mozgosuszu. Historya o sukni podkasanéj. Kłótnia w oficynie. On i Ona.

Dziennik Powszechny. Pismo urzędowe, polityczne i naukowe. M. styczeń 1864. NN. 1—24, zawierają:

O podatku patentowym. O ruchu pocztowym w Pocztamcie warszawskim w m. sierpniu 1863 r. List szlachcica z prowincyi. Korrespondencya z Krakowa, Lwowa, Lublina i t. d. Przegląd teatralny. Przegląd dzienników. Kronika.

Warszawska Gazeta Policyjna. M. styczeń 1864. NN. 1—24.

Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. M. styczeń 1864. NN. 1—8, zawierają:

Bieżące wiadomości rolnicze krajowe i obce. Chemiczne własności i produkcyjne siły ziemi. O obowiązkach dłużników względem instytucyj kredytowych i assekuracyjnych w Królestwie Polskiem, p. *Jana Świeczyca*. Gospodarstwo mleczarniane Życie roślin zasadza się na odtlenianiu bezwodnika węglowego i wody. Strzyżenie koni i bydła rogatego. O podściełaniu ziemią w miejscu słomy, p. *Hipolita Szczawińskiego*. Usiłowania gospodarskie hr. du Couëdic. Różne sposoby karmienia owiec. O użyciu i ciągnięciu korzyści z hodowli dzikich kasztanów. O rychlejszém dochowaniu się drzew owocowych. Sztuczne hodowanie ryb we Francyi Porównanie udojów mléka z rozmaitych por dziennych. O stosunkach atmosferycznych i sposobie robienia meteorologicznych spostrzeżeń. Karma dla owiec dorosłych i niekotnych. Aparat respiracyjny Pettenkofera w instytucie fizyologicznym w Monachium i robione z nim próby. O mierzwie stajennéj, jéj przechowywaniu i mierzwieniu po wierzchu. Rozmnażanie ziemniaków przez sztoprowanie. Środek przeciwko zapaleniu śledziony. O uprawie roślin pastewnych. Co robić z perzem. Nowy rodzaj betonu do budowli. Mąka z kości w praktyce. Drobiazgi. Wiadomości handlowe.

Gazeta Rolnicza. M. styczeń 1864. NN. 1—4, zawierają:

Przyszłość naszego rolnictwa, p. *Alexandra Makowieckiego*. Gospodarstwo rolniczo-przemysłowe, p. *Waleryana Frybena*. O rasach merynosów, p. *A. K. Stelmaszewicza*. Koller u koni, p. *Piotra Seifmana*. Polesie, p. *Tomasza Snarskiego*. Szabrowanie budynków drewnianych, p. *Waleryana Frybena* Sikawka ręczna ogrodowa, p *J Pietraszka*. O trzodzie chlewnéj, p. *Felixa Budziszewskiego*. O cieplarniach ogrodowych, p. *Zygmunta Gawareckiego*. Warszawskie ludowe kalendarze na rok 1864, p. *Alexandra Makowieckiego*. Siewnik ręczny do siewu rzutowego, wynaleziony przez P. Żander, p. *Z. Strusiewicza*. Korrespondencye gospodarskie Nowiny i ogłoszenia gospodarskie.

## MUZYKALIA.

*Osmański:* Marsz żuaw. Nr. 7, skomponowany na fortepian. Warszawa, nakł. i litogr. J. Czaczkowskiego. Str. 3. Złp. 1.

*Osmański Woj.:* Dwie siostry, melodya ułożona na fortepian. Warszawa, nakł. wydawcy, lit. J. Czaczkowskiego. Str. 4.

# WIADOMOSCI LITERACKIE.

### WARSZAWA.

*Luty 1864 r.*— Towarzystwo nasze sztuk pięknych rozdało na r. b. członkom swoim piękną reprodukcyą litograficzną, wykonaną w jednym z najpierwszych zakładów berlińskich z obrazu Juliusza Kossaka i Brodowskiego, przedstawiającego bitwę pod Beresteczkiem

(d. 28 czerwca 1651 r.) według rysunku znanego z talentu rysownika Walkiewicza.

— Ciągła stagnacya w handlu księgarskim, jest powodem, że żadne z dzieł dawniéj zapowiedzianych nie ukazało się z pod prassy. Wiemy, że dopełnienie historyi Cezara Cantu, już w rękopiśmie zasłużony pracownik na niwie historycznéj i literatury Leon Rogalski ukończył. Dopełnienie to składa się z dwóch obszernych tomów i obejmuje dzieje i literaturę narodów słowiańskich, a zarazem i polską. Znając naukę i sumienność tego pisarza, nie wątpimy, że odpowié godnie wszelkim wymogom tak trudnego zadania.

— W ciągu jednego roku literatura nasza w gronie pracowników, poniosła niepowetowane straty. Józef Korzeniowski, Michał Grabowski, Michał Baliński, Karol Baliński, Romanowski i znakomity rzeźbiarz Dmochowski, zakończyli życie. Za życia Korzeniowskiego Adam Zawadzki księgarz i nakładca wileński zawarł z nim umowę o wydanie zupełne wszystkich prac tak ogłoszonych drukiem, jak i będących w rękopiśmie. Wydawnictwo pierwszych tomów miało się rozpocząć jeszcze w r. 1859. Zmarły autor sam porządek prac swoich ułożył, któreby obejmowały kilkadziesiąt tomów. Sądzimy, że wydawca przyszły pism Korzeniowskiego lepiéjby uczynił, aby w pięciu lub sześciu tomach publikacyą tę wykonał w wielkiéj 8ce na dwie szpalty, jak są wydania francuzkich pisarzy. Zasługują na takież wydawnictwo i Michała Grabowskiego prace, już zupełnie wyczerpane z obiegu handlu księgarskiego. Illustracye mogłyby je wybornie ozdobić, bo ileż to scen z dramatów i komedyj Korzeniowskiego i powieści, jak z powieści M. Grabowskiego, które są godne ołówka artysty. Ale teraz marzyć tylko możemy o takich edycyach! Zbiór zupełny poezyj Karola Balińskiego, jak Romanowskiego jest pożądany; Balińskiego jeszcze należycie krytyka nie oceniła jako poetę, z rzeczywistém natchnieniem i namaszczeniem; na *Piascie* i *Popielu* Romanowskiego mało kto się poznał; tylko prawdziwi znawcy ocenili wysoką jego wartość. O wydawnictwie zbioru zupełnego poezyi Syrokomli ucichło także, bo przy takiéj stagnacyi handlu księgarskiego ani myśleć o druku, gdy kupujących nie ma. Pomimo to wiele prac przygotowano do druku, szczególniéj pomocniczych dla uczniów gimnazyów naszych i szkoły głównéj.

— Fryderyk hr. Skarbek ukończył w języku francuzkim *Dzieje Księztwa Warszawskiego*, przerobione z polskiego tekstu dawniéj ogłoszonego drukiem i zastósowane do czytania cudzoziemców.

— Znany z talentu poeta Antoni Czajkowski od r. 1846, professor prawa polskiego w akademii petersburskiéj. przybył i osiadł stale w Warszawie jako emeryt.

— W połowie tomu XVI *Encyklopedyi powszechnéj*, już ukończoną została cała litera *K*. Drugą połowę tego tomu zajmie *L*. Zeszyty bez przerwy w oznaczonym czasie wychodzą.

— Tygodnik Illustrowany wkrótce ukończy opis Podola galicyjskiego z rycinami Juliusza Kossaka. Autor opisu Władysław Zawadzki pokazał znakomity talent w tak malowniczych obrazach, które stawia przed oczy czytelnikowi. Wyborne rysunki Kossaka podnoszą jeszcze więcéj te obrazy gładkiém i wprawném piórem skreślone. Praca ta jest rzeczywistą ozdobą Tygodnika, mająca wysoką a trwałą wartość. Do *Flisa* Klonowicza, przygotowywa illustracye znany artysta *Gerson*. Wstęp pióra głównego redaktora Ludwika Jenikiego, objaśni mniéj świadomych czytelników tak o treści całego poematu, jak poda krótki życiorys Klonowicza. Piękna to myśl, a o urzeczywistnieniu jéj odpowiedniém nie wątpimy, gdy taki artysta jak Gerson, z zamiłowaniem wykona. Sądzimy, że drzeworyty te mogłyby następnie posłużyć do wydania w całości tego poematu w edycyi illustrowanéj.

— F. M. Sobieszczanski, który już ma niemal wykończony obszerny opis Warszawy w kilku tomach, pracuje obecnie nad słownikiem geograficznym Królestwa Polskiego.

— Otrzymaliśmy pocieszającą wiadomość z Krakowa, że w nowym domu Towarzystwa naukowego krakowskiego w sali pierwszego piętra umieszczono zbiór starożytności i zabytków sztuki, będący własnością tegoż Towarzystwa, który wkrótce uporządkowanym zostanie. Do zbioru tego mają być dołączone zabytki starożytności przechowywane dotąd w bibliotece uniwersytetu; tym sposobem utworzy się osobne muzeum archeologiczne. Oddawna myślano i u nas w Warszawie o podobném muzeum i takowe jużby istniało, gdyby przychylne potemu dozwoliły okoliczności. Muzeum to złożyć miały ofiary na rzecz jego już przyrzeczone i zbiory prywatne czasowo udzielone, ażeby młode pokolenie oznajomić z pamiątkami przeszłości. Po założeniu takiego muzeum przedsięwzięto zająć się naukowym katalogiem illustrowanym, w którymby wszystkie ważniejsze zabytki w drzeworytach oddane zostały. Tylko takie muzea i naukowe katalogi mogą rzucić wielkie światło na odległą starożyt-

ność. Wiemy o kilku zacnych właścicielach pięknych zbiorów starożytności, obrazów i rycin, którzy na pierwszą wiadomość o takiém muzeum, oświadczyli gotowość do oddania takowych na rzecz dobra publicznego.

— W pismach codziennych czytamy: „W skutek układu autora z wydawcą, dzieło Wincentego Pola p. t: *Pachole Hetmańskie*, które niedawno opuściło prassę drukarską, sprzedaje się na rzecz *autora* w kancellaryi hhr. Zamoyskich przy ulicy Rymarskiéj pod Nr. 471*f*, wprost placu Bankowego. Zbytecznem byłoby mówić, o zaletach dzieła autora Mohorta, zna je kraj cały i sądzimy, że proste zawiadomienie o wyjściu i możności nabycia tego dzieła, dostatecznemi będą do zalecenia jego wartości".

Poemat ten już rok z górą jak wyszedł z druku, i w swoim czasie w piśmie naszém zdaliśmy o tym utworze obszerniejsze sprawozdanie. Żałować przychodzi, że w chwili tak niesłychanéj stagnacyi księgarskiéj, dopiero podano wiadomość o możności nabycia tego dzieła. Wątpimy czy znajdzie wielu nabywców, tém bardziéj że cena naznaczona złp. 26 gr. 20 za dwa tomy, jest zbyt wysoką.

— Księgarz i wydawca *Klindworth*, z Hanoweru, nadesłał redakcyi pisma naszego, prospekt na wydanie dzieł Leibniz'a, seryę pierwszą obejmującą pisma polityczne, z rękopismów oryginalnych zachowanych w bibliotece królewskiéj w Hanowerze. Redakcyą tak ważnego wydawnictwa zajmuje się Onno Klopp. Dwa duże tomy obejmą te pisma, trzeci zaś korrespondencyą księcia Jana Fryderyka Brunswik-Luneburgskiego z Leibniz'em. Wydanie ma być staranne i okazałe.

— W Gazecie Polskiéj czytamy: W zakładach typograficznych S. Orgelbranda rozpoczęto w tych dniach druk bardzo ważnego i pożytecznego dla rozszerzenia oświaty krajowéj dzieła, pod tytułem: *Roberta Mohl'a*: *Encyklopedya umiejętności politycznych*, przełożył zaszczytnie znany w piśmiennictwie krajowém dr. *Antoni Białecki* professor Szkoły Głównéj.

Dzieło to uznane nietylko w niemieckiéj ale i w całéj europejskiéj literaturze za najlepsze, reprezentuje w dokładném streszczeniu stan obecny umiejętności politycznych, do jakiego na Zachodzie w ostatnich paru dziesiątkach lat podniesione zostały. Umiejętności te, mięszane dawniéj z umiejętnościami ekonomicznemi (teoryą gospodarstwa narodowego, czyli tak zwaną ekonomią polityczną, nauką finansów i t. d.), nie mogły się wykształcić jako samodzielna

gałąź wiedzy, dopóki od nich rozłączone nie zostały. Dzięki niezmordowanym usiłowaniom uczonych zachodnich, a zwłaszcza niemieckich, cel ten osiągnięty został w zupełności. Umiejętności polityczne (tojest zbiór poszukiwań mających wyłącznie na celu badanie istoty *państwa*) stoją dziś w nauce jako osobna całość, obrobiona dokładnie i wszechstronnie. We wszystkich uniwersytetach zagranicznych pomieszczone już zostały w programacie wychowania akademickiego. W naszéj Szkole Głównéj mającéj wielkie zadanie dźwignienia oświaty krajowéj i postawienia jéj na stopniu, na jakim już u innych narodów się znajduje, umiejętności te nie zostały pominięte, lecz na wydziale prawa pod nazwą nauk administracyjnych zamieszczone. Jak czytamy w tegorocznym wykazie prelekcyi w Szkole Głównéj, wykłada właśnie Encyklopedyą umiejętności politycznych profes. dr. Białecki.

Dokonanie przekładu słynnego dzieła R. Mohla (dawniéj professora w Tybindze i Heidelbergu, obecnie posła W. Ks. Badeńskiego przy sejmie Związku Niemieckiego w Frankfurcie nad M.) jest z dwóch względów pożyteczne Raz, że dzieło to odznaczające się wielką gruntowością i jasnością wykładu, jest niezaprzeczenie jedyne, najlepsze w całéj europejskiéj literaturze. Nie jest to utwór dorywczy, ale owoc 40-letniéj pracy najznamienitszego publicysty i uczonego niemieckiego, który kończąc swój zawód professorski, uwieńczył całą swą działalność naukową przedstawieniem rezultatu niejako pracy całego życia, w treściwym encyklopedycznym wykładzie umiejętności, któréj się oddawał, i którą jak to o Mohlu rzec można, stworzył prawie.

Drugi zaś pożytek płynący z ogłoszenia przekładu jest, iż za pomocą wybornéj książki zapozna publiczność polską od razu, z obecnym stanem umiejętności, których opracowywanie prawie nietknięte było u nas dotąd. Młodzież ucząca się, znajdzie w tém dziele nietylko ułatwienie swych studyów akademickich, ale i przewodnika wskazującego jéj prawdy naukowe w sposób poważny, gruntowny, bez żadnych uprzedzeń i namiętnych stronności, jakie niestety, zbyt często w innych książkach kwestyom społecznym poświęconych, napotykać można."

— Taż Gazeta pisze: Donoszą ze Lwowa, że ciągnąca się już od lat kilkunastu sprawa zastępstwa kuratoryi tego zakładu, blizką jest wreszcie ukończenia. Jeszcze w roku 1850 władze administracyjne galicyjskie odebrały zarząd właściwemu kuratorowi, a powierzyły takowy wybranemu przez nie zastępcy, z powodu jakoby nie

dopełnionych formalności, jakich było potrzeba do ustanowienia ordynacyi Przeworskiéj, z którą kuratorya zakładu z mocy zawartéj przez właściciela umowy, ma być wieczyście połączoną. Wszelkie ówczesne starania, ażeby kwestyę tę sprowadzić na właściwą drogę t. j oddać pod roztrzygnięcie trybunału sądowego, były bezskuteczne. Nie chodziło wszakże o osobę tymczasowego zastępcy, lecz o zasadę komu służy prawo ustanowiania go do czasu załatwienia kwestyi ordynacyi. Trudności stojące na zawadzie rozstrzygnięciu téj kwestyi, zostały już obecnie po większéj części usunięte i sprawę kuratoryi zakładu przekazano sądom, które tymczasowe zastępstwo ofiarowały księciu Jerzemu Lubomirskiemu, ordynatowi Przeworskiemu, a zatem z prawa stałemu kuratorowi zakładu. Książę Lubomirski nie przyjął jednak dla niewiadomych przyczyn tymczasowego zastępstwa, i tym sposobem w razie opuszczenia tego urzędu przez dotychczasowego zastępcę, który przez kilkanaście lat z pożytkiem dla zakładu takowy sprawował, nie wiadomo jeszcze w czyje zarząd dostanie się ręce. Sprawa to jednak nie małéj wagi, gdyż od kuratora zależy głównie stanowisko jakie zajmie pod każdym względem zakład, mogący tak ze względu na swe uposażenie naukowe, jako téż i znakomite fundusze, wywierać przeważny wpływ na rozwój i kierunek oświaty.

— Dnia 12 stycznia r. b. na Szlązku austryackiem w Cieszynie, na konferencyi pastorów, uchwalono przyjęcie i zaprowadzenie wypracowanego już kancyonału polskiego, zamiast dotychczas używanego kancyonału czeskiego w zborach szlązkich.

— We Lwowie wyszło ważne dzieło dla historyi Rusinów p. n. *Ustawa rządowa i kościelna, dotycząca obrządku grecko katolickiego Rusinów w Galicyi, skreślona przez Michała Malinowskiego.* (w 8co str. 890). Dzieło to jest uzupełnieniem znanego: *Annales Ecclesiae Ruthenae* Harasiewicza.

— W Krakowie od 16 b. m., wychodzi nowy dziennik polityczny. wydawany nakładem posłów krakowskich, pp. Ignacego *Lipczyńskiego* i Szymona *Samelsona*, pod napisem *Wiek.* Jako redaktor odpowiedzialny i wydawca podpisany na ogłoszeniu przedpłaty, p. Felix *Wasilewski*, głównymi współpracownikami *Wieku*, mają być pp. *Chrzanowski* i *Szujski.*

— Wyszedł z druku tom trzeci znakomitego dzieła *Dudika* historyografa morawskiego p. n. *Mährens allgemeine Geschichte.* Tom

ten obejmuje okres czasu, od 1125 do 1173. Praca ta nieobojętną jest dla badaczy dziejów naszych, i jak historya czeska Palackiego, tak i Dudika dzieje morawskie, zasługują na tłumaczenie w języku ojczystym. Przekłady takowe zbogaciłyby o wiele, gałąź naszéj literatury historycznéj.

— W Krakowie obecnie budowniczy Ignacy *Hercok*, wydaje wzory architektoniczne zamku królewskiego; wychodzić one będą poszytami, w każdym z nich po cztery wzorów mieścić się będzie. Cena prenumeracyjna poszytu wynosi 3 złr. W dziele tém autor chce uwydatnić ważniejsze pamiątki budownictwa, z różnych stylów i epok w jakie zamek krakowski obfituje.

— *Towarzystwo naukowe w Krakowie.* Oddział archeologii i sztuk pięknych na posiedzeniu swém z d. 30 listopada b. r. zajmował się sprawą wydawnictwa popiersi królewskich, których serya druga obejmująca biusta gipsowe naturalnéj wielkości królów Jagiełły, Batorego i Kazimierza Wielkiego już jest na ukończeniu i będzie mogła być nabytą wedle warunków dawniéj ustanowionych. Pierwiastkowe formy gipsowe oddane wprost z monumentów w katedrze, przechowywane w zbiorach Towarzystwa, a będące podstawą powyższéj pracy artystycznéj popiersi, dadzą sposobność do zamian z zagranicą, w celu nabycia odlewów interesujących nas zabytków sztuki, jak np. dzieł Wita Stwosza w Norymberdze się znajdujących, z których niektóre przypisywane dotąd mylnie Kraftowi, mają niezaprzeczony związek z płaskorzeźbą Ogrójca z cmentarza kościoła Panny Maryi. Zbiór archeologiczny i pamiątkowy niedawno założony przez oddział, rośnie z dniem każdym dzięki licznym darom. W tym czasie powiększy się znakomicie odbiorem starożytności, które dotąd w bibliotece uniwersyteckiéj złożone były, a których zwrot do Towarzystwa obecnie rząd zalecił. To też muzeum starożytności przeniesione zostanie w tych dniach do nowo urządzonych sal 1go piętra w gmachu Towarzystwa i wkrótce otwartém zostanie dla publiczności interesowanéj, równie jak i znakomity zbiór obrazów, t. j. galerya ś. p Mateusza hr. Miączyńskiego oddana Towarzystwu naukowemu do przechowania na lat sześć.

Następnie obradowano nad wygotowaném sprawozdaniem z dokonanych restauracyi pomników i dzieł sztuki w pogorzałych r. 1850 kościołach krakowskich, gdyż fundusz składkowy oddziałowi do rozporządzenia poruczony już jest prawie wyczerpniętym, okazała się potrzeba wykazania sposobów pokrycia kosztów restauracyi przeprowadzonych. Praca ta będzie drukowaną w „Roczniku" przez Towarzystwo wydawanym.

Nakoniec wybrano komissyę do zarządzenia umieszczeniem nagrobków i restauracyi wielkiego ołtarza w kościele św. Katarzyny, a to stosownie do wezwania przełożonego konwentu tegoż imienia. Jako dar złożono do zbiorów Izawnicę znalezioną w Mozera na Szląsku, blisko Raciborza.

— W Poznaniu wyszedł drugi tom *Roczników* Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego; tom ten zawiera następujące rozprawy naukowe:

1) Krityczny pogląd na zasady głosowni znanych autorowi gramatik polskich wraz z uzasadnieniem ilości brzmień i głosów polskiego języka; przez księdza Fr. Ksaw. Malinowskiego. 2) Dziady Mickiewicza. Krytyczny rozbiór zasadniczéj idei poematu; napisał Wojciech Cybulski. 3) Dwa poselstwa do Polski przez Szlązaków odprawione w latach 1611 i 1620; opisał August Mosbach. 4) Rys geologiczny wielkiego księztwa Poznańskiego; przez Karola Karśnickiego. 5) Budowle i usypaliska Słowian pogańskich, ich rodzaje i znaczenie; zbadał i opisał Kazimierz Szulc. 6) Konfederacya województw wielkopolskich poznańskiego, kaliskiego, gnieźnieńskiego i ziemi wschowskiéj d. 20 sierpnia 1792 r. w m. Środzie zawiązana; napisał Leon Weguer. Rozprawa powyższa wyszła jeszcze nakładem Towarzystwa przyjaciół nauk w osobném wydaniu. Jest to zbiór aktów konfederacyi Targowickiéj zawiązanéj pod laską Stanisława Szczęsnego Potockiego, jen. artyleryi koronnéj, oraz innych dokumentów dotyczących téj epoki. Kilkanaście kartek zbiór takowy poprzedzających, wyjaśniają ówczesne stosunki w Wielkopolsce. Praca poniekąd źródłowa, oszczędzić może kreślącemu ten ustęp dziejów Polski zmudnego poszukiwania w archiwach. 7) O gipsie mijocenicznym w południowych stronach Królestwa Polskiego; napisał L. Zejszner. 8) O drogach ducha, przez Augusta Cieszkowskiego i 9) Sprawozdanie z czynności Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego.

— W programacie szkoły wyższéj w Halberstadt z r. 1857. znajduje się Trygonometrya Kopernika, wyjęta z jego dzieła, pod tytułem: „O obrotach ciał niebieskich" i przełożona na język niemiecki przez professora Menzzer. Uczony ten, jak sam w przedmowie do téj trygonometryi mówi, zajmuje się nietylko przekładem całego tego wiekopomnego dzieła, ale zamierza je nadto wydać z potrzebnemi objaśnieniami i uwagami. W téj saméj przedmowie mówi tenże professor: „Tłumaczenie to stało się dla mnie ulubioném i postępuje obok innych moich zatrudnień wolnym wprawdzie krokiem, ale przy pomocy Boga ukończoném zostanie.

† Dnia 7 lutego r. b. umarł we Lwowie *Wuk Stefan Karadzicz*, jeden z najzasłużeńszych uczonych serbskich, sławny zbieracz pieśni ludowych tego narodu, który pierwszy dał światu poznać owe cudne utwory myśli i serca ludu serbskiego. Podług jego wydania tłumaczył po polsku Roman Zmorski.

*Redakcya Biblioteki Warszawskiéj*

Wolno drukować.—Warszawa, d. 19 Lutego (2 [illegible]) 1864 r.
Cenzor, *Paweł Lachmanowicz.*

# DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

## w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

***Styczeń, 1864.***

## Styczeń, 1864. Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie $1^h14^m45^s,7$ czyli w łuku 18°41′25″,5 na wschód względem południka paryzkiego.

| Dnia | Odmiany księżyca | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0° | | | | | TERMOMETR stustopniowy | | | | | Wilgotność średnia dzienna | STAN NIEBA | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | Ilość wody co do wysokości w milim. | | Wysok. wody na Wiśle | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | średni dzienny | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | średni dzienny | | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 godz. wiecz. | 10 godz. wiecz. | 6 god. rano | 10 god. rano | 4 godz. w. | 10 godz. w. | dészczu | śniegu | stóp | cal |
| 1 | | 748.80 | 749.00 | 751.82 | 755.07 | 751.172 | — 7°.5 | — 6°.6 | — 8°.2 | —13°.6 | — 8°.97 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Z3. | Z2. | PnZ1. | PnZ2. | | | 3 | 6 |
| 2 | ☾. | 755 98 | 756.21 | 758.64 | 761.77 | 758.150 | — 10.5 | — 9.0 | — 9.5 | — 10.1 | — 9.78 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PnW1. | PnW1. | PnW1. | PnW2. | | | 3 | 6 |
| 3 | | 764.84 | 767.45 | 770.20 | 772.26 | 768.687 | — 11.0 | — 10.1 | — 11.3 | — 14.3 | — 11.87 | — | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PnW2. | PnW2. | PnW2. | PnW2. | | | 3 | 6 |
| 4 | | 771.62 | 771.90 | 770.89 | 770 26 | 771.167 | — 16.9 | — 15.0 | — 11.3 | — 14.5 | — 14.42 | — | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PnW1 | PdW1. | PnZ1. | PnZ1. | | | 3 | 8 |
| 5 | | 767.13 | 766.20 | 762.87 | 761 12 | 764.330 | — 14.1 | — 10.7 | — 7 4 | — 6.2 | — 9.60 | — | sm. chm. | pochm. | poch. mg. | pochm. | PnZ1. | Z2. | Z2. | Z2. | | | 3 | 10 |
| 6 | | 759 59 | 759.56 | 759.42 | 760.55 | 759.780 | — 4.5 | — 2.6 | — 9.0 | — 1.1 | — 2.27 | — | poch. mgł. | poch. mgł. | poch. mg. | poch. mg. | PnZ1. | PnZ1. | PnZ1. | PnZ1. | | | 4 | 2 |
| 7 | | 762.12 | 763.23 | 763.16 | 763.17 | 762.920 | — 0.4 | — 0.2 | — 0.4 | — 1.2 | — 0.55 | — | pochm. | poch. mg. | pochm. | pochm. | Pn1. | PnW1. | W1. | PdW1. | | 0.5 | 4 | 2 |
| 8 | | 760.90 | 761.91 | 760.07 | 759.15 | 760.507 | — 2.1 | — 2.9 | — 4.5 | — 7.4 | — 4.22 | — | poch. mgł. | poch. mg. | napół pog. | pochm. | Pd1. | Pd1. | Pd1. | Pd1. | | | 4 | 1 |
| 9 | ☽. | 757 88 | 757.60 | 756.36 | 757.79 | 757.407 | — 8.1 | — 9.9 | — 8.9 | — 8.5 | — 9.10 | — | pogodny | pogodny | pog. mgła | pochm. | Pd1. | PdZ1. | PdZ1. | Pn1. | | | 3 | 11 |
| 10 | Apog. | 756.70 | 757.45 | 759.11 | 761.62 | 758.720 | — 6.7 | — 5.0 | — 3.8 | — 7.4 | — 5.72 | — | pochm. | pochm. | pogodny | pogodny | PnZ1. | PnZ1. | Pn1. | Pn2 | | | 4 | 0 |
| 11 | | 762.12 | 765.25 | 766.15 | 767.57 | 765.272 | — 6.4 | — 5.3 | — 5.5 | — 5.9 | — 5.77 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | Pn1. | PnW2. | PnW2. | Pn1. | | | 4 | 6 |
| 12 | | 766.51 | 767.01 | 765.32 | 764.04 | 765.725 | — 7.6 | — 6.7 | — 6.1 | — 7.1 | — 6.95 | — | pochm. | pochm. | poch. mg. | pochm. | PnZ1. | Pn1. | PdZ1. | Z1. | | | 4 | 8 |
| 13 | Ró w. | 762 06 | 761.62 | 760.46 | 759.12 | 760.815 | — 7.1 | — 6.3 | — 5.0 | — 4.4 | — 5.70 | — | pochm. | pochm. | poch śn. | poch. śn. | Z2. | PnZ2. | PnZ1. | PnZ1. | | 2.5 | 4 | 9 |
| 14 | | 758.90 | 759.86 | 761.24 | 763.77 | 760.942 | — 4.5 | — 3.4 | — 6.5 | — 8.7 | — 7.77 | — | poc. śnieg | poc. śnieg | pochm | pochm. | Pn1. | Pn1. | Pn1. | PnW2. | | 2.3 | 4 | 9 |
| 15 | | 766.22 | 767.74 | 769.14 | 771.15 | 768.562 | — 11.3 | — 9.5 | — 9.7 | — 9.9 | — 9.85 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PnW1. | PnW1. | PnW1. | PnW1. | | | 4 | 9 |
| 16 | ☽. | 772.85 | 774.24 | 773.94 | 774.88 | 773.977 | — 12.4 | — 11.3 | — 11.3 | — 12.8 | — 12 20 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PnW1. | PdW1. | W1. | PnW1. | | | 4 | 9 |
| 17 | | 774.65 | 776.68 | 773.47 | 773.01 | 773.952 | — 20.1 | — 18.2 | — 14 7 | — 18.4 | — 17.85 | — | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | Pd1. | Pd1. | Pd1. | PdW1. | | | 4 | 11 |
| 18 | | 771.20 | 771.40 | 769.84 | 770.02 | 770.615 | — 20.1 | — 17.4 | — 13.0 | — 16.7 | — 16 80 | — | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PdW2 | PdW2. | PdW2. | PdW2. | | | 4 | 11 |
| 19 | | 764.64 | 765.01 | 761.85 | 760.23 | 763 182 | — 19.5 | — 17.0 | — 9.6 | — 11.6 | — 14.37 | — | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PdZ2. | PdW2. | Pd2. | PdZ1. | | | 5 | 0 |
| 20 | | 757.83 | 758.75 | 760.24 | 763.55 | 760.092 | — 7.8 | — 6.5 | — 3.3 | — 3.1 | — 5 17 | — | poch. sm. | pochm. | pochm. | pochm. | PdZ3. | PnZ2. | PnZ1. | PnW1. | | 2.3 | 5 | 2 |
| 21 | | 765.88 | 765.93 | 762.71 | 758.91 | 763.357 | — 5 9 | — 8.3 | — 5.6 | — 9.0 | — 7.20 | — | pochm. | napół pog. | pochm. | napół pog. | PdW1 | PdW1. | PdW2. | Pd3. | | | 5 | 2 |
| 22 | | 754.58 | 754.58 | 754.55 | 754.76 | 754.617 | — 5.0 | — 2.1 | — 0.9 | — 0.6 | — 2.15 | — | pochm. | pochm. | pochm. | pochm | PdZ3. | PdZ3. | PdZ3. | PdZ3. | | | 5 | 2 |
| 23 | ☽. | 750.18 | 750.31 | 748.31 | 746 34 | 748.562 | + 1.6 | + 1.7 | + 2.8 | + 3.3 | + 2.35 | — | poc. mgła | poch.mgła | pochm. | pochm. | PdZ3. | PdZ3. | PdZ2. | PdZ3. | 1.0 | | 5 | 1 |
| 24 | Perig. | 744.38 | 745.76 | 746.54 | 748.56 | 746.310 | + 4.2 | + 3.3 | + 2.9 | + 1.2 | + 2 90 | — | pochm. | pochm. | napół pog, | pochm. | PdZ4. | Z3. | Z2. | Z2. | | | 4 | 10 |
| 25 | | 750.76 | 750.75 | 751.62 | 753.19 | 751.590 | + 1.0 | + 0.3 | + 2.9 | + 2.9 | + 1.85 | — | pochm. | poc. śnieg | pochm. | pochm. | Z3. | Z4. | Z4. | Z4. | | 2.0 | 4 | 9 |
| 26 | | 755.35 | 757.76 | 759.23 | 758.00 | 757.585 | + 2.2 | + 2.2 | + 2.2 | + 1.3 | + 1.97 | 85.7 | pochm. | pochm. | pochm. | pochm. | PnZ3. | PnZ3. | Z3. | PdZ3. | | | 4 | 7 |
| 27 | Ró w. | 754.64 | 752.51 | 750.42 | 749 32 | 751.730 | + 0.6 | + 1.2 | + 1.3 | + 1.1 | + 1.05 | 96.0 | pochm. | napół pog. | pochm. | napół pog. | PdZ3. | PdZ3. | PdZ3. | PdZ3. | | | 4 | 6 |
| 28 | | 744.50 | 744 04 | 743.02 | 741.06 | 743.155 | + 1.3 | + 2.5 | + 3.7 | + 3.3 | + 2.68 | 98 0 | poch. dęs. | pochm. | pochm. | poch. dęs. | PdZ3. | Z2. | Z2. | PdZ2. | 7.1 | | 4 | 5 |
| 29 | | 742.86 | 747.28 | 755.53 | 759.50 | 751.275 | — 1 1 | — 2.5 | — 5.2 | — 8.0 | — 4.20 | 97.7 | poc. śnieg | pochm. | napół pog. | pogodny | PnW2. | PnW2. | PnW2 | PnZ1. | | 1.5 | 4 | 5 |
| 30 | | 761.41 | 764.53 | 761.94 | 769.07 | 764.238 | — 5.0 | — 4.5 | — 4.6 | — 8.8 | — 5.72 | — | pochm. | napół pog. | pogodny | pogodny | PnZ1. | PnZ2. | Pn1. | Pd1. | | 1 8 | 4 | 5 |
| 31 | | 769.09 | 769.53 | 768.46 | 767.52 | 768.650 | — 8.6 | — 5.9 | — 4.0 | — 9.2 | — 6.92 | — | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PdZ1. | PdZ1. | PdZ1. | PdZ2 | | | 4 | 6 |
| Śr. | | 760.18 | 761.26 | 760.54 | 761.11 | 760.772 | — 6°.88 | — 5°.98 | + 5°.01 | — 6°.66 | — 6.13 | 94.34 | | | | | | | | | 8.8 | 12.9 | 4 | 5.5 |

| | m. | c. | l. |
|---|---|---|---|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 760.772 | 28 | 1.124 |
| Najwyżej barometr dochodził d. 16 o g. 10 w. | 774.88 | 28 | 7.501 |
| Najniżej — — d. 28 o g. 10 w. | 741.06 | 27 | 4.503 |
| Średnia dzienna zmiana barometru | 5.41 | | 2.397 |
| Największa dzienna zmiana barometru d. 28—29 o godz. 10 wiecz. | 18.44 | | 8.17 |
| Średnia wysokość barometru jest wyższa o | 9.482 | | 4.080 |
| od stanu normalnego z 38 lat poprzedzających | 751.29 | 27 | 9.044 |
| Średnia temperatura stycznia wynosi | — 6°.13 C. | | — 4°.90 R. |
| Największe ciepło dochodziło d. 24 o g. 6 r. | + 4.2 „ | | + 3.36 „ |
| Największe zimno — d. 17 i 18 o g. 6 r. | — 20.1 „ | | — 16.08 „ |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | 3.24 „ | | 2.59 „ |
| Największa zmiana dzienna temperatury d. 19—20 o godz. 6 rano | 11.7 „ | | 9.36 „ |
| Średnia temperatura stycznia jest większa o | 1.11 „ | | 0.88 „ |
| od stanu normalnego z 38 lat poprzedzających | — 5.02 „ | | — 4.02 „ |

Termometrograf wskazał: Maximum: + 4.12 C. = + 3.36 R. d. 24 o g. 6 rano.
Minimum: — 20°.90 „ = — 16.72 „ d. 17 i 18 o g. 6 r.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 93.4 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 3.53 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o jednę setną mniejsza od normalnéj (94,4).

Ilość wody spadłéj z deszczu co do wysokości wynosi: 8.8 mil. czyli 3.9 lin. par.; ze śniegu 12.9 mil. czyli 5.7 lin. par.; razem wody z deszczu i śniegu 21.7 mil. czyli 9.6 lin. par. większa o 2.3 mil. czyli o1.01 lin. par.; niż zwykle (19.4 mil. = 8 59 lin. par.).

Dni pogodnych było 6, napołpogodnych 7, pochmurnych 18.
Dni deszczu 2 (d. 23 i 29).
— śniegu 9 (d. 7, 10, 11, 13, 14, 20, 25, 29, 30).
— mgły 8 (d. 5, 6, 7, 8, 9, 12, 23, 28).
Wiatrów mocnych 12 6 (PdZ., 1 Pd., 4 Z., 1 PnZ.).
Wichrów 2 (1 PdZ., 1 Z.).
Wiatry panujące: Północno-Wschodnie i Południowo-Zachodnie.

Styczeń r. b. był pogodny, mroźny, wietrzny, blizko o jeden stopień R. zimniejszy jak zwykle a o sześć stopni jak w r. z. Pierwsze cztery dni i cztery środkowe były nader mroźne, przeciwnie sześć dni od d. 23 do 29 nader łagodne. Średnia temperatura całego miesiąca jest — 4.9 stop. R.; o 0.9 stop. R. niższa od normalnéj; największe ciepło dochodziło 3.3 stop. R. d. 24 z rana; największe zimno — 16.7 stop. R. d. 16 i 18 z rana; średnia temperatura czterech dni najzimniejszych wynosiła — 12.06 stop. R. o 8.2 stop. R. niższa jak zwykle; przeciwnie średnia temperatura sześciu dni od d. 23 do 28 włącznie, wynosiła: + 1.9 stop. R. ciepła o 3 stopnie wyższa jak w stanie średnim. Największa zmiana dzienna temperatury dochodziła 9.4 stop. R. dnia 19 na 20. Barometr utrzymywał się nader wysoko; średnia jego wysokość miesięczna jest: 28 cali 1.12 lin. par., o 4.08 lin. par. wyższa od normalnéj, a nawet blizko o jednę linię wyższa od największéj średniéj miesięcznéj jaka miała miejsce w r. 1858; najwyżej barometr dochodził 28 cali 7.50 lin. par. d. 16 o godz. 10 wieczorem. W żadnym z 38 lat poprzednich barometr w styczniu nie wzniósł się tak wysoko jak w r. b.; najniżéj stał na 27 cali 4.51 lin. par. d 28 wieczorem; największa zmiana miesięczna barometru jest 1 cal 3 lin. par; największa zmiana dzienna 8.27 lin. par. d. 28 na 29 w wieczór. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był pogodniejszy jak zwykle, albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 3,8 : 6,6 : 20,6; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 6 : 7 : 18; dni mroźne były zwykle pogodne, mgły panowały dość często; śniegi były nie obfite. Wiatry mocne panowały często, osobliwie Południowo-Zachodnie i Zachodnie. W pierwszéj połowie miesiąca panowały wiatry Północno-Wschodnie i Północno-Zachodnie; w drugiéj Południowo-Zachodnie.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stóp 4 cali 1.5 n.m. polsk.
Wysokość wody największa dochodziła d. 20, 21, 22.. stóp 5 „ 2.0 „ „
„ „ najmniejsza „ d. 5, 1, 2, 3... stóp 3 „ 6.0 „ „

# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z R. 1864.

—

## *Materyały historyczne.*


Stron.

Władysław książę kujawskie, zakonnik opactwa Cystersów, później Benedyktynów w Dyżonie, współzawodnik do korony polskiéj po śmierci króla Kazimierza Wielkiego w XIV wieku, który po zgonie pochowany był w Dijon; przez P. C. N. Amanton kawalera legii honorowéj, członka korrespondenta antykwarzy Francyi i Kommissyi departamentelnéj starożytności de la Côte-d'or. etc..... 349

Pojedynek Adama Tarły wojewody lubelskiego z Kazimierzem Poniatowskim, odbyty pod młynem marymonckim przy Warszawie, dnia 16 marca 1744 roku..... 482


### Filozofia.


Przyszłość filozofii, przez *F. Krupińskiego*..... 197

## *Prawo.*

Stron.

Rys historyczny przemian Rady Stanu, w jéj attrybucyach, w składzie organicznym i kompletach, w toku epoki od roku 1807 aż dotąd, przez *Augusta Heylmana* ..... 82

Co rzeczywiście znaczyła Kunica, przez *Wacława Alexandra Maciejowskiego.* 432

### Opisy i podróże.

Pogląd na Stany Zjednoczone Północnéj Ameryki oraz na wojnę toczącą się obecnie w tym kraju, i przyczyny, które są głównym jéj powodem, przez *Adama Słońskiego* ..... 1

Wyspa Madagaskar, jéj stosunki z Francyą. Rzecz wzięta z Przeglądu dwóch Światów (*Revue des deux Mondes*) i z innych źródeł..... 101

Z dziennika podróży po Rossyi, odbytéj w zimie 1863 r., przez *J. Grajnerta.* 367

Afghanie. Wspomnienia z politycznéj missyi angielskiéj..... 398

### Literatura.

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. „Trojanie w Kartaginie", pięcio-aktowa opera Berlioza. — „Kapitan Fracasse", powieść Teofila Gautier. — Krytyczne studyum Nowego Testamentu (Etudes critiques sur la Bible par Michel Nicolas). — Listy Karola Sismondi (Lettres inédites de Ch. Sismondi publiées avec introduction par Saint-René Taillandier). — Wiadomości literackie..... 57

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. „Czarne Szatany" dramat pana Sardou. — „La Maison de Penarvan" czteroaktowa komedya Juliusza Sandeau. — Romanse Pawła Feval. — „La San Felice" powieść Alexandra Dumasa. — „Le Maudit" romans w trzech tomach wydany bezimiennie. — „Zbiór zupełny poezyj" pana Sainte-Beuve. — „Les Dieux et les demi-dieux de la peinture" przez pp. Gautier, Houssaye i Saint-Victor. — Wiadomości literackie..... 242

Wyjaśnienie początku niektórych przysłów używanych w Wielkopolsce. Podług podań ludu skreślił, *Tworzymir*..... ..... 263

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Reforma akademii sztuk pięknych. — Broszura Ingra. — Artykuł pana Beulé. — Reforma muzeum historyi naturalnéj. — „Historya cywilizacyi włoskiéj" (Essai sur l'Histoire de la civilisation en Italie par M. Boullier). — Ostatnia opera Auber'a „La Fiancée du Roi de Garbe." — Elektra Sofoklesa, przekład Leona Halevy. — Wiadomości literackie..... 375

Uwagi nad początkiem roku politycznego u Ateńczyków, przez *Hippolita Grzybowskiego*..... 438

## *Poezya.*

Stron.

Dzień i Noc. Sonety, przez *S. G.* ..... 240

## Rozbiory.

Swięty Jur. Powieść w trzech częściach, przez Jana Zacharyasiewicza. Lwów. 1862. Przez (*f*) ..... 141

Z przeszłości szkice i obrazy. Artykuły fejletonowe Józefa Łepkowskiego. Kraków. 1862. Przez *K. Wł. W.* ..... 148

Ocena Gramatyki polskiéj Małeckiego, p. *Adolfa Kudasiewicza* ..... 294

Rocznik Leśniczy. Dzieło zbiorowe. Tom IV. Część III. Warszawa. 1863. Przez (*w*) ..... 324

Historya Polska do końca panowania Stefana Batorego; dzieło pośmiertne, przypiskami pomnożone i wydane przez E. Rykaczewskiego. Poznań. 1863. Przez *Juliana Bartoszewicza* ..... 447

O główniejszych zasadach „Głosowni" p. Małeckiego, stanowiącéj część piérwszą jego Grammatyki. Przez *T. Kurhanowicza* ..... 466

Urywek wspomnień Józefa Rulikowskiego, wydany z obszerniejszego rękopismu. Warszawa. 1862. Przez *J. S.* ..... 473

Proza i poezya polska wybrana i zastosowana do użytku młodzieży żeńskiéj przez Paulinę Kraków. Część I. Warszawa. 1860. Przez (*w*).. 480

## Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *Antoniego Małeckiego* ..... 155

*Kronika bibliograficzna* ..... 157, 330, 493

Wiadomości literackie ..... 165, 335, 497

Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomicznem warszawskiém:

za miesiąc listopad r. z. ..... 193

— — grudzień r. z. ..... 345

— — styczeń r. b. ..... 505

Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatoryum astronomicznem warszawskiém w roku 1863.